

PETER F. HAMILTON

PUSTKA

SNY

Peter F. Hamilton

PUSTKA: SNY

Część pierwsza trylogii „Pustka”

Przełożyli Grażyna Grygiel i Piotr Staniewski

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2018**

Tytuł oryginału:
The Dreaming Void

Copyright © 2007 by Peter F. Hamilton
Copyright for the Polish translation © 2010
by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Paweł Matuszek

Korekta:
Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce:
Tomasz Maroński

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66065-44-4

Wydanie III

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63,
04-082 Warszawa
tel./fax 228 132519

Prolog

Statek głębokiej eksploracji kosmosu „Caragana” ześlizgnął się z nocnego nieba. Jego szaro szkarłatny kadłub oświetlało blade żarzenie olbrzymich burz jonowych. Burze gnębiły ten sektor kosmosu, rozciągający się we wszystkich kierunkach na lata świetlne od statku. Pod statkiem Stacja Centurion tworzyła mrugający świetlny półksiężyc wyraźnie odcinający się na tle pokrytej pyłem kamienistej powierzchni nigdy nie nazwanej planety. Załoga i pasażerowie patrzyli na zamieszkaną oazę z jednakową ulgą. Nawet przy zastosowaniu hipernapędu, który pchał ich z prędkością piętnastu lat świetlnych na godzinę, dotarcie do Stacji Centurion, należącej do Wielkiej Wspólnoty zabierało osiemdziesiąt trzy dni. Był to praktycznie największy dystans pokonywany przez człowieka w połowie trzydziestego czwartego wieku, a przynajmniej największy dystans regularnie pokonywany przez ludzi.

Ze swego fotela w głównym salonie statku Inigo ze zdystansowanym zainteresowaniem obserwował zbliżający się obcy krajobraz. Widział już dokładnie to samo w plikach informacyjnych sprzed miesiący - monotonną równinę starej lawy pofałdowaną płytkimi żlebami prowadzącymi donikąd. Rzadka argonowa atmosfera poruszała piasek krótkotrwałymi podmuchami, przeganiając smużaste zawijasy z wydmy na wydmy. Tak naprawdę Inigo interesowała sama stacja.

Teraz, gdy znajdowali się tylko dwadzieścia kilometrów nad ziemią, światła zaczęły się układać w rozróżnialne kształty. Inigo z łatwością rozpoznał wielką kopułę ogrodową w centrum sekcji ludzkiej, znajdującej się na północnym krańcu zamieszkałego półksiężyca. Drgający światłem krąg zieleni, z którego rozchodziło się kilkanaście czarnych rur transportowych, biegnących do wielkich kompleksów mieszkalnych. Taki krajobraz mógł równie dobrze znajdować się w dowolnym

egzotycznym ośrodku wypoczynkowym we Wspólnocie. Rury wychodziły z kompleksów i szły dalej przez lawę do sześciennych modułów wsparcia technicznego i obserwatorium.

Ospowaty teren na południu zajmowały habitaty obcych - kształty i konstrukcje różnych geometrii i rozmiarów, większość oświetlona. Przy siedzibach ludzi srebrzyły się bańki golantów - ssaków naczelnych; za nimi ogrodzone pastwiska, gdzie wśród swoich stad - dostarczycieli żywności - przechadzali się ticothowie; jeszcze dalej wznosiły się ogromne i połączone wzajemnie zbiorniki sulinów, wodnych istot. Dziesięć kilometrów za zamkniętymi w metalowych pudełkach jeziorami sulinów wznosiła się pozbawiona wyrazu wieża ethoxów. W widzialnym widmie wydawała się czarna, ale temperatura jej powierzchni wynosiła 180 stopni Celsjusza. Ethoxowie byli jednym z gatunków, który nie kontaktował się z kolegami obserwatorami - jeśli nie liczyć formalnej wymiany danych z sond orbitalnych wokół Pustki. Równie małomówni byli forlene, zajmujący pięć wielkich kopuł, jaśniejących łagodnym fioletowym światłem. I stanowczo były to istoty towarzyskie w porównaniu z kandra, którzy mieszkali w prostym metalowym sześcianie o boku trzydziestu metrów. Przynajmniej od dwustu osiemdziesięciu lat, to jest od chwili, kiedy ludzie dołączyli do obserwatorów, nie wylądował tam żaden statek kandra. Nawet wyjątkowo długowieczni jadradeshe twierdzili, że nigdy nie widzieli takiego statku, a raielowie zaprosili tych podobnych do głazów mieszkańców bagien przed siedmioma tysiącami lat.

Kiedy Inigo obejrzał te wszystkie różnorodne strefy, na jego twarzy zamigotał uśmiezek. Widok tylu obcych sobie gatunków zgromadzonych w jednym miejscu robił wrażenie. Tworzył kolekcję, która podkreślała ważność ich misji. Jednak, gdy powędrował wzrokiem poza cień rzucany przez stację, musiał przyznać, że żyjących absolutnie przytłaczają ci, którzy już odeszli. Narastanie i wiek Stacji Centurion można by mierzyć mniej więcej w ten sam sposób jak przyrosty słoju jakiegoś skromnego ziemskiego drzewa. Stacja rozwijała się pierścieniami, dodawanymi w miarę jak w ciągu stuleci do

projektu dołączały coraz to nowe gatunki. Szeroki krąg terenu przy wklęsłej stronie półksiężyca był wysadzany ruinami - kruszącymi się szkieletami habitatów porzuconych przed tysiącletniami, kiedy sponsorujące je cywilizacje upadły, przeszły na wyższy szczebel rozwoju, lub przestały się troszczyć o astrofizykę. Dokładnie w centrum artystyczne konstrukcje niszczały do wzgórków sprasowanego metalu i krystalicznych płatków, których nie mogli już zanalizować nawet najbystrzejsi archeolodzy. Ekspedycje badające wiek ustaliły, że to starożytne serce stacji wybudowano ponad czterysta tysięcy lat temu. Oczywiście w porównaniu z czasem, w którym raielowie prowadzili obserwacje ten czas nadal wydawał się krótki.

Na polu lawowym, służącym jako port kosmiczny dla sekcji ludzkiej, migały zielone światła, przyzywające „Caraganę”. Kilka statków stało na burej skale obok aktywnej strefy lądowania: dwa masywne tej samej klasy co „Caragana” i kilka mniejszych, wykorzystywanych do umieszczania i obsługi zdalnych sond, bezustannie monitorujących Pustkę.

Przy lądowaniu statku nastąpił niewielki wstrząs, a potem wyłączyła się grawitacja wewnętrzna. Inigo poczuł, że kiedy zadziałało siedemdziesięcioprocentowe ciężenie planety, tapicerka w jego fotelu wzniosła się nieco. Zapadła cisza, gdy pasażerowie oswajali się z nową sytuacją, a potem rozległ się radosny szmer rozmów ludzi świętujących przybycie na miejsce. Główny steward poprosił wszystkich, by przeszli do głównej służby, nałożyli skafandry i udali się do stacji pieszo. Inigo czekał, aż wyjdą bardziej zapalczywi koledzy, potem ostrożnie wstał i opuścił hol. Mówiąc ściśle, nie potrzebował skafandra, jego biononika Wyższego mogła owinąć go kokonem i zapewnić mu całkowite bezpieczeństwo, ochraniając przed szkodliwą atmosferą, a nawet przed promieniowaniem kosmicznym, które mżyło z masywnych gwiazd Ściany oddalonych o pięćset lat świetlnych. Ale... przebył całą tę drogę po części dlatego, by uciec od swego niechcianego dziedzictwa i teraz nie była właściwa pora, by się z nim obnosić. Założył skafander jak wszyscy inni.

Przyjęcie z okazji przekazania obowiązków na Stacji Centurion

było już tradycją. Od przyjazdu statku Floty z nowymi obserwatorami, do wyjazdu poprzedniej grupy zawsze upływało nieco czasu. Wykorzystywano go, by świętować w kopule ogrodowej, podczas wieczornej gali obsługiwanej najlepszym bufetem, jaki mogły zapewnić programy jednostki kulinarnej. Stare dęby, pod którymi rozkładano stoły pobłyskiwały setkami magicznych latarni, a kopułę nad głowami przyozdabiała aura złotego brzasku. Na małym podium, opływanym przez strumień, projekcja solido kwartetu smyczkowego grała klasyczną nastrojową muzykę.

Inigo przybył na miejsce całkiem wcześnie. Nadal poprawiał rękawy swego ultraczarnego wieczorowego stroju. Długie, prostokątnie skrojone poły marynarki nie bardzo mu się podobały. Były nieco za modne, jak na jego gust. Musiał jednak przyznać, że anagaskański krawiec wykonał wspaniałą robotę. Nawet obecnie, jeśli ktoś chciał mieć ubrania naprawdę wysokiej jakości, potrzebował człowieka, by zaprojektował styl i krój. Inigo wiedział, że w swym ubraniu wygląda dobrze - był o tym tak przekonany, że nawet przez chwilę nie czuł się nim skrępowany.

Dyrektor stacji witał wszystkich gości osobiście. Inigo stanął na końcu krótkiej kolejki i czekał na swoją kolej. Widział wokół stołów kilku obcych. Golantów, wyglądających dziwnie w ubraniach naśladujących stroje ludzi. Mieli szaroniebieską skórę i wysokie wąskie głowy, więc ich uprzejma próba wtopienia się w towarzystwo, sprawiała, że wyglądali jeszcze bardziej nie na swoim miejscu. Była tam również para ticohów, zwiniętych razem na trawie, obydwójce rozmiaru kucyka, ale na tym podobieństwo się kończyło. Najwidoczniej byli drapieżnymi mięsożercami, na potężnych pasmach ich mięśni rozciągała się ciemnozielona skóra. Za każdym razem, kiedy warczeli na siebie i na grupę ludzkich rozmówców, odsłaniali niepokojąco ostre zęby. Inigo instynktownie sprawdził działanie swego wbudowanego pola siłowego, a potem zawstydził się, że to zrobił. Kilkoro obecnych sulinów unosiło się w pobliżu, w wielkich półkolistych szklanych zbiornikach, podtrzymywanych

przez małe jednostki regramu. Ich translatory paplały, a kiedy Sulinowie patrzyli na ludzi, zakrzywione szkło powiększało i zniekształcało ich potężne ciała.

- Inigo, jak przypuszczam - niezbyt głośno stwierdził dyrektor. - Cieszę się, że pana widzę. Przyszedł pan na przyjęcie o czasie, a także rześki jak skowronek. To godne pochwały, chłopcze.

Inigo uśmiechnął się z profesjonalnym szacunkiem i ucisnął dłoń wysokiego mężczyzny.

- Dyrektorze Eyre - powiedział z uszanowaniem.

Plik CV niewiele mu powiedział o dyrektorze. Wynikało z niego tylko, że ma on ponad tysiąc lat. Inigo podejrzewał błąd danych, choć ubiór dyrektora z pewnością wyglądał dość historycznie: krótka marynarka i dobrany kilt w bardzo krzykliwą ametystowo-zieloną kratkę.

- Och, proszę mówić do mnie Walker.

- Walker? - zapytał Inigo.

- To skrót od LionWalker. Długa historia. Nie martw się chłopcze. Nie zanudzę cię nią dzisiaj.

- Ach. Jasne.

Inigo patrzył mu w oczy. Dyrektor miał gęstą brązową czuprynę, ale pod nią coś pobłyskiwało, jakby jego czaszka roiała się od złocistych plamek. Po raz drugi w ciągu ostatnich pięciu minut Inigo powstrzymał się od zastosowania biononiki - skanowanie połowe odkryłoby technikę z pomocą której wzbogacono dyrektora. Inigo nie potrafił jej rozpoznać. Musiał przyznać, że czupryna nadawała LionWalkerowi Eyre młodzieńczy wygląd. Zresztą cała rasa ludzka obecnie tak wyglądała, wszystkie jej odłamy - Wyżsi, Zaawansowani, Naturalni - byli mniej lub bardziej próżni. Jednak siwa kozia bródka nadawała dyrektorowi wygląd człowieka dystygowanego i kulturalnego, i taką właśnie rolę miała pełnić.

LionWalker machnął szklaneczką whisky, ogarniając gestem zaciemniony park. Kostki lodu zadźwięczały.

- Więc, młody Inigo, cóż sprowadza pana do naszej słynnej placówki? Myśli o chwale? Bogactwach? Mnóstwie seksu? Mimo wszystko, niewiele więcej jest tu do roboty.

Inigo zdał sobie sprawę, że dyrektor jest bardzo pijany. Uśmiechnął się z nieco większym napięciem.

- Chciałem tylko pomóc. Myślę, że to ważne.

- Dlaczego?

Pytanie brzmiało jak warknięcie, a pytający zmrużył oczy.

- Więc tak. Pustka jest zagadką, której nawet ZAN nie jest w stanie rozwiązać. Jeśli kiedykolwiek dowiemy się, o co w niej chodzi, powiększymy nasze zrozumienie wszechświata o ważny element.

- Ha. Wyświadcz sobie chłopcze przysługę, zapomnij o ZAN. Kupa zdegenerowanych arystokratów o spreparowanych umysłach. Akurat dbają o to, co zdarzy się z fizycznymi ludźmi. My pomagamy raielom, ludowi wartemu odrobiny naszych inwestycji. A nawet te ciężko człapiące mózgi operacji są zakłopotane. Wiesz, co inżynierowie Floty znaleźli, kiedy kopali fundamenty pod tę właśnie kopułę?

- Nie mam pojęcia.

- Dalsze ruiny.

LionWalker pociągnął solidny łyk whisky.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. Praktycznie rzecz biorąc, były niczym więcej niż skamieniałą warstwą gruntu, sprzed ponad siedmiuset pięćdziesięciu milionów lat. I z tego, co zrozumiałem, patrząc na wczesne zapiski, które raielowie raczyli nam udostępnić, obserwacje trwały o wiele dłużej.

Milion lat naddziobowania problemu. Więc to właśnie dedykacja dla ciebie. Nie poradzimy sobie z tym, znaczymy o wiele za mało.

- Mów za siebie.

- Ach, wierzący, mogłem się domyślić.

- Wierzący w co?

- W ludzkość.

- Z pewnością tacy jak ja muszą być liczni wśród tutejszego personelu? Inigo zastanawiał się, jak odejść, dyrektor zaczynał go irytować.

- Masz cholerną słuszność, chłopcze. To jedna z kilku rzeczy,

która podtrzymuje mnie, nieco osamotnionego, samotnego na duchu, trochę. Och... i jest.

LionWalker przechylił głowę w tył i spojrzał za kopułę, gdzie gasła cienka warstewka zamglonego światła. Powyżej kryształ był całkowicie przezroczysty, ukazywał rozległe nieprzyjemne mgławice, przesuwane się po niebie. Przez żarzącą się zasłonę prześwitywały setki gwiazd, kolce światła tak silne, że płonęły fioletem i indygo. Gwiazdy mnożyły się przy horyzoncie, w miarę jak obracała się planeta i nad obserwatorów nasuwała się Ściana - rozległa bariera masywnych gwiazd, tworzących zewnętrzną powłokę jądra galaktyki.

- Stąd nie widać Pustki, prawda? - spytał Inigo.

Wiedział, że to głupie pytanie. Pustkę, dokładnie w sercu galaktyki, przysłaniała Ściana. Przed wiekami, jeszcze zanim ktokolwiek wydostał się z systemu słonecznego Ziemi, ludzcy astronomowie sądzili, że to ogromna czarna dziura. Wykryli nawet emisję promieni X z rozległych chmur przegrzanych cząstek okrążających horyzont zdarzeń. Potwierdzało to ich teorie. Dopiero kiedy „Endeavor” - statek floty Wspólnoty, dowodzony przez Wilsona Kima - w 2560 roku dokonał pierwszego ludzkiego oblotu galaktyki, odkryto prawdę. Rzeczywiście w jądrze znajdował się nieprzenikniony horyzont zdarzeń, ale nie otaczał nic tak naturalnego i przyziemnego jak supergęsta masa umarłych gwiazd. Pustka była sztuczną granicą strzegącą dostępu do spuścizny sprzed miliardów lat. Raielowie utrzymywali, że wewnątrz znajduje się cały wszechświat, ukształtowany przez rasę żyjącą u zarania dziejów galaktyki. Rasa wycofała się tam, by sfinalizować swą podróż do absolutnego szczytu ewolucji. W następstwie tego czynu, Pustka powoli pożerała teraz pozostałe gwiazdy galaktyki. Pod tym względem nie różniła się od naturalnych czarnych dziur, które znaleziono zakotwiczone w centrach innych galaktyk - ale kiedy tamte wykorzystywały grawitację i entropię, by wciągać w siebie masę, Pustka naprawdę pożerała gwiazdy. Ten proces wolno acz nieubłaganie przyśpieszał. Jeśli się go nie zatrzyma, galaktyka umrze młodo, może trzy czy cztery miliardy lat przed swoim

wyznaczonym czasem. W wystarczająco dalekiej przyszłości, by Sol stało się zimnym węgielkiem, a rasa ludzka przestała być nawet wspomnieniem. Ale raielom nie było to obojętne. To była ich rodzima galaktyka i wierzyli, że trzeba jej dać szansę na przeżycie pełnego życia.

LionWalker parsknął cicho rozbawiony.

- Nie, oczywiście tego nie rozumiesz. Nie panikuj, chłopcze, na naszym niebie nie ma widocznego koszmaru. Wschodzi DF7, to wszystko.

Inigo czekał i po minucie ponad horyzont wpłynął lazurowy półksiężyc. Miał rozmiary połowy ziemskiego księżyca z dziwnie regularnym czarnym cętkowaniem. Inigo cicho westchnął z podziwu.

W układzie gwiazdnym Stacji Centurion znajdowało się piętnaście maszyn wielkości planety. Gniazda koncentrycznych kratownicowych sfer, każda z odmiennymi własnościami masy i pól kwantowych, z zewnętrzną skorupą mniej więcej o średnicy Saturna. Zbudowali je raielowie - „system obronny” na wypadek gdyby faza pożerania Pustki przerwała Ścianę. Nikt nigdy nie widział tych maszyn w działaniu, nawet jadradeshowie.

- Rzeczywiście. To robi wrażenie - oznajmił Inigo.

DF-y oczywiście znajdowały się w plikach, które przejrzał. Ale maszyny o takiej skali, oglądane bezpośrednio, budziły podziw.

- Będiesz tu pasował - oznajmił radośnie LionWalker. Klepnął Inigo dłonią po ramieniu. - Idź, nalej sobie drinka. Dopilnowałem, byśmy tu mieli najlepszy program kulinarny do syntezy alkoholi. Możesz to traktować jako wyzwanie.

Poszedł powitać następnego przybysza.

Inigo, nie spuszczać oczu z DF7 przeszedł do baru. LionWalker nie żartował, drinki były najwyższej jakości, nawet wódka, tryskająca do góry przez lodową rzeźbę rusałki.

Inigo pozostał na przyjęciu dłużej niż się spodziewał. Znalazł się nagle wśród podobnie myślących, oddanych sprawie ludzi i jego instynkt zadziałał - włączył normalnie uśpioną skłonność do

życia towarzyskiego. Kiedy w końcu wrócił do swego apartamentu, biononika już od kilku godzin broniła jego neurony przed infiltracją alkoholu. Mimo to, pozwolił, by nieco tej toksyny przeniknęło przez jego sztuczne linie obronne, wystarczająco wiele, by spowodować łagodne upojenie i wszystkie związane z nim korzyści. Będzie musiał mieszkać z tymi ludźmi cały rok. Zachowywanie widocznego dystansu nie było korzystne.

Kiedy wgramolił się do łóżka nakazał kompletne odsycenie. To była jedna ze wspaniałych korzyści biononiki - brak kaca.

I tak Inigo śnił swój pierwszy sen na Stacji Centurion. Nie swój.

1

Cały dzień Aaron chodził po rozległym placu w centrum Złotego Parku w tłumie wyznawców Żywego Snu. Podśluchiwał, jak niecierpliwie dyskutują na temat sukcesji, popijał wodę z ruchomych kramów, próbował skryć się w cieniu przed palącym słońcem, gdyż coraz bardziej doskwierały upał i wilgoć od morza. Chyba pamiętał, jak przybył tu o świcie; na pewno pamiętał, że gdy przemierzał bezmiary marmurowych płyt, było tu praktycznie pusto. Teren otaczały wspaniałe, białe metalowe kolumny ukoronowane różowozłotym światłem, gdy nad horyzontem wschodziła lokalna gwiazda. Uśmiechnął się wtedy z zachwytem, podziwiał plan miasta-repliki. Topografia okolic Złotego Parku zgadzała się z tym, co było w snach, jakie Aaron pobierał z gajASFery przez ostatnie... no, przez jakiś czas. Potem Złoty Park szybko się zapełnił wyznawcami z innych rejonów Makkathranu². Przechodzili przez kanał mostami albo przyplýwali flotą gondoli. Około południa zgromadziło się ich prawie sto tysięcy. Wszyscy zwróceni w stronę Pałacu Sadowego, dominującego nad dzielnicą Anemonów, po drugiej stronie Kanału Zewnętrznego Kręgu. Ten pałac przypominał skupisko wysokich wydm. A oni czekali, czekali z ledwo skrywaną niecierpliwością na decyzję Rady Kleryków. Na jakąkolwiek decyzję. Już trzy dni temu Rada zebrała się na konklawe. Ileż mogą trwać wybory nowego Konserwatora?

Rano przepchnął się do Kanału Zewnętrznego Kręgu w pobliże centralnego druciano-drewnianego mostu prowadzącego do Anemonu. Most był oczywiście zamknięty jak pozostałe dwa w tym rejonie. W normalnym okresie każdy - i ultra-dewoci, i zainteresowani turyści - mogli przejść na drugą stronę i spacerować wokół rozległego Pałacu Sadowego, ale dziś dostępu bronili wysportowani młodzi Klerycy, najwyraźniej wyposażeni w modyfikowane mięśnie. Po jednej stronie czasowo

zamkniętego mostu obozowały setki dziennikarzy ze wszystkich zakątków Wielkiej Wspólnoty. Byli oburzeni, ponieważ Żywy Sen konsekwentnie nie udzielał żadnych informacji. Łatwo ich było rozpoznać: nosili eleganckie nowoczesne ubrania i mieli doskonałe twarze utrzymane dzięki łuskom kosmetycznym. Nawet DNA Awangardów nie gwarantowało tak dobrej cery.

Za ekipami dziennikarzy kłębił się tłum wiernych dyskutujących o swoich ulubionych kandydatach. Około dziewięćdziesiąt pięć procent osób kibicowało Ethanowi - o ile Aaron poprawnie rozpoznawał panujący nastrój. Chcieli właśnie jego, bo mieli dość cierpliwego czekania, dość status quo propagowanego przez bezbarwnych tymczasowych włodarzy, od kiedy sam Inigo - Śniący - usunął się z życia publicznego. Chcieli kogoś, kto poprowadzi ich ruch ku rozkosznej chwili spełnienia, którą im obiecano już w chwili, gdy zakosztowali pierwszego snu Iniga.

W pewnym momencie, już po południu, Aaron zorientował się, że obserwuje go kobieta. Niezbyt otwarcie. Nie wpatrywała się w niego, nie chodziła za nim. Instykt gładko włączył mu świadomość jej położenia - Aaron nie wiedział wcześniej, że posiada taką zdolność. Od tej chwili świadomie śledził kobietę, która swobodnie spacerowała, starając się zachować wygodny dystans. A gdy akurat na nią spoglądał, jej oczy nigdy nie były skierowane na niego. Miała na sobie prostą rdzawą bluzkę z krótkimi rękawami i granatowe spodnie do kolan z jakiejś nowoczesnej tkaniny. Różniła się nieco od wiernych, którzy nosili przeważnie surową odzież z wełny, bawełny czy skóry - z ulubionych materiałów obywateli Makkathranu. Jej ubranie nie było jednak aż tak współczesne, by rzucało się w oczy. Nie wyróżniała się również wyglądem - miała dość płaską twarz z milutkim noskiem jak guziczek. Czasami opuszczała na oczy wąskie miedziane okulary przeciwsłoneczne, ale na ogół przesuwała je do góry na krótkie ciemne włosy. Była w nieokreślonym wieku, jak wszyscy w Wielkiej Wspólnocie biologicznie ustabilizowała się na dwadzieścia kilka lat. Aaron był pewien, że przekroczyła parę setek. Ale nie miał na to

żadnego konkretnego dowodu.

Przez czterdzieści minut bawili się w orbitujące wokół siebie satelity, wreszcie podszedł do niej z miłym uśmiechem. Jego klastry makro-komórkowe nie wykryły żadnego brzęczenia docierającego z jej strony, żadnych linków do unisfery, żadnej aktywności czujnych sensorów. Pod względem elektroniki tkwiła w epoce kamiennej, jak to miasto.

- Cześć! - powiedział.

Koniuszkiem palca uniosła okulary i uśmiechnęła się do niego żartobliwie.

- Cześć! Co cię tu sprowadza?

- Historyczne wydarzenie.

- Zdecydowanie.

- Czy ja cię znam?

Przekonał się, że instynkt go nie mylił. Różniła się od spacerujących wokół łagodnych wyznawców. Miała zupełnie inny język ciała. Potrafiła się ściśle kontrolować, zmyliłaby każdego, kto nie przeszedł szkolenia takiego jak on - *szkolenia?* - ale wyczuwał, że w jej wnętrzu coś się czai.

- A powinieneś mnie znać?

Zawahał się. W twarzy dostrzegał coś znajomego, coś co powinien rozpoznać. Nie wiedział, co to takiego z tego prostego powodu, że brakowało mu wspomnień, które dałyby się wyciągnąć i zanalizować. Jak się nad tym zastanović, to prawdopodobnie nie miał żadnego życia przed dzisiejszym dniem. Wiedział, że wszystko jest nie tak, ale nie przejmował się tym.

- Nie przypominam sobie.

- To ciekawe. Jak się nazywasz?

- Aaron.

Zaskoczył go jej śmiech.

- Co takiego? - spytał.

- Numer jeden, tak? Urocze.

Aaron przesłał jej wymuszony uśmiech.

- Nie rozumiem.

- Jeśli miałbyś wymienić po kolei ziemskie zwierzęta, od czego

byś zaczął?

- Teraz zupełnie nie wiem, o co ci chodzi.

- Zacząłbyś od aardvaka. Podwójne „a” na czele listy.

- O, tak, rozumiem - wymamrotał.

- Aaron. - Zaśmiała się krótko. - Ktoś wykazał się poczuciem humoru, wysyłając cię tutaj.

- Nikt mnie nie wysyłał.

- Naprawdę? - Wygięła gęste brwi. - Więc po prostu pojawiłeś się na tej historycznej imprezie?

- Tak. Mniej więcej.

Opuściła miedzianą opaskę na oczy i kpiąco pokręciła głową.

- Jest nas tu kilkoro. Nie sądzę, by był to przypadek, a ty?

- Nas?

Zatoczyła ręką łuk.

- Nie zaliczasz się chyba do tego stada owiec? Wierny? Ktoś, kto uważa, że znajdzie życie pod koniec tych snów, którymi Inigo tak szczerze obdarował Wspólnotę?

- Nie, raczej nie.

- Mnóstwo ludzi obserwuje, co tu się dzieje. To przecież ważne, nie tylko dla Wielkiej Wspólnoty. Niektórzy uważają, że pielgrzymka do Pustki może zainicjować fazę pożerania, co spowoduje koniec istnienia galaktyki. Chciałbyś, Aaronie, żeby do tego doszło?

Patrzyła na niego bardzo uważnie.

- Byłoby źle - odparł z ociąganiem. - Oczywiście. - W istocie nie miał zdania na ten temat. Nie zastanawiał się nad tym.

- Dla jednych - oczywiście, dla innych - szansa.

- Skoro tak twierdzisz.

- Tak twierdzę. - Oblizła wargi z łobuzerskim rozbawieniem. - I jak, spróbujesz zdobyć mój kod w unisferze? Zaprosisz mnie na drinka?

- Nie dzisiaj.

Przesadnie wyduła usta.

- A może w takim razie seks bez zobowiązań? Jaki ci się zamarzy.

- To bym też zostawił na przyszłość, dzięki. - Zaśmiał się.

- Jak chcesz. - Lekko wzruszyła ramionami. - Do widzenia, Aaron.

- Poczekaj - powstrzymał ją, gdy się odwróciła. - Jak się nazywałeś?

- Lepiej, żebyś mnie nie znał - odparła. - Oznaczam złe wiadomości.

- Do widzenia, Złe Wiadomości.

Spojrzała na niego ze szczerym uśmiechem. Pomachała mu palcem.

- To najlepiej pamiętam - powiedziała i odeszła.

Uśmiechał się, patrząc za jej oddalającą się sylwetką. Dość szybko zniknęła w tłumie. Po minucie nawet on nie potrafił jej namierzyć. Teraz uświadomił sobie, że zauważył ją, bo tego chciała.

Powiedziała: jest nas tu kilkoro. To nie brzmiało zbyt sensownie. Ale sprowokowała mnóstwo pytań. Dlaczego tu jestem? - zastanawiał się. W umyśle nie znalazł konkretnej odpowiedzi, jedynie to, że powinien tu być, chciał zobaczyć, kogo wybiorą. Ale dlaczego nie mam żadnych wspomnień? Wiedział, że powinno go to niepokoić. Wspomnienia to zasadnicze jądro ludzkiej tożsamości, ale u niego brakowało nawet tej emocji. Dziwne. Ludzie to skomplikowane emocjonalnie jednostki, a wydawało się, że on jest tego pozbawiony. Mógł z tym żyć. Gdzieś w głębi słyszał głos, który mu mówił, że w końcu zdoła rozwiązać tajemnicę swojej osoby. Nie ma pośpiechu.

Komunikatu nie wydano i późnym popołudniem tłum się przerzedził. Na twarzach ludzi wracających do domów Aaron widział rozczarowanie; słyszał szepty emocji w lokalnej gajaserze. Otworzył swój umysł na otaczające go myśli, pozwalał im się wlać przez wrota, jakie gajainterfejsy zainstalowały mu w mózdzku. Jakby spacerował w delikatnym obłoku widm, które zasiedliły plac błyskami nierzeczywistych barw, obrazami dawno minionych czasów, a jednak pamiętanych z czułością, odgłosami stłumionymi, jakby dochodzącymi zza mgły. Aaron mgliście pamiętał moment, kiedy połączył się ze społecznością gajaserfy; pamiętał to równie mgliście jak wszystko, co się wydarzyło przed

dniem dzisiejszym; takie połączenie jakoś mu nie pasowało, wydawało się bardzo dziwaczne. Gajasfera była dobra dla nastolatków, którzy uznawali współdzielenie snów i emocji za coś głębokiego, albo dla fanatyków jak ci z Żywego Snu. Jednak dość biegle opanował dobrowolną wymianę myśli i wspomnień i potrafił sobie zbudować spójne wrażenie, gdy wystawiał się tutaj na placu na surowe umysły. Skoro można to było zrobić w innych miejscach, oczywiście można też było i w Makkathranie², z którego Żywy Sen uczynił stolicę gajasfery Wielkiej Wspólnoty - ze wszystkimi wynikającymi z tego sprzecznościami. Wierni uważali, że Gajasfera to niemal to samo co autentyczna telepatia, którą posługiwali się mieszkańcy prawdziwego Makkathranu.

Teraz Aaron bezpośrednio poczuł ich smutek, smutek z paroma silniejszymi podtekstami wściekłości na Radę Kleryków. W społeczeństwie, które współdzieliło myśli i uczucia, wybory naprawdę nie powinny być tak trudne. Dostrzegł również wypełzające przez gajasferę podprogowe pragnienie Pielgrzymki. Jedynej prawdziwej nadziei całego ruchu.

Choć wokół siebie czuł porywy rozczarowania, został w tłumie. Nie miał nic innego do roboty. Słońce zapadało już za horyzont, gdy na szerokim balkonie od frontu Sadowego Pałacu dostrzeżono jakiś ruch. Ludzie wskazywali sobie pałac. Teraz się uśmiechali. Wielu ruszyło powoli w stronę Kanału Zewnętrznyego Kręgu. Rozszerzyły się ochronne pola siłowe wzdłuż brzegów, by przy balustradzie zabezpieczyć osoby, na które napierał tłum. Wysoko w powietrze poszybowały kamery agencji informacyjnych jak migoczące czarne balony. Emocje rosły. W ciągu paru sekund atmosferę na placu rozpałiło niecierpliwe wyczekiwanie. Gajasfera trzeszczała podnieceniem, tak że Aaron musiał się nieco wycofać, bo zalewał go burzliwy potok barw i eterycznych krzyków.

Na balkon uroczyście wkroczyła Rada Kleryków - piętnaście osób w długich szkarłatno-czarnych strojach. W środku między nimi stała samotna postać w olśniewająco białej szacie lamowanej złotem; twarz zakrywał nasunięty na nią kaptur. Światło zachodzącego słońca jaśniało na miękkiej tkaninie,

wokół postaci utworzył się nimb. Tłum zaczął entuzjastycznie wiwatować. Latające kamery przysuwały się do balkonu, ale pola siłowe pałacu zmarszczyły się ostrzegawczo, nie dopuszczając ich zbyt blisko. Klerycy z Rady jak jeden mąż sięgnęli umysłami do gajafery. Za pośrednictwem unisfery komunikat o wspaniałej nowinie natychmiast docierał do każdego miejsca w Wielkiej Wspólnocie, do wyznawców i niewiernych.

Biało odziana postać powoli ściągnęła kaptur. Ethan uśmiechnął się błogo do całego miasta, do wielbiących go tłumów. Jego wąska uroczysta twarz emanowała łagodnością - sugerował, że doskonale wyczuwa wszelkie obawy ludzi. Współczuł i rozumiał. Miał ciemne worki pod oczami - świadczyły o tym, że przyjęcie tego niezwykle wysokiego stanowiska i wzięcie na swe barki oczekiwań wszystkich Śniących jest dla niego wielkim ciężarem. Gdy wystawił twarz na intensywne światło słońca, owacje się wzmogły. Teraz członkowie Rady Kleryków odwrócili się do nowego Konserwatora i z zadowoleniem bili mu brawo.

Bez świadomej interwencji Aarona pomocnicze procedury myślowe, działające wewnątrz klastrów makrokomórkowych, pobudziły u niego oczny zoom. Przeskanował twarze kleryków z Rady i każdemu obrazowi nadał kod całkowitoliczbowy, gdy procedury pomocnicze umieszczały portrety w makrokomórkowych spacjach pamięci; portrety były gotowe do natychmiastowego odtworzenia. Później zamierzał je przeanalizować, poszukać w nich emocji, mogących świadczyć o tym, jak klerycy się spierali, jak głosowali.

Nie wiedział wcześniej, że posiada funkcję zoomu. To rozbudziło jego ciekawość. Zażądał, by dodatkowe procedury myślowe uruchomiły sprawdzanie systemu przez klastry makrokomórkowe modyfikujące jego układ nerwowy. Egzooobrazy i ikony mentalne rozwinęły się ze statusu neutralnego w tryb gotowości w widzeniu peryferyjnym, opalizujące linie wskazywały zasięg jego naturalnego widzenia. Wszystkie egzooobrazy były symbolami domyślnymi generowanymi przez u-adiunkta - stanowiącego osobisty

interfejs z unisferą - który miał błyskawicznie łączyć Aarona z masowymi bazami danych, z usługami komunikacji, rozrywki i komercji. Wszystko to standard.

Przeglądał ikony mentalne i przekonał się, że reprezentują znacznie więcej niż tylko standardowe fizjologiczne modyfikacje wzbogacające, jakimi dzięki DNA Awangardów mogło dysponować ludzkie ciało. Jeśli prawidłowo interpretował komunikaty ikon, był wyposażony w nadzwyczaj zabójcze bronie bionicznych funkcji polowych.

Wiem o sobie jeszcze coś, pomyślał, jest we mnie dziedzictwo Awangardów. To żadna rewelacja: osiemdziesiąt procent obywateli Wielkiej Wspólnoty miało podobne modyfikacje wbudowane w swoje DNA; zawdzięczali to starym fanatycznym wizjonerom z Far Away. Ale ktoś, kto równocześnie posiadał bionikę, należał do nieco węższej kategorii. Aaron mógł więc trochę lepiej określić swoje pochodzenie.

Ethan wzniosł dłonie, prosząc o ciszę. Wierni na placu zamilkli, wstrzymując oddech, ucichła nawet paplanina ekip z mediów. Wrażenie spokoju sprzęgło się z żelazną stanowczością wysłaną do gajASFery przez nowego Konserwatora. Ethan był człowiekiem bardzo świadomym swej misji.

- Dziękuję kolegom z Rady za zaszczytne wyróżnienie - rzekł Ethan. - Zaczynam urzędowanie i zrobię to, czego, jak sądzę, chciał Śniący. Wskazał nam drogę - nikt nie może temu zaprzeczyć. Pokazał nam, gdzie można przeżyć życie i zmienić je, aż osiągnie się doskonałość, jaką każdy z nas indywidualnie pojmuje. Wierzę, że pokazał nam to z jakiegoś powodu. Zbudował to miasto. Zainicjował ten ruch. Miał jeden cel. Żyć snem. I właśnie do tego będziemy teraz dążyć.

Tłum odpowiedział owacją.

- Drugi Sen się zaczął! Poznaliśmy go w naszych sercach. Poznaliście go. Ja go poznałem. Znowu pokazano nam wnętrze Pustki. Unosiliśmy się z Władcą Niebios.

Aaron znów przeskanował Radę. Nie musiał odkładać analizy ich twarzy na później. Już teraz widział, że pięciu z nich ma niewyraźne miny. Owacje osiągnęły apogeum, tak jak samo

przemówienie.

- Władca Niebios nas oczekuje. Poprowadzi nas ku naszemu przeznaczeniu. Odbędziemy Pielgrzymkę!

Owacje przeszły w ryk pochlebstwa. Wewnątrz gajASFery jakby wystrzeliły fajerwerki zasilane narkotykami przyjemności. W sztucznym neuronalnym świecie wzbierał niesamowity w swej jasności wybuch euforii.

Ethan wznosił ramiona zwycięskim gestem i machał do tłumu, wreszcie uśmiechnął się po raz ostatni i wszedł do Sadowego Pałacu.

Aaron czekał, aż wierni się rozejdą. Wielu krzyczało na odchodne z radości i Aaron kręcił głową, przerażony ich niefrasobliwością. Szczęście było tu powszechne, obowiązkowe. Słońce wpełzło za horyzont, w oknach domów pojawiła się ciepła mandarynkowa poświata - dokładnie jak w prawdziwym Makkathranie. Po kanałach snuły się pieśni - to gondolierzy hołdowali tradycji. W końcu nawet dziennikarze odeszli, dyskutując między sobą, a ci, którzy mieli wątpliwości, mówili ściszonymi głosami. W unisferze na setkach światów komentatorzy dzienników informacyjnych przepowiadali sądny dzień.

Aaron niczym się nie przejmował. Nadal stał na placu, gdy miejskie roboty wychynęły pod rozgwieżdżone niebo, by uprzątnąć śmieci. Teraz wreszcie wiedział, co ma dalej robić; uzyskał pewność, gdy tylko usłyszał przemówienie Ethana. Ma znaleźć Iniga. Dlatego się tu znalazł.

Uśmiechnął się zadowolony i rozejrzał po placu. Nigdzie nie dostrzegł kobiety.

- A teraz kto przynosi złe wiadomości? - spytał i ruszył w świętujące miasto.

Ethan spoglądał z balkonu Sadowego Pałacu. Ostatnie promienie słońca okrywały tłum przezroczystą, złotawą poświatą. Krzyki niemal religijnego oddania odbijały się od grubych murów i Ethan czuł drżenie kamiennej balustrady.

Wprawdzie podczas długiej i trudnej drogi naprzód nie trapiły go wątpliwości, ale teraz reakcja wiernych bardzo podniosła go na duchu. Wiedział, że ma rację. Forsując własną wizję, wydobył ten cały ruch z gnuśnego samozadowolenia. Przesłanie ewolucji brzmiało: idź naprzód lub zgiń. Dlatego właśnie istniała Pustka.

Ethan zamknął umysł na gajasferę i szedł z balkonu, gdy słońce w końcu zanurzyło się za horyzont. Pozostali członkowie Rady z szacunkiem poszli za Ethanem, próbując go dogonić, a ich szkarłatne peleryny powiewały wzburzone.

Jego osobisty sekretarz, Główny Kleryk Phelim, czekał na szczycie szerokich hebanowych schodów, opadających łukiem na parter ku ogromnej Sali Malfit. Miał na sobie szaro-granatowe szaty, co wskazywało na rangę tuż poniżej pełnego Radnego. Ethan zamierzał go awansować za parę dni. Kleryk opuścił kaptur na plecy. Teraz miękkie pomarańczowe światło połyskiwało na czarnej skórze wygolonej na łyso głowy. Jego czaszka robiła wrażenie, była czymś niezwykłym wśród członków Żywego Snu, którzy hołdowali dominującej w Makkathranie modzie na długie włosy. Gdy stanął obok Ethana, widać było, że góruje nad nim prawie o głowę. Jego wzrost oraz irytująco obojętny wyraz twarzy potrafiły wywołać niepokój u wielu osób: Phelim mógł rozmawiać z każdym, mając jednocześnie umysł otwarty na gajasferę, a przy tym jego emocje były całkowicie poza zasięgiem. Uprzejmi i bierni członkowie Żywego Snu nie byli do tego przyzwyczajeni. Z powodu tych manier hierarchowie Rady uważali go za niewygodnego intruza. Ethan natomiast lubił, gdy jego lojalny zastępca wywołuje u ludzi konsternację.

Olbrzymi Malfit Hall wypełniali Klerycy, którzy zaczęli klaskać, gdy Ethan zszedł na dół. Idąc po czarnej podłodze, niespiesznie kłaniał się wszystkim, słał uśmiechy i od czasu do czasu skinieniem głowy zwracał się do osób, które rozpoznawał. Obrazy na sklepionym suficie imitowały niebo Querencji. W Malfit Hall stale panował świt z jasnym turkusowym sklepieniem, po którego krawędzi krążyła łagodnie skalista planeta Nikran w kolorze ochry, powiększona do takich

rozmiarów, że widoczne były pasma gór i mknące po niebie chmury. Pochód Ethana przeszedł do Liliała Hall, gdzie na suficie gościła permanentna burza, a płaszc szalejących świecących chmur otaczało halo jaskrawofioletowych błyskawic. Sporadyczne przerwy pozwalały spojrzeć na Marsowe Bliźniaki należące do formacji Bransolety Gicony - były to małe niewyraźne planety o głębokiej, gęstej i czerwonej atmosferze, która strzegła powierzchni przed obserwacją. Starsi Klerycy zebrali się pod rozbłyskującymi chmurami. Ethan zatrzymał się tu dłużej i przekazywał znajomym podziękowania. Pozwolił, by jego umysł promieniował do gajafery łagodną dumą.

Przy łukowatych drzwiach do apartamentu, gdzie urzędował burmistrz Makkathranu, Ethan odwrócił się do Radnych.

- Jeszcze raz dziękuję wam za okazane zaufanie. Niektórzy zaaprobowali mnie z niechęcią; obiecuję im, podwoję wysiłki, by w nadchodzących latach zyskać ich poparcie i zaufanie.

Może to lekceważące stwierdzenie wywołało irytację u pewnych osób, ale ukryły one swoje myśli i nie ujawniły ich w gajafery. Ethan i Phelim przeszli samotnie do prywatnych pomieszczeń z amfiladą wielkich pokojów. Ciężkie drewniane drzwi były tu czymś równie obcym jak w Makkathranie; gatunek, który zaprojektował i zbudował oryginalne miasto, nie miał psychicznych predyspozycji do zamykania się. Przez gajafery Ethan wyczuwał, jak jego personel instaluje się w pokojach recepcyjnych.

Ekipa poprzednika wyprowadzała się, jej słabe niezadowolenie sączyło się do gajafery. Przekazanie władzy przebiegało zwykle spokojnie i w dobrej atmosferze. Nie tym razem. Ethan chciał od razu, w ciągu paru godzin, całkowicie panować w Sadowym Pałacu. Przed rozpoczęciem konklawy przygotował ściśle grono lojalistów, którzy mieli przejąć główne stanowiska administracyjne Żywego Snu. A ponieważ Ellezelin był hierokracją, Ethan musiał również zatwierdzić nowy gabinet cywilnego rządu planety.

Jego poprzednik, Jalen, wyposażył gabinet burmistrza w bloki paowioolu, przypominające kawałki kamienia, który sam sobie

nadawał wymagany kształt na podstawie danych pobranych z gajASFery. Ethan usiadł w fotelu uformowanym za długim prostokątnym blatem biurka. Niezadowolenie przejawiało się w postaci małych szmaragdowych iskerek wybuchających wokół niego jak optyczna wysypka na powierzchniach paovioolu.

- Do jutra ma stąd zniknąć ten nowoczesny śmieć - polecił Ethan.

- Oczywiście - odparł Phelim. - Chcesz, żeby przywrócono meble Iniga?

- Nie. Chcę, by było tu tak jak u Chodzącego po Wodzie.

Phelim zaśmiał się szczerze.

- Rzeczywiście, Wodostapacz miał znacznie lepszy gust.

Ethan rozejrzał się po owalnym prywatnym gabinecie o zwykłych gładkich ścianach i wysokich oknach. Znał ten pokój, ale miał wrażenie, jakby go nigdy przedtem nie widział.

- Na Ozziego, udało się nam! - zawołał tonem zaskoczenia i długo wypuszczał powietrze z płuc. - Pocę się. Naprawdę się pocę. Dasz wiarę?

Podniósł dłoń do czoła i przekonał się, że drży. Przez wiele lat planował, pracował i poświęcał się dla tej chwili, a jednak rzeczywiste zwycięstwo całkowicie go zaskoczyło. Sto pięćdziesiąt lat temu zaaplikował sobie gajainterfejs, żeby doznawać gajASFery. I już pierwszej nocy komunii przeżył Pierwszy Sen Iniga. Minęło sto pięćdziesiąt lat i powściągliwy młodzieniec z zaściankowego Zewnętrznego Świata Oamaru zdobył jedno z najbardziej wpływowych stanowisk w Wielkiej Wspólnocie, jakie mógł osiągnąć prosty człowiek Naturalny.

- To ciebie wszyscy chcieli - stwierdził Phelim. Stanął nieco z boku biurka, ignorując wielkie sześciany z paovioolu, na których mógłby usiąść.

- Dokonaliśmy tego razem.

- Nie oszukujmy się. Mnie by nie brano pod uwagę nawet w wyborach do Rady.

- W zwykłych okolicznościach nie. - Ethan rozglądał się po gabinecie. Przyzwyczajął się do jego ogromnych rozmiarów. Zastanawiał się, jak by wyglądała Pustka, gdyby ją mógł oglądać

własnymi oczami. Kiedyś, kilkadziesiąt lat temu, spotkał Iniga. Nie to żeby doznał rozczarowania, ale Śniący był trochę inny, niż Ethan się spodziewał. Nie miał jednak pewności, jaki Śniący powinien być... może bardziej dynamiczny, pełen energii.

- Chcesz zaczynać? - spytał Phelim.

- Chyba tak będzie najlepiej. Cały gabinet Ellezelinu składa się z wiernych Żywego Snu, więc mniej więcej może pozostać taki jak dotychczas, z jednym wyjątkiem. Chcę, żebyś objął stanowisko sekretarza skarbu.

- Ja?

- Będziemy budować statek pielgrzymkowy. To kosztowne, potrzebne nam zasoby finansowe całej Strefy Wolnego Handlu. W finansach potrzebny mi ktoś, na kim mogę całkowicie polegać.

- Myślałem, że wejdę do Rady.

- Wejdiesz. Jutro cię awansuję.

- Dwa wysokie stanowiska. Ciekawe będzie układanie terminarza. A po kim mam objąć fotel w Radzie?

- Zamierzam poprosić Corrie-Lyn, żeby się zastanowiła nad swoim miejscem.

Phelima spojrzał na Ethana z lekką naganą.

- W Radzie nie jest chyba twoją największą zwolenniczką, ale uważam, że popiera Pielgrzymkę. Może wybrać któregoś z naszych mniej postępowych kolegów...?

- To musi być Corrie-Lyn - oznajmił Ethan stanowczo. - Przeciwnicy Pielgrzymki są w Radzie w mniejszości i spokojnie sobie z nimi poradzimy. Nikt nie będzie podważał mojego mandatu. Wierni by tego nie tolerowali.

- A więc Corrie-Lyn. Miejmy nadzieję, że Inigo nie wróci przed wystrzeleniem statku. Wiesz, że byli kochankami?

- Tylko dlatego została Radną. - Ethan zmrużył oczy. - Nadal szukamy Iniga?

- Nasi przyjaciele to robią - odparł Phelim. - My nie mamy odpowiednich środków. Na razie nie wpadli na żaden jego ślad. Realistycznie patrząc, jeśli on się nie zjawi przez pierwszy miesiąc twojego panowania jako Konserwatora, to uważam, że jesteśmy bezpieczni.

- To niedobre sformułowanie. Jakbyśmy zrobili coś złego.
- Ale nie wiemy, dlaczego Inigo był niechętny Pielgrzymce.
- Inigo to tylko człowiek, ma wady jak każdy z nas. Nazwijmy to miłościernie: w ostatniej chwili zawiodła go odwaga. Osobiście wierzę, że będzie obserwował wydarzenia z jakiegoś miejsca i nam kibicował.
- Miejmy nadzieję. - Phelim zamilkł; przeglądał informacje wpływające do jego egzoobrazów, jego u-adiunkt zestawiał lokalne dane z obszerną relacją z wyborów. - Marius tu jest, prosi o posłuchanie.
- Dość szybko.
- Tak. Dziś musisz dopełnić wielu formalności. Prezydent Wielkiej Wspólnoty zadzwoni do ciebie z gratulacjami. Również liderzy planet Strefy Wolnego Handlu i dziesiątki naszych sprzymierzeńców ze Świata Zewnętrznego.
- Jak tam zainteresowanie mediów z unisfery?
- To dopiero początek. - Phelim sprawdził podsumowania dostarczone przez swojego u-adiunkta. - W zasadzie pokrywa się z tym, czego oczekiwaliśmy. Jacyś histeryczni, zapalczywi przeciwnicy Pielgrzymki mówią, że zamierzasz nas wszystkich zabić. Poważniejsi dziennikarze próbują zachować obiektywizm i wyjaśnić wszystkie trudności. Większość traktuje Pielgrzymkę jak polityczną obietnicę wyborczą.
- Nie ma żadnych trudności w realizacji Pielgrzymki - stwierdził Ethan z irytacją. - Widziałem sen Władcy Niebios. To szlachetna istota, zaprowadzi nas do wnętrza Pustki. Musimy tylko zlokalizować Drugiego Śniącego. Czy dziś ta sprawa się posunęła?
- Nie, tysiące twierdzą, że śnił im się Władca Niebios. To nam nie pomaga w poszukiwaniach.
- Musisz go znaleźć.
- Ethanie, nasi najlepsi Mistrzowie Snu potrzebowali całych miesięcy, żeby zespolić istniejące fragmenty w jeden mały sen. W tym wypadku uważamy, że nie ma ścisłego łącznika, takiego jak miał Inigo z Pustką. Te fragmenty mogły wejść w gajaserę na wiele różnych sposobów. Przez nieświadomych nosicieli.

Bezpośrednio z Pustki. Może to pole galaktyczne Ozziego? Poza tym może to być przeciek z Ostrowu Matki Silfenów czy działalność innych postfizycznych istot rozumnych, które zabawiają się naszym kosztem. Może to nawet sam Inigo.

- Nie, to nie Inigo. Jestem o tym przekonany. Znam atmosferę jego snów. Wszyscy ją znamy. To zupełnie co innego. Pamiętaj, że to ja zwróciłem uwagę na tych kilka fragmentów. Zrozumiałem, że są ważne. Istnieje Drugi Śniący.

- Teraz jesteś Konserwatorem i możesz zarządzić bardziej szczegółowe monitorowanie gniazd konfluencyjnych gajASFery i w ten sposób wyśledzić źródło.

- Czy to możliwe? Sądziłem, że gajASFera znajduje się poza naszym bezpośrednim wpływem.

- Mistrzowie Snu twierdzą, że mogą to zrobić. W gniazdach można przeprowadzić pewne modyfikacje. To nie będzie tanie.

Ethan westchnął. Konklawe wyczerpało go umysłowo, a to dopiero początek.

- Tyle spraw. Wszystko naraz.

- Pomogę ci. Wiesz o tym.

- Wiem. I dziękuję ci, przyjacielu. Pewnego dnia staniemy na rzeczywistym Makkathranie. Pewnego dnia nasze życie stanie się doskonałe.

- Wkrótce.

- Na Ozziego! Mam nadzieję. Proszę, wezwij teraz Mariusa. - Ethan wstał, by uprzejmie powitać gościa.

To znamienne, że jako pierwszy wizytę składał mu akurat reprezentant frakcji ZAN. Nie był zachwycony ze wsparcia, jakie on i Phelim uzyskali od Mariusa podczas kampanii wyborczej. W idealnym świecie potrzebowaliby zewnętrznej pomocy, ale z pewnością nie ze strony osoby, która miała tak wiele niepokojących powiązań. Marius nie sugerował im, że mają się odwdzińczyć. Co to to nie. Żadna z frakcji wewnątrz prawiepostfizycznej inteligencji ziemskiego systemu Zawansowanej Aktywności Neuronalnej nie wyszłaby z tak obcesową propozycją.

Wprowadzono reprezentanta. Uśmiechnął się uprzejmie. Był

przeciętnego wzrostu, miał okrągłą twarz i wyraziste zielone oczy o szerokich tęczówkach; nos i usta - wąskie, a uszy - duże, ale tak spłaszczone i przylegające z tyłu, jakby były wypukłościami czaszki. Gęste kasztanowe włosy miały złote plamki - niewątpliwie wynik próżności jakiegoś przodka Awangarda. Nic nie wskazywało na to, że ma funkcje Elewatów. Ethan wykorzystał swoje wewnętrzne modyfikacje wzbogacające, by przeprowadzić pasywne skanowanie. I jeśli jakieś funkcje polowe gościa były aktywne, to były zbyt wyrafinowane, by dało się je zauważyć. Ethana by to nie zdziwiło, gdyby Marius został wzbogacony najbardziej zaawansowaną biononiką. Długi czarny togatur reprezentanta generował powierzchowną mgiełkę, która unosiła się wokół niego cienką warstewką; gdy szedł, pełży za nim jej drobniutkie macki.

- Wasza Eminencjo. - Marius skłonił się formalnie. - Moje najszczerze gratulacje z okazji wyboru.

Ethan uśmiechnął się. To wszystko, co mógł zrobić, by nie drzeć. Wyostrzonymi, prymitywnymi instynktami wyczuwał, jak niebezpieczny jest reprezentant.

- Dziękuję.

- Przyszedłem, by cię zapewnić, że my nadal będziemy wspierać twoje cele.

- A więc według was Pielgrzymka nie spowoduje zagłady galaktyki? Rozpaczliwie chciałby zapytać, co znaczy „my”, choć to w zasadzie bezużyteczne pytanie, gdyż wewnątrz ZAN było mnóstwo frakcji, które ciągle zmieniały sojusze. Wystarczyła zgoda tej frakcji, którą reprezentował Marius, by Pielgrzymka ruszyła. Ethana już nie obchodziło ani to, że ich motywacje były prawdopodobnie przeciwieństwem jego motywacji, ani to, że uważali go za proste narzędzie polityczne. I tak nigdy się o tym nie dowie. Liczyła się tylko Pielgrzymka, dostarczenie wiernych do obiecanego wszechświata. To rozstrzygało. Nieważne, że będzie wspomagał czyjeś polityczne cele, jeśli to nie torpeduje jego własnego celu.

- Oczywiście że nie. - Marius uśmiechnął znacząco, jakby sobie

właśnie opowiedzieli jakiś prymitywny dowcip o tym, jak głupia jest reszta ludzkości w porównaniu z nimi dwoma. - W przeciwnym razie ci, co są w Pustce, już by to zainicjowali.

- Ludzi trzeba edukować. Byłbym wdzięczny za waszą pomoc w tym zakresie.

- Oczywiście zrobimy, co w naszej mocy. Należy jednak pamiętać, że obaj działamy przeciw dość dużej inercji umysłowej, nie wspominając o przesądach.

- Jestem tego jak najbardziej świadom. Pielgrzymka spolaryzuje opinie w Wielkiej Wspólnocie.

- Nie tylko wśród ludzi. Pewne gatunki wykazują zainteresowanie tym projektem.

- Imperium Ocisen - parsknął Ethan z największą pogardą.

- Nie należy ich całkiem lekceważyć - odparł Marius z lekką przyganą.

- Mnie osobiście niepokoją tylko Raielowie. Publicznie ogłosili, że sprzeciwią się każdemu, kto spróbuje wejść do Pustki.

- I tu oczywiście bardzo się przyda nasza pomoc. Ciągłe aktualna jest nasza oryginalna oferta: dostarczymy ultranapęd do waszych statków pielgrzymkowych.

Ethan jako badacz historii starożytnej przypuszczał, że to samo co on w tej chwili, musiał czuć Adam - zamierzchna ikona religijna - gdy zaproponowano mu jabłko.

- A w zamian?

- Skończy się status quo panujące obecnie w Wielkiej Wspólnocie.

- A jaką wam to przyniesie korzyść?

- Przetrawanie gatunków. Ewolucja wymaga rozwoju albo wymarcia.

- Sądziłem, że zmierzacie do transcendencji - powiedział Phelim obojętnie.

Mariusz nawet nie spojrzał w jego stronę. Cały czas patrzył na Ethana.

- A to nie jest ewolucja?

- To bardzo drastyczna ewolucja - stwierdził Ethan.

- Podobne jak wasze nadzieje związane z Pielgrzymką.

- Więc czemu do nas nie dołączysz?

Marius uśmiechnął się smętnie.

- Ty dołącz do nas, Konserwatorze.

Ethan westchnął.

- Śniliśmy o tym, co nas czeka.

- Ach, więc to się sprowadza do starych ludzkich problemów. Ryzykować z nieznanym albo pozostać przy tym, co wygodne.

- Chyba chodzi ci o powiedzenie: lepszy diabeł znany.

- Coś w tym stylu. Wasza Eminencjo, podtrzymujemy ofertę ultra-napędów.

- Których nikt w rzeczywistości nie widział. Wy tylko robicie aluzje na ten temat.

- ZAN zazdrośnie strzeże swoich zaawansowanych technik. Ale zapewniam cię, że to istnieje. Ultranapęd dorównuje napędom używanym przez Raielów, a może nawet je przewyższa.

Ethan próbował powstrzymać uśmiech, słysząc te przechwałki.

- Och, zapewniam cię, Konserwatorze, że ZAN nie chełpi się tym bez podstaw - powiedział Marius.

- Jestem tego pewien. Więc kiedy możecie je dostarczyć?

- Gdy będą gotowe wasze statki pielgrzymkowe, silniki się tu pojawią.

- A pozostałe frakcje w ZAN, te, które nie zgadzają się z tobą, będą tak po prostu spokojnie się przyglądać, jak przekazujesz supertechnikę?

- W zasadzie tak. Nie przejmuj się naszymi wewnętrznymi debatami.

- Dobrze, akceptuję twoją hojną ofertę. Proszę, nie czujcie urazy, ale my będziemy budować własne bardziej prozaiczne jednostki napędowe dla naszych statków. Na wszelki wypadek.

- Nie spodziewamy się niczego innego. - Marius skłonił się i wyszedł z gabinetu.

Phelim gwizdnął cicho z ulgą.

- A więc to tak, jesteśmy czynnikiem prowokującym ich wewnętrzne wojny polityczne.

- Jeśli dzięki temu uzyskamy to, czego chcemy, to mogę się z tym pogodzić - odparł Ethan obojętnie.

- To mądre, że nie zdajemy się wyłącznie na nich. W konstrukcjach musimy uwzględnić własne napędy.

- Tak. Projektanci od samego początku pracowali przy tych założeniach. - Jego podrzędne procedury zaczęły wydobywać pliki ze spacji pamięci klastrów makrokomórkowych. - Tymczasem zacznijmy od jakichś prostych spotkań, dobrze?

Ze Złotego Parku Aaron przeszedł czerwonym marmurowym mostem nad Kanałem Siostrzeństwa. Znalazł się w dzielnicy Niskiej Fosy - będącej pasem ziemi, zwykłym wybiegiem, na którym nie było żadnych miejskich budynków, tylko palisady dla zwierząt komercyjnych oraz parę archaicznych targowisk. Szedł wijącymi się ścieżkami oświetlonymi małymi oliwnymi lampionami na słupach, aż dotarł do dzielnicy Ogden. Tu też był teren trawiasty, ale stały tam również drewniane stajnie, gdzie arystokracja trzymała konie i powozy. Właśnie tam w murach wycięto główną bramę do miasta.

Brama była szeroko otwarta. Aaron wmieszany w grupki maruderów przeszedł na tereny miejskie poza murami. Makkathran² był otoczony trzykilometrowym pasem terenów parkowych, oddzielającym miasto od nowoczesnej metropolii, która wyrosła wokół niego w ciągu ostatnich dwustu lat. Wielki Makkathran² miał teraz ponad tysiąc kilometrów kwadratowych i w aglomeracji mieszkało szesnaście milionów ludzi, z których dziewięćdziesiąt dziewięć procent to szczerzy wyznawcy Żywego Snu. Teraz stał się stolicą Ellezelinu, przeniesioną tu z dawnej stolicy Riasi, gdy w wyniku wyborów w roku 3379 Żywy Sen znów uzyskał większość w planetarnym senacie.

Przez park nie można się było przedostać żadnym środkiem transportu. Żadnych taksówek naziemnych, pociągu pod ziemią czy ruchomych chodników. I oczywiście żadnych kapsuł. Nie wpuszczano ich w przestrzeń powietrzną Makkathranu². Sposób myślenia Iniga był dość prosty: wierni chętnie się przespacerują. Przecież na Querencii wszyscy tak robili. Zależało mu na autentyczności w bastionie wyznawców. Tylko jazda wierzchem

po parku była dozwolona - przecież na Querencii istniały konie. Aaron uśmiechnął się na tę myśl, wychodząc za bramę. I wtedy pojawiło się wspomnienie ulotne jak zamierający hologram. Aaron, przytulony do szyi olbrzymiego wierzchowca, pędzi po pofalowanym terenie rytmicznym, mocnym galopem. Koń jakby szybował. Aaron wiedział dokładnie, jak płynąć razem z nim; śmiał się z całych sił, na twarzy czuł podmuch powietrza, włosy miał rozwiane. Nad nimi rozciągało się zadziwiająco szafirowe niebo, jasne i ciepłe. Koń miał na łbie mały, solidny róg zakończony tradycyjnym czarnym metalowym szpikulcem.

Aaron chrząknął lekceważąco. To na pewno jakaś sensoryczna scenka interaktywna, w którą zanurzył się w unisferze. Nic rzeczowego.

Pośrodku parku wznosiło się wzgórze. Aaron wspiał się na jednostajną grań i nagle odniósł wrażenie, że przekracza szczelinę czasową. Za sobą miał staroświecką linię Makkathranu2, skąpanego w obcej pomarańczowej poświacie, a przed sobą modernistyczne wieżowce i przejrzysty układ dzielnic, nad którą unosiła się wielobarwna mgiełka aż po horyzont. Kapsuły regravowe przemykały swobodnie w uporządkowanych potokach, długie horyzontalne strumienie szybkiego ruchu kończyły się cykloidalnymi węzłami, które spajały miasto pulsującym kinetycznym tańcem. Na południowo-wschodnim niebie Aaron widział jaśniejsze światła statków kosmicznych, wchodzących w atmosferę i wychodzących z niej tuż nad kosmoportem. Niekończąca się procesja dużych statków towarowych, dzięki którym miasto utrzymywało więzi handlowe z planetami poza zasięgiem oficjalnych wormholi Strefy Wolnego Rynku.

Gdy dotarł do zewnętrznej granicy parku, polecił swojemu u-adiunktowi, by wezwał taksówkę. Lśniąca zielonkawa kapsuła regravowa opuściła się cicho z ulicznego roju i uchyliła drzwi. Aaron usiadł na przedniej ławce, skąd miał dobry widok przez półprzezroczysty kadłub.

- Hotel Buckingham.

Zmarszczył czoło, gdy kapsuła włączyła się w szeroki strumień

otaczający ciemne połacie parku. Czy to polecenie wydał on czy jego u-adiunkt?

Na pierwszym skrzyżowaniu wykonali szybki skręt i pomknęli głębiej w miejską sieć. Sto metrów w dół po obsadzonych drzewami bulwarach jechało kilka samochodów. Między nimi poruszali się ludzie na koniach. Często widywało się rowerzystów. Aaron skonsternowany pokręcił głową.

Hotel Buckingham, zbudowany na planie pięciokąta, miał trzydzieści pięter, balkony wystające jak żebra, a z każdego rogu budynku strzelały w górę ostre pinakle. Fasada pobłyskiwała perłową bielą, czerniały tylko wnętrza stu okien. Dach był małym pasem bujnej dżungli. Między listowiem migotały drobne lampki. Goście jedli kolację i tańczyli na świeżym powietrzu.

Taksówka Aarona opadła na lądowisko w centrum. Miał w kieszeni żeton kredytowy, uaktywniony przez jego DNA, i zapłacił nim za kurs. Aaron miał załadowany kod kredytowy w makrokomórkowej spacji pamięci; mógłby z niego skorzystać, ale przy płatności żetonem trudniej było zidentyfikować płacącego. W ogóle było to możliwe, ale zwykły obywatel by tego nie potrafił. Gdy taksówka odleciała, Aaron spojrzał w górę na monochromatyczne mury, otaczające go ze wszystkich stron, i poczuł się jak na widelcu.

- Czy mam tu rezerwację? - spytał swego u-adiunkta. - Tak. Pokój 3088. Penthouse.

- Rozumiem. - Odwrócił się i od razu spojrzał na taras penthouse'a. Automatycznie znał jego położenie.

- Czy mogę sobie na to pozwolić?

- Tak. Penthouse kosztuje 1500 funtów ellezelińskich za dobę. Twój żeton kredytowy ma limit pięciu milionów funtów na miesiąc.

- Na miesiąc? - Tak.

- Zapłacone przez kogo?

- Żeton zasilany jest z rachunku w Centralnym Banku Augusta. Szczegóły dotyczące rachunku są tajne.

- A mój osobisty kod kredytowy?

- Tak samo.

Aaron wszedł do holu.

- Miło być bogatym - powiedział sobie.

Penthouse miał pięć pokoi i mały prywatny basen. Aaron wszedł do głównego salonu i przejrzał się w lustrze. Zobaczył twarz starszą od normy, prawie trzydziestoletnią; włosy krótkie, czarne, a oczy - co dziwne - z fioletową smugą na szarych tęczęwkach. Rysy były nieco orientalne, ale ogorzała skóra nosiła ślady ciemnego zarostu.

Tak, to ja.

Instynktowna reakcja uspokajała, ale jednak nie dawała żadnych wskazówek co do jego tożsamości.

Usiadł w obszernym fotelu przed zewnętrznym oknem, zwiększył przezroczystość szyby i spojrzał ponad nocnym miastem ku jego niewidocznemu sercu zbudowanemu przez Iniga. Imitacje obcych konstrukcji zawierały wiele informacji, które mogły pomóc wytropić ściganą zwierzynę. Nie był to rodzaj danych, jakie się gromadzi w plikach elektronicznych; gdyby to było aż tak proste, Inigo zostałby już odnaleziony. Nie, informacja, jakiej Aaron potrzebował, miała charakter osobisty, dlatego ktoś taki jak on - niewierny - miał wyjątkowe problemy z dostępem.

Zamówił posiłek do pokoju. Był to hotel z pretensjami: zatrudniał kucharzy-ludzi. Gdy dostarczono jedzenie, Aaron mógł się przekonać, jak jest wyrafinowane i jak różni się od potraw z modułu kulinarnego. Siedział w wielkim fotelu, wpatrywał się w miasto i jadł. Zdał sobie sprawę, że dotarcie do starszych Kleryków i Radnych nie będzie łatwe. Ale przecież ta Pielgrzymka dawała mu niemal jedyną okazję. Jeśli zechcą polecieć do Pustki, będą potrzebować statków. To umożliwiłoby Aaronowi dość łatwą przykrywkę. Pozostawał tylko problem, o czyje względy zabiegać.

U-adiunkt przekazał mu długą listę starszych Kleryków wraz z plotkami, kto jest związany z Ethanem, a kto po wyborach będzie czyścił toalety przez następne dziesięciolecia.

Analiza zajęła mu pół wieczora, ale znalazł to nazwisko. Pojawiło się nawet w miejskiej sieci informacyjnej, gdy Ethan zaczął reorganizować struktury Żywego Snu na potrzeby swojej polityki. Nie była to kandydatura oczywista, ale miała potencjał. Corrie-Lyn.

Gdy skrzynia kurierska dotarła do apartamentu Trobluma, właśnie wychodził, bo za godzinę miał wygłosić referat przed komisją Floty. Owinął się płaszczem i szedł korytarzem do szklanej windy, a szmaragdowa tkanina dopasowywała się do jego potężnej figury. Winda gładko zjeżdżała, starożytne mechanizmy terkotały i szczękały. Oczywiście nie były całkowicie oryginalne. Cały budynek pochodził sprzed tysiąca trzystu pięćdziesięciu lat; w tym okresie wielokrotnie go odnawiano i modernizowano. Pięćset lat temu zainstalowano generator pola stabilizującego, które podtrzymywało wiązania cząsteczkowe w pradawnych ceglach, dźwigarach i warstwach kompozytowych tworzących konstrukcję. W zasadzie tak długo jak generator miał zasilanie, entropia była trzymana w ryzach.

Ponad sto lat temu Troblumowi udało się uzyskać funkcję kustosa po dość zacieklej dwudziestosiedmioletniej kampanii. Nikt już nie był właścicielem posiadłości na Arevalo, to był świat Elewatów, część Centralnej Wspólnoty - w czasach gdy wzniesiono ten dom, nazywano to przestrzenią fazy pierwszej. Skłonił poprzednich lokatorów do wyprowadzki, ale wydatkował na to swoją wieloletnią Alokację Energii i Masy i wymagało to zaangażowania jego skromnych talentów społecznych. Korzystał z pomocy doradców, prawników, ekspertów historycznej restytucji i musiał nawet wnieść apelację przeciw radzie miejskiej Daroki, która zarządzała generatorem stabilizującym. W czasie swojej kampanii zyskał nieoczekiwanego sprzymierzeńca, który prawdopodobnie przyczynił się do załatwienia sprawy. W rezultacie tych wszystkich zabiegów miał teraz niekwestionowane prawa do całego budynku. Nikt inny w nim nie mieszkał i tylko nielicznych tu zapraszano.

Winda zatrzymała się w holu wejściowym. Troblum minął pusty kontuar dozorczy i ruszył do wysokich witrażowych drzwi. Przed budynkiem półtora metra nad chodnikiem unosiła się skrzynia kurierska - pudło z matowego metalu miało z jednej strony różowo świecące certyfikaty transportowe; było ekranowane przed skanowaniem polowym. Jego u-adiunkt potwierdził zawartość i skierował skrzynię do holu; tu wylądowała na wózku Trobluma. Dno się otworzyło i wydało pakunek - gruby walec półmetrowej długości. Troblum przytrzymał otwarte drzwi, aż skrzynia odjechała. Potem je zamknął. Wokół holu wejściowego wznosił się ekran poufności. Troblum wszedł z powrotem do windy, a wózek posłusznie wjechał za nim.

Pierwotnie ten czteropiętrowy dom pełnił rolę fabryki i dlatego miał bardzo wysokie piętra. Potem - typowe zjawisko we wczesnych dniach Wspólnoty - miasto kwitło i rozszerzało się, wypychając przemysł ze starego centrum. Fabrykę zmieniono w luksusowy apartamentowiec. Całe czwarte piętro zajęły dwa penthousy. Jeden z nich nabyła dynastia Halgarthów do swego bogatego portfolio nieruchomości na Arevalo. Wszystkim pozostałym apartamentom nadano podczas remontu wystrój mniej więcej z roku 2380, ale Troblum skoncentrował swoją nadzwyczajną energię na penthousie Halgarthów, gdzie teraz mieszkał.

Chciał uzyskać jak najdoskonalszy efekt i z głębi miejskich archiwów wydobył plany architektoniczne i projekty wystroju wnętrza. Uzupełnił je równie antycznymi zapisami wizualnymi z programu informacyjnego Michelangelo z tamtej epoki. Jednak detale czerpał głównie ze skanów kryminalnych z Wydziału Poważnych Przestępstw; skany otrzymał bezpośrednio z ZAN. Połączył różne dane i pięć lat zajęło mu drobiazgowo odtworzenie ekstrawaganckiego wystroju z epoki. W rezultacie uzyskał trzy sypialnie z łazienkami i wielki otwarty salon oddzielony od części kuchennej bufetem o marmurowym blacie. Okno wychodziło na balkon, z którego rozciągał się wspianały widok na drugi brzeg rzeki Caspe.

Przysłana przez radę miejską urzędniczka do spraw wierności

historycznej dokonała ostatecznej inspekcji obiektu i zachwyciła się końcowym efektem, ale zupełnie nie zauważyła, dlaczego Troblum tak się w ten projekt zaangażował. Tego się spodziewał. Urzędniczkę interesował tylko sam budynek. A to co wydarzyło się wewnątrz podczas wojny Gwiezdnego Podróżnika - Gwiazdokrażcy - od tego on był specjalistą. Nigdy by nie użył określenia „obsesja”, ale tamten historyczny epizod stał się dla niego czymś więcej niż zwykłym hobby. Postanowił, że pewnego dnia opublikuje ostateczną historię wojny.

Otworzyły się przed nim drzwi penthouse'u. Solida trzech dziewcząt siedziały na niebieskiej skórzanej kanapie pod oknem. Catriona Saleeb miała na sobie czerwono-złotą szatę luźno przepasaną, aż widać było jedwabną bieliznę. Odrzuciła głowę w tył i na jej ramiona rozsypały się w nieładzie długie, kręcone, czarne włosy. Była najmniejsza z całej trójki - software animacji tworzył solido osoby dwudziestojednoletniej żywej i beztroskiej. O dziewczynę opierała się Trisha Marina Halgarth, popijająca herbatę z dużego kubka. Na ciemnej sercowatej twarzy od orzechowych oczu odchodziły małe ciemnozielone motyle skrzydła wykonane starodawną techniką OCtatuazu; skrzydełka falowały powoli przy każdym ruchu twarzy. Osobno siedziała Isabella Halgarth. Była wysoką blondynką, długie proste włosy związała w koński ogon. Puchaty biały pulower był nadmiernie uwodzicielski, podjeżdżał wysoko nad talię, spodnie zaś stanowiły zaledwie zewnętrzną warstewkę granatowej skóry opinającej długie muskularne nogi. Wysokie kości policzkowe nadawały twarzy arystokratyczny wygląd, dodatkowo podkreślony chłodną i pogardliwą postawą. Jej dwie towarzyszki przesłały Troblumowi radosne powitania, ona natomiast tylko lekko skinęła głową.

Westchnął z żalem i kazał u-adiunktowi izolować dziewczyny. Towarzyszyły mu od pięćdziesięciu lat, lubił je znacznie bardziej od prawdziwych ludzi. Pomogły mu zakorzenić się w dzielnicy, którą tak ukochał. Niestety akurat teraz nie mógł sobie pozwolić na rozkoszną rozrywkę. Kilkadziesiąt lat zajęło mu dopracowanie programów animacji i wyposażenie każdej solido

w wiarygodną osobowość rozumną. Ta trójka mieszkała w apartamencie podczas wojny Gwiazdokrażcy i brała udział w jego słynnej prowokacji dezinformacyjnej. Isabella była wtedy jednym z najskuteczniejszych agentów obcych cywilizacji wewnątrz Wspólnoty, uwiodła wysokich rangą polityków i funkcjonariuszy i subtelnie nimi manipulowała. Przez pewien czas po wojnie w całej Wspólnocie wyrażenie „być wisabellonym” oznaczało to samo co dać się okantować. W końcu jednak jej zła sława minęła. Nawet u ludzi, którzy standardowo żyli ponad pięćset lat, te dawne dzieje straciły siłę wyrazu i znaczenie. Obecnie wojna Gwiazdokrażcy była po prostu jednym z tych wydarzeń, które wywarły wpływ na początki Wspólnoty, podobnie jak Ozzie i Nigel, Ul, rejs dookoła „Endeavoura” i rozgryzienie nanotechnologii plantatorów. W młodości Trobluma w ogóle to nie interesowało. Potem przez czysty przypadek odkrył, że jest potomkiem niejakiego Marka Vernona, który najwyraźniej odegrał znaczną rolę podczas wojny. Troblum podjął luźne badania na temat przodka, chciał się tylko dowiedzieć paru szczegółów, poznać część rodzinnej historii. Sto osiemdziesiąt lat temu zafascynowała go wojna Gwiazdokrażcy, gdy po raz pierwszy zapoznał się z zawartością archiwów z tamtej epoki. Fascynacja trwała nadal.

Dziewczyny przestały zwracać uwagę na mężczyznę i jadący za nim wózek i wróciły do wesołej pogawędki. Troblum spojrzął na walec, który stał się przezroczysty. Wewnątrz znajdował się metalowy pręt długości stu piętnastu centymetrów; z jednego końca z plastikowego czubka wystawała wiązka światłowodów przypominająca potargany ogon. Pręt był pokryty nalotem, miał ospowate blizny, a pośrodku wydawał się skręcony, jakby coś go uderzyło. Troblum otworzył hermetyczny walec, nie zważając na syk uchodzącego argonu. Gdy wyciągał pręt, dłonie mu drżały, a krtań się ścisnęła. Uniósł pręt, czując na skórze rzeczywistą teksturę jego zniszczonej powierzchni. Uśmiechnął się do niego tak jak mógłby uśmiechać się Naturalny człowiek do swego nowonarodzonego dziecka. Podskórne czujniki w jego palcach wraz z funkcjami skanowania polowego przeprowadziły

szczegółową analizę. Pręt zrobiono ze stopu aluminiowo-tytanowego i wzmocniono specyficznymi łańcuchami węglowodorowymi. Miał dwa tysiące czterysta lat. Troblum trzymał w dłoni kawałek „Marie Celeste”, statku Gwiazdokrażcy.

Po dłuższej chwili z powrotem włożył pręt do walca i uruchomił oczyszczanie atmosfery, zamykając go szczelnie w argonie. Już nigdy fizycznie nie będzie dotykał tego pręta. Był zbyt cenny. Znajdzie się w drugim mieszkaniu, gdzie Troblum trzymał kolekcję pamiątek. Mały wyspecjalizowany generator stabilizujący pole będzie przez wieki utrzymywał strukturę molekularną pręta. Tak jak przystoi i należy.

Troblum potwierdził autentyczność pręta i polecił swojemu quasi-legalnemu rachunkowi bankowemu na Wessex przelać ostatnią ratę na konto czarnorynkowego dostawcy z Far Away, który załatwił mu ten przedmiot. Elewat mógł posiadać gotówkę, nie było to nielegalne, ale kultura Elewatów wyznawała zasadę, że jednostki są na tyle dojrzałe i inteligentne, by wziąć za siebie odpowiedzialność i działać w ramach uzgodnionych norm społecznych. „Ja jestem rządem” - brzmiała fundamentalna zasada polityczna tej kultury. W ramach ograniczeń dopuszczano znaczną elastyczność. Jeśli ktoś tego potrzebował, mógł skorzystać z ugruntowanych cichych sposobów zamiany elewackiej Alokacji Energii i Masy - tak zwanego dolara centralnego - na twardą gotówkę uznawaną w Światach Zewnętrznych. AEM nie uchodziła za pieniądź w tradycyjnym sensie - był to tylko sposób regulacji aktywności obywatela Elewata, zapobiegający nadmiernym czy nierozsądnym żądaniom wykorzystania wszelkich wspólnych zasobów.

Gdy wózek wycofał się z apartamentu, Troblum poszedł do sypialni. Ledwie zdążył wziąć prysznic i włożyć togatur, a już musiał wychodzić. Szklaną windą zjechał do podziemnego garażu, gdzie parkowała jego kapsuła regravowa. Stara dwustuletnia, chromowofioletowa, dłuższa od współczesnych wersji, miała nadwozie wysuwające się jak stożkowy nos samolotu ze Świata Zewnętrznego. Wdrapał się do środka, zajmując ponad połowę przedniego fotela przewidzianego dla

trzech osób. Kapsuła wyslizgnęła się z garażu i uniosła w górę, dołączając do strumienia pojazdów. Przystarzałe wewnętrzne kompensatory ledwo dawały sobie radę z tak stromym podejściem i Trobluma wcisnęło w poduszki fotela.

W centrum Daroki obok nowoczesnych konstrukcji, ozdobionych pinaklami, stały ładne lub znaczące historyczne budynki takie jak dom Trobluma. Było tam wiele oryginalnych terenów parkowych, zaprojektowanych przez radę założycielską. Potoki ruchu powietrznego płynęły w zasadzie nad pradawnymi traktami naziemnymi. Kapsuła Trobluma leciała na północ pod brązowym słońcem planety, nad nowszymi dzielnicami, w których budynki stały rzadziej i przeważała zabudowa indywidualna.

Nisko na zachodnim niebie niewyraźnie widział jasną gwiazdę - Air. To ten projekt zwabił go na Arevalo. Próba skonstruowania w kosmosie sztucznego habitatu wielkości gazowego giganta. Po dwóch wiekach zarząd projektu zdołał zbudować prawie osiemdziesiąt procent sferycznej geodetycznej kraty, która miała spełniać rolę przewodnika i równocześnie generatora pojedynczego obudowującego pola siłowego. Po jego włączeniu (energię zasilającą ściągnie się bezpośrednio z gwiazdy przez wormhol zerowej średnicy) wewnątrz zostanie wypełnione standardową atmosferą tlenowo-azotową, zebraną z zewnętrznych księżyców i gazowych gigantów układu. Potem wprowadzi się rozmaite komponenty świata zwierzęcego i roślinnego, a te, unosząc się wewnątrz, zainicjują cykl życiowy biosfery. W rezultacie wewnątrz sfery o średnicy większej niż Saturn powstanie środowisko o zerowej grawitacji, a ludzie otrzymają ostateczną wolność swobodnego latania i zyskają nadzwyczajne nowe możliwości.

Krytycy - a było ich wielu - uważali, że to marna i bezsensowna kopia odkrytej przez Ozziego Ostrowu Matki silfenów. Tam całą gwiazdę otulała atmosfera nadająca się do oddychania. Zwolennicy twierdzili, że to tylko pewien etap, doniosłe inspirujące świadectwo, które rozszerzy horyzonty kultury Elewatów. Dzięki swojej argumentacji wygrali w Światach

Centralnych zacieklą walkę podczas referendum o przyznanie AEM potrzebnych do ukończenia projektu.

Właśnie takie argumenty zwabiły do Air Trobluma. Był przede wszystkim fizykiem. Przez siedemdziesiąt twórczych lat pracował nad przełożeniem koncepcji teoretycznych w fizyczną rzeczywistość. Pomagał budować generatory pola siłowego, którymi usiana była krata geodezyjna. Potem interesowała go głównie wojna Gwiazdokrażcy i w tym okresie zwrócili na niego uwagę ludzie, którzy prowadzili znacznie ciekawsze projekty konstrukcyjne. Złożyli mu propozycję, której nie mógł odrzucić. Często pocieszała go myśl, że ten etap życia odzwierciedla dzieje jego znamienitego przodka Marka.

Kapsuła opadła przy biurze Floty Wspólnoty. Znajdował się tam kosmodrom z dwoma rzędami wielkich hangarów i ramp remontowych. Arevalo stanowił pierwotnie bazę oddziału eksploracyjnego floty. Lądujące tu statki kosmiczne były albo statkami badawczymi dalekiego zasięgu, albo standardowymi statkami pasażerskimi. Trzy matowoczarne wysokie budynki na północnym skraju mieściły laboratoria astrofizyczne i zaplecze treningowe ekip badawczych. Kapsuła wsunęła się między rozczapierzone łuki, na których stał główny wysokościowiec, i wylądowała bezpośrednio pod nim. Troblum nie widział zbyt wielu ludzi, zaledwie kilku oficerów idących do kapsuły regrawowych. Poszedł do najbliższej podpory łuku. W togaturze dającym poświatę ultrafioletu przyciągał wszystkie spojrzenia. Jak na Elewatę był nietypowo postawny. Biononika zapewniała ciału zdrowie i szczupłą sylwetkę, to były jej główne funkcje. W nielicznych wypadkach nietypowy charakter biochemiczny stwarzał biononice trudności operacyjne, ale normalnie załatwiano to drobnymi modyfikacjami chromosomów. Troblum nie chciał się na to zgodzić. Był, jaki był i nie widział powodów, żeby się z tego komukolwiek tłumaczyć.

Nawet pokonanie małej odległości od kapsuły do podpory wywołało u niego przyśpieszone bicie serca. Pocił się, wchodząc do pustego holu. Przeskanowały go głębokie czujniki. Położył dłoń na kuli testera, by system potwierdził tożsamość jego DNA.

Otworzyła się jedna z wind. Zjeżdżała irytująco długo.

Silnie ekranowany pokój konferencyjny, gdzie miał przedstawić referat, niczym się nie wyróżniał. Ovalne pomieszczenie z owalnym stołem z rockwoodu pośrodku. Wokół dziesięć perłowobiałych samokształtujących się krzesel o wysokich oparciach. Troblum usiadł na krześle naprzeciw drzwi i zaczął sprawdzać w sieci floty, czy prawidłowo załadowały się potrzebne pliki.

Weszło czworo oficerów; troje w identycznych hebanowych togaturach, których powierzchnia falowała przytłumionymi wzorcami. O szarzy świadczyły tylko małe czerwone kropki świecące na ramionach. Rozpoznał ich wszystkich bez odwoływania się do ich u-adiunktów. Mykała, kapitan trzeciego poziomu i dyrektorka miejscowego biura napędu nadświatelnego; kapitan Eoin specjalista od działalności obcych; Yehudi - dowódca biura na Arevalo. Towarzyszył im pierwszy admirał Kazimir Brunelli. Troblum nie spodziewał się go. Szybko wstał, tak wstrząsnął nim widok dowódcy floty we własnej osobie. Nie jego ranga robiła wrażenie, lecz to, że admirał był dzieckiem dwójki bardzo ważnych postaci w wojnie Gwiazdokrązcy. Słyszał też ze swego wieku: tysiąc dwieście sześć lat, czyli siedem, osiem wieków więcej niż wiek w jakim większość Elewatów ładowała się do ZAN.

Admirał miał na sobie elegancko uszyty czarny mundur ze staromodnego materiału. Idealnie na nim leżał, podkreślał szerokie ramiona i szczupły tors - klasyczna sylwetka osoby z kręgów władzy. Był wysoki, miał oliwkową cerę i przystojną twarz. Troblum dostrzegał w nim pewne cechy po ojcu: mocną szczękę i kruczoczarne włosy, ale również po matce: subtelniejsze rysy, nos niemal delikatny i jasne przyjazne oczy.

- Admirale! - zawołał Troblum.

- Miło pana widzieć. - Kazimir Burnelli wyciągnął do niego rękę. Troblum dopiero po chwili zorientował się, jak na to zareagować, i również podał mu dłoń. Był zadowolony, że jego togatur ma siatkę chłodzącą, dzięki czemu przestał się pocić. Instrukcje formalności socjalnych, które jego u-adiunkt wsunął mu w

egzowizję, zostały gwałtownie wycofane.

- Podczas tego wykładu będę reprezentował ZAN:Władze - oznajmił Kazimir.

Troblum już wcześniej się tego domyślił. Kazimir Burnelli był zasadniczym ludzkim ogniwem w łańcuchu między ZAN:Władzami a flotą odstraszącą. Od ponad ośmiuset lat zajmował to stanowisko wymagające zaufania i odpowiedzialności. Te wszystkie wieki odbiły się na jego sposobie bycia, otaczała go atmosfera znużenia, którą wyczuwali wszyscy w jego obecności.

Troblum bardzo by chciał zadać mu wiele pytań. „Czy tak długo zachowuje pan swoje ciało, bo pana ojciec żył krótko?”. Albo: „Czy mógłby mi pan dać dostęp do swego dziadka?”. Zamiast tego potulnie powiedział:

- Admirale, dziękuję, że pan przybył.

Wokół pokoju pojawił się jeszcze jeden ekran poufności i sieć potwierdziła, że są tu zabezpieczenia najwyższego stopnia.

- Co pan nam zaprezentuje? - spytał admirał.

- Teorię generatorów pary Dysona - odparł Troblum. Aktywował węzeł sieciowy pokoju, by wszyscy mogli korzystać z danych i obrazów z jego plików, i zaczął wykład.

Para Dysona to gwiazdy oddalone od siebie o trzy lata świetlne. Otacza ją gigantyczne pole sił. Zapory te założyli w AD 1200 anonimowo z ważnego powodu. Alfę, które już rozprzestrzeniły się ze swej macierzystej planety wokół Alfę i Bety wykazywały patologiczną wrogość wobec wszystkich biologicznych form życia z wyjątkiem własnej. Gwiazdokrażca - jeden, który uniknął uwięzienia - wmanewrował Wspólnotę w operację otwarcia pola sił wokół Alfę Dysona; w rezultacie wybuchła wojna, w której zginęło ponad pięćdziesiąt milionów ludzi. Potem pole sił reaktywowali Ozzie i Mark Vernon. Zakończyli wojnę, ale ledwo, ledwo im się to udało. Od tego czasu flota stale obserwowała te gwiazdy.

Wieki później raielowie zaprosili Wspólnotę, by włączyła się do projektu obserwacji Pustki. Badanie prowadzono ze Stacji Centurion. Uczni ludzie z zaskoczeniem odkryli, że systemy

obronne rozmiarów planetarnych rozmieszczone w wielu miejscach Ściany gwiazd bardzo przypominają generatory, wytwarzające pola sił w Parze Dysona.

Do tej pory wszyscy zakładali, że technika anominów jest równie zaawansowana jak raielów, mówił Troblum. On to podważał. Analiza generatorów pola w parze Dysona wskazywała, że ich konstrukcja jest niemal identyczna jak maszyn DF przy stacji Centurion.

- To z pewnością ma być dowód? - powiedział Yehudi.

- Wręcz przeciwnie - odparł Troblum.

Planetę macierzystą anominów kilkakrotnie odwiedzała eskadra eksploracyjna floty. Żyjący tam gatunek podzielił się dwa tysiące lat temu. Grupa bardziej zaawansowana technicznie osiągnęła etap postfizycznych istot rozumnych, a pozostali cofnęli się do prostej kultury pasterskiej - skonstruowali wormhole i rozeszali ekspedycje po całej galaktyce, ale zasiedlili tylko kilkanaście układów wokół pobliskich gwiazd, z których żadna nie miała wielkich obiektów astroinżynieryjnych. Pozostałe na planetach społeczności pasterskie nie znały się na generatorach Pary Dysona, a postfizyczni od dawna nie utrzymywali kontaktów ze swymi odległymi kuzynami. Kolejne statki floty prowadziły intensywne przeszukiwania tej części kosmosu, ale nie udało się zlokalizować urządzeń do budowy generatorów pary Dysona. Do tej pory astroarcheolodzy uważali, że porzucona maszyneria rozpadła się w próżni kosmicznej albo po prostu zaginęła.

A chodzi przecież o megakonstrukcję, więc obie hipotezy były mało prawdopodobne. Po pierwsze, rasie anominów zajęłoby przynajmniej wiek zbudowanie od samego początku jednego generatora, a co dopiero dwóch. Popatrzmy, ile trwała konstrukcja Air, a przecież Elewaci mieli nieograniczone zasoby AEM. Po drugie, generatory były potrzebne szybko. Alfę z Alfą Dysona już budowały statki kosmiczne o prędkości podświetlnej, dlatego właśnie anomini zamknęli ich bardzo szczelnie. Gdyby przez sto lat anominowie pracowali jak mrówki przy tej konstrukcji, alfy rozprzestrzeniłyby się na wszystkie gwiazdy w

promieniu pięćdziesięciu lat świetlnych, zanim generator zostałby ukończony.

- Oczywisty wniosek: anominowie po prostu zaadaptowali istniejący system raielów ze Ściany. Potrzebowali do tego tylko podrasowanego generatora wormholu, który by ich przetransportował do Pary Dysona, a wiemy, że już władali podstawową techniką. Chcę - ciągnął Troblum - żeby flota zaczęła szczegółowe przeszukiwania przestrzeni międzygwiazdnej wokół Pary Dysona. Napęd czy napędy wormholu, pochodzące od anominów, przypuszczalnie nadal tam są. Zwłaszcza jeśli to było jednorazowe urządzenie. - Spojrzał wyczekująco na admirała.

Zamknął się ostatni plik i Kazimir Burnelli zamilkł na chwilę.

- Alfy zbudowały największy znany wormhol, żeby pokonać pięćset lat świetlnych i najechać Wspólnotę - powiedziała.

- Nazywał się Wrota Piekła - wtrącił Troblum automatycznie.

- Zna pan historię. To dobrze. Więc na pewno pan wie, że miał tylko parę kilometrów średnicy. Za mało, żeby przetransportować generatory zapory.

- Tak, ale mówię o zupełnie nowej koncepcji techniki napędu wormholu. Wormhol, który nie potrzebuje tak dużego generatora. Po prostu rzutuje się efekt egzotycznej materii do wymaganego rozmiaru.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- To łatwo osiągnąć w ramach naszych teorii wormholi, admirałe.

- Łatwo, pani kapitan? - Kazimir Burnelli zwrócił się do Mykali.

- Sądzę, że to możliwe - odparła Mykala. - Żeby jednoznacznie odpowiedzieć, musiałabym znów się przyjrzeć teorii materii egzotycznej.

- Już pracuję nad pewną metodą - zdradził Troblum.

- Są jakieś sukcesy? - spytała Mykala.

Troblum podejrzewał, że drwi z niego, ale nie potrafił zinterpretować tonu jej głosu.

- Owszem, robię postępy. Z pewnością teoria nie zabrania zwiększenia średnicy. To tylko kwestia dostępnej energii.

- Żeby przewieźć generator bariery Dysona przez pół galaktyki trzeba by energii gwiazdy nowej - stwierdziła Mykala.

Teraz Troblum miał już pewność, że sobie drwiła.

- Nawet w przybliżeniu nie trzeba aż tyle energii - stwierdził. - W każdym razie jeśli zbudowali generatory blisko swojej gwiazdy macierzystej, to przecież musieli mieć jakiś system transportowy. Jeśli zbudowali je na miejscu, co wątpliwe, to gdzie jest miejsce konstrukcji? Do tej pory znaleźlibyśmy coś tak dużego. Te generatory zostały przeniesione z rejonu, w którym pierwotnie zainstalowali je Raielowie.

- Chyba że to dzieło ich postfizycznych - rzekła. - Kto wie, jakie mieli umiejętności?

- Proszę wybaczyć, ale przychyliam się do opinii Trobluma - oznajmił Eoin. - Wiemy, że anominowie nie uzyskali statusu postfizycznych przed ustanowieniem barier Dysona, czyli około sto pięćdziesiąt lat później.

- Właśnie - triumfował Troblum. - Musieli wykorzystywać technikę mniej więcej dorównującą poziomem naszej. Gdzieś w przestrzeni międzygwiazdnej znajduje się porzucony napęd zdolny przesuwać obiekty wielkości planet. Musimy go znaleźć, admirale. Opracowałem już metodę poszukiwania z wykorzystaniem obecnych statków eksploracyjnych floty i chciałbym...

- Pozwoli pan, że przerwę - powiedział Kazimir Burnelli. - Troblum; dotychczas przedstawił nam pan przekonującą hipotezę. Na tyle przekonującą, że zamierzam natychmiast przesać zaprezentowane dane wysokiemu komitetowi do spraw analiz. Jeśli otrzymam od nich pozytywną ocenę, przedyskutuję z panem opcje działań floty. Proszę mi wierzyć, jak na obecne czasy to szybka ścieżka.

- Ale może pan wydać rozkaz dywizji eksploracyjnej, żeby niezwłocznie rozpoczęła poszukiwania. Ma pan taką władzę.

- Tak, mam, ale nie używam jej bez uzasadnienia. To co nam pan przedstawił doskonale nadaje się do poważnej analizy. Uruchomimy stosowne procedury. I jeśli okaże się, że ma pan rację...

- Oczywiście, mam rację jak cholera - warknął Troblum. Niejasno wyczuwał, że postępuje niewłaściwie, ale był tak blisko celu. Przypuszczał, że nieoczekiwana obecność admirała oznacza, że poszukiwania mogą się rozpocząć natychmiast. - Ja sam nie mam dość AEM dla tylu statków, dlatego flota musi być w to zaangażowana.

- Nigdy nie będzie szansy na indywidualne poszukiwania - odparł Kazimir spokojnie. - Kosmos wokół Pary Dysona to rejon tajny. Projekt floty.

- Tak, admirale - wymamrotał Troblum. - Rozumiem. - Rzeczywiście rozumiał, ale ta cała biurokracja była frustrująca.

- Zauważyłam, że nie włączył pan swoich wyników na temat projektu napędu wormhola. Ten pomysł „jednego strzału” - powiedziała Mykała. - To duża luka w pana prezentacji.

- Wszystko jest na wczesnym etapie - odparł Troblum. Nie odpowiadało to prawdzie. Nie przedstawił wyników, ponieważ był tak bliski sukcesu. Miał to być rozstrzygający argument, gdyby ta prezentacja się nie udała. Pod pewnymi względami się nie udała, ale... - Mam nadzieję, że wkrótce zademonstruję pozytywne wyniki.

- Czekam z wielkim zainteresowaniem. - Kazimir w końcu się uśmiechnął, co odjęło mu parę wieków. - Dziękuję, że nam pan przedstawił to zagadnienie. Naprawdę doceniam pański wysiłek.

- Bo wkładam w to wysiłek, takie są moje obyczaje - burknął Troblum.

Milczał, gdy ekranowanie się wyłączyło i jego słuchacze wyszli z pokoju. Miał ochotę krzyknąć za admirałem: „Jak pańska matka podejmowała decyzje, nie potrzebowała żadnego komitetu, a co pański dziadek by powiedział na temat osiągnięcia konsensusu...”. Ale tylko westchnął niezadowolony i zapieczętował pliki w spacji pamięci. Spotkać idola to zawsze dość ryzykowne, gdyż tylko nieliczni naprawdę dorastają do swojej legendy.

Dostawcę obudziła najmłodsza córka, gdy na dworze wstawał chłodny świt. Mała Rosa znów doszła do wniosku, że w

zupełności wystarczy jej pięć godzin snu; teraz siedziała w łóżeczku i płaczem domagała się zainteresowania. Oraz mleka. Obok niego zaczęła się wiercić Lizzie, przed chwilą pogrążona w głębokim śnie. Nim żona się zbudziła, wyskoczył z łóżka i pognął do pokoju dziecięcego. Jeśli się nie pośpieszy, obudzą się Tilly i Elsie, a wtedy spokój pryśnie.

Przez drzwi do pokoju dziecięcego wleciał za nim pediatryczny domobot - jajowaty instrument ponadmetrowej wysokości. Na szarawej skórze wybrzuszył się zbiorniczek mleka. Oboje z Lizzie nie godzili się, by maszyna, nawet tak wyrafinowana jak domobot, opiekowała się dzieckiem, więc usiadł na dużym krześle przy botcie, posadził sobie Rosę na kolanach i zaczął ją karmić. Dziewczynka śmiała się rozkosznie, trzymając w ustach końcówkę zbiorniczka, i wtuliła się w objęcia ojca. Bot wyciągnął wężyk, przystawił go do pieluszki w śpioszkach i odessał zebrany w nocy mocz. Rosa machała zadowolona, gdy maszyna wylatywała z pokoju.

- Wizienia - gruchała dziewczynka i wróciła do ssania.

- Do widzenia - poprawił Dostawca.

Córka miała siedemnaście miesięcy i zaczynała właśnie mówić. Bioniczne organelle w jej komórkach były w zasadzie nieaktywne, reprodukowały się tylko, by zasilić nowe komórki, wraz ze wzrostem dziecka. Intensywne badania naukowe wykazały, że lepiej, by człowiek urodzony jako Elewat rozwijał się zgodnie z naturalnym cyklem aż do okresu pokwitania. Potem bionika może być stosowana zgodnie z przeznaczeniem. Jedną z jej funkcji polegała na modyfikacji ciała zgodnie z życzeniem jej gospodarza. Dostawca uważał jednak, że to nie najlepszy pomysł, żeby dać nastolatkom nieograniczoną władzę nad swoją fizjologią; często prowadziło to do kardynalnych błędów na własne życzenie. Nigdy nie zapomni, gdy jako czternastolatek strasznie się zakochał w siedemnastoletniej dziewczynie. Próbował ulepszyć sobie genitalia. Musiał odbyć pięć dość krępujących wizyt u lekarza-bionika, żeby powstrzymać bolesny, nienormalny rozrost organu.

Rosa była oporzędzona. Zabrał ją na dół. Mieszkali w

klasycznym georgiańskim domu w dzielnicy Holland Park w Londynie. Budynek odrestaurowano trzysta lat temu. Nowoczesne techniki pozwalały zachować znaczą część starej konstrukcji, bez pomocy pól stabilizujących. Lizzie nadzorowała wystrój wnętrza, łącząc ze smakiem rozmaite meble i systemy funkcjonalne pochodzące z różnych epok - od połowy dwudziestego aż do dwudziestego siódmego wieku, kiedy to rozwój urządzeń replikujących ZAN wpłynął na zatrzymanie całego oryginalnego projektowania na Ziemi. Dobudowano dwa podpiwniczenia, gdzie mieściły się domowy basen, spa oraz zbiorniki i systemy pomocnicze, zaopatrujące kredens i domowy replikator.

Zaprowadził Rosę do obszernej szklarni o żelaznym szkielecie. W dużym wiklinowym koszyku leżały zabawki. Poranek był mroźny, jak to w lutym, i na szyby wpełzły szerokie lizaje mrozu. Teraz jedyną plamą prawdziwego koloru w ogrodzie były kwitnące zimą wiśnie, rosnące na pochyłości za zamrażniętym stawkiem z rybkami.

Godzinę później Lizzie zeszła na dół i zastała Rosę bawiącą się świecącymi klockami na ogrzewanej kamiennej podłodze szklarni. Za matką szły siedmioletnia Tilly i pięcioletnia Elsie. Zawołały radośnie do młodszej siostry. Ta podbiegła do nich z wyciągniętymi ramionami, gaworząc coś niezrozumiale, lecz z przejęciem. Dziewczynki zaczęły budować wieżę i im wyżej ją wznosiły, tym szybciej wirowały kolory klocków.

Mężczyzna cmoknął żonę i kazał kredensowi przygotować śniadanie. Lizzie siadła przy okrągłym drewnianym stole w kuchni. Jako specjalistka od antyków i kultury lubiła staromodnie urządzone pomieszczenia, zwłaszcza kuchnię. Choć nie było to konieczne, zainstalowała staromodną solidną żelazną kuchnię, gdy się wprowadzali dziesięć lat temu. W zimie dzięki przytulnemu ciepłu to miejsce stawało się centrum całego domu. Zawsze zbierali się tu całą rodziną. Czasami nawet Lizzie z córkami gotowała coś ze składników wyprodukowanych przez kredens. Ostatnio zrobiły tort urodzinowy dla Tilly.

- Dziś rano Tilly ma pływanie - powiedziała Lizzie, sącząc z

dużego porcelanowego kubka herbatę dostarczoną przez domobota.

- Znów? - spytał.

- Nabiera coraz większej pewności siebie. Dzięki nowemu nauczycielowi. Jest bardzo dobry.

- Świetnie. - Dostawca położył na talerzyku rogalik i rozerwał go. - Dziewczynki, chodźcie do stołu - zawołał. - Zabierzcie Rosę.

- Nie chce iść - odkrzyknęła Elsie.

- Nie zmuszajcie mnie, żebym was tu sprowadzał. - Nie patrzył na Lizzie. - Wyjeżdżam na kilka dni.

- Coś interesującego?

- Pojawiły się podejrzenia, że jakieś firmy na Oronsay zdobyły technologie replikacyjne poziomu trzy - wyjaśnił. - Muszę przetestować ich produkty.

Mężczyzna zawodowo monitorował rozprzestrzenianie się technologii Elewatów w Światach Zewnętrznych. Zewnętrzniacy byli bardzo przeczuleni na punkcie tego procesu, twardegłowi politycy Protektoratu głośili, że to pierwszy akt kolonizacji kulturalnej wymagający odwetu. Z drugiej strony industrialisci ze Światów Zewnętrznych stale usiłowali zdobyć coraz bardziej wyrafinowane systemy produkcyjne, by zredukować swoje koszty. Radykalni Elewaci ochoczo dostarczali tych technologii, traktując to jako pierwszy ważny krok w kierunku nawrócenia danej planety na swoją kulturę. Dostawca musiał w imieniu ZAN:Władz rozstrzygnąć, jakimi zamiarami kieruje się dostarczyciel systemów replikatora. Jeśli Radykalni Elewaci wspierają te firmy, to mężczyzna delikatnie zablokuje systemy i zablokuje całą operację. Jego główny problem to podejmowanie obiektywnych decyzji. Technologia Elewatów w nieunikniony sposób wypełzała ze Światów Centralnych; w podobnym procesie Światy Zewnętrzne zawsze zasiedlały nowe planety wokół granicy swojej domeny. Granica między Centralnym a Zewnętrznym była co najmniej niejednoznaczna, a niektóre Światy Zewnętrzne otwarcie popierały przejście do statusu Elewatów. Przy podejmowaniu decyzji mężczyzna brał pod uwagę miejsce zdarzenia. To był bardzo ważny czynnik. Oronsay

leżała ponad sto lat świetlnych od Światów Centralnych, zatem mało prawdopodobny byłoby prosty przeciek techniki. Jeśli znajdowały się tam replikatory, to wysłali je albo Radykalni, albo jakaś bardzo chciwa firma. Lizzie uniosła brwi.

- Naprawdę? Jakie to produkty?

- Komponenty statków kosmicznych.

- Wyobrażam sobie, że to się tam teraz bardzo przyda. I będzie bardzo opłacalne.

Doceniał jej powściągliwe rozbawienie. W ciągu ostatnich paru dni na Ellezelin intensywnie podróżowali szefowie firm budujących statki kosmiczne; chcieli robić interesy z nowym Klerykiem Konserwatorem.

Dziewczynki przybiegły do jadalni i usiadły przy stole. Rosa wspięła się na zamszowego grzybka - mebel z dwudziestego piątego wieku, który dostosował się do jej ciała, obejmując ją na tyle mocno, by nie spadła, oraz wydłużył się w górę, by sięgnęła blatu. Dziewczynka klaskała szczęśliwa, że jest tak wysoko jak wszyscy. Elsie z powagą podsunęła jej talerz z miodowymi poduszczkami. Rosa chwyciła talerz.

- Nie rozlej - ostrzegła ją Elsie władcym tonem.

Rosa tylko gruchała rozradowana.

- Tato, teleportujesz nas do szkoły? - spytała Tilly błagalnie.

- Wiesz, że tego nie zrobię. Nawet nie proś - odparł.

- Och, tato, proszę, proszę.

- Tak, tato - wtrąciła się Elsie. - Proszę, teleportuj. Tak to lubię. Bardzo.

- Wiem, że to lubicie, ale pojedziecie autobusem. Teleportowanie to poważna sprawa.

- Szkoła to poważna sprawa - oznajmiła Tilly bez wahania. - Zawsze tak mówisz.

Lizzie śmiała się cicho.

- To co in.... Dobrze. Coś wam powiem. Jeśli podczas mojej nieobecności będziecie się dobrze sprawować, to w czwartek teleportuję was do szkoły. Ale tylko pod tym warunkiem.

- Tak, tak! - Tilly podskakiwała na krześle.

- Ale musicie być nadzwyczaj grzeczne. A ja wszystkiego się

dowiem, mama mi powie.

Dziewczynki uśmiechnęły się szeroko do Lizzie.

Po śniadaniu myły się i czesały w łazience. Elsie miała długie rude włosy i rozczesanie ich trwało całe wieki. Rodzice sprawdzili, czy prace domowe są zrobione, a domobot przygotował mundurki szkolne.

Pół godziny później z nieba zjechał autobus - długa, turkusowa kapsuła regrawowa - i zawisł nad pasem zieleni przed domem, gdzie wieki temu była droga. Dostawca odprowadził córki do pojazdu. Na czerwonych marynarkach miały płaszcze - ich szare migotanie chroniło przed chłodnym, wilgotnym powietrzem. Sprawdził jeszcze, czy Tilly wzięła kostium kąpielowy, pocałował córki, a potem machał im na pożegnanie, gdy kapsuła szybko się wznosiła. Transportowanie dzieci do szkoły miało z założenia wzmocnić poczucie wspólnoty. Szkoła, w rozszerzonym sensie, odgrywała w zasadzie rolę centrum zabawy i zajęć fizycznych. Prawdziwe nauczanie zaczynało się dopiero wtedy, gdy u dziecka uaktywniała się biononika. A jednak pełen emocji ojciec patrzył na kapsułę znikającą w przygnębiającej szarówce. Obecnie w Londynie była tylko jedna szkoła na południowym brzegu Tamizy w Dulwich Park. Miasto liczyło zaledwie sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców i nie potrzebowało drugiej szkoły. Nawet Elewaci mieli mało dzieci. Ale ludzie urodzeni na Ziemi byli znani ze swojej wstrzemięźliwości. Ziemia była pierwszą naprawdę elewacką planetą i jej zaludnienie stale się zmniejszało. U samego zarania kultury Elewatów, gdy biononiki stały się dostępne i ZAN zostało podłączone, przeciętny wiek obywatela Ziemi już był największy w całej Wspólnocie. Starsi łądowali się do ZAN, młodszy natomiast, którzy nie byli gotowi do migracji w stan postfizyczny, przenosili się do Światów Centralnych, gdzie dożywali końca swego życia biologicznego. W efekcie na Ziemi pozostało mało ludności, a przyrost naturalny był niezwykle niski.

Dostawca i Lizzie stanowili godny uwagi wyjątek: mieli trójkę dzieci. Co więcej, zarejestrowali swoje małżeństwo. Ślub odbył się w starym kościele, przyjaciele byli świadkami, a

chrześcijańskiego kapłana sprowadzono ze Świata Zewnętrznego, gdzie nadal funkcjonowała religia. Tego chciała Lizzie, uwielbiająca dawne tradycje i rytuały. Oczywiście nie na tyle, by zająć w ciążę. Wszystkie dziewczynki urodziły się ze sztucznego łona.

- Bądź ostrożny na Oronsay - powiedziała Lizzie, przyglądając się mu uważnie w łazienkowym lustrze.

Dostawca widział, że jego twarz jest dość płaska z szeroką szczęką i zmarszczkami, które tworzyły się przy każdej wesolej czy poważnej minie bez względu na to, ile zabiegów antystarzeniowych stosował na skórę.

Nie skutkowały ani techniki Awangardów, ani Elewatów. Geny Awangardów odpowiadały za bujne, kręcone włosy o przygaszonym rudym kolorze; Elsie odziedziczyła je po ojcu. Za pomocą bionild zmodyfikował mieszki włosowe na twarzy, więc nie musiał już dwa razy dziennie nakładać żelu gołacego. Jednak cały proces nie przebiegł idealnie i co tydzień mężczyzna oglądał swoją skórę na brodzie i wklepywał żel na uporczywe plamy półdnioowego zarostu. Są jak kałuże, twierdziła Lizzie.

- Zawsze jestem ostrożny - zapewnił.

Włożył nowy togatur i czekał, aż się wokół niego obwinie. Powierzchniowa mgiełka, ciemnoszmaragdowa ze srebrnymi błyskami. Dość stylowe, pomysłał.

Lizzie, która nigdy nie nosiła ubrań zaprojektowanych po dwudziestym drugim wieku, spojrzała na męża z lekką dezaprobatą.

- Tak daleko od Światów Centralnych, a więc to musi być celowe działanie.

- Wiem. I będę uważał, obiecuję. - Pocałował ją, dodając jej otuchy. Próbował nie zwracać uwagi na poczucie winy, które infekowało mu myśli jak jakaś powolnie działająca trucizna. Lizzie dokładanie przyjrzała się jego twarzy, najwyraźniej zadowolona z jego szczerości, ale przez to jeszcze gorzej czuł się jako kłamca. Nienawidził sytuacji, gdy nie mógł jej powiedzieć, czym naprawdę się zajmuje.

- Coś przegapiłeś - powiedziała dziarsko i poklepała go palcem

wskazującym po szczęce z lewej strony.

Spojrzał w lustro i chrząknął skonsternowany. Miała rację, jak zawsze.

Był gotów. Stał w holu naprzeciw Lizzie, która trzymała w ramionach wiercącą się Rosę. Uniósł dłoń, żeby im pomachać; równocześnie aktywował swoją funkcję interfejsu polowego. Natychmiast dopasowała się do ziemskiej T-sfery. Określił swoje współrzędne wyjścia. Jego zintegrowane pole siłowe wyskoczyło, by osłonić mu skórę. Ogarnęła go niesamowita, przerażająca pustka kontinuum translacyjnego, anulująca wszystkie zmysły. Nieskończona mikrosekunda - tak nią gardził. Bioniczne wzbogacenia powiedziały mu, że otacza go nicłość. Nie było nawet rezydualnego kwantum sygnatury jego własnego wszechświata. Dla umysłu pozbawionego jakiegokolwiek zasilania sensorycznego czas koszmarnie się rozciągał.

Przystań Orłów nagle pojawiła się wokół niego. Gigantyczna stacja wisiała siedemdziesiąt kilometrów nad południową Anglią. Była jedną ze stu pięćdziesięciu identycznych stacji, które generowały między sobą planetarną T-sferę. ZAN:Władze wyprodukowały je w kształcie mitologicznych latających talerzy o średnicy trzech kilometrów. Kaprys - tego zwykle nie kojarzono z ZAN.

Wynurzył się w przepastnym centrum recepcyjnym przy zewnętrznej krawędzi stacji. Było tam tylko parę osób, ale nie zwracały na niego uwagi. Przed nim z podłogi wyrastała wielka przezroczysta, zakrzywiona wysoko w górze skorupa kadłuba. Gdy spuścił oczy, widział całe południe kraju. Niemal bezpośrednio pod nogami miał Londyn spowity w sunące powoli poduchy mgły, która rozchodziła się z pagórkowatego terenu jak biała plama. Gdy ostatnim razem zabrał tu Lizzie i dzieci, dzień był jasny i słoneczny. Lizzie pokazywała dziewczynkom różne historyczne miejsca i opowiadała o ważnych wydarzeniach, jakie się tam rozegrały. Wyjaśniała, że starożytne miasto zmalało do swoich rozmiarów z połowy osiemnastego wieku. Gdy ludność

planety się skurczyła, ZAN:Władze doszły do wniosku, że w mieście jest zbyt wiele budynków do utrzymania. Sam fakt, że są stare, nie świadczył o ich wielkim znaczeniu. Zachowano starożytne budowle publiczne w centrum Londynu oraz te, które uznano za cenne zabytki architektury czy kultury. Na przedmieściach aglomeracji były natomiast setki tysięcy reprezentantów każdego stylu. Większość domów podarowano lub sprzedano indywidualnym osobom czy instytucjom w całej Wspólnocie, a domy bez właściciela po prostu zburzono.

Dostawca po raz ostatni spojrzał smętnie na otulone mgłą przedmieścia. Wzbierające w nim poczucie winy osiągnęło poziom bólu. Nigdy nie może powiedzieć Lizzie, na czym polega jego praca. Chciała, żeby ich życie rodzinne było stabilne. I słusznie.

Przed każdym zleceniem powtarzał sobie, że nie ma żadnego ryzyka. Naprawdę. No, może odrobina. A jeśli coś by poszło źle, jego frakcja prawdopodobnie przywróci go do życia w nowym ciele i dostarczy do domu, nim Lizzie nabierze podejrzeń.

Podniósł wzrok i przez centrum recepcyjne przeszedł do jednego z korytarzy tranzytowych, który go wessał jak wąż antycznego odkurzacza i popchnął do centrum Przystani Orłów, gdzie mieścił się terminal wormholu międzygwiazdowego. Zdziwił się, że jest tak mało podróżnych, właściwie tyle co zwykle. Spodziewał się, że zobaczy więcej Elewatów migrujących do wnętrza ZAN. Żywy Sen na pewno wywołał polityczne zamieszanie w Światach Zewnętrznych. Światy Centralne zwyczajowo traktowały tę całą Pielgrzymkę z pogardą. Mimo to ich rady polityczne okazywały zaniepokojenie, o czym świadczyło to, że mnóstwo osób przystępowało do nich, by wyrazić swoją opinię.

Wraz z wyniesieniem Ethana na Kleryka Konserwatora frakcje ZAN rozpoczną gorączkowe zabiegi, chcąc zdobyć przewagę i ukształtować Wielką Wspólnotę na swoją modłę. Nie mógł się zorientować, która z nich najwięcej zyska na ostatnich wyborach. Było ich multum, a systemy wewnętrznej lojalności i tak okazywały się płynne, a nawet oszukańcze. Zgodnie ze starym

powiedzeniem frakcji było tyle ile eks-fizycznych ludzi wewnątrz ZAN. Nie spotkał żadnego przekonującego dowodu, który by temu zaprzeczał. W efekcie powstawały rozmaite grupy; z jednej strony tych, co chcieli, by fizycznych ludzi izolować i ignorować (niektórzy antyanimalistyczni ekstremiści najchętniej całkiem by ich eksterminowali), a z drugiej strony tych, którzy optowali za wyniesieniem wszystkich ludzi - i tych ZAN, i tych fizycznych - do stanu transcendencji.

Dostawca wziął zlecenie od szerokiej koalicji konserwatywnej, hołdującej filozofii, że sprawy powinny biec tak jak dotychczas - choć stale toczyły się ożywione wewnętrzne dyskusje, w jaki sposób to osiągnąć. Podjął się zadania, bo podzielał te poglądy. Gdy za paręset lat w końcu się załaduje, sam zwiąże się z tą frakcją. Tymczasem był jednym z ich nieoficjalnych przedstawicieli w fizycznej Wspólnocie.

Terminal był prostym sferycznym pomieszczeniem, w którym znajdowała się kula o promieniu pięćdziesięciu metrów; jej powierzchnia jarzyła się fiołkowym promieniowaniem Cherenkowa, emitowanym przez egzotyczną materię użytą do utrzymania stabilności wormholu. Dostawca prześlizgnął się przez bezbarwną warstwę fotonów i natychmiast wyłonił się z powierzchni sfery na St Lincoln. Stara przemysłowa planeta nadal była główną bazą wytwórczą dla Światów Centralnych i zachowała status węzła komunikacyjnego sieci lokalnych wormholi. Mężczyzna pojechał metrem tranzytowym do wormholu na Lytham, jednego z najbardziej oddalonych od Ziemi Światów Centralnych. Tylko Światy Centralne były połączone założoną dawno temu siecią wormholi. Światy Zewnętrzne zbyt sobie ceniły swoją kulturalną i ekonomiczną niezależność, by mieć bezpośrednie wormholowe połączenie ze Światami Centralnymi; z nielicznymi wyjątkami podróże odbywano statkami międzygwiazdowymi.

Dwumiejscowa kapsuła przewiozła Dostawcę do wyznaczonego statku. Sunęła między dwoma długimi rzędami lądowisk, na których parkowały rozmaite statki. Były tam smukłe jak igły wycieczkowce, ale też stumetrowe pasażerskie liniowce

kursujące na trasach komercyjnych, zdolne pokonać nawet sto lat świetlnych. Większość miała hipernapędy, ale niektóre większe pojazdy handlowe używały stałych generatorów wormholi - rozwiązanie wolniejsze, ale bardziej opłacalne na krótkich lotach do sąsiednich gwiazd. Nigdzie nie było statków towarowych - Lytham to planeta Elewatów i ani nie produkowała, ani nie importowała towarów.

„Sprytny Kombinator” parkował przy końcu szeregu. Zadziwiająco przysadzisty chromowo fioletowy ovoid miał dwadzieścia pięć metrów wysokości i stał na pięciu guzowatych cebulach, które utrzymywały szeroką podstawę statku trzy metry nad betonem. Gładka i jednolita powierzchnia kadłuba nie zdradzała, co się pod nią kryje. Wyglądał jak typowy prywatny statek z hipernapędem, należący do firmy albo do jakiegoś bogatego osobnika ze Świata Zewnętrznego. Albo do jakiejś rady Elewatów z przywilejami dyplomatycznymi. Z tyłu lądowiska wystawała niezgrabna metalowa wieża zasilająca; odchodziły od niej dwa cienkie pępowinowe węże podłączone do gniazda serwisowego statku, które napełniały zbiorniki syntezy podstawowymi chemikaliami.

Dostawca odesłał kapsułę na postój w budynku recepcyjnym i wszedł pod statek. U-adiunkt wywołał smartkor statku i potwierdził tożsamość Dostawcy. Po skomplikowanej procedurze weryfikacji kodu i DNA smartkor uznał, że Dostawca ma uprawnienia do przejęcia statku. Pośrodku podstawy statku otworzyła się śluza - wgłębienie, które ciemnym tunelem rozciągało się w górę. Ciężenie wokół Dostawcy zmniejszyło się, potem powoli zmieniło kierunek i wciągnęło go do środka. Wyłonił się w pojedynczej, pośredniej, półkolistej kabinie inercyjnej wyłożonej ciemnym, gąbczastym w dotyku materiałem. Widział wewnątrz, gdyż nad głową jaśniały wąskie żebra przyćmionego niebieskiego światła. Pod stopami śluza zamknęła się szczelnie. Uśmiechnął się, czując moc kryjącą się za grodzią. Statek podłączył się do niego na jakimś zwierzęcym poziomie, obszedł i przechytrył jego całą mądrość i elewackie opanowanie. Dostawca z rozkoszą myślał o mocy, jaką mu dano

do dyspozycji. Swoboda lotu przez galaktykę. Ekstremalna forma wolności.

Dziewczynki byłyby taką podróżą zachwycone.

- Daj mi coś do siedzenia - polecił smartkorowi. - Włącz światła i aktywuj funkcje sterowania lotem.

Z podłogi wyrósł fotel akceleracyjny, świetne żebra pojaśniały i na ścianach kabiny ujawniła się sieć wyrytych czarnych linii. Dostawca usiadł. Wskoczyły egzoobrazy pokazujące status statku. U-adiunkt uzyskał od zarządu kosmoportu pozwolenie na start, Dostawca wyznaczył trasę lotu na Ellezelin, odległy o dwieście piętnaście lat świetlnych. Pępowinowe węże wycofały się do wieży zasilającej.

- Startujemy - powiedział smartkorowi.

Generatory kompensujące utrzymywały w kabynie stałe ciężenie, gdy „Sprytny Kombinator” wznosił się na regrawie. Na wysokości pięćdziesięciu kilometrów, gdzie przebiegała granica regrawu, smartkor przełączył się na ingraw. Dostawca eksperymentował z wewnętrznym układem kabiny, rozszerzał ściany i wysuwał meble. Ciemne linie płynęły i rozkwitały, tworząc mnóstwo kombinacji. Mogły tu powstać maleńkie sypialnie z łazienkami aż dla sześciu pasażerów. Kabina była wprawdzie bardzo plastyczna, ale każdy wystrój stanowił w zasadzie odmianę saloniku. Jeśli miałbym z kimś podróżować - a co dopiero z pięcioma innymi osobami - to musieliby to być bardzo dobrzy przyjaciele, pomyślał Dostawca.

Tysiąc kilometrów nad kosmoportem „Sprytny Kombinator” osiągnął prędkość nadświatłą, zniknął w szczelinie pola kwantowego z implozją fotonów, która wciągnęła całe zabłąkane promieniowanie elektromagnetyczne w promieniu kilometra od kadłuba statku. Zwykłe ludzkie zmysły nie odczuwały żadnej różnicy, mógłby być równie dobrze w komorze podziemnej, a grawitacja zachowywała doskonałą stabilność. Czujniki dawały uproszczony obraz trajektorii w odniesieniu do dużych mas czasoprzestrzeni, kreśliły gwiazdy i planety w sposób, w jaki ich sygnatura kwantowa wpływała na przecinające się pola, przez które leciał statek. Początkowa prędkość wynosiła gładkie

piętnaście lat świetlnych na godzinę - niemal granica osiągu hipernapędu - co wyrafinowana sieć obserwacyjna planety Lytham potrafiła śledzić nawet z odległości kilku lat świetlnych.

Dostawca poczekał, aż znaleźli się trzy lata świetlne poza siecią i kazał smartkorowi przyśpieszyć. Ultranaopędy nadały „Sprytnemu Kombinatorowi” fenomenalną prędkość pięćdziesięciu pięciu lat świetlnych na godzinę i Dostawca aż się wzdrygnął. Dotychczas tylko dwa razy leciał statkiem z ultranaopędem. Niewiele istniało takich statków. ZAN nigdy nie udostępnił techniki ich konstrukcji Światom Centralnym i Dostawca skrupulatnie unikał pytania, w jaki sposób frakcja konserwatywna uzyskała dostęp do tego egzemplarza.

Dwie godziny później zredukował prędkość do piętnastu lat świetlnych na godzinę i pozwolił, by sieć ruchu Ellezelina wykryła ich podejście z hiperprzestrzeni. Użył transwymiarowego kanału (TD) dostępu do planetarnej sfery danych i poprosił o pozwolenie lądowania w kosmoporcie Riasi.

Dawna stolica Ellezelinu znajdowała się na północnym wybrzeżu Sinkangu. Przepływała przez nią rzeka Camoa. Dostawca obserwował miasto, gdy statek nurkował do głównego kosmoportu zbudowanego na planie pajęczej sieci z planetarnym parlamentem pośrodku. Jego budynek nadal tam stał; wspinała struktura z wieżami i przyporami o ciekawej fakturze z dawnych i nowoczesnych materiałów. Jednak władze planety urzędowały głównie na Makkathranie². Tam też przenieśli się starsi oficjele i ich urzędy, a wraz z nimi handel i przemysł. Tylko sektor transportowy miał w Riasi silną reprezentację. Do kosmoportu podczipione były wormhole łączące planety Ellezińskiej Strefy Wolnego Handlu i był to najważniejszy węzeł handlowy w tym sektorze.

„Sprytny Kombinator” osiadł na lądowisku różniącym się nieco od tego, z którego wystartował zaledwie trzy godziny temu. Dostawca zapłacił za parkowanie na miesiąc z góry używając anonimowej monety kredytowej. Nie chciał podłączenia

pępowinowego. U-adiunkt wezwał taksówkę. Gdy Dostawca na nią czekał, wywołano go z Frakcji Konserwatywnej.

- Na Ellezelinie widziano Mariusa.

Dostawca wzdrygnął się dzisiaj po raz drugi.

- To było chyba nieuniknione. Wiecie, dlaczego tu jest?

- Wesprzeć Kleryka Konserwatora. Ale nie mamy pewności, o jakie dokładnie wsparcie chodzi.

- Rozumiem. Jest tu w kosmoporcie? - spytał ostrożnie.

Nie był agentem pierwszej linii, ale jego biononika posiadała bardzo zaawansowane funkcje polowe, na wypadek gdyby miał się spotkać z agresją. Musieli mieć odpowiedniki wszystkiego, co Marius mógłby wygenerować. Ale nie należało się spodziewać przemocy, to byłoby bardzo niezwykle. Agenci frakcji nie wyrównywali rachunków za pomocą agresji fizycznej. Takich rzeczy się nie robiło.

- Raczej nie. Złożył wizytę Klerykowi Konserwatorowi godzinę po elekcji. Potem zniknął z pola widzenia. Informujemy cię o tym, żebyś zachował ostrożność. Progresywiści nie powinni wiedzieć więcej o naszych interesach, niż sami pozwalają nam się dowiedzieć o swoich. Wyjedź stąd jak najszybciej.

- Zrozumiałem.

Taksówka kapsułowa zawiozła go do potężnego terminalu pasażerskiego. W Zjednoczonych Liniach Wspólnoty Dostawca sprawdził, kiedy jest najbliższy lot do Akimiski, najbliższego ze Światów Centralnych. Gdy czekał w salonie odlotów wychodzącym na olbrzymią halę centralną, miał włączone funkcje skanowania i sprawdzał, czy przypadkiem nie ma tu Mariusa. Czterdzieści minut później pasażerowie zaczęli wchodzić na pokład. Ani śladu Mariusa czy innego agenta Elewatów.

Dostawca rozlokował się w swoim przedziale pierwszej klasy. Odczuwał wielką ulgę. Statek pasażerski miał hipernapęd i podróż do Akimiski zajmie piętnaście godzin. Stamtąd dostawca odbędzie szybki wypad na Oronsay - dla zachowania pozorów. Jak mu dopisze szczęście, wróci na Ziemię za niecałe dwa dni. Na weekend. Będą mogli zabrać córki do południowego rezerwatu

na Nowej Zelandii. Dziewczynki będą zachwycone.

Bar Rakas zajmował całe drugie piętro okrągłej wieży w dzielnicy Abad w Makkathranie². A więc naturalnie ten sam budynek w Makkathranie miał również bar na drugim piętrze. To, co Aaron widział w snach Iniga, sugerowało, że tu oświetlenie i meble są lepsze, a już na pewno nie ma tak powszechnego brudu, wszechobecnego w oryginalnym mieście. Budynek wykorzystywało wielu odwiedzających go wiernych, którzy przypuszczalnie byli nieco rozzarowani tym, jak mały jest ośrodek ich ruchu w porównaniu ze wspaniałą metropolią Wielkiej Wspólnoty. Również wybór drinków był tu znacznie bogatszy; archetyp nie mógł się takim poszczycić.

Aaron przypuszczał, że właśnie dlatego ex-radna czcigodna Corrie-Lyn ciągle tu wracała. Już trzeci wieczór siedział przy stoliku w rogu i obserwował ją, jak przy barze pochłania imponujące ilości alkoholu. Nie była dużą kobietą, ale jako osoba o szczupłej sylwetce na pierwszy rzut oka wydawała się wyższa niż w rzeczywistości. Skórę koloru kości słoniowej pokrywała masa piegów, najgęściej na szerokim pasie wokół oczu. Jej gęste włosy były rude - tak ciemnego odcienia nigdy nie widział.

W zależności od oświetlenia ich barwa zmieniała się od błyszczącego mahoni do kasztanu ze złotymi refleksami. Krótko obcięte włosy mocno się kręciły. W ich obramowaniu jej delikatna twarz wyglądała jak u szczególnie diabolicznej nastolatki. A kobieta miała w rzeczywistości trzysta siedemdziesiąt lat. Wiedział, że nie jest Elewatką, więc musiała mieć doskonały metabolizm Awangardów, co prawdopodobnie wyjaśniało, dlaczego potrafiła upić każdego kompana od kieliszka.

Po raz czwarty tego wieczora jeden z wiernych - ale nie nadzwyczaj pobożnych - podszedł do niej, by spróbować szczęścia. Przecież dobrzy obywatele Makkathranu prowadzili bardzo zdrowe aktywne życie seksualne. Inigo to pokazał. Facet był z grupą kumpli; siedzieli przy dużym oknie z szelmowskimi

uśmiechami i dyskretnie chichocząc, obserwowali, jak ich przyjaciel przysiadł się do kobiety. Corrie-Lyn nie miała na sobie szaty Kleryka, bo w takim wypadku nigdy by się nie odważył podejść do niej nawet na dziesięć metrów. Prosta fioletowa sukienka, rozcięta pod pachami odsłaniała ponętny kawałek ciała. To nakręcało chłopaka. Kobieta wysłuchiwała go bez komentarza i skinęła głową, gdy zaproponował, że postawi jej drinka. Potem dała znak barmanowi.

Aaron chciałby do nich podejść i odciągnąć chłopaka. Aż przykro było patrzeć. Identyczną scenę widział wiele razy podczas poprzednich wieczorów. Podeszedł barman z dwoma sporymi kieliszkami i zmrożoną butelką złotego Adler 88Vodka. Wyprodukowana na Vitcheń, nie miała wiele wspólnego z oryginalną ziemską wódką poza tym, że też dawała kopa. Uzyskana z sezonowych winogron Adler w osiemdziesięciu procentach składała się z alkoholu, a w ośmiu procentach z tricetholynu, mocnego narkotyku. Barman napełnił obie szklaneczki i odszedł, zostawiając butelkę.

Corrie-Lyn uniosła swoją szklaneczkę w geście pozdrowienia i opróżniła ją jednym haustem. Chłopak pełen optymizmu poszedł w jej ślady. Wlał w siebie palący lodowaty płyn i zareagował krzywym uśmiechem. Corrie-Lyn ponownie napełniała szklanki. Wzniosła swoją i chłopak z pewnym niepokojem zrobił to samo. Wypiła do dna.

Spod okna dobiegł śmiech mężczyzn. Chłopak osuszył szklankę. W oczach pojawiły mu się łzy. Odruchowo zadrżał, jakby tłumił w piersi kaszel. Corrie-Lyn nalała obojgu po raz trzeci z automatyczną precyzją. Wypiła jednym haustem. Chłopak machnął dłonią zniechęcony i wrócił do kolegów przy akompaniamencie drwin. Na Aaronie nie robiło to wrażenia. Poprzedniego wieczoru jeden z niedoszłych zalotników wytrzymał pięć kolejek, po czym wycofał się pokonany.

Corrie-Lyn szurnęła butelkę przez kontuar; barman przejął ją zręcznie i odstawił na półkę. Kobieta oparła łokcie na blacie przy wysokiej szklanicy, popijała swoje piwo i znów wpatrywała się w nicość.

Obserwując ją, Aaron musiał przyznać, że zabieganie o względy Corrie-Lyn nie ma nic wspólnego z subtelnym uwodzeniem. Będzie miał tylko jedną szansę i jeśli ją szchrani, straci wiele dni, czekając na następną okazję. Wstał i podchodząc do kobiety, wyczuwał emisję gąjasfery, zredukowaną do minimum. Było to jak powiew polarnego powietrza; od chłodu aż dostał dreszczy. Jej postać w eteralnym polu była czarna, rzekłbyś - szczelina w przestrzeni międzygwiazdnej. Już tylko to większość ludzi skłoniłoby do ostrożności. A na pewno nie warto stawać do upokarzających zawodów przy Adler88. Usiadł na stołku zwolnionym przed chwilą przez chłopaka. Odwróciła się i spojrzała na niego lekceważąco. Z obelżywą obojętnością zmierzyła wzrokiem jego tani strój.

Aaron przywołał barmana i poprosił o piwo.

- Wybacz mi pani, że nie poddam się rytualnemu poniżeniu - powiedział. - Nie przyszedłem tu, żeby dostać się w pani majteczki.

- Tanga. - Nie patrząc na niego długo piła swoje piwo.

- To... co? - Nie przygotował się na taką odpowiedź.

- W moje tanga.

- Poczuję gwałtowne powołanie do pani religii.

Uśmiechnęła się do siebie i zabełtała resztkami piwa.

- Miał pan dość czasu, tkwi pan tu już parę dni.

Przyniesiono mu piwo i Corrie-Lyn w milczeniu zamieniła swoją pustą szklanekę na pełną. Aaron podniósł palec na barmana. - Jeszcze jedno. Niech będą dwa.

- To nie religia - stwierdziła.

- Oczywiście, że nie, jak mogłem tak sądzić? Szaty kapłanów. Oddawanie czci zaginionemu prorokowi. Obietnica zbawienia. Ofiary pieniężne dla świątyni. Udział w Pielgrzymce. Przepraszam, łatwo się pomylić.

- Mów tak dalej jak tamten pozaświatowiec, a przed świtem wylądujesz w kanale głową w dół.

- Głową w dół czy bez głowy?

Corrie-Lyn wreszcie spojrzała na niego, i to uważnie. Jej uśmiech idealnie komponował się z jej łobuzerskim wdziękiem.

- Na Wszechświat Ozziego, o co ci chodzi?
 - Żeby się pani bardzo wzbogaciła.
 - A dlaczego ci na tym zależy?
 - Żebym ja stał się jeszcze bogatszy.
 - Nie jestem dobra w skokach na bank.
 - Tak, domyślam się, że nie uczą tego w seminarium duchownym.
 - Duchowni proszą, żebyś wierzył. Możemy cię zabrać prosto do nieba, nawet dajemy ci tam zerknąć, żebyś wiedział, co dostajesz.
 - I właśnie my tu wchodzimy.
 - My?
 - Dalekie Czartery. Uważam, że wasza nie-religia potrzebuje obecnie statków kosmicznych, pani Radna Emerytowana.
- Corrie-Lyn zaśmiała się.
- Niebezpieczny z ciebie człowiek.
 - Zero niebezpieczeństwa. Tylko gorące pragnienie bogactwa.
 - Ale ja właśnie podążam do nieba w Pustce. Po co mi pieniądze Wspólnoty?
 - Nawet Chodzący po Wodzie używał pieniędzy. Ale nie zamierzam się z panią sprzeczać na ten temat. I w ogóle z nikim. Przyszedłem tu z propozycją. Ma pani kontakty, ja ich potrzebuję, a wydaje mi się, że nie jest pani teraz zbyt zadowolona ze swoich dawnych kolegów w Radzie Kleryków. Może gotowa byłaby pani nagiąć nieco zasady etyczne tu i tam... zwłaszcza tu. Słusznie mówię, Radna Emerytowana?
 - Po co te formalne tytuły? Śmiało, idź na całość. Mów do mnie „ta z czarnej listy”. Wszyscy tak mówią.
 - Dziennikarskie błazny z unisfery wszystkich nas jakoś etykietują. Ale to nie znaczy, że nie znasz ludzi, którzy są mi potrzebni. - Postukał się po skroni. - Przypuszczam, że ciągle cieszysz się dostatecznym respektem w Sadowym Pałacu i zdołasz mi otworzyć niektóre drzwi. Czyż nie tak się to robi?
 - Możliwe. Więc jak się nazywasz?
 - Aaron.
- Uśmiechnęła się nad szklanką piwa.
- Na czele listy, co?

- Numer jeden, Radno Emerytowana. Mógłbym cię zaprosić na kolację? Będziesz się dobrze bawiła, grając mi na nosie, albo dasz mi numer swojego rachunku bankowego, żebym mógł go zapełnić. Proszę się nie śpieszyć z decyzją.

- Nie będę się śpieszyć.

Firma Dalekie Czartery była legalnie zarejestrowana na Falnox. Gdyby ktoś przeszukał jej datacore, dowiedziałby się, że obsługuje kilka tras kosmicznych oraz transport towarowy na siedem planet Zewnętrznych. Przedsiębiorstwo niewielkie, lecz dochodowe zatrudniało trzydzieści osób. Na szczęście dla Aarona zorganizowano tę prostą przykrywkę na wypadek, gdyby jej potrzebował. Nie wiedział, kto to zrobił. Nic go to nie obchodziło. Ale gdyby była to prawdziwa firma, jego wydatki miałyby poważne konsekwencje dla jej tegorocznych dochodów. Już trzeci wieczór stawiał Corrie-Lyn kolację z winem, z mocnym akcentem na wino. Potrawy też były najwyższej klasy. Lubiła „U Bertranda” w Wielkim Makkathranie; w porównaniu z tą restauracją Hotel Buckingham wyglądał jak nora dla gminu. Aaron nie wiedział, czy kobieta testuje jego determinację. A ona przeważnie była w takim stanie, że prawdopodobnie sama tego nie wiedziała.

Ubierała się jednak dobrze. Dziś miała na sobie prostą małą czarną, która kończyła się uwodzicielskim rąbkiem mgły, falujący zalotnie za każdym razem, gdy kobieta poruszała nogami. Ich stolik stał w idealnie przezroczystym wykuszu na siedemdziesiątym drugim piętrze; mieli niezmodyfikowany daleki widok na rozległe nocne miasto. Poniżej bezpośrednio pod Aaronem przemykały kapsuły. Poruszały się po wyznaczonych trasach w potoku jasnych nawigacyjnych świateł stroboskopowych. Gdy Aaron opanował niesamowity lęk wysokości, który wywoływał mrowienie w nogach, panorama okazała się pobudzająca. Siedmiodaniowy posiłek był rozkoszą dla zmysłów. Każdej potrawie towarzyszyło wino specjalnie dobrane przez szefa kuchni. Kelner się poddał: nie nalewał już Corrie-Lyn wina do kieliszka, tylko zostawiał dla niej butelkę na stole.

- Był nadzwyczajnym człowiekiem - powiedziała Corrie-Lyn, gdy skończyła jeść tort z czekolady i liści gilwiśni. Znów mówiła na swój ulubiony temat. Łatwo ją było skłonić do rozmowy o Inigu.

- Ktoś, kto w ciągu paru wieków potrafił stworzyć ruch taki jak Żywy Sen, musi być osobą niezwykłą.

- Nie, nie. - Corrie-Lyn przecząco potrząsnęła kieliszkiem. - Nie o to chodzi. Jeśli ktoś z nas, ty lub ja, otrzymalibyśmy te sny, Żywy Sen i tak by powstał. Sny inspirują ludzi. Każdy sam widzi, jak piękne, proste życie można prowadzić w Pustce, jak można je doskonalić, choćbyś był głupi czy popieprzony, i nieważne, ile to potrwa. Można to zrobić tylko wewnątrz Pustki, więc jeśli to ludziom obiecasz, na pewno zbierzesz mnóstwo wyznawców. To nieuniknione. A mnie chodzi o samego człowieka. Pan Nieprzekupny. To rzadkość. Większość ludzi nadużywałaby takiej władzy. Ja bym nadużywała. A Ethan jak cholera. - Nalała sobie resztę dwuipółwiekowego mithańskiego porto do równie antycznych kryształowych kieliszków.

Aaron uśmiechnął się zaciśniętymi wargami. Wykuszał był z jednej strony otwarty na główną salę, a Corrie-Lyn jak zwykle miała już w czubie.

- Dlatego Inigo ustanowił hierarchię na wzór zakonu mnichów. Nie żeby seks był zabroniony. Było go mnóstwo. - Zachichotała. - Nie powinno się wykorzystywać swojej przewagi nad zdesperowanymi wiernymi. Pieprzysz wśród ludzi na swoim poziomie.

- Jak na razie standardowo.

- Oczywiście nie byłam bardzo cnotliwa. Ja i Inigo mieliśmy romans. Wiedziałaś o tym?

- Chyba wspomniałaś o tym raz czy dwa.

- I dlatego się do mnie dowalasz?

- Nie dowalam się, Corrie-Lyn.

- Szczupła i wysportowana. - Oblizwała wargi. - Taka jestem, przyznasz?

- Jak najbardziej. - W istocie nie chciał przyznać, jak bardzo jest atrakcyjna. Na szczęście jej pijaństwo skutecznie neutralizowało

ewentualne impulsy seksualne. Jej towarzystwo już po godzinie przestawało być przyjemne.

Corrie-Lyn zwiesiła głowę i się zaśmiała.

- Tak, to cała ja. Więc... mieliśmy romans, romansik. Jasne, spotykał się z innymi kobietami. Na Ozziego, biedaczysko, miliard kobiet pragnęło z niego ciuchy i mieć z nim dziecko. A ja to też lubiłam, to znaczy, do diabła, Aaron, w porównaniu z niektórymi wyglądałam jak poczwara.

- Mówiłaś chyba, że był nieprzekupny.

- Bo był. Tylko mówię, że nie wykorzystywał okazji. Ale był człowiekiem. Ja też. To rozrywka, i tyle. Sprawa, wizja. Temu był wierny, dał nam sny o Pustce. Wierzył. Szczerze wierzył w to, co mu pokazano. Pustka to naprawdę lepsze miejsce dla nas wszystkich. Ja też dzięki niemu uwierzyłam. Zawsze byłam lojalnym wyznawcą. Miałam wiarę. Wtedy właśnie go spotkałam, zobaczyłam jego wiarę, oddanie i to mnie skłoniło, by zostać prawdziwym apostołem. - Dopięła portu i odchyliła się na krześle.

- Jestem fanatyczką. Prawdziwą fanatyczką. Dlatego Ethan wyrzucił mnie z Rady. Nie lubi starej gwardii, tych, co zachowali wierność. Więc, mój panie, zachowaj dla siebie te swoje protekcyjne bzdury, ty sukinsynu, w dupie mam twoje poglądy. Nienawidzę twojego przemądrzałego kręactwa. Nie wierzysz i dlatego jesteś zły. Założę się, że nigdy nie doświadczyłeś jego snu. To błąd, bo sny są rzeczywiste. Dla ludzi Pustka to niebo.

- Mogłaby być niebem. Pewności nie ma.

- Właśnie! - Machała palcem, z trudem koncentrując wzrok. - Cały czas to samo. Protekcyjne bzdury. Nie jesteś tak głupi, żeby się ze mną zgodzić, co to, to nie, ale chcesz mnie sprowokować, żebym cię nawracała. Tak kombinujesz, żebym cię zbawiła.

- Mylisz się. Chodzi tylko o pieniądze.

- Ha! - Wzniosła pustą butelkę portu i spojrzała na nią ponuro.

Aaron nigdy nie miał pewności, w jakim stopniu ta kobieta się kontroluje. Zaryzykował pytanie:

- Jeśli Pustka to zbawienie, to dlaczego wyjechał? Nie

spodziewał się takiej reakcji. Corrie-Lyn załkała.

- Nie wiem - zawodziła Corrie-Lyn. - Opuścił nas. Wszystkich nas opuścił. Gdzie jesteś, Inigo? Dokąd poszedłeś? Tak cię kochałam.

Aaron jęknął skonsternowany. Dyskretna kolacja zmieniła się w publiczny spektakl. Kobieta coraz głośniej szlochała. Wezwał pośpiesznie kelnera i przesiadł się obok niej, zasłaniając ją przed ciekawym wzrokiem pozostałych gości.

- No, chodźmy już - powiedział cicho.

Na trzydziestym pięttrze znajdowało się lądowisko, ale Aaron chciał ją trochę przegonić po świeżym powietrzu, więc pojechali windą prosto na parter wieżowca. Na bulwarze prawie nikogo nie było. Wąską, biegnącą środkiem drogę zakrywał częściowo rząd wysokich drzew. Chodnik oświetlały smukłe jarzące się łuki.

- Uważasz, że jestem atrakcyjna? - Bełkotała Corrie-Lyn, gdy za jego namową ruszyli na spacer.

Za wieżowcem stało kilka apartamentowców otoczonych ogrodami. Wśród łuków śmigały miejscowe nocne ptaki. Powietrze było ciepłe, a wilgotne powiewy znad morza przynosiły zapach ozonu.

- Bardzo atrakcyjna - zapewnił.

Zastanawiał się, czy powinien ją namówić, żeby zaczerpnęła trochę aerozolu detoksykacyjnego. Wziął go ze sobą na wszelki wypadek. Kłopot z pijakami tego typu polegał na tym, że nie chcieli zbyt szybko trzeźwieć, zwłaszcza gdy byli pogrążeni w wielkim żalu, jak Corrie-Lyn teraz.

- Więc dlaczego mnie nie podrywasz? Chodzi o picie? Nie podoba ci się, że piję? - Przystanęła i spojrzała na niego.

Lekko się chwiała, oczy zaszyły jej łzami. Wyglądała żałośnie. W rozpiętym płaszczu - chciała prezentować luksusową wieczorową suknię - wyglądała bardzo nieapetycznie.

- Najpierw interesy. - Miał nadzieję, że ona to zrozumie i się zamknie. Do diabła, szkoda, że nie zawołał taksówki z lądowiska wieżowca.

Chyba w końcu wyczuła jego rozdrażnienie, bo szybko się odwróciła i zaczęła iść.

Na chodniku zaledwie pięć metrów przed nimi pojawił się człowiek w jednoczęściowym kombinezonie z resztkami czarnej maskującej powłoki, która wirowała jak woda w niskiej grawitacji. Aaron przeskanował otoczenie funkcjami pełnego pola. Z tyłu szło na niego jeszcze dwóch ludzi; po drodze zrzucali powłoki. U Aarona procedury walki gładko przestawiły się w stan aktywności, organizując teren akcji. Pierwszy osobnik z grupy został oznaczony jako Jeden. Prawdopodobieństwo osiemdziesiąt procent, że to dowódca. Jego podwładni dostali identyfikatory Dwa i Trzy. Egzooobraz bliskiego zasięgu pokazywał Aaronowi, że cała trójka promieniuje modyfikacjami wzbogacającymi. Aaron odprężył się. Dążyli do konfrontacji, więc odbierali sobie jakikolwiek wybór. Czyli wynik mógł być tylko jeden. Aaron czekał na nich, by dali mu maksymalną okazję do skutecznego ataku.

Corrie-Lyn mrugała oszołomiona, wpatrując się w człowieka Jeden. Przyciskała do brzucha małą szkarłatną torebkę.

- Nie widziałam cię. Gdzie byłeś?

- Nie wygląda pani zbyt dobrze, Wasza Wysokość - odparł Jeden. - Może by pani poszła za nami?

Corrie-Lyn przywarła plecami do boku Aarona, zmniejszając o jedną trzecią jego siłę uderzeniową.

- Nie, nie chcę - jęknęła.

- Naraża pani Żywy Sen na złą sławę, Wasza Wysokość - stwierdził Jeden. - Czy Inigo by tego chciał?

- Znam cię - powiedziała straszonym głosem. - Nie idę z tobą. Aaron, nie opuszczaj mnie. Proszę.

- Nikt nigdzie nie pójdzie wbrew własnej woli.

Jeden nawet na niego nie spojrział.

- Ty. Spierdalaj. Jeśli chcesz jeszcze rozmawiać z jakimś radnym o interesach, to teraz bądź inteligentny i splywaj.

- A więc o to chodzi - powiedział Aaron przyjaźnie. - Jestem tak głupi, że nie mogę sobie pozwolić na podrasowanie IQ, gdy przyjdzie pora regeneracji, więc na zawsze zostanę taki, jaki jestem.

Dwa i Trzy stanęli teraz z tyłu bardzo blisko niego. Obaj

wyciągnęli małe pistolety. Procedury Aarona zidentyfikowały ich hardware jako pistolety żelowe. Broń skonstruowana półtora wieku temu śmiertelnie raziła w krótkim zasięgu: zamieniała ludzkie ciało w żel. Aaron czuł, jak akceleranty przemykają przez jego neurony, przyśpieszając czas reakcji umysłu. Synchronizowały się z nimi bioniczne prądy energii, które odpowiednio wzmacniały odpowiedź narządów fizycznych. W efekcie Aaron mógł z łatwością przewidzieć, co usłyszy, zanim Jeden skończył zdanie.

- W takim razie współczuję. - Jeden wysłał do podwładnych wiadomość, którą Aaron przechwycił.

Trywialnie kodowaną. Nie musiał jej nawet rozszyfrowywać. Obaj podnieśli pistolety. Procedury walki gładko przemieszczały Aarona. Obrócił Corrie-Lyn, usuwając ją z drogi, a sam się pochylał. Pierwszy strzał z pistoletu Dwójki przeszył powietrze w miejscu, gdzie przed sekundą była głowa Aarona. Promień trafił w mur, z którego strzyknął strumień betonowego pyłu. Aaron wysunął błyskawicznie stopę i roztrzaskał kolano Trójki. Ich pola siłowe zderzyły się z piskiem, elektrony rozbłyły rozetą błękitnobiałego światła. Aaron kopnął z taką szybkością i mocą, że zdeformował ochronę przeciwnika. Noga Trójki została zmiażdżona i całe jego ciało przechyliło się na bok. Prądy energii Aarona stworzyły impuls dystorsyjny, który zaatakował Jedynekę. Ten, pchnięty sześć metrów na mur ogrodu, walnął głucho o ścianę. Jego naprężone pole siłowe wypchnęło niebezpieczną aureolę o barwie siniaka, gdy gromił go kolejny impuls dystorsyjny, którym Aaron chciał przepchnąć wroga przez mur. Pod wpływem uderzenia plecy Jedyńki wygięły się, a jego pole siłoweomal się nie zdekonstruowało.

Dwójka przesunął pistoletem, usiłując namierzyć cel poruszający się z nadludzką prędkością. Wzmocnione zmysły Dwójki ujawniały tylko rozmyty kształt - to Aaron tańczył po ścieżce, z niewyraźnej smugi zmaterializowała się jego ręka i zadała mu cios w szyję, przeciążając pole siłowe. Kark Dwójki momentalnie trzasnął, ciało przeleciało w powietrzu. Równocześnie Aaron przechwycił pistolet z ręki Dwójki,

wykręcając mu palce z odgłosem płynnego chrzęstu. W ułamku sekundy Aaron znów się obrócił. Jego pole siłowe rozciągnęło się aż do ziemi jak kotwica usuwająca bezwładność, dzięki czemu mógł natychmiast zatrzymać się w miejscu. Wymierzył w oszołomionego Jedynekę, który chwiejnie wstawał na nogi. Na chodnik kapąca krew z odciętych palców. Jedyneka zamarł, nerwowo dyszał, wpatrzony w lufę. Aaron otworzył dłoń i palce ześlizgnęły się po pistolecie.

- Kim oni są? - krzyknął do Corrie-Lyn, która upadła na wilgotną trawę. Patrzyła na Jedynekę oszołomioną. - Kto to?

- Po... policja. To kapitan Manby ze specjalnego oddziału ochrony.

- Zgadza się. - Manby oddychał ze świstem, krzywiąc się z bólu. - Więc odłóż tę cholerną broń. Wdepnąłeś w gówno tak głęboko, że nigdy już nie zobaczysz kosmosu.

- No to do zobaczenia na samym dnie. - Aaron nacisnął spust, przytrzymując go w trybie ciągłego ognia. Do ognia zaporowego dodał własny impuls dystorsyjny. Pole siłowe Manby'ego wytrzymało prawie dwie sekundy, gdy wreszcie się zapadło. Impulsy pistoletu żelowego uderzyły w odsłonięte ciało. Aaron odwrócił się i znów strzelił, przeciążając pole Trójki.

Corrie-Lyn zwymiotowała, gdy na ziemię padały krwawe szczątki. Jęczała jak ranny kotek, gdy Aaron postawił ją na nogi.

- Musimy stąd iść - krzyknął do niej. Wyrwała mu się z uścisku. - Idziemy! Ruszaj się! - Jego u-adiunkt przywoływał już taksówkę.

- Nie - kwiliła. - Nie, oni nie... zabiłeś ich. Zabiłeś.

- Nie rozumiesz, co to było? - Warczał na nią głośno, napastliwie. Używał agresji, by nie odzyskała równowagi. - Czy rozumiesz, co się stało? To był oddział zabójców. Ethan chce cię zlikwidować. Na zawsze. Nie możesz tu zostać. Będą cię prześladować. Corrie-Lyn, ja mogę cię ochronić.

- Mnie? - szlochała. - Chodziło im o mnie?

- Tak. Teraz chodźmy, tu nie jesteśmy bezpieczni.

- O, słodki Ozzie!

Potrząsnął nią.

- Rozumiesz?

- Tak - szepnęła. Drżała w szczególny sposób i Aaron pomyślał, że jest w lekkim szoku.

- Dobrze. - Ruszył w stronę lądującego pojazdu. Prowadził ją niepomierną, gdzie stąpa. Ledwo powstrzymywał uśmiech. Nawet gdyby to zaplanował, nie mógłby dziś osiągnąć lepszego rezultatu.

Pierwszy sen Iniga

Gdy Edeard się zbudził, jego sen już był poplątanym zanikającym wspomnieniem. Powtarzało się to każdego ranka. Bez względu na to jak bardzo się starał, nie mógł uchwycić nękających go w nocy obrazów i dźwięków. Akeem powiedział, by się tym nie martwić - jego sny to łagodne wycieki z innych uśpionych umysłów. Edeard nie wierzył, że rzeczy, które śnił, pochodzą z jego wioski lub czegoś, co wioskę przypominało. Fragmenty, jakie zdołał od czasu do czasu zapamiętać, wydawały się na to zbyt dziwne, zbyt fascynujące.

Przez szczeliny w drewnianych okiennicach sączyło się chłodne światło przedświt. Edeard leżał przez chwilę bez ruchu na swym wąskim łóżku, rozkoszując się ciepłem pod stosem koców. Znajdował się w obszernym pokoju o pobielonych ścianach i podłodze pokrytej gołymi deskami. Krokwie podpartego wspornikami sufitu zrobiono z martozowego drzewa, które w ciągu dziesięcioleci poczerniało i stwardniało do tego stopnia, że przypominało żelazo. Mebli stało tu niewiele - zajmowały najwyżej jedną trzecią powierzchni podłogi. Edeard ustawił je wszystkie pod szerokim oknem. W nogach łóżka stała prosta skrzynka, gdzie trzymał swoje nieliczne ubrania; na długim stole leżały wykonane z zapałem jego szkice możliwych zwierząt genistarowych. Obok kilka krzeseł oraz toaletka z prostą białą umywalką i dzbanem wody. W rogu przeciwległym do łóżka, w wygasłym kominku, migotało na palenisku kilka węgielków. Tak wielkie pomieszczenie trudno było ogrzać, zwłaszcza w zimie, i Edeard widział delikatną parę swego oddechu. Ściśle biorąc, mieszkał w uczniowskim dormitorium Gildii Jajoformerów wsi Ashwell, ale był jego jedynym lokatorem. Mieszkał tutaj przez ostatnie sześć lat, od czasu gdy skończył osiem lat i zginęli jego rodzice - w podróży na wschód, przez wzgórza, dołączyli do karawany, którą zaatakowali bandyci. Później z karawany zabrał

go Mistrz Akeem, ostatni z pozostałych we wsi formerów.

Edeard owinał ramiona rękawami i podbiegł po zimnej podłodze do małego kominka z paleniskiem pod ceglany łuk. Nieco ciepła od żarzących się jeszcze węgla ogrzało ubranie, które Edeard pozostawił na oparciu krzesła. Wciągnął pośpiesznie znoszone spodnie, wcisnął za pas równie zniszczoną koszulę i z trudem wtoczył się w gruby zielony sweter. Jak zawsze pachniały stajnią i jej różnymi lokatorami. Woń sierści, pożywienia i klatek. Jednak po sześciu latach w Gildii tak się przyzwyczaił do tego zapachu, że niemal go nie zauważał. Wrócił na łóżko, by wciągnąć buty - teraz już naprawdę za małe. W ostatnich osiemnastu miesiącach przez stajnię przeszło więcej genistarów, a Edeard podjął obowiązki związane z oficjalnymi zamówieniami, więc do ich małej filii Gildii Jajoformerów napłynęło o wiele więcej pieniędzy. Żaden majątek, ale wystarczyłoby na nowe ubranie i buty, jednak Edeard miał po prostu zbyt mało czasu, by się wybrać do szewca. Lekko się skrzywił, kiedy wstał i spróbował poruszyć ściśniętymi palcami nóg. Sprawa przedstawiała się źle. Stanowczo musi wykroić godzinę ze swego zatłoczonego dnia na wizytę u szewca. Ale nie dzisiaj. Uśmiechnął się.

Dzisiaj mieli ukończyć nową wioskową studnię. Gildia Jajoformerów odgrywała w tym projekcie wyjątkowo dużą rolę. Co więcej, rola ta polegała na wprowadzeniu innowacji. Edeard wiedział, ilu ludzi sceptycznie się do nich odnosi - praktycznie wszyscy. Ale mistrz Akeem spokojnie namówił radę starszych, by dała szansę jego młodemu uczniowi. Zgodzili się tylko dlatego, że nie mieli nic do stracenia.

Zszedł na dół i pośpieszył przez wąskie tylne podwórze do ciepłej jadalni Gildii. Podobnie jak sypialnia, pomieszczenie świadczyło o tym, że Gildia Jajoformerów mieściła lepsze okresy. Znacznie lepsze. Wielka jadalnia nadal mieściła dwa rzędy długich stołów; w świąteczne wieczory mogło przy nich zasiąść pięćdziesięciu formerów i ich goście. W odległym końcu pomieszczenia, po obu stronach ogromnego kominka wbudowano dwa piece do pieczenia mięsa - każdy z nich

pomieściłby całą świnie. Dzisiejszego ranka na palenisku rozniecono niewielki ogień podtrzymywany przez parę gemałp. Ludzie zwykle nie pozwalali genistarom zbliżyć się do otwartego ognia - były one równie płochliwe jak wszystkie ziemskie zwierzęta - ale polecenia Edearda były wystarczająco głęboko wprogramowane i klarowne, więc gemałpy nie czuły strachu podczas ich wykonywania.

Edeard usiadł przy stole, który stał najbliżej ognia. Prostą telepatyczną dalmową skierował do gemałp porcję instrukcji. Używał pidginowej wersji języka mentalnego Querencji; zwizualizował potrzebne czynności, dołączył proste polecenia, pozbawiając ich całkowicie kontekstu emocjonalnego (ludzie często o tym zapominali, a potem nie rozumieli, dlaczego genistary źle pracują). Gemałpy zaczęły się krzątać. Były dużymi stworzeniami, które z łatwością osiągały ciężar w pełni dorosłego ludzkiego samca. W dolnej części ciała miały sześć nóg, a w górnej sześć jeszcze dłuższych rąk, z których pierwsze dwie pary leżały tak blisko siebie, że wydawały się mieć wspólny staw barkowy. Trzecia para znajdowała się dalej z tyłu, na bardzo giętkich plecach. Ich ciało pokrywała szorstka biała sierść - na stawach i dłoniach wytarły się łaty, odkrywając skórzastą popielatą skórę. Profil łba nie różnił się od pozostałych wariantów genistarów - zwykła kula z pyskiem bardzo podobnym do pyska ziemskiego psa. Uszy mieściły się w dolnej części głowy, cofnięte ku kłocowatej szyi. Każde ucho wypuszczało trzy długie płatki pobrużdżonej skóry, tak cienkie, że aż przezroczyste.

Edeardowi szybko podano duży kubek herbaty, a potem trzy tosty, miskę z owocami i talerz jajecznicy. Jadł z apetytem, przyglądając się już w myślach krytycznej części dzisiejszej operacji na dnie studni. Dalwzrokiem zobaczył Akeema - starzec nadal znajdował się w domku, rezydencji przewidzianej dla starszych formerów, która przylegała do jadalni. Edeard potrafił już widzieć przez parę kamiennych ścian. Konstrukcje fizyczne, były dla niego jak cienie, zaś kryjące się za nimi umysły żarzyły się opalizująco. Widzenie o takiej sile było dostępne niewielu

dorośli. Akeem, niezwykle dumny ze zdolnego ucznia, twierdził, że to zasadniczo dzięki jego szkoleniu rozwinął się potencjał Edearda.

Stary former przekonał się, że gemałpy w jadalni przygotowały już dla niego śniadanie. Chrząknął przychylnie i ojcowsko ścisnął ramię Edearda.

- Czy poczułeś, jak wstaję w swojej sypialni, chłopcze? - spytał, wskazując gestem czekający na niego talerz parówek i pomidorów.

- Nie, proszę pana - odpowiedział ochotczo Edeard. - Jeszcze nie mogę przenikać przez cztery ściany.

- Już niedługo. - Akeem podniósł kubek z herbatą. - Rozwijasz się w takim tempie, że w środku lata będę musiał nocować za murami wioski. Każdemu się należy nieco prywatności.

- Nigdy bym się nie ważył podglądać - zaprotestował Edeard. Odprężył się i uśmiechnął z zakłopotaniem, kiedy w umyśle starego formera dostrzegł rozbawienie. Mistrz Akeem utrzymywał, że swoje sto osiemdziesiąte urodziny święcił kilka lat temu, choć o dokładnym roku tego wydarzenia zawsze wyrażał się ogólnikowo. Uważano, że długość życia na Querencii wynosi około dwustu lat, ale Edeard nie znał nikogo ani w Ashwell, ani w sąsiednich wsiach, kto rzeczywiście dożyłby tego wieku. Jednak Akeem bezsprzecznie miał swoje lata - świadczyły o tym okrągła twarz i przynajmniej trzy podbródki wiszące nad grubą szyją oraz siateczka czerwonych i fioletowych żyłek na twarzy. Żyłki na bladej skórze policzków i nosa nadawały mu wymizerowany wygląd. Rzadki siwy zarost pozostały po niedbałym goleniu nie łagodził twarzy mistrza; ci, co spotykali go po raz pierwszy, uważali, że ma oblicze osoby znękaney. Raz w tygodniu starzec tą samą brzytwą golił pozostałości swej srebrnej czupryny.

Mimo podeszłego wieku, zawsze zależało mu na eleganckim ubiorze. Jego osobiste gemałpy prały z dużą wprawą. Dziś miał na sobie czyste skórzane spodnie, wyglansowane buty oraz świeżo wypraną i wyprasowaną bladożółtą koszulę. Włożył marynarkę utkaną z zielonkawych oraz czerwonych włókien;

na klapie widniał herb Gildii Jajoformerów - jajo otoczone zdeformowanym okręgiem. Marynarka nie była tak imponująca jak szaty członków Gildii w Makkathranie, ale w Ashwell stanowiła symbol prestiżu i przysparzała mu szacunku. Żaden z innych starszych wioski tak dobrze się nie ubierał.

Edeard z zakłopotaniem zdał sobie sprawę, że odruchowo dotyka swojej odznaki młodszego ucznia - prostego metalowego guzika na kołnierzu. Odznaki podobnej do symbolu na klapie Akeema, ale jedynie z ćwiercią okręgu. Często zapominał ją przypiąć, a nawet gdy ją przypinał, to i tak nikt nigdy nie okazywał mu szacunku. Ale jeśli dzisiaj wszystko dobrze pójdzie, będzie miał prawo do odznaki z połową okręgu. Akeem twierdził, że nie pamięta nikogo, kto dla uzyskania stopnia starszego ucznia próbowałby tak złożonego formowania jak Edeard.

- Denerwujesz się? - spytał starzec.

- Nie - odpowiedział natychmiast Edeard. Potem schylił głowę. - W każdym razie w zbiorniku one działają.

- Oczywiście, że działają. Zawsze tak jest. Nasze prawdziwe umiejętności polegają na określeniu, co będzie działać w prawdziwym życiu. Z tego co widziałem, nie przewiduję żadnych problemów. Zwróć uwagę, że niczego nie gwarantuję. W życiu nie ma rzeczy pewnych.

- Co pan uformował na stopień starszego ucznia? - spytał Edeard.

- Ach... cóż, to było dawno temu. Wtedy sprawy wyglądały inaczej. Wszystko było bardziej formalne. W stolicy nadal tak jest. Podejrzewam, że wiele się tam nie zmieniło.

- Mistrzu Akeem! - błagalnie powiedział Edeard. Bardzo kochał staruszkę. Ale jakże on błądził myślami!

- Tak, tak. Jak sobie przypominam, na egzaminie wymagano czterech gepająków, i to działających. Musiały snuć drojedwab na prezentacji u Wielkiego Mistrza, więc wszyscy formowali na wszelki wypadek przynajmniej sześć czy siedem. Musieliśmy także ukształtować wilka, szympansa i orła. Ach - westchnął - to były ciężkie czasy. Pamiętam, że mój mistrz ciągle mnie bił. I w dormitorium musieliśmy się zrywać przed świtem.

Edeard był nieco rozczarowany.

- Ale ja potrafię zrobić gepajaki i całą resztę.

- Wiem. - Akeem z dumą poklepał chłopca po dłoni. - Ale obydwaj wiemy, że masz talent. Młodszy uczeń zazwyczaj w wieku siedemnastu lat podejmuje takie zadania egzaminacyjne jak ty, ale i tak większość formowań nie działa przy pierwszej próbie. Właśnie dlatego wyznaczyłem ci zadanie znacznie trudniejsze. Przekształcona forma, która działa, to standardowe zadanie egzaminacyjne przy promocji z ucznia na czeladnika.

- Naprawdę?

- O, tak. Oczywiście strasznie zaniedbałem pozostałe elementy nauczania Gildii. Nawet przymuszanie cię, byś siedział spokojnie i uczył się czytać, sprawiało wystarczająco wiele trudności. I naprawdę jesteś za młody, żeby studiować etykę Gildii i całą tę nudną starą teorię. Ale chyba wiele rzeczy rozumiesz na poziomie intuicyjnym. Dlatego właśnie po tym egzaminie nadal będziesz uczniem.

Edeard nachmurzył się.

- O jaką etykę chodzi przy formowaniu?

- Nie domyślasz się?

- Nie, chyba nie. Genistary to wielkie dobrodziejstwo. Pomagają wszystkim. Teraz, kiedy pomagam panu w rzeźbie, możemy wytworzyć więcej standardowych rodzajów niż przedtem, a wioska znowu będzie silna i bogata.

- Skoro masz się stać starszym uczniem, powinniśmy o tym pomyśleć. Jeśli naprawdę chcemy to zrealizować, będziemy potrzebowali więcej uczniów.

- Jest Sancja, a mały Evox posiada silną dalmowę.

- Zobaczymy. Kto wie? Może po dzisiejszym dniu zaczną nas bardziej akceptować. Rodziny niechętnie oddają nam swoje dzieci do szkolenia. A twój przyjaciel Obron wcale nam nie pomaga.

Edeard zaczerwienił się. Obron, główny wioskowy brutal, był ze dwa lata od niego starszy. Poza murami Gildii uwielbiał dręczyć Edearda. Edeard nie zdawał sobie sprawy, że Akeem o tym wie.

- Powinienem dać mu nauczki.

- Pani świadkiem, że ostatnio bardzo cię prowokował. Jestem dumny, że mu nie oddałeś. Jajoformerzy są z natury silnymi telepatami, ale część kursu etyki, którego właśnie ci brakuje, dotyczy nienadużywania naszej przewagi.

- Po prostu nie zrobiłem tego, ponieważ... - Wzruszył ramionami.

- Takie postępowanie nie byłoby właściwe i wiesz o tym - zakończył za niego Akeem. - Dobry z ciebie chłopak, Edeardzie.

Starzec patrzył na niego, a jego myśli tworzyły potężną kombinację dumy i smutku.

Taka bliskość silnych emocji, spowodowała, że Edeard musiał mruganiem usuwać wodę, która niespodziewanie napłynęła mu do oczu. Potrząsnął głową, jakby chciał się wyplątać z więzi z umysłem starca.

- Czy kiedyś ktoś taki jak Oberon nabijał się z pana, gdy był pan uczniem?

- Powiedzmy sobie po prostu, że jedną z przyczyn, dla których zamieszkałem w Ashwell było to, że moja interpretacja etyki różniła się od interpretacji Mistrzów z Niebieskiej Wieży. I proszę cię, pamiętaj, że choć jestem twoim Mistrzem i nauczycielem, wymagam także utrzymywania standardów Gildii. Jeśli ocenię, że się ich nie trzymasz, nie dostaniesz dzisiaj odznaki starszego ucznia. To dotyczy również zajmowania się zwykłymi obowiązkami.

Edeard odsunął od siebie pusty talerz i dopił herbatę.

- Więc lepiej już się nimi zajmę, Mistrzu.

- Obleję również każdego, kto nie okazuje szacunku.

Edeard naciągnął wełnianą czapkę - powietrze było dziś chłodne - i wyszedł na główny dziedziniec zabudowań Gildii. Dziedziniec był wyjątkowy - miał dziewięć boków. Siedem z nich tworzyły stajnie, dwa pozostałe - obora i wylęgarnia. Budynki różniły się rozmiarami. Edeard, kiedy tu się wprowadzał, był pod wrażeniem. Kompleks Gildii Jajoformerów był największym kompleksem budynków we wsi. Komuś takiemu jak on wychowanemu w małym domku z przeciekającą strzechą

wydawał się okazałym zamkiem. Nie dostrzegał wtedy grubego płaszcza kimchu płamiącego żywym fioletem wszystkie dachy; nie widział wszechobecnego i splątanego gurkwina, pokrywającego ciemne kamienne ściany postrzępionymi bladożółtymi liśćmi. Jego korzenie wgryzały się w zaprawę między głazami, osłabiając konstrukcję budynków. Dziś po prostu westchnął na ten widok i zastanawiał się, czy kiedykolwiek znajdzie czas, by wysłać gemałpy na misję oczyszczenia tego miejsca. Teraz była na to właściwa pora. Wszystkie liście gurkwina opadły i gromadziły się w rogach podwórza w gnijących stosach. Mech wchłaniał wilgoć tej pory roku, zmieniając się w wielką, łatwą do usunięcia gąbczastą masę. Jednak, tak jak wszystko w życiu, zadanie będzie musiało poczekać. Gdyby tylko Akeem znalazł drugiego ucznia, myślał smętnie Edeard. Spędzamy życie na gonieniu bieżących spraw. Wystarczyłaby jedna dodatkowa osoba w Gildii i sytuacja znacznie by się polepszyła.

Na to trzeba by było cudu samej Pani, przyznał niechętnie w duchu. Rodziny we wsi nie chciały, by ich dzieci szkolili się w Gildii Jajoformerów. Ludzie zdawali sobie sprawę ze swej zależności od genistarów, ale mimo to nie mogli sobie pozwolić na utratę rąk zdolnych do pracy. Wieś, tak jak Gildia, bardzo trudziła się, by przetrwać.

Edeard pospieszył przez dziedziniec do zbiorników, gdzie trzymano jego nowe, przekształcone koty. Na Panią, czemu wciąż mieszkam w tej zapadłej dziurze na skraju dziczy, zapytywał się w duchu. Po prawej miał największe stajnie, gdzie domyślniki człapały w swych boksach. Były to proste zwierzaki, nieukształtowane, składające jaja genistary, o rozmiarach ziemskich kucyków, z pękatymi ciałami podpartymi na sześciu nogach. Sześć szczątkowych górnych kończyn tworzyło guzy na grzbiecie stworzeń. Przeszło trzydzieści procent ciała samicy tworzyły jajniki, produkujące jaja regularnie, co piętnaście dni. Samce, w liczbie trzech, człapały wokół wielkiej zagrody w stajni, a samice trzymano w rzędzie piętnastu oddzielnych boksów. Po raz pierwszy od czasu, gdy Akeem zabrał go tutaj, wszystkie

boksy były zajęte, co sprawiało Edeardowi znaczną satysfakcję. Nawet tak znakomity Mistrz jak Akeem, który mimo swojego wieku wciąż posiadał wybitny talent, nie mógłby sam zadbać o piętnaście domyślników. Formowanie jaja zajmowało długi czas i Edeard miał tyleż groteskowych niepowodzeń, co sukcesów. Przede wszystkim trzeba było wybrać właściwy czas. Jajo musiało zostać uformowane nie wcześniej niż dziesięć i nie później niż dwadzieścia pięć godzin po zapłodnieniu. Długość formowania zależała od wybranego do utworzenia typu zwierzęcia.

Edeard często spędzał pół nocy w miękkim stajennym fotelu formera, z myślami skupionymi na jaju. Formowanie jaj, jak często opisywał to Akeem, przypominało kształtowanie niedotykalnej gliny niewidzialnymi rękami. Umiejętność była łagodną kombinacją dalwzroku i telekinezy. Tylko ci, których umysł postrzegał wewnątrz jaja idealnie czysto i jasno mogli zostać formerami. Edeard nie chciał się chwalić, ale widział wyraźniej od wszystkich we wsi. Wewnątrz skorupki dostrzegał jakby niewielki okaz domyślnego genistara, zrobiony z cieniejszej szarej substancji. Chłopak sięgał telekinetycznie i formował go w niemal dowolny kształt - ale powoli, tak frustrująco powoli. Istniały też ograniczenia. Nie mógł wyposażyć genistara w nic dodatkowego: dać mu siedem rąk, dwie głowy... Proces aktywizował tylko powstające struktury zawarte już w fizjologii domyślnika. Mógł także określić rozmiar, choć ten był częściowo zdefiniowany przez rodzaj kształtowanego zwierzęcia. W każdym standardowym rodzaju istniały podrodziny. Na przykład szympansy i małpy. Mnogie koniowate: wielkie, silne, szybkie, wolne. Długa lista, która musiała być idealnie zapamiętana. Formowanie było niezwykle trudne i wymagało ogromnego skupienia. Former musiał posiadać coś więcej niż niesamowitą zdolność wizualizacji i manipulacji. Musiał czuć, co robi, instynktownie wiedzieć, czy robi to prawidłowo, widzieć potencjał w zarodkowym genistarze. W mniejszych stworzeniach nie było miejsca na narządy rozrodcze, więc musiały one zostać wyłączone, należało również wybrać inne, właściwe organy. Ale

które? Nic dziwnego, że nawet Wielki Mistrz wytwarzał wielką liczbę wadliwych jaj.

Edeard szedł obok stajni domyślników i dalwzrokiem sprawdzał, czy gemałpy radzą sobie z karmieniem i usuwaniem gnoju. Kilka stało się niedbałych i nieporządných, więc szybkim poleceniem dalmowy odświeżył ich instrukcje. Nieco głębsze skanowanie dalwzrokiem ukazało mu stan jaj noszonych przez domyślniki. Z jedenastu uformowanych, trzy nosiły oznaki rodzących się problemów. Westchnął z rezygnacją. Dwa z nich formował sam.

Po domyślnikach przyszła kolej na konie. Ich stajnie obecnie mieściły dziewięć źrebaków, z których siedem rozwijało się w wielkie wytrzymałe bestie, przeznaczone do ciągnięcia pługów i wózków na okolicznych farmach. Większość zamówień dla Gildii Jajoformerów w Ashwell dotyczyła genistarów możliwych do wykorzystania w rolnictwie. Zwyczaj trzymania domowych gemałp i szympansów zanikał - według Edearda, po prostu dlatego, że ludzie nie poświęcali czasu, by nauczyć się, jak należy je instruować. Nie mieli zamiaru tu przychodzić i pobierać nauki od czternastolatka. Ogromnie go to irytowało. Był pewien, że wiejska gospodarka mogłaby się rozwinąć, gdyby go po prostu wysłuchali.

- Cierpliwości - radził mu Akeem, kiedy Edeard się wściekał na krótkowzrocznych durni, których mieli za sąsiadów. - Często, by czynić rzeczy słuszne, trzeba najpierw czynić rzeczy niesłuszne. Nadejdzie czas, kiedy będą się kierowali twymi słowami.

Edeard nie wiedział, kiedy to nastąpi. Nawet, jeśli dzisiaj osiągnie sukces, nie oczekiwał tłumu ludzi składających mu gratulacje i pytających go o zdanie. Był przekonany, że przeznaczone mu jest pozostać na zawsze dziwnym chłopcem, który mieszka sam ze świrowatym, starym Akeemem. Doskonale dobrana para, mówili wszyscy, którym się zdawało, że nie mogą ich osiągnąć swoim dalwzrokiem.

Zagroda dla małp i szympansów znajdowała się za tą dla koni. Zawierała tylko parę małp - niemowlaków, skulonych w swym gnieździe. Pozostałe znajdowały się wszędzie dookoła i

wykonywały swe zadania w kompleksie Gildii. Nie mieli żadnych zamówień na gemałpy; nawet kuźnia, gdzie pracowało ich pięć, nie chciała żadnych dodatkowych. Może powinienem przyprowadzić ludzi do budynków Gildii, myślał Edeard, pokazać im, co potrafią właściwie poinstruowane gemałpy. Lub przynajmniej mógłby im to pokazać Akeem. Po prostu coś, co przerwałoby cykl, sprawiło, że staliby się bardziej przedsiębiorczy. Marzenia dziwnego chłopca.

Po zagrodzie dla małą przysłała kolej na psiarnie. Gepsy cieszyły się popularnością, zwłaszcza te, które wykorzystywane były do pilnowania owiec i bydła. Dwie mleczne suki pielęgnowały osiem szczeniaków, które uformował sam Edeard. Pozwalało to dwóm domyślnikom na bezpośredni powrót do produkcji jaj, bez przedłużonego okresu karmienia. Zanim uformował pierwszą sukę, wyprodukował dwanaście wadliwych jaj. Tę innowację wprowadził po przeczytaniu informacji o mlecznych sukach w starych tekstach Gildii. Teraz chciał spróbować rozciągnąć ten system na wszystkie rodzaje genistarów. Akeem pomagał, przy wykluwaniu się pierwszej. Nieustępliwość Edearda zrobiła na nim równie silne wrażenie, jak jego umiejętności formera.

Główną bramę kompleksu wklinoowano między psiarnię a wilczarnię, gdzie dojrzewało sześć groźnych stworzeń. Wilki, zawsze użyteczne za murami wsi, wykorzystywano jako strażników Ashwell i wysuniętych domów farmerskich. Zabierano je także do lasów, na polowania. Pomagały wytępić miejscowe drapieżniki Querencji, a także okazjonalne grupy bandytów. Edeard zatrzymał się i zajrzał do środka. Gewilki były szczupłymi stworzeniami o ciemnoszarej sierści, która łatwo zlewała się z otoczeniem. W długich pyskach tkwiły ostre kły, które z łatwością mogły przegryźć średniej grubości konar, nie mówiąc już o kończynie z mięsa i kości. Ogromne szczeniaki miauczały z podnieceniem, kiedy przechylił się nad wielką furtką i je poklepał. Długie, wijące się języki polizwały mu dłoń. Dwa szczeniaki miały po parze rąk, następna z innowacji Edearda. Chciał zobaczyć, czy wilki mogą utrzymać noże lub maczugi. Jeszcze jeden szczegół, który znalazł w starych tekstach.

Następna rzecz, nad którą wieśniacy kręcili głowami w desperacji.

Edeard z całego dworu najbardziej lubił ptaszarnię. Przysadzista, okrągła klatka z łukowatymi otworami niemal cztery metry nad ziemią, tuż pod okapem. Przy podstawie znajdowały się jedyne drzwi. Wewnątrz otwartą przestrzeń przecinały krzyżujące się szerokie martozowe belki. Przez lata drewno zostało ostro porysowane szponami, do tego stopnia, że górna część ich prostokątnego przekroju, zmieniła się w półkole. Pozostał tylko jeden georzeł tak wielki, jak tułów Edearda. Ptak miał podwójny układ skrzydeł - dwie kończyny podpierały wielkie przednie skrzydło i nadawały mu niezwykłą giętkość. Tylne skrzydło było zwykłym trójkątem nadającym ptakowi stabilność. Opływowe ciało pokrywały złote i szmaragdowe pióra. W długiej smukłej szczęce zęby zlały się w jedną ząbkowaną krawędź bardzo podobną do dzioba.

Kiedy Edeard się uśmiechnął, trzysegmentowe oczy stworzenia zamrugały do niego. Chłopak zazdrościł orłowi, że może on szybować w górze, wolny i oddalony od wsi ze wszystkimi jej przyziemnymi nieistotnościami. Ptak posiadał niezwykle silne zdolności telepatyczne, co pozwalało Edeardowi doświadczać rozpostartych szeroko skrzydeł i wiatru mknącego obok. Czasami oczarowany Edeard spędzał całe popołudnia, sprzężony z umysłem georła kiedy ten nurkował, i leciał nad lasami i dolinami, dostarczając mu oszałamiającego smaku wolności istniejącej poza wsią.

Ptak zaszeleścił skrzydłami, zachwycony pojawieniem się Edearda i perspektywą lotu. Jeszcze nie, zakomunikował mu z niechęcią Edeard.

Dziób ptaka zatrząsał się z oburzenia. Zwierz zamknął oczy i wrócił do postawy pełnej dystansu.

Między ptaszarnią i kociarnią leżała wylęgarnia. Niski, okrągły budynek, rozmiarów połowy ptaszarni. Jej szerokie, obite żelazem drzwi były zamknięte i zaryglowane. Jedyne miejsce w kompleksie, gdzie nie pozwalano wchodzić gemałpom. Do Edearda należało utrzymywanie go w czystości i porządku. Na

osłoniętym kamiennym regale na prawo od drzwi paliło się dziewięć grubych świec, każda według tradycji wskazywała jedno jajo wewnątrz regału. Omiótł wszystkie dalwzrokiem i z satysfakcją stwierdził, że zarodki rozwijają się zadawalająco. Między złożeniem jaja a wylęgiem musiało upłynąć około dziesięciu dni. Jaja chroniono w kołyskach, w zimowych miesiącach ogrzewanych masywnym żelaznym piecem, w którym tlił się powoli węgiel drzewny. Edeard musiał przed południem wygrabić stamtąd popiół i kilka brył. Oceniał, że jedno z jaj - z następnym koniem - powinno pęknąć jutro.

Na końcu odwiedził kociarnię, najmniejszy z budynków wokół dziedzińca. Standardowe genistarowe koty były małymi ziemnowodnymi stworzeniami z ciemną, gładką sierścią i szerokimi, błoniastymi stopami. Górnych kończyn nie miały. Gildia konwencjonalnie uznawała je za jeden z siedmiu typów standardowych, choć nikt poza stolicą - Makathranem - nie znajdował dla nich wielkiego zastosowania. W stolicy gondolierzy trzymali parkę na każdej łodzi, i wykorzystywali ją do usuwania z kanałów wodorostów i grzyoni.

Kociarnia była prostokątnym pomieszczeniem wzniesionym nad rozległymi kamiennymi stołami, sięgającymi wysokością ludzkich kolan. Światło wpadało przez okna, osadzone w dachu. Obecnie Edeard, poruszając się wąskimi przejściami wśród stołów zawsze musiał wspomagać swój zwykły wzrok dalwzrokiem. Było to wywołane bujnym rozrostem kimchu, który zarósł okna do tego stopnia, że z wewnątrz wyglądały one jak wąskie szczeliny przepuszczające wątłą ametystową poświatę.

Na stołach leżały szklane zbiorniki. Stare baseny, o rozmiarach pękatych trumien, rówieśnicy całego kompleksu. Połowa z nich miała popękane boki, szkło plamiły suche, martwe algi, dno wypełniał żwir i wysuszone płyty błota. Edeard odnowił trzy z nich dla swoich przekształconych kotów i zmodyfikował jeszcze trzy, by działały jako prymitywne zbiorniki wody. Rury, za pomocą których testował umiejętności kotów tworzyły na podłodze bezładną płataninę. Wszystkie pięć stworzeń leżało na

żwirowym dnie zbiorników, a kilkunastocentymetrowa warstwa wody wokół nich leniwie falowała. Przypominały grube landryny połyskującego hebanowego ciała, o rozmiarach połowy człowieka. Koty nie miały żadnych kończyn, tylko rząd sześciu okrągłych skrzeli rozmieszczonych po bokach - dyndających luźnych rur z grubej skóry. Głowę miały tak małą, że wydawała się całkiem nierozwinięta, aż zniekształcona. Uszu ani oczu nie było. Edeard z trudnością wykrywał dalwzrokiem iskierki myśli wewnątrz ich drobnutkiemu mózgu.

Uśmiechnął się radośnie do nieruchomych brył i przejrzał je, szukając oznak jakiejś choroby. Kiedy się upewnił, że cieszą się najlepszym możliwym zdrowiem, stał przez chwilę kompletnie nieruchomy. Oddychał równo i spokojnie, tak jak nauczył go Akeem i skupił swe zdolności telekinetyczne na pierwszym kocie. Użył „trzeciej ręki”, jak nazywała to większość mieszkańców wsi. Poczł czarne ciało w swym bezcielesnym uchwycie i podniósł je z błotnistego żwiru.

Pół godziny później, kiedy Barakka, wioskowy wózkarz wprowadził swój wóz na dziedziniec, Edeard i Akeem stali przy pięciu plandekach z ułożonymi na nich przekształconymi kotami. Wózkarz skrzywił się z odrazą na widok dziwacznych stworzeń i spojrzzał pytająco na Mistrza Gildii.

- Jesteś tego pewien? - zapytał, zeskoczywszy z ławki.

Wózkarz był przysadzisty, a osiem dekad ciężkiej pracy fizycznej jeszcze go poszerzyły. Miał gęstą, niesforną brodę koloru imbiru, która sprawiała, że jego szare oczy zdawały się bardziej zapadłe. Oglądał koty, skrobał się po zakrytym podbródku, a w jego mózgu otwarcie wirowały wątpliwości, które Edeard widział jak na dłoni. Barakkę niezbyt obchodziły uczucia młodych uczniów.

- Jeśli zadziałają, przyniosą Ashwell duże korzyści - powiedział gładko Akeem. - Z pewnością warto spróbować.

- Jeśli tak powiadasz - ustąpił Barakka. Uśmiechnął się przebiegle do Edearda. - Czy zamierzasz zostać w końcu naszym Burmistrzem, chłopcze? Jeśli to zadziała, masz moje błogosławieństwo. Przez ostatnie trzy miesiące myłem się w

końskim łajnie. Oczywiście, stary Geepalt natychmiast się wścieknie.

Geepalt, wioskowy stolarz, opiekował się pompą istniejącej studni i według prawa powinien zbudować nową pompę dla świeżo wykopanej studni. Był głównym przeciwnikiem udzielenia Edeardowi pozwolenia na wypróbowanie innowacji. To, że jego uczniem był Obron, też nie pomagało całej sprawie.

- Istnieją w życiu gorsze rzeczy niż zirytowany Geepalt - odparł Akeem. - Ponadto, jeśli to zadziała, będzie miał więcej czasu na zyskowne zamówienia.

Barakka zaśmiał się.

- Ty stary draniu! Zawsze potrafisz odwrócić kota ogonem.

Zadowolony Akeem skłonił się nieznacznie.

- Dziękuję. Czy mamy zacząć załadunek?

- Jeśli zespół Melzara jest gotowy - powiedział Barakka.

Dalwzrok Edearda zbadał nową studnię i zbierający się przy niej tłum.

- Są gotowi.

Weddard przywołał na wierzch zespół gemałp-kopaczy. Barakka spojrzał na niego z zastanowieniem. Nową studnię kopano po przeciwnej stronie wsi. Jego własny dalwzrok nie sięgał tak daleko.

- Bardzo dobrze - położymy je na wóz. Zdołasz podźwignąć jedną trzecią ich ciężaru, chłopcze?

Edeard był zadowolony, że nic z jego ironii nie przedostaje się do myśli na powierzchni.

- Tak mi się wydaje, proszę pana.

Uchwycił niewielki uśmiezek Akeema; umysł Mistrza pozostawał spokojny i skromny.

Barakka obrzucił przekształcone koty jeszcze jednym, pełnym wątpliwości spojrzeniem i kolejny raz podrapał się w podbródek.

- Więc w porządku. Na moje hasło. Trzy. Dwa. Jeden.

Edeard wyciągnął swą trzecią dłoń, starając się nie dźwigać silniej, niż się po nim spodziewano. Przekształcony kot, unoszony przez trzy osoby, uniósł się gładko w powietrze i poszybował na tył otwartego wozu.

- Nie są najmniejsze, prawda? - zauważył Barakka z nieco wymuszonym uśmiechem. - Dobrze, że pomagasz, Akeem.

Edeard nie wiedział, czy protestować, czy się śmiać.

- Wszyscy staramy się jak możemy - odparł Akeem. Obrzucił Edearda ostrzegawczym spojrzeniem.

- Wobec tego drugi - powiedział Barakka.

Dziesięć minut później wózek toczył się przez wieś. Barakka i Akeem siedzieli na ławce wozu, a Edeard zadawała się jazdą z tyłu, z jedną ręką spoczywającą opiekuńczo na kocie. Ashwell stanowiła skupisko budynków osłonięte niewysokim wzgórzem, które nad wsią przechylał się w stronę urwiska. Stanowiło ono dobrą ochronę z południowego zachodu. Z północnego wschodu ochronę przed wszelkimi złymi siłami, mogącymi nadciągnąć z leżących za nim dzikich krain, stanowił wzmocniony murem półkolisty ziemny szaniec. Większość zabudowań stanowiły proste kamienne domki, kryte strzechą i okiennicami z deseczek. Niektóre z większych domów miały w oknach szyby ze szkła przywiezionego z miast na zachodzie. Główna ulica, przebiegająca równolegle do urwiska była szeroka i wybrukowana, a pozostałe, odchodzące od niej uliczki właściwie były ziemnymi koleinami, które koła i ludzkie stopy przetarły aż do kamienia. Największą grupą zabudowań był kompleks Jajoformerów, jednak najwyższym budynkiem był kościół Pani empirejskiej ze stożkową iglicą wznoszącą się z północnej strony niskiej kopuły. Kiedyś kamienny kościół był jednolicie biały, ale wiele lat zaniedbania spowodowało, że stał się szarobury, a w wąskie luki między kamieniami wdarł się kimech.

Droga w dół, do bramy osiedla rozgałęziała się w połowie głównej ulicy. Edeard spojrział w tamtym kierunku. Na krótki, wyłożony cegłą tunel w zboczach szanca - masywne drzwi na jego końcu były otwarte na świat zewnętrzny. Na murze, po obu stronach bramy stały bliźniacze wieże strażnicze - na ich szczycie umieszczono wielkie żelazne dzwony. Strażnicy uderzą w nie na każdą oznakę zbliżającego się niebezpieczeństwa. Edeard nigdy nie słyszał, by były. Niektórzy starsi mieszkańcy utrzymywali, że pamiętają ich dźwięk z czasów, gdy bandyci przechodzili przez

tereny sąsiadujących ze wsią farm.

Edeard patrzył na nierówną linię szczytu szańców, zbudowaną z wielu różnych materiałów i zastanawiał się jakie naprawdę trudności napotkaliby wrogowie podczas pokonywania tych fortyfikacji. Miejscami luki w kruszących się murach zatkało grubym drewnem, które z kolei gniło pod pasami kimchu i nawet jeśli uzbroiliby się wszyscy mieszkańcy wsi, nie mogliby rozciągnąć się na więcej niż jedną trzecią długości szańców. Tak naprawdę to złudzenie siły zapewniało im bezpieczeństwo.

Poczuł ostre ukłucie bólu na lewym goleniu i się skrzywił. To było telekinetyczne uszczyplenie - odgrodził się od niego silną tarczą. Obron z dwoma kumplami oskrzydłali wóz, zmieszawszy się z innymi mieszkańcami wsi, kierującymi się do nowej studni. Wokół panował świąteczny nastrój - kiedy wóz powoli sunął przez Ashwell, ludzie porzucali swą zwykłą pracę i szli obok, by zobaczyć innowację.

Wrzawa zainteresowania i rozbawienia, które wypełniała wioskowy eter, wytrąciła Edearda z łagodnych marzeń. Bardzo niewielu ludzi spodziewało się, że koty zadziałają, ale z przyjemnością oczekiwali widoku niepowodzenia. To typowe, pomyślał. Ta wieś zawsze spodziewa się najgorszego.

To właśnie taka postawa odpowiada za nasz upadek. Nie za wszystko można winić kiepską pogodę, złe zbiory i coraz większą liczbę bandytów.

- Hej, Jajowaty Chłopcze - szydził Obron. - Co to za potworki? I gdzie są twoje pompowe genistary? - zaśmiał się drwiąco. Jego gdczący śmiech szybko podchwycili przyjaciele.

- To są... - zaczął Edeard z rozdrażnieniem. Przerwał, kiedy ich śmiech rozbrzmiał głośniej i żałował, że wóz nie może jechać znacznie szybciej.

Dorośli idący obok uśmiechali się na widok tej typowej rywalizacji uczniów - wspominali, jak wyglądały sprawy w czasach ich młodości. Myśli Obrona były żywe i kpiące. Edeard trzymał temperament na wodzy. Zemści się natychmiast, gdy koty znajdą się na miejscu.

Trzymał się tej myśli, kiedy wóz podjechał w pobliże nowej

studni. Stara studnia we wsi częściowo zawaliła się przed czterema miesiącami. Gruz i szlam zatkały pompę, wielką konstrukcję zbudowaną przez Gildię Cieśli, z wielkimi kołami zębatymi i skórzanymi pęcherzami. Pęcherze ścisnęły i rozciągały trzy gekonie zaprężone do szerokiego kieratu. Chodziły w kółko cały dzień, pompując wodę, która wylewała się z rury do wykorzystywanego przez wszystkich koryta. Ponieważ z początku nikt nie zauważył szlamu, gekonie po prostu chodziły dalej, aż pompa zaczęła trzeszczeć i się trząść. Została bardzo uszkodzona.

Po oszacowaniu zniszczeń studni, rada starszych zarządziła wykopanie nowej. Tym razem umieszczono ją w górze wsi, blisko urwiska. Powinna tam być obfitość wody, przenikającej z wyżej położonych zboczy. Pojawiły się także pomysły, że prosta sieć rur mogłaby doprowadzić do wszystkich domów świeżą wodę. To wymagałoby zbudowania jeszcze większej pompy. Na tym właśnie etapie Akeem przedstawił radzie pomysł swego ucznia.

Kiedy wóz zatrzymał się, tłum zebrany u wylotu nowej studni był w dość dobrym nastroju. Melzar, który oprócz wielu innych wiejskich tytułów, dzierżył również godność Mistrza Wody, stał przy odsłoniętej dziurze i rozmawiał z Wedardem, murarzem-kamieniarzem, który nadzorował zespół gemałp, kopiących studnię. Obydwaj patrzyli zaintrygowani na przekształcone koty. Edeard nie uświadamiał sobie ich obecności, słyszał mnóstwo prześmiewczych myśli. Przeważnie pochodziły od bandy uczniów zgromadzonych wokół Obrona. Z zaczerwionymi policzkami starał się powstrzymać gniew od wypłynięcia na powierzchnię swoich myśli.

- Miej wiarę w siebie - wyszeptał ktoś w jego mózgu, zręcznie skierowanym głosem dalmowy, przeznaczonym wyłącznie do niego. Uczucie przeplecione różową nicią aprobaty.

Rozejrzał się i zobaczył Saranę, uśmiechającą się ciepło. Miała tylko dwanaście lat i była ubrana w niebiesko-białą szatę nowicjuszki Pani. Słodkie, łagodne dziecko, zawsze chciała wstąpić do Kościoła. Matka z Ashwell, Lorellan, służka Pani, z radością rozpoczęła jej szkolenie. Wiejski kościół nigdy nie

cieszył się wielką frekwencją poza zwyczajowymi nabożeństwami świątecznymi. Tak jak Edeard, Sarana nigdy nie wpasowała się w główny nurt wiejskiego życia. Stworzyło to między nimi rodzaj pokrewieństwa. Była jak młodsza siostra. Uśmiechnął się do niej i zsunął z wozu. Lorellan, która dla ochrony stała u boku dziewczynki, obdarzyła go nijakim uśmiechem.

Malzar podszedł do wozu.

- To powinno być interesujące.

- Cóż, dziękuję - odparł Akeem. Zimne powietrze nadało żyłkom na jego nosie i policzkach ciemniejszy odcień niż zazwyczaj.

Melzar ukradkiem nachylił głowę ku otaczającemu go tłumowi. Edeard nie odwrócił się, jego dalwzrok ukazywał Geepalta stojącego w przednim rzędzie z gniewnym spojrzeniem na wąskiej twarzy. Przez jego powierzchniowe myśli mknęła łatwa do wycucia pogarda. Ale Edeard był dostatecznie biegły, by odczytać również ukryte pod spodem prądy zatroskania.

- Jaka jest woda? - spytał Barakka.

- Zimna, ale bardzo czysta - odpowiedział Melzar z zadowoleniem. - Studnia tak blisko urwiska to prawdziwe dobrodziejstwo. Mnóstwo wody przefiltrowuje skała nad nami i woda jest cudownie czysta. Nie trzeba jej przegotowywać, zanim się zrobi piwo, co? Musi to być dobra wiadomość.

Edeard, powłócząc nogami, przesunął się bliżej otworu, na poły oczekując pchnięcia trzeciej ręki Obrona. Stopy chlupotały w na wpół zamarznętym błocie wokół płaskich kamieni. Zerknął przez krawędź. Wedard wykonał dobrą robotę wykładając okrągły szyb - idealnie przyciął kamienie i umocował je lepiej niż w murach niejednego wiejskiego domu. Ta studnia nie pokruszy się i nie zawali tak jak ostatnia. Trzy metry poniżej brzegu czyhał mrok niczym nieprzenikalna mgła. Edeard wysondował studnię dalwzrokiem - poziom wody znajdował się około dziesięciu metrów pod poziomem gruntu.

- Czy jesteś gotów? - spytał Melzar. Głos był przychylny. Bez poparcia Melzara, rada nigdy nie pozwoliłaby Edeardowi wypróbować kotów.

- Tak, proszę pana.

Edeard, Akeem, Melzar, Barakka i Wedard wyciągnęli swe trzecie ramiona, by podnieść pierwszego kota. Wszyscy w tłumie użyli dalwzroku, by śledzić spuszczenie zwierzęcia w mroczny szyb. Kiedy dotknęło wody, Edeard napiął się. A jeśli utonie?

- I zwolnić - Akeem wyraził się tak gładko i pewnie, że Edeard nie miał innego wyjścia jak puścić kota.

Kot podskakiwał na wodzie, bez żadnego widocznego zdenerwowania. Edeard uświadomił sobie, że wstrzymywał oddech i wszyscy widzieli bazgrały, które niepokój wypisywał mu w umyśle, zwłaszcza Obron. Ulga, którą czuł, dla mieszkańców wsi była równie widoczna.

Po niedługim czasie na wodzie unosiła się cała piątka kotów. Melzar osobiście opuścił grubego, gumowego węża, odwijając go powoli z cylindrycznej szpuli. Koniec węża był zadziwiająco złożony, wielokrotnie się rozgałęział, jakby wąż wypuszczał korzenie. Edeard leżał płasko na kamieniach otaczających krawędź studni, niepomny marznącego błota, którym nasiąkał mu sweter. Ciepłe powietrze napłynęło z szybu i łaskotało mu twarz. Zamknął oczy, pozwalając sobie na całkowite skupienie na trzeciej dłoni, którą wsuwał zakończenia węża w kocie skrzela. Proste umięśnione wargi na komendę zamknęły się wokół gumowych rurek, tworząc szczelne połączenie. Standardowy genistarowy kot miał trzy wielkie pęcherze i dzięki nim całkowicie kontrolował swoją pławność. Mógł spokojnie unosić się na wodzie lub nurkować na kilka metrów. To właśnie wokół tych pęcherzy Edeard ukształtował nowe koty. Rozszerzył pęcherze do osiemdziesięciu procent ogólnej objętości ciała, otoczył je mięśniami, by stały się prymitywnymi pompami, coś na kształt serc tłoczących wodę. Dalmową polecił im rozpoczęcie sekwencji ściskania mięśni i dojście do podstawowego rytmu.

Kiedy Edeard wstał, zapanowała cisza. Oczy i dalwzrok wszystkich skupiły się na gigantycznym kamiennym korycie, zbudowanym obok studni. Koniec węża zakrzywił się tuż nad nim. Przez boleśnie długą minutę nic się nie działo, potem wąż wydał bulgoczący odgłos. Wytrysnęły krople wody, a potem

spieniony prąd, wlewający się do koryta, które zaczęło się napełniać z nadzwyczajną szybkością.

Edeard przypomniał sobie, jak woda wypływała ze starej pompy studziennej: tutaj ciśnienie było kilka razy wyższe. Melzar zaczerpnął kubkiem wody i spróbował jej.

- Świeża i czysta - oznajmił głośno. - I, co lepsze, obfita.

Stanął przed Edeardem i zaczął klaskać, patrząc zachęcająco na tłum. Inni dołączyli do niego. Wkrótce Edeard stał w wirze aplauzu. Znowu płonęły mu policzki, ale tym razem się tym nie przejmował. Akeem, z umysłem płonącym dumą objął go ramieniem. Nawet Geepalt potwierdził sukces Edearda, choć niechętnie. Obrona i jego kumpli nigdzie nie było widać.

Oczywiście pozostało sprzątanie. Worki z oleistą warzywną papką - pokarmem dla kotów - zostały napełnione i ułożone obok studni. Ich zawory ustawiono tak, że wpuszczaly stały strumień papki do cienkich rur. Edeard podłączył wylot każdej rurki do pyska kota i wydał instrukcje powolnego ssania. Wedard i jego uczniowie mocowali węża do boku studni. Grunt dookoła oczyszczono. W końcu wielką kamienną płytę pokrywy przesunięto nad szyb, zamykając koty w ich przyjemnym nowym otoczeniu. Do tego czasu uczniowie i gemałpy z wielkimi dzbanami ustawili się w kolejce do koryta.

- Masz rzadki talent, chłopcze - powiedział Melzar, patrząc na wodę kołyszającą się blisko brzegu koryta. - Widzę, że będziemy musieli wykopać dren dla przelewającej się wody. A potem nie ma wątpliwości, że Rada zażąda tego szalonego układu rur, by dostarczać wodę do domów. Rozpocząłeś niezłą rewolucję. Akeem, byłbym zaszczycony, gdybyś ze swoim uczniem dołączył do nas przy naszym wieczornym posiłku.

- Będę szczęśliwy mogąc wyzwolić nieco więzionego przez ciebie wina - odparł Akeem. - Słyszałem, że masz ich pełne lochy pod holem swej Gildii.

- Ha! Czy lubisz wino, mój chłopcze? - zwrócił się Melzar do Edearda.

Edeard zdał sobie sprawę, że spytano go serio, nie po prostu po to, by poprawić mu nastrój.

- Nie jestem pewien, proszę pana.

- Więc lepiej zbadaj tę sprawę.

Thum rozproszył się. Poczucie satysfakcji - obecnie dość rzadkie - ogarniało całą wieś. To było dobre rozpoczęcie wiosny - tak czuli wszyscy - dobry omen, zwiastujący, że czasy się polepszają.

Edeard pozostał w pobliżu koryta, kiedy uczniowie napełniali dzbany. Nie był pewien, czy to nie wyobraźnia, ale chyba traktowali go z nieco większą niż przedtem aprobatą. Kilku z nich nawet złożyło mu gratulacje.

- Nawiedzasz miejsce swego zwycięstwa?

To była Salrana. Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Tak naprawdę, po prostu upewniałem się, czy koty nie padną z wyczerpania, i czy węże się nie przetrą. Takie sprawy. Mnóstwo rzeczy może jeszcze pójść źle.

- Biedny Edeard, niepoprawny pesymista.

- Nie dzisiaj. Dzisiejszy dzień był...

- Wspaniały.

Zerknął na niskie chmury, zasłaniające słońce.

- Pomocny. Dla mnie i dla wsi.

- Naprawdę cieszę się z twego powodu - wykrzyknęła. - Obrona swych przekonań wymaga tak wiele odwagi, zwłaszcza w takim miejscu jak to. Melzar miał rację: to rewolucja.

- Podśłuchiwałaś! Co by na to powiedziała Pani?

- Powiedziałyby: „Dobra robota, młody człowieku. To wszystkim polepszy życie. Teraz Ashwell musi się martwić o jedną sprawę mniej. Ludzie tego potrzebują. Tutejsze życie jest takie ciężkie. Na małych fundamentach nadziei, można zbudować imperia”.

- To na pewno cytat - przekomarzał się.

- Znałbyś go, gdybyś chodził do kościoła.

- Przepraszam. Nie mam wiele czasu.

- Pani o tym wie i to rozumie.

- Jesteś takim dobrym człowiekiem, Salrano. Pewnego dnia zostaniesz Pytią.

- A ty będziesz burmistrzem Makkathranu. Jak wspaniale będziemy się razem bawić, czyniąc z Querencji szczęśliwe

miejsce.

- Bez bandytów. Bez harówki - zwłaszcza bez harówki uczniów.
- Czy nowicjuszy.

- Będą opowiadać o naszym panowaniu, aż powrócą Władcy Niebios, by zabrać nas do serca.

- Och, spójrz - pisnęła i w podnieceniu wskazała studnię. - Przelewa się! Dałeś nam zbyt wiele wody, Edeardzie.

Patrzył jak woda zaczyna się przelewać przez brzegi koryta. Po kilku sekundach stała się strumyczkiem, który pieniał się w błocie, podążając ku ich stopom. Oboje ze śmiechem umknęli w bok.

2

Justine Burnelli dokładnie sprawdziła swoje ciało, zanim znowu je przywdziała. Minęły ponad dwa wieki od czasu, gdy ostatnio je nosiła. Przez ten czas było przechowywane w klatce egzotycznej materii, klatce, która generowała obszar zawieszzonego czasu. Wewnątrz upłynęło zaledwie pół sekundy.

Klatka, przypominająca zwykłą sferę fioletowego światła, znajdowała się w nowojorskim repozytorium ZAN, które zagłębiało się na sto pięćdziesiąt pięter pod ulice Manhattanu. Klatka Justine była na dziewięćdziesiątym piątym piętrze wraz z kilkoma tysiącami identycznych świecących sfer. Normalnie ZAN przechowywało ciało przez pięć lat po ściągnięciu z niego osobowości. Na wszelki wypadek, gdyby powstały problemy ze zgodnością. Rzadko do tego dochodziło, przeciętnie raz na jedenaście milionów przypadków ktoś odrzucał życie wewnątrz ZAN i wracał do królestwa fizycznego. Po upływie pięciu lat ciało wycofywano. Przecież jeśli osobowość rzeczywiście chciała opuścić ZAN, można było wyhodować zwykły klon. Ten proces nie różnił się od staromodnej procedury ożywienia, nadal dostępnej w Światach Zewnętrznych.

Jednak ZAN:Władze uznały, że w pewnych okolicznościach warto mieć fizycznych przedstawicieli w Wielkiej Wspólnocie. Justine była jednym z nich. Częściowo z własnej winy. Miała ponad osiemset lat, gdy Ziemia zbudowała repozytorium dla ZAN (Zaawansowanej Aktywności Neuronalnej) - ostateczny etap świata wirtualnego, w którym jakoby wszyscy będą równi. Tak długo żyła, że z wielką niechęcią myślała o tym, że jej ciało zostanie „wycofane”. Podobnie zresztą nigdy nie uznała ożywienia za prawdziwą kontynuację. Uważała, że klon na siłę doładowany wspomnieniami zmarłej osoby nie staje się tą samą osobą, i nieważne, że różnica jest niezauważalna. Nawyki wyuczone w pierwszej połowie dwudziestego pierwszego wieku

zbyt trudno było odrzucić nawet osobie tak dojrzałej jak Justine.

Liliowa mgiełka rozwiązała się, odsłaniając blondynkę w biologicznym wieku dwudziestu kilku lat. Dość atrakcyjna, zauważyła Justine z lekką dumą, a przy tym - choć minęło tyle wieków - niewiele zawdzięcza manipulacjom genetycznym. Justine patrzyła na nadal rozpoznawalną twarz: buzia rozwydrzonego dzieciaka z pierwszej połowy dwudziestego pierwszego wieku, przez dekadę stale obecna w mediach plotkarskich, gdy Justine afiszowała się z socjetą Wschodniego Wybrzeża, z aktorami oper mydlanych. Nos miała rzeczywiście nieco zmniejszony i lekko spiczasty. Teraz krytycznie uznała to za zbyt pretensjonalne zwłaszcza w zestawieniu z kośćmi policzkowymi, które wyglądały jak zrobione z ptasich kości, tak były ostre i delikatne. Oczy zmodyfikowane do bładoniebieskich, żeby pasowały do nordyckiej jasnej cery o miodowym odcieniu. Gęste i bardzo jasne włosy opadały na plecy. Była wyższa, niż zapamiętaliby to znajomi z dwudziestego pierwszego wieku - dyskretnie dodała sobie dziesięć centymetrów podczas rozmaitych zabiegów rejuwenacyjnych. Kusilo ją to, ale nie przeznaczyła całej tej długości na nogi, pilnowała, żeby tors harmonizował z płaskim brzuchem, który łatwo było utrzymać w formie dzięki lekko przyśpieszonemu działaniu układu trawiennego. Na szczęście nigdy się nie zdecydowała na karykaturalny biust... no, jeden raz, gdy odmładzała się na swoje dwusetne urodziny i chciała się przekonać, jak to jest mieć między piersiami Wielki Kanion. Owszem, mężczyźni się gapili i często ją zaczepiali, ale ponieważ i tak zawsze mogła mieć, kogo chciała, biust nie dawał szczególnych korzyści i nie czuła się sobą, więc pozbyła się go przy najbliższej rejuwenacji.

A więc była cielesna i ciągle w dobrej formie, tylko bez umysłu. Używając programu monitorującego, który potwierdzał kontrolę wizualną, przelała swoją świadomość z powrotem do mózgu. Nastąpiła przy tym niesamowita redukcja pamięci oraz strata wszystkich zaawansowanych procedur myślowych, jakie obecnie składały się na jej prawdziwą osobowość. Stare biologiczne struktury neuronów nie miały odpowiedniej wydolności, by

pomieścić to, czym stała się w ZAN. Efekt był jak po lobotomii, Justine wręcz czuła, jak jej zdolności umysłowe kurczą się do owadziego poziomu. Ale tylko tymczasowo, stwierdziła... ależ ociążała!

Po raz pierwszy od dwustu lat Justine odetchnęła, piersi gwałtownie wciągnęły powietrze, jakby zbudziła się z koszmaru. Serce znów zaczęło bić. Przez chwilę nic nie robiła, nawet nie pamiętała, co ma robić, potem zaskoczyły niezawodne, stare, automatyczne odruchy. Znów wciągnęła powietrze, opanowując panikę; czysta racjonalność przejęła sterowanie nad starymi neandertalskimi instynktami. Kolejny normalny wdech. Uspokoiła serce. W widzeniu peryferyjnym migotały egzoobrazy, wypływając szeregi domyślnych symboli z modyfikacji wzbogacających. Otworzyła oczy. Długie szeregi fioletowych baniek ciągnęły się we wszystkich kierunkach jak jakaś dziwaczna artystyczna instalacja. Jej „mięsny” umysł był przekonany, że Justine jest w stanie zobaczyć kształty ludzi w środku. To niedorzeczne. Wewnątrz ZAN oczywiście pozwoliła sobie odrzucić pamięć o tym, jak zawodny i podatny na hormony jest ludzki umysł.

Powolny uśmiech odsłonił idealnie białe zęby. Przynajmniej doświadczyć prawdziwego seksu, zanim się znów załaduje.

Justine teleportowała się z repozytorium w Nowym Jorku prosto do centrum Tulipanowej Rezydencji. Pola stabilizujące przez wieki utrzymywały starodawny dom Burnellich, zachowując struktury budynku w nieskazitelnym stanie. Uśmiechnęła się radośnie, znów widząc na własne oczy rodzinny dom. W chwili szczerości musiałaby przyznać, że to dość koszmarna budowla. Zaprojektowano ją na planie czterech „płatków”, których szkarłatno-czarne dachy zakrzywiały się ku centralnej wieży „pręcika”, zwieńczonej „pylnikiem” z rzeźbionego, pokrytego złotą blachą kamienia. Koncepcja jarmarczna i niezwykła, przez dziesięciolecia to modna, to znów przestarzała. Ojciec Justine, Gore Burnelli, w połowie

dwudziestego pierwszego wieku kupił tę posiadłość w hrabstwie Rye pod Nowym Jorkiem i założył tu bazę dla swych rozległych interesów handlowych i finansowych. Posiadłość cały czas była centrum rodzinnym, gdy Wspólnota powstawała, rozszerzała się i gdy w końcu jej społeczną jednorodność zniszczyły biononika, ZAN oraz rozdział między kulturami Elewatów i Awangardów. Obecnie rodzina nadal posiadała ogromne imperium biznesowe rozciągnięte na Światy Zewnętrzne. Miało strukturę korporacji zarządzanych przez tysiące Burnellich, z których żaden nie przekroczył wieku trzystu lat. Gore i oryginalna grupa bliskich krewnych (w tym Justine) koordynowali to wszystko, ale już dawno załadowali się do ZAN. Jednak Gore nigdy formalnie i legalnie nie przekazał własności zniecierpliwionym następcom. To tylko taki kaprys dla ich dobra, zapewniał. Dzięki temu firma nigdy nie popadnie w ruinę, a rodzina pozostanie spójna, czego wielu innym rodom brakuje. Ale Justine doskonale wiedziała, że nawet w swoim oświeconym, rozszerzonym, pół-omipotentnym stanie w ZAN Gore nie rozważa przekazania czegoś, co budował przez wieki. Kaprys, akurat!

Zmaterializowała się pośrodku sali balowej. Bosymi stopami mocno stanęła na dębowej podłodze, lśniącej jak olbrzymie pozłacane lustro na ścianach. Sto odbić jej nagiego ciała uśmiechało się do niej z zażenowaniem. Ciemnofioletowe draperie otaczały łukiem wysokie przeszklone drzwi wychodzące na taras obrośnięty białą glicynią. Jasne niskie lutowe słońce oświetlało rozległy zalesiony teren z szerokimi rzędami rododendronów. Przypomniała sobie, jakie bajeczne przyjęcia się tu odbywały. Spotykały się tu sława, bogactwo, splendor, władza, rozgłos i piękno; Jane Austen zzieleniałaby z zazdrości.

Drzwi do szerokiego korytarza były otwarte. Justine weszła do niego, patrzyła na częściowo znajome widoki i ogarniało ją miłe uczucie, że je rozpoznaje. We wnękach stały meble zaliczane do antycznych już w czasach zanim Ozzie i Nigel zbudowali pierwszy generator wormholi. A dzieła sztuki? Za jeden obraz można by kupić mały kontynent na którymś ze Światów

Zewnętrznych.

Cicho stąpała po krętych schodach w holu recepcyjnym i przeszła do swojej dawnej sypialni w północnym płatku. Była w takim stanie, w jakim ją dawno temu zostawiła, zachowana przez pola stabilizujące i boty-pokojówki. Kojąca iluzja, w której w każdej chwili mogli się zanurzyć wszyscy Burnelli. Dom przodków witał ich perfekcyjnie. Łóżka były świeżo załane: pościel wyjęto z pola stabilizującego i odświeżono ją, gdy tylko Justine i ZAN zgodzili się na audiencję. Przygotowano różne ubrania. Justine nie wzięła nowoczesnego togaturu, lecz wybrała klasyczną szmaragdową sukienkę w stylu indyjskim i czarne botki.

- Bardzo neutralne.

Skoczyła na dźwięk głosu, najpierw oburzona, potem poirytowana. Obejrzała się i wściekle spojrzała na stojący w drzwiach solido.

- Tato, nic mnie nie obchodzi, jak daleko jesteś poza fizycznością, ale bez pukania nie wchodzi się do dziewczęcego pokoju. Zwłaszcza do mojego.

Konterfekt Gore'a Burnelliiego nie wykazywał skruchy. Obserwował tylko z zainteresowaniem, jak Justine siada na łóżku i sznuruje botki. Przywdział postać siebie z dwudziestego czwartego wieku. Niewątpliwie pod tą postacią znano go najbardziej: skóra na ciele zmieniona była w złoto. Nosił czarny sweter w serek i czarne spodnie. Idealnie odbijająca światło cera utrudniała rozpoznanie rysów twarzy. Bez pozłoty byłby przystojnym dwudziestopięcioletnim mężczyzną o krótkich włosach. Twarz, którą w tamtym czasie kazał sobie zrobić jako tatuaż z organicznych obwodów, była tym bardziej niepokojąca, że z poświaty spoglądały zwykłe szare oczy. Gore patrzył na świat z za maski ulepszeń - to stało się metaforą. Był pionierem wzbogacania procedur mentalnych oraz jednym z założycieli ZAN.

- Jakby to miało jakieś znaczenie - burknął.

- Uprzejmość zawsze jest ważna - odparła. Humor psuły jej niesprawne palce. Z trudnością wiązała sznurowadła.

- To dobry pomysł, że wybrano właśnie ciebie na przyjęcie Ambasadora.

Udało jej się w końcu zawiązać kokardkę. Lekko zdziwiona podniosła brwi.

- Jesteś zazdrosny, tato?

- Że znów można być czymś w rodzaju małpy w wersji turbo? Taa, jasne. Myśleć na tym poziomie i tak powoli... to przyprawia mnie o ból głowy.

- Turbo-małpa! Powiedziałaś, jakby chodziło o zwierzę.

- Ciało i krew są zwierzęce.

- Jaką właściwie frakcję popierasz?

- Jestem Konserwatystą, wszyscy to wiedzą. Może coś tam dałem na kampanię Ekspansjonistów.

- Hmm. - Spojrzała na niego podejrzliwie. Nawet będąc cielesną słyszała pogłoski, że ZAN dawał fundusze niektórym ze swych wewnętrznych osobowości. ZAN:Władze oczywiście temu zaprzeczały. Ale jeśli komuś udało się być bardziej równym od innych, to właśnie Gore'owi, który był tam od samego początku jako jeden z ojców-założycieli.

- Ambasador przybędzie za chwilę - powiedział Gore.

Justine sprawdziła egzoobrazy i przegrupowała swoje poboczne procedury myślowe. Biononika i klastry makrokomórkowe w jej ciele pochodziły sprzed wieków, ale ciągle doskonale nadawały się do dzisiejszego prostego zadania. Wywołała swojego syna Kazimira.

- Jestem gotowa - rzekła.

Gdy wyszła z sypialni, przeszedł ją krótki dreszcz; obejrzała się przez ramię. Kochaliśmy się na tym łóżku. Gdy ostatni raz widziałam go żywego. Kazimir McFoster - tego jedyne wspomnienia nigdy nie oddała do magazynu, nigdy nie pozwoliła mu wyblaknąć. Od tamtej pory miała innych, wielu innych, zarówno cielesnie, jak i w ZAN. Cudowne intensywne relacje, ale żadna nie dawała tej przejmującej ostrości jak związek z kochanym Kazimirem, za którego śmierć była odpowiedzialna.

Gore nic nie mówił, gdy jego solido szło za nią po wspaniałych schodach. Podejrzewała, że on podejrzewa.

Kazimir teleportował się na posadzkę marmurowego holu; pojawił się w samym centrum wielkiej tarczy herbowej Burnellich. Miał na sobie admiralską bluzę. Przez sześćset lat Justine nigdy nie widziała go w innym ubraniu. Na powitanie uśmiechnął się szczerze i delikatnie ją uściśnił, muskając ją ustami w policzek.

- Mamo, jak zawsze wyglądasz cudownie.

Westchnęła. Był tak podobny do ojca.

- Dziękuję, kochanie.

- Dziadku. - Skłonił się lekko Gore'owi.

- Ciągle trzymasz się tego starego pojemnika - stwierdził Gore. - Kiedy zamierzasz dołączyć do nas tutaj w cywilizacji?

- Nie dzisiaj, dziękuję, dziadku.

- Tato, przestań - ostrzegła go Justine.

- Według mnie to odrażające - gderał Gore. - Nikt nie pozostaje cielesny przez tysiąc lat. Co tam cię trzyma?

- Życie. Ludzie. Przyjaciele. Prawdziwa odpowiedzialność. Zachwył.

- Tu mamy tego na tony.

- Wy patrzcie do wnętrza, a świat toczy się wokół.

- Skądże. Jesteśmy w pełni świadomi wydarzeń zewnętrznych.

- I właśnie dlatego mamy dziś to radosne spotkanie rodzinne. - Kazimir przesłał mu triumfalny uśmiezek.

Justine nawet ich nie słuchała. Zawsze się spierali jakby w powitalnym rytuale.

- Chłopaki, idziemy?

Otworzyły się drzwi rezydencji i Justine, nie czekając na mężczyzn, wyszła na rozległy portyk. Na zewnątrz było zimno, cieniste zagłębienia trawnika nadal pokrywał mróz. Po czystym błękitnym niebie sunęło parę chmur. Od południowego wschodu lotem ślizgowym przeciskał się między nimi statek Imperium Ocisen. Miał mniej więcej kształt trójkąta i w najszerszym miejscu liczył dwieście metrów. Kształt zupełnie nieaerodynamiczny. Kadłub z czarnego metalu pstrzyły akwamarynowe plamy niczym porosty. Pofałdowana powierzchnia miała wgłębienia z wystającymi w centrum

czarnymi wrzecionami. Długie elementy wyglądały tak, jakby je niestarannie zespawano. Z tylnej części wystawało skupisko ostrych żeber promienników pomalowanych na czerwono. Gore zaśmiał się szyderczo.

- Co za monstrum! Mogliby się bardziej postarać, przecież daliśmy im regramy.

- Pięćset lat zajęła nam droga od startu braci Wright z Kitty Hawk do „Drugiej Szansy” - wtrąciła Justine.

Gore podniósł głowę i obserwował, jak statek obcych zwalnia nad terenem posiadłości.

- Myślisz, że ma dysze suchego lodu, które wytrysną podczas lądowania, albo zainstalowali olbrzymie karabiny laserowe, które rozwalą Biały Dom w drobny mak?

- Tato, uspokój się.

Statek opadał. W jego brzuchu rozsunęły się dwa rzędy włazów.

- Do cholery, nigdy nie słyszeli o plastmetalu? - zrzędził Gore.

Wysunęły się długie, grube teleskopowe nogi. Towarzyszył temu ostry syk, gdy gaz pod wysokim ciśnieniem uchodził przez kratownicę w podwoziu.

Justine przygryzła dolną wargę, żeby nie chichotać. Statek wyglądał komicznie; coś takiego Isambard Kingdom Brunei mógłby zbudować dla królowej Wiktorii.

Statek osiadł na trawniku, podkładki lądownicze zagłębiły się w trawie i miękkiej glebie. Kilka żeber promienników wcięło się w srebrne brzozy. Drzewa zapaliły się od ciepła. Płonące gałęzie opadały na ziemię.

- Ależ on narobił szkód! Jak nasz świat przeżyje? Szybko, dzieci, uciekajcie w las, ja ich powstrzymam strzelbą.

- Tato! I skasuj swoje solido. Wiesz, co Imperium myśli o osobowościach ZAN.

- Głupota i przesady.

Solido zniknęło. Justine widziała jego ikonę w swoim egzoobrazie.

- Bądź teraz grzeczny - upomniała go.

- Ten statek sieje promieniowaniem - stwierdził Gore. - Nie

osłonili porządnie swojego reaktora nuklearnego. A w ogóle to kto używa deuteru?

Justine przejrzała dane z czujników skanujących aktywne obszary statku.

- Poziom emisji nie jest szkodliwy.

- Ociseni nie są tak wrażliwi na radioaktywność jak ludzie - wyjaśnił Kazimir. - Między innymi dzięki temu zdołali uprzemysłowić przestrzeń w swoich układach macierzystych na poziomie tego, co u nas odpowiada technice połowy dwudziestego pierwszego wieku. Nie potrzebowali masy ekranującej. Nam byłaby niezbędna.

W połowie kadłuba statku otworzyły się wielosegmentowe drzwi śluzy. Wypłynął stamtąd ambasador Imperium Ocisen.

Siedział na półkulistych saniach regrawowych. Nie miał imponującej postury. Mały beczkowaty tors pokrywały zachodzące na siebie fałdy zwiotczonego ciała. Czworo oczu tkwiło na zygzakowatych szypułkach wychodzących łukiem ze szczytu głowy, a cztery kończyny zawijały się w dolnej połowie korpusu. Pokrywała je warstwa cybernetycznych urządzeń wspomagających z manipulatorami - od delikatnych szczypców do wielkich hydraulicznych kleszczy jak u kraba. Wzdłuż ciała biegły szyny tworzące chromowaną klatkę kręgosłupa, kończące się kołnierzem tuż pod miejscem, skąd wychodziły szypułki oczu. Na wielu segmentach ciała widniały plamy miedzianego mchu - tak to przynajmniej wyglądało - z którego wyrastały małe gumowe łodyżki z drobnymi szafirowymi kwiatkami.

Sanie zatrzymały się przed Justine. Unosiły się pół metra nad gruntem i szypułki oczu zawisły nad nią. Justine skłoniła się oficjalnie. Choć Ambasador tkwił w module regrawowym i korzystał ze wspomaganie fizycznego, było jasne, że przybył ze świata o niskim ciężeniu. Zapadł się w metalowo-kompozytową konstrukcję. Dwie szypułki oczne przekrzywiły się i celowały w Justine.

- Ambasadorze, dziękujemy, że zechciał pan złożyć nam wizytę - powitała go.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparł Ambasador. Bełkotliwy szept dochodził z wąskich woklizatorów między szypułkami oczu. Procesory sań tłumaczyły to na angielski, a głośnik dudnił odpowiedź.

- Witamy w naszym domu. - Justine pamiętała o etykiecie.

Inna szypułka ambasadorskiego oka zakrzywiła się i spojrzała na Kazimira.

- Jest pan komandorem ludzkiej floty.

- Zgadza się - potwierdził Kazimir. - Przybyłem tu zgodnie z pana prośbą.

- Wielu z kuzynów moich gniazdowych przodków walczyło w ataku na Fandolę. - Ze skrzeli ambasadora prysnęły kropelki śliny, zaabsorbowane zaraz przez otwory w kołnierzu podtrzymującym.

- Z pewnością walczyli z honorem.

- Do diabła z honorem. Odnieśliśmy zwycięstwo nad tymi robalami Hancher, gdyby nie wasza interwencja tamtego dnia.

- Jesteśmy zaprzyjaźnieni z Hancher. Wasz atak był nierozsądny. Ostrzegałem, że nie opuścimy naszych przyjaciół. To nie leży w naszych zwyczajach.

Czwarte oko na szypułce zwróciło się do Kazimira.

- Osobiście ostrzegął pan Imperium, dowódco floty?

- Tak jest.

- Żyje pan bardzo długo. Już nie jest pan naturalny.

- Czy po to pan tu przybył, ambasadorze, żeby mnie obrażać?

- Zbyt emocjonalnie pan reaguje. Ja tylko stwierdzam oczywisty fakt.

- Nie ukrywamy oczywistych faktów - powiedziała Justine. - Ale dziś nie zebraliśmy się po to, żeby rozpamiętywać przeszłość. Proszę do środka, ambasadorze.

- To miłe z pani strony.

Justine weszła do holu. Sanie ambasadora sunęły za nią nie na tyle blisko, by było to nieuprzejme, lecz dość blisko, by wprawić ją w zakłopotanie.

W obrazie peryferyjnym wdziała migające ikony Kazimira obok ikony Gore'a.

- Wiesz - powiedział - że Ociseni zaczęli malować swoje sanie na czarno, dopiero wtedy gdy się zorientowali, że mrok wywołuje u ludzi niepokój.

- Jeśli to ich największe osiągnięcie to dziw, że w ogóle przetrwali epokę atomu - odparła.

- Nie powinniśmy z nich kpić zbyt pochopnie - rzekł Gore. - Nie ma co szydzić. Stworzyli imperium i gdyby nie nasza interwencja, unicestwiliby hancherów.

- Trudno mi to uznać za oznakę ich wyższości - stwierdziła Justine. - Z pewnością nie są dla nas zagrożeniem. Ich poziom techniczny jest parę rzędów wielkości niższy od kultury Elewatów, a tym bardziej od ZAN.

- Tak, ale obecnie zależy im tylko na uzyskaniu zaawansowanej technologii, zwłaszcza broni. Dużą część budżetu imperatora skierowano na budowę statków eksploracyjnych dalekiego zasięgu. Mają nadzieję, że znajdą świat, którego mieszkańcy przeszli w stan postfizyczny, a oni wezmą sobie to, co po nich pozostało.

- Miejmy nadzieję, że nigdy nie spotkają osiadłych alf.

- Siedemnaście razy próbowali dotrzeć do Pary Dysona - powiedział Kazimir. - Obecnie ich czterdzieści dwa statki szukają cywilizacji osiadłych alf poza rejonem kosmosu, gdzie założyliśmy ścianę przeciwniową.

- Nie wiedziałam o tym. Czy istnieje niebezpieczeństwo, że znajdą samotną planetę alf?

- Jeśli my jej nie możemy znaleźć, to oni z pewnością też nie.

Justine poprowadziła wszystkich do pokoju McLeoda. Usiadła na szczycie wielkiego dębowego stołu. Kazimir zajął miejsce przy matce, a ambasador unosił się przy drugim końcu blatu. Szypułki oczu obracały się powoli, jakby skanował wnętrze i miał kłopot z interpretacją tego, co widzi. W wystroju dominowały szkockie motywy: draperie w szkocką kratkę, starożytne celtyckie miecze ceremonialne i dostojne marmurowe manekiny w klanowych kiltach. W szklanych gablotach eksponowano kilka egzemplarzy dud. Nad kominkiem wisały bajeczne jelenie rogi przywiezione z zamku w Szkocji.

- Ambasadorze, reprezentuję ludzki rząd Ziemi - zaczęła Justine oficjalnie. - Jestem w postaci fizycznej, jak o to prosiłeś, i mam upoważnienie od rządu do negocjacji z imperium Ocisen. Jakie kwestie chcecie przedyskutować?

Trzy szypułki wygięły się i troje ambasadorskich oczu wpatrywało się w Justine.

- Nie aprobujemy tego, żeby żyjąca istota podporządkowała się mechanizmowi, ale uważamy wasz komputer planetarny za prawdziwego władcę Wspólnoty. Dlatego zażądałem bezpośredniego spotkania, a nie rozmowy z senatem, jak zazwyczaj.

Justine nie zamierzała podnosić sporu na temat struktur politycznych z obcym, który wszystko widział czarno-biało.

- ZAN ma znaczne wpływy poza tą planetą. To fakt.

- Więc musicie współpracować z Imperium, żeby zapobiec realnemu niebezpieczeństwu.

- Jakiemu niebezpieczeństwu, ambasadorze? Jakbyśmy tego nie wiedzieli, pomyślała.

- Ludzka organizacja grozi, że wyśle statki do Pustki.

- Tak, ruch Żywego Snu chce tam posłać Pielgrzymkę.

- Długo przebywałem z waszym gatunkiem i poznałem wasze stany emocjonalne, więc jestem ciekawy, dlaczego to wydarzenie nie budzi w was trwogi. To ludzie przekazali nam wiedzę o Pustce, a więc wiecie, jakie efekty zamierza wywołać Żywy Sen.

- Niczego nie zamierzają, chcą po prostu żyć tak, jak ich idol.

- Umyślnie kwestionujecie skutki. Jeśli wejdą do Pustki, sprowokują masową fazę pożerania. Galaktyka zostanie zniszczona. Nasze Imperium będzie pochłonięte. Zabijecie nas i mnóstwo innych gatunków.

- Nie dojdzie do tego - zapewniła go Justine.

- Mamy więc pewność, że powstrzymacie Żywy Sen.

- Tego nie powiedziałam. Według nas Pielgrzymka nie zainicjuje żadnej fazy pożerania. Wierni nie mogą przejść przez horyzont zdarzeń, który broni Pustki. Nawet raielowie mieli z tym problemy, a Żywy Sen nie ma dostępu do statku raielów.

- Więc dlaczego podejmują tę Pielgrzymkę?

- Zwyczajny polityczny gest. Nic ponadto. Ani Imperium Ocisen, ani inne gatunki w galaktyce nie mają się czego obawiać.

- Czy gwarantujecie, że Żywy Sen nie przedostanie się przez horyzont zdarzeń? Niektórzy ludzie przeszli w Pustkę. To przecież oni spowodowali, że inni chcą wyruszyć z Pielgrzymką.

- Wie pan, ambasadorze, że niczego nie można gwarantować. Ale prawdopodobieństwo...

- Jeśli nie możecie gwarantować, to musicie zapobiec odlotowi statków.

- Wielka Wspólnota jest instytucją demokratyczną. W tym wypadku sprawę komplikuje fakt, że Żywy Sen to organizacja transgwieżdna i równocześnie jest także legalnym rządem Ellezelinu. Konstytucja Wspólnoty chroni prawo wszystkich osób do samookreślenia na poziomie indywidualnym i rządowym. Inaczej mówiąc, nie mamy podstaw prawnych, by przeszkodzić im w Pielgrzymce.

- Znam waszych prawników. Wszystko można odkręcić, nic nie jest ostateczne. Gracie słowami, nie rzeczywistością. Imperium uznaje tylko siłę i kompetencje. Wasz komputer rządowy ma moc fizyczną, by powstrzymać Pielgrzymkę. Mam rację?

- Kompetencje nie oznaczają automatycznie zamiaru - stwierdziła Justine. - ZAN:Władze są zdolne zrobić wiele rzeczy. Nie robimy tego, ponieważ kierujemy się naszymi prawami formalnymi i moralnymi.

- Zniszczenie tej galaktyki jest wbrew waszej moralności. Możecie temu zapobiec.

- Możemy ostro się temu sprzeciwić. - Żałowała, że aż do tego stopnia zgadza się z Ocisenem.

- Imperium żąda konkretnego zobowiązania. Statki Pielgrzymów trzeba unieszkodliwić.

- Wykluczone - odparła Justine. - Nie możemy mieszać się do zgodnej z prawem działalności innego suwerennego państwa. To wbrew naszym podstawowym zasadom.

- Jeśli wy nie przeszkodzicie w wystrzeleniu tego potwora, to robi to Imperium. Nawet wasi prawnicy przyznają, że nasza rasa ma prawo do samoobrony.

- Czy to groźba, ambasadorze? - spytał spokojnie Kazimir.
- Zmuszacie nas do takiego działania. Nie dostrzegacie tego? Boicie się waszych prymitywnych kuzynów? Czym mogliby wam zagrozić?

- Nie grożą nam. Szanujemy się nawzajem. Czy mógłby pan wyteńczyć umysł, żeby to zrozumieć?

Justine próbowała odczytać reakcję Ambasadora na tę złośliwą uwagę, ale wydawał się nieporuszony. Ze skrzeli kapała mu ślina, a ramiona w cybernetycznych obudowach trzepotały jak ryby wyciągnięte z wody.

- Zawsze trudno nam było zrozumieć wasze pełne hipokryzji prawo - stwierdził Ambasador. - Imperium wie, że do swoich konstytucji zawsze włączacie nadzwyczajne pełnomocnictwa na czasy kryzysu. Domagamy się, by je teraz uruchomić.

- ZAN:Władze chętnie przedłożą propozycję senatowi - oznajmiła Justine. - Poprosimy Żywy Sen, żeby zaniechał lekkomyślnych działań.

- Zastosujecie siłę, jeśli odmówią?

- To mało prawdopodobne. Zadaniem naszej floty jest obrona przed zagrożeniem zewnętrznym - wyjaśnił Kazimir.

- A pochłonięcie przez Pustkę to nie zagrożenie? W ostatecznym rachunku to wróg wszystkich. Raielowie to przyznali.

- Rozumiemy wasz niepokój, ambasadorze - rzekła Justine. - Chciałabym pana zapewnić, że zrobimy wszystko, by zapobiec katastrofalnemu pochłonięciu galaktyki.

- Raielowie nie mogli zapobiec pożarciu. Czy jesteście potężniejsi od raielów?

- Prawdopodobnie nie - odparła. Czy ambasador zrozumiał sarkazm?

- A więc my powstrzymamy wylot waszych statków.

- Ambasadorze, radziłabym, żeby Imperium Ocisen nie podejmowało takich akcji - ostrzegł Kazimir. - Flota nie pozwoli zaatakować ludzi.

- Admirale Kazimir, uważa pan, że nas przestraszycie? Nie jesteśmy już tym bezbronny gatunkiem, jaki zaatakowaliście na

Fandoli. Teraz mamy sojuszników. Reprezentuję wiele potężnych wspólnot, które nie pozwolą, żeby Pustka weszła w końcową fazę pochłaniania. Nie występujemy sami. Czy sądzi pan, że zdołacie pokonać całą galaktykę?

Kazimir siedział nieporuszony.

- Flota podejmuje tylko działania obronne. Apeluję, żebyście pozwolili Wspólnocie rozwiązać jej wewnętrzne problemy własnymi sposobami. Ludzie nie zainicjują procesu pochłaniania na wielką skalę.

- Będziemy was obserwować - grzmiał Ambasador. - Jeśli nie powstrzymacie budowy i wystrzelenia statków, wówczas my z naszymi nowymi silnymi sojusznikami podejmiemy działania w samoobronie.

- Rozumiemy wasze obawy, ale proszę, bądźcie nam zaufali - powiedziała Justine.

- Nigdy nie daliście nam powodów do zaufania - odparł ambasador. - Dziękuję, że poświęciliście mi czas. Wracam do swojego statku. Wasze środowisko mi nie odpowiada.

Subtelna uwaga jak na Ociseną, pomyślała Justine. Wstała i odprowadziła ambasadora do statku. Gdy ocieżyła maszyna wzniosła się w niebo, obok Justine pojawił się Gore.

- Sojusznicy? Wiesz coś o nich? - spytała Kazimira.

- Zupełnie nic - odparł tamten. - Może blefował. Z drugiej strony, jeśli poważnie myślą o powstrzymaniu Pielgrzymki, będą potrzebowali sojuszników. Na pewno sami tego nie dokonają.

- Czyżby chodziło o raielów? - spytała Justine zdziwiona.

Kazimir wzruszył ramionami.

- Wątpię. Raielowie nie robią podchodów, żeby napuszczać jednych na drugich. Jeśli Imperium przedstawi im propozycję, jestem przekonany, że nam o tym powiedzą.

- A postfizyczni?

- Niewykluczone - przyznał Gore. - Uważają nas za prostackich nowicjuszy w ekskluzywnym klubie. Przynajmniej ci, którzy z nami rozmawiają. Większość się do tego nie zniża. Ale byłbym bardzo zdziwiony, gdyby o nich chodziło. Prawdopodobnie z zainteresowaniem obserwowałiby fazę ostatecznego pożerania.

- A ty? - spytała Justine beztrąsko.

Gore uśmiechnął się. Śnieżnobiałe zęby błyszcząły zimno między złotymi wargami.

- Przyznaję, że byłby to niesamowity widok. Z odległości. Z bardzo dużej odległości.

- Więc co zalecacie? - spytała Justine.

- Na pewno trzeba włączyć do tego senat - stwierdził Kazimir. - Ambasador miał rację. Według mnie nie możemy dopuścić do startu Pielgrzymki.

- Nie możemy ich powstrzymać - odparł Gore z nieprzystojną wesołością. - To jest w konstytucji.

- Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie polityczne. I to szybko.

- Moja córka. Zamierzasz sama wystąpić przed senatem? Bardzo się z tobą liczą, jesteś ucieleśnieniem historii.

- Przydałoby się potwierdzenie od raielów - zauważył Kazimir. - Masz z nimi osobiste kontakty.

- Co? - Justine aż się zgarbiła. - Na ogień piekielny. Nie planowałam wyjazdu z Ziemi.

- Przypuszczam, że ambasador hancherów też będzie potrzebował otuchy - dodał Gore złośliwie.

Justine odwróciła się i spokojnie spojrzała na ojca. - Tak, trzeba pilnować wielu ludzi i frakcji.

- Jestem pewien, że Władze wiedzą, co robią. Przecież wybrały cię jako pierwszą. Nie można lepiej.

- Prawdę mówiąc, byłam druga.

- Kto był pierwszy? - zainteresował się Kazimir.

- Toniea Gall.

- Ta suka! - Gore splunął. - Nawet tuż po jej rejuwenacji nikt nie chciał jej przelecieć w domu Cichego Świata. Wszyscy ją nienawidzą.

- Tato, posłuchaj, historia doszła do wniosku, że okres ponownego zasiedlania był małym złotym wiekiem.

- Raczej drańsko maleńkim.

Justine i Kazimir uśmiechnęli się do siebie.

- O ile pamiętam, była dobrym prezydentem - zauważył Kazimir.

- Brednie.

- W drodze do senatu wstąpię do ambasady Hancheru. Chciałabym znać militarne posunięcia Imperium.

- Zacznę rozmieszczać nasze systemy obserwacyjne wewnątrz Imperium, by mieć wyraźniejszy obraz tego, co się dzieje - zapowiedział Kazimir.

Gdy ciało Justine teleportowało się z Tulipanowej Rezydencji, pierwotna świadomość Gore'a wycofała się do bezpiecznego środowiska w przepastnym ZAN.

Pod względem perceptualnej rzeczywistości jego lokum było skromne. Niektórzy ludzie stworzyli sobie całe wszechświaty - prywatne place zabaw - konfigurując je za pomocą autonomicznych parametrów. Zajmowali w tych konstrukcjach ciała - inaczej jądra, czy punkty skupienia - i one też były różnorakie, a ich talenty określało wyłącznie indywidualne środowisko. Jak daleko rozciągały się te domeny - trudno określić. ZAN nie ograniczała się do fizycznej maszyneryi, która ją zrodziła. Medium operacyjne zostało teraz tunelowane do czasoprzestrzeni kwantowej wokół Ziemi, gdzie tworzyło unikalną prowincję, w której mogły funkcjonować różnorodne postludzkie inteligencje. W polach kwantowych rozprzestrzeniały się liczne szczeliny mające spoistość i delikatne piękno mgławic; budowle zmieniające się wraz z kaprysem ich twórcy. To nie była już maszyna ani nawet sztuczne życie. To stawało się żywe. W jakim kierunku ewoluuje? Na ten temat toczono poważne, obsesyjne dyskusje.

Fracje nie prowadziły otwartej wojny w imię ostatecznej konfiguracji ZAN, ale trwała zaciekle walka ideologiczna. Gore nie mówił całkowitej prawdy, gdy twierdził, że jest konserwatystą. Popierał idee zachowania status quo, ale tylko dlatego, że inne odłamy zbyt natarczywie przedstawiały swoje koncepcje. Oczywiście poza Rozłamowcami, którzy chcieli, by ZAN rozpadł się na tyle części, ile było frakcji, i żeby każda mogła się rządzić po swojemu. Gore nie zgadzał się z nimi. Chciał mieć

więcej czasu i więcej informacji, dzięki czemu - jak wierzył - dalsze decyzje staną się bardziej oczywiste.

Pojawił się na długiej plaży. Miał na sobie luźną koszulę z krótkimi rękawami i szorty. Kilkaset metrów dalej w morzu widział skalisty cypel, na którym stała stara kamienna wieża o rozpadających się ścianach. Z tyłu przycupnęła przy niej biały pawilon. Słońce grzało mocno. Gore czuł to na głowie i rękach. Skórę miał zwykłą, bez żadnych wzbogaceń. Jego postać oraz krajobraz wzięto z początku dwudziestego pierwszego wieku, gdy życie było łatwiejsze nawet bez rozumnych maszyn. Znajdował się w zatoce Hawksbill na wyspie Antigua, gdzie często zawijał swoim jachtem *Światło Księżycy*. W tamtych czasach na wybrzeżu był kurort, ale tutaj ład za plażą porastały tylko palmy i bujna trawa. W gałęziach drzew przemykały barwne papugi. Na rzeczywistych Karaibach zawsze wiał wiatr - tu panował spokój. W zadziwiająco przejrzystym turkusowym morzu tuż przy brzegu pływały ryby.

Na cypel wprost do wieży prowadziła zwykła gruntowa ścieżka. Pawilon o dachu z białej tkaniny skrywał szeroki drewniany pomost i mały basen. Przy jednym końcu stał okrągły stół, wokół niego pięć krzeseł z poduchami. Siedział już tam Nelson Sheldon, a przed nim na stole stał drink w wysokiej szklance.

W epoce sprzed ZAN Nelson był szefem bezpieczeństwa Dynastii Sheldonów, największego i najpotężniejszego ekonomicznie imperium, jakie kiedykolwiek istniało. Gdy oryginalne społeczeństwo i gospodarka Wspólnoty rozpadły się i przekształciły w Wielką Wspólnotę, Dynastia zachowała znaczną część swojego bogactwa i wpływów, ale po odejściu Nigela Sheldona pękła i rozproszyła się wśród Światów Zewnętrznych. Nadal zachowała liczącą się siłę polityczną i ekonomiczną, ale już bez poprzedniego autentycznego wpływu.

Nelson przez ponad dwa stulecia czuwał nad interesami Dynastii i stał się pierwszorzędnym pragmatykiem. Oznaczało to, że on i Gore w tych samych kategoriach rozpatrywali skutki całej zanowskiej ewolucji.

Gore usiadł przy stole i z dzbana nalał sobie mrożonej herbaty.

- Przysłuchiwałeś się rozmowie?
- Tak. Interesuje mnie, jakiego sojusznika czy może nawet sojuszników ma Imperium.
- Prawdopodobnie to bluff.
- Przeceniasz Ocisenów. Na blefowanie mają zbyt mało wyobraźni. Obstawiam, że udało im się odkopać jakąś starą reakcyjną rasę, którą rajcują stare dobre czasy i skrzynie pełne przestarzałej broni.
- ZAN:Władze zamierzają się temu uważnie przyjrzeć - powiedział Gore. - Nie możemy dopuścić do inwazji obcych statków na Wspólnotę. Raz już się to zdarzyło. Nie chcę, żeby to się powtórzyło znowu. Między innymi z tego powodu zaczęliśmy budować ZAN. Żeby ludzkość już nigdy nie była technicznie zacofana. W galaktyce poniewiera się mnóstwo paskudnego sprzętu.
- Nie tylko to - przyznał Nelson z powagą. - Wkrótce musimy poważnie zająć się Pustką, tak jak chcą Progresywiści.
- Ja chcę, żebyśmy się poważnie zajęli Pustką - oznajmił Gore. - Nie możemy uznawać się za mistrzów teorii kosmologicznych, jeśli nie potrafimy jej zrozumieć. Każdy ma tylko inny pogląd na temat, kiedy zacząć i jak długo prowadzić analizę.
- Oraz metod tej analizy. Zgadzam się z tobą, że musimy się dowiedzieć, jak ta cholerna rzecz jest generowana. Między innymi dlatego zawiązałem z tobą ten mały spiszek.
- Nazwijmy to małą frakcją.
- Jak chcesz. Już dawno przestałem się bawić semantyką. Cel jest bezdyskusyjny i niebezpieczny, to chyba odpowiednie słowo. A naszym celem jest naprawienie szkód, jakich narobili Progresywiści.
- Tak, do pewnego stopnia. Konserwatyści będą bardzo aktywni na tym froncie, możemy ufać, że wykonają przyzwoitą robotę. Chciałbym zaplanować kilka kroków naprzód. Przecież nie jesteśmy już zwierzętami i nasze działania nie są prostą reakcją na rozwój sytuacji. Musimy przewidywać. Ostatecznie coś należy zrobić z problemem Pustki. Zrozumieć jej wewnętrzny mechanizm - w porządku, ale nie można dopuścić, żeby nadal

zagrażała galaktyce.

Nelson uniósł szklankę gestem pozdrowienia i uśmiechnął się.

- Doskonale, twardzielu. Gdzie raielowie ponieśli porażkę...

- Powiedzieli, że ponieśli porażkę. Nie mamy niezależnego potwierdzenia.

- Nic nie trwa tak długo, z wyjątkiem samych raielów.

- Bzdury. Połowa postfizycznych w galaktyce istnieje znacznie dłużej.

- Tak, ale oni nie próbują się nawet komunikować. Siedzą zupełnie cicho. Albo umarli. Albo transcendowali. Albo retroewoluowali. Weź długi kij i szturchnij ich, ale jeśli nie zamierzasz tego robić, zostają nam raielowie jako jedyne źródło. Powiedzmy sobie szczerze: ZAN to wspaniała rzecz, jesteśmy prawie proto-bogami, ale w rozwoju nadal odstajemy od raielów, a oni osiągnęli stagnację miliony lat temu. Pustka ich pokonała. Przekształcili całe układy gwiazdne w maszyny obronne, swoją armadą dokonali inwazji na to pieprzone miejsce i ciągle nie potrafią go wyłączyć ani zabić, ani rozwalić w diabły.

- Zabrali się do tego w zły sposób.

Nelson zaśmiał się.

- A ty znasz dobry sposób?

- Mamy przewagę. Mamy informacje z wewnątrz. Kreta.

- Chodzącego po Wodzie? Na Ozziego, nie żartuj.

- Czy wiesz, kto od samego początku zwracał największą uwagę na sny Iniga? Raielowie. Nie wiedzieli, co jest w środku. Zbudowali statki, które teoretycznie mogły wytrzymać każde otoczenie kwantowe, ale mimo to żaden z nich nie powrócił. To my im pokazaliśmy, co tam jest.

- To zaledwie rzut oka, pojedyncze miasto na standardowej planecie nadającej się do życia dla człowieka.

- Nie rozumiesz. - Kolistym gestem wskazał czarną kolumnę skały wystającej z wody kilkaset metrów od lądu. Rozbijały się o nią drobne fale, piana się kotłowała. - Jeśli przyprowadziłbyś tu człowieka sprzed dwudziestego piątego wieku, to pomyślałby, że znalazł się w fizycznej rzeczywistości. Ale jeśli ty czy ja obserwowalibyśmy otoczenie poprzez ich percepcje, szybko

byśmy zauważyli sztuczne elementy. Wodostąpacz daje nam taką samą możliwość. Jego zdolności telepatyczne umożliwiły bardzo pouczający wgląd w naturę wszechświata ukrytego za tym sukinyńskim horyzontem zdarzeń. Choć wszystko wygląda jak nasz świat z planetami i gwiazdami, to zdecydowanie jest tam inaczej. Potwierdza to ten Władca Niebios z Drugiego Snu. Pustka ma Serce, choć nam tego jeszcze nie pokazano.

- Wiedza o tym, że tam jest inaczej, nie daje nam żadnej rzeczywistej przewagi.

- Nieprawda. Wiemy, że nic nie osiągniemy na poziomie fizycznym. Nie można użyć bomb kwantowych, nie można wysłać armii, żeby zmiotła sterownię głównego złoczyńcy. Pustka to szczyt postfizyczności w Galaktyce i prawdopodobnie we wszystkich innych galaktykach, jakie obserwujemy. Musimy się z nią skomunikować, jeśli chcemy znaleźć sposób na uniknięcie zagrożenia dla naszych gwiazd. Pierwotne Byty nie zamierzały robić z niej niebezpiecznego miejsca - nie wiedzieli, że na zewnątrz pozostało coś, czemu można zagrozić. To nasze okno. Wiemy, że ludzie mogą przez nie przejść, choć nie mamy pewności, jak tego dokonali za pierwszym razem. Wiemy, że wewnątrz są ludzie dostosowani do struktury Pustki. Za ich pośrednictwem będziemy w stanie wywołać zmianę.

- Chodzący po Wodzie nie żyje. Od tysięcy lat czasu wewnętrznego.

- Nawet gdyby był jedyny, w co wątpię, to czas nie jest tam problemem. Wszyscy to wiemy. Musimy dostać się do środka i stworzyć delikatny mały łącznik z Sercem. To rzecz zasadnicza;

- Chcesz odwiedzić Pustkę? Przelecieć przez horyzont zdarzeń?

- Nie ja. Choć moje ego bardzo by chciało stać się łącznikiem, nie ma empirycznych dowodów, że wewnątrz będę miał zdolności telepatyczne. Nawet gdyby do środka zabrać ZAN, nie ma pewności, że stałby się kanałem przesyłowym. Nie, musimy zastosować sposób, który daje większą szansę powodzenia.

Nelson pokręcił ponuro głową. Spodziewał się tego.

- Mianowicie?

- Pracuję nad tym.

Dzień nie zaczynał się obiecująco. Araminta właściwie nie zasnęła. Miała w sobie dziedzictwo Awangardów, co dawało jej kompletny zestaw skutecznie funkcjonujących klastrów makrokomórkowych. Mogła kompetentnie zarządzać procedurami podrzędnych myśli. Więc w naturalny sposób obudziła się o czasie - w uszach słyszała fantomowe pikanie, a zsynchronizowane z nim niebieskie światło błyskało w nerwie optycznym. Zawsze po takim wybudzeniu miała trudności. Mieszkanie składało się z dwóch pomieszczeń: kabiny łazienkowej i wielofunkcyjnego głównego pokoju. Tylko na to mogła sobie pozwolić ze swoich kelnerskich dochodów. Rozkładane łóżko, było tanie, ale miało bardzo wygodny materac z a-piany. Po ostrym budzeniu leżała skulona w bawełnianej piżamie, niczym frangel w przytulnym gnieździe. Zamglone poranne słońce wkradało się za zasłony, niezbyt ostre, nienatarczywe, a pokój utrzymywał przyjemną temperaturę. Gdyby teraz sprawdziła programy zarządzania gospodarstwem, przekonaliśmy się, że wszystko jest gotowe: codzienne ubranie jest uprane i wysuszone, a w szafce kuchennej czeka lekkie śniadanie.

Więc mogę sobie trochę poleniuchować.

Poderwał ją drugi budzik. Prysnał dziwny sen. Tym razem impuls był celowo ostrzejszy, jakby przyszedł pilny rozkaz, żeby poruszyć piekło. Nigdy tego nie potrzebowała. Skasowała hałas i światło. Pomyślała, że coś pokiełbasiła w procedurach podrzędnych, że przestawiła kolejność budzików. Skoncentrowała się na czasomierzu w egoobrazach.

- Cholera!

Gorączkowo wkładała ubranie, popijając herbatę assam i żując kawałek tosta. Zrezygnowała z powolnego prysznic na rzecz higienika, który wcale nie działał tak jak w reklamie. W reklamie aktywni ludzie szusowali z jednego klubu do drugiego, cały czas świeży i atrakcyjni. Gdy wybiegła z mieszkania, włosy miała mysie i potargane, oczy zaczerwienione, cuchnęła lekko

higienikiem, a jej skóra pachniała sosnowym bielidłem.

Wspaniale. Dzięki temu dostanę duże napiwki, zrzędziła w myślach, śpiesząc do podziemnego garażu.

Jej gondolowy trycykl warkotał na zatłoczonych porannych ulicach Colwyn City. Teoretycznie ruch powinien być mały, obecnie większość ludzi używała kapsuł regrawowych, które spokojnie płynęły nad pojazdami ziemnymi i obniżały się tylko na specjalne parkingi na poboczach dróg i na lądowiska na dachach. Ale o tej wczesnej godzinie jechali ci, którym nie najlepiej się powodziło, i wykorzystywali gondole, samochody czy motocykle oraz tłoczyli się w publicznych taksówkach szynowych.

Araminta zaparkowała na tyłach restauracji Nika. Spóźniła się pół godziny. Wbiegła przez kuchenne drzwi. Pozostali pracownicy patrzyli na nią krzywo.

- Przepraszam!

W restauracji było już pełno gości - kadra średniego szczebla - którzy wybierali naturalne jedzenie przygotowane i serwowane przez ludzi, a nie wydawane przez moduł kuchenny i boty.

Gdy Araminta zawiązywała fartuszek, przysunęła się do niej Tandra. Podejrzliwie pociągnęła nosem.

- Higienik, co? Nie nocowałaś w domu?

Araminta zwiesiła głowę. Chciałaby mieć takie usprawiedliwienie.

- Późno poszłam spać. Znów kurs projektowania wnętrz.

- Kochanie, za dużo na siebie bierzesz. Jesteś naprawdę młoda, ładna, idź się gdzieś zabawić.

- Wiem. Kiedyś to zrobię. - Araminta odetchnęła głęboko. Podeszła do Matthew, który był tak oburzony, że nawet jej nie obsztorcował. Wzięła z lady trzy przygotowane talerze, sprawdziła numer stolika, ułożyła usta do uśmiechu i pchnęła drzwi.

Pora śniadaniowa u Nika trwała zwykle półtorej godziny. Nie było ograniczeń czasowych, ale za kwadrans dziewiąta ostatni klienci wychodzili do swoich biur czy sklepów. Czasami jakiś turysta marudził nieco dłużej albo przeciągało się spotkanie

biznesowe. Dziś niewielu się zasiedziało. Araminta odbyła pokutę, nadzorując boty sprzątające, które przygotowywały sale do następnej fali klientów, wpadających tu na przedpołudniową kawę. Lokal Nika znajdował się w dzielnicy handlowej pięć przecznic od doków i to było bardzo korzystne położenie.

Po dziesiątej znowu zrobiło się tłoczno. Frontową ścianę restauracji otaczał wąski taras. Araminta obeszła stojące na nim stoliki, poprawiła kwiaty w wazonikach i przyjęła zamówienia na rozmaite kawy. W ten sposób nie wchodziła Matthew w drogę. Do tej pory nie powiedział jej złego słowa, a to zły znak.

Po jedenastej pojawiła się kobieta i przechodząc między stolikami zagadywała do klientów. Araminta widziała, jak niektórzy odpędzają ją zirytowani. Gdy dziesięć dni temu Ethan ogłosił start Pielgrzymki, uczniowie Żywego Snu z lokalnej świątyni nagabywali tu ludzi. Stawało się to nieznośne.

- Czym mogę pani służyć? - spytała Araminta ostrym tonem. Może w ten sposób zasłuży u Matthew na odrobinę odkupienia. Kobieta miała na sobie kaszmirowy grafitowy żakiet i długą powiewną spódnicę. Ubranie niemodne, choć drogie. Takie rzeczy Araminta mogłaby nosić przed separacją, gdy jeszcze miała pieniądze. - Mamy kilka wolnych stolików.

- Zbieram certyfikaty podpisów - powiedziała kobieta ze zdecydowaną miną. - Próbujemy nakłonić radę, żeby zakazała korzystania z kapsuł ingrawowych nad Colwyn City.

- Dlaczego? - spytała odruchowo Araminta. Oczy kobiety zwężyły się.

- Już same regrawy są złe, ale przynajmniej w rejonie miasta nałożono na nie ograniczenia prędkości i wysokości. Czy zastanawiała się pani kiedyś, co by się stało, gdyby kierowca ingrawu popełnił błąd? Latają po paraboli półbalistycznej, a więc nurkują w dół z połową prędkości orbitalnej.

- Ach tak, rozumiem. - Widziała, jak Matthew spogląda w ich stronę z niepokojem.

- A jak z taką szybkością spadnie na szkołę albo szpital? Są niepotrzebne. To czysty konsumeryzm bez żadnej odpowiedzialności. Ludzie to kupują dla szpanu. Niektóre

badania naukowe sugerują, że ingraw wpływa na zmianę naprężeń w głębokich uskokach tektonicznych. Może dojść do trzęsienia ziemi.

Araminta była z siebie dumna, że nie rozeźmiała się w głos.

- Rozumiem.

- Kiedy tworzono sieć ruchu w mieście, nie uwzględniano takich prędkości. Gwałtownie wzrasta liczba wypadków, które omal nie skończyły się kolizją. Dołączy pani swój certyfikat? Proszę nam pomóc w walce o bezpieczeństwo.

W u-adiunkcie Araminty pojawił się plik.

- Tak oczywiście. Ale musi pani zamówić herbatę albo kawę. Od rana szef jest na mnie zły. - Strzeliła oczami w stronę Matthew. Załączyła certyfikat swojego podpisu pod petycją, potwierdzając, że jest mieszkanką Colwyn City.

- Typowe - burknęła kobieta. - Nic ich nie obchodzi. Myślą tylko o własnym zysku. - Usiadła jednak i zamówiła herbatę miętową.

- O co jej chodzi? - spytał Matthew, gdy Araminta odbierała herbatę w kuchni.

- Wszechświat to złe miejsce i musiała się po prostu trochę zrelaksować. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Po to tu jesteśmy.

Nim zdążył odpowiedzieć, pomknęła na taras.

W pół do dwunastej u-adiunkt Araminty poklasyfikował poranne ogłoszenia agencji nieruchomości i przerzucił wyniki do jej spacji pamięci. Spędzała krótką przerwę w małym pomieszczeniu pracowniczym za kuchnią. Dość szybko przejrzała wszystkie oferty. Szukała odpowiedniego mieszkania albo nawet domku gdzieś w mieście. Niewiele pasowało do jej kryteriów: tanie, do remontu, w pobliżu centrum. Trzy informacje uznała za obiecujące, a potem sprawdziła, co dzieje się z wczorajszymi kandydaturami. Połowę z nich już przejęto. Na dzisiejszym rynku trzeba się śpieszyć, pomyślała smętnie. I mieć pieniądze albo przynajmniej dostęp do przyzwoitego kredytu. Remont - to jej wymarzony projekt. Kupić małą posiadłość i odnowić ją, a potem sprzedać z zyskiem. Wiedziała, że potrafiłaby to dobrze zrobić. W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy, po rozstaniu z Larilem,

ukończyła pięć kursów dla deweloperów i projektantów wewnątrz oraz przeczytała wszystkie stosowne teksty, jakie jej u-adiunkt ściągnął z unisfery. Deweloperka to ryzykowne przedsięwzięcie, ale sytuacje, z jakimi się zapoznała, dowodziły, że najważniejsze jest całkowite oddanie i ciężka praca oraz staranne badanie rynku. Uważała, że potrafi tego dokonać. Nie będzie od nikogo zależna. Przede wszystkim jednak potrzebowała pieniędzy...

O dwunastej wróciła do restauracji, przygotowała nakrycia stołów do obiadu oraz zapoznała się z „szef kuchni poleca”. Bojowniczką o wycofanie ingrawów już sobie poszła, zostawiając trzy wiotiańskie funty napiwku. A Matthew znów traktował ją po ludzku. Dziesięć po dwunastej wmaszerowała Cressida, kuzynka Araminty ze strony matki. Była partnerką w średniej wielkości kancelarii prawniczej. Miała sto dwadzieścia trzy lata i była zjawiskowo piękna. Miała płomiennie rude włosy i jedwabistą cerę, którą zawdzięczała kosztownym łuskom kosmetycznym. Nosiła szmaragdowo-platynowy togatur za dwa tysiące funtów. Już samo jej wejście sprawiało, że lokal zyskiwał na statusie. Była prawniczką Araminty.

- Kochanie. - Cressida pomachała do niej, podeszła i objęła ją ramionami. Przesyłanie pocałunków w powietrzu nie było w jej stylu. - Mam dla ciebie wiadomości - powiedziała zdyszana. - Twój szef chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, że ukradnę ci sekundę? - I nawet tego nie sprawdzając, zaciągnęła Aramintę do stolika w rogu.

Araminta skrzywiła się, wyobrażając sobie, jak Matthew laserowym wzrokiem wierci jej dziury w plecach.

- Co się stało?

Cressida uśmiechnęła się. Szkarłatny błyszczyc rozpląnął się, dostosowując się do szeroko rozciągniętych warg.

- Kochany stary Laril opuścił planetę.

- Co takiego? - Araminta nie dowierzała.

Laril to jej eks mąż. Małżeństwo trwało osiemnaście żalonych miesięcy. Gdy spotkała Larila, jej najbliższa rodzina sprzeciwiała się tej znajomości. Mieli swoje powody. Teraz wszystko było jasne. Araminta miała dwadzieścia jeden lat, a on trzysta siedem.

W tamtym czasie wydawał jej się szarmancki, wyrafinowany, bogaty. Dzięki niemu mogła wyjechać z zaściankowego, rolniczego Langham - miasteczka na kontynencie Suworov, jedenaście tysięcy kilometrów stąd. Rodzina uważała, że facet jest gówniarzem, jakich wielu kręciło się po Wspólnocie, zwłaszcza na mniej rozwiniętych planetach, tworzących obrzeża Światów Zewnętrznych. Zblazowani starcy, którzy mieli pieniądze, dzięki którym wyglądali na nieskazitelnych młodzieńców, ale jednak zazdrościli młodym wigoru i entuzjazmu. Łowili partnerów o całe wieki młodszych od siebie, mając próżną nadzieję, że ci magicznie przekażą im swoją werwę. Z Larilem nie było dokładnie tak. Ale prawie.

Rodzina ze strony ojca miała firmę, która sprzedawała i serwisowała urządzenia cybernetyczne dla rolnictwa. Przedsiębiorstwo należało do największych w hrabstwie, a od Araminty oczekiwano, że popracuje w nim przynajmniej przez pięćdziesiąt pierwszych lat swego życia. Po tym okresie terminowania uznawano osobę za wystarczająco dorosłą i bogatą, by mogła przejść na nowe pastwiska - a na Suworovie istniało przygnębiająco wiele filii koncernu. W ten sposób tworzyło się miejsce dla świeżego narybku. I tak w kółko. Perspektywy takiego życia łamały Araminicie serce. Aby od tego uciec, najęłyby się nawet za miłosną niewolnicę u jakiejś osiadłej alfy. A tu pojawia się książę z bajki, Laril, niezależny biznesmen, który prowadzi wiele udanych przedsiębiorstw, między innymi franczyzę na Andribocie. Różnica wieku - trzysta lat - fizycznie nie liczyła się w tych czasach. Sprzeciw rodziny wydawał się taki mieszczański. Z pewnością gwarantował wynik tego romansu.

Po fakcie okazało się, że mieli rację, przewidując, że Laril ją wykorzysta. Nie ułatwiło jej to życia po separacji. Teraz nie mogła już wrócić do Langham. Na szczęście Cressida nie wygłaszała krytycznych sądów i uważała, że błąd, jaki popełniła Araminta, wzbogaci jej życiowe doświadczenie.

- Póki czegoś nie spieprzysz, nie masz bodźca, by poprawiać swoje położenie, by wspinać się na wyższy poziom - powiedziała szlochającej Araminicie na pierwszym spotkaniu. - A co na temat

separacji mówi wasz kontrakt ślubny?

Araminta, zanim zwróciła się do kogoś z rodziny o pomoc prawną, musiała pokonać górę wstydu. Teraz oznajmiła, że ślub był tradycyjny, w stylu „póki śmierć nas nie rozłączy”. Przysięgli to przed licencjonowanym księdzem w kaplicy. W tamtym czasie było to bardzo romantyczne.

- Nie spisaliście kontraktu? - Cressida była prawdziwie zdziwiona i przerażona. - Rety, kochanie, masz przed sobą wspinaczkę na Mount Herculaneum.

Prawnicy Larila bardzo się starali, żeby Araminta w ogóle nawet nie podeszła do tej góry. Wystąpili z kontrpozmem i zamrozili jej prywatne aktywa, siedemset trzydzieści dwa funty na rachunku oszczędnościowym. Nawet Cressidzie, dysponującej siłą całej kancelarii, nie udało się przełamać prawnej ochrony Larila, a jego działalność biznesowa okazała się bardzo ulotna. Wcześniej zapewniał, że zarządza siecią dochodowych firm, przypominając imperium Sheldona. Okazało się to kłamstwem albo nawet przykrywką zaskakujących nadużyć finansowych. To dziwne, ale urząd podatkowy na Viotii nie miał żadnego śladu podatków płaconych przez Larila w ciągu ostatnich stu lat i teraz przejawiał ożywione zainteresowanie jego działalnością.

- Umknął. Odjechał. Opuścił ten świat. Wystartował. Przeniósł się. - Cressida ujęła jej dłonie i niemal boleśnie je ścisnęła. - Nawet nie zapłacił swoim prawnikom. - Okazywała z tego powodu aż nieprzyzwoite zadowolenie. - Teraz są wśród pięćdziesięciu wierzycieli, którzy chcą go dorwać.

Araminta przeżyła krótką chwilę satysfakcji, ale teraz spochmurniała.

- Więc nic nie dostanę?

- Przeciwnie. Jego solidne aktywa, dom w mieście i franczyza cateringu stadionowego, to co udało nam się zamrozić na samym początku, należą prawnie do ciebie. To wprawdzie niewiele w porównaniu z przechwałkami, które tak zawróciły w głowie młodej naiwnej dziewczynie.

Araminta gwałtownie się zaczerwieniła.

- Ale nie ma co szydzić. Chodzi o zaległe podatki. To niestety

trzysta trzydzieści siedem tysięcy funtów Viotii. A jeśli urząd podatkowy wytropi choć połowę z tych operacji, o których mi mówiłaś, to zażądamy również reszty. Krwiopijcy. Ale nie uda im się niczego dowieść, bo twój szchwany ex doskonale zaszyfrował cały swój bałagan i jakoś dziwnie poznikwały wszystkie akta. Dochodzi moja prowizja. Dziesięć procent, bo jesteś z rodziny i podziwiam to, że w końcu odzyskałaś swoją dumę. Reszta należy do ciebie. Okrągła sumka.

- Ile?

- Osiemdziesiąt trzy tysiące.

Araminta zaniemówiła. To fortuna. Racja, to nic w porównaniu z przechwałkami Larila, który jakoby był właścicielem megakorporacji. Ale i tak więcej niż się spodziewała i niż się domagała w pozwie rozwodowym. Gdy prosiła Cressidę o poradę prawną, nieśmiało marzyła - ale tylko marzyła - że skończy się na trzydziestu, czterdziestu tysiącach, które Laril zapłaci, żeby się jej pozbyć.

- O, wielki Ozzie, chyba żartujesz - szepnęła.

- Ani trochę. Mój znajomy sędzia przyśpieszył sprawy, uwzględnił to, co mu powiedziałam, że znalazłaś się w naprawdę tragicznej sytuacji. Twoje oszczędności są odmrożone i o piątej po południu na twój rachunek zostaną przelane pieniądze Larila. Jesteś znów wolną singielką.

Araminta stwierdziła z przerażeniem, że płacze, a dłonie same bez jej udziału trzepoczą przed jej twarzą.

- Ojej! - Cressida objęła ją ramieniem i kołysała nią zartobliwie.

- Ciekawe, jak ty przyjmujesz złe wiadomości!

- To koniec? Naprawdę koniec?

- Tak, naprawdę. Uczcijmy to. Powiedz swojemu szefowi, gdzie może sobie wsadzić swoje menu, wylej zupę na głowę jakiegoś klientowi, a potem ruszajmy po najlepszych klubach i doprowadźmy do ruiny połowę męskiej ludności.

- Och. - Araminta wytarła łzy wierzchem dłoni. Na wzmiankę o Matthew uświadomiła sobie, że trzeba obsługiwać gości. - Muszę wracać. W porze lunchu jest dużo pracy. Liczą na mnie.

- No, powoli, odsapnij minutę. Pomyśl, co się właśnie stało.

Araminta z zakłopotaniem kiwała głową, rozglądając się po restauracji.

Koledzy próbowali nie patrzeć w jej stronę. Matthew znów był wkurzony.

- Wiem. Przepraszam. Trochę potrwa, zanim to do mnie dotrze. Nie mogę uwierzyć, że już po wszystkim. Muszę... Och, Ozzie, tyle rzeczy chciałabym zrobić.

- Wspaniale! Zabierajmy się stąd i chodźmy sobie poimprezować. Zaczniemy od przyzwoitego obiadu.

- Nie. - Araminta zauważyła, że Tandra przygląda jej się z niepokojem, i w odpowiedzi lekko uniosła kciuk. - Nie mogę teraz tak po prostu wyjść, to nie byłoby fair wobec kolegów. Muszą znaleźć zastępstwo. Wręczę przepisowe zwolnienie i będę pracować do końca tygodnia.

- Cholera, jesteś strasznie słodka. Nic dziwnego, że ten twój paskudny ex tak łatwo cię wykorzystał.

- To się już nie powtórzy.

- Jak cholera. - Cressida wstała i uśmiechnęła się z dumą. - Od teraz prześwietlę każdego, z kim będziesz się umawiać. Chodźmy dziś przynajmniej na drinka.

- Hmm, naprawdę muszę po pracy iść do domu i pozbierać się.

- A więc w piątek wieczorem. No, wszyscy gdzieś wychodzą w piątek.

Araminta uśmiechnęła się bezwiednie.

- Dobrze. W piątek wieczór.

- Dzięki Ozziemu za to. I spraw sobie ciuchy niegrzecznej dziewczynki. Damy sobie czadu.

- Jasne, w porządku. - Poczwała, jak nastrój jej się zmienia, jakby ciepły płyn zalewał jej żyły. - A gdzie się kupuje takie ubrania?

- Nie martw się, kochanie, pokażę ci.

Araminta przepracowała porę lunchu, potem powiedziała Matthew, że chce się zwolnić, ale chętnie zostanie tak długo, jak będzie potrzebna. Zupełnie ją zaskoczył. Pocałował ją i pogratulował ostatecznego zerwania z Larilem. Koledzy otoczyli

ją, by posłuchać nowiny, wiwatowali, a Tandra roztkliwiła się do łez.

W pół do czwartej Araminta włożyła na siebie lekki płaszcz i wyszła. Chłodne wiosenne powietrze otrzeźwiło ją, rozjaśniło myśli. Wybrała jednak zwykłą trasę, którą tak często szła po południu. Z ulicy Ware skręcała w lewo do głównego skrzyżowania, a potem schodziła w dół aleją Daryad. Mijała pięcio-, sześciopiętrowe budynki stojące po obu stronach alei; typową komercyjną zabudowę. W górze cicho przemykały kapsuły regrawowe, a na szynach metra pośrodku alei brzęczały publiczne taksówki. Teraz na drogach niewiele było pojazdów, ale i tak Araminta musiała czekać na skrzyżowaniach na zmianę kształtu ikony solida regulującego ruch. Prawie nie zauważała innych przechodniów.

Szła do lokalu Glayfield - restauracji z barem - który zajmował dwa piętra w starym budynku z drewna i kompozytu, stanowiącym część pierwszego obozu założonego tuż po lądowaniu człowieka na tej planecie. Przeszła przez ciemny pusty bar i weszła do restauracji, też niemal pustej. Na piętrze od frontu lokal miał osłonięty balkon, gdzie - według Araminty - stoły ustawiono zbyt ciasno. Gdy wszystkie były zajęte, kelnerki z trudem się przeciskały. Usiadła przy balustradzie, skąd miała wspaniały widok na aleję Daryad. Tu przychodziła się zrelaksować po pracy, popijała gorącą czekoladę pomarańczową i patrzyła na ludzi i statki. Po prawej widziała aleję, która wdzieriała się w miasto, a stojące przy niej wysokie domy tworzyły jakby mur obronny zestawiony z budowli w różnych stylach, jakie panowały w Cowlyn przez sto siedemdziesiąt lat jego historii. Po lewej widziała rzekę, która przecinała łąd łagodnym, skręcającym na północ łukiem i zmierzała do Wielkiego Chmurnego Oceanu ponad trzydzieści kilometrów dalej. W mieście rzeka miała osiemset metrów szerokości i stanowiła zakończenie głębokiego estuarium, tworząc znakomity naturalny port. Na obu brzegach zbudowano kilka przystani, gdzie kotwiczyło tysiące prywatnych jachtów od małych jolek aż po wspomagane regrawem duże jachty wycieczkowe. Brzegi

rzeki spinały dwa olbrzymie mosty; jeden z nich nie miał podpór i był pojedynczym łukiem z nanorurek węglowych, a drugi - bardziej tradycyjny - był mostem wiszącym na czystobiałych filarach wysokich na trzysta metrów. Obok mostów prześlizgiwały się kapsuły, a przez most odbywał się głównie ruch pieszy. Ludzie szli do eleganckich dzielnic na południowym brzegu, gdzie stały bogate rezydencje przy długich zielonych bulwarach pośród rozległych parków.

Na północnym brzegu, niecały kilometr od restauracji Glayfield, znajdowały się doki wchodzące na błotne równiny, pięć kilometrów kwadratowych maszynierii obsługującej cargo, magazyny, nabrzeża portowe, lądowiska i platformy transportowe. Był to drugi co do wielkości port kosmiczny i węzeł komunikacyjny, z którego zaczął się rozwój kontynentu Izyum. Na Viotii nie było przemysłu ciężkiego; konstrukcje inżynierskie i zaawansowaną technikę importowano. Do Ellezelinu było tylko siedemdziesiąt lat świetlnych, a Viotia leżała na skraju Strefy Wolnego Handlu. Miejscowa ludność narzekała, że rynek jest otwarty dla firm z Ellezelinu, ale krzywdzi wszystkich, którzy wpadli w ich sieci handlowe. Nie było wormholu łączącego Viotię z Ellezelinem. Na razie. Mówiono jednak, że za sto lat, gdy rynek wewnętrzny Viotii dostatecznie się rozwinie, tunel zostanie otwarty i szerokim strumieniem napłyną tanie produkty z Ellezelinu, a Viotia stanie się kolonią ekonomiczną. Tymczasem do Światów Zewnętrznych latały statki - Araminta obserwowała ruch w porcie, sącząc czekoladę pomarańczową. Wielkie frachtowce o metalowych kadłubach matowych jak ołów, ciężkie i niezgrabne, schodziły pionowo z nieba, a w górę startowały inne statki, przechodząc przez legendarne różowe viotiańskie chmury, i przyśpieszały w stratosferze. Araminta uśmiechnęła się lekko - przypomniała sobie aktywistkę antyngrawu. Czy kobieta ma rację i pole statków wywiera wpływ na skały pod miastem? Może prosty wormhol byłby lepszym rozwiązaniem. Podobał jej się ten pomysł: cofnąć się do epoki Pierwszej Wspólnoty i mieć dystyngowany, elegancki pociąg kursujący między systemami

gwiazdnymi. Szkoda, że Światy Zewnętrzne od razu odrzuciły pomysł takiego połączenia, ale zbyt sobie ceniły wolność polityczną, by ryzykować powrót monokultury, zwłaszcza że istniało zagrożenie, że kultura Elewatów zdominuje ich ciężko wywalczoną niezależność.

Araminta została przy stoliku dłużej niż zazwyczaj. Słońce chyliło się ku zachodowi; chmury stawały się złotoróżowe, gdy zamierające promienie gwiazdy klasy K rozpraszały się w mglistej mezosferze. Na rzece Cairns świeciły barki transoceaniczne o napędzie regrawowym. Wypływały z doku i kierowały się na otwarte morze, a ich płaskie kadłuby unosiły się tuż nad pofalowaną wodą. Zawsze działał na nią kojąco widok wielkiego ludzkiego dzieła - miasta, które kipiało sprawną aktywnością. Krzepiła myśl, że cywilizacja rzeczywiście działa i nic nie może jej wywrócić. Teraz w końcu Araminta mogła aktywnie w tym uczestniczyć, stworzyć sobie własne życie. Pliki z agencji nieruchomości przesuwwały się spokojnie przez jej display egzoobrazów. Mogła szczegółowo planować. Wcześniej, gdy nie miała pieniędzy, byłoby to czcze marzycielstwo, ale tego wieczora marzenia stały się przyjemne i konkretne. Trochę ją to przerażało. Jeśli teraz popełni błąd, będzie musiała wrócić do kelnerstwa na kilka następnych dekad. Miała tylko jedną szansę. Osiemdziesiąt trzy tysiące to przyzwoite pieniądze, ale trzeba je zagonić do roboty. Choć była pełna obaw, paliła się do nowego wyzwania. To oznaczało prawdziwy początek.

Ciepły szkarłatny blask zachodu komponował się z nastrojem Araminty. Schodzili się już wieczorni goście. Zostawiła duży napiwek i zeszła na dół. Zwykle wracała pod lokal Nika, czasami po drodze robiąc zakupy, a potem swoim trycyklem wracała do domu. Ale dzisiejszy dzień nie był zwykły. Bar rozbrzmiewał muzyką. Ludzie oparci o kontuar zamawiali drinki i aerosole. Araminta spojrzała na swoje ubranie: miała na sobie niebrzydką ciemnoniebieską spódnicę za kolana, a biała bluzka z krótkimi rękawami zrobiona była ze specjalnego materiału, z którego bez trudu można zetrzeć każdą plamę. Restauracyjni goście nosili bardziej wyrafinowane stroje i w porównaniu z nimi czuła się

nico tandetnie.

Ale z drugiej strony jakie mają prawo mnie osądzać?

Wyzwalające poczucie. Nie myślała w ten sposób od czasu wyjazdu z Langhamu - wtedy przyszłość wydawała jej się pełna wspaniałych możliwości. Przynajmniej w wyobraźni.

Przeszła do baru. Przyjrzała się dokładnie butelkom i kurkom w beczkach z piwem.

- Proszę Zieloną Mgłę - powiedziała barmanowi. Obdarzył ją lekko zakłopotanym uśmiechem, ale przygotował idealnego drinka. Piła powoli, starała się nie dopuścić, żeby tłąca się mgiełka dostała się jej do nosa. Kichnięcie zniszczyłoby resztki wiarygodności.

- Dawno już nie widziałem, żeby ktoś pił tego drinka - usłyszała głos. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę przystojnego dokładnie w takim sensie, w jakim w tych czasach wszyscy byli przystojni. Miał idealne rysy, czyli - jak się domyślała - musiał przejść parę rejuwenacji. Elegancki, jak cała klientela baru. Miał prosty szaro-purpurowy togatur, który okrywał go delikatnym migotaniem. I nie jest to Laril.

- A ja dawno nie wychodziłam, żeby zaszaleć - odparła. Uśmiechnęła się, słysząc swoją śmiałą odpowiedź.

- Mogę ci postawić następnego drinka? Mam na imię Jaful.

- Araminta. Nie, nie Zieloną Mgłę. Mam do niej stosunek sentymentalny. Co się teraz pija?

- Mówią, że Adler 88Vodka leje się we wszystkich spelunkach. Skończyła swojego drinka jednym haustem. Próbowwała się nie skrzywić. Pchnęła szklaneczkę po blacie.

- A więc najlepiej zacznijmy od tego.

- Obudziłaś się?

Słyszac pytanie, Araminta poruszyła się. Nie była zupełnie rozbudzona, drzemała słodko po nocy spędzonej na intensywnym seksie. Umysł miała pełen dziwnych wizji: po ciemnym niebie gonił ją anioł. Ledwo się poruszyła i to wystarczyło Jafulowi. Przesunął dłonie po jej brzuchu, objął piersi.

- Och - wymamrotała senna, gdy anioł zniknął.

Jaful obrócił ją na brzuch, co ją zdeorientowało. Jego kutas znów się w nią wślizgnął twardy i natarczywy. Była w niewygodnym położeniu. Przy każdym ruchu partner wypychał jej twarz w miękkie łóżko. Wierciła się, żeby przyjąć wygodniejszą pozycję; zrozumiał to jako pełną akceptację. Namiętne dyszenie przeszło w radosny okrzyk. Araminta starała się jak najlepiej współpracować, ale przyjemność była minimalna. Wyszłam z wprawy, pomyślała. Próbowwała się nie zaśmiać. Partner by tego nie zrozumiał. Przynajmniej starała się nadrobić stracony czas. Kiedy dotarli do jego mieszkania, kopulowali trzy albo cztery razy.

Jaful szczytował z radosnym krzykiem. Wtórowała mu. Tak, pamiętam, jak się to robi. Osiemnaście miesięcy z Larilem, a udawane orgazmy stały się automatyczne.

Jaful padł na plecy i odetchnął głęboko. Uśmiechnął się do niej.

- Cudownie. Dawno nie przeżyłem takiej nocy. Może nawet nigdy.

- Byłeś dobry - powiedziała głosem obniżonym o dwie oktawy.

To zabawne, jakbyśmy czytali scenariusz. Podryw w barze. Noc w jego mieszkaniu. Wzajemne komplementy. Oboje grali swoje role z rytualną perfekcją.

Ale było zabawnie.

- Wezmę prysznic - oznajmił. - Powiedz jednostce kulinarnej, co ma ci przygotować. Przyzwoicie syntezuje.

- Tak zrobię. - Patrzyła, jak idzie do przyległej łazienki. Wtedy rozejrzała się po pokoju z ciekawości. Widziała szykowną kawalerkę z prostymi, drogimi meblami i współczesną sztuką. Ściana naprzeciw łóżka była pojedynczym oknem, przesłoniętym śnieżnobiałymi zasłonami.

Araminta zaczęła zbierać swoje ubrania, gdy w łazience włączyło się spryskiwanie sporami. Bielizna - praktyczna, lecz niezbyt seksowna, pomyślała, wzdychając - leżała tuż przy łóżku. Spódnica w połowie drogi między łóżkiem a drzwiami. Bluzka na fotelu. Włożyła to na siebie i spojrzała na drzwi łazienki. Prysznic ciągle był włączony. Czy on zawsze tak długo się kąpie czy realizuje ten fragment scenariusza, w którym ma jej uprzejmie

dać okazję do dyskretnego opuszczenia mieszkania. Wzruszyła ramionami i wyszła.

Jafuł był w porządku. Odpowiadał jej w łóżku. Tylko że nie wyobrażała sobie, o czym mogliby rozmawiać przy śniadaniu. Czuliby się niezręcznie. Wychodząc, zachowywała przyjemne wspomnienia.

- Więcej treningu - powiedziała sobie i szelmowsko się uśmiechnęła. Czemu nie? Znów naprawdę żyję.

Gdy z obszernego holu budynku wyszła na ulicę, oślepiło ją różowe światło. Za dwanaście minut zaczynała się ranna zmiana u Nika. U-adiunkt powiedział jej, że znajduje się w dzielnicy Spalding. Musiała się przedostać przez pół miasta. Zawołała na dół taksówkę. Za pół minuty pojawiła się żółto-fioletowa kapsuła i zawisła kilka centymetrów nad betonem trzy metry przed Aramintą, która zakłopotana patrzyła, jak otwierają się drzwi pojazdu. Nigdy w życiu sama nie wzywała taksówki - zawsze zamawiał ją Laril. Po rozwodzie, oczywiście, nie mogła sobie na to pozwolić. A teraz mnie na to stać. Niech żyje wolność!

Dotarła do lokalu Nika i od razu pomknęła do toalety. Gdy wyszła, wiążąc fartuszek, Tandra spojrzała na nią podejrzliwie.

- Zdaje się, że masz na sobie to samo ubranie co wczoraj. - Węszyła fachowo. - Taaa, i znów higienik. Czy w nocy coś się działo z twoją hydrauliką?

- Wiesz co, naprawdę będzie mi ciebie brakować, jak się stąd zwolnię - odparła Araminta

, próbując zachować powagę.

- Jak on się nazywa? Jak długo z nim chodzisz?

- Nikt. Z nikim nie chodzę, wiesz przecież.

- O, daj spokój!

- Muszę się napić kawy.

- Niewyspana, co?

- Przeglądałam oferty deweloperskie, i tyle.

Tandra uśmiechnęła się szyderczo.

- Złotko, pierwsze słyszę, żeby to się tak nazywało.

Po porannej zmianie Araminta jak zwykle zajęła się przeglądaniem plików. Tym razem przebiegało to inaczej. Tym razem jej u-adiunkt skontaktował się z agencjami i pobrał wirtualne wycieczki po pięciu najbardziej obiecujących obiektach. Boty dawały pełnozmysłowe informacje.

Na tej podstawie wybrała jeden apartament i postanowiła go obejrzeć po południu.

Gdy tylko weszła do środka, od razu wiedziała, że to właściwy wybór. Mieszkanie zajmowało pierwsze piętro przebudowanego dwupiętrowego domu w dzielnicy Philburgh, położonej nieco ponad dwa kilometry na północ od doków, trzy przecznice od rzeki. Miało dwie sypialnie, a nawet balkon - jeśli się dobrze wychyliło przez balustradę, widać było rzekę Cairns. Idealne miejsce dla skromnie zarabiającej osoby pracującej w centrum.

Araminta uruchomiła analityczne programy oficjalnej inspekcji, polecane przez profesjonalne agencje nieruchomości. Apartament wymagał nowego wystroju. Obecny właściciel mieszkał tu trzydzieści lat i niewiele zrobił w tym kierunku. Należało wymienić instalację kanalizacyjną, moduł domowy, ale poza tym konstrukcja była w idealnym stanie.

- Biorę - powiedziała agentowi.

Po godzinnych negocjacjach ustalono cenę: pięćdziesiąt osiem tysięcy. Araminta wolałaby mniej, ale i tak zostawało jej dość pieniędzy na przyzwoity remont. Reszta nie wystarczy na życie, ale jeśli prace zostaną zakończone w trzy, cztery miesiące, obejdzie się bez pożyczki z banku. Nie będzie łatwo. Rozejrzała się po salonie - zniszczona, samoodkurzająca się podłoga i stare ściany z lekkiego materiału wymagały ciężkiej pracy. Wtedy dopadły ją wątpliwości. Daj spokój, pomyślała, poradzisz sobie. Czekając na to, zasłużyłaś.

Odetchnęła głęboko i opuściła mieszkanie. Poszła do siebie, by wziąć prysznic. Higienik już nie wystarczał. Potem mogła się przebrać i wyjść na miasto. Słyszała o wielu barach, w których jeszcze nie była.

Dubler Trobluma obudził się w dwóch sypialniach penthousu. Jego rzeczywista osoba leżała na łóżku ze specjalnej pianki, która wygodnie podtrzymywała jego wielkie ciało, dzięki czemu przyzwyciężył się wyspać. To był pokój Catriony. Przesadnie różowe dekoracje i tkaniny oraz wiele puszystości. Bardzo dziewczęcy pokój dziewczynki. Przyzwyczał się do niego. Równoległe sensorium wracało z bliźniaczego połączenia do solido Howarda Lianga, agenta Gwiazdokrażcy, który stanowił część misji dezinformacyjnej. Howard znajdował się w głównej sypialni w okrągłym łóżku z trzema kobietami. Między innymi tę cechę solido Troblum doskonalił całe lata. Teraz, gdy miał ochotę na seks, cztery postacie oddawały się namiętnej miniorgii. Młode giętkie ciała przybierały rozmaite role w niezliczonych kombinacjach i mogły być aktywne tak długo, jak sobie Troblum zażyczył. Poddawał się temu godzinami, jego ciało napawało się przyjemnością, jakiej doświadczały starannie sformatowane drogi neuronalne Howarda. Był lalką i lalkarzem jednocześnie. Ta czwórka nie była w ścisłym sensie rzeczywistością historyczną - przynajmniej on nigdy nie znalazł na to żadnego dowodu - ale nie była niemożliwa, co w jakimś sensie legitymizowało ekstrapolację.

Powoli zniknęły widoki i odczuwanie pięknych, nagich oplatających go ciał, gdy jego prawdziwe ciało ponownie się manifestowało, kasując bliźniacze połączenie z Howardem. Wyszedł spod prysznic, gdzie został opryskany świeżymi sporami skórnymi, i poszedł do przestronnego salonu. Mrowiącą skórę oblało brązowe światło słońca. U-adiunkt raportował, że ciągle nie ma poczty od admirała Kazimira. Troblum uznał to za dobrą wiadomość. Opóźnienie oznaczało przynajmniej, że sprawa jest nadal rozważana. Znając biurokrację floty, podejrzewał, że formalnie komitet analityczny jeszcze się nie zebrał. Jego hipoteza stała w sprzeczności z wieloma konwencjonalnymi sądami. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić bezpośrednio do admirała i nie przynaglić go, ale odradziły mu to osobiste procedury protokolarne.

Owinął się płaszczem i windą zjechał do holu. Po krótkim

spacerze znalazł się w swojej ulubionej kawiarni nad spokojnym brzegiem rzeki Caspe. Budynek z białego drewna miał kształt folgaila, ptaka bardziej statecznego od ziemskiego łabędzia. Jego ulubiony stolik pod wygiętym skrzydłem był wolny i Troblum usiadł przy nim. Przekazał zamówienie sieci i czekał, a tymczasem kelnerobot przyniósł mu świeżo wyciśnięty sok z jabłek i gonberry. Rowury, szef kuchni, przez kilka dni w tygodniu przychodził do lokalu i gotował dla smakoszy. W kulturze szczytującą się egalitaryzmem, Elewaci potrafili być prawdziwymi snobami, jeśli chodzi o niektóre tradycje i rzemiosła, a „właściwe” jedzenie znajdowało się na szczycie listy. W Daroce istniało kilka popisowych restauracji i kawiarni.

Pierwsza zamówiona potrawa: płatki zbożowe z owocami i jogurtem. Wszystko wyhodowane w sposób naturalny (przez entuzjastów rolnictwa) i sprowadzone z pięciu różnych planet. Troblum skosztował. Rowury skomponował pyszną mieszankę o smaku subtelnym, lecz wyrazistym. Szkoda, że nie można zamówić dokładki, ale z wyjątkiem tostów z chleba del, dania miały ustaloną wielkość. Kto chciał dokładek albo gigantycznych porcji, szedł do w pełni automatycznych stołówek.

Troblum skończył jeść płatki i zaczął pić herbatę, gdy ktoś się do niego przysiadł. Spojrzał zirytowany. Kawiarnia była pełna, ale to nie stanowiło usprawiedliwienia dla złych manier. Nie zdążył jednak udzielić nagany.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. - Marius już się sadowił. Za jego czarnym togaturem ciągnęła się smuga ciemności, jakby miał opóźnienie. - Słyszałem dobrą opinię o tym miejscu.

- Zapraszam - odparł zrzędliwie Troblum. Nie powinien okazywać zbyt dużej niechęci na jego widok, bo to przecież Marius jako reprezentant frakcji skierował do prywatnego projektu Trobluma takie fundusze AEM, jakie normalnie udostępniano tylko wielkim przedsięwzięciom publicznym. W zamian postawiono mu irytujące żądania, choć samo zadanie było ciekawe, ale pochłaniało mnóstwo czasu. - O, już zamówiłeś.

Kelnerobot przyniósł Mariusowi porcelanową filiżankę z

herbatą.

- Jak się trzymasz, Troblum?

- Dobrze. Wiesz przecież.

Jego funkcje pola wykryły subtelne ekranowanie wokół stołu, pochodzące od Mariusa. Dyskretne, ale wystarczało, żeby uniemożliwić komukolwiek podsłuchanie rozmowy czy skanowanie. Nigdy nie lubił reprezentanta i niezwykle było to spotkanie twarzą w twarz. Nieumówione spotkanie. Troblum niepokoił się, jaki jest jego powód.

Mariusz popijał herbatę.

- Doskonała. Assam.

- Chyba tak.

- Ci, którzy pozostali na Ziemi, są dumni z tego, że zachowują starożytne tradycje. Chociaż wątpię, czy liście zbierane są ręcznie. A ty?

- Gównu mnie to obchodzi.

- Wiele rzeczy ci umyka, przyjacielu.

- Czego chcesz?

Mariusz utkwiał w nim zielone oczy. Przez twarz przebiegł mu ledwo zauważalny wyraz niesmaku.

- Oczywiście, krańcowa obcesowość. Dobrze. Chodzi o twoją konferencję dla floty na temat pary Dysona.

- I co?

- Interesująca teoria.

- To nie teoria - odparł Troblum z irytacją. - To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, skąd się wzięła Ciemna Forteca.

- Co takiego?

- Ciemna Forteca. Tak oryginalnie nazywano generator Alfego Dysona. Nazwę wymyślił chyba Jean Douvoir. Był w pierwszej ekspedycji „Drugiej Szansy”. Miało to brzmieć ironicznie, ale po wojnie wypadło z mody, zwłaszcza po kampanii ściany przeciwogniowej, ludzie po prostu...

- Troblum.

- Tak?

- Gównu mnie to obchodzi.

- W osobistej bezpiecznej jednostce pamięci przechowuję

kompletny dziennik pokładowy z „Drugiej Szansy”, jeśli chciałbyś sprawdzić.

- Nie. Ale wierzę w twoją teorię. - Och, na Ozz...

- Posłuchaj - przerwał mu Marius. - Poważnie, wierzę. Argumenty były znakomite. Admirał Kazimir miał tak dobre zdanie o twoim referacie, że zażądał pełnej analizy, a jego niełatwo przekonać. Traktują cię poważnie.

- No, to chyba dobrze?

- Szeroko patrząc, na pewno tak. Ale może chciałbyś się zastanowić, skąd masz tak wyczerpującą wiedzę na temat Ciemnej Fortecy.

- Aha. - Teraz Troblum naprawdę się zaniepokoił. - Nigdy nie wspominałem, że tam byłem.

- Wiem o tym. Chodzi o to, że nie chcemy, żeby ZAN:Władze były świadome, że ty i twój zespół prowadziliście szczegółowe badanie Ciemnej Fortecy. Nie teraz. Zrozumiałeś?

- Tak. - Troblum pochylił głowę. Śmieszny odruch, ale czuł skruchę. Może powinien zdawać sobie sprawę, że jego referat ściągnie na niego zbyt wiele uwagi. - Czy myślisz, że flota sprawdzi mój życiorys?

- Nie. W tej chwili nie mają powodu. Jesteś tylko fizykiem, który ubiega się o fundusze AEM. To się często zdarza. I na tym poprzestańmy.

- Tak, rozumiem.

- Dobrze. Więc jeśli komitet analityczny doradzi admirałowi, żeby nie podejmować żadnych dalszych akcji, wolelibyśmy, żebyś nie robił awantury.

- A jeśli zalecą dokładne badania?

- Jesteśmy pewni, że nie.

Troblum usiadł wygodniej i próbował opracować taktykę. Trudno mu było ocenić motywacje i psychologię innych ludzi.

- Skoro macie takie wpływy we flocie, to po co się martwić?

- Nie możemy wpływać bezpośrednio, kiedy gwarantem jest Kazimir. Ale ten komitet analityczny składa się głównie z ludzi z zewnątrz, niektórzy z nich nam sprzyjają, tak jak ty.

- Jasne. - Troblum poczuł, jak rozpacz okrywa chmurą jego

umysł. - Czy potem po Pielgrzymce będę mógł znowu przedstawić ten projekt?

- Zobaczymy. Prawdopodobnie tak.

Nie była to bardzo dobra wiadomość, ale lepsza niż stanowcza odmowa.

- A mój projekt napędu?

- To można kontynuować, o ile nie będziesz rozgłaszał, nad czym pracujesz. - Marius uśmiechnął się. Uśmiech nie pasował do jego twarzy. - Doceniamy twoją pomoc, Troblum, i chcemy, żeby nasze relacje pozostały wzajemnie korzystne. Tylko że wydarzenia wkraczają obecnie w fazę krytyczną.

- Wiem.

- Dziękuję. Zostawię cię teraz, żebyś mógł się delektować posiłkiem. Kelnerobot wykazał się podejrzanym wyczuciem czasu, gdy Marius odchodził. Troblum spojrzął na talerz, który maszyna przed nim postawiła. Wieża naleśników grubo posmarowanych masłem, obłożonych bekonem, serem z mleka yoków, jajecznicą z jajek garfoula, kaszanką, a na szczycie przyozdobiona truskawkami. Syrop klonowy i aftonowy sos spływały z niej jak lawa z wulkanu. Brzegi talerza artystycznie przybrano miniaturowymi smażonymi plasterkami ziemniaka, zapiekanyrmulfudami winnymi i pieczonymi złotymi pomidorami.

Po raz pierwszy od wielu lat Troblum zupełnie nie miał apetytu.

Drugi sen Iniga

Edeard od miesięcy cieszył się na tę podróż. Późnym latem każdego roku starszyzna wioski organizowała karawanę do Witham, najbliższego miasta średniej wielkości w prowincji Rulan, by tam handlować. Zgodnie z tradycją brali w niej udział wszyscy starsi uczniowie. Była to część ich szkolenia z rolnictwa, które musieli lepiej poznać, zanim zostaną praktykantami. Uczono ich jak polować na małe zwierzęta, jak czyścić rowy na farmach, które owoce zbierać, jak obsługiwać pług, które jagody i korzonki są trujące, a także podstaw rozbijania obozu w dziczy.

Nawet fakt, że przez trzy tygodnie będzie miał za towarzysza podróży Obrona, nie zmniejszył entuzjazmu Edearda. W końcu wydostanie się z Ashwell. Jasne, był na wszystkich miejscowych farmach, ale nie dalej niż pół dnia drogi od domu. Karawana oznaczała, że zobaczy znacznie większy kawał Querencii - góry, ludzi różniących się od wieśniaków, wśród których żył piętnaście lat, lasy. Szansa obejrzenia, jak inni załatwiali sprawy, szansa badania nowych idei. Tyle tam na niego czekało. Był przekonany, że będzie fantastycznie.

Rzeczywistość niemal dorastała do jego oczekowań. Tak, Obrona był dokuczliwy, ale nie za bardzo. Po sukcesie z gekotami ciągle prześladowania nie ustały, ale z pewnością złagodniały. Nie rozmawiali ze sobą jak przyjaciele, ale w podróży Obrona zachowywał się niemal grzecznie. Edeard podejrzewał, że częściowo zawdzięcza to Melzarowi, który przewodził karawanie i, zanim wyruszyli, dał bardzo jasno do zrozumienia, że nie będzie tolerował kłopotów.

Może się to wydawać rodzajem wakacji - powiedział Melzar uczniom którzy w wieczór przed wyjazdem zebrali się w wioskowej sali zgromadzeń.

Ale pamiętajcie: to część waszego formalnego szkolenia. Oczekuję, że będziecie ciężko pracowali i się uczyli. Jeśli ktoś z

was stworzy mi jakikolwiek problem, natychmiast odeślę go do Ashwell. Jeśli którykolwiek z was zwolni tempo albo nie osiągnie tego, co uznam za satysfakcjonujący poziom kwalifikacji, poinformuję jego Mistrza i zostanie cofnięty w swych uprawnieniach o rok. Zrozumiano?

- Tak, proszę pana - potwierdzili niechętnie uczniowie. Kiedy wychodzili, na wielu twarzach malowały się ukryte przed Melzarem złośliwe uśmiešky. Dotarcie do Witham zabrało pięć dni. W karawanie jechało ośmiu dorosłych i siedemnastu uczniów. Trzy wielkie wozy załadowano towarami i żywnością; prowadzili ponad trzydzieści zwierząt domowych. Wszyscy jechali na gekoniach. Niektórzy uczniowie dosiedli zwierząt po raz pierwszy w życiu. Melzar szybko przydzielił Edearda do pomocy w ich szkoleniu. Pozwoliło to Edeardowi nawiązać rozmowy z chłopakami, którzy wcześniej go ignorowali - mimo wszystko był najmłodszym starszym uczniem w Ashwell. Ale tutaj, w drodze, zaczęli akceptować go raczej jako równego sobie niż jako dziwnego chłopca, na którego narzekał Obron. Melzar powierzył mu także kontrolowanie gewilków, które wykorzystywali jako straż.

- Nadajesz się lepiej niż my wszyscy do prowadzenia tych bestii, chłopcze - powiedział, kiedy założyli obóz pierwszej nocy. - Przypilnuj, żeby właściwie wykonywały swoją pracę. Trzymaj trzy z nich przy nas, a trzy inne niech patrolują okolicę wokół.

- Tak, proszę pana, mogę to zrobić.

To nawet nie było samochwalstwo, rozkazy były proste.

Tego wieczora uczniowie rozmawiali między sobą o bandytach i dzikich plemionach, a każdy z nich starał się jak mógł, by opowiedzieć najbardziej przerażające historie. Na prowadzenie wyszli Alcie i Genril z opowieściami o plemieniu ludożerców, które rzekomo mieszkało w górach Talman. Edeard nie wspominał, że jego rodzice zostali zabici, gdy podróżowali w karawanie, ale i tak wszyscy to wiedzieli. Rzucono w jego stronę kilka spojrzeń, by sprawdzić, jak reaguje. Jego nonszalancja zyskała cichą aprobatę. Potem przyszedł Melzar i powiedział, by przestali być tak makabryczni i że bandyci nie są nawet w

połowie tak źli, jak głosi legenda.

- To głównie rodziny koczowników, nic ponadto. Nie są zorganizowani w gangi. Jak mogliby być? Gdyby stanowili prawdziwe zagrożenie, wezwalibyśmy z miasta milicję i wyprawilibyśmy się na nich. Po prostu jest kilku złych, którzy pracują na parszywą reputację większości, która nie różni się od nas.

Edeard nie był tego taki pewny. Podejrzewał, że Melzar po prostu próbuje dodać im otuchy. Ale rozmowa poszła dalej, w spokojniejszym tonie, kiedy plotkowali o Mistrzach Gildii. Na podstawie ich rozmów Edeard wywnioskował, że Akim jest po prostu święty. Obron utrzymywał nawet, że Geepalt bije uczniów, jeśli coś sknoca w swej ciesielce.

Witham mógł być pięciokrotnie większy od Ashwell, ale panowała w nim ta sama atmosfera stagnacji. Leżał na pofałdowanych, intensywnie uprawianych terenach rolniczych, przeciętych rzeką; miał, co niezwykle, dwa kościoły Pani. Kiedy przejeżdżali przez wielką bramę, Edeard powstrzymał się od wyrażania jakiegokolwiek rozczarowania. Domy zbudowano z kamienia, albo z jakiejś tynkowej masy, wypełniającej grube drewniane ramy. Większość okien miała szyby, w odróżnieniu od okiennic stosowanych w Ashwell. I ulice wybrukowano kamieniem. Później Edeard dowiedział się, że zakopanymi glinianymi rurami doprowadzano do domów wodę i że ścieki działały.

Spędzili dwa dni na centralnym placu targowym, negocjując z handlarzami i miejscowymi, a potem zaopatrując się w towary, niedostępne w Ashwell, między innymi w szkło. Uczniom pozwolono na zabranie przykładowych wytworów własnej pracy na sprzedaż lub wymianę. Edeard poczuł się zaskoczony, kiedy Obron wyjął pięknie wyrzeźbioną szkatułkę z martożowego drzewa, wypolerowaną do hebanowego połysku. Kto by pomyślał, że taki dupek może stworzyć coś tak urzekającego? A jednak handlarz dał mu za nią cztery funty.

Sam Edeard przywiózł sześć gepająków. Najbardziej kłopotliwe do wyrzeźbienia ze standardowych typów, były wysoko cenione

ze względu na wytwarzany przez nie drosilk. A te dopiero się wykluły, będą żyć jeszcze osiem czy dziewięć miesięcy; w tym czasie wysnują tyle jedwabiu, że wystarczy na kilka ubiorów czy bluz zbrojowych. Trzy damy z Gildii Tkaczy licytowały się, żeby je dostać. Po raz pierwszy w życiu dalwzrok Edearda nie mógł odkryć na ile były chętne, kiedy się z nim targowały. Kryły swe emocje pod trwałym spokojem, powierzchnię umysłów miały gładką jak jajo genistara. Miał tylko nadzieję, że zachowuje się w ten sam sposób, kiedy zgodził się sprzedać pająki po pięć funtów sztuka. Z pewnością mogły poczuć jego euforię? W życiu nie widział takiej sumy, nie mówiąc już o trzymaniu jej w rękę. Jakoś nie zdołał utrzymać długo tych pieniędzy. Rynek był olbrzymi z tyloma bajecznymi towarami, jak również ubraniami o jakości rzadko spotykanej w Ashwell. Kupując tu, czuł się niemal nielojalny, ale na nadchodzącą zimę tak bardzo potrzebował przyzwoitego sztormiaka o pełnej długości i znalazł taki z podszewką w kratę. Co więcej był tu stragan sprzedający buty do kolan z trwałymi podeszwami z jedwabiogumy. Takie buty z pewnością przetrwają lata - więc była to dobra inwestycja. Sprzedawano także skórzane kapelusze z szerokim rondem. W lecie osłaniają od słońca, a w zimie od deszczu, wyjaśniła uczennica garbarza. Była śliczną dziewczyną i wydawało się, że naprawdę chce go wyposażyć we właściwy kapelusz. Targowali się tak długo, jak miał odwagę.

Jego koledzy uczniowie śmieli się, gdy wrócił ubrany w nowe rzeczy. Ale oni również wydali pieniądze. I niewielu zaopatrzyło się w równie praktyczne towary.

Tego wieczora Melzar pozwolił im odwiedzić bez opiekunów miejskie tawerny i zagroził strasznymi karami, jeśli ktoś spowoduje jakieś kłopoty. Edeard dołączył do Alciego, Genrila, Janene i Fahina. Spędził wieczór, mając nadzieję, że zobaczy gdzieś uczennicę garbarza, ale zanim dotarli do trzeciej tawerny, nieznanne rodzaje miejskiego ale spowodowały, że stali się niezdolni do czegokolwiek prócz picia więcej tego trunku. I śpiewu. Pozostałą część wieczoru przykryła na zawsze mgła zapomnienia.

Kiedy się obudził, leżał bezwładnie pod jednym z wozów Ashwell i wiedział, że umiera. Najwidoczniej go otruli, a potem obrabowali. Brakowało zbyt wiele z reszty pieniędzy, ledwie mógł stać, śmierdział gorzej niż stajnie. Była to także pierwsza noc, po której nie pamiętał, czy dręczyły go dziwaczne sny. Potem przekonał się, że to zbiorowe zatrucie. Wszyscy uczniowie byli w tym samym stanie. I wszyscy dorośli uznawali to za przezabawne.

- Przyswoiliście następną lekcję - zahuczał Melzar. - Świetna robota. W tym tempie wasza grupa skończy szkolenie w rekordowym czasie.

- Co za świnia - warknął Fahin, kiedy Melzar odszedł.

Był wysokim chłopcem, tak chudym, że wyglądał jak szkielet. Jako uczeń doktora zdołał dostać jedno z niewielu okularów w Ashwell, by wspomagały jego słaby wzrok. Nie były zbyt dobrze dobrane i stojącym przed nim jego oczy wydawały się niepokojąco wielkie. W jakimś momencie ubiegłego wieczora stracił bluzę i teraz drżał, i to nie tylko z powodu zimnego porannego powietrza. Edeard nigdy wcześniej nie widział go tak bladego.

Fahin grzebał w skórzanym mieszku lekarskim, który zawsze ze sobą nosił. Mieszek wypełniały paczuszki suszonych ziół, małe fiołki i kilka zwiniętych lnianych bandaży. Zeszłego wieczora Fahin wielokrotnie słyszał kpiny z tego mieszka, a jednak nie chciał go porzucić.

- Czy myślisz, że pozwolą nam jechać na wozach - pytała żałośnie Janine, kiedy patrzyli na dorosłych, skupionych razem i krztuszących się ze śmiechu. - Nie sądzę, bym dziś rano zniosła jazdę na gekoniach.

- Na pewno nie - odparł Edeard.

- Ile wam zostało pieniędzy? - spytał Fahin. - Wam wszystkim.

Uczniowie zaczęli niechętnie przeszukiwać kieszenie. Fahin zdołał zebrać dwa funty i pospieszył do straganu zielarza. Kiedy wrócił, zaczął parzyć herbatę z kilku pakietów suszonych liści. Do herbaty dodał zawartość fiołki z mieszka.

- Co to jest? - spytał Alcie, kiedy powąchał imbryk i cofnął się z

załzawionymi oczami.

Edeard też czuł ten zapach - coś jak słodka smoła.

- Growane, ziarna flonu, oczy ptaka duldula, nanamięta. - Fahin wycisnął kilka limonek do wrzącej wody i rozpoczął mieszanie.

- To ohydne - wykrzyknął Obron.

- To nas wyleczy, przyrzekam na Panią.

- Proszę, powiedz nam, że tym się trzeba natrzeć - powiedział Edeard.

Fahin wytarł zaparowane szkła i nalał sobie kubek.

- Najlepiej wypić jednym haustem.

Przełknął. Kiedy się skrzywił, wydał policzki. Edeardowi wydawało się, że Fahin ma zamiar wypluć miksturę.

Inni uczniowie patrzyli na czajnik z powątpiewaniem. Fahin znowu nalał kubek do pełna. Edeard czuł wątpliwości w ich umysłach; współczuł Fahinowi, który robił, co mógł by pomóc i zostać zaakceptowany. Wyciągnął dłoń i wziął kubek.

- Jednym haustem?

- Tak. - Fahin skinął głową.

- Chyba nie... - zapiszczała Janene.

Edeard przełknął zawartość. Sekundę później poczuł jej smak. Podobnie musiał, według jego wyobrażeń, smakować nawóz.

- O, Pani, to jest... Pfuj.

Mięśnie żołądka ścisnęły się, zgiął się w pół i myślał, że zwymiotuje. Ogarniało go dziwne odrętwienie. Usiadł, jakby próbując złapać oddech po ciosie w brzuch.

Miał ochotę wytarzać Fahina w czymś zgniłym.

- Właściwie, nic nie czuję. Choć nadal boli mnie głowa.

- To trwa dłużej - wydyszał Fahin. - Poczekaj piętnaście minut.

Nasiona flonu muszą się dostać do krwi i krążyć. I musisz wypić z pół litra wody, by temu pomóc.

- Więc po co jest limeta?

- Pomaga ukryć smak.

Edeard zaczął się śmiać.

- To naprawdę działa? - spytał z niedowierzaniem Alcie.

Edeard wzruszył ramionami. Fahin nalał następny kubek. Zmieniło się to w rytuał. Wszyscy uczniowie wychylili ohydny

napar.

Wszyscy krzywili się, drwili i zachęcali się wzajemnie. Edeard spokojnie odszedł i przyniósł sobie flaszkę wody z pompy na rynku. Fahin miał słuszość, to rozjaśniało w głowie. Po mniej więcej kwadransie, znowu czuł się dobrze. Nie na sto procent, ale napar zdecydowanie złagodził najgorsze objawy. Mógł nawet myśleć o jakimś śniadaniu.

- Dziękuję - powiedział Fahinowi.

Wysoki chłopak uśmiechnął się z wdzięcznością.

Później uczniowie, kiedy zapakowali wozy i przygotowali gekonie, czuli się w swoim towarzystwie znacznie swobodniej. Dowcipy nie były już tak ostre jak wcześniej. Edeard wyobraził sobie, że tak już teraz będzie. Mieli wspólne doświadczenia, lepiej się poznali. Często zazdrościł starszymi ludziom w wiosce swobodnej przyjaźni i sposobu, w jaki się do siebie odnoszą. To właśnie na wycieczkach takich jak ta kiełkowały podobne zażyłości. Za sto lat może właśnie Genril i on będą się śmieli ze skacowanych uczniów. Oczywiście, wtedy karawana będzie znacznie większa, a Ashwell będzie miała rozmiary Witham.

Melzar, wracając, poprowadził karawanę nieco inną drogą. Skręcili na zachód i znaleźli się na pogórzcu pasma gór Sardok. Był to teren nisko położonych dolin z szerokim, przeważnie zalesionym dnem, zamieszkanym przez ogromną różnorodność miejscowych stworzeń. Nie było tam wiele ścieżek innych niż wydeptane przez stada chamalanów, które pasły się na łąkach między lasami. Dalwzrok i gewilki wysledziły pułapki drakkenów, które mogłyby pochłonąć jeźdźca razem z gekoniem. Drakkeny były grzebiącymi zwierzętami wielkości kotów z pięcioma nogami w zwykłym na Querencii układzie po dwie z każdej strony i gruba, bardzo elastyczna kończyna z tyłu, co pomagało w trakcie biegania susami. Przednie dwie kończyny wyewoluowały w morderczo ostre pazury, które z fenomenalną szybkością mogły przekopywać się przez glebę. Zwierzęta mieszkają pod ziemią w obszernych ulach-królikarniach po przeszło sto sztuk w jednym. Spotykane pojedynczo były nieszkodliwe, ale atakowały rojami, z którymi nawet dobrze

uzbrojony myśliwy miewał problemy. Ich zdolność do drażenia ogromnych jam tuż pod powierzchnią gruntu, dawała im możliwość łapania swych ofiar; nawet największe z lokalnych stworzeń wpadały w szyby - pułapki.

Bilenijne polowania wytępiły drakkeny w okolicach Ashwell, ale tu w dziczy te zwierzaki były bardzo rozpowszechnione. Wystrzeżenie się ich, gdy podróżowali przez niekończący się pofałdowany teren, wyostrzyło zmysły Edearda. Na trzeci dzień po wyjeździe z Witham dotarli do kresu pogórza i weszli w jeden z tych gęstych lasów, który w niektórych miejscach sięgał do samych stóp gór Sardok.

Edeard nigdy wcześniej nie był w takim lesie. Według Melzara ten las istniał już zanim ludzie przybyli na Querencję, dwa tysiące lat temu. Sam rozmiar tych drzew przemawiał za prawdziwością tego twierdzenia. Drzewa rosły wysoko i ciasno. Na dolnych piętnastu metrach ich pnie były czarne i bez życia. Wyżej wybuchały w splątany baldachim, gdzie gałęzie i liście walczyły ze sobą o światło. Pod drzewami rosło niewiele, a latem, kiedy liście były w pełni rozwinięte, nie dochodziło tu również zbyt wiele deszczu. Masywny dywan zeschniętych, kruchych liści pokrywał ziemię, wyrównując nierówności terenu i wymuszając na ludziach użycie dalwzroku do przeprowadzania gekoni przez szczeliny i przeszkody.

Pod żywą zieloną markizą panowała cisza. Nieruchome powietrze wzmacniało najcichszy szept do krzyku, który rozbrzmiewał na całej długości wlokącej się karawany. Uczniowie stopniowo rezygnowali z rozmów, stali się milczący i nerwowi.

- Rozbijemy obóz w znanej mi dolinie - ogłosił Melzar po południu. - Dotrzemy tam za godzinę. Las nie jest tam tak paskudny jak tu. W dolinie płynie rzeka. Pora składania jaj trilanów dawno minęła, więc można w niej pływać.

- Zatrzymujemy się tam? - spytał Genril. - Czy to nie za wcześnie?

- Nie spodziewaj się za dużo, chłopcze. Dziś po południu idziecie polować na galby.

Humor uczniów natychmiast się poprawił. Obiecano im myśliwskie doświadczenia, ale nie spodziewali się, że chodzi o galby, które były odpowiednikami dużych psów. Edeard często słyszał jak doświadczeni dorośli opowiadali, jak osaczyli galby, a on skoczył i wydostał się na swobodę. Tylna kończyna tego zwierzęcia była nieproporcjonalnie wielka i wyjątkowo potężna. Czasami wyrzucała go na ponad cztery metry w górę.

Zgodnie z zapowiedzią Melzara, las zaczął się zmieniać, kiedy dotarli do łagodnego, schodzącego w dół zbocza. Drzewa zrobiły się rzadsze i niższe, przepuszczały na dół słupy słonecznego światła. Znowu pojawiła się trawa. W długich lukach między drzewami rosły krzaki z liśćmi w kolorach od jasnozielonego do ciemnego ametystu. Edeard mógł rozpoznać najwyżej kilka rodzajów napotykanych jagód, których musiało tu rosnąć kilkadziesiąt odmian.

Ze zwiększoną ilością wilgoci i światła zaczęły się pojawiać yimuchy i gryzoskrzydła. Wkrótce wirowały nad ich głowami w wielkich rojach, a potem śpieszyły w dół, by kąsać wszystkie dostępne miejsca na ludzkiej skórze. Edeard bez przerwy używał trzeciej ręki, do ich odpędzania.

Zatrzymali wozy przy rzeczce i ogrodzili genistary. Melzar rozdzielił pięć rewolwerów i dwa karabiny, które zabrał ze sobą. Większość należała do wsi, choć Genril miał własny rewolwer, który, jak twierdził, należał do jego rodziny od chwili przybycia na Querencię. Lufę miał dłuższą niż inne pistolety i zrobiono go z białawego metalu znacznie lżejszego niż solidna stal klasy armatniej produkowanej przez Gildię Broni w Makkathranie.

- Metal wycięty z samego statku - oznajmił dumnie Genril sprawdzając mechanizm. Nawet przy tej czynności widać było, że jego pistolet lepiej działa niż te zrobione w mieście. - Mój pierwszy przodek ocalił nieco materiału z kadłuba, zanim przyplawy zabrały statek do morskiego brzucha. Pistolet jest w posiadaniu rodziny od tamtego czasu.

- Bzdury - parsknął Obron. - To by znaczyło, że ma ponad dwa tysiące lat.

- Więc co z tego? - wyzywająco spytał Genril, kiedy wyciskał olej

z małej puszczyki i wcierał go lnianą szmatką w wyjęte części broni. - Budowniczy statku wiedzieli, jak produkować naprawdę mocny metal. Pomyślcie o tym, kretyni: musieli posiadać silny metal. Statek spadł z nieba i przetrwał, a przylecieli z wszechświata, gdzie statki latały między planetami.

Edeard się nie wypowiadał. Zawsze sceptycznie odnosił się do całej statkowej legendy. Choć, musiał to przyznać, wspaniałej legendy.

Melzar przewiesił jeden z karabinów przez ramię i zrobił rundę z pudełkiem amunicji. Uczniom z rewolwerami wręczył po sześć mosiężnych kul.

- To w zupełności wystarcza - oznajmił im, kiedy się skarżyli, że potrzebują więcej. - Jeśli nie zdołacie trafić galby żadnym z sześciu strzałów, to on już na pewno uciekł albo z zadowoleniem zażera waszą wątrobę. Tak czy inaczej więcej nie dostaniecie.

Pistolety dostało tylko pięciu uczniów (wliczając w to Genrila). Edeard nie należał do tej piątki. Patrzył z pewną zazdrością, kiedy wsuwali kule do obrotowej komory.

Melzar przykucnął i zaczął rysować linie na ziemi.

- Zbierzcie się wokół - nakazał. - Rozdzielimy się na dwie grupy. Strzelcy ustawią się na tamtej grani. - Dłonią machnął ku lasowi, gdzie teren ostro się wznosił. - Pozostali będą naganiaczami. Utworzymy długą linię z jednym końcem tutaj i będziemy ją przesuwając, jak wielką krzywą, aż zrównamy się z pierwszym strzelcem. To powinno wypłoszyć wszystkie stworzenia większe od drakkena przed nami i, miejmy nadzieję, zagnać je na linię strzału. W żadnym wypadku nikt nie może minąć pierwszego strzelca. Nie dbam o to, czy jesteście najlepszymi przyjaciółmi i używacie dalmowy, przed rewolwerami nie chodźcie. Zrozumiano?

- Tak, proszę pana - odpowiedzieli chórem.

- Więc dobrze, po pierwszym przejściu, przekazujemy broń następnym i przenosimy się w inne miejsce. - Spojrzał na niebo, które właśnie zaczęło się chmurzyć. - Powinno wystarczyć światła, byśmy tego popołudnia zrobili to trzy razy, co da każdemu szansę użycia pistoletu.

- Proszę pana, mój ojciec powiedział, że naszego pistoletu mogę używać tylko ja - oznajmił Genril.

- Wiem - odparł Melzar. - Możesz go zatrzymać, ale bez amunicji, kiedy przejdziesz do linii naganiaczy. A teraz: jeśli bierzecie udział w nagonce musicie się trzymać w zasięgu dalmzroku z ludźmi po waszych obu stronach. Tak więc w rzeczywistości oznacza to, że nie chcę, byście byli rozstawieni w odległości większej, niż siedemdziesiąt metrów od siebie. Polecenia rozpoczęcia, zatrzymania i zgrupowania będą wydawane głosem i dalmową. Będziecie je przekazywać obydwojoma sposobami wzdłuż linii. Macie cały czas się do nich stosować. Linia naganiaczy wykorzysta trzy gewilki, by pomogły zachęcić galby do ucieczki. Tym razem Edeard i Alcie będą kontrolowali po jednym, a ja zajmę się trzecim. Nikt inny nie wydaje im poleceń. Nie chcę, by były zdezorientowane. Jakies pytania? Żadnych. Dobrze. Chodźmy i niech Pani się do nas uśmiecha.

Edeard zawołał jednego z gewilków i wyruszył z grupą idącą za Melzarem. Toran, jeden z farmerów poprowadził chłopców z pistoletami ku kamiennej grani.

- Nie widzę w tym sensu - narzekał ponuro Fahin, kiedy maszerował obok Edearda. - Wszyscy ćwiczyliśmy strzelanie z pistoletów za murami wsi, a galby nie są jadalne.

- Czy niczego nie słuchasz? - spytała Janene. - W tym wszystkim chodzi o doświadczenie. Jest ogromna różnica między strzelaniem do celu, a przebywaniem tu w lasach, obok buszujących niebezpiecznych zwierząt. Rada starszych chce wiedzieć, czy w razie potrzeby może polegać na nas przy obronie wsi.

Melzar oświadczył nam jednak wcześniej, że koczownicze rodziny nie są groźne, pomyślał Edeard. Więc po co w gruncie rzeczy ten mur wokół wsi? Kiedy wrócę, muszę zapytać o to Akeema.

- Co będzie, jeśli galby nie podejną do linii strzału? - spytał Fahin. - Co, jeśli ruszą na nas? - Złapał mocniej za mieczek, jakby mógł go uchronić przed leśnymi zwierzętami.

- Nie zrobią tego - odparł Edeard. - Spróbują nas uniknąć, bo tworzymy grupę.

- Taa, w teorii - burknął Fahin.

- Na miłość Pani, przestań biadolić - wtrącił Obron. - Melzar wie, co robi: robił to z każdą karawaną przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Ponadto, galby nie są aż tak niebezpieczne. Po prostu wyglądają groźnie. Jeśli któryś się na ciebie rzuci, wykorzystaj trzecią rękę do osłony.

- A co, jeśli wypłoszymy szybkolisa? Uczniowie jęknęli.

- Szybkolisy żyją w dole, na równinach - powiedział z irytacją Alcie. - Nie są zwierzętami górskimi. Łatwiej spotkasz je w Ashwell niż tutaj.

Fahin skrzywił się, nieprzekonany.

Kiedy znowu podeszli do krawędzi lasu, Melzar wykorzystał dalmowę.

- Zaczynjcie tworzyć szpaler - powiedział. - Pamiętajcie: trzymajcie się w zasięgu dalwzroku. Jeśli stracie kontakt, powiadomcie każdego dalmową.

Edeard miał z jednej strony Obrona, z drugiej Fahina. Nie czuł się zbyt szczęśliwy z tego powodu. Jeśli ktoś ma coś zepsuć, to na pewno Fahin. Tyczkowaty chłopak nie był typem sportowca, a Obron prawdopodobnie nie byłby skłonny do udzielenia pomocy żadnemu z nich. Ale najgorsze, co Fahin może zrobić, to pozostanie w tyle. Nie ma przecież pistoletu. I będzie wrzeszczał, jeśli przestanie nas widzieć. Edeard posłał gewilka, by przebiegał teren przed tworzącą się linią od jednego końca do drugiego.

Nastrój podniecenia wypełnił jego dalwzrok - umysły wszystkich naganiaczy mrugały niecierpliwością.

Ustawili się zgodnie z zaleceniami Melzara, między wysokimi drzewami. Ich ciemnozielony baldachim odgradzał uczniów od zachmurzonego nieba.

- Ruszajcie naprzód - rozkazał Obron. Edeard uśmiechnął się i powtórzył polecenie Fahinowi, który się skrzywił.

Edeard cieszył się z nowych butów. Poszycie lasu w tym miejscu było zaśmieczone kijami leżącymi wśród brudnych kęp trawy, nierówny grunt krył mnóstwo ostrych kamieni. Nowa

skóra butów obtarła mu kostki, a jednak stopy miał dość dobrze chronione.

Wolno posuwał się naprzód, badając dalwzrokiem teren przed sobą i upewniał się, że wciąż ustawieni są w prostej linii. Melzar kazał im hałasować. Obron głośno pokrzykiwał, a Fahin wydawał przenikliwe gwizdy. Sam Edeard podniósł gruby kij i walił nim w pnie mijanych drzew.

W tej części lasu rościło więcej krzaków. Wielkie zebrociernie z liśćmi w czarnobiały wzór i wilgotnymi (bardzo jadowymi) białymi jagodami. Jego dalwzrok wykrywał małe stworzenia, umykające ludziom z drogi. Żadne nie było nawet wielkości drakkena, nie mówiąc już o galby. Grunt pod stopami stał się miękki - mokra glina, ociekająca wodą przy każdym kroku. W powietrzu unosił się silny zapach gnijących liści. Edeard był pewien, że czuje również spory grzybów.

Obron znajdował się teraz poza zasięgiem wzroku, gdzieś za krzakami. Dalwzrok Edearda znalazł go po drugiej stronie rosnących gęsto pni.

- Trochę się przybliży - powiedział dalmową.

- Jasne, jasne - nonszalancko odpowiedział Obron.

Przez nagonkę przeszła fala podniecenia. Gdzieś od strony Melzara przy końcu linii pobiegł galby, niezupełnie w kierunku strzelców. Serce Edearda забиło szybciej. Wiedział, że się uśmiecha i nie dbał o to. Właśnie takich rzeczy pragnął, od chwili, gdy się dowiedział, że jedzie z karawaną. Były tu galby! Będzie miał szansę jednego wypłoszyć, a jeśli będzie miał szczęście, może później trochę postrzela.

Coś zaskrzeczało w górze. Za pomocą dalwzroku Edeard zobaczył, jak para ptaków przebija się przez baldachim. Z przodu pojawiła się gęsta i zwarta kępa zebracierni, idealne miejsce na gniazdowanie galby. Omiótł krzewy dalwzrokiem, ale były tam ciemne strefy i strome małe jary, których nie widział wyraźnie. Wysłał gawilka, by przeszedł chyłkiem przez krzaki, a sam obchodził ich skraj. Teraz nie widział też Fahina, ale dalwzrokiem dostrzegął jego umysł.

Trwoga uderzyła go niczym rzeczywista siła, umysłowy

odpowiednik oblania lodowatą wodą. Nagle cała radość prysła. Upuścił kij, a nogi odmówiły posłuszeństwa. Działo się coś okropnego. Wiedział o tym.

- Co takiego? - wydyszał. Był przestraszony i, co gorsza, przerażony własnym strachem. To nie ma sensu, myślał.

Pośrodku zarosli gewilk, prowadzony mimochodem przez Edearda podniósł pysk i zawarczał, reagując na zamęt pieniaący się wzdłuż wąskiego połączenia dalmowy.

- Edeard? - zawołał Fahin. - Coś nie gra?

- Ja nie... - Edeard przyciągnął ramiona do boków i kolana się pod nim ugięły. Instynktownie zamknął swą trzecią dłoń wokół siebie, tworząc najmocniejszą tarczę, jaką mógł wykonać. Pani, co się ze mną dzieje? Pchnął swój dalwzrok jak najdalej na zewnątrz i omiół nim okolicę, jakby to był jakiś rodzaj promienia oświetlającego. Pnie drzew były zbyt gęste, by można było zobaczyć coś poza bezpośrednim sąsiedztwem.

- Co się z tobą dzieje? - spytał Obron. Jego umysłowy ton pienił się od zjadliwości.

Edeard czuł wahanie obydwu uczniów. Gewilk czołgał się, próbując wydostać się z zarosli i wrócić do niego. Suche liście zachrzęściły. Chłopak obrócił się szybko, podnosząc obronnie kij.

- Myślę, że ktoś tu jest.

Skierował swój dalwzrok w kierunku, z którego, jak mu się wydawało, doleciał jakiś dźwięk. Kilka gryzoniowatych stworzeń czmychało po poszyciu. To one mogły hałasować...

- Co chcesz powiedzieć, mówiąc „ktoś”? - pytał Fahin. - Kto?

Edeard zgrzytał zębami, wysilając się, by rozciągnąć dalwzrok aż do granicy swoich możliwości.

- Nie wiem, nie czuję ich.

- Hej, zostajemy z tyłu - dalmówił niecierpliwie Obron. - Chodź ruszaj się.

Edeard wpatrywał się w las z tyłu. To głupie. Ale nie mógł pozbyć się lęku. Spojrzał ostatni raz w las za sobą i obrócił się. Z grupy drzew po lewej stronie, gdzie przecież nikogo nie było, wyleciała strzała, poruszając się tak szybko, że w ogóle jej nie zobaczył, jedynie dalwzrokiem złapał niewielką falkę ruchu.

Jęknął i wzmocnił tarczę. Jego mózg emanował szokiem.

Strzała uderzyła go w tors z lewej strony. Tarcza telekinetyczna trzymała, ale siła uderzenia wystarczyła, by go przewrócić. Wylądował na tyłku. Strzała spadła na glinę i zielska - długie, poczernione drzewce z ciemnozielonymi piórami igłojastrzębia i niegodziwym, kolczastym metalowym końcem, ociekającym gęstą fioletową cieczą. Edeard patrzył na nią, zdjęty grozą.

- Edeard?

Jego umysł zalały telepatyczne głosy. Chyba cała linia naganiaczy myślowo krzyczała do niego, żądając odpowiedzi.

- Strzała! - Nadał im z powrotem najsilniej jak zdołał. Intensywnie wpatrywał się w strzałę, leżącą obok. Ukazywał ją wszystkim. - Zatruta strzała!

Jakiś umysł zmaterializował się w odległości trzydziestu metrów, iskrząc się jasnym szafirem między bryłowatymi szarymi cieniami, składającymi się dla Edearda w eteryczną wizję lasu.

- He? - Edeard obrócił głowę.

Zza drzewa wyszedł jakiś mężczyzna odziany w rodzaj postrzępionego płaszcza, o niemal takim samym kolorze, co pnie drzew. Włosy, długie i zaplecione w warkocze miał zmierzwiłone, brudne od czerwonego błota. Rozsmarowane błoto pokrywało mu również twarz i zlepiło brodę. Warczał, a z jego umysłu sączył się gniew i zaintrygowanie. Jedną dłonią sięgnął przez ramię i wyciągnął z kołczana następną strzałę. Umieścił ją gładko w największym łuku, jaki Edeard widział w życiu. Opuścił łuk, jednocześnie go naciągając.

Edeard wrzasnął głosem i umysłem - słyszał, jak dźwięk jest powielany wzdłuż linii naganiaczy. Nawet napastnik skrzywił się, wypuszczając strzałę.

Edeard wyrzucił przed siebie dłonie - trzecia ręka z pełną mocą powtórzyła ten ruch. Strzała rozpadła się w drzazgi, zanim zdołała przelecieć połowę dzielącej ich odległości.

Tym razem to leśny człowiek emanował szokiem w eter.

- Bandyci - głos Melzara rozległ się echem wokół Edearda, fizycznie i telepatycznie. - To zasadzka. Zgrupujcie się, połączcie

siły. Osłońcie się tarczami. Toranie, pomóż nam!

Edeard wstał, mętnie świadomy innych okrzyków i wzmocnionych adrenaliną impulsów emocjonalnych roznoszących się po lesie. Z ukrycia wyłonili się kolejni bandyci. Wypuszczano strzały. Sięgnął umysłem do gewilka, nakierował go, gorączkowo poganiając. Nie będzie czasu. Leśny człowiek cisnął łuk na ziemię i ruszył na niego. W dłoni połyskiwał mu nóż.

Pchnięcie telekinetyczne niemal znowu przewróciło Edearda na ziemię. Z łatwością je skontrował, czując jak siła uderzenia ślizga mu się po skórze niczym lodowe palce. Bandyta próbował uścisku serca, metody ataku, o którym uczniowie mówili z nerwowym przerażeniem, kiedy zbierali się w Ashwell. Użycie telekinezy wewnątrz czyjegoś ciała było ostatecznym tabu. Każdy, kogo na tym przyłapano zostawał wygnany. Na zawsze.

Teraz bandyta biegł w stronę Edearda z wyciągniętym nożem. Z umysłem rozgorączkowanym żądzą śmierci. Trzecią ręką atakował wrażliwe organy.

Wcześniejsze lęki opuściły Edearda. Nie myślał nawet o swych towarzyszach. Jakiś maniak na serio próbował go zabić. To stanowiło teraz dla niego cały wszechświat. I, jak wyjaśnił Akeem podczas ich niestety zbyt krótkich sesji telekinetycznych technik obronnych, nie istnieje coś takiego jak uderzenie obezwładniające.

Edeard wstał i pozwolił, by ramiona opadły mu wzdłuż boków. Zamknął oczy. Ukształtował trzecią dłoń. Czekał. Łomot bosych stóp bandyty dotarł do jego uszu. Czekał. Mężczyzna zaczął krzyczeć w szalonej furii. Czekaj... wybierz chwilę. Dalwzrok Edearda ukazywał mężczyznę w idealnym profilu, chłopak dostrzegał nawet mięśnie nóg, naprężające się do skoku. Już zaraz...

Napastnik zrezygnował z próby ściśnięcia serca i użył telekinezy, by wzmocnić siłę ciosu nożem.

...teraz.

Bandyta oderwał się od ziemi. Edeard wsunął trzecią dłoń pod postać w powietrzu i pchnął. Wysilek spowodował, że z gardła

wydarł mu się wściekły ryk. Nigdy wcześniej się tak nie wysilał, nigdy, nawet gdy Obron dręczył go najmocniej jak potrafił.

W jednej chwili na wpełń triumfalny wrzask bandyty przepęłniła groza. Edeard otworzył oczy i zobaczył, jak para stóp ubrudzona zapiekłym błotem przelatuje mu nad głową.

- PIEPRZ SIĘ! - zawył i dodał do trajektorii niewielkie korekcyjne pchnięcie w bok.

Cztery metry nad ziemią głowa bandyty walnęła w potężne drzewo. Łupnęła z okropnym dźwiękiem. Mężczyzna opadł jak niewielki głaz, wydając cichy jęk, gdy uderzył w ziemię. Gewilk skoczył.

Edeard odwrócił się. Wszystkie emocje wróciły z siłą fali przyptywowej, a gewilk zaczął rozdzierać i drzeć bezwładne ciało. Chłopak zapomniał jak groźne były te stworzenia. Nogi trzęsły mu się tak bardzo, że w każdej chwili mógł upaść, a żołądek podchodził do gardła.

W lesie rozległy się głośnie strzały. Edeard obrócił się zaniepokojony. To muszą być nasi. Prawda?

Wszędzie dookoła słycać było krzyki i zawodzenia. Edeard nie wiedział, co robić. Jeden krzyk był wysoki: Janene.

- Pani, proszę! - zawodził Obron. Jego umysł promieniował lękiem jak mała nowa.

Dalwzrok Edearda wystrzelił naprzód. Na łkającego ucznia pędziły dwa szybkołisy. Edeard nigdy wcześniej ich nie widział, ale natychmiast je rozpoznał. Tylko nieco mniejsze od gewilka, ale szybsze, zwłaszcza na krótkich dystansach. Opływowe drapieżniki z krótką hebanową sierścią, wystarczająco sztywne, by pełnić rolę pancerza. Na głowach miały stanowczo zbyt wiele kłów i rogów, a tylna kończyna, gruba i silna pozwalała na długi wyskok w biegu podczas ostatecznego ataku na ofiarę.

Lisy miały obroże.

Edeard pobiegł w ich kierunku i sięgnął swą trzecią dłonią naprzód. Lisy były oddalone o czterdzieści metrów, a jednak czuł jak ich twarde niczym metal mięśnie zginają się we wściekłym rytmie. Nawet nie wiedział, czy mają serca jak ziemskie zwierzęta, nie mówiąc już o ich położeniu. Tak więc trzeba

zapomnieć o ścisku serca, pomyślał. Jego telekineza spenetrowała mózg prowadzącego lisa i po prostu porozrywała wszelką tkankę, którą tam znalazł. Zwierzę opadło w połowie skoku; zwiotczałe ciało, orzące rów w dywanie suchych liści. Drugi lis rzucił się w bok, jego demoniczna głowa obracała się, próbując zlokalizować groźbę. Zatrzymał się, warcząc strasznie, kiedy Edeard podbiegł kłusem. Kończyny lisa zgięły się, przygotowując do skoku.

- Co robisz? - wrzasnął Obron.

Edeard wiedział, że postępuje jak szaleniec. Nie dbał o to. Adrenalina napędzała jego zdecydowanie. Zawarczał, odpowiadając szybkołisowi, niemal się z niego śmiejąc. A potem, zanim stworzenie mogło wykonać ruch, zamknął wokół niego swą trzecią dłoń i podniósł je z ziemi. Szybkołis wściekle drapał. Jego kończyny starały się od czegoś odepchnąć, przebierając tak szybko, że stały się rozmazaną plamą.

- Czy to ty to robisz? - spytał z niedowierzaniem Obron.

- Taa... - Edeard uśmiechnął się szeroko.

- O, cholera. Uważaj! Biegło ku nim trzech bandytów. Byli ubrani tak samo jak ten, który zaatakował Edearda, w proste postrzępione płaszcze kamuflujące, pasy z kilkoma pochwami na sztylety. Jeden z nich niósł łuk.

Edeard wysłał proste polecenie dalmową, wzywając gewilka.

Bandyci zwolnili. W ich mózgach zaczęła migotać konsternacja, kiedy zobaczyli wściekłego szybkołisa zawieszonoego w powietrzu. W lesie rozbrzmiały dalsze strzały.

- Chroń się - rozkazał krótko Edeard, kiedy bandyta z łukiem założył strzałę.

Tarcza Obrona stwardniała.

Trzej bandyci zatrzymali się i patrzyli z niedowierzaniem na wiercącego się szybkołisa. Edeard obracał drapieźnika powoli i z rozmysłem, aż skierował go prosto na nich. Studiował myśli zwierzęcia, zauważył proste prądy motywacyjne. Umysł miał podobny do genistara, choć najsilniejsze impulsy wydawały się pochodną strachu. Prawdopodobnie jakaś tresura typu karana-groda. Bandyta z łukiem wystrzelił strzałę. Obron

zaskowyczał, kiedy Edeard z pewnością siebie odepchnął ją w bok.

Nastąpiła kolejna chwila przerwy, podczas gdy bandyci obserwowali, jak strzała z brzękiem wbija się w drzewo. Telekinetyczne palce prześlizgiwały się na skórze Edearda, ale z łatwością je powstrzymywał. Wszyscy trzej bandyci wyciągnęli krótkie miecze. Edeard wbił rozkaz w umysł szybkołisa, poczuł jak zmienia się jego poprzedni wewnętrzny przymus. Przestał się szamotać i warknął na bandytów. Jeden z nich spojrzął na niego z przestrawieniem. Edeard delikatnie opuścił lisa na ziemię.

- Zabij - wymruczał.

Szybkołis pomknął z niewiarygodną szybkością. Potem jego tylna kończyna uderzyła w ziemię i wyrzuciła lisa naprzód po niskim łuku. Tarcze telekinetyczne wokół bandytów stwardniały. Może miałyby szansę ochronić ich przed jednym oszalałym drapieżnikiem. Ale z boku zaatakował ich gewilk.

- Och, Pani - zadrżał Oberon, kiedy zaczęły się wrzaski. Zbladł na widok rzezi, ale jednak nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Chodź. - Edeard złapał go za ramię. - Musimy znaleźć Fahina. Melzar kazał nam się zgrupować.

Obroń pokuśtykał naprzód. Huk ognia pistoletowego niósł się wśród drzew. Musi dochodzić z linii strzału, pomyślał Edeard, nadeszli z pomocą. Niespokojne okrzyki zmieniły się w wyraźne nawoływania. Edeard słyszał jak wywrzaskiwano imiona kilku uczniów. Dalmowa niosła historyczne wrywyki myśli, przeważnie zalane emocjonalnymi wyciekami, Kilka surowych wizji groziło zdominowaniem jego umysłu. Ból zmieszany z krwią wytryskiwał z długiego rozcięcia w udzie Alciego. Z bluzy wystawała strzała, odrętwienie idące od miejsca zranienia szybko się rozprzestrzeniało. Twarze w błocie, kiwające się od zadawanych ciosów. Ból uderzenia. Zakamuflowany bandyta biegnący między drzewami, namierzany lufą strzelby. Szybkołis jako szarobiała smuga. Krew tworząca ogromną kałużę wokół porozrywanego ciała. Edeard obiegł zarośla zebrocierni.

- Fahin! Fahinie, to my. Gdzie jesteś? - Nikogo nie widział. Dalwzrokiem nie zauważał charakterystycznego migotania myśli.

- Fahin!

- Przepadł - wydyszał Obron. - Czy go dopadli? Och, Pani!

- Widzisz jakąś krew? - Edeard przeglądał liście i glebę. - Nic. Och...

Edeard podążył oczami za wzrokiem Obrona i zobaczył bandytę biegnącego przez las. Mężczyzna dzierżył w rękach miecz ociekający krwią. Edeard poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Wyciągnął trzecią rękę, szarpnął kostkę mężczyzny, a potem mocno pchnął w dół. Kiedy bandyta padał, Edeard wykręcił miecz, wystawiając ostrze pionowo. Bolesne wycie nadzianego na miecz mężczyzny sprawiło, że Edeard cofnął się w szoku. Umierający umysł bandyty łkał z frustracji i cierpienia. Potem iskra jego myśli zgasła.

- Był pięćdziesiąt metrów od nas - wyszeptał Obron zdumiony i więcej niż trochę przestraszony.

- Fahin! - zawołał Edeard. - Fahinie, czy mnie słyszysz? - Dalwzrokiem złapał drobne opalizujące żarzenie, które nagle pojawiło się w zaroślach. - Fahin?

- Edeard? - spytał trwożnie tyczkowaty chłopak.

- Tak. To ja i Obron. Dalej, wychodź. Jest bezpiecznie. Tak mi się wydaje.

Obydwoj patrzyli, jak Fahin gramoli się z krzaków. Twarz i ręce miał bezlitośnie podrapane, stracił gdzieś swój luźny wełniany sweter. Włosy i zwisające z jednego ucha okulary miał pokryte lepkiem sokiem jagód. Ścisnął - co zadziwiające - swój mieszek lekarski. Obron mu pomógł i nagle znalazł się w jego objęciach.

- Byłem taki przerażony - bełkotał żałośnie Fahin. - Uciekłem. Przepraszam. Powinienem pomóc.

- Wszystko w porządku - powiedział Obron. - Ze mnie też nie było wielkiego pożytku. - Odwrócił się i obdarzył Edearda długim, zamyślnym spojrzeniem, jego umysł zacisnął się w zadumie. - Edeard mnie ocalił. Zabił ich ze dwudziestu.

- Nie - zaprotestował Edeard. - Nic podobnego... - umilkł, kiedy zdał sobie sprawę, że naprawdę zabijał dzisiaj ludzi. Umknął pełnym winy spojrzeniem do bandyty wbitego na własny miecz. Mężczyzna był martwy i to jego dzieło. A jego miecz był śliski od

krwi. A inni bandyci... oni by nas zabili. Nie miałem wyboru.

Czasem trzeba czynić złe rzeczy, by móc robić rzeczy słuszne.

- Czy ktoś nadal widzi lub czuje bandytów?

Edeard podniósł głowę, kiedy odebrał słabą dalmowę Melzara. Obron i Fahin również rozglądali się wokół.

- Ktokolwiek? - spytał Melzar. - Dobra, proszę, posuwajcie się w moją stronę. Jeśli ktoś jest ranny, proszę pomóżcie go tutaj przynieść. Fahinie, jesteś tam?

Fakt, że Melzar żyje, sprawił, że świat dla Edearda stał się nieco mniej przerażający. Zdołał się nawet nieco uśmiechnąć. Obron wydał gwizd ulgi.

- Tak, proszę pana, jestem tutaj - odpowiedział Fahin.

- Dobry chłopak. Proszę, pośpiesz się, mamy rannych.

- Och, Pani - jęknął Fahin. - Jestem tylko uczniem. Doktor nie pozwala mi nawet przygotowywać niektórych liści.

- Po prostu zrób co możesz - powiedział Edeard. - Ale...

- Wyleczyłeś nam kaca - oznajmił Edeard. - Nikt nie będzie na ciebie pyskować, że pomagasz rannym. Nie oczekujemy, że będziesz tak dobry jak stary doktor Seneo. Ale Fahinie, musisz coś zrobić. Nie możesz się odwrócić plecami do rannych ludzi. Po prostu nie możesz. Oni cię potrzebują.

- Ma słuszność - powiedział Obron. - Chyba słyszałem wrzask Janene. Co powiedzą jej rodzice, jeśli po prostu odejdiesz?

- Słusznie - powiedział Fahin - Oczywiście macie rację. O, Pani, gdzie moje okulary? Nie mogę robić wszystkiego dalwzrokiem. - Odwrócił się ku zarośłom.

- Tutaj - powiedział Edeard. Włożył je łagodnie trzecią ręką na miejsce, jednocześnie ścierając z nich jagodowe paskudztwo.

- Dziękuję - rzekł Fahin.

Pośpieszyli przez las ku Melzarowi. Inne postaci posuwały się razem z nimi w tym samym kierunku. Kilku uczniów wymieniło dalmową spanikowane pozdrowienia. Edeard przywołał obraz Alciego zranionego w udo. Rana wyglądała źle.

Toran i uczniowie z pistoletami zgromadzili się wokół Melzara. Edeard wymienił pełne ulgi pozdrowienie z Genrilem, który cały drżał. Powiedział, że została mu jedna kula w rewolwerze i był

pewien, że trafił przynajmniej jednego bandytę.

- Naprawdę się przestraszyłem, kiedy zaczęły na nas szarżować szybkołisy. Toran zabił jednego strzelbą. Och, Pani! Jest doskonałym strzelcem.

- Powinieneś zobaczyć, co zrobił Edeard - powiedział beznamiętnie Obron. - On nie potrzebuje broni palnej.

- Co? - spytał Genril. - Co zrobiłeś?

- Nic - odparł Edeard. - Wiem, jak obchodzić się ze zwierzętami, to wszystko. Wiecie przecież o tym.

- Ile właściwie masz siły? - spytał Obron.

- Taa - poparł go Genril. - Słyszeliśmy twą dalmowę tam na krawędzi, brzmiała tak, jakbyś był obok mnie i wrzeszczał mi w czaszkę. Pani, niemal się uchyliłem, kiedy poleciała na ciebie strzała.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytał Edeard. Rozglądał się wokół, zastanawiając się, gdzie są pozostali. Z dwunastu uczniów i czterech dorosłych w linii naganiaczy, dotychczas dotarło tu pięciu, włączając w to ich trójkę. Potem dołączył cieśla Canan, niosąc nieprzytomnego Alciego. Fahin spojrział zaniepokojony na przyjaciela i zobaczył prymitywnie zabandażowaną ranę, już ociekającą krwią. Jego umysł pobudził się.

- Idź - polecił Edeard spokojną dalmową. - Zrób, co możesz.

- Po... połóż go na ziemi - powiedział Fahin. Ukłąkł obok Alciego i zaczął grzebać w swym mieszk.

Edeard znowu obrócił się w kierunku lasu i wysłał na zwiady dalwzrok. Gdzie są pozostali? Serce забиło mu mocniej, kiedy wykrył jakiś ruch. Para uczniów biegła wśród drzew.

- Wszystko w porządku - powiedział kojąco Melzar. - Jesteście teraz bezpieczni.

- Zostawiliśmy Janene - zawodził jeden. - Próbowaliśmy ją ocalić, ale dostała strzałę. Uciekłem... - Upadł na ziemię, łkając.

- Dziewięciu - szepnął Edeard, kontynuując czuwanie. Dziewięciu z dwunastki.

Melzar położył mu dłoń na ramieniu.

- Gdyby nie ty, nie pozostałoby nikogo - powiedział cicho. - Twoje ostrzeżenie nas ocaliło.

- Nie - Edeard pokręcił ze smutkiem głową. - Nie ostrzegłem was. Byłem przerażony. To wszystko. Usłyszeliście mój strach.

- Wiem. To było... potężne. Co się stało? Co cię zaniepokoiło?

- Ja... - Nachmurzył się, wspominając poczucie strachu, które go opanowało. Zupełnie bez przyczyny. - Coś usłyszałem - stwierdził kulawo.

- Cokolwiek to było, cieszę się.

- Dlaczego ich nie poczuliśmy? Byli bliżej mnie niż Fahin i Obron, a nie poczułem nic.

- Są sposoby na to, żeby zaćmić myśli, oszukać dalwzrok. To nie jest technika, z którą jesteśmy w Ashwell bardzo zaznajomieni i nigdy nie widziałem jej zastosowanej tak skutecznie jak dzisiaj. Jedna Pani wie, jak się jej nauczyli. I oswoili również szybkołisy. To zdumiewające. Będziemy musieli rozesłać posłańców do innych miast i ostrzec je przed tymi nowymi osiągnięciami.

- Czy pan myśli, że jest ich tam więcej? - Edeard wyobraził sobie całe armie bandytów zmierzające ku ich małej karawanie.

- Nie. Dzisiaj zmusiliśmy ich do walki. I nawet jeśli są jacyś inni przyczajeni w okolicy, teraz zrobią sobie przerwę na rozmyślania. Ich zasadzka się nie udała. Dzięki tobie.

- Założę się, że Janene i inni nie uważają jej za nieudaną - powiedział Edeard z goryczą. Nie dbał o to, że jest niegrzeczny w stosunku do Melzara. Po tym wszystkim, nic nie wydawało się szczególnie ważne.

- Nie mogę ci na to odpowiedzieć, chłopcze. Przykro mi.

- Dlaczego oni to robią? - spytał Edeard. - Czemu ci ludzie żyją sobie tutaj, krzywdząc innych? Czemu nie żyją we wsiach, po domach? Są tylko dzikusami.

- Wiem, chłopcze. Ale oni znają tylko to. Wychowano ich w dziczy i oni wychowują dzieci w ten sam sposób. To nie jest cykl, który moglibyśmy przerwać. Zawsze będą ludzie żyjący poza cywilizacją.

- Nienawidzę ich. Zabili moich rodziców. Teraz zabili moich przyjaciół. Powinniśmy ich wytępić. Wszystkich. To jedyny sposób, by pozwolono nam kiedykolwiek żyć w spokoju.

- Przemawia przez ciebie gniew.

- Wszystko mi jedno, tak właśnie czuję. Tak czułem zawsze.

- Prawdopodobnie tak jest. W tej chwili prawie się z tobą zgadzam. Ale moja praca polega na tym, by wszystkich bezpiecznie doprowadzić do domu. - Melzar pochylił się blisko, badając wyraz twarzy i myśli Edearda. - Czy mi w tym pomożesz?

- Tak, proszę pana. Pomogę.

- W porządku, teraz przywołaj znowu nasze gewilki.

- Dobrze. Co z szybkolisem? - Edeard ciągle był świadom zwierzęcia, krążącego na granicy jego dalwzroku. Lis był zdezorientowany, tęsknił za swoim oryginalnym właścicielem.

- Szybkolisem?

- Edeard go oswoił - wyjaśnił Oberon. - Podniósł go trzecią ręką i kazał mu zaatakować bandytów.

Inni uczniowie obrócili się, by spojrzeć na Edearda. Mimo wyczerpania i lęku, dominującego w ich myślach, wielu z nich zareagowało zaskoczeniem, a nawet pewną troską.

- Mówiłem wam - powiedział Edeard ponuro. - Wiem jak obchodzić się ze zwierzętami. Tym właśnie zajmuje się moja Gildia.

- Nikt nigdy nie oswoił szybkolisa - powiedział Toran.

Melzar rzucił mu zirytowane spojrzenie.

- Bandyci oswoili - zauważył Genril. - Widziałem na nich obroże.

- One już nauczyły się słuchać - wyjaśnił Edeard. - Moje rozkazy były silniejsze, to wszystko.

- W porządku - powiedział Melzar. - Zawołaj szybkolisa. Jeśli możesz go kontrolować, wykorzystamy go do pilnowania karawany. Jeśli nie, cóż... - Poklepał swą strzelbę. - Ale ostrzegam cię teraz chłopcze, starszyzna wsi nie pozwoli ci go trzymać.

3

Według Aarona, Riasi skorzystało na tym, że straciło status miasta stołecznego. Zachowało rozbudowaną infrastrukturę, rozległe parki, dobrze utrzymaną sieć transportową i znakomite ośrodki rekreacyjne. A gdy ministerstwa i urzędnicy przenieśli się za ocean do Makkathranu2, z codziennego życia zniknął dokuczliwy stres. Spadły również niebotyczne ceny nieruchomości. Zostało bogate miasto z wszelkimi udogodnieniami, a ludność znów się powiększała i prowadziła przyjemne życie.

Tu Aaronowi było znacznie łatwiej. Lot taksówką z Makkathranu2 trwał dziewięć godzin. Wylądowali w kosmoporcie wśród setki podobnych pojazdów. Na szczęście Corrie-Lyn spała przez większą część podróży. Gdy się obudziła, spokojnie robiła to, co jej polecił. Ruchomymi chodnikami przemieszczali się po wielkim terminalu, zajrzeli do prawie wszystkich poczekalni. Dopiero wtedy wrócił na postój taksówek i pojechał do starego gmachu parlamentu w centrum miasta. Teraz przed południem w tym rejonie panował ożywiony ruch. Zmienili taksówkę. Potem jeszcze raz. Po dwóch przesiadkach wylądowali w dzielnicy mieszkalnej na wschodnim brzegu rzeki Camoa.

Podczas lotu z Makkathranu2 Aaron wynajął apartament na parterze piętnastopiętrowego domu. Jako kryjówkę. Transakcja odbyła się dyskretnie. Corrie-Lyn chyba uznała to miejsce za bezpieczne. Aaron wiedział, że zmiana taksówek i płacenie za wynajem mieszkania monetami, których nie da się wytropić, to czysto amatorskie posunięcia. Każdy średnio rozgarnięty policjant wyszedłby ich w jeden dzień.

Dwa dni upłynęły mu beczynn timer. Przez pierwszą dobę Corrie-Lyn trzeźwiała. Pozwalał jej zamawiać dowolne ubrania i jedzenie, ale zabronił alkoholu i aerozoli. Cały drugi dzień

wychodziła z monstrualnego kaca. Stroiła fochy. Wiedział, że traumatycznie przeżyła likwidację oddziału kapitana Manby'ego. W nocy słyszał, jak płacze w swoim pokoju.

Następnego ranka postanowił poprawić jej nastrój śniadaniem. Wytwór jednostki kulinarnej wzbogacił o świeże produkty z miejscowych delikatesów. Na początku bluefruit z Olberonu, potem tost francuski z karmelizowanym bananem. Główne danie: bliny ze smażonymi jajkami kaczymi, grilowany grzyb ubański i wędzony bekon z Ayrshire, na którym położono omlet z kawiozem. Herbata - autentyczny assam. Tylko to mógł pić rankiem. To nie była dla niego najlepsza pora dnia.

- Jejku! - powiedziała z podziwem Corrie-Lyn. Wyszła ze swojego pokoju ubrana w puszysty niebieski szlafrok. Ujrzała zastawiony stół i natychmiast się ożywiła.

- Do bluefruit jest cukier. Otrzymany z tuberów z Dranscome, najlepszy w galaktyce - wyjaśnił.

Posypała owoc srebrzystym pudrem i spróbowała kawałek.

- Hmm, dobre. - Łyzeczką wybierała miąższ.

Aaron usiadł naprzeciw niej i wypił pierwszy łyk herbaty. Stół stał przy dużym na całą ścianę oknie, mieli z niego widok na rzekę. Kilka wielkich barek oceanicznych sunęło tuż nad pofalowaną wodą. Omijały je mniejsze jednostki. Aaron tego nie widział - wbił wzrok w rozcięcie kobiecego szlafroka, odsłaniające jej piersi. Jędrne, wspaniale ukształtowane; podziwiał je radośnie. Miała świetne ciało. Szukał potwierdzenia, prześlizgując się wzrokiem po jej nogach. Nie otrzymał mentalnych wskazówek na temat tego, czy ma uprawiać z nią seks. Przypuszczał więc, że hormonalny podziw pochodził od niego. Uśmiechnął się lekko. W końcu to normalne.

- Nie jesteś agentem firmy wynajmującej statki kosmiczne - stwierdziła bezceremonialnie. Jej twarz wyrażała złość.

Uświadomił sobie, że część jego odczuć przesaczyło się do gajASFery.

- Nie.

- Więc kim jesteś?

- Chyba czymś w rodzaju tajnego agenta.

- Chyba?
- Tak.
- Nie wiesz na pewno?
- W zasadzie nie.
- Co przez to rozumiesz?
- To proste. Jeśli niczego nie wiem, niczego nie mogę wyjawiać.
Wiem jedynie, że pewne rzeczy muszę zrobić.

- Czyli nie masz żadnych wspomnień, kim jesteś?

- Nie, w zasadzie nie.

- A wiesz, dla kogo pracujesz?

- Też nie.

- Więc skąd wiesz, że masz dla nich pracować?

- Słucham?

- Skąd wiesz, że nie pracujesz dla Imperium Ocisen i nie pomagasz w obaleniu Wielkiej Wspólnoty? A jeśli jesteś uśpionym agentem Gwiazdokrażcy? Mówią, że Paula Myo nie wszystkich wyłapała.

- Mało prawdopodobne, ale przyznaję, że nie wiem.

- Więc jak możesz żyć z samym sobą?

- To nieprawdopodobne, żebym robił coś takiego. Jeśli byś mnie teraz poprosiła, żebym to zrobił, nie zrobiłbym. Więc nie zgodziłbym się tego zrobić, zanim usunięto mi całą pamięć.

- Cała pamięć. - Corrie-Lyn smakowała teraz tę myśl, tak jak wcześniej próbowała owocu. - Ktoś, kto się zgadza, żeby mu usunięto pamięć w zamian za nielegalny kontrakt, musi być dość ekstremalnym osobnikiem. Poza tym zabijasz ludzi. Jesteś w tym dobry.

- Miałem lepszy software bojowy. A ponadto wrócą do życia. Twój przyjaciel kapitan Manby prawdopodobnie już za nami węszy. Weź pod uwagę, jak dzięki mnie wzrosła mu motywacja.

- Nie mając pamięci, nie możesz wiedzieć, jaka jest twoja prawdziwa osobowość.

Aaron sięgnął po tosta.

- Do czego zmierzasz?

- Na Ozziego, czy to cię nie martwi?

- Nie.

Zdumiona pokręciła głową.

- Przecież masz sztuczne uczucia.

- No to co? W ten sposób jestem bardziej skuteczny w tym, co robię. Korekcja cech osobowości to użyteczna procedura podczas żywienia. Jeśli chcesz być typem menedżera, to każ sobie zmienić strukturę neuronową, tak żeby uzyskać dużą pewność siebie i agresję.

- Wybierz zawód i sformatuj się odpowiednio do niego. Wspaniale, to takie ludzkie.

- A jaka jest obecnie definicja „ludzi”? Elewaci? Awangardowie? Naturalni? A co z Rojem? Czyli Huxleya miał regulowane społeczeństwo funkcjonujące przez blisko półtora tysiąca lat. Wszyscy jego członkowie są ograniczeni, zdeterminowani genetycznie, a mimo to trzymają się mocno, populacja jest zdrowa i szczęśliwa. W takim razie powiedz mi otwarcie i jasno: kto z nas zwyciężył w wyścigu ludzkości?

- Nie spieram się z tobą na temat ewolucji. Poza tym to tylko odwraca uwagę od zasadniczego pytania: kim jesteś?

- Myślałem, że już ustaliliśmy, że żadne z nas nie wie, kim jestem. Czy nie jest to dla ciebie fascynujące?

- Może w twoich perwersyjnych snach!

Aaron uśmiechnął się i odgryzł kawałek tosta.

- Więc na czym polega twoja misja? - spytała Corrie-Lyn. - Co masz zrobić, wprowadzić radnych Żywego Snu?

- Byłych radnych. Nie. Nie na tym to polega.

- Więc czego ode mnie chcesz?

- Muszę znaleźć Iniga. Chyba możesz mi pomóc.

Rzuciła łyżkę i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Na pewno żartujesz.

- Nie.

- Oczekujesz, że ci pomogę? Po tym, co od ciebie usłyszałam?

- Tak. A dlaczego nie?

- Ale... - prychnęła.

- Żywy Sen próbuje cię zabić. Zrozum, nic ich nie powstrzyma. Wydarzenia z przedwczoraj tylko wzmocnią ich determinację. W całej galaktyce tylko jedna, jedyna osoba, sam Inigo, może

powstrzymać waszego kochanego nowego Kleryka Konserwatora.

- A więc to dla nich pracujesz, dla lobby antypielgrzymkowego. - Nie ma gwarancji, że jeśli Inigo wróci, zdoła powstrzymać Pielgrzymkę. Ty go znasz najlepiej. Mam rację? Smutno skinęła głową.

- Tak. Może i tak.

- Więc pomóż mi go znaleźć.

- Nie mogę - odparła cicho. - Nawet mnie o to nie proś. Przecież nawet ty nie wiesz, co z nim zrobicie, jeśli go znajdziemy.

- Ktoś, kto tak dobrze się kryje, nigdy nie zostanie schwytany z zaskoczenia. Nawet gdyby udało się nam go wytropić. Wie, że szuka go mnóstwo poważnych ludzi. A poza tym, jeśli chciałbym go zabić, po co bym się trudził, żeby go złapać. Jeśli nie ma go na scenie, nie może przecież dyrygować aktorami. Więc chcę go mieć z powrotem, i to nietkniętego.

- Nie wiem... - powiedziała słabym głosem.

- Uratowałem ci życie.

Uśmiechnęła się do niego szelmowsko.

- Uratował mnie software, który tobą zarządza. Dlatego, że jestem ci potrzebna. Mówiłeś, że jestem twoją największą nadzieją.

- Opcją numer jeden.

- Lepiej przygotuj sobie numer dwa.

- Nawet moja wątroba nie zniosłaby kolejnego wieczoru w Rakas. Naprawdę cię potrzebuję. A ty, Corrie-Lyn? Chcesz go odnaleźć? Nie chcesz się dowiedzieć, dlaczego się wyniósł, opuścił ciebie oraz miliardy ludzi, którzy w niego wierzyli? Czy stracił wiarę? Czy Żywy Sen cały czas był tylko snem?

- Cios poniżej pasa.

- Nic nie możesz zrobić. Nie jesteś do tego zdolna. Wiesz, że Iniga trzeba znaleźć, nim wyruszy Pielgrzymka. Ktoś go znajdzie, to pewne. W tym wszechświecie nikt nie może ukrywać się wiecznie. Po prostu polityka na to nie pozwoli. A chciałabyś, żeby ktoś inny go odnalazł?

- N... nie mogę.

- Rozumiem. Poczekam. Jeszcze trochę.
- Dzięki. - Zwiesiła głowę i zaczęła jeść tosta, jakby zawstydzona swoją decyzją.

Po śniadaniu wróciła do swojego pokoju. Aaron nie widział jej przez prawie trzy godziny. Jego u-adiunkt monitorował wykorzystanie unisfery. Niewielkie. Corrie-Lyn przeglądała standardowe pliki informacyjne od tutejszych fanów Żywego Snu. Trafnie się domyślał, czego szukała - przyjaciela, któremu mogłaby zaufać, a to oznaczało, że sprawy mogą się potoczyć pomyślnie dla Aarona. Jeśli wyjdą z ukrycia, wkrótce Manby lub jakiś jego następcą ruszy za nimi z bronią gotową do strzału.

Wreszcie wyszła ze swojego pokoju. Miała na sobie czerwony sweter o luźnym kołnierzu i obcisłe spodnie. Srebrny naszyjnik tworzył parę długich pętli na szyi i owijał się wokół bioder. Zgrabnie nastroszyła ciemne włosy i dodała do nich fioletowych i zielonych iskier, które migotały w długim cyklu. Aaron uśmiechnął się do niej z zachwytem. Zignorowała to.

- Muszę z kimś porozmawiać - oznajmiła.

Aaron usiłował zamaskować uśmieszek wyższości.

- Jasne. Mam nadzieję, że nie będziesz się upierać, żeby iść samotnie. Na zewnątrz są źli ludzie.

- Możesz iść ze mną, ale rozmowa ma być prywatna.

- W porządku. Czy mogę spytać, czy już umówiłaś się na spotkanie?

- Nie.

- Dobrze. Nie dzwoń do nikogo. Węzły cybersfery Ellezelinu są monitorowane przez rząd. Oddział Manby'ego uderzy w ciebie jak asteroida likwidująca planetę.

Na twarzy kobiety pojawił się niepokój.

- Już wchodziłam do unisfery.

- Nic nie szkodzi. Przypuszczalnie nie mogą wysledzić zapytań twojego u-adiunkta - skłamał. - Czy wiesz, gdzie prawdopodobnie będzie ta osoba?

- W świątyni Daeas. W południowej części miasta.

- Pojedziemy teraz taksówką do tej dzielnicy i wylądujemy kilka przecznic dalej. Gdy dotrzemy do świątyni, postaramy się nawiązać kontakt wzrokowy z twoim przyjacielem.

- Nie jest moim przyjacielem - odpowiedziała automatycznie.

Aaron wzruszył ramionami.

- Więc z tą osobą. Kiedy go znajdziemy, będziecie mogli odbyć prywatną rozmowę, dobrze? W ostateczności zadzwonimy do niego, ale, proszę cię, pozwól mi to zrobić. Mam w swoim u-adiunkcie ustawienia, które przechytrzą system monitorujący.

Skinęła głową, wzięła jasnoczerwoną torbę i owinęła ramiona długim płowym szalem.

- Idziemy.

Podczas lotu taksówką nad miastem Aaron był zupełnie zrelaksowany. Z przyjemnością patrzył z góry na przemykające w dole wieżowce, widział ładne ogrody na dachach, tarasy okolone zielenią i baseny.

Nie wiedział, jak zakończy się spotkanie Corrie-Lyn z tym człowiekiem. W zasadzie go to nie obchodziło. Miał tylko pewność, co powinien zrobić w stosownym momencie. Doszedł do wniosku, że ta ignorancja zapewnia mu dobre samopoczucie.

Lądowali na skrzyżowaniu na obrzeżach dzielnicy Daeas. Dominowały tu monolityczne budowle Biura Pozaplanetarnego Ellezelinu - ministerstwa, które zorganizowało Strefę Wolnego Rynku i w efekcie przyczyniło się do handlowej i dyplomatycznej dominacji Ellezelinu w sąsiednich systemach gwiazdnych. Teraz budowle przerobiono na hotele, kasyna i eleganckie centra handlowe. Szli do świątyni wzdłuż rzeźbionych kamiennych fasad. Aaron wybierał krętą drogę; chciał się rozejrzeć i sprawdzić, czy nie ma potencjalnych - wręcz prawdopodobnych - wrogów.

- Czy wiedziałaś, że chce wyjechać, zanim naprawdę wyruszył? - spytał Aaron.

Corrie-Lyn spojrzała na niego niepewnie.

- Nie - westchnęła. - Ale już wcześniej nasze stosunki się oziębły. Nie zostałam wykluczona w dosłownym sensie, ale przestałam się zaliczać do najbliższego kręgu.

- A kto się zaliczał?

- W tym problem. W zasadzie nikt. Od pewnego czasu Inigo coraz bardziej się izolował. Ponieważ byliśmy tak blisko, dopiero po dłuższym czasie zauważyłam, jak się oddalił. Wiesz, jak to jest.

- Mogę sobie wyobrazić - odparł. Zmarszczyła brwi. - Więc nie spowodowało go jedno konkretne zdarzenie?

- Ach, myślisz o legendarnym Ostatnim Śnie? Nie, przynajmniej nie byłam tego świadoma. Ale przecież skądś się wzięła ta pogłoska.

Jeszcze zanim zdobyli większość w Parlamencie, główny radny Żywego Snu w Riasi chwalił się, że w tym mieście co dwa kilometry natykasz się na świątynię. Nie wyróżniały się konstrukcją. Nadawał się każdy dom z większą salą dla wiernych oraz przestrzenią biurową i mieszkalną. Ponieważ Daeas to dzielnica bogata, miejscowa świątynia musiała robić wrażenie. To współczesny sześcian Berzaza. Miał pionowe pasy skrócone w stosunku do siebie pod kątem piętnastu stopni; ich płynno-światłne powierzchnie świeciły z intensywnością automatycznie dostosowującą się do światła słonecznego, obrysowywały każde piętro widmowym świetlnym wodospadem. Miało się wrażenie, że to cały kwartał miasta usiłuje się wkręcić w ziemię. Budowlę otaczał rozległy plac z fontanną na każdym rogu. Wysokie strumienie tryskały ze środka nachylonych pierścieni napędzanych ingrawem, by woda mogła płynąć w górę.

Aaron przeskanował tętniący życiem plac, starannie sprawdził miejsce akcji. Jego software bojowy wykreślił drogi ucieczki. U-adiunkt wydobywał z planów miejskich schematy sąsiednich budynków wraz z tunelami mediów i szlakami komunikacyjnymi. Naprzeciw świątyni znajdował się pasaż handlowy przykryty zakrzywionym kryształowym dachem, pod którym na trzech poziomach mieściło się pięćdziesiąt eleganckich sklepów. Istniało tam wiele wejść z trzech ulic, pięć podziemnych magazynów, siedem platform dla taksówek i dziesięć lądowisk na dachu. Nawet duży oddział miałby trudności z obstawieniem wszystkich dróg. Obok stał stateczny budynek dawnego ministerstwa, w którym obecnie mieściło się kilka instytucji

finansowych i parę firm eksportowych. Budynek nie miał zbyt wielu wejść, ale w jego obszernym podziemnym garażu czekały wysokiej klasy kapsuły regravowe. Przy biegnącym obok bulwarze stały sklepy, salony rozrywki, bary i restauracje. Na zewnątrz przy stolikach kwitło barwne kawiarniane życie. U-adiunkt Aarona wezwał na dół trzy taksówki, kazał im zaparkować na pobliskim publicznym lądowisku i czekać. Zapłacił za to z trzech oddzielnych niedających się namierzyć rachunków monetowych.

- Chcesz, żebym tam weszła i próbowała go znaleźć? - spytała Corrie-Lyn.

Aaron dokładnie przyjrzał się głównemu wejściu: przycięty łuk opływały z obu stron płynno-światłne linie i samo wejście wyglądało jak ciemny korytarz. Wchodziło tam i wychodziło mnóstwo osób, większość ubrana tak jak chodzi się na Querencii. W tłumie wyróżniały się jaskrawe szaty kleryków.

- Zakładam, że ten ktoś to kleryk Żywego Snu, i to dość wysokiej rangi, zważywszy na twoją własną pozycję.

Skinęła głową.

- To Yves. Jest tu zastępcą. Znam go od pięćdziesięciu lat. Całkowicie oddany wizji Iniga.

- Czyli stara gwardia.

- Tak.

- Więc raczej nie natkniemy się na niego podczas zakupów w okolicy. Będzie siedział w swoim biurze.

- Na trzecim piętrze. Prawdopodobnie zdołam się tam dostać, mam upoważnienie. Nie jestem pewna, czy mogę cię zabrać ze sobą.

- Wszelkie twoje upoważnienia są teraz skasowane. A jeśli będziesz łączyła się z siecią Żywego Snu, sieć wyśle ostrzeżenie, które zobaczą aż na Starej Ziemi.

- To co mam robić?

- Jeśli uczciwość nie popłaca... mam kilka trików, dzięki którym dostaniemy się do jego biura, nie ściągając na siebie uwagi. Módl się tylko, żeby nas nie wyrzucił w momencie, gdy powiemy „cześć”.

- Ja powiem „cześć” - rzekła z naciskiem.

- Niech tak będzie.

Jego software zidentyfikował trzech potencjalnych wrogów wśród ożywionego tłumu przechodniów na placu. Patrząc na migotliwy budynek miał niejasne wrażenie czyhającej na nich pułapki. Ale jeśli wskaże Corrie-Lyn tych trzech podejrzanych, to czy skłoni ją do pomocy i aktywnej współpracy? Musiałaby się naprawdę wystraszyć, tak jak wystraszył ją kapitan Manby w Wielkim Makkathranie. Tylko że tym razem powinna być rozbudzona, trzeźwa i czysta. Musi sobie uświadomić, że wszystkie struktury Żywego Snu są do niej wrogo nastawione.

- Wejdzimy przez drzwi frontowe - powiedział. - Gdybyśmy próbowali przemknąć się tylnym wejściem, moglibyśmy zwrócić na siebie uwagę.

- Z każdej strony świątyni można wejść do głównego holu. Drzwi są otwarte. Zapraszamy wszystkich.

- Mówiłem metaforycznie - odparł. - Idziemy. - Jego u-adiunkt powiedział mu, że policja Riasi została zaalarmowana: w mieście widziano dwoje aktywistów, znanych z agresywności. - Panie i panowie, Elvis ma się dobrze i naprawdę tu wrócił - wymamrotał, nie wiedząc po co.

Corrie-Lyn syknęła zirytowana tymi bzdurami i ruszyła do bramy świątyni. Aaron poszedł za nią, rozbawiony jej śmiałością. Myśli w tutejszej gajasferze były miłe i kuszące, stanowiły mieszankę wrażeń, które powodowały, że Aaronowi stawały włoski na krzyżu. Jakby ktoś mu głaskał wewnątrz czaszki. Gajasfera obiecywała, że coś cudownego mieszka w świątyni. Trzeba tylko do niej wejść...

Rozbawiło go to prymitywne wabienie, będące dla umysłu tym, czym dla ciała jest świeżo pieczony chleb w zimowy poranek. Wyobrażał sobie, że przypadkowy przechodzień czułby pokusę, ale problem polegał na tym, że brakowało tu takich osób. Na Ellezelinie większość mieszkańców należała do gorących zwolenników Żywego Snu. Ta świątynia, jak wszystkie inne w Wielkiej Wspólnocie, zawierała gniazdo konfluencyjne gajasfery i dlatego maksimum efektu wabiącego występowało na placu.

Nikt nawet na nich nie spojrział, gdy przechodzili przez plamistą luminescencyjną kurtynę łuku. Skanujące otoczenie, pole pierwszego poziomu pokazało Aaronowi, że trzej podejrzani ruszyli z placu do świątyni. Miał nadzieję, że to skanowanie niskiego poziomu jest dla nich niewykrywalne, z pewnością nie mieli bionicznych modyfikacji.

W drzwi wmontowane były standardowe czujniki rejestrujące twarz i sygnatury i sprawdzające, czy nikt nie wnosi ukrytej broni. Każdy budynek publiczny miał takie wyposażenie. Bionika Aarona z łatwością je zmyliła.

Wewnątrz osłabł syreni śpiew gajafery, rozbrzmiewała tylko pojedyncza nuta. Co razem z wystrojem tworzyło wrażenie spokojnego schronienia, nawet powietrze miało przyjemnie chłodną temperaturę. Sala recepcyjna przypominała główną komnatę audiencyjną Pałacu Sadowego, gdzie burmistrz witał zasłużonych obywateli. Tutaj klerycy cicho przemawiali do małych grupek ludzi. Aaron i Corrie-Lyn przeszli przez salę na krążanek prowadzący do wschodniego wejścia. Korytarz po lewej nie miał żadnych widocznych przegród. Pola bioniczne Aarona manipulowały elektroniką strzegącą korytarza i pole siłowe ustąpiło. Przystanął, sprawdził sieć budynku, ale nie było żadnego alarmu.

- Wchodzimy - powiedział cicho.

Winda zawiozła ich na trzecie piętro. Wysiedli na korytarzu bez okien, węższym niż korytarz na dole. U-adiunkt poinformował go, że ktoś właśnie badał programy sterujące trzech czekających taksówek. Aaron jeszcze nie podjął decyzji, kiedy powiedzieć Corrie-Lyn, że ich namierzono. Im dłużej będzie czekał, tym trudniej będzie im się wydostać ze świątyni. Chciał, żeby była na tyle podminowana, by zdecydowała się wziąć udział w misji, ale nie na tyle przerażona, żeby stracić zdrowy rozsądek.

W świątyni nadal niewiele się działo. Aaron przeszedł z Corrie-Lyn kilkoma korytarzami do biura Yvesa. Przed pomieszczeniem działała aktywna osłona, ale pole Aarona potrafiło się przez nią przedrzeć i zeskanować widok poza nią. Odkrył tam tylko jedną osobę bez modyfikacji wzbogacających.

Corrie-Lyn lekko oparła dłoń na jego torsie.

- Tylko ja - powiedziała niskim, ochrypłym głosem.

Nie potrafił określić, czy żartowała czy rzeczywiście była stanowcza. Ponieważ jednak w biurze nie wykrył żadnego niebezpieczeństwa, uśmiechnął się taktownie i wskazał jej drzwi.

Weszła do środka, a on spacerował po korytarzu, sprawdzając pozostałe pokoje. Z jednego z nich wyszła kobieta w prostej brązowo-niebieskiej sutannie kleryka. Zmarszczyła brwi i powiedziała:

- Czym mogę...

Aaron strzelił do niej z pulsatora małej mocy - miał go we wzbogaceniu w lewym przedramieniu. Gdy się osuwała na podłogę, jego pole szyfrujące przecięło jej połączenia z unisferą, blokując automatyczne wezwanie pomocy do policji i miejskich służb medycznych wysyłane przez klastry wielokomórkowe. Nawet się nie fatygował, żeby zaciągnąć ciało do pustego pokoju. To nie mieściło się w jego harmonogramie.

Gdy wracał do biura Yvesa, wszystkie windy zaczęły zjeżdżać na parter. Rozciągnął skanowanie pola poziomego jeden do maksymalnych granic i odkrył, że na dole jest broń w gotowości bojowej. Pomaszerował do pokoju Yves.

- Musimy iść... - zaczął i cicho zaklął.

Corrie-Lyn siedziała na brzegu długiej skórzanej kanapy, a Yves osunął się przy drugim końcu. Czerwona torba była otwarta. Kobieta trzymała w dłoni aerozol i szybko, z miną winowajczyni odsuwała go od twarzy. Jej usta i oczy wyrażały błogostan. Aaron nie mógł sobie darować, że gdy spała, nie sprawdził jej torby. Kompletny brak profesjonalizmu.

- O, cześć! - wybełkotała. - Yves, to facet, o którym ci mówiłam. Mój wybawca. Aaron, to Yves, właśnie skończyliśmy.

Yves pomachał dłonią i uśmiechnął się sennie.

- Świetnie.

- Kurwa! - Aaron strzelił do niego z pulsatora. Przesuwał broń, by celować w Corrie-Lyn, gdy jego programy taktyczne przerwały akcję. Teraz znacznie łatwiej ją stąd wyprowadzić, gdy jest nieświadoma i bezwładna, ale musi zdawać sobie sprawę z

niebezpieczeństw, by mu zaufać.

Yves przekoziołkował przez oparcie kanapy i z głuchym odgłosem padł na podłogę. Nogi zatrzymały się na oparciu, buty noskami celowały w sufit, a potem zsunęły się na bok. Corrie-Lyn patrzyła na swojego dawnego przyjaciela.

- Co ty robisz? - zawodziła.

- Ryzykuję tyłkiem, żeby cię ratować. Możesz iść?

Corrie-Lyn podniosła się z kanapy i zerknęła na bezwładne ciało.

- Zabiłeś go! Yves! Na Ozziego, kim ty jesteś, draniu?

- Jest tylko ogłuszony. To mu daje doskonałe alibi. Czy możesz iść?

Odwróciła głowę w stronę Aarona z wyraźnym wysiłkiem.

- Nic mu nie będzie?

- Pieprzyć go! - Nie miał czasu na zabawianie się w jej psychiatrę. - Nie, nic mu nie jest. Zostawmy go, musimy się natychmiast stąd wydostać.

Ściągnął ją z kanapy i przewiesił sobie przez ramię. Corrie-Lyn znów lamentowała:

- Puść mnie.

- Nie możesz ustać, a co dopiero iść. A my musimy biec. Torebka medyczna na jego udzie otworzyła się i uwolniła grudkę leku.

Aaron przykleił ją na szyję Corrie-Lyn nad tętnicą.

- To cię powinno otrzeźwić.

- Nie, nie, nie - protestowała. - Zostaw mnie.

Aaron nie zwracał na to uwagi. Ruszył w kierunku korytarza. Kobieta zwisała mu z pleców, klęta, a jej ręce okładały go bezskutecznie po pośladkach. Otwierały się drzwi i wychodzili klerycy, by sprawdzić, co to za harmider. Aaron ogłuszał jednego po drugim.

- Co się dzieje? - bełkotała Corrie-Lyn.

- Znikamy stąd. Znaleźli nas twoi starzy przyjaciele.

Przestała młócić ramionami i zaczęła popłakiwać. Aaron kręcił głową skonsternowany. Przedtem sądził, że jest bardziej odporna. Dotarł do windy. Swoją biononiką wytworzył efekt dystorsyjny. Drzwi windy popękały, ich lśniąca powierzchnia

pociemniała; widział ją tak, jakby w każdej sekundzie starzała się o setki lat. Łuszczyły się, rozpadły w pył, który poleciał w dół na dach kabiny, stojącej na parterze. Aaron mocniej schwycił kobietę i skoczył w szyb. Krzyczała, gdy mknęli w ciemności. W obawie o życie wyła ze strachu.

Jego wbudowane pole sił rozszerzyło się, amortyzując lądowanie. Ze swojej biononiki wysłał kolejny impuls dystorsyjny i dach windy rozleciał się pod stopami Aarona, który spadł na dwóch zaskoczonych policjantów. Obaj mieli opłot z pola siłowego, chroniący ich przed uderzeniem. Modyfikacje bojowe w przedramieniu Aarona musiały zwiększyć moc stukrotnie, żeby przebić go impulsem ogłuszającym. Aaron wyszedł, cały czas niosąc Corrie-Lyn, która wreszcie umilkła. Na drodze między windą a holem recepcyjnym stało kilku policjantów. Krzyczeli do niego, żeby się zatrzymał, ale nie zwracał na nich uwagi. Na jego pole siłowe posypały się impulsy energii; wraz z Corrie-Lyn zostali zamknięci w trzaskającej fioletowej aureoli. To go nie spowolniło. Wybiegł do holu i zobaczył, jak klerycy i goście kryją się w zakamarkach, przywołując pomoc głosem i sygnałami cyfrowymi. Policjanci chronili się w korytarzach i strzelali do Aarona. W sufit sali wysłał kilka impulsów torsyjnych niskiej mocy. W dół poleciały gęste chmury odłamków kompozytu, wypełniając powietrze mdłą chmurą cząstek. Stalowo-węglowe dźwigary ugięły się z niebezpiecznym pomrukiem. Policjanci zaczęli się wycofywać z walącej się konstrukcji. Rozpętał się chaos. Aaron szedł do głównego wyjścia. Corrie-Lyn dyszała i jęczała z przerażenia.

Na zewnątrz miejska cybersfera przekazywała komunikaty alarmowe wszystkim w odległości dwóch przecznic od świątyni. Ludzie czmychali z placu. Programy taktyczne Aarona oceniły, że nie jest to dla niego korzystne. Rozumny software policyjny łądował się do węzłów dzielnicowej cybersfery, przejmował dowodzenie i zabezpieczał lokalną sieć przed wszelkimi działaniami dywersyjnymi. Ruch kapsuł i komunikację naziemną wstrzymano, czujniki monitorowano. Aaron został szczelnie odizolowany.

Jego u-adiunkt dobrał się do niestrzeżonych systemów sterujących fontannami, zmienił kierunek strumieni ingrawowych na pochyłych pierścieniach. Wysokie strugi zachwiały się i nagle przechyliły się do pozycji poziomej. Tryskały na wszystkie strony, strzelając z gigantycznych wodnych armat. Ludzie padali na kamienny plac, przewróceni potężnymi falami. Aaron dotarł do wyjścia i gnał przez plac. Przed policją częściowo osłaniała go kotłująca się piana. Biononika wzmocniła mu mięśnie nóg, efekt polowy przyspieszał każdy ruch. Pierwsze sto metrów Aaron pokonał w siedem sekund. Mijał ludzi rozpaczliwie machających nogami i rękoma w silnych strumieniach wody. Szczególnie mocny wycisk dostali policjanci. Ich pola siłowe nie chroniły przez potopem i mokrymi ciosami. Część z nich strzelała z broni energetycznej w strugi, wywołując trzaskające wiry jonów, które pluły spiralami wrzącej pary. Powalone ofiary próbowały rozpaczliwie wypełznąć spod niebezpiecznej pary i krzyczały, żeby wstrzymać ogień.

Woda w fontannach skończyła się, gdy Aaron przebiegł dwie trzecie placu. Strzały z broni energetycznej trafiły w jego pole siłowe, wzbudzając pióropusz iskier. Od uderzenia poślizgnął się na mokrych kamieniach.

- Wolniej - skomlała Corrie-Lyn, gdy odzyskał równowagę. - Och, Ozzie, nie!

Pole sensoryczne Aarona skanowało otoczenie. Świątynia zaczynała się zapadać, skręcała się łagodnie, jakby naśladować wzorzec płynno-światłnej fasady.

- Chyba narobiłem więcej szkód, niż mi się wydawało - burknął.

Z drzwi świątyni buchały pył i dym, jak pióropusze antycznych rakiet, i kłębiły się nad placem.

Dotarł do galerii handlowej. Zgromadzony przed wejściem tłum obserwował całe widowisko. Gdy z chaosu wyskoczył Aaron, ludzie natychmiast się cofnęli i rozproszyli jak przestraszone ptactwo. We Wspólnocie nikt nie był przyzwyczajony do zamieszek, a już na pewno nie mieszkańcy Riasi. Gdy Aaron zatrzymał się na progu, namierzyło go przynajmniej pięciu policjantów. W jego pole uderzyły mocne impulsy energii.

Zgrzytnął głośno przerażający fajerwerk fotonów, który zagłuszył nawet wycie Corrie-Lyn. W niechronionej przestrzeni wokół pojawiły się parzące bąble. Aaron, ukryty w tłumie, wystrzelił trzy ładunki i trafił w dźwigary konstrukcyjne galerii. Na grubym kryształowym suficie powstały olbrzymie rysy i dach zaczął się zapadać. Świątynia ostatecznie zawaliła się i w przyspieszonym tempie obracała w gruzy. Odłamki poleciały na sąsiednie budynki. Dziesiątki tysięcy szklanych sierpów rozprysły się we wszystkie strony. Policjanci kryli się i przestali strzelać.

Corrie-Lyn histerycznie szlochała. Zamarła, gdy kryształowy dach łukowej hali rozpadał się i wokół pikowały olbrzymie sztylety. Wyły syreny przeciwpożarowe, z nielicznych ocalałych na górze dysz wypływała jaskrawoniebieska pianka gaśnicza. Aaron zanurkował do sklepu z ręcznie szytą damską bielizną. Piankowe błoto drobnymi falami ześlizgiwało się na podłogę z pola siłowego Aarona. Dwaj sprzedawcy rzucili się do wyjścia ewakuacyjnego.

- Możesz iść? - spytał Corrie-Lyn.

Jego u-adiunkt atakował programy policyjne w węzłach galerii handlowej, ingerował w czujniki wewnątrz budynku i bezpośrednio próbował odciąć zasilanie. Wysłał wezwanie do jednej z zaparkowanych taksówek i polecił jej, by wylądowała na zapleczu galerii.

Aaron postawił Corrie-Lyn, ale tylko objęła się skrzyżowanymi ramionami i nie mogła ustać na nogach.

- Cholera!

Znów przerzucił ją sobie przez ramię i wszedł na zaplecze. Tam otworzył drzwi - za nimi były schody, które prowadziły do magazynu w piwnicy. Szybko zszedł na dół. Skanowanie połowe pokazało mu chmurę policyjnych kapsuł regrawowych pikujących nisko nad placem i paru nieustraszonych oficerów przedzierających się przez płataninę powalonych dźwigarów. Nieśli wysokoenergetyczne uzbrojenie.

W magazynie powietrze było chłodniejsze, bardziej suche i nieruchome. Pod sufitem zapaliły się lampy, oświetlając

kwadratowe pomieszczenie o gładkich betonowych ścianach, z rzędami metalowych półek. Pod jedną ze ścian piętrzyły się stare displaye reklamowe. U-adiunkt Aarona raportował, że dzięki jednemu z urzędów w okolicy udało mu się zablokować software policji. Będą mieli informację, że Aaron tu jest, ale nie będą wiedzieli, co robi.

Odwinęły się wielkie drzwi z plastmetal, prowadzące do komory magazynowej i Aaron wyszedł na wąską podziemną drogę dostawczą. Była teraz pusta, policja zakazała wszelkiego ruchu kapsuł. Dziesięć metrów dalej znajdował się wjazd do tunelu technicznego. U-adiunkt Aarona pokonał zamek i luk się otworzył. Mężczyzna przebiegł przez drogę dostawczą i wspiał się do tunelu, pchając przed sobą bezwładną Corrie-Lyn. Luk zamknął się za nimi.

Aaron przeskanował otoczenie. W za niskim dla niego tunelu jedynym źródłem światła była jarząca się żółta obwódka wokół awaryjnego uchwytu luku. Aaron musiał się zgiąć. Corrie-Lyn osunęła się przy ścianie tuż za lukiem.

- W tunelu nie ma czujników wizualnych - raportował u-adiunkt. - Tylko sygnały pożarowe i wodne.

- Wodne?

- Na wypadek powodzi. Takie są miejskie standardy.

- Typowa biurokratyczna przesada - powiedział cicho Aaron. - Musimy iść.

Corrie-Lyn nie odpowiedziała. Nie mogła powstrzymać drżenia rąk i nóg, ale ruszyła do przodu, kiedy ją pchnął. Przesuwali się tunelem zgarbieni jak małpy. Co pięćdziesiąt metrów natykali się na włazy. Przy szóstym z nich Aaron się zatrzymał i kazał polowej funkcji skanującej zbadać najbliższe otoczenie. U-adiunkt otworzył luk. Wypełzli. Znaleźli się na dole klatki schodowej, oświetlonej niebieskawymi pasami fotopolimeru przyczepionymi do ściany.

- Sieć budynku funkcjonuje normalnie - raportował u-adiunkt. - Policjanci rozumni koncentrują się teraz na monitorowaniu procedur świątyni i galerii handlowej.

- To nie potrwa długo - powiedział Aaron. - Zaraz obejmą

obserwacjami cały obszar. Włam się do jakiejś prywatnej kapsuły.

Postawił Corrie-Lyn na nogi, objął ją pod pachami i tak podtrzymując, wprowadził na wyższe piętro. Znalazł drzwi wychodzące na podziemny parking w starym budynku ministerstwa. U-adiunkt włamał się do systemu sterującego luksusowej limuzyny i sprowadził ją pod drzwi.

Kapsuła ześlizgnęła się z pochylni na tyłach budynku i włączyła w pobliski strumień ruchu. Rozumni policyjni sprawdzili ją, ale u-adiunkt Aarona przekazał im kod certyfikatu prawowitego właściciela. Corrie-Lyn obserwowała w dole niemrawe kłęby pyłu. Kończyny już jej nie drżały. Aaron nie miał pewności, czy to efekt działania łagodnego leku supresyjnego, który zniwelował wpływ aerozolu na jej organizm czy kobieta wchodzi w jeszcze głębszy szok.

W stronę świątyni zmierzała grupa cywilnych kapsuł ratunkowych i ambulansów.

- Strzelali do nas - powiedziała. - Bez ostrzeżenia. Nie krzyknęli nawet stop. Po prostu otworzyli ogień.

- Musiałem skoczyć w szyb windy, żeby spróbować ucieczki. To wystarczające przyznanie się do winy.

- Na Ozziego! Gdybyś nie miał oplotu pola sił, bylibyśmy martwi. Policja nie powinna tak działać. To przecież policja, nie?

- Tak. Policja miejska.

- Ale się wydostaliśmy - dziwiła się. - Ilu ich było... dziesięciu? Dwudziestu?

- Coś koło tego.

- Szedłeś i nic cię nie mogło powstrzymać. Bez względu na to, co tamci robili.

- To dzięki biononice Elewatów. Standardowa broń mogłaby wygrać z nią tylko przytłaczającą siłą ognia. Ale oni nie mieli aż tyle sprzętu.

- Jesteś Elewatem?

- Mam wzbogaconą biononikę bojową. Nie jestem pewien co do części kulturowej. Ten styl życia wydaje mi się bezcelowy, tak jak u arystokracji sprzed ery Wspólnoty.

- Czyli co?

- Bardzo bogaci ludzie prowadzili lekkie i dekadentkie życie, natomiast zwykli obywatele pracowali niewolniczo i umierali młodo, a owoce ich trudu szły na utrzymanie arystokracji.

- Ach, jasne. - Nie okazała zainteresowania. - Inigo był Elewatem.

- Nie był - odparł Aaron automatycznie.

- Był, ale się do tego nie przyznawał. Tylko kilka osób o tym wiedziało. Przypuszczam, że nasz nowy Kleryk Konserwator nie zdaje sobie sprawy z prawdziwej natury swojego idola.

- Jesteś...

- Pewna? Tak, jestem pewna.

- To nadzwyczajne. Nie ma na ten temat żadnych zapisów. W obecnych czasach to cholerne osiągnięcie.

- Mówiłam, że trzymał to w tajemnicy. Gdyby jakiś Elewat pokazywał ludziom swoje sny, nikt by na to nie zwrócił uwagi, przynajmniej tu w Światach Zewnętrznych. Musiał występować jako zwykły człowiek. Żebyśmy go akceptowali jako jednego z nas. Aaron chrząknął rozbawiony.

- Elewaci to też ludzie.

- Niektórzy z nich. - Spojrzała na niego znacząco.

- Czy Yves był tym drugim Klerykiem, który znał prawdę o Inigo?

- Nie. - Westchnęła i obejrzała się. - Och, Ozzie. Yves! Był nieprzytomny, kiedy świątynia się zawaliła.

- Wyjdzie z tego.

- Wyjdzie?! - krzyknęła, nagle ożywiając się. - Jak to wyjdzie? Przecież nie żyje!

- Prawdopodobnie będzie mu potrzebne ożywienie, ale obecnie to kwestia paru miesięcy.

Parsknęła z niedowierzaniem. Oparła się o przezroczystą ścianę kapsuły i patrzyła w dół na miasto.

Szok, wściekłość, przerażenie. Oceniał, że głównie przerażenie.

- Musisz zdecydować, co teraz zrobisz. - Starał się wyrazić jak największe współczucie. - Współpracujesz ze mną albo... - wzruszył ramionami - mogę ci przekazać trochę pieniędzy,

których nie da się wyśledzić. To ci pomoże pozostać w ukryciu.

- Drań. - Wytarła oczy i spojrzała na siebie. Czerwony sweter miał duże mokre plamy, nogawki spodni upačkane były niebieską pianą, a kolana przetarły się i pobrudziły, gdy pełzła w tunelu technicznym. - Zawsze sobie gdzieś chodził - powiedziała spokojnie bez emocji.

- Inigo?

- Tak. Nie pierwszy raz wziął sobie urlop, a Żywy Sen musiał ukrywać jego nieobecność. Ale poprzednio nigdy nie trwało to tak długo. Najwyżej rok.

- Rozumiem. Dokąd się wybrał?

- Na Anagaskę.

- Na tej planecie się urodził.

- Tak.

- Świat Zewnętrzny. Jeden z pierwszych. Pod każdym względem Awangard - powiedział znacząco.

- Nie będę się z tobą spierać.

- Czy kiedyś cię tam zabrał?

- Nie. Mówił, że odwiedza rodzinę. Nie wiem, czy to prawda.

Aaron sprawdził w archiwach informacje na temat rodziny Iniga. Niewiele ich było. Rodzina nie szukała rozgłosu, zwłaszcza gdy Inigo założył Żywy Sen.

- Jego matka przeniosła się do środka dawno temu. Załadowała się do ZAN w 3440 roku, gdy stała się...

- Elewatką, wiem.

Nie rozumiał tego. To w zasadzie niemożliwe, żeby ktoś, kto przekształcał się w Elewata, nie zostawił żadnych zapisów.

- Nie ma żadnych informacji o braciach czy siostrach - stwierdził. Corrie-Lyn zamknęła oczy i długo wypuszczała powietrze z płuc. - Jego matka miała siostrę bliźniaczkę. Coś się zdarzyło... nie wiem co, ale dawno temu był jakiś wypadek. Inigo robił do tego aluzje. Siostry przeżyły wielką traumę. Oddaliły się od siebie i nigdy się nie pogodziły.

- W archiwach nic o tym nie ma, nie wiedziałem nawet, że on miał ciotkę.

- Teraz wiesz. Co robimy?

- Lecimy na Anagaskę. Spróbujemy znaleźć ciotkę i jej dzieci.
- Jak się tam dostać?
- Podejrzewam, że policja będzie obserwowała kosmoporty i wormhole.
- Po pewnym czasie zarządzą obserwację. Ale mam własny statek. - Zamilkł zdziwiony, gdy informacja o statku wyłoniła się w jego umyśle z głębokiej pamięci.
- Naprawdę? - Corrie-Lyn szczerze się zdziwiła.
- Chyba tak.
- Słodki Ozzie. Ale ty jesteś dziwny.

Siedemnaście minut później kapsuła osiadła przy lądowisku w kosmoporcie Riasi. Aaron wraz z Corrie-Lyn wysiedli i spojrzeli w górę na chromowofioletowy ovoid stojący na pięciu bulwiastych nogach.

- Sprawia wrażenie kosztownego cacka. - Gwizdnęła z podziwem. - Naprawdę jest twój?
- Tak.
- Dziwna nazwa. - Weszła pod zakrzywione podbrzusze kadłuba. - Do czego się odnosi?
- Nie mam pojęcia.

U-adiunkt Aarona otworzył link do smartkoru „Sprytnego Kombinatora”, potwierdzając tożsamość Aarona: zweryfikowano jego DNA oraz kod, który Aaron sobie nagle przypomniał. Jądro potwierdziło jego uprawnienia dowódcze.

- Trzymaj się. - Aaron schwycił Corrie-Lyn z rękę. U podstawy statku pojawiło się wklęsnięcie, które przekształciło się w ciemną rurę. Ciężenie wokół nich zmieniło się i zostali wessani w otwór.

Sholapur to jedna z tych planet wspólnoty, które niezbyt się udały. Wszystkie czynniki sprzyjały sukcesowi i normalności: standardowa i odpowiednia dla człowieka biosfera, gwiazda typu G, oceany, wielkie kontynenty ze wspaniałymi krajobrazami - pustynie, góry, równiny, dżungle i rozległe lasy liściaste, ładne wybrzeża i długie, kręte archipelagi wysp. Wśród miejscowej

flory znajdowało się kilka jadalnych gatunków, a dzikie zwierzęta nie były aż tak dzikie, by stanowić poważne zagrożenie. Ruchy tektoniczne były łagodne. Dwa małe bliźniacze księżycy obiegały planetę po orbitach o promieniu siedmiuset tysięcy kilometrów, a powodowane przez nie przypiływy i fale mogły zadowolić entuzjastów sportów wodnych.

Pod względem fizycznym wszystko było w porządku. Chodziło tylko o ludzi.

Osadnictwo zaczęło się w roku 3120, w tym samym roku, gdy ZAN stał się oficjalnym rządem na Ziemi. Ze Światów Centralnych wypłoszeni zostali malkontenci polityczni, kulturalni i religijni. Największa maszyna, jaką kiedykolwiek zbudowano przejmowała władzę, kultura Elewatów zdobyła teraz dominującą pozycję i wyglądało na to, że już jej nigdy nie odda. Miliony ludzi wyjeżdżały i osiedlały się na dalekich Światach Zewnętrznych. Sholapur, oddalona od Ziemi 470 lat świetlnych, przyciągała tych, którzy szukali dalekiej przystani. Początkowo wszystko szło gładko. Imigranci byli doświadczonymi profesjonalistami. Rozwijano inwestycje, rosły miasta i ośrodki przemysłowe, zakładano farmy. Grupy przybyłe ze Światów Centralnych kontestowały kulturę Elewatów. Ale nie tylko. Miały tendencję do izolacji i wykazywały nietolerancję w stosunku do innych idei i stylów życia. Drobne lokalne spory narastały, obejmowały całe wspólnoty etniczne i ideologiczne. Zwiększała się migracja wewnętrzna, obszary zurbanizowane przekształcały się w miniaturowe miasta-państwa, a każde z nich ustanawiało odrębne prawa i wyznania. Współpraca między nimi prawie nie istniała. W 3180 roku, gdy kolejna debata senatorów skończyła się aktami osobistej przemocy, „zawieszono” działanie parlamentu planetarnego. Wtedy mniej więcej skończył się rozwój kulturalny i ekonomiczny Sholapuru. Reszta Wspólnoty uznała planetę za hermetyczną. Nawet Światy Zewnętrzne, szczerze wspierające niezależność, traktowały ją jak kłopotliwego wyrzutka. Najbliższe zaludnione światy nazywały ją Planetą Narwańców i prawie nie utrzymywały z nią kontaktu. Mimo to statki nadal tam latały. Na tej planecie niektóre małe

narody miały system prawny - albo brak prawa - sprzyjający nietypowym wymianom handlowym.

Pięć tysięcy kilometrów nad powierzchnią planety z hiperprzestrzeni wypadł statek „Odkupienie Mellanii” w poświacie zapadającego się pęcherza fiołkowego promieniowania Czerenkowa. Planeta nie miała centralnej kontroli ruchu kosmicznego, więc Troblum wysłał prośbę o zezwolenie na lądowanie do Ikeo City i uzyskał zgodę.

„Odkupienie Mellanii” to trzydziestometrowy smukły stożkowaty statek z wywiniętymi do przodu brzechwami ogonowymi, które nadawały mu funkcjonalny aerodynamiczny wygląd. W rzeczywistości były jednak chłodnicami; zamontowano je dodatkowo jako niezbędny element podrasowanego napędu. Kabina w centrum miała kształt owalnego pomieszczenia, wokół którego rozmieszczono dziesięć boksów sypialnych i łazienkę. Nie budowano większych statków z hipernapędem, nie opłacało się. Firmy przewozowe wynajmowały je niemal wyłącznie bogatym klientom, gotowym zapłacić za szybki transport. Większość statków wykorzystywała ciągły napęd wormholowy - poruszały się wolniej, ale mogły być bardzo duże i obsługiwały znaczną część handlu między Światami Zewnętrznymi. „Odkupienie Mellanii” pierwotnie skonstruowano jako statek specjalistyczny do priorytetowych przewozów - pasażerskich i towarowych - między Światami Zewnętrznymi. Na ogół było to przedsięwzięcie ryzykowne. Firma, która zleciła jego budowę, przechodziła cykle wzlotów i upadków, aż w końcu Troblum postanowił nabyć tę nietrafioną inwestycję. Twierdził, że statek zostanie przebudowany na wielki prywatny jacht. Kłamstewko. Najważniejsze dla niego były trzy obszerne ładownie, których pojemność idealnie nadawała się do transportu sprzętu, mającego odtworzyć „jednorazowy” wormhol anominów. Marius zaakceptował zakup. Na rachunku Trobluma pojawiły się dodatkowe AEM. Statek miał pozostać na Arevalo do czasu, aż projekt Trobluma osiągnie etap testowy, niezbędny - według niego - do transakcji, w jakie był zaangażowany. Dodatek pola maskującego o parametrach

militarnych miał wielkie zalety. Przyda się, gdyby statek musiał wymknąć się z Arevalo, tak by Marius nie domyślił się, że dzieje się coś niestosownego.

„City” - to przesadne określenie. Ikeo zajmowało siedemdziesięcikilometrowy pas poszarpanego tropikalnego wybrzeża, pośrodku leżało miasteczko, a po obu jego stronach na szczycie klifu rozłożyły się rezydencje. Prowincja hołdowała zasadzie wolnego handlu. Kilka osób specjalizowało się w odzyskiwaniu artefaktów. Mieszkańcy finansowali policję, którą biedniejsze państwa sąsiednie nazywały strategicznym systemem obronnym.

„Odkupienie Mellanii” opuszczał się w ognisko kilku naziemnych czujników śledzących. Osiadł na stanowisku 23 w miejskim kosmoporcie - trawiastym kole o promieniu dwóch kilometrów, gdzie rozmieszczono dwadzieścia cztery betonowe lądowiska, kilka czarnych kopulastych hangarów oraz magazyny należące do firmy serwisującej statki wewnątrzukładowe. Po lądowaniu żadnych formalności nie wymagano. W pobliże statku podleciała kapsuła. Troblum zszedł po krótkich schodach, sapiąc ciężko, gdyż po otwarciu śluzy zaatakowały go upał i wilgoć.

Kapsuła zawiozła go kilkanaście kilometrów za miasto na szczyt niskiego klifu do willi w stylu romańskim. Trzy skrzydła parterowej budowli otaczały wyrafinowany basen i patio z girlandami barwnych kwiatów. Z wielkich, przemyślnie ustawionych głazów spadały do basenu wodospady. Gdy się spojrzało w dół, miało się wspaniały widok na białą plażę i na wąską łódź ślizgową cumującą tuż przy brzegu.

Przy basenowym barze czekał na Trobluma Krępus Florac. Nikt by go nie nazwał „Krępus” w jego obecności. Florac miał kompleks na punkcie swojego wzrostu. I to tak duży, że nie pozwolił się podwyższyć podczas rejuwenacji, bo to by było równoczesnym przyznaniem się, że jest o głowę niższy od większości dorosłych i tak mu to przeszkadza, że postanowił coś z tym zrobić. Miał na sobie szorty do kolan oraz prostą jasnoniebieską, rozpiętą koszulę, odsłaniającą owłosiony tors i brzuch, który nabierał krągłości. Na widok Trobluma uśmiechnął

się szeroko i zsunął na czoło wielkie okulary słoneczne. Linia włosów zaczynała się u niego znacznie wyżej, a włosy były rzadsze, niż się to widywało u innych obywateli Światów Zewnętrznych.

- Hej! Stary! - krzyknął Florac i rozłożył ramiona. - Byłeś na diecie czy co? - Zaśmiał się głośno z własnego dowcipu. Wtórowały mu towarzyski.

W pobliżu basenu było ich siedem. Wylegiwały się na leżakach albo siedziały przy stole przy płytkim końcu basenu, popijając drinki, głównie owoce z lodem. Troblum zawsze czuł się nieswojo w obecności dziewczyn z willi Krępusa. Nie były klonami, ale miały standardowe parametry. Przed wszystkim były znacznie wyższe od swego szefa, a dwie z nich wyższe nawet od Trobluma. Oczywiście były piękne, o długich jedwabistych włosach i ciałach elastycznych jak u starożytnych lekkoatletek. Nosiły obcisłe bikini. Tutaj przebierać się do obiadu oznaczało włożyć szorty i sandały. Troblum przeskanował je polem niskiego poziomu: miały wzbogacenia obejmujące kilka zaawansowanych technicznie broni, a połowa rzeźbionej muskulatury pod jędrną skórą to oplot polem siłowym. Gdyby napadły na Trobluma, prawdopodobnie zdobyłyby przewagę nad jego bionicznymi systemami obronnymi. Pół lafiryndy, pół asystentki dyrektora. Troblum rozumiał, jakie wrażenie ma wywoływać ta cała stajnia, ale nie rozumiał, po co. Krępusowi doskwierało chyba coś znacznie poważniejszego niż własny wzrost.

Troblum podniósł ramiona i znoszony togatur zmarszczył się na jego wielkim ciełe.

- Czyżbym się zmniejszył?

- No, daj spokój. Zgrywam się. Upoważnia mnie do tego to, co mam ci do zaoferowania.

- Co jakoby masz do zaoferowania.

- Stary, ranisz mi serce, ale jak chcesz mnie dobić, musisz dźgać mocniej. Jak się masz? Wieki cię nie widziałem. - Krępusowi udało się objąć niemal jedną trzecią Trobluma. Uścisnął go jak ojca po długiej rozłące.

- To prawda - przyznał Troblum.

- Ciągłe masz swój statek. Piękny statek. Wy, Elewaci, wiecie, jak dobrze żyć.

Troblum spojrzął z góry na głowę Krępusa.

- Więc dołącz do nas.

- Haha! Nie jestem jeszcze gotowy. Jasne? Stary, to nie jest śmieszne. Musiałbym z dziesięć lat wymazywać złe wspomnienia, zanim by mi pozwolili wejść do Światów Centralnych. Chcesz drinka? Może kanapki? Alcinda wie, jak się obchodzić z modułem kulinarnym. - Opuścił głowę i mrugnął porozumiewawczo. - Nie tylko z tym umie się obchodzić.

Troblum próbował opanować wyraz konsternacji.

- Poproszę o piwo.

- Oczywiście, oczywiście. - Florac wskazał krzesła przy stole. Usiedli, a jedna z dziewcząt przyniosła duży kufel lekkiego piwa.

- Hej, Somonie, przynieś tamto mojemu kumplowi, dobrze?

Dziewczyna w jaskraworóżowym bikini skinęła głową i weszła do domu.

- Gdzie to znalazłeś? - spytał Troblum.

- Mam kontakty. A co? Jak mnie modernizowali, zapomnieli mi wstawić mózg i nikt mnie o tym nie poinformował? Jak ci powiem o swoich ludziach, to co mi zostanie w tym wszechświecie?

- Wystarczająco dużo.

- Wiesz, że mam sieć w cywilizowanej Wspólnocie. Dziś jeden facet, jutro drugi. Kto wie, gdzie wypłynie gównno. Gdybyś chciał mnie dźgnąć w plecy, musiałbyś najpierw zbudować własną sieć.

- Już to zrobiłem.

Florac mrugnął, przyjacielski uśmiech znikł z jego twarzy.

- Zrobiłeś?

- Jasne. Setki takich facetów jak ty.

- Zabijasz mnie, wiesz? - Zaśmiał się zbyt głośno i wzniosł szklankę. - Takich jak ja? Wolne żarty!

- Chodzi mi o to, z jakiej planety zostało to odzyskane? Przeszukałem archiwa, które potwierdziły, że Vic Russell przekazał to do Wydziału Poważnych Przestępstw, gdy wrócił z

ewakuacji Boongate. Wtedy było to przestarzałe. WPP by się tego pozbył.

- Nic o tym nie wiem. - Florac wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że w tamtych czasach też znaleźli się tacy ludzie jak ty czy ja.

Troblum tego nie skomentował. Odzyskiwacz miał chyba rację. Mimo wad osobowości, mimo obrzydliwego stylu życia, zawsze dostarczał autentycznych obiektów. Wiele artefaktów z muzeum Trobluma pochodziło od Floraca.

Somnie wróciła, niosąc długą skrzynię. Była ciężka, na ramionach dziewczyny wybrzuszyły się mięśnie. Postawiła skrzynię na stole przed mężczyznami.

- Zanim przejdziemy dalej... mam kod seryjny WPP - powiedział Troblum. - Autentyczny. A więc. Ciągłe chcesz otworzyć skrzynię?

- Stary, w dupie mam te twoje kody. To jest prawdziwe. I posłuchaj, nie jesteś jedynym dupkiem we Wspólnocie, który się spuszcza przy tym gównie. Zgłosiłem się najpierw do ciebie, bo uważałem, że między nami jest przyjaźń. Chcesz ze mną walczyć, chcesz nasrać na moją reputację, to wiesz co, grubasie, możesz się zwijać do swojego statku i spierdalać z tej planety. Z mojej cholernej planety.

- Zobaczmy to - powiedział Troblum. - Bardzo bym nie chciał stracić twojej przyjaźni. - Nie zależało mu na Krępusie Floracu, były dziesiątki takich odzyskiwaczy jak on. Ale zainteresowało go to, co powiedział.

Troblum nie przypuszczał, że istnieją inni kolekcjonerzy poza muzeami. Zastanawiał się, czy dałoby się ich namówić do sprzedaży. Może Florac by się dowiedział?

U-adiunkt Floraca przekazał klucz do skrzyni, która się otworzyła. Wewnątrz leżała antyczna jonowa strzelba. Wokół niej lekko migotała warstwa ochronna, ale Troblum wyraźnie widział metrową lufę zakończoną pękatym, czarnym metalowym uchwytem, który miał kilka punktów zaczepienia i otwarte gniazdko indukcyjne na dole.

- No, tak. - Krępus lekko się skrzywił, co można by uznać niemal za wyraz zakłopotania. - Brakuje drugiego kawałka. Oczywiście.

Ale chrzanić to, to jest wylot, co nie? To najważniejsze.

- Nie ma „drugiego kawałka” - wyjaśnił Troblum. - Bo zgodnie z konstrukcją miał jej używać ktoś w pancernym skafandrze. Przyczepia się ją do przedramienia.

- Nie bujasz?

Zachowanie spokoju wiele Trobluma kosztowało. Broń wyglądała na autentyk.

- Czy mógłbyś wyłączyć pole?

Migotanie ustało. Funkcja polowa Trobluma omiotła antyczną strzelbę. Głęboko w obudowie lufy znajdował się łańcuch specyficznym ułożonych cząsteczek, tworzących unikalny kod. Troblum zlizął pot z górnej wargi.

- Jest prawdziwa - oznajmił chropawym głosem.

- No! - Krępus triumfalnie klasnął w dłonie. - Czy ja cię kiedyś zawiodłem?

Troblum nie mógł oderwać oczu od strzelby.

- Tylko sobą. Chcesz, żebym zapłacił teraz?

- Stary, właśnie dlatego cię kocham. Tak. Tak, proszę. Bardzo bym chciał dostać forszę teraz.

Troblum polecił swojemu u-adiunktowi, by przelał fundusze.

- Zostaniesz na obiedzie? - spytał Krępus. - Może zabawisz się z którąś z dziewcząt?

- Przywróć pole ochronne. Wilgoć jest szkodliwa.

- Oczywiście. Więc jak, którą chcesz?

- Nie zdajesz sobie sprawy, jaki to ważny eksponat?

- Wiem, stary, że ma dużą wartość, i to się liczy. To że jakiś policjant zastrzelił z niej jakiegoś obcego tysiąc lat temu zupełnie mnie nie rusza.

- Vic Russell pracował z Paulą Myo. A wiem, że o niej słyszałeś.

- Jasne, stary, ta planeta to żywy koszmar. Nie wiedziałem, że Myo też była tu w tamtych czasach.

- Tak, była tu nawet przed wojną Gwiazdokrążcy. I Vic nie zastrzelił obcego, ale Tarła, kolegę z WPP, który został skorumpowany przez Gwiazdokrążcę i zdradził Vica i jego żonę. Tarło był prawdopodobnie jednym z najważniejszych agentów Gwiazdokrążcy.

- Ozzie, teraz rozumiem: został zabity z tej strzelby. To łączy się z tobą.

- W jakimś sensie.

- Więc również jesteś zainteresowany autentycznymi przedmiotami obcych?

- Wszystkim, co ma związek ze spuścizną Gwiazdokrażcy. A co, znalazłeś jakiś inny fragment ich statku?

Krepus pokręcił głową.

- Niestety, stary. Ale moja sąsiadka specjalizuje się w dziwnych obcych technologiach i innych ciekawych kawałkach. Wiesz, te dziwne próbki zebrane podczas misji zwiadowczych. Informacje nie przedostały się do unisfery, a ZAN i flota zachowały je w tajemnicy. Jeśli chcesz, mogę cię z nią skontaktować, mam kod do jej unisfery. Kobieta jest bardzo dyskretna. Ręczę za nią.

- Powiedz jej, że gdyby się natknęła na jakiś relikwiarz anominów, chętnie pogadam - odparł, ale wiedział, że kobieta nic takiego nie znajdzie. - Poza tym nic innego mnie nie interesuje.

- Dobra, tak na wszelki wypadek.

Troblum wstał, zadowolony, że jego biononika nie musiała generować pola wzmacniającego mięśnie. Ale na tej planecie ciężenie wynosiło tylko osiemdziesiąt procent standardowego.

- Czy mógłbyś wezwać dla mnie swoją kapsułę?

- Jasne. Pieniądze przysły. Stary, między innymi dlatego tak cię lubię, że nie zawracamy sobie dupy gadaniem o niczym.

- Właśnie. - Troblum podniósł skrzynię, w której utrzymywało się stabilne środowisko. Była ciężka. Czuł, jak kropelki potu występują mu na czoło i na plecy, gdy przewieszał ją sobie przez zgięte ramię. Czy Krepus nigdy nie słyszał o regrabie?

- Słuchaj, stary, jesteś jedynym Elewata, jakiego znam, więc chciałbym cię o coś spytać. Co ZAN sądzi o tej całej Pielgrzymce? Czy to jakaś główniana sprawa czy może Pustka wszystkich nas rozpieprzy?

- ZAN:Władze ogłosiły jasne oświadczenie w unisferze. Pielgrzymka to godne pożałowania przedsięwzięcie, ale ZAN nie sądzi, by działania Żywego Snu stanowiły bezpośrednio

zagrożenie dla Wielkiej Wspólnoty.

- Zapoznałem się z tym, oczywiście. Aaa tam, zwykłe rządowe trucie. Ale... co ty o tym myślisz, stary? Czy mam załadować swój statek i uciekać?

- A w zasadzie dokąd? Jeśli frakcja antypielgrzymkowa ma rację, to los całej galaktyki jest przesądzony.

- Kawał z ciebie zgrywusa, co nie? Daj spokój, stary, mów otwarcie. Mamy przesrane?

- Moje kontakty w ZAN nie obejmują się tym, więc ja się też nie przejmuję.

Przez chwilę Krępus poważnie się nad tym zastanawiał, po czym znów stał się irytująco radosny.

- Dzięki, stary. Masz u mnie dług wdzięczności.

- Nie ma za co. Ale jeśli będzie okazja, żeby go odebrać, to się zgłoszę.

Wracając kapsułą do swojego statku, Troblum myślał o rozmowie z Krępusem. Może postąpił nierozsądnie, przyznając się do kontaktów wewnątrz ZAN, ale wspomniał o tym bardzo ogólnikowo. Ponadto nie sądził, żeby Krępus był agentem pracującym dla przeciwników Mariusa. Tych, prawdę mówiąc, nie brakowało. Oczywiście Gwiazdokrażca miał agentów znacznie dziwniejszych niż Krępus. Ale jeśli Krępus był agentem jakiejś frakcji ZAN, to w tej grze wszystkie karty zostały rozdane, a o ile Troblum się orientował, sprawa Pielgrzymki zostanie rozwiązana raczej wcześniej niż później. Pokręcił głową i przesunął nieco skrzynię. Interesująca hipoteza. To ciekawa teoria, ale chyba zbyt głęboko analizując zachowanie Krępusa. Paranoja ma swoje zalety, ale wolałby nie donosić Mariusowi o swoich podejrzeniach. Najprawdopodobniej Krępus wyrażał prawdziwy niepokój zrodzony z ignorancji i obiegowych uprzedzeń. W to już znacznie łatwiej uwierzyć.

Kapsuła wróciła do „Odkupienia Mellanii”. Troblum ostrożnie przeniósł skrzynię do statku. Miał ochotę jeszcze raz ją otworzyć i obejrzeć zawartość, ale bez sprawdzania włożył ją do swojej kabiny sypialnej i odleciał na Arevalo.

Araminta zorientowała się, że nastąpiła awaria, gdy z ramienia zasilającego robota posypał się snop iskier, tuż nad przegubowym wielogniazdkiem, do którego podłączało się narzędzia. Klęczała wtedy obok drzwi prowadzących na mały balkon, próbując rozebrać zacinający się siłownik. Jednostki nie serwisowano przynajmniej od dekady. Gdy otworzyła obudowę, przekonała się, że wszystkie części pokrywa warstwa brudu. Skrzywiła się zaniepokojona i wzięła mały wielofunkcyjny zestaw narzędziowy, który kupiła w Nieskończonych Systemach Askahara, firmie handlującej wyposażeniem budowlanym z odzysku. U-adiunkt Araminty pobrał instrukcje z pamięci zestawu i przefiltrował je przez klastry makrokomórkowe do jej mózgu. Miało to jakoby dać jej intuicyjne umiejętności korzystania z tych małych wihajstrów, ale nie zdołała się nawet zorientować, który z nich potrafiłby oczyścić urządzenie z tej całej mazi. Przybory nadawały się do usuwania z delikatnych systemów lekkiej warstewki kurzu, a nie góry łąjna.

Gdy dokładnie przeglądała serwowmotor, przemknął przez niego jasny błysk. Odwróciła się i zdążyła zobaczyć, jak ostatnia kaskada iskier spada na stos płacht impregnatu złożonych w rogu salonu. W górę wznosiły się już smugi dymu. Robot zatrząsł się i stanął, cały dolny segment jego ramienia mocy pociemniał, a dziobata srebrzysta obudowa szybko pociemniała od gorąca.

- Matko Ozziego! - krzyknęła Araminta.

Rzuciła się do płacht i depcząc po nich, próbowała ugasić ogniska żaru. Jej u-adiunkt w ogóle nie mógł uzyskać dostępu do robota, urządzenie było zupełnie martwe, a w powietrzu unosił się zapach gorącego oleju. Inny robot przyniósł gaśnicę z kuchni. Psikał niebieską pianką na ramię zepsutego robota. Araminta jęczała, widząc, jak bulgocząca substancja spada na podłogę i wsiąka w deski. Wracała moda na drewno, dlatego Araminta zamówiła roboty, które miały gruntownie wycyklinować oryginalną starą podłogę. Potem zamierzała położyć impregnat, skończyć prace budowlane i pomalować deski lakierem, przywracając falisty złoto różowy deseń charakterystyczny dla

miejscowego drewna mrówkowego.

Poskrobała paznokciem wilgotną plamę. Nie było tak źle. Inny robot musi tylko głębiej zeszlifować deski. W mieszkaniu rozmaite prace wykonywało pięć uniwersalnych maszyn, wszystkie z drugiej czy trzeciej ręki. Również je kupiła w Nieskończonych Systemach Askahara. Kiedy bezpośrednio niebezpieczeństwo pożaru zostało zażegnane, zadzwoniła do Burta Reinika, właściciela Nieskończonych Systemów.

- Nic nie mogę zrobić - wyjaśnił jej, gdy zreferowała mu sprawę.

- Kupiłam je przecież zaledwie dwa dni temu!

- Tak, ale dlaczego je pani kupiła?

- Co takiego? Pan je polecał.

- Tak, Candel 8083. Ma moc, na jakiej pani zależało. Do ciężkich prac. Ale przyszła pani do mnie, a nie do autoryzowanego dilerza.

- O czym pan mówi? Nie mogłam sobie pozwolić na nowy egzemplarz. Księgi wyceny z unisfery twierdziły, że sprzęt jest niezawodny.

- Właśnie. Dlatego sprzedaję dużo naprawionych urządzeń. To, co pani kupiła, miało dziesięcioletnią gwarancję, która wygasła ponad dziesięć lat temu. Z całą życzliwością wszechświata Ozziego mówię pani, że dostaje pani to, za co pani płaci. Mam w magazynie nowsze egzemplarze, jeśli potrzebna jest wymiana.

Araminta żałowała, że nie może przesłać konia trojańskiego do pakietu sensorium przez filtry jego u-adiunkta, żeby facet poczuł ból, jakby dostał pięścią w nos.

- Czy uwzględni pan częściową wymianę?

- Mogę zaproponować zwrot za odzyskane części, ale muszę sprowadzić robota do warsztatu, żeby zobaczyć, co z niego zostało. Mógłbym wpaść... w połowie przyszłego tygodnia, ale pobiorę opłatę za dojazd.

- Na Ozziego, sprzedał mi pan złom.

- Sprzedałem to, co pani chciała. Proszę posłuchać, w geście dobrej woli proponuję zwrot za niektóre części. Prowadzę interes i zależy mi na klientach.

- Tego pan właśnie stracił. - Zakończyła rozmowę i poleciła swojemu u-adiunktowi, żeby nigdy nie przyjmował połączenia

od Burta Renika. - Niech to jasna cholera!

U-adiunkt szybko przejrzał jej harmonogram i dodał trzy dni do planowanego terminu ukończenia prac. Przy założeniu, że Araminta nie kupi zamiennego egzemplarza 8038. To słuszne założenie. Preliminarza się zmienił. Nie przekroczyła nadmiernie budżetu, ale usunięcie starych elementów wystroju i niemodnych dekoracji trwało dłużej, niż początkowo przewidywała.

Usiadła na podłodze i z wściekłością patrzyła na popsutego robota. Nie będę płakać. Nie chcę być aż tak żałosna.

Jednak strata 8038 była ciosem. Araminta liczyła tylko na to, że reszta robotów wytrzyma. U-adiunkt przeprowadzał diagnostykę sprzętu, a Araminta próbowała wymontować tarczę ścierną z zaklejonego pianą wielogniazdka robota 8038. Końcówki były drogie i, w odróżnieniu od samego robota, fabrycznie nowe. Nastroju nie poprawiał obecny stan mieszkania.

Pracowała pięć dni, zdzierając wszystko do gołych ścian i patrosząc mieszkanie z przestarzałego wyposażenia. Wyglądało okropnie. Pokrywająca wszystko warstwa kurzu i trocin jeszcze pogłębiała wrażenie ruiny. A na dokładkę w pustych pomieszczeniach rozlegało się upiorne echo. Dziś planowała wszystko uprzątnąć i zacząć odnawianie. To na pewno przywróci jej entuzjazm. W ostatnim tygodniu często wpadała w panikę. Jak mogła tak głupio postawić wszystko na to stare paskudne mieszkanie?

Tarcza ścierna oddzieliła się. Bezpośrednio sterowane przez jej u-adiunkta, dwa pozostałe roboty wyniosły swego popsutego kolegę z mieszkania i wrzuciły go do stojącego przed domem komercyjnego kontenera na odpady techniczne. Włokły robota po schodach, a Araminta krzywiła się za każdym razem, gdy słyszała stukot. Ale ponieważ w domu nie było teraz innych lokatorów, nikt się nie dowie, skąd się wzięły wgniecenia na stopniach.

Zamontowała tarczę ścierną do innego robota - marki Braklet 34B, który miał tylko osiem lat - i wróciła do serwomotoru. Jeśli zacznę jęczeć przy tym popsutym robocie, skończy się na użalaniu się nad sobą. I nici z pracy. Nie mogła sobie na to

pozwolić.

Najprościej będzie rozebrać siłownik i ręcznie usunąć brud. Potem użyje specjalistycznych narzędzi, by przywrócić układom wymagane standardy. W innej większej skrzynce narzędziowej miała zestaw kluczy silnikowych. Zabrała się do pracy z większą determinacją niż wskazywałyby na to jej nastrój niewspomagany aerozolami.

Pracowała, a jej u-adiunkt przeglądał wiadomości lokalne i międzygwiazdne, robił streszczenia interesujących ją tematów i przekazywał jej to w postaci spokojnej neuronalnej mżawki. Gdy kupiła to mieszkanie, zrezygnowała z codziennego przeglądu miejskich ogłoszeń o nieruchomościach. Zbyt by ją to rozpraszało, zwłaszcza gdyby na rynku pojawiło się coś rzeczywiście atrakcyjnego. Teraz chichotała, mając w widzeniu obwodowym syna jednego z radnych; oskarżono go o przekręty w handlu gruntami. Mówiło się, że śledczy osaczają tatusia, który zasiadał w komisji do spraw zagospodarowania przestrzennego. Wczoraj wieczorem aresztowano Debbie, pierworodną córkę bilionera Sheldonit'e Likana, za lubieżne zachowanie w miejscu publicznym. Pokazywano, jak dziś rano potargana wychodzi ze śródmiejskiej komendy policji w Cowlyn w otoczeniu prawników. Nadal miała na sobie czarną sukienkę zrobioną sprejem - strój z poprzedniego wieczora. Hansel Industries, jedna ze stu największych firm na Ellezelinie, planowała zbudowanie parku przemysłowego na obrzeżach Cowlyn. Zademonstrowano szczegóły projektu wraz z prognozą ekonomiczną. Araminta nie mogła się powstrzymać i musiała spojrzeć na przewidywane zmiany w cenie nieruchomości.

W polityce międzygwiazdnej jedynym wydarzeniem był złożony w nowym senacie wniosek senatora Mariana Kantila, reprezentującego Ziemię, żeby Żywy Sen zaprzestał lekkomyślnych działań związanych z Pielgrzymką. Senator z Ellezelinu w akcie protestu wyszedł z sali. W jego ślad poszli senatorowie z Tari, Idlib, Lirno, Quhood i Agry - planet Strefy Wolnego Handlu. Araminty nie zdziwił fakt, że senator z Viotii powstrzymał się od głosu; również inni z siedmiu Światów

Zewnętrznych, leżących na obrzeżu Strefy, mieli wśród ludności znaczny odsetek wyznawców Żywego Snu. W sprawozdaniu pokazywano potężne stocznie na obrzeżach Wielkiego Makkathranu, gdzie zamierzano budować statki dla pielgrzymów. Araminta przestała czyścić siłownik, by popatrzeć na armadę miejskich maszyn budowlanych, które wyrównywały czterdzieści kilometrów kwadratowych wiejskiego terenu pod betonową powłokę. Pierwszy zastęp maszyn omiatał teren dyspergatorem, wgryzał się we wzgórza i skarpy, rozdrabniał wszelkie obiekty wystające ponad pożądany poziom gruntu. Powstawały pagórki sproszkowanej gleby i piasku, które potem podniesione przez moduły regrawowe, były formowane przez pole siłowe w grube solidne strumienie, biegnące po trajektorii w powietrzu, a potem opadały do ładowni pojemnych barek, unoszących się przy brzegu małej zatoki, przy której leżała stocznia. Później wkraczała tyraliera zasadniczych maszyn budowlanych: wbijały w podłoże głębokie pale, które miały podtrzymywać ciężkie kołyski statków kosmicznych. Flota Pielgrzymki miała się składać z około dwunastu walcowatych statków o długości półtora kilometra i miała przetransportować dwa miliony pielgrzymów w stazie. Żywy Sen już określał ich jako „pierwszą falę”.

Araminta pokręciła głową z lekkim niedowierzaniem, że jest aż tak wielu głupich ludzi. Przełączyła się na lokalne wiadomości biznesowe i kronikę towarzyską.

Dwie godziny później przybyła Cressida. Zmarszczyła brwi, widząc jak jej błyszczące skórzane czółenka wysadzone diamentami robią ślady w grubej warstwie brudu na podłodze. Futrzasta sukienka z kaszmiru ciasno owinęła się wokół niej, żeby chronić skórę przed kurzem. Cressida zakryła usta dłonią, złoto fioletowe wzory na paznokciach przelewały się ospałym ruchem.

Araminta uśmiechnęła się niepewnie do kuzynki. Stała przed nią zażenowana; miała na sobie brudny kombinezon, ręce umazane czarnym smarem, a włosy związane i upchnięte pod czapką.

- W twoim kontenerze jest martwy robot - powiedziała Cressida. Wyraźnie ją to irytowało.

- Wiem - westchnęła Araminta. - Tak to jest, gdy się kupuje tanio.

- To twój? - Cressida uniosła brwi. - Chcesz, żebym zadzwoniła do dostawców i kazała go wymienić?

- Kusząca propozycja. Sam Ozzie wie, że jak na mój budżet nie było to aż takie tanie, ale dziękuję, od tej chwili sama będę walczyła o swoje.

- To rodzinne. Głupi upór w każdym calu.

- Dzięki.

- Odwiedziłam cię z dwóch powodów. Po pierwsze, rozejrzeć się. To mam już za sobą. Wyraźnie przyszłam o miesiąc za wcześniej. Po drugie, chcę usłyszeć wszystkie szczegóły czwartkowej nocy. Bardzo wcześniej wyszłaś z tym dość atrakcyjnym chłopakiem. Kochanie, chcę znać naprawdę wszystkie szczegóły.

- Keetcha trudno nazwać chłopakiem.

- Ha! Prawie wiek młodszy ode mnie. Więc powiedz swojej najlepszej kuzynce. Co się stało?

Araminta uśmiechnęła się wstydliwie.

- Dobrze wiesz. Poszliśmy do jego mieszkania. - Wiotką dłonią wskazała zrujnowany korytarz. - Tu go nie mogłam przyprowadzić.

- Doskonale. I?

- I co?

- Co robi? Jest singlem? Jaki jest w łóżku? Ile razy dzwonił? Tęskni i rozpacza? Posłał kwiaty i biżuterię czy okazał się żalonym typem i wolał bombonierkę? W jakim kurorcie spędzacie weekend?

- Nie tak szybko. - Araminta uśmiechnęła się kwaśno.

Keetch bardzo jej odpowiadał w łóżku i od czwartku próbował się do niej kilka razy dodzwonić. Nie zamierzała odpowiadać. Zauroczenie swobodą, skoki z kwiatka na kwiatek, eksperymentowanie, postępowanie zgodnie z własnym wyborem, po prostu dobra zabawa - tylko tego teraz chciała.

Prostego życia bez zobowiązań i więzów. To powinna robić, a nie wychodzić za mąż.

- Keetch jest bardzo miły, ale nie spotkam się z nim więcej. Jestem zbyt zajęta.

- To mi imponuje. Pieprz, a potem spieprzaj. Z pozoru pierwsza naiwna, a za tą fasadą stalowe jądro. Mam rację?

- Tak jakby. - Araminta wzruszyła ramionami.

- Jeśli chciałabyś kiedyś pracować jako prawnik, z chęcią cię wprowadzę. Prawdopodobnie zostałabyś partnerem w kancelarii już za siedemdziesiąt lat, a nawet wcześniej.

- Ojej! A to dopiero kusząca perspektywa!

Cressida opuściła dłoń i roześmiała się.

- No, cóż, próbowałam. Jesteśmy umówione na środę?

- Tak, oczywiście. - Araminta lubiła te babskie wypadki. Cressida знаła chyba wszystkie eleganckie kluby w Cowlyn City i należała tam do częstych gości. - A ty co robiłaś po moim wyjściu? Złowiłaś kogoś?

- W moim wieku? O północy bezpiecznie tuliłam się we własnym łóżku.

- Z kim?

- Nie pamiętam ich imion. Według mnie powinnaś przejść na następny poziom i spróbować orgii. Czasami są fantastyczne, zwłaszcza kiedy masz partnerów, którzy wiedzą dokładnie, co robić.

Araminta zachichotała.

- Nie, dzięki. Chyba nie jestem jeszcze na to gotowa. Już to, co robię, jest dla mnie przygodą.

- Ale jak będziesz gotowa...

- Powiem ci.

Cressida nabrała powietrza i rozkaślała się od kurzu.

- Ozzie, to mieszkanie przywołuje mnóstwo wspomnień z moich wczesnych lat. No, zadzwonię później. Niestety, nie mogę ci pomóc, ale szczerze mówiąc, jestem do dupy z projektowania.

- Chcę to zrobić sama. Zamierzam to zrobić sama.

- Do diabła, zostań partnerem. Za pięćdziesiąt lat. Masz wszelkie predyspozycje.

- Przypominam cię? - spytała Araminta słodko.

- Nie. Uważam, że jesteś, niestety, bystrzejsza. Cześć, kochanie.

Na lunch Araminta zjadła kanapkę podczas lotu kapsułą do sklepów budowlanych. Kapsuła towarowa, podobnie jak roboty, pamiętała lepsze czasy. Zgodnie z księgą pojazdu Araminta była piątym właścicielem w ciągu trzydziestu lat. Sprzedawca zapewniał, że kapsuła była idealnie serwisowana. Nie latała tak prędko jak nowe modele, a jeśli wypełniło się pojemny bagażnik z tyłu, nie osiągała maksymalnej deklarowanej wysokości. Araminta ufała jej jednak bardziej niż robotowi 8038, ponieważ leciwa kapsuła musiała przejść coroczne rygorystyczne testy Agencji Transportowej, a ostatni przeprowadzono dwa miesiące temu.

Kapsuła osiadła przed sklepem Boveya „Łazienki i Kuchnie”, jednym z ośmiu marketów tworzących małe centrum handlowe wokół lądowiska w dzielnicy Groby. W środku Araminta szła szeroką rozgałęzioną alejką z ekspozycjami pomieszczeń po każdej stronie. Łazienki i kuchnie rozmaitej wielkości, różne style i ceny. Te w pobliżu drzwi były bardziej wyszukane. Patrzyła z zazdrością na luksusowe pomieszczenia i marzyła, że kiedyś urządzi apartament, do którego będą pasować takie ekstrawaganckie projekty.

- Czym mogę służyć?

Araminta odwróciła się i zobaczyła mężczyznę w granatowo-kasztanowym sklepowym uniformie. Wiek biologiczny ustalony na późną dwudziestkę. Był dość wysoki, miał ciemną skórę i kontrastujące z nią piaskowe włosy. Rysy regularne, twarz przyjemna, ale nie przesadnie przystojna - według oceny Araminty. Jasnoszare oczy zdradzały poczucie humoru. Gdyby się spotkali w klubie, na pewno dałaby się zaprosić na drinka, a może nawet pierwsza postawiłaby mu kolejkę.

- Szukam kuchni i łazienki. Muszą wyglądać pierwszorzędnie, ale prawie nic nie kosztować.

- Ach, teraz rozumiem. Wskażę pani. Nazywam się Bovey. Połechtano ją to, że pofatygował się do niej sam właściciel i chciał jej pomóc.

- Miło mi pana poznać. Jestem Araminta.

Uprzejmie uścisnął jej dłoń. Pomyślała, że mężczyzna rozważa, czy nie cmoknąć jej platonicznie na przywitaniu. Żałowała, że nie ma połączenia z gajaserą - to umożliwiłoby ocenę jego emocji, o ile facet by je nadawał. Ale jako właściciel sklepu i profesjonalista na pewno ich nie nadaje. Cholera. Daj spokój, dziewczyno.

- Czy mogłaby mi pani podać wymiary, żebym się zastanowił? - spytał. Spojrzała na niego zuchwale, ale zaraz zrobiła poważną minę. Może nie było to dwuznaczne? Ale z pewnością tak zabrzmiało.

- Proszę bardzo. - Jej u-adiunkt przekazywał rozrysowany projekt. - Byłabym wdzięczna za poradę w kwestii ceny. Pierwszy raz restauruję mieszkanie i nie chciałabym, żeby to był ostatni raz.

- Aha. - Spojrzał na jej dłonie, nadal ze śladami smaru, który wżarł się w skórę. - Szef i siła robocza w jednym. Doskonale to rozumiem.

- Niestety, uszczuplona siła robocza. Wybuchł jeden z moich robotów. Już nie mogę sobie pozwolić na kosztowne błędy.

- Rozumiem. - Zamilkł na chwilę. - Chyba nie kupiła go pani u Burta Renika?

- Owszem - odpowiedziała ostrożnie. - Dlaczego pan pyta?

- Tak na przyszłość... ale ja tego nie mówiłem... on nie jest najbardziej wiarygodnym dostawcą.

- Wiem, że nie jest idealny, ale sprawdziłam ten model w bibliotece wycen i wszystko było w porządku.

Skrzywił się.

- Następnym razem, kiedy będzie pani coś kupować, również u mnie, polecam sprawdzić Normy Dave'a. - Jego u-adiunkt przekazał adresy. - Biblioteka wycen może być... te wszystkie „niezależne” opinie o pracy urzędnika... ale bibliotekę finansują i prowadzą korporacje, dlatego nigdy nie ma tam złych opinii. Normy Dave'a są naprawdę autonomiczne.

- Dziękuję - odparła posłusznie, ładując adresy do jednej ze swych spacji pamięci. - Kiedyś tam zajrzę.

- Cieszę się, że mogłem pani pomóc. Po kuchnię proszę się udać

do alejki siódmej. Stamtąd możemy przyjąć od pani zamówienie.

- Dziękuję. - Poszła do alejki siódmej rozczarowana, że właściciel jej nie towarzyszy. Może wyznawał zasadę, że z klientami się nie flirtuje. Szkoda.

Mężczyzna czekający w alejce siódmej miał na sobie identyczny granatowo-kasztanowy uniform. Był z pięć lat starszy od pana Boveya, ale wyższy, o szczupłej sylwetce maratończyka. Cerę miał bladą, nordycką, włosy ryże, krótko przycięte, tylko na samym szczycie czaszki biegł wąski grzebień. To dziwne, ale podobne jak u Boveya zielone oczy sprzedawcy wyrażały rozbawienie światem.

- Polecam te dwie kuchnie - powiedział na przywitanie i wskazał małą ekspozycję. - Dobrze pasują do podanych przez panią wymiarów, a ta kuchnia to końcówka serii. W magazynie zostały tylko dwie takie, więc dam pani znaczny upust.

Araminta czuła lekkie zakłopotanie. Bovey z pewnością przekazał pracownikowi jej plik, ale to nie powód, żeby ten od razu zwracał się do niej jak dobry znajomy.

- Zobaczymy - powiedziała chłodniejszym głosem.

Okazało się, że kuchnia jej odpowiada, a cena jest korzystna. W ofercie był moduł kulinarny średniej klasy z zestawem wielochemicznych pojemników, blat śniadaniowy i stołki, dodatkowo lodówka, robot kuchenny, robot-kelner, półki i szafki. Wszystko nienagannie białe z czarno-złotymi brzegami.

- Jeśli dorzuci pan transport, wezmę to.

- Kiedy tylko pani zechce, w każdej chwili.

Zignorowała kokieterijny podtekst i kazała swojemu u-adiunktowi wpłacić zadatek.

- Łazienki: alejka jedenasta - oznajmił z bezwstydnym entuzjazmem.

W alejce jedenastej czekał już na nią sprzedawca, który biologicznie pozwolił sobie na pięćdziesiątkę, co było niezwykle nawet na Viotii. Na czarnej skórze pojawiały się pierwsze zmarszczki, siwiejące włosy zaczynały się przerzedzać.

- Mam cztery, które chyba się pani spodobają - powiedział na wstępie.

- Cześć - burknęła.

- A... słucham?

- Jestem Araminta, miło pana poznać. Szukam łazienki do swojego mieszkania. Może mi pan coś doradzić?

- Co...?

- Ta wasza sztafeta wcale nie jest uprzejma. Mógłby mnie pan przynajmniej powitać, zanim wejdzie pan do pliku, którym się przerzucacie. Jestem przecież żywą osobą.

- Chyba... aha. - Zdziwiona mina złagodniała.

Aramincie wydała się znacznie bardziej niepokojąca niż jego początkowa gładka poufałość.

- Pani wie, kim jestem, prawda? - spytał.

- Co pan ma na myśli?

- Jestem Bovey. W tym sklepie wszyscy nazywamy się Bovey. Jestem wielocztówkiem.

Araminta była pewna, że spłonęła czerwienią z zakłopotania. Oczywiście wiedziała, czym jest wielocztówek: jedna osobowość współdzielona przez kilka ciał dzięki adaptacji technologii gajaszfery. Jej zwolennicy twierdzili, że to dla ludzkości prawdziwy ewolucyjny skok, a wszyscy inni brną w ślepią uliczkę. Wielocztówek nie umrze, dopóki każde jego ciało nie zostanie uśmiercone, co było bardzo mało prawdopodobne. Spokojnie i bez karności głośno, że kiedyś wszyscy staną się wieloludźmi. Może potem osobowości zaczną się zlewać i powstanie jedna świadomość w trylionach ciał. To znacznie lepsze rozwiązanie niż ściąganie jej ze sztucznej świętości ZAN.

To herezja - twierdzili krytycy - długofalowa konspiracja, której celem jest imitowanie pierwotnych obcych z Alfya Dysona. Jeszcze liczniejsi oponenci oskarżali wieloludzki styl życia o to, że został zainicjowany przez pozostawionych agentów Gwiazdokrażcy, którzy usiłują podtrzymać zdemoralizowaną ideologię nieżyjącego pana.

- Przepraszam - rzekła zawstydzona - nie wiedziałam.

- Nie ma za co. To częściowo moja wina, bo założyłem, że pani wie. Ludzie w handlu na ogół wiedzą.

Araminta uśmiechnęła się cierpko.

- Myślę, że ciągłość obsługi to wielka zaleta.
- Muszę być lepszy od Burta Renika.
- Zdecydowanie!
- W takim razie możemy we dwoje obejrzeć łazienki?
- Oczywiście.

Zdecydowała się na trzecią z pokazanych. Nie z poczucia winy, ale dlatego, że starszy subiekt zaproponował jej dobrą cenę, a prosty złoto-zielony design idealnie pasował do mieszkania. Gdy minęły pierwsze kłopotliwe chwile, przekonała się, że z mężczyzną rozmawia się dość przyjemnie. Nie do końca pozbyła się dziwnego wrażenia, że konwersuje ze starszym ciałem, choć to dokładnie ta sama osoba, która powitała ją przy wejściu. I że tamto ciało prawdopodobnie uśmiechało się do niej, obsługując równocześnie jakiegoś innego klienta.

- Proszę nas zawiadomić, kiedy mamy to dostarczyć - powiedział sprzedawca, gdy jej u-adiunkt przekazał zaliczkę.

- Czy pan... to znaczy ktoś z pana. Jeden z was... realizuje dostawę?

- Proszę się nie przejmować, gramatyka jeszcze nie dogoniła wieloludzi. I owszem, ja będę w kapsule towarowej i pomogę robotom, gdyby zakleszczyły się na schodach. Niekoniecznie musi być akurat to ciało, z powodu jego wieku, ale to będę ja.

- Chętnie poznam pozostałych.

- Jest kilku mnie młodych i przystojnych. Może uzna to pani za próżność, ale nie jestem odporny na zwykłe ludzkie słabości. Postaram się mnie-ich wyznaczyć do dostawy.

- Tak przystojnych jak pan?

- Proszę pani, więcej upustu nie będzie. Już wszystko pani ze mnie wycisnęła.

W drodze powrotnej do domu cały czas się uśmiechała. Pan Bovey był naprawdę czarujący. W każdej wersji. Przypuszczała, że nie chodziło tylko o dobre relacje z klientami. Czy żartował, mówiąc o młodych przystojnych ciałach? W zasadzie nawet ten ostatni, najstarszy, prezentował się znakomicie. A gdyby chciał się z nią umówić? Czy przy stoliku siedziałyby ona i dwudziestu panów Bovey?

Jeśli poprosi.

A jeśli poprosi, co mam odpowiedzieć?

Niezwykła sytuacja, dlatego bardzo interesująca.

A jeśli wieczór miło się rozwinie? Mam zaprosić do siebie całą dwudziestkę?

Oj, przestań!

Z uśmiechem wchodziła do swojego mieszkania. Otworzyła drzwi i od razu nastrój jej się pogorszył. Roboty trochę posprzątały, ale ten z odkurzaczem zapchał się. Żaden z robotów nie miał zdolności samoserwisowania, więc będzie musiała go wyczyścić ręcznie. A jeszcze nie złożyła siłownika przy drzwiach balkonowych. Nowe kuchnia i łazienka nie od razu się tu pojawią, więc Araminta miała czas na analizę tego, czy dobrze zinterpretowała rozmowę z Boveyem.

Późnym popołudniem, gdy mieszkanie wreszcie zostało uporządkowane, zaczęła pokrywać podłogę w salonie płachtami impregnatu. Wtedy u-adiunkt powiedział jej, że dzwoni Laril.

- Jesteś pewien? - spytała.

- Tak.

Rozważała za i przeciw: czy powinna zadzwonić do Cressidy i dowiedzieć się, czy Urząd Podatkowy wypłaciłby nagrodę?

- Skąd dzwoni?

- Początek połączenia jest na Oaktire. - Raport znalazł się w peryferyjnym widzeniu Araminty.

- Świat Wspólnoty Centralnej - przeczytała. - Co on tam robi?

- Nie wiem.

- Jasne. - Usiadła na kostce, będącej jej przenośnym łóżkiem i zdjęła rękawiczki. Wytarła czoło. Odetchnęła. - Dobrze, przyjmij rozmowę.

W prymarnej perspektywie jej egzowizji ukazał się obraz Larila, a wyglądało to tak, jakby stał tuż przed nią. Jeśli występował w swojej rzeczywistej postaci, to niewiele się zmienił. Krótko przystrzyżone, przeredzone brązowe włosy, okrągła twarz o pulchnej szczęce, szeroka szyja i jak zwykle ciemny zarost dłuższy niż lubiła. Pamiętała jak kłuje. Nigdy nie wyzelowal go na gładko, choć wiele razy go o to prosiła.

- Dziękuję, że odebrałaś - powiedział. - Nie byłem pewny, czy to zrobisz.

- Ja też nie.

- Słyszałem, że dobrze ci idzie. Dostałaś pieniądze.

- Sąd przyznał mi pieniądze. Laril, co robisz? Dlaczego jesteś na Oaktier?

- Czy to nie oczywiste?

Kilka sekund to trawiła. To jakiś jego kolejny numer, jakiś szwindel.

- Migrujesz do wewnątrz? - spytała z niedowierzaniem.

Uśmiechnął się beztrudnie, zupełnie tak jak wtedy, gdy się poznali. Czarująco, ciepło, ufnie. Po ślubie nieczęsto to widywała.

- W końcu z każdym z nas to się stanie - stwierdził.

- Nie! Nie wierzę. Zmieniasz się w Elewata? Ty?

- Tydzień temu miałem pierwszy wsad biononiki. Zaczynają scalać jakieś pola elementarne. To niesamowite doświadczenie.

- Ale... - nie mogła mówić. - Na Ozziego! Kultura Elewatów nigdy cię nie przyjmie. Co zrobiłeś? Wymazałeś połowę swojej pamięci?

- To dość powszechny mit. Zrozum, kultura Elewatów to nie stary kościół katolicki, nie trzeba się spowiadać i kajać za grzechy z przeszłości. Ważna jest obecna postawa.

- Wiem, że nie przyjmują przestępców. Był przypadek wieki temu... Jollian uważał, że zdoła umknąć przed osądzeniem swoich czynów, jeśli wymaże pamięć i migruje do Światów Wewnętrznych. Dopadła go Paula Myo i usunęła mu biononikę, tak że stanął przed sądem Światów Zewnętrznych w postaci tego człowieka, który popełnił zbrodnię. O ile pamiętam dostał kilkaset lat staży.

- Tak o mnie myślisz? Że dotyczy mnie precedens Jolliana? Wielkie dzięki, Araminto. Weź pod uwagę parę rzeczy. Po pierwsze, Paula Myo mnie nie ściga. A nie ściga mnie, bo nie popełniłem przestępstwa.

- Powiedziałeś to Urzędowi Podatkowemu na Viocie?

- Przyznaję, moje interesy były zabagnione. Tego nie ukrywam. Powiedziałem nawet elewackiemu inicjatorowi o swoich

finansach. Wiesz, co mi odpowiedział?

- No?

- Kultura Elewatów polega na odrzuceniu zła związanego z pieniędzmi.

- Jakże to dla ciebie wygodne.

- Posłuchaj, chciałem cię tylko przeprosić. Nic od ciebie nie chcę. I chciałem się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku.

- Chyba trochę na to za późno - obruszyła się. - Nie jestem częścią jakiejś terapii, którą musisz przejść, zanim cię tam przyjmą.

- Źle to interpretujesz. Może gniew nie pozwala ci zrozumieć, co mówię.

- Na Ozziego! To rzeczywiście jest twoja sesja terapeutyczna.

- Nie potrzebujemy terapii, żeby stać się Elewatami. To nieuniknione. W końcu nawet ty będziesz migrowała.

- Nigdy.

Obraz uśmiechnął się czule i jakoś krzywo.

- Pamiętam, że też tak kiedyś myślałem. Chyba przed trzydziestką. Wiem, że brzmi to bez sensu dla kogoś w twoim wieku, gdy każdy dzień jest świeży, ale jak się żyje kilka wieków w Światach Zewnętrznych, człowieka dopada nuda i frustracja. Każdy dzień to ciągła walka. Politycy to skorumpowani gówniarze, we wszystkich projektach przekraczane są terminy albo budżety, biurokraci uwielbiają przeszkadzać. I ta ciągła walka o pieniądze.

- Ty je straciłeś.

- Przez ponad trzy wieki nieźle żywiłem siebie, swoje rodziny, a i ty załapałaś się na kawałek. Ale powiedzmy prawdę: niewiele osiągnąłem. Kilkadziesiąt tysięcy dolarów w trzysta pięćdziesiąt lat. Nie zostawiłem istotnego śladu we wszechświecie. A to nie dotyczy tylko mnie, biliony ludzi są w takiej samej sytuacji. Światy Zewnętrzne są przyjemne i ekscytujące: gospodarka rynkowa, starcie różnych ideologii i parcie na zewnątrz. W takim środowisku młodzież dobrze prosperuje. Ale nadchodzi dzień, gdy oglądasz się za siebie i robisz bilans. Ty to za mnie zrobiłaś.

- Daj spokój! Winisz mnie za ten cały bałagan w swoich

sprawach?

- Nie, nie winię. Nie rozumiesz? Chcę ci podziękować. Byłem stary i musiałem trafić na ciebie, żeby to sobie uświadomić. Kontrast między nami był tak duży, że nawet ja nie mogłem zamknąć na to oczu. To święta prawda: stary, a głupi. A część tej głupoty to samookłamywanie. Byłem zmęczony takim życiem, ale nie chciałem się do tego przyznać. Stać się śmierzącym punkiem i wziąć sobie młodą żonę. Sposób na odwrócenie uwagi od tego, kim jestem. Ale przyznasz, że to się nie powiodło. Unieszczęśliwiłem i ciebie, i siebie.

- Łagodnie mówiąc - potwierdziła cicho. W pewnym sensie czuła satysfakcję, że przyznał się do winy. - Przez ciebie zostawiłam własną rodzinę.

Uśmiechnął się chytrze.

- I było to takie złe?

- Taa, zgoda - odparła z psotną miną. - W tej sprawie wyświadczyłeś mi przysługę. Zupełnie nie nadaję się do sprzedawania cybernetyki rolniczej przez dwa wieki.

- Od razu się zorientowałem, gdy cię zobaczyłem. A jak ci idzie na rynku nieruchomości?

- Trudniej niż się spodziewałam. Tyle jest głupstw, które mnie gryzą.

- Rozumiem. To wyobraź sobie twoje dzisiejsze frustracje pomnożone przez trzysta lat. Tak się czułem.

- A teraz tak się nie czujesz?

- Nie.

- Nie wierzę, żeby w kulturze Elewatów nie było biurokracji, korupcji, idiotów czy beznadziejnych polityków. Może nie są tak widoczni, ale są.

- Nie, nie ma. No... dobrze. Ale nie na taką skalę jak w Światach Zewnętrznych. Rozumiesz, nie ma miejsca dla takich zjawisk. Wiele problemów społecznych, na jakie cierpią Światy Zewnętrzne, bierze się z rynku, kapitalizmu i materializmu. Gospodarka starego typu przede wszystkim generuje kłopoty. Scybernetyzowana produkcja i procedury alokacji zasobów - na tym opiera się kultura Elewatów - wyklucza te wszystkie

trudności. Poza tym dojrzałe, rozsądne spojrzenie. Już nie walczymy o drobiazgi, możemy sobie pozwolić na przyjęcie intelektualnego punktu widzenia i szerszej perspektywy.

- Mówisz tak, jakbyś już był jednym z nich.

- Oni. To również perspektywa dla ciebie. Kultura Elewatów to przede wszystkim stan umysłu, ale musi być wsparta fizycznym dobrobytem.

- Właśnie do tego dążą Światy Zewnętrzne: do świata, w którym wszyscy są milionerami. Stałeś się jego częścią.

- Nie. Wszyscy mają jednakowy dostęp do zasobów, a tego wam brakuje. Jednak uważam, że Światy Zewnętrzne dążą do kultury Elewatów. Jesteśmy na szczycie społecznego i technicznego rozwoju ludzkości. Innymi słowy, do tego zmierzała rasa ludzka, od kiedy protoczłowiek wziął pałkę i zyskał przewagę nad innymi drapieżnikami konkurującymi o jedzenie na afrykańskich równinach. Doskonalimy się przy każdej okazji.

- Więc dlaczego się nie udasz prosto do ZAN, żeby się załadować? Przecież w ten sposób Elewaci się doskonalą, co nie?

- Przypuszczam, że w końcu tam pójde. Ale dla mnie Elewat to kolejny etap. Potrzebuję czasu, który spędzę bez wysiłku we własnym ciebie. Kilka wieków odprężenia i nauki. Jest tyle rzeczy, które chciałbym zrobić i zobaczyć, a dotychczas nie mogłem tego zrobić. Tu rysują się niewiarygodne możliwości.

Teraz zabrzmiał jak dawny Laril. Araminta zaśmiała się cicho.

- W takim razie życzę ci powodzenia.

- Dziękuję. Nie chcę, żeby między nami pozostały stare urazy. Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń, nawet gdyby chodziło o wypłakanie się na moim ramieniu.

- Jasne. Wezmę to pod uwagę - skłamała, wiedząc, że nigdy do tego nie dojdzie. Czują nieprzyzwoite zadowolenie, gdy rozmowa się skończyła. Zamknięcie spraw działało w obie strony.

Ludzie nie mieli twarzy. Przynajmniej on tych twarzy nie widział. Dziesiątki mężczyzn, kobiet, nawet dzieci. Byli przed nim. Biegli. Uciekali jak stado bydła wystraszone przez

drapieznika. Wrzeszczeli tak, że aż mu uszy pękały. Słowa z trudem wydobywały się ze ściany dźwięku. Wołania o pomoc, o litość, o schronienie, o życie. Biegli bardzo szybko, a on razem z nimi.

To dziwaczne chaotyczne zgromadzenie miało miejsce w kunsztownej sali przykrytej kopułą, którą przecinały kryształowe bruzdy. Rozgorączkowany tłum pędził do wyjścia, ale drogę zagroził rząd rzeźbionych krzesel. On się nie odwracał albo nie mógł się odwrócić. Nie wiedział, przed czym wszyscy uciekają. Trzaskała broń energetyczna i ludzie rzucili się na podłogę. On zaś stał i patrzył na leżące ciała. W jakiś sposób nie uczestniczył w tym horrorze. Nie wiedział, jak to możliwe. Przecież był tu z nimi, stanowił część tego panicznego tłumu. A potem nad podłogą przesunął się cień, jakby demon rozpostarł skrzydła.

Aaron usiadł na łóżku i dyszał przerażony. Skórę miał zimną, wilgotną od potu. Serce mu waliło. Dopiero po chwili zorientował się, gdzie jest. Światła w kabinie sypialnej pojaśniały i oczom Aarona ukazały się ściany grodzi. Mrugał. Sen zniknął.

W pewnym sensie wiedział, że dziwne obrazy to coś więcej niż sen. Musiały być wspomnieniem z poprzedniego życia, wydarzeniem na tyle poważnym, że jego obraz przykleił się do wnętrza neuronów, podczas gdy Aaronowi wymazywano resztę osobowości. Zainteresowało go to, ale jednocześnie czuł zniechęcenie.

Do diabła, w co ja się wplątałem?

Jednak tamte zamieszki nie wydawały się straszniejsze od tego, co się wydarzyło podczas bieżącej misji. Serce Aarona uspokoiło się bez pomocy biononiki. Głęboko odetchnął i wstał z koi.

- Gdzie jesteśmy? - zadał pytanie smartkorowi „Sprytnego Kombinatora”.

- Sześć godzin od Anagaski.

- Dobrze. - Rozpostarł ramiona, a potem je złożył. - Daj prysznic - polecił smartkorowi. - Zaczynij od wody, a gdy ci powiem, przejdź na spory.

Kabina zaczęła się zmieniać: koja cofnęła się w grodz, podłoga

stwardniała, stała się czarno-białym marmurem. Z każdego rogu wysunęły się złote dysze, z których trysnęła ciepła woda.

Statek pochodził z cywilizacji Elewatów, to oczywiste, ale Aarona miło zaskoczyła informacja, że jest wyposażony w ultranapęd. Uważał, że ultranapęd to tylko pogłoski. Wtedy zdał sobie sprawę, że najprawdopodobniej pracuje dla jakiejś frakcji ZAN. To go bardziej zaintrygowało niż istnienie napędu. A więc Pielgrzymka traktowana jest znacznie poważniej, niż powszechnie sądzono.

Gdy spory oczyściły i osuszyły mu skórę, włożył prosty fioletowy jednoczęściowy garnitur i wyszedł do głównego holu. Jego mała kabina wycofała się do grodzi, powstała większa przestrzeń. Kabina Corrie-Lyn nadal była zajęta; zwykły bąbel wystawał z półsferycznego holu. Aaron zasugerował wczoraj, żeby spali na jednej koi, ale obrzuciła go zimnym wzrokiem i natychmiast powiedziała mu dobranoc.

Prawdopodobnie nie pokaże się przed lądowaniem.

Moduł kulinarny przygotował wspaniałe śniadanie. Jajecznicza z jajek benjiit, wędzony bekon z drycure i tost z marmoladą pomarańczową. Aaron był niewątpliwie tradycjonalistą. Tak by się wydawało, pomyślał.

Przeżuwał trzeciego tosta, gdy Corrie-Lyn wyszła ze swojej kabiny. Ubrana - jak na siebie - skromnie, w kaszmirową turkusowo-szmaragdową sukienkę do kolan, wytworzoną przez syntetyzer statku. Kabina Corrie-Lyn zagłębiła się w grodzi. Kobieta wzięła z modułu kulinarnego duży kubek herbaty i usiadła naprzeciw Aarona.

Rozpoznawanie ludzkich emocji stanowiło istotną umiejętność Aarona. Jednak tego ranka miał przed sobą twarz, której nie potrafił odczytać. Jakby patrzył na wyciszone solido.

Popijając herbatę, wpatrywała się w niego przez chwilę, nieporuszona tą niezręczną sytuacją.

- Planujesz coś? - spytał łagodnie, przerywając ciszę. Znamienne było to, że właśnie on odezwał się pierwszy. Niewiele osób potrafiło wprowadzić go w zakłopotanie.

- Nie ja mam coś na myśli - odparła nieco zbyt poważnie.

- Czyli? O, daj spokój, jesteś atrakcyjną kobietą. Musiałem cię spytać. Prawdopodobnie czułabyś się bardziej znieważona, gdybym nie spytał.

- To nie ja planuję. - Machnęła lekceważąco dłonią. - Chodzi o twój sen.

- Mój... sen?

- Zapomniałeś? Nie zostałam radną Żywego Snu z powodu świętego tyłka. Zanurzam się w sny ludzi, eksploruję ich stan emocjonalny i próbuję im pomóc pogodzić się z tym, czym są. Sny potrafią wiele ujawnić.

- Cholera! Przesączyłem to do gajASFery.

- To oczywiście. Chcę ci powiedzieć, że jesteś bardzo niezrównoważonym osobnikiem. Ale to chyba żadna rewelacja.

- Widziałem sporo walk. Nic dziwnego, że moja podświadomość wyrzuca takie gówniane rzeczy.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Ale żadnej nie pamiętasz? Żadnej przed twoim obecnym wcieleniem. To znaczy, że wydarzenie, w którym brałeś udział, musiało być na tyle przełomowe, że przetrwało w twojej podświadomości. Techniki wymazywania są obecnie dość dobre, a przypuszczam, że miałeś dostęp do najlepszych.

- Nie wygłupiaj się. To było zbyt dziwaczne, żeby mogło być wspomnieniem.

- Większość snów rodzi się ze wspomnień. Oczywiście Inigo jest wyjątkiem. Mają swoje źródło w rzeczywistości, w doświadczeniu. To co widzisz jest wydarzeniem, które rozpoznaje twoją rzeczywistą osobowość. Sny są bardzo prawdziwe, nie możesz ich ignorować czy wziąć aerozol, żeby je odgonić. Jeśli nie stawisz czoła temu, co śniesz, nigdy prawdziwie nie pogodzisz się ze sobą.

- Czy zapłaciłem ci za wróżenie?

- Sarkazm to żałosny mechanizm obronny, zwłaszcza w tych okolicznościach. Oboje wiemy, jak cię to poruszyło. Nie uda ci się osłonić siebie i swoich emocji przed kimś tak doświadczonym jak ja. GajASFera pokaże ci, czym naprawdę jesteś.

Aaron dokładnie upewnił się, że gajainterfejsy są szczelnie zamknięte i nic nie wydostanie się z jego czaszki na zewnątrz.

- No, dobrze - burknął - Co mi się śniło?
- Coś z twojej przeszłości.
- Ojej! Mam do czynienia z prawdziwym galaktycznym mistrzem.

Niewzruszona Corrie-Lyn popijała herbatę.

- Dokładniej: to ciemność z twojej przeszłości. Przetrwiała wymazywanie i tak wyraźnie się ujawnia, że sędzę, iż stanowi krytyczny element twojego rozwoju psychicznego. Ludzie ze snu byli przerażeni, uciekali w panice. A więc zagrożenie musiało być śmiertelne. Obecnie rzadko się to zdarza we Wspólnocie, nawet na najdalszych Światach Zewnętrznych.

- Czyli prowadziłem ewakuację z jakiejś katastrofy. To rzadkie, ale nie jest wykluczone. W Światach Zewnętrznych dzieją się rzeczy, na które społeczeństwa bardziej rozwiniętych planet nie zwracają uwagi.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

- Ty stałeś nad nimi. Pamiętasz, Aaronie? Nie biegłeś razem z nimi. To ciebie się obawiali. Ciebie i tego, co reprezentowałeś.

- Bzdury!

- Mężczyźni. Kobiety. Dzieci. Wszyscy przed tobą uciekali. Panowała histeria, groza. Ciekawe, co zamierzałeś im zrobić. W świątyni ustaliliśmy, że nie masz sumienia.

- Bardzo sprytne - szydził. - Wkurzyłem cię, a teraz się odgryzasz. Szanowna pani, muszę ci powiedzieć, że jeśli chcesz mnie wystraszyć, nie wystarczą twoje sztuczki, przysięgam na Ozziego.

- Wcale nie próbuję cię wystraszyć - odparła ze spokojną powagą. - Żywy Sen, prawdziwy Żywy Sen, nie na tym polega. Jesteśmy po to, żeby poprowadzić życie ludzi ku prawdziwemu spełnieniu. Owszem, obietnica Pustki to istotna część, ale nie jedyny czynnik zrozumienia twojej zasadniczej natury, tego, czym jesteś. Chcę wyzwolić twój wewnętrzny potencjał. W twoim umyśle czai się nie tylko bezsensowna przemoc. Czuję to. Możesz stać się osobowością znacznie bogatszą, niż jesteś obecnie, jeśli mi pomożesz. Możemy razem eksplorować twoje sny.

- Uznasz mnie może za staroświeckiego, ale moje sny należą do

mnie.

- Interesuje mnie ciemność, którą widziałeś na końcu.

- Ten cień? - Aarona zaintrygowało to, czy akurat ten element wybrała.

- Skrzydlaty cień. Silnie działa na wielu ludzi, bez względu na to, z jakiego nurtu kultury pochodzą. To więcej niż zwykły cień. Miał dla ciebie wielkie znaczenie. Według mnie reprezentuje twoją podświadomość. Nie dziwi cię to. Przeciwnie, czułeś się z tym dobrze.

- Nieważne. Musimy się skoncentrować na ważniejszych sprawach. Za pięć i pół godziny lądujemy. - Coś w umyśle kazało mu skończyć natychmiast tę rozmowę. Corrie-Lyn usiłowała go rozproszyć, uśpić jego czujność. Nie mógł do tego dopuścić, musiał się całkowicie koncentrować na swojej misji. Odnaleźć Iniga.

Corrie-Lyn uniosła brwi.

- Twierdzisz poważnie, że nie jesteś zainteresowany? Mówimy o tobie, takim jakim jesteś naprawdę.

- Powtarzam: jestem zadowolony z tego, kim jestem. A wracając do sprawy... powiedziałaś, że Inigo przybył na Anagaskę odwiedzić rodzinę.

Spojrzała na niego zniechęcona.

- Mówiłam, że czasami odwiedzał swoją macierzystą planetę, gdy miał wszystkiego dość. Wiem tylko, że miał rodzinę. Reszta to twoje własne wnioski.

- Jego matka migrowała do wewnątrz, a potem załadowała się do ZAN. A ciotka?

- Nie wiem.

- Czy ciotka miała dzieci? Siostrzeńców, z którymi dorastał.

- Nie wiem.

- Czy była tam jakaś posiadłość? Miejsce, w którym czułby się bezpiecznie?

- Nie wiem.

Oparł się wygodniej na krześle i miał ochotę spiorunować ją wzrokiem, ale się powstrzymał.

- Według oficjalnej biografii dorastał w Kuhmo. Proszę,

powiedz, czy to prawda?

- Przypuszczam, że tak. To znaczy, nie mam powodu w to wątpić. Tam Żywy Sen zbudował swoją bibliotekę.

- Centralne miejsce kultu waszego boga, co?

- Nie dziwi mnie, że nie chcesz poznać samego siebie. Wiesz, jesteś prawdziwym głównym.

Tysiąc kilometrów nad Anagaską pocziwy statek „Sprytny Kombinator” z powrotem wślizgnął się w przestrzeń rzeczywistą. Aaron kazał smartkorowi zarejestrować się w lokalnej sieci nadzoru kosmicznego i prosić o pozwolenie lądowania w kosmoporcie Kuhmo. Pozwolenia udzielono natychmiast i statek zaczął opadać na upačkany chmurami wschodni kontynent.

Gdy w 2375 roku po raz pierwszy potwierdzono, że planeta nadaje się dla ludzi i przeznaczono ją do zasiedlenia przez STT, Anagaska była niczym niewyróżniającym się światem w przestrzeni fazy trzeciej - jak to wtedy nazywano - przeznaczonym do powolnego, długodystansowego zagospodarowania. Wtedy Gwiazdokrażca pograżył Wspólnotę w wojnie z Alfami i przyszłość Anagaski radykalnie się zmieniła.

Podczas ostatniego wielkiego ataku Alf na Wspólnotę zniszczono czterdzieści siedem planet i Hanko była jedną z nich. Jej słońce wysadzono bombami rozbłyskowymi i kwantowymi, w wyniku czego bezbronną biosferę planety przez tygodnie zalewały potoki śmiertcionośnego promieniowania. Sto pięćdziesiąt milionów ludzi zostało uwięzionych pod polem siłowym miasta w umierającym świetle, w którym nawet powietrze stało się śmiertelną trucizną. Jedynym ratunkiem była ewakuacja. Dzięki Nigelowi Sheldonowi i kompanii STT zarządzającej połączeniem wormholowym przy Hanko, mieszkańców przerzucono na odległość czterdziestu lat świetlnych na Anagaskę.

W tamtym czasie pokrywały ją wyłącznie dzikie lasy, pierwotne prerie i wrogie dżungle i tylko kilkuset badaczy mieszkało w

pięciu bazach naukowych. Nigel znalazł jednak rozwiązanie: wewnątrz wormhola, transportującego ludność Hanko do nowego domu, tymczasowy przepływ czasu został znacznie spowolniony w stosunku do świata zewnętrznego. Po wojnie, w Anagaskę i czterdzieści innych planet wpompowano biliony dolarów na infrastrukturę. Cały wiek zajęło stworzenie podstawowych udogodnień cywilizacyjnych, wybudowanie miast o niemal stalinowskiej architekturze. Ale gdy w końcu wormhol z Hanko otworzył się na Anagaskę, ludzie mieli dach nad głową oraz wystarczające zapasy żywności, które miały wystarczyć, aż rozkręca rodzime rolnictwo i przemysł.

Prawdopodobnie nieuniknione było, że po takiej traumie światy wychodźców rozwijały się dość wolno. Ich główne miasta wlokły się ospale w czasach, gdy reszta Wspólnoty przechodziła głębokie zmiany. Miejscowości na uboczu przekształciły się w zapadłe dziury. Nikt nie głodował, nikt nie cierpiał szczególnej biedy, ale brakowało rozmachu, tego rozmachu, który porwał resztę ludzkości, gdy uzyskała ona dostęp do bioniki, gdy uruchomiono ZAN i powstały nowe bloki polityczne i kulturowe.

Jednym z takich miast było Kuhmo. Niewiele się w nim zmieniło na przestrzeni siedmiu wieków - od czasu gdy zamieszkali tu nowoprzybyli do narodzin Iniga. Gdy był dzieckiem, centrum strefy miejskiej zdominowała potężna sześciokątna arkologia, którą zbudowano dla jego przodków. Górne poziomy niszczały w zastraszającym tempie, a na dolnych kwaterowano najbiedniejszych oraz tanio wynajmowano lokale trzeciorzędnych firmom. Gdy wyjeżdżał sześćdziesiąt lat później, budowla nadal stała - monsturalny żenujący kłopot dla miasta, które nie miało pieniędzy ani na rewitalizację, ani na rozbiórkę.

Sto lat później rząd federalny Anagaski wyłożył fundusze na rozbiórkę jednej trzeciej arkologii, bo budowla zagrażała bezpieczeństwu. Żywy Sen złożył radzie miejskiej propozycję sfinansowania prac i rada nie mogła odmówić. Arkologię zburzono całkowicie, a mieszkańców przeniesiono do specjalnie wybudowanych przytulnych domów na przedmieściach. Na jej miejscu wzniesiono nową budowlę nie tak wielką, ale znacznie

ważniejszą. Żywy Sen założył tu swoją główną świątynię, a przy niej bogatą bibliotekę oraz bezpłatny college. Ośrodek przyciągał wiernych z całej Anagaski i pobliskich układów planetarnych. Wiele osób się tu zakorzeniło i na zawsze zmieniło charakter Kuhmo.

Aaron stał pod wysokimi drzewami novik, górującymi nad parkiem wokół świątyni. Patrzył na zwężające się wieże z obręczami wystających rzeźb i skonsternowany marszczył czoło.

- Na pewno arkologia nie wyglądała gorzej od tego - stwierdził. - To najważniejsza świątynia waszego przywódcy, w ten sposób oznajmił swemu rodzinnemu miastu, że zaszedł wyżej i dalej? Do diabła! Musiał naprawdę nienawidzić swojego starego miasta, jeśli mu zrobił coś takiego. Według mnie to aż krzyczy: strzeż się kuhmoian, którzy przynoszą dary.

Corrie-Lyn westchnęła i pokręciła głową.

- Ozzie, ale z ciebie Filistyn!

- Wiem, co mi się podoba, szanowna pani. Na pewno nie to. Nawet stare planety Wielkiej Piętnastki mają lepszą architekturę.

- Więc co zamierzasz zrobić? Walnąć w to pulsem burzącym?

- Przyznaję, kusząca myśl. Ale nie. Najpierw trochę pogrzebiemy w bazach danych.

Muzeum Iniga - w rzeczywistości sanktuarium - okazało się mało przyjemne. Zresztą, tego się Aaron spodziewał. Przede wszystkim nie mogli tam swobodnie spacerować, musieli stanąć w kolejce wiernych przed głównym wejściem. Przydzielono im przewodnika. Zwiedzanie miało charakter sformalizowany. Każdemu eksponatowi towarzyszyło wielozmysłowe nagranie i odpowiednie treści emocjonalne promieniujące do gajASFery.

Aaron zaciskał zęby i biernie się uśmiechał. Pokazywano im rodzinny dom Iniga, starannie przeniesiony z oddalonego o dwa kilometry miejsca i z pietyzmem odtworzony z autentycznych materiałów i przy użyciu dawnych metod. W salach z pełną czcią przedstawiano nudne relacje z lat dziecięcych. Solido jego matki Sabiny. Miłe scenki z udziałem dziadków, do których należał

dom. Smutny rozdział poświęcony ojcu Erikowi Horoviemu - opuścił Sabine kilka miesięcy po narodzinach syna. Dokładna rekonstrukcja oddziału położniczego w miejscowym szpitalu.

Aaron uważnie przyjrzał się solido Erika i przesłał swojego u-adiunkta do publicznej bazy danych tego solido, żeby wyciągnąć użyteczne informacje. Erik miał zaledwie osiemnaście lat w chwili narodzin Iniga, a Sabine brakowało miesiąca do osiemnastki.

- Czy w tamtych czasach nie było antykoncepcji? - Aaron spytał bezceremonialnie przewodnika.

Corrie-Lyn jęknęła i lekko się zaczerwieniła. Po twarzy przewodnika przemknął uprzejmy uśmiech, który zaraz stężał.

- Słucham?

- Antykoncepcja. Standardowa u nastolatków bez względu na nurt kulturowy. - Zamilkł, przeglądając szczątkowe informacje o rodzicach Sabine. - Chyba że rodzina była tradycjonalistycznie-katolicka, neoficko-talibańska czy ortodoksyjno-ewangelicka. Należeli do którejś z tych grup?

- Nie - odparł przewodnik sucho. - Inigo był dumny, że nie pochodził z żadnej z tych okropnych ziemskich średniowiecznych sekt. A zatem jego dążenia nie są niczym skażone.

- Rozumiem. Więc to planowane narodziny?

- Jego narodziny są błogosławieństwem dla ludzkości. Został wybrany przez Chodzącego po Wodzie, żeby nam pokazać, co znajduje się w Pustce. A dlaczego to pana interesuje? Jest pan dziennikarzem unisfery?

- Nie. Jestem antropologiem kulturowym. Naturalnie interesują mnie rytuały prokreacyjne.

Przewodnik bez komentarza spojrział na niego podejrzliwie. U-adiunkt Aarona był przygotowany na zablokowanie ewentualnych pytań, jakie przewodnik mógłby wysłać do sieci lokalnej. Przeszli przez bramę muzeum, nie wzbudzając alarmu, a więc Żywy Sen nie zdołał rozesłać ostrzeżeń po całej Wspólnocie. Z pewnością jednak szybko zareagują, jeśli zlokalizują plik tożsamości wskazujący na Aarona i Corrie-Lyn, bez względu na

to, na jakiej planecie się to stanie. A gdyby odkryli, że są na Anagasce, i to zaledwie dwa dni po wypadkach w Riasi, natychmiast zorientowaliby się, że statek ma niekonwencjonalny napęd. Aaron nie mógł do tego dopuścić.

- Trudno to nazwać rytuałem - zauważył kwaśno przewodnik.

- Antropolodzy uważają, że wszystko, co robimy, da się podciągnąć pod rytuał - wcięła się gładko Corrie-Lyn. - Proszę powiedzieć, czy to autentyczny pokój w akademiku Iniga? - Wskazała na hologram ponurego pomieszczenia. W przezroczystych komorach stały prezentowane rozmaite zniszczone meble z pełnobarwnym trójwymiarowym efektem.

- Tak. - Przewodnik wrócił do równowagi. - Tak, to jego pokój. Tu zaczął swoje studia astrofizyczne, pierwszy krok na drodze, która zawiodła go na stację Centurion. To środowisko, którego znaczenia nie można przecenić.

- Ojej - gruchała Corrie-Lyn.

Aaron podziwiał ją, że potrafiła zachować poważną twarz.

- O co ci chodziło? - spytała, gdy kapsułą-taksówką wracali do hotelu przy kosmoporcie.

- Nie sądzisz, że to dziwne?

- Napalone nastolatki postanowiły mieć dziecko. Co w tym niezwykłego?

- Przeciwnie. Oboje nadal chodzili do szkoły. Kilka miesięcy po narodzinach syna Erik znika. Mówiłaś, że Inigo miał ciotkę, którą skutecznie wykreślono z rodziny. Twierdzisz, że Inigo jest Elewatem, więc musiał nim zostać albo przy narodzinach, albo na wczesnym etapie życia. Czyli przed misją na Centurion.

- Skąd to przypuszczenie?

- Jak powiedziałaś, bardzo się starał ukryć to przed swoimi wyznawcami. Więc hipoteza, że otrzymał biononikę po założeniu Żywego Snu, nie jest logiczna.

- Przyznaję, ale dokąd prowadzą te twoje teorie?

- To świadczy o tym, że jego oficjalna przeszłość to same bzdury. - Aaron machnął dłonią w kierunku malejącego muzeum.

- Tamta farsa ma przykryć jego prawdziwą historię, przedstawia nieskazitelną wersję, która ma na tyle dużo punktów styecznych z rzeczywistym przebiegiem wydarzeń, że nie da się jej łatwo podważyć. Chyba że ktoś taki jak my akurat zna pewne niewygodne fakty. Jeśli urodził się jako Elewata, to jedno z jego rodziców musiało być Elewatem. Sabine prawie na pewno nie była, a tak się akurat wygodnie zdarzyło, że Eric opuścił dziecko po kilku miesiącach.

- Chłopak nie wytrzymał, i tyle. Nic dziwnego, jeśli narodziny Iniga były przypadkowe, jak sam twierdzisz.

- Nie, to nie to. Nie sądzę, żeby były przypadkowe. Wręcz przeciwnie. - Kazał swojemu u-adiuntowi przeszukać miejscowe archiwa, nie pochodzące od Żywego Snu, z okresu roku przed narodzinami Iniga. Wyniki nadeszły zanim dojechali do hotelu. - Aha, mamy. - Dał Corrie-Lyn dostęp do pliku. - Archiwum lokalnej agencji informacyjnej. Dwieście lat temu wykupił ją Intersolar i ich miejskie biuro upadło. Dlatego archiwum było głęboko ukryte. Akademik wydziału sztuki w college'u w Kuhmo spłonął osiem miesięcy przed narodzinami Iniga.

- Tu twierdzą, że budynek był centrum wojny gangów - powiedziała Corrie-Lyn, szybko przeglądając wiadomości. - Banda młodych narwańców walczyła o terytorium.

- Właśnie. Wyślijmy teraz pytanie na temat życia gangów w Kuhmo. Ze szczególnym uwzględnieniem incydentów z użyciem broni. No, poszukaj. Stawiam tysiąc do jednego, że nie ma żadnych innych zapisów z okresu pięćdziesięciu lat przed i pięćdziesięciu lat po tamtej dacie. Sprawdź historię tego miejsca do czasu wybudowania tego okropieństwa. Tu nie było nic, o co warto byłoby walczyć. W radzie zawsze rządziła któraś z trzech partii. Praktycznie niczym się między sobą nie różniły. Miały te same programy polityczne: niskie podatki, ukrócenie urzędowego marnotrawstwa, przyciągnięcie inwestycji i dbanie o parki. Do diabła, nie potrafili nawet pozbyć się tej arkologii. Stała tu prawie dziewięćset lat. Dziewięćset, na Ozziego! I przez ten cały czas nie potrafili się do tego zabrać. Kuhmo to miejsce bez perspektyw, zamieszkałe przez klasę średnią, i od tysiąca lat

podąża tymi samymi koleinami. Źli chłopcy nie chcą żyć w takim czyścicu. To jak kara w zawieszeniu, tylko z dodatkowymi torturami sensorycznymi. Oni po prostu chcą się stąd wyrwać.

- Dobrze, dobrze, przyznaję, życiorys Iniga jest wątpliwy. Do czego zmierzasz?

- Mam hipotezę: to infiltracja radykałów. Czas pasuje. Z pewnością nie znajdziemy tego w wiadomościach, nawet tych głęboko schowanych.

- Więc jak się dowiemy, co się naprawdę stało?

- Jest tylko jeden sposób. Musimy spytać Protektorat.

Corrie-Lyn jęknęła przerażona i ukryła twarz w dłoniach.

Hangar serwisowy stał na skraju kosmoportu w Daroce, w szeregu dwudziestu trzech identycznych czarnych połyskliwych kostek. W ostatniej z dziesięciu uliczek. Razem było osiemnaście uliczek. Kosmoport był duży, znacznie większy od kompleksu floty po drugiej stronie miasta. Mieszkańcy Daroki dużo podróżowali wśród gwiazd, a w ciągu ostatnich wieków dzięki projektowi Air bardzo zwiększyła się liczba statków kosmicznych. Jeśli ktoś nie miał w unisferze dostępu do funkcji naprowadzania, mógłby cały dzień spacerować wśród hangarów i nie potrafiłby ich odróżnić. Subtelna modyfikacja software'u w sieci zarządzającej kosmoportem powodowała zakłócenia w funkcji naprowadzania u każdej osoby, która chciałaby się posłużyć elektroniczną nawigacją, by znaleźć hangar Trobluma. Inne kostki często otwierały swoje bramy, wpuszczając lub wypuszczając statki, ale kostka Trobluma była szczelnie zamknięta - z wyjątkiem rzadkich okazji, gdy odbywały się loty. Wówczas brama rozwierała się źrenicowo, a pole ekranujące nie pozwalało na żadną wizualną czy elektroniczną obserwację wnętrza. Pracownicy, którzy regularnie stawiali się do pracy, parkowali swoje kapsuły na zewnątrz i wchodzili małymi bocznymi drzwiami. Potem przechodzili przez troje ekranowanych drzwi, by dostać się do centralnej części hangaru. Niemal dwie trzecie olbrzymiego budynku zajmowały bardzo

zaawansowane maszyny do syntezy i fabrykacji. Cała aparatura została specjalnie skonstruowana, a doskonalenie jej zajęło Troblumowi ponad piętnaście lat. Dlatego potrzebował do pomocy innych ludzi. Powielarnie von Neumanna i bioniczne świetnie się sprawdzały w użytku powszechnych, ale do nietypowych zastosowań należało zaprojektować aparaturę, której zadaniem była budowa maszyn mających wyprodukować potrzebne urządzenie.

Troblum stosunkowo łatwo stworzył zmodyfikowaną teorię materii egzotycznej, teorii, która stała za konstrukcją silnika anominów przesuującego planety z szybkością nadświatlną. Sporządził nawet opis podstawowej techniki wytwarzania potrzebnego mu generatora. Trudno jednak było przekuć tę abstrakcję w fizyczną rzeczywistość. Przede wszystkim musiał zdobyć informacje o technologii bomb „nowa”, a flota od 1200 lat utajniała szczegóły tej straszliwie niszczycielskiej broni. Tu wkraczała Emily Alm.

To Marius poznał ich ze sobą. Emily pracowała kiedyś w departamencie uzbrojenia floty na Auguście. Po trzystu latach w końcu ją to znudziło.

- To nie ma sensu - powiedziała Troblumowi podczas ich pierwszego spotkania. - Od wieków nie robimy nowych broni. Laboratorium doskonalili tylko już istniejące systemy. Wszystkie choćby trochę bardziej nowoczesne pomysły są ucinane przez tych na górze.

- Masz na myśli ZAN:Władze?

- A kto tam wie, skąd pochodzą rozkazy? Wiem tylko, że do nas docierają z biura admirała Kazimira, a my zaraz stajemy na baczność. To jakiś obłąd. Nie wiem, po co istnieje ten departament badawczy. O ile się orientuję, flota odstrasza od pięciuset lat nie wymieniała statków ani uzbrojenia.

Przedstawił jej zagadnienie. Uznała je za interesujące i odłożyła swoje ładowanie do ZAN. Po Emily inne osoby dołączały powoli do grupy Trobluma. Dan Massell - niezrównany ekspert od funkcjonalnych konfiguracji molekularnych; Ami Cowee - specjalistka od formatowania materii egzotycznej. Przez zespół

przewinięło się kilku różnych inżynierów - pracowali przy cybernetycznej matrycy Neumanna i skończyli, gdy ich urządzenie skutecznie wytworzyło pożądanego następcę. Ale ta trójka trzymała się Trobluma od samego początku. Byli już w pewnym wieku i mieli cierpliwość Elewatów, dzięki czemu tylko oni potrafili z nim tak długo wytrzymać. Intrygowała ich również natura samego projektu.

Gdy Troblum wylądował swoją starą kapsułą przed hangarem, ze zdziwieniem spostrzegł, że przy błyszczącej ścianie stoją tylko kapsuły Emily i Massella. Spodziewał się również pojazdu Ami.

Gdy tylko przeszedł przez drugie pomieszczenie biurowe, wiedział już, że dzieje się coś złego. Nie wyczuwał spokojnej wibracji maszynerii. Wyłączyło się ekranowanie trzecich drzwi, ale Troblumowe pole niskiego poziomu nie wykrywało żadnej aktywności elektronicznej. Hangar podzielony był na dwie części. Po jednej stronie parkowało „Odkupienie Mellanie” - olbrzymia ciemna obecność przesłonięta częściowo maszynerią znajdującą się w drugiej części hangaru. Troblum stanął pod dziobem statku i rozglądał się, nic nie rozumiejąc. Miał przed sobą neumannowskie moduły cybernetyczne większe od domu. Połączone, tworzyły regularną sieć przestrzenną, która wyglądała jak przezroczyste płyty szkła wielkości komercyjnych kapsuł. Każdy z modułów jarzył się odrębnym światłem o barwie podstawowej. Miało się wrażenie, że ta tęcza rozpadła się na części, które zostały zamknięte w przezroczystych pudełkach. W centrum, trzy metry nad głową Trobluma, znajdował się szkarłatno-czarny stożek - dysza końcowej tłoczni. Powinien być owinięty skomplikowaną pajęczyną pól kwantowych, przecinających się podajników, pozycjonerów elektronów i wtryskiwaczy molekularnych. Troblum nie mógł wykryć nawet najmniejszego błysku energii. Gdyby przez ostatnie dni wszystko przebiegało pomyślnie, silnik przesuwu planety powinien być w dwóch trzecich gotowy; atom po atomie zebrany w stabilną matrycę supergęstej materii spojonej własnym koherentnym polem wiążącym. Teraz w mechanizmie wysuwającym powinien być już widoczny walec połyskujący przemodelowanym

egzotycznym promieniowaniem, jakby wewnątrz zawierał własną galaktykę.

A tymczasem zobaczył, że Emily i Massell siedzą na pudełkowatej obudowie atomowego złącza fazowego przy podstawie modułów cybernetycznych i piją herbatę. Milczeli, mieli smętne miny i z poczuciem winy spoglądali na zbliżającego się Trobluma.

- Co się stało? - spytał.

- Jakaś niestabilność - wyjaśniła Emily. - Przykro mi, Troblum. Format pola wiążącego nie był właściwy. Ami musiała je wyłączyć.

- I nic mi nie powiedziała!

- Nie potrafiła stanąć przed tobą. Wiedziała, że będziesz bardzo rozczarowany - rzekł Massell. - Nie chciała być tą, która łamie ci serce.

- To nie... Aj! - jęknął. Gdy biononiki wykryły, że jest coraz bardziej wzburzony, uwolniły strumień inhibitorów neuronowych. Zadrżał, jakby go owiał podmuch arktycznego powietrza. Ale potrafił się skoncentrować. W egzowizji zobaczył listę priorytetów towarzyskich. - Dziękuję, że na mnie poczekaliście. Zadzwoń do Ami i powiem, że to nie była jej wina.

Emily i Massell wymienili pozbawione wyrazu spojrzenia.

- To miłe z twojej strony - rzekła.

- Jak wielka jest niestabilność?

Massell skrzywił się.

- Jest źle. Myślę, że trzeba ponownie sprawdzić całe zjawisko.

- Nie można tego po prostu wzmocnić?

- Mam nadzieję, ale to mogłoby wywołać efekt domina w wewnętrznej strukturze i spowodować przeciążenia.

- Może nie. - W głosie Emily były resztki nadziei. - Uwzględniliśmy spore zapasy operacyjne. Podstawowe parametry mają duży zapas bezpieczeństwa.

Troblum zamilkł, gnębiony niepokojem, którego nawet inhibitory nie potrafiły złagodzić. Jeśli Emily się myliła, jeśli potrzebne jest zupełne przeprojektowanie, wówczas trzeba by

przebudować neumannowskie układy cybernetyczne. To zajmie całe lata. Znowu. A w tym generatorze napędu pokładał prawdziwe nadzieje, myślał, że do końca tygodnia będzie miał funkcjonujące urządzenie. Tylko w ten sposób mógł przekonać ludzi, że jego teoria jest poprawna. Marius dopilnuje, żeby flota nigdy nie poparła poszukiwania, tego był pewien. Tylko to mu pozostało - ostatni strzępek dowodu.

- Przydzielą ci alokację zasobów, prawda? - spytał optymistycznie Massell. - Udało ci się doprowadzić swoją teorię do tego poziomu. - Objął zamaszystym gestem milczącą bryłę urządzenia. - Musisz mieć jakichś wpływowych politycznych sojuszników w komitetach. A to nie jest aż taka porażka. Tylko jedna rzecz działa nieprawidłowo.

Troblum celowo unikał spojrzenia Emily. Massell nie był kandydatem Mariusa.

- Tak, prawdopodobnie uda się zdobyć AEM na przebudowę.

- W takim razie, dobrze. Czy chcesz zabrać się do tego od razu czy poczekać kilka dni?

- Poczekajmy kilka dni - odparł Troblum, czytając swoją listę priorytetów społecznych. - Wszyscy potrzebujemy trochę czasu, żeby ochłonąć. Zacznę przegląd zdalnych pomiarów i zadzwonię do was, kiedy będę wiedział, jaki powinien być nowy format pola wiążącego.

- Dobrze. - Massell uśmiechnął się do niego z otuchą i zszedł z obudowy. - Obiecałem jednej inżynier z Air, że wybierzemy się razem do kurortu. Dam jej znać, że jestem wolny. - Spojrzał obojętnie na Emily i wyszedł.

- Czy będą fundusze na kontynuację? - spytała Emily.

- Nie wiem. Może nie od naszego wspólnego znajomego. - W tyle głowy zaległa mu się złośliwa myśl, że taki obrót spraw najbardziej sprzyja Mariusowi. Tylko jak daleko posunąby się przedstawiciel frakcji Progresywiści, żeby to osiągnąć? - Ale tak czy inaczej, będę to ciągnął. Nadal mam trochę osobistych AEM.

Miała sceptyczną minę, patrząc na wielki zestaw nadzwyczaj skomplikowanego sprzętu.

- Jasne. Jeśli będziesz potrzebował pomocy przy sprawdzaniu danych, daj mi znać.

- Dziękuję.

Troblum miał skromne biuro. Zajmowało kąt jednego z dobudowanych pomieszczeń. Duży fotel z zagłówkiem stał tam pośrodku układu wysokowydajnych projektorów solido. Troblum opadł na zniszczony fotel i przez wąskie okno patrzył na produkcyjną część hangaru. Był teraz sam i chemikalia neuronalne przestawały działać. Nie miał nastroju do sprawdzania diagnostyki. Silnik napędu powinien był wyslizgnąć się gładko z podajnika do zmodyfikowanej przedniej ładowni „Odkupienia Mellanie”. Troblum powinien pod koniec tygodnia zademonstrować Wspólnocie, że miał rację, i otworzyć nowy etap w historii Galaktyki. Elewaci nie powinni odczuwać frustracji, ale obecnie miał ochotę skopać te wszystkie neumannowskie układy cybernetyczne.

Po południu sieć bezpieczeństwa hangaru poinformowała Trobluma, że na lądowisku osiadła jakaś kapsuła. Przerzucił obraz z czujników do widzenia peryferyjnego i obserwował, jak otwierają się drzwi kapsuły. Wysiadł z niej Marius.

Troblum obawiał się o swoje życie. Ostrzeżenie w restauracji było już dość poważne. Ale Troblum był pewien, że konstrukcja napędu jest absolutnie poprawna, i teraz cały czas podejrzewał, że ktoś specjalnie sabotował proces produkcji. Tylko jedna osoba mogła tego dokonać. Spojrzał rzeczowo na „Odkupienie Mellanie”. Nawet z tą swoją bioniką Marius nie zdoła strzelić przez pole siłowe statku.

Nie dojdzie do tego. Troblum nie miał dokąd uciec, nie miał przyjaciół - ani jednego, nigdzie. I jeśli Marius przyszedł tu, żeby go wykończyć, to zrobi to na rozkaz Progresywiistów. Chowanie się wewnątrz statku tylko odwlecze to, co nieuniknione.

Muszę zacząć myśleć, jak się wydostać.

Z wahaniem kazał sieci otworzyć boczne drzwi.

Marius wszedł do biura, sunął jak zwykle gładko i

zdecydowanie. Rozejrzał się, nie próbując ukryć niesmaku.

- A więc to tu spędzałeś czas.

- Coś ci się nie podoba?

- Skądże. - Marius uśmiechnął się. - Każdy powinien mieć hobby.

- A ty?

- Ty byś tego nie docenił.

- Więc po co tu przyszedłeś? Zrobiłem, jak prosiłeś, nie naciskałem floty.

- Wiem. I zostało to dostrzeżone. - Marius uważnie patrzył przez okno biura na stos neumannowskich układów cybernetycznych. - Wyraży współczucia. Włożyłeś w to mnóstwo wysiłku.

- Skąd wiedziałeś...

Niesamowite zielone oczy przedstawiciela znów zwróciły się na Trobluma.

- Nie bądź dziecinny. Przyjechałem tu, bo potrzebujesz więcej funduszy, a ja mam projekcik, który mógłby cię zainteresować.

- Jaki projekt? - Minęło niebezpieczeństwo natychmiastowej śmierci, więc Troblum mimowolnie się zainteresował.

- Trudno ci będzie odmówić, jak poznasz szczegóły. Wdrażamy do produkcji napęd nadświetlny. Kto wie, może pojawi się jakaś nadwyżka, z której mógłbyś skorzystać.

Troblum nie miał pojęcia, jaki rodzaj napędu chce mieć frakcja ZAN; przecież sam pracował ostatnio dla Mariusa przy pewnej supertajnej konstrukcji.

- Pomożesz mi w przyznaniu dodatkowych funduszy na wznowienie tego projektu?

- W naszych niepewnych czasach budżety są skąpe, ale gdyby udało się szybko zakończyć konstrukcję naszego napędu, zostałoby prawdopodobnie trochę środków, które można by skierować na twój projekt. Mamy jednak coś innego, co mogłoby cię zainteresować. Rodzaj bonusu.

- Co takiego?

- Genom Bradleya Johanssona.

- Co? To niemożliwe. Nic z niego nie zostało.

- Niezupełnie. Kilka razy poddawał się rejuwenacji w klinice na Izolowanym Świecie. Parę wieków temu mieliśmy tam dostęp.

- Serio?

Mariusz tylko uniósł brwi.

- To brzmi nieźle - powiedział Troblum. - Bardzo dobrze. Nawet nie ma się co zastanawiać.

- Musisz mi teraz odpowiedzieć.

Troblum nadal nie miał pewności, co się stanie, jeśli odmówi. Nie wyczuwał u Mariusa żadnej ukrytej broni, ale nie wykluczał, że wciąż grozi mu nieodwołalna śmierć.

- Dobrze. Ale najpierw muszę mieć kilka dni na analizę tego, co tu się stało.

- Chcemy, żebyś natychmiast poleciał do naszej bazy produkcyjnej.

- Jeśli nie rozwiążę pomyślnie swojego problemu, nie będziecie mieli ze mnie pożytku. Na pewno o tym wiesz.

Spojrzenie Mariusa stwardniało, szmaragdowe oczy stały się niemal czarne.

- Dobrze. Masz czterdzieści osiem godzin. Nie więcej. Oczekuję, że potem ruszysz do nas. - Przekazał plan lotu do u-adiunkta Trobluma.

- Przylecę.

Gdy przedstawiciel opuścił biuro, biononika Trobluma musiała ostro interweniować, żeby powstrzymać drżenie jego ciała. Mimo to pot lał mu się po krzyżu, mocząc ubranie. Gdy czujniki pokazały, że kapsuła przedstawiciela podnosi się z lądowiska, Troblum znów przeniósł wzrok na swoją konstrukcję. Wszystko wygląda zbyt dobrze. Tak mało brakuje do sukcesu. Hojna oferta zapłaty plus niewiarygodna obietnica, że będzie mógł sklonować Bradleya Johanssona. Troblum wysłał swoje pole bioniczne w zastygłe układy cybernetyczne.

- Co ten drań zrobił? - wymamrotał. Wokół niego włączyły się projektory solido, w powietrzu pojawiła się wielobarwna zamieć subtelnych równań, które musowały, produkując zależności. Gdzieś musi być błąd w projekcie, który zajął mu piętnaście lat ciężkiej pracy. Celowa usterka. Tylko Emily mogła ją wprowadzić. Wywołał moduł, nad którym osobiście pracowała. Zaczął go analizować, przytłoczony dziwnym uczuciem. Trochę

to trwało, ale wreszcie zdał sobie sprawę, że to smutek.

Pięć hangarów dalej, Dostawca widział z biura, jak w powietrze wznosi się kapsuła Mariusa. Patrzył własnymi oczami i reprezentant Progresywistów w żaden sposób nie mógł odkryć, że jest bezpośrednio obserwowany.

- Odleciał - raportował Dostawca. - A tamten hangar zakłóca źródłowe protokoły naprowadzania. Nikt się tam nie dostanie bez zaproszenia. Z całą pewnością działają tam jacyś niegrzeczni chłopcy. Mam to infiltrować?

- Nie - odparła Frakcja Konserwatywna. - Na razie wykorzystamy obserwację pasywną.

- A niejaki Troblum, na którego hangar jest zarejestrowany?

- Z bazy danych wynika, że jego pasją jest wojna Gwiazdokrąży. Ma ciekawy log pokładowy. Lata swoim statkiem do bardzo odległych miejsc.

- Czy sądzisz, że też jest reprezentantem?

- Nie. To fizyk. Ma kontakty z flotą na wysokim szczeblu.

- Współpracuje z flotą?

- Tak.

- W jakiej dziedzinie?

- Artefakty i operacje wojenne Gwiazdokrąży. Interesuje się tym niemal fanatycznie.

- Więc dlaczego Marius miałby mu składać osobistą wizytę?

- Ciekawy problem. Zajmiemy się tym później.

- Mogę wracać do domu?

- Tak.

- Znakomicie. - Jeśli za dziesięć minut dotrze do międzygwiazdowego terminala wormholu na Arevalo, zdąży do domu na herbatę z córkami.

Trzeci sen Iniga

Był piękny letni wieczór, jasne słońce nad kompleksem Gildii Jajoformerów zabarwiło się na kolor miedzi. Edeard przemierzał dziewięcioboczny dziedziniec. Z zadowoleniem odetchnął, gdy zobaczył jak zespół pięciu geszympanśów usuwa ostatnie łaty kimchu z dachu psiarni. Szympansy odrywały silnymi pazurzystymi dłońmi zakurzone pasy gęstej fioletowej roślinności, odsłaniając blady łupek. Psiarnie były ostatnimi oczyszczonymi budynkami wokół dziedzińca. Dachy i rynny we wszystkich pozostałych oczyszczono i naprawiono już wcześniej. Nic nie ciekło na młode genistary, nie było już studzienek przelewających się podczas każdego deszczu. Nowy zespół szympansów, remontujących kompleks Gildii zajął się również murami. Pnącza gurkwina zostały znowu przycięte do schludnych żółtych prostokątów trzepoczących między drzwiami i oknami, co umożliwiło uczniom-murarzom odnowienie zaprawy w złączach murów. Dodatkową korzyścią z pierwszego od długiego czasu przycinania winorośli był rekordowy w tym roku zbiór owoców, gdyż zwisające pęki soczystych bordowych jagód sięgały niemal ziemi.

Edeard zatrzymał się i przepuścił Gonata i Evoxa, którzy wprowadzili na noc do stajni dwa żrebaki gekoni.

- Oba wyszczotkowane i gotowe? - zapytał. Rzucił dalwzrokiem na zwierzaki, sprawdzając czy na ich krótkiej, sztywnej sierści nie ma plam ani błota.

- Oczywiście, że tak! - wykrzyknął z oburzeniem Evox. - Wiem, jak wydać polecenie gemałpie, Edeardzie.

Edeard uśmiechnął się dobrodusznie. Uderzyło go, że gdy kieruje trzema nowymi uczniami Gildii, przemawia bardzo podobnie do Akeema.

Wyczuwał Sancię w boksie w stajni domyślników. Siedziała cicho w fotelu, a jej trzecia ręka unosiła się wokół jaja, subtelnie

rzeźbiąc naturę zarodkowego genistara. Młodziaki były utalentowane. Oczywiście niecierpliwe, ale chętne do nauki. Dwa z nowych gekoni wyrzeźbił Evox, który był niezwykle dumny ze swoich żrebaków.

Pojawienie się uczniów stało się prawdziwym punktem zwrotnym dla Akeema i Edearda. Evox dołączył do nich zaledwie tydzień po pamiętnej zeszłorocznej karawanie do Witham. Sancia i Gonat wprowadzili się do uczniowskiego dormitorium przed zapadnięciem zimy, a teraz jeszcze dwóch zastanawiało się dyskutowało nad wysłaniem dzieci do Gildii, przynajmniej na zimę. Po sześciu gorączkowych miesiącach inicjacji i dopasowywania, sprawy w kompleksie wreszcie się ułożyły. Edeard przekonał się nawet, że dysponuje teraz najbardziej luksusowym dobrem: wolnym czasem. I to mimo tego, że skierowano zespół geszympanów do rozpoczęcia rozpaczliwie niezbędnego remontu. Dzięki uczniom szlifującym swe umiejętności rozkazodawcze szympansy wykonały niektóre wewnętrzne naprawy, pobielili ściany, wyczyściły podłogi i nawet zakonserwowały jedzenie w słojach i baryłkach. Nadchodząca zima nie będzie w niczym przypominała ponurych zim w przeszłości.

- Jak się mają koty? - spytał Gonat.

- Właśnie szedłem je sprawdzić - odparł Edeard.

Gekoty wydobywające wodę okazały się tak skuteczne, że rada zamówiła drugą studnię, która miała być wykopana przy drugim końcu skalnej ściany za wsią. Oprócz wyprodukowania zamienników do istniejącej studni Edeard musiał teraz nadzorować całe nowe gniazdo. Prawdę mówiąc studienne koty nie przetrwały tak długo, jak Edeard się spodziewał. Przeżyły zaledwie dwa lata. I były niezwykle trudne do wyrzeźbienia. - Nie zapominaj, że rano przychodzi dostawa z farmy Doddita. Przypilnuj, żebyśmy mieli wystarczająco dużo miejsca w składach.

- Tak - jęknęli Gonat i Evox.

Pośpiesznie zagonili rozbrykane żrebaki do stajni, zanim Edeard zdołał przydzielić im dalsze zadania. Cały dziedziniec

rezonował od stukotu kopyt, warczenia, beczenia i szczekania rozmaitych genistarów. Dzięki uczniom, zdolnym obecnie wykonywać podstawowe rzeźbienia, Gildia nagle podwoiła szybkość wylęgu. W stajniach stało dwadzieścia domyslników. Akeem konsultował z Wedarem rozbudowę pomieszczeń. Większość zwierząt nadal szła do farm, ale znaczna część domów we wsi oczyściła nieużywane gniazda i poprosiła o geszympana lub małpę. Od czasu karawany do Witham gwałtownie wzrósł popyt na gewilki. Było to jakby to, czego chciał Edeard, ale nadal zniechęcał go sposób w jaki starsi mieszkańcy wsi nie chcieli brać udziału w prostym kursie odświeżającym wiadomości na temat wydawania poleceń, szorstko informując go, że wydawali rozkazy genistarom, zanim jeszcze urodzili się rodzice Edearda. Niewątpliwie była to prawda, ale jeśli od tamtego czasu robili to źle, nic się nie zmieniało i w rezultacie wokół Ashwell brykało mnóstwo źle zachowujących się genistarów, które dokuczały wszystkim. Edeard próbował więc ukradkiem dopilnować, żeby wiejskie dzieci miały przyzwoitą wiedzę z podstaw tej dziedziny. Matka Pani, Lorellan, pomagała mu na swój cichy sposób, pozwalając, by Edeard był obecny gdy uczyła wiejskie dzieci. Nikt nie śmiał przeciwko temu protestować.

Edeard dotarł do głównego holu i wbiegł po schodach, zadowolony, że oddalił się od dziedzińca. Jednym z wielu efektów ubocznych wzrastającej fortuny Gildii i większej liczby genistarów był silniejszy zapach sączący się ze stajni. Kiedy przybył Evox, Edeard wyprowadził się z dormitorium uczniów i zajął pokój czeladnika.

- Nie mogę zatwierdzić cię jeszcze jako Mistrza - oznajmił poważnie Akeem - niezależnie od tego, co zrobiłeś poza tymi ścianami, ani od twoich umiejętności. Trzeba stosować się do procedur Gildii. By zostać mistrzem, musisz służyć co najmniej pięć lat jako czeladnik.

- Rozumiem - odpowiedział Edeard, w duchu śmiejąc się z tej formalności. Uchowaj nas Pani od sposobu, w jakim starcy starają się utrzymywać porządek w świecie...

- I byłbym ci wdzięczny, gdybyś traktował Gildię nieco

poważniej, jeśli łaska - warknął Akeem.

Edeard gwałtownie stłumił swoje rozbawienie. Zdawało się, że Akeem potrafi poczuć każdą emocję, bez względu na to, jak dobrze się ją ukryje.

Jego nowy pokój naprawdę miał meble. Przyzwoite biurko, które sam zamówił w Gildii Stolarzy; szafa i komoda - potrzebna do przechowywania jego rosnącej garderoby. Łóżko miało miękki materac z gęsiego puchu. Po kilku straszliwych katastrofach w końcu powierzył trudniejsze elementy pralniczego rytuału swej osobistej gemałpie; tak więc co tydzień miał nowe prześcieradła pachnące lawendą z kuchennego ogródka - teraz również należycie utrzymanego.

Szybko się umył, używając wielkiego porcelanowego dzbana z wodą. Kompleks Gildii nie był jeszcze podłączony do wiejskiej sieci rur wodnych, ale Melzar obiecywał, że zostanie to zrobione do końca miesiąca.

Zarówno on jak i kuźnia usiłowali zaprojektować piec, który ogrzewałby wodę w pojedynczych domach. Wymyślali różne niezgrabne ustrojstwa z okręconymi wokół rurami. Jak dotychczas wszystkie rury pękały lub przeciekały, ale projektanci robili postępy.

Edeard skrobał starodawną brzytwą Akeema rzadkie włosy na podbródku, krzywiąc się, kiedy zacinał się tępy ostrzem. Nowa brzytwa była następna na liście zamówień - a po niej przyzwoite lustro.

Geszympany zostawiły stos świeżo wypranych ubrań. Edeard wybrał luźną białą bawełnianą koszulę i włożył ją razem z eleganckimi drojedwabnymi spodniami. We wsi znalazł kilka tkaczek, które chętnie robiły mu ubrania w zamian za gepajaki. Akeem nazwał tę niezarejestrowaną wymianę przedsiębiorczą inicjatywą, pouczając go, że nie może ona przeszkadzać w wykonywaniu oficjalnych zamówień. Edeard nadal miał buty zakupione w Witham. Teraz, po roku, trochę znoszone, ale wciąż wygodne i całe - jedynym problemem było to, że stawały się ciasne. Ostatniego roku urósł o prawie pięć centymetrów, ale wcale nie stał się masywniejszy. Przerażała go myśl, że jeśli

jeszcze urośnie, i nie stanie się grubszy w pasie, to może skończyć, wyglądając jak Fahin.

Otworzył małą kamienną baryłeczkę, stojącą w rogu naprzeciw kominka i wyjął skórzaną naramienną torbę. Było to jedno z miejsc stosunkowo ukrytych przed dalwzrokiem. Sprawdził, czy zawartość nie została odkryta przez innych uczniów i zawiesił torbę na ramieniu.

- Bardzo elegancko - zauważył Akeem.

Edeard podskoczył, ściskając torbę z oczywistym poczuciem winy. Nie zauważył starego Mistrza siedzącego w głównym holu. Wszyscy, ze zmiennym szczęściem, próbowali odtworzyć sposób w jaki ukrywali się bandyci. Edeard nie był pewien, jak wiele mentalnego wysiłku włożył Akeem, by uzyskać ten efekt. Zdolność siedzenia cicho i wtapiania się w tło zawsze go cechowała.

- Dziękuję - odparł Edeard. Ze skrępowaniem pociągnął dół koszuli.

- Wychodzisz, prawda? - spytał Akeem z przebiegłym rozbawieniem. Wskazał gestem na długi stół zastawiony na pięć osób. Nie wspomniał nic o torbie.

- Eee, tak. Moje zadania są skończone. Rzeźbienie nowych koni i psów dla farmy Jibita zacznę jutro. Trzy domyślniki jajeczkują; w ich zagrodach są samce.

- Pewne rzeczy są stanowczo łatwiejsze dla innych gatunków - zauważył Akeem i obdarzył ubranie Edearda kolejnym znaczącym spojrzeniem. - Więc które ze wspaniałych instytucji naszego miasta zaszczycasz dziś wieczór swą obecnością?

- Uhm, nie mogę pozwolić sobie na tawernę. Po prostu zbieramy się razem, ja i kilku innych uczniów, to wszystko.

- Jak miło. Czy ktoś z twoich kolegów uczniów jest przypadkiem rodzaju żeńskiego?

Edeard zamknął silnie swe myśli, ale nie mógł nic zrobić z płonącymi policzkami.

- Chyba będzie tam Zehar. Możliwe, że Calindy. - Wzruszył ramionami, demonstrując swą niewinność w takich sprawach.

Tym razem, wydawało się - wyjątkowo - że Akeem czuje się

niezręcznie, choć otoczył swe myśli silną tarczą.

- Chłopcze... może kiedyś powinniśmy porozmawiać o tych rzeczach.

- Rzeczach? - spytał Edeard w popłochu.

- Dziewczętach, Edeardzie. Mimo wszystko masz już szesnaście lat. Jestem pewien, że obecnie je już zauważasz. Wiesz, o co poprosić doktora Seneo jeśli, hm... okoliczności staną się przychylne.

Wyraz twarzy Edearda zamarł. Modlił się do Pani, by ten horror się skończył.

- Tak... eee, tak. Tak, wiem. Dziękuję. - Iść do doktora Seneo i poprosić o fiolkę soku winaka? Och, na miłość Pani, raczej bym go sobie zupełnie odrąbał.

- Ach, wspominam własne miłosne młodzieńcze przygody, kiedyś w Makkathranie. Och, te miejskie dziewczęta w tych swoich wytwornych strojach. Te z dobrych rodzin nie robiły nic innego przez cały dzień tylko dbały o siebie i przygotowywały się na wieczorne przyjęcia i bale. Edeardzie, tak chciałbym, byś mógł je zobaczyć. Nie ma ani jednej, w której byś się nie zakochał od pierwszego wejrzenia. Oczywiście, wszystkie miały w sobie diabła, który ujawniał się kiedy już zdjąłeś im stanik, ale jaki stanowiły widok.

- Muszę iść, bo się spóźnię - wyrwało się Edeardowi. Komuś w wieku Akeema nie powinno się pozwalać na używanie słów typu „miłosny” i „stanik”.

- Oczywiście. - Stary Mistrz wyglądał na rozbawionego. - Byłem egoistą, zatrzymując cię tutaj.

- Aż tak spóźniony nie jestem.

- Nie mam na myśli dzisiejszego wieczora.

- Hmm...

- Nie mogę cię już szkolić Edeardzie. Niemal przerosłeś swego Mistrza. Myślę, że powinienes pojechać do Makkathranu i studiować w Niebieskiej Wieży Gildii. Może pamiętają tam jeszcze moje imię. A przynajmniej mój tytuł wymaga pewnych przywilejów. Mogę ci napisać list popierający.

- Ja... Nie. Nie, nie mogę teraz stąd wyjechać.

- Czemu nie? - łagodnie spytał Akeem.

- Do Makkathranu? Ja? To jest, nie. W każdym razie to jest... to tak daleko, że nawet nie wiem, jak... Jak bym się tam dostał?

- Tak jak to robią wszyscy, mój chłopcze, podróżując z jakąś karawaną. Nie jest to niemożliwe, Edeardzie. Musisz się nauczyć wznosić oczy ponad horyzont, zwłaszcza horyzont tej prowincji. Nie chcę widzieć jak Ashwell cię dławi. Bo to z pewnością się wydarzy, jeśli tu zostaniesz. Nie chcę, by twój talent się zmarnował. Świat i życie to coś więcej niż ta jedna wioska na skraju dziczy. Cóż, już sama podróż do Makkathranu wyraźnie ci to uzmysłowi.

- Wcale nie zmarnuję talentu zostając tutaj. Wieś mnie potrzebuje. Niech pan spojrzy, co już się wydarzyło, kiedy mamy więcej genistarów.

- Ach, doprawdy? Wieś już staje się nerwowa z twego powodu, Edeardzie. Jesteś silny, jesteś inteligentny. Oni tacy nie są. Och, nie zrozum mnie źle, to przyjemne miejsce dla kogoś takiego jak ja, do dożywania swych ostatnich dni. Ale nie jest takie dla ciebie. Ashwell trwało wieki przed tobą; będzie trwało przez kolejne. Wierz mi. Miejsce i ludzie tak uparci i zakorzenieni w tym, czym są, nie znikną bez ciebie w czarnym sercu Hononiusa. Napiszę dla ciebie list w tym tygodniu. Karawana Barkusa ma się tu zjawić przed końcem miesiąca. Znam Barkusa od dawna, jest mi winien kilka przysług. Możesz wyjechać z nimi.

- W tym miesiącu? - szepnął zdumiony. - Tak szybko?

- Tak. Nie ma sensu tego opóźniać. Jasno to widzę.

- Nowe gekoty...

- Poradzę sobie, Edeardzie. Proszę cię, nie utrudniaj mi tej sprawy.

Edeard podszedł do starego Mistrza.

- Dziękuję panu. To jest... - Uśmiechnął się. - To przechodzi wszelkie wyobrażenie.

- Ha. Zobaczymy, jak bardzo będziesz mi dziękował za rok. Mistrzowie w Niebieskiej Wieży, w przeciwieństwie do mnie, nie będą ci w niczym pobłażać. Będą się świetnie bawić, wbijając Ci zasady posłuszeństwa. Będziesz miał niebieskie i czarne kości

zanim minie połowa pierwszego dnia.

- Zniosę to - oznajmił Edeard. Położył dłoń na ramieniu mężczyzny, tym razem pozwalając, by miłość jaśniała w jego umyśle. - Udowodnię im, że ma pan słuszność. Cokolwiek się zdarzy zniosę to, dla pana. Nigdy nie dam im powodu, by zwątpili w pańskiego ucznia. I sprawię, że będzie pan ze mnie dumny.

Akeem ujął jego dłoń i mocno ścisnął.

- Już jestem dumny. Teraz słuchaj. Marudzisz, kiedy twoi przyjaciele hulają. Idź tam, a ja zjem kolejny wytworny posiłek w towarzystwie naszych trzech młodocianych cymbałów. Będę słuchał ich głębokich wynurzeń i odpowiadał na ich niesłychanie trudne pytania.

Edeard zaśmiał się.

- Jestem złym uczniem, bo w taki sposób opuszczam swojego Mistrza.

- Rzeczywiście. Teraz idź, na miłość Pani. Pozwól mi zebrać resztki odwagi, bo jeszcze ucieknę do tawerny.

Edeard odwrócił się i opuścił hol. Niemal zatrzymał się, chcąc zapytać Akeema, co miał na myśli, mówiąc: „Wieś staje się nerwowa z twego powodu”. Zapyta jutro.

- Edeard! - zawołał Akeem.

- Tak, Mistrzu?

- Słótko ostrzeżenia. Nikomu nie wspominaj o swoim wyjeździe, nawet w rozmowach z przyjaciółmi. Zawieść to niepiękny kwiat i ma zwyczaj budzić urazę.

- Tak, Mistrzu.

Słońce opadło do szczytu muru szanćowego, kiedy Edeard spieszył uliczką odchodzącą od głównej ulicy, kierując się do granitowej skały za wioską. Świeące barwy nocnego nieba wynurzały się przez błękit dnia niczym drzewa z porannej mgiełki. Stary Buluku znajdował się dokładnie nad głową. Przebiegły wąż przejawiający się jako fioletowy strumień pełznący przez niebiosy w sposób, którego żaden z nielicznych astronomów Querencii nie mógł zgłębić. Z pewnością nie

zmieniał swego położenia zależnie od pór roku, ani nawet nie krążył wokół słońca. Kiedy Edeard go obserwował, przez całą jego długość przechodził, leniwie falując, okruch elektrycznie niebieskiego światła. Podróż po wężu zajmie okruczowi kilka minut. Światło było zbyt słabe, by rzucać cienie na zaschniętym błocie uliczki. Morze Odyna dryfowało już ku północnemu horyzontowi. Mniej więcej owalna plama niebiesko-zielonej mgiełki, nawiedzająca letnie wieczory. Nauka Pani głosiła, że morze tworzy serce Pustki, dokąd władcy Niebios zabierają dusze ludzi, by mogły przez resztę swego istnienia śnić w spokojnej szczęśliwości. Tylko dobrzy i godni zostaną pobłogosławieni taką podróżą, a Władcy Niebios nie pojawiali się na niebie Querencji już od tak dawna, że została po nich jedynie legenda i wiara utrzymywana przez wyznawców Pani. Z postrzępionych krawędzi Morza Odyna wystawały rafy, szkarłatne wzniesienia, na których Władcy Niebios niosący dusze mniej godnych rozbijali się i rozpoczynali swój długi upadek ku Hononiusowi i zapomnieniu.

Edeard często zastanawiał się, czy przypadkiem Władcy Niebios nie nieśli tak wielu niegodnych ludzi, że po prostu nie pozostało już żadne z tych wielkich stworzeń. Poczynienie takich zniszczeń we wszechświecie, byłoby przecież typowo ludzkie. Na szczęście nauki Pani głosiły, że to tylko duch ludzki upadł. Właśnie dlatego Pani Empirejska została namaszczona przez Pierwotne Byty by poprowadzić ludzi na powrót do ścieżki, która znowu powiedzie ich do Serca Pustki. To smutny fakt, że obecnie tak niewielu ludzi bierze sobie do serca słowa Pani.

- Przywołujesz Władców Niebios? - spytał głos.

Edeard uśmiechnął się i odwrócił. Śledził ją dalwzrokiem od chwili, gdy dziesięć minut temu wyszła z kościoła. To jedna z przyczyn, dla której wybrał tę trasę. Salrana wyłoniła się z cieni na placu targowym. Za opuszczonymi straganami kościół wyginał się łukiem ponad pozostałymi domami we wsi, natchniony cichym celem. Jego kryształowy dach połyskiwał załamując światło latarni ołtarza.

- Nie odpowiedzieli - oznajmił. - Nigdy nie odpowiadają.

- Pewnego dnia odpowiedzą. Poza tym, jeszcze nie jesteś całkiem gotowy by pożeglować do Serca.

- Nie. Nie jestem.

Do Edearda nie całkiem przemawiało jej poczucie humoru. Jeśli wziąć pod uwagę odległość do Makkathranu, mógłby równie dobrze podróżować do Serca. Jak sobie poradzi, kiedy wyjadę?

Nie tylko on wyrósł tego lata. Salrana również przybyło kilkanaście centymetrów; miała szerokie ramiona, jakby wyrastała na typową krzepką farmerską dziewczuchę, ale kiedy jej rówieśniczki przybierały na wadze i były już gotowe na swoje stulecie pracy na ziemi, ona pozostała szczupła i żywa. Jej prosta niebiesko-biała szata nowicjuszki stała się całkiem obcisła, co zawsze zmuszało Edearda do spoglądania na nią w całkowicie niewłaściwy sposób. Nie, żeby istniała na to jakaś rada - traciła swój dziewczęcy tłuszcz, by odsłonić najostrejsze kości policzkowe, jakie Edeard kiedykolwiek oglądał. Każdy widział, jaką pięknoscią się staje. Na szczęście ciągle była czymś poplamiona i jej kasztanowate włosy pozostawały nieulożone i dziewczęce - inaczej przebywanie w jej towarzystwie byłoby nie do zniesienia. W obecnym stanie Edeard spoglądał na ich przyjaźń z jednakową dozą radości i niepokoju. Była o wiele za młoda, by chcieć iść do łóżka, choć nie mógł się powstrzymać i wciąż zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim przestanie taka być. Takie myśli napawały go lękiem, bał się, że Pani powali go jakimś gigantycznym piorunem, wytaczającym się z rykiem z samego Hononiusa. Chociaż oczywiście Jej kapłanki wychodziły za mąż.

To teraz nieistotne. Nawet jeśli wrócę, to dopiero po latach. Będzie z jakimś prostakiem ze wsi, któremu urodzi trójkę dzieci.

- Jesteś w dziwnym nastroju - powiedziała Salrana: zaciekawiona chodząca niewinność. - Czy wszystko w porządku?

- Taa. Rzeczywiście wszystko w porządku. Usłyszałem kilka dobrych nowin. Wspaniałych nowin. - Uniósł dłoń. - I powiem ci o nich później, obiecuję.

- O rety, sekret i to w Ashwell. Założę się, że go poznam jutro do południa.

- Założę się, że nie.
- Jaka stawka?
- Nie. Jestem nieuczciwy. To sprawa prywatna.
- Teraz jesteś okrutny. Będę się modliła do Pani o twoje odkupienie.
- To bardzo miło z twojej strony.
- Stanęła przy nim blisko, uśmiechając się słodko.
- Tak więc idziesz sobie na górę do jaskiń?
- Eee, tak. Jedna czy dwie osoby powiedziały, że mogą tam być. Pomyślałem, że wpadnę.
- Więc kiedy mnie zaprosisz?
- Nie sądzę, by Matka Lorellan chciała, byś nocami przebywała w jaskiniach.
- Phi. Jest wiele spraw, o których dobra Matka nie wie, a ja wiem. - Potrząsnęła wyzywająco włosami, wyprostowała się. Trwała w tej agresywnej pozie kilka sekund, a potem zaczęła chichotać.
- Będziemy się modlić, by pozostawała w niewiedzy - odparł.
- Dziękuję, Edeardzie. - Figlarnie potarła jego ramię. - Kto by o tym pomyślał kilka lat temu. Obydwoje jesteśmy szczęśliwi. A ty - teraz należysz do chłopaków.
- Musiałem walczyć, zanim mnie zaakceptowali.
- Zabijałem ludzi. Nawet teraz wciąż widział twarz bandyty, zanim mężczyzna uderzył o drzewo. Malowało się na niej zdumienie i strach.
- Oczywiście, że walczyłeś, to typowe dla chłopców. Właśnie dlatego dziś wieczór znowu idziesz do jaskiń. Wszyscy musimy znaleźć sposób na życie tutaj, Edeardzie. Będziemy w Ashwell przez długi, długi czas.
- Nie mógł odpowiedzieć, po prostu obdarzył ją wymuszonym uśmiechem.
- I uważaj na tę Zehar. Ona już się przechwała, że ma zamiar cię mieć. Opisuje to bardzo barwnie. Jak na uczennicę piekarza.
- Ona. Jest? Ona chce...?
- Salrana zrobiła minę diabełka.
- O, tak. - Wysłała mu pocałunek. - Opowiedz mi szczegóły.

Umieram z ciekawości, czy naprawdę potrafisz robić takie paskudne rzeczy. - Potem odwróciła się do niego plecami. Podtrzymując wysoko spódnicę, popędziła w dół zbocza, cały czas chichocząc.

Edeard odetchnął. Uczucia miał równie niepewne jak nogi. Jeśli był jakiś powód do pozostania w Ashwell, właśnie na niego patrzył. Potem kiedy skręciła za róg w główną ulicę i biegła załatwić swoje sprawy, długo śledził ją dalwzrokiem, pilnując, czy jest bezpieczna.

Skała za Ashwell była podziurawiona jaskiniami. Wiele z nich rozszerzano przez dziesięciolecia. Część przekształcono w pomieszczenia magazynowe używane w trakcie długich zimowych miesięcy, gdy temperatura i wilgotność w jaskiniach niemal się nie zmieniały. Kilka z nich wykorzystywano jako stodoły. Edeard nie interesował się nimi. Skierował się natomiast ku małej dziwnie nachylonej szczelinie w skale na zachodnim końcu ściany, tylko trzydzieści metrów od miejsca, gdzie zaczynały się otaczające wioskę mury. Aby się do niej dostać, musiał się wspiąć na stertę wygładzonych głazów, a potem złapać za górną krawędź otworu i przerzucić się w mrok. Większy od niego miałoby trudności w przejściu przez tę szczelinę. On sam będzie mógł jeszcze przez nią wchodzić tylko przez około rok. Kiedy już znalazł się w środku, otwarło się przejście i łagodna paplaninia wiejskiej dalmowy gwałtownie znikła. Bezpośredni świat skurczył się do wilgotnej, zimnej i ponurej czerni. Nawet jego dalwzrok nie mógł przeniknąć przez tak grubą skałę. Czuł tylko otwartą jamę wokół. Dopiero gdy minął zakręt, zobaczył z przodu błysk żółtego światła.

Siedmioro uczniów zgromadziło się w wąskiej, wysokiej jaskini o szczelinowym pułapie. Stali wokół paru poobijanych starych lamp. Z knotów lamp buchało mnóstwo dymu. Gdy wszedł, przerwali rozmowę, a potem na ich twarzach rozkwitły uśmiechy powitania. To było satysfakcjonujące poczucie przynależności. Nawet Obron radośnie uniósł dłoń. Fahin gestem wezwał go do

siebie. Edeard miał świadomość, że Zehar obserwuje go z niemal kocim skupieniem. Obdarzył ją nerwowym uśmiechem. W odpowiedzi uśmiechnęła się drapieżnie.

- Nie sądziłem, że przyjdiesz - powiedział Fahin.

- Coś mnie zatrzymało - wyjaśnił Edeard. Otworzył torbę i uniósł w górę wielką butlę wina. Została przywitana pochwalnymi gwizdami.

Fahin przysunął się bliżej.

- Myślałem, że Zehar cię wystraszyła - powiedział znaczącym szeptem.

- Słodka Pani, czy opowiedziała o tym wszystkim, oprócz mnie?

- Podśluchałem, jak mówiła o tym Marilee. Zehar próbowała namówić Kelinę, by ta wzięła trochę soku vinaka ze składu farmakologicznego Senea. Założyłem, że bierzesz w tym udział.

- Nie - warknął Edeard.

- W porządku. Cóż, jeśli zajdzie taka potrzeba i, jak to się mówi, przypili cię, po prostu mnie poproś. Mogę tak zorganizować dla ciebie fioletkę, że nikt tego nie zauważy, zwłaszcza Senea.

- Dobrze, zapamiętam to, dzięki.

Fahin skinął głową, jakby było mu to obojętne. Jego pasywne myśli powierzchowne potwierdzały ten stosunek do sprawy. Odpiął swój stary mieszek lekarski i wyjął nieco suszonych liści kestrika. Pozostali uczniowie w niezbyt subtelny sposób skupili uwagę na Edeardzie i Fahinie.

Edeard przesunął się i otworzył wino. Ciemnoczerwone, co, jak zawsze twierdził Akeem, było oznaką jakości. Wszystkie wina dostępne w Ashwell miały mocny smak, który pozostawał w ustach przez ponad dwanaście godzin. Edeard przypuszczał, że w końcu się do tego przyzwyczai, ale żeby rzeczywiście to polubić...

- Fahinie, gdzie się widzisz za pięćdziesiąt lat?

Wysoki uczeń doktora uniósł wzrok znad małego łupkowego tłuczka, którym rozgniatał liście.

- Jesteś dzisiaj bardzo poważny, przyjacielu. Zwróć uwagę, że ona wywiera taki wpływ na ludzi.

Przez chwilę Edeard myślał, że mówi on o Salranie, a potem oczy Fahina spojrzały na Zehar. Ich ruch został podkreślony

przez zbyt duże soczewki okularów.

- Nie - powiedział z irytacją Edeard. - Mówię poważnie pomyśl: za pięćdziesiąt lat. Ku czemu dążysz w swojej pracy?

- Cóż, oczywiście będę doktorem. Tak naprawdę Seneo jest znacznie starszy, niż większość ludzi zdaje sobie sprawę. - Fahin zaczął mieć liście kestrica gładkimi, lekkimi ruchami mózdzierza.

- Właśnie do tego? Do bycia wiejskim doktorem?

- Tak. - Fahin nie patrzył już na Edearda, skupił myśli. - Nie jestem taki jak ty, Edeardzie. Niech mnie Hononius, nie jestem nawet podobny do Obrona. Jestem pewien, że w ciągu następnego stulecia doprowadzisz naszą Gildię Jajoformerów do wielkości. Prawdopodobnie za mniej niż trzydzieści lat zostaniesz Burmistrzem. Nazwa Ashwell stanie się znana, ludzie przybędą i ten kraj ponownie rozkwitnie. Wszyscy się tego po tobie spodziewamy. Tak więc, w podobnych okolicznościach, zostanie wiejskim doktorem i twoim przyjacielem, mimo wszystko nie jest taką drobną ambicją.

- Naprawdę myślisz, że to zrobię?

- Możesz to zrobić. - Fahin zmełł ostatnie skrawki liścia na drobny proszek. - Albo to, albo poprowadzisz armię barbarzyńców na oblężenie Makkathranu i obalenie starego porządku. Masz siłę, żeby zrobić również to. Widziałem. Wszyscy widzieliśmy. Siła tego typu przyciąga ludzi.

- Nie mów takich rzeczy - odparł Edeard. - Nawet żartem.

- Kto tutaj żartuje? - Fahin przesypał pył kestrica z domieszką tytoniu do białej fajeczki.

Edeard wpatrywał się w przyjaciela ze niepokojem Czy tak właśnie myślą ludzie? Czy to właśnie dlatego ich denerwuję?

- Wiesz, strażnicy przy bramie mówią, że czasami w nocy dalwidzą twoje szybkolisy - powiedział Fahin. - Czy trzymasz je tam, za murami?

- Co takiego? Nie! Odesłałem go z powrotem gdy wróciliśmy. Byłeś wtedy ze mną, widziałeś, jak to robiłem. Skąd by strażnicy mieli o tym wiedzieć, starzy głupole. I tak przesypiają większość nocy i z żadnej odległości nie odróżnią jednego zwierzęcia od

drugiego.

- Te szybkolisy mają obrożę.

- Nie są moje - upierał się Edeard. - Chwileczkę, jest ich więcej niż jeden? Wiesz, że opanowałem tylko jednego. Kiedy je widzieli? - spytał zaciekawiony.

Fahin zapalił zapałkę i pociągnął mocno z cybucha, wciągając płomień w główkę fajki.

- Nie jestem pewien. - Wypuścił trochę dymu. - Ze dwa miesiące temu.

- Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Mógłbym sprawdzić, czy to rzeczywiście są lisy.

- Rzeczywiście, czemu?

Zapałka zgasła i Fahin mocno pociągnął. Prawie natychmiast jego oczy stały się zamglone.

Edeard wpatrywał się w przyjaciela z rosnącym niepokojem. Zbierali się tu na drinka, dymek i rozmowę, tak jak robili to wszyscy uczniowie od czasu założenia Ashwell. Ale ostatnio Fahin palił niemal co noc. Był to nałóg, który wykazywał stabilny wzrost od dnia, gdy wrócili z withamskiej karawany.

- Słodka Pani - powiedział cicho Edeard, kiedy podeszli inni uczniowie. Może należałoby stąd natychmiast wyjść. Fahin podał fajkę Genrilowi. Uśmiechnięta Zehar wyciągnęła dłoń po wino Edearda. Zanim je wręczył, z rozmysłem pociągnął duży łyk.

Po obudzeniu Edeard najpierw miał odruch wymiotny. Kiedy spróbował się obrócić, uderzył mocno skronią o zimne deski podłogi. Uświadomienie sobie tego zabrało mu chwilę, ale w końcu dotarło do niego, że nie leży na swym miłym, miękkim materacu. Z jakichś przyczyn leżał rozciągnięty na podłodze przy łóżku, całkowicie ubrany, z wyjątkiem jednego buta. I śmierdział!

Znowu jęknął i poczuł, jak w gardle wzbiera mu kwas. Porzucił wszelkie próby panowania nad sobą i spektakularnie zwymiotował. Kiedy to robił uderzył go strach i zaczął się pocić. Trząsał się, żałośnie ścierał ciecz, ciekącą mu z warg i prawie łąkał z udreki. Mógłby znieść kaca, nawet tego po czerwonym winie,

ale w tym było coś więcej niż zapłata za zbytne pobłażanie sobie. Kiedyś już się tak czuł. Las. Zasadzka bandytów.

Jego ciało reagowało na alkohol i na kilka pociągnięć fajki. Tymczasem umysł wrzaskiem ostrzegał go, na jakimś głębokim instynktownym poziomie, o śmiertelnym niebezpieczeństwie które go osacza, wychynawszy z otaczającego mroku. Zmusił się, by usiąść. Wątle pastelowe światło nocnego nieba sączyło się przez okiennice, zalewając jego pokój. Wszystko było w porządku, prócz niego samego. Zaskomlął z samej gwałtowności strachu, który przez niego przepływał, spodziewał się, że w każdej sekundzie pochłonie go coś okropnego. Kac przyprawiał go o bolesne pulsowanie w głowie. Koncentracja nastęrczała trudności, ale zdołał nieco skupić dalwzrok i rozejrzał się po otoczeniu.

Troje uczniów spało w dormitorium. Wysilał się i niemal krzyczał z powodu bólu iskrzącego za oczami. Akeem również leżał na łóżku, pogrążony w głębokim śnie. Na zewnątrz, na dziedzińcu, młode genistary spędzały noc na drzemce, człapiąc i trzęsąc się, jak miały w zwyczaju. Para kotów stąpała delikatnie po dachach, śledząc małe gryzonie. Przy bramie gewilk, w swej tradycyjnej kamiennej budzie wartowniczej, leżał zwinięty na łapach. Jego wielka głowa kołysała się powoli, kiedy posłusznie obserwował drogę na zewnątrz.

Edeard jęknął z wysiłku związanego z tak dalekim poszukiwaniem i wycofał swój dalwzrok. Nadal trzął się z zimna. Przód koszuli był ohydnie lepki, a smród się wzmagał. Groziło to powrotem mdłości. Edeard z wysiłkiem pozbył się koszuli i zatoczył do nocnego stolika. Stała tam szklanka wody - pociągnął z niej kilka haustów. W szufladzie u stóp małego wieszaka znajdował się woreczek z przygotowanymi przez Fahina, wysuszonymi płatkami jenu, zamoczonymi w oleju. Edeard otworzył woreczek, zamknął oczy i wsunął jeden z płatków do ust. Smakował ohydnie, ale Edeard popił go ostatnim haustem wody ze szklanki.

W całym swym szesnastoletnim życiu nigdy nie czuł się tak podle. A trwoga nadal nie ustępowała. Drżał, obejmując tors, a w

oczach gromadziły mu się łzy.

Co się ze mną dzieje?

Pokuśtykał do okna i pchnięciem otworzył okiennice. Napłynęło zimne, nocne powietrze. Morze Odyna prawie opadło poniżej horyzontu, co oznaczało, że jest najwyżej druga w nocy. Niskie strzechy wiejskich dachów roztaczały się wokół, blade w nikłym, migoczącym świetle mgławic. Nic się nie poruszało, ale z jakiegoś powodu taki pogodny widok jeszcze pogarszał ogarniającą go trwogę. Przez chwilę słyszał krzyki, widział płomienie. W żołądku mu zawrzało. Wychylił się przez parapet.

Pani, dlaczego mi to robisz?

Kiedy się wyprostował, instynktownie spojrzął na wiejską bramę i jej bliźniacze wieże strażnicze. Strażników ani śladu. Ale to prawie osiemset metrów stąd i trwa noc. Edeard wziął głęboki oddech i ścisnął bok okna w ponurej determinacji. Jego dalwzrok skoczył do przodu. Jeśli z nimi wszystko w porządku, natychmiast wracam prosto do łóżka.

Wieże zbudowano z wygładzonego kamienia. W ostatnich dziesięcioleciach wzmocniono je wewnątrz ramami z grubego drewna. Mimo to, w murach nie było dziur, jedynie kilka niepokojąco długich pęknięć idących zygzakiem w górę i w dół. Na parapetach wież mieściło się dziesięciu strażników, którzy mogli atakować ciężką bronią każdego, kto okazał się na tyle głupi, by szturmować bramę. Dzisiaj we wschodniej wieży nie było nikogo. Samotny mężczyzna stał na zachodnim parapecie, pod dzwonem alarmowym. Wzrok miał zwrócony do wewnątrz murów, spoglądał na wioskę. U jego stóp na płaskich kamieniach spoczywały trzy trupy.

Edeard zatoczył się w szoku i próbował ponownie zogniskować swój dalwzrok. Cofał się i powracał, aż w końcu skoncentrował się na parapecie. Myśli samotnego mężczyzny jaśniały odcieniem satysfakcji. Edeard poczuł mentalny uśmiech.

- Pozdrowienia - powiedział dalmową mężczyzna.

Edeardowi ścisnęło się gardło, dławiąc oddech.

- Kim jesteś? Mentalny śmiech drwił.

- Wiemy, kim jesteś. Wiemy o tobie wszystko, twardy chłopcze.

Wiemy, co zrobiłeś naszym przyjaciółom. Z tego powodu dzisiaj jesteś mój. I obiecuję ci: będziesz umierał powoli.

Edeard zaskowytał z przerażenia i odskoczył od okna. Mimo to, nadal czuł na sobie wątyły dotyk dalwzroku mężczyzny. Włożył jak najwięcej siły w swoją dalmowę i krzyknął:

- Akeemie! Akeemie, obudź się. We wsi są bandyci.

Jego mentalny krzyk był jak jakiś sygnał. Łagodnie żarzenie umysłów zmaterializowało się w przejściach i uliczkach, które wiły się wśród domów i kompleksów Gildii. Edeard wrzasnął. Byli wszędzie!

Tak wielu! Są tu chyba wszyscy bandyci z dziczy.

- Co, na Panią? - nadeszły mętnie myśli Akeema.

- Bandyci! - krzyknął znowu Edeard głosem i umysłem. - Setki. Już tu są.

Dźgnął umysłowym bodźcem wszystkie gewilki w kompleksie i włączył ich atak. Na dziedzińcu wzniosło się głośne, groźne warczenie.

Na ulicy przed Gildią pojawiło się pięciu bandytów, silnych i pewnych siebie. Już nie próbowali się ukrywać. Nie mieli zabłoconej skóry i zmierzwionych włosów jak tamci z lasu. Nosili proste ciemne bluzy i mocne buty. Nie mieli również łuków ani strzał. Co dziwne, każdy owinął wokół ramion dwa pasy, tak że krzyżowały się na piersiach. Do pasów bandyci przypięli małe metalowe pudełka oraz rozmaite noże. Z eteru łąły się szepty ich dalmowy. Potem Edeard poczuł idące z nimi szybkołisy. Każdy miał dwa oswojone i wyszkolone zwierzaki.

- O słodka Pani, tylko nie to - wydyszał.

Jego umysł odbierał, jak Akeem rozmawia z innymi starszymi. Szybkie i precyzyjne myśli wszczynały alarm.

Za późno. Na niektórych dachach Ashwell pojawiły się płomienie. Pochodnie, grube od ognia z oliwy, wirując, leciały precyzyjnie prowadzone telekinezą. Pożar rozprzestrzenił się szybko, zachęcony przez suche miesiące pięknego lata. Okropny pomarańczowy blask zaczął okrywać wieś.

Przez dziedziniec Gildii pędziły gewilki. Edeard wyciągnął wściekle trzecią rękę i pchnięciem otworzył im furtę na oścież.

Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszał ten dźwięk. Okropny potężny ryk, jakby strzelało jednocześnie sto pistoletów. W otwartym oknie jego pokoju pojawiło się białe światło, a umysł poczuł ohydłą złośliwą radość bandytów na ulicy. Gewilki padły, ich mózgi promieniowały płomieniami bólu, gdy ich ciała rozrywano na kawałki. Niektóre z nich przeżyły atak dziwnej broni, aby zderzyć się z szybkołisami. Metaliczny ryk ucichł, a zwierzęta walczyły. Gryzły się, wiły, obracały i skakały.

Właśnie wtedy Edeard usłyszał krzyk kobiety. Był zbyt wielki zamęt, zbyt wiele cierpienia przewalającego się przez Ashwell, by mógł dalwzrokiem wyśledzić źródło krzyku, ale wiedział, co oznacza ten dźwięk. Co będzie znaczył dla każdej kobiety we wsi złapanej żywcem. I dla dziewczyny.

Wysłał jedną przeszywającą myśl ku kościołowi.

- Salrana!

- Edeardzie! - szczeękęła w odpowiedzi jej przerażona dalmowa. - Są tutaj, są w kościele.

Umysłem znalazł ją natychmiast, dalwzrok przybliżył ją, jakby oświetlał dziewczynę potężnym promieniem światła. Kuliła się ze strachu w swoim pokoju w domu Matki, będącym tylną częścią kościoła. Pod samą kopułą trzech bandyci posuwali się pustymi przejściami między ławkami, promieniując dumą i pogardą. Szybkołisy kroczyły obok. Matka Lorellan już wstała i zmierzała do kościoła, by zająć się świętokradcami. Jak na kobietę pobożną, jej umysł świecił niezwykle silną agresją.

Edeard wiedział, że bandyci i szybkołisy potną ją na kawałki.

- Wynoś się stamtąd - polecił Salranie. - Już. Przez okno i do ogrodu. Bądź stale przed nimi, w ruchu. Kieruj się na rynek. Jest wybrukowany, nie ma tam ognia. Spotkamy się przy stanowisku ważenia zboża.

- Och, Edeardzie!

- Zrób to. Natychmiast.

Podbiegł do okna. Ulica nie leżała wiele poniżej, a rzeź, którą szybkołisy zgotowały ocalałym gewilkom niemal się skończyła. Mógł się zająć zwycięzcami, niezależnie od tego kim byli. Po strzechach tarasowatych domów gnały płomienie. Gwałtownie

otworzyły się drzwi i wysypali się z nich ludzie, z tarczami mocno owiniętymi wokół ciał, z uniesionymi wysoko nożami. Bandyty unieśli swą broń i znowu rozległ się hałas. Edeard patrzył otępiały, jak przysadziste pistolety wyrzucają niebieskofioletowy płomień. W jakiś sposób wystrzeliwały kilkadziesiąt kul, przeładowując się z nieprawdopodobną szybkością. Mieszkańcy wioski trzęśli się i rzucali w bólach, kiedy kule przebijały ich tarcze.

- Sukinsyny! - zawył Edeard i wyskoczył na ulicę.

- Nie! Nie rób tego. - Dalmowa Akeema była tak potężna, że pół wsi zatrzymało się w bezruchu. Nawet broń chwilowo ucichła.

Edeard wylądował, ból promieniujący z bosej pięty przeszył mu nogę. Obrócił się do najbliższego bandyty, który przykucnął, jakby chciał za chwilę zastosować chwyt zapaśniczy. W jakiś sposób czuł, że zarówno Akeem, jak i mężczyzna w wieży strażniczej wstrzymują oddech. Bandyta przed nim podniósł czarny pistolet, warcząc z radości. Edeard sięgnął trzecią ręką i zamknął ją na pistolecie. Nie był pewien, czy nawet jego tarcza wytrzyma tak wiele uderzających kul, ale, tak jak to jest z każdym pistoletem, trzeba najpierw pociągnąć za spust. Oczy bandyty rozszerzyły się z zaskoczenia, kiedy okazało się, że jego własna tarcza nie jest w stanie ochronić go przed mocą Edearda. Potem na ulicy rozległ się denerwujący wrzask, gdy palce bandyty zostały szybko, jeden po drugim złamane. Edeard obracał pistolet przed otępiałym wzrokiem bandyty, aż mężczyzna wpatrywał się bezpośrednio w lufę, a potem mocno pociągnął za spust. Coś warknęło w mechanizmie pistoletu. Głowa bandyty rozleciała się. Krwawe strzępy opadły na błotnistą ulicę.

Trzej pozostali unieśli broń. Edeard napiął się, złapał mocno ich ciała trzecią ręką, uniemożliwiając im najmniejszy ruch.

- Bierzcie ich - rozkazał ocalałym wieśniakom wychodzącym z płonących domków.

- Ach, twoja śmierć będzie wyjątkowa - wysłał mu wiadomość bandyta z wieży.

Za Edeardem ryknął pistolet. Odwrócił się z drgnięciem i zobaczył piątego bandytę, jak pada na swą własną broń,

powalony przez rój geszympanów, poinstruowanych przez Akeema.

- Mówiłem „nie rób tego” - zbeształ go Akeem dalmową.

- Dziękuję - odparł Edeard.

Wieśniacy załatwiali bandytów z wściekłością, którą Edeard uznał za zatrważającą. Puścił zakrwawione trupy. Wtedy wszyscy zwrócili się ku niemu, oczekując przewodnictwa.

- Idźcie do kompleksu Gildii - polecił im, świadomy, że jest to dziwaczne echo instrukcji Melzara. - Zgrupujcie się razem. To nada waszym tarczom prawdziwą siłę.

- Ty też, chłopcze - powiedział Akeem, kiedy Edeard podniósł jeden z bandyckich pistoletów.

Był znacznie cięższy niż oczekiwał. Omiótł go dalwzrokiem i zobaczył wewnętrzny mechanizm, niesłychanie skomplikowany. Jedyną częścią, której funkcję rozumiał był spust. Nie wydawało się, by w metalowym pudełku z przodu kolby pozostało wiele kul.

- Muszę pomóc Salranie.

- Nie. Tutaj wszystko stracone. Wynoś się. Proszę, cię, Edeardzie, żyj. Nie pozwól im zwyciężyć.

Edeard zaczął biec po ulicy, krzywiąc się za każdym razem kiedy jego nieobuta stopa dotknęła gruntu.

- Nie zniszczą tej wsi.

- Już to zrobili, chłopcze. Ukryj się. Wynieś się stąd.

Wysunął swój dalwzrok, szukając bandytów. Zobaczył szybkołosa mknącego susami w uliczce. Kiedy się z niej wynurzył, Edeard był niemal przy nim; chłopiec wcisnął trzecią rękę w mózg stworzenia i rozerwał mu go. Zwierzę upadło w złowrogim świetle płonących strzech. Ulica stała się źlebem skaczących płomieni, jaśniejszych niż wszystkie świty. Ostry warkot pożaru przecinały wrzaski, krzyki i odgłosy strzałów.

- Jesteś dobry, co? - drwił bandyta z wieży.

Edeard pchnął swój dalwzrok do wieży, ale mężczyzny już tam nie było. Szybki ogląd otaczających go terenów nic nie dał. Widział tylko wyłamaną bramę i martwych wiejskich strażników.

- Dokąd on poszedł? - pytał Edeard gorączkowo. - Akeemie,

pomóż. Nie wyczuwam połowy z nich.

W rzeczywistości usłyszał łagodne szczęknięcie mechanizmu pistoletu i wzmacnił tarczę. Strumień kul wytrysnął z domku, który właśnie minął. Edeard uznał później, że miał szczęście, nie wszystkie kule w niego uderzyły, bandyta źle wycelował. I jeszcze usłyszał cichą dalmowę: „Nie, nie jego”. Mimo to siła tych pocisków, które go trafiły, wystarczyła, by przewrócić go do tyłu. Na wpół oszołomiony, instynktownie wyrzucił swą trzecią rękę ku źródłu strzałów. Bandyta przecinał drogę zataczając się i kręcąc głową. Edeard sięgnął do płonącej strzechy ponad nim i silnie pociągnął. Gęste fale płomieni oderwały się od rozpadającego się dachu i spadły na bandytę, zmuszając go do klęknienia. Jego wrzaski zostały na szczęście stłumione.

- Nic ci nie jest? - spytał Akeem.

Edeard z jękiem podniósł się na nogi. Wszędzie dookoła szalały wściekłe płomienie, które wyrzucały w nocne niebo ogromne, sypiące iskrami kule. Na obnażonym torsie czuł takie gorąco, że był przekonany, iż pęka mu skóra i wyskakują bąble.

- Jestem tutaj - odpowiedział. - Ale ich nie czuję, nie wiem, gdzie są.

I wiedział, że bandyta z Wieży przybywa, prześlizguje się ukradkiem przez kłębiące się płomienie i walące ściany.

- Spróbuj tego - powiedział Akeem.

Głos jego dalmowy stał się tak naciągnięty, jakby wznosił się do poziomu śpiewu ptaków. Zdawał się wypełniać czaszkę Edearda. Dar wiedzy, a czasami i wspomnień, który wyjaśniał, jak wykonywać konkretne zadania mentalne. Edeard już poprzednio wchłonął tysiące podstawowych wyjaśnień na temat sztuki rzeźbienia, ale to było znacznie bardziej złożone. Kiedy pieśń się skończyła, zaczął kształtować swój dalwzrok i trzecią rękę w połączoną symbiotyczną siłę, która utkała mrok w otaczającym go powietrzu. Przypominało to stanie pośrodku grubej łąty mgły.

- A teraz proszę - błagał Akeem. - Wynoś się. Nie marnuj życia, Edeardzie, nie rób jałowych gestów. Proszę. Pamiętaj: Niebieska Wieża w Makkathranie. Idź tam. Zostań kimś.

- Nie mogę cię zostawić! - krzyknął w straszliwą noc.

- Wiesz już jest stracona. Teraz idź. Idź, Edeardzie. Nie pozwól, by wszystko się zmarnowało.

Edeard chciał krzyknąć, że jego Mistrz się myli, że jego dzielni przyjaciele uczniowie i silni mistrzowie jak Melzar i Wedard prowadzą walkę obronną. Ale spojrzawszy na ognistą pożogę wokół, wiedział, że to nieprawda. Wrzaski nadal wypełniały powietrze, obok warczenia szybkolisów oraz zabójczego łoskotu pistoletów. Opór skurczył się do kilku kompleksów i holi, należących do różnych Gildii. Reszta wsi płonęła. Nie było nic, co można by uratować. Z wyjątkiem Salrany.

Edeard zmusił się do wstania na nogi i znowu zaczął biec w kierunku rynku. Raz jakiś bandyta minął go na ulicy, nie dalej niż pięć metrów od niego. Mężczyzna nigdy się nie dowie, jak byli blisko. Z pewnością Edeard mógł go zabić, to pokazałoby bandycie z wieży, gdzie jest, a w swej wściekłości i desperacji Edeard wiedział, że nie ma ani umiejętności ani siły, by go zwyciężyć.

Zanim wpadł na plac targowy, przebiegł obok trzech dalszych bandytów. Plac otaczał mur płomieni, ale między straganami było chłodniej. Dwaj bandyci trzymali na ziemi kobietę, śmiejąc się, kiedy trzeci ją gwałcił. Szybkolisy krążyły wokół tej małej grupki, trzymając straż.

Edeard po prostu nie mógł tego zignorować. Nawet rozpoznał kobietę, choć nie znał jej imienia. Pracowała w garbarni, pomagając przygotowywać skóry.

Bandyci zorientowali się, że coś jest nie w porządku, kiedy ich szybkolisy nagle przestały krążyć. Wszystkie sześć zwierząt kręciło głowami, ogromne szczęki otwierały się, odsłaniając ogromne kły o rozmiarach ludzkich palców.

- Co... - zdołał powiedzieć pierwszy bandyta. Podniósł swój pistolet, ale było już za późno. Szybkolisy skoczyły. Dalsze wrzaski odbiły się echem wokół straganów.

- Ach, to tutaj jesteś - triumfował długogłós. - Martwiłem się, że mi uciekniesz.

Edeard warknął ku zwieńczonemu dymem niebu. Próbował jak mógł, ale nie mógł wyśledzić, skąd dochodzi dalmowa.

- Co tutaj robisz, prócz zabijania moich towarzyszy? Ach tak, rozumiem.

Edeard wyczuwał Salranę skuloną za ladą stanowiska ważenia zboża i patrzącą w jego stronę w górę z zaintrygowaną miną. Puścił się ku niej biegiem.

- Jest na rynku - ogłosił bandyta na całą wioskę. - Otoczcie go.

Edeard poczuł jak bandyci odwracają się i zaczynają zmierzać w jego stronę.

- Och, jest śliczna. Młódka z kościoła, prawda? Tak, rozpoznaję ją. Cóż, gratulacje mój twardy mały przyjacielu. Dobry wybór. Z pewnością jest warta, by wszystko dla niej zaryzykować.

Edeard dobiegł do stanowiska ważenia zboża i rzucił ukrycie. Salrana stłumiła okrzyk, kiedy pojawił się tuż przed nią.

- Mam cię.

Edeard aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę z nagłej satysfakcji wyczuwalnej w dalmowie bandyty. Była tam również bardzo słaba migawka tupiących stóp, mięśni nóg naprężających się z wysiłku byle tam dotrzeć i złapać wzbudzonego strach chłopca.

- Tuż przy końcu mam zamiar wyciąć ci powieki, tak byś musiał patrzeć, kiedy będę ją pieprzył - powiedział bandyta, przeplatając swą dalmowę wybuchami mrocznej przyjemności. - To będzie ostatnia rzecz, którą zobaczysz przed śmiercią. Ale pójdziesz prosto do Hononiusa wiedząc, że zatrzymam ją dla siebie. Ona pójdzie ze mną, twardy chłopcze. I zapędzę ją do pracy każdej nocy. Twoja dziewczyna spędzi następne dziesięciolecie rodząc moje dzieci.

- Wstawaj - wrzasnął Edeard i pociągnął Salranę za ramię. Płakała, nogi miała zwiotczałe i nieposłuszne.

- Nie pozwól mu, by mnie dostał - szlochała. - Proszę, Edeardzie. Zabij mnie. Nie mogłabym tego znieść. Nie mogłabym, raczej spędzę wieczność w Hononiusie.

- Nigdy - odparł. Objął ją rękoma i otoczył swoim ukryciem.

- Przyprawdźcie szybkołisy na rynek - rozkazał bandyta. - Wyśledźcie go. Znajdźcie jego trop.

- Chodź - szepnął Edeard. Ruszył ku głównemu wejściu, a potem

zatrzymał się. Przeszło dziesięciu bandytów ze swymi szybkołisami kierowało się ulicą w jego stronę. Ignorowali oszalałe kurczaki i bełkoczące geszympany, które uciekały od kłębow zabójczych płomieni, zżerających budynki.

- Pani! - Szukał dookoła, nie śmiąc wykorzystywać swego dalwzroku, z obawy, że diaboliczny bandyta może to wykryć.

- Nie obchodzi mnie, że ogień utrudnia śledzenie. Znajdźcie go!

Bandyta mówił gniewnym tonem, co stanowiło pierwszą dobrą wiadomość, jaką Edeard usłyszał tej nocy. Teraz, kiedy zerknął dokoła, zobaczył, jak straszny rozpętał się pożar. Wszystkie budynki stały w płomieniach. Obrzydliwy słup dymu kłębił się na setki metrów nad wsią, zasłaniał konstelacje i mgławice. Pod tym posępnym okryciem waliły się mury, posyłając na uliczki lawiny płonących mebli i połamanych belek stropowych. Nawet bandyci stali się czujni, kiedy mniejsze uliczki zostały zablokowane. Oczywiście płomienie zamykały również drogi ucieczki Edeardowi. Musiał odwrócić uwagę bandytów i to jak najszybciej. Trzecią ręką pchnął stos beczulek z piwem i przewrócił je. Kilka pękło. Fala piwa rozlała się szeroko po brukowcach. W tym samym czasie uchwycił umysły tylu genistarów, do ilu zdołał dotrzeć, i skierował zwierzęta na rynek, oferując im schronienie. Zwierzęta przeskakiwały przez stragany, pędziły tłumnie przez wąskie przejścia. Wytracone z równowagi szybkołisy szarżowały za nimi, pozbywały się umysłowych ograniczeń, aby posłuchać swych podstawowych instynktów myśliwskich.

- To niemal sprytne - ogłosił bandyta. - Cóż, może spróbujesz uniknąć tego, twardzielu?

Bandyci na rynku utworzyli luźną linię i otworzyli ogień, zataczając lufami szerokie łuki. Genistary wyły i skomlały, gdy kule wbijały się w ich ciała. Skakały i biegle, szukając schronienia, a kule omiatały przestrzeń za nimi. Szybkołisy warczały z nienawiścią i bólem, bo pociski trafiały również w nie. Kilkadziesiąt zwierząt przewróciło się na brukowce. Były martwe. Krew mieszała się z winem i spływała w dół zbocza.

Edeard i Salrana schylali się, a kule waliły w stragany wokół

nich. Drewniane drzazgi wirowały w powietrzu. Zaczęli się czołgać. Po chwili pistolety ucichły. Edeard czekał na następną drwinę w długomowie, ale nie nadchodziła.

- Pośpiesz się - poganiał dziewczynę.

Trzymając się za ręce, pobiegli w stronę uliczki na tyłach kompleksu Gildii Stolarskiej. Bandyty i ich szybkołisy patrolowali teraz mury. Wnętrze kompleksu paliło się jak koksownik, kiedy ogień pożerał pomieszczenia robocze i magazyny drewna, wypuszczając rozległe pióra płomieni w zasnuite dymem niebo. Łupkowy dach głównego budynku już się zawalił. Edeard zastanawiał się, czy w środku pozostał ktoś żywy, może schowany w piwnicach. Z pewnością Obrona znalazłby sposób. Nie mógł sobie wyobrazić świata bez Obrona.

Dotarli do skrzyżowania i Salrana chciała skręcić na prawo.

- Nie tędy - syknął.

- Ale tędy prowadzi droga do murów - odparła szeptem.

- Tego będą oczekiwać. Szybkołisy nas wyczują, jeśli spróbujemy wspiąć się na szanice.

- Więc gdzie pójdziemy?

- W górę, ku ścianie.

- Ale... czy nie przeszukają jaskiń?

- Nie schowamy się w jaskiniach - zapewnił ją.

Znalazł w pobliżu kilkanaście wciąż żywych genistarów, głównie psów, parę szympansov i nawet żrebaka. Kazał im chodzić w poprzek i wokół ich trasy, by zostawić fałszywe tropy. Choć nie przypuszczał, by nawet szybkołisy zdołały ich wyśledzić, kiedy w powietrzu unosi się tyle dymu i popiołu.

Po paru minutach dotarli do miejsca, gdzie kopano nową studnię. Dotychczas Wedard i jego zespół wykopali tylko pięć metrów a zaledwie jedną trzecią tej głębokości wyłożono kamieniami.

- Właż do środka - kazał Edeard. Mała drabina prowadziła w dół, do drewnianego rusztowania na dnie dziury, gdzie gemałpy spędzały dnie kopiąc w glinie i skale.

- Zajrzaj tutaj - powiedziała Salrana w desperacji.

- Tylko wtedy, kiedy będzie odkryta - odparł ponuro Edeard i

wskazał gestem wielką kamienną pokrywą, która zamknęłaby szyb po jego ukończeniu.

- Zdołasz to poruszyć? - spytała z niedowierzaniem.

- Za minutę się o tym przekonamy. Ale jestem pewien, że nikt nie przebiję jej dalwzrokiem.

Salrana ruszyła w dół prymitywnej drabiny. W jej mózgu wrzał strach. Edeard schodził za nią. Zatrzymał się, kiedy jego głowa znalazła się na wysokości krawędzi. Było to bardzo ryzykowne, ale od tego zależało ich życie i nie mógł wymyślić innego sposobu na wydostanie się z wioski, obok szybkolisów i czujnych bandytów. Wystrzelił poszukiwawczo dalmową w kierunku Gildii Jajoformerów.

- Akeem? - spytał cicho. Żadnej odpowiedzi. Nadal nie śmiał wykorzystywać dalwzroku. Spojrzał wściekle ostatni raz na szalejącą ognistą burzę, która była jego domem, sięgnął trzecią ręką i podniósł ogromny blok kamienia. Pokrywa popłynęła cicho w powietrzu, kilkanaście centymetrów nad ziemią, a potem z chrzęstem osiadła na wierzchu szybu. Pomarańczowa poświata płomieni, dźwięk walących się murów i ludzkie cierpienie, wszystko nagle znikło.

Edeard czekał godzinami. Tulili się z Salraną do siebie na oszalanym dnie szybu, w miarę możliwości czerpiąc od siebie pocieszenie. W końcu dziewczyna zasnęła, wierząc się i jęcząc niespokojnie. Edeard nie pozwoliłby sobie na taki luksus.

Czy to moja wina? Czy szukali zemsty za zasadzkę w lesie? Ale to przecież oni zaczęli. Najgorsze poczucie winy wynikało z jednej myśli, która ciągle dręczyła mu duszę. Czy mogłem zrobić coś więcej? Teraz, gdy był trzeźwy i przeszedł najgorszy kac, rozmyślał o uczuciu, które go tak gwałtownie zbudziło. To naprawdę był ten sam niepokój, jaki odczuwał w lesie, przeczucie, że coś nie gra. Zazwyczaj najstarsza kapłanka Pani Empirejskiej utrzymywała, że ma skromny dar jasnowidzenia, dany oczywiście przez samą Panią. Gdybym nie był tak głupi, nie zmarnowałbym ostrzeżenia...

Nie chciał otwierać kamiennej pokrywy. Bardzo trudno było mu się zmusić do myślenia o tym, co ich przywita na zewnątrz. To moja wina. Wszystko to moja wina.

Kilka godzin po tym, jak się schronili, nieśmiałe smużki bladego światła wsączyły się wokół krawędzi pokrywy, gdzie kamienny brzeg nie był całkiem wyrównany. Edeard nadal czekał. Wschód słońca wcale nie zmuszał bandytów do odejścia. W obrębie kilkudziesięciu kilometrów nie było niczego, czego mogliby się obawiać. Teraz wsie będą z przerażeniem czekały na zapadnięcie każdej nocy.

- Nigdy nie podejrzewaliśmy, że są tak dobrze zorganizowani - powiedział Edeard z goryczą. - Ale akurat ja powinienem zdać sobie z tego sprawę.

- Nie bądź głupi - odparła. W ciemności znowu sięgnęła do niego, szczipnęła dłoń i objęła go w talii. - Skąd mogłeś wiedzieć? Nawet Matka nie była w stanie tego zobaczyć.

- Czy Matka Lorellan miała dar jasnowidzenia?

- Niezbyt duży. Wczoraj wieczorem coś ją trapiło, ale nie mogła tego zdefiniować.

- Nie mogła zobaczyć jak ją mordowano? Jakież to jasnowidzenie? Salrana znowu zaczęła łkać.

- Och, Pani, przepraszam - powiedział i mocno ją uściśnął. - Nie pomyślałem. Jestem taki głupi.

- Nie, Edeardzie. Przyszedłeś mnie ratować. Akurat mnie z całego Ashwell. Nie pomogłeś swoim przyjacielom, ani swojemu Mistrzowi. Czemu? Czemu właśnie mnie?

- Ja... Wszystkie te lata, byliśmy tylko ty i ja przeciwko całemu światu. Byłaś jedynym przyjacielem, jakiego miałem. Nie sądzę, bym przetrwał bez ciebie. Tyle razy myślałem, żeby uciec w dzicz.

Pokręciła głową przerażona.

- Wtedy byłbyś bandytą. Ubiegłej nocy byłbyś jednym z napastników.

- Nie mów tak. Nigdy. Nienawidzę ich. Najpierw moi rodzice, a teraz... - Nie mógł się powstrzymać, zwiesił głowę i zaczął łkać. - Wszystko. Wszystko przepadło. Nie mogłem im pomóc. Wszyscy

byli przestraszeni tym, jaki jestem silny, a kiedy naprawdę mnie potrzebowali, okazałem się beużyteczny.

- Nie beużyteczny - odparła. - Pomogłeś mnie.

Spędzili dłuższy czas po prostu przytulając się do siebie. Po pewnym czasie łyzy Edearda wyschły. Otarł twarz, czując się głupi i nieszczęśliwy. Salrana ujęła w dłonie jego policzki.

- Czy chciałbyś mnie? - szepnęła.

- Ee... nie. - Bardzo trudno było to powiedzieć.

- Nie? - Jej myśli wezbrały falą zdumionej urazy. - Myślałam...

- Nie teraz - powiedział i ujął jej dłonie.

Wiedział, co to było, rujnujący żal, samotność i przestach. Potrzebowała pocieszenia, a bliskość fizyczna była najsilniejszym możliwym pocieszeniem. W jego obecnym chwiejnym stanie emocjonalnym jemu również dodałoby to otuchy. Ale za bardzo ją kochał, i zbyt przypominałoby mu to wykorzystywanie.

- Naprawdę chciałbym, ale jesteś młoda. Zbyt młoda.

- Linem urodziła dziecko w zeszłym roku, a była wtedy młodsza niż ja teraz.

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Jakiż to przykład dałaby nowicjuszka swojemu stadku?

- Jednoosobowemu stadku. Edeard stracił humor.

- Tak: jednoosobowemu.

Salrana spojrzała na kamienną pokrywę.

- Myślisz, że ktoś z nich przeżył?

- Niektórzy, owszem. Wieś Ashwell jest uparta i elastyczna, tak zawsze mówił Akeem. Dlatego właśnie w ciągu ostatnich kilku stuleci tak skutecznie przeciwstawiała się zmianom.

- Naprawdę chciałbyś?

- Ja... - Sposób w jaki mogła przeskakiwać z jednego tematu na drugi uznał za niepokojący, zwłaszcza, kiedy dyskutowali na taki temat. - Tak - przyznał ostrożnie. - Przecież wiesz, że stajesz się piękną.

- Kłamczuch! Muszę odwiedzać doktora Seneo trzy razy w tygodniu, by dawał mi maść do twarzy.

- Ślicznie dorastasz - upierał się spokojnie.

- Dziękuję, Edeardzie. Jesteś naprawdę słodki, wiesz. Nigdy nie

myślałam o żadnym innym chłopcu. Zawsze byłeś tylko ty.

- Hmm. Słusznie.

- To by była okropna rzecz, umrzeć jako dziewica, prawda?

- Na miłość Pani! Jesteś najgorszą nowicjuską w całej Pustce.

- Nie bądź takim głuptasem. Pani cieszyła się prawdopodobnie dobrym życiem miłosnym. Była żoną Raha. Połowa Makkathranu utrzymuje, że od nich pochodzi. To mnóstwo dzieci.

- To na pewno bluźnierstwo.

- Nie. To po prostu ludzkie. Właśnie dlatego Pani została namaszczona przez Pierwotne Byty, aby pomóc nam znowu odkryć naszą prawdziwą naturę.

- Cóż, akurat teraz nie musimy myśleć o naszym ocaleniu.

- Wiem. Ale w jakim wieku muszę być? W twoim?

- Hm, prawdopodobnie tak. Taki wiek jest mniej więcej odpowiedni.

- Nie mogę czekać. Czy poszedłeś z Zehar poprzedniej nocy?

- Nie... Hej, to nie twoja sprawa. - Z jakiejś głupiej przyczyny, nagle pożałował, że nie poddał się zalotom Zehar. A teraz jest martwa. Jeśli miała szczęście, umarła szybko.

- Będiesz moim mężem. Mam prawo wiedzieć wszystko o twoich dawnych kochankach.

- Nie jestem twoim mężem.

- Jeszcze nie - zadrwiła. - Mój dar jasnowidzenia mówi mi, że będziesz. Wyrzucił ręce w górę, uznając się za pokonanego.

- Jak długo mamy zamiar tu przebywać? - spytała.

- Nie jestem pewien. Nawet jeśli nie mają się tu już czego obawiać, nie zechcą zostawać zbyt długo. Inne wsie do tej pory będą wiedziały, co tu się stało. Dym musiał pokonać połowę drogi do Morza Odyna i ludzie mieszkający na farmach z pewnością uciekli dalkrzycząc przez całą drogę. Spodziewam się, że prowincja powoła milicję i rozpocznie pościg.

- Milicję? Mogą to zrobić?

- Każda prowincja ma prawo sformować milicję w czasie kryzysu - powiedział, przypominając sobie szczegóły, przekazane mu przez Akeema na temat prawa konstytucyjnego Querencji. - A ta sytuacja stanowczo się do tego kwalifikuje. Jeśli chodzi o

szczegóły praktyczne, przypuszczam, że bandytów już dawno nie będzie, kiedy dotrą tutaj jakieś przyzwoite siły, nie wspominając już o ściganiu ich w dziczy. I te ich pistolety. - Podniósł w górę swoje trofeum, chmurząc się na widok ich dziwacznej budowy.

Choć nie wątpił w ich potęgę. - Nigdy wcześniej nie słyszałem o niczym takim. To coś podobnego do tego, co mieli ludzie przed lotem do Pustki.

- Więc to tak? Nie ma sprawiedliwości.

- Będzie. Dopóki będę żył, będą przeklinali swoją wczorajszą śmiałość. Do naszej wsi przynieśli swą własną śmierć.

Chwyciła go mocno.

- Nie ścigaj ich. Proszę cię, Edeardzie. Oni tam żyją, to ich dzicz, znają ten rodzaj życia, zabijanie i brutalność, nie znają niczego innego. Nie zniosłabym, gdyby cię złapali.

- Nie mam zamiaru robić tego w tej chwili.

- Dziękuję.

- W porządku, wydaje mi się, że teraz jest popołudnie. Rzućmy okiem.

- Bardzo dobrze. Ale jeśli oni nadal tam są i nas zobaczą... Nie mogę być jego kurwą, Edeardzie.

- Nie złapie żadnego z nas - obiecał i to miał na myśli. By podkreślić swe słowa poklepał pistolet. - A teraz zobaczmy, co słychać na zewnątrz.

Zaczął przykładac swą trzecią rękę do zimnego kamienia. Nagle jej wargi dotknęły jego warg. Instynktownie otworzył usta i pocałunek trwał długo.

- To na wszelki wypadek - powiedziała cicho Salrana przytulona do niego. - Chciałbym, żebyśmy obydwójce wiedzieli jak to jest.

- Ja... Cieszę się - powiedział z zakłopotaniem.

Tym razem znacznie trudniej było poruszyć ogromny kamienny blok. Dopiero kiedy zaczął to robić, uświadomił sobie, jaki jest wyczerpany, głodny i przestraszony. Ale przesunął kamień kilka centymetrów, aż zobaczył cienki półksiężyc nieciekawego szarego nieba. Nikt nie krzyczał w podnieceniu, ani nie sondował szybu dalwzrokiem. Nie mógł posłać własnego dalwzroku na znaczną odległość, z powodu niewielkiej luki i faktu, że nadal

znajdował się poniżej gruntu. Zamiast tego, wezwał mentalnie jedyne go georła Gildii. Poczł ogromną ulgę, kiedy majestatyczny ptak zareagował. Siedział na skałach, przygnębiony, w oszołomionym zdumieniu. Wzniósł się do lotu, ale to co ukazał przygnębiło Edearda.

Nie pozostało nic. Nic. Wszystkie domki były stosami dymiących gruzów. Kompleksy Gildii ze swymi solidnymi kamiennymi ścianami zawały się. Ledwie rozpoznawał układ ulic. Nad ruinami dryfowała powoli cienka warstwa brudnego smogu.

Kiedy orzeł obniżył lot, Edeard zobaczył trupy. Zwęglone ubrania łopotały bezwładnie na poczerniałych ciałach. Jeszcze gorsze były części ciał, wystające z gruzów. Uwagę orła przyciągnął ruch i ptak zakręcił wokół koniuszka skrzydła.

Obok ruin swego domu siedział stary Fromal, z głową w dłoniach. Kołysał się tam i z powrotem, a na starej brudnej twarzy pozostały ślady łez. Był też mały chłopiec, nagi, biegający w kółko wokół zniszczonych rynkowych straganów. Posiniaczony i zakrwawiony, na twarzy zastygł mu wściekły grymas determinacji, nie patrzył na to, co otaczało go w świecie fizycznym.

- Nie ma ich - powiedział Edeard. - Wyjdźmy na zewnątrz. - Upuścił nienawistny pistolet i odsunął płytę na bok.

Najgorszy ze wszystkiego był smród. Słodkawy odór dymiących resztek drewna nasycony palonym mięsem. Edeard niemal zwymiotował od tego zapachu. To nie tylko genistary i zwierzęta domowe zostały upieczone. Oderwał pas tkaniny od swych wystrzępionych spodni, zwilżył w kałuży, i przewiązał nim twarz.

Zatrzymali biegającego chłopca, który był w zbyt głębokim szoku, by do niego dotrzeć. Odciągnęli starca Fromala od gorących węgli, które były jego domem przez sto dwadzieścia dwa lata. Znaleźli małego Sagata kulącego się w przewróconych beczkach przy pracującej studni.

Siedmioro. Tyle znaleźli z pomocą orła. Siedmioro ocalałych ze wsi, która liczyła przeszło czterysta dusz.

Zebrali się razem tuż za wyłamaną bramą w cieniu

bezużytecznych murów obronnych, gdzie trupi zapach był słabszy. Edeard parę razy wracał, próbując znaleźć trochę ubrań i jedzenia, ale nigdy nie miał serca do poszukiwań.

Grupa pościgowa z Thorpe nad Wodą znalazła ich tuż przed zmierschem. Ponad stu mężczyzn na koniach i gekoniach, dobrze uzbrojonych, z gewilkami skaczącymi wokół nich. Ledwie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli i nie chcieli zaakceptować faktu, że za atak odpowiedzialni są zorganizowani bandyci. Zamiast rozpocząć pościg i wymierzyć sprawiedliwość, odwrócili się i pojechali z powrotem do Thorpe nad Wodą, na wypadek, gdyby coś zagrażało ich bliskim. Zabrali ze sobą ocalałych. Nikt z nich nigdy nie powrócił.

Edeard wykorzystał dalmowę, by przekazać Salranie:

- Przybyła karawana.
 - Gdzie? - odpowiedziała. - Nie wyczuwam ich.
 - Właśnie dotarli do farmy Molby'ego, powinni być na moście we wsi mniej więcej za godzinę.
 - To daleko dla dalwzroku, nawet twojego.
 - Georzeł pomaga - przyznał się.
 - Oszust!
- Edeard zaśmiał się.
- Spotkamy się na placu za pół godziny?
 - W porządku.

Skończył instruowanie stada geszympanów czyszczących stajnie i usprawiedliwił swoje wyjście u Tonrfego, starszego ucznia. W zamian za swą uprzejmość otrzymał tylko obojętne chrząknięcie. Gildia Jajoformerów w Thorpe nad Wodą niezupełnie przyjęła go z otwartymi ramionami. Ogromnym problemem był jego aktualny status. Mistrz jeszcze nie zatwierdził go jako czeladnika. Prośba Edearda, żeby go za takiego uznać wywołała mnóstwo niezadowolenia wśród innych uczniów, którzy uważali, że powinien być młodszym uczniem. Fakt, że jego talent był tak wyraźnie silniejszy od talentów ich wszystkich, nawet Mistrza, nie pomógł tej sytuacji.

Matka w Thorpe na Wodą przyjęła Salranę do Kościoła Pani znacznie chętniej. Ale Salrana też nie czuła się szczęśliwa. „To nigdy nie będzie nasz dom”, powiedziała Edeardowi po pierwszym tygodniu ich pobytu. Rezydenci Thorpe nad Wodą nie odrzucili uchodźców z Ashwell, ale nie powitali ich serdecznie. Prowincja Rulan żyła obecnie w strachu przed bandytami. Jeśli mogli uderzyć w Ashwell, które znajdowało się o trzy dni jazdy od krawędzi dziczy, mogli uderzyć w każde inne miejsce w prowincji. Życie nieodwracalnie się zmieniło. Obecnie po terenach rolniczych i lasach stale chodziły patrole. Także rzemieślnicy musieli odłożyć na bok wszystkie mniej pilne prace i zająć się wzmocnieniem wiejskich murów. Tej zimy wszyscy w prowincji Rulan będą biedniejsi.

Edeard wkroczył na rynek w te same niechętnie spojrzenia jakie spotykał każdego dnia podczas ostatnich trzech tygodni. Ze swoimi straganami i brukiem plac niezwykle przypominał rynek w Ashwell. Oczywiście był większy - Thorpe nad Wodą było dużą wsią, zbudowaną w widłach rzeki Gwash, która dostarczała naturalną ochronę z dwóch stron. Fosa pomiędzy dwoma szybko płynącymi ciągami wodnymi z solidnym mostem zwodzonym w połowie długości uzupełniała środki obronne. Edeard sądził, że powinno ich to zabezpieczyć lepiej niż Ashwell. Naprawdę był tu tylko jeden punkt dostępu. Chyba, że bandyci użyją łodzi. Tylko skąd bandyci mieliby wziąć dostatecznie dużo łodzi...

Mimochodem złapał dalwzrokiem spieszącą ku niemu Salranę. Przywitali się przed jednym z wielu rybnych straganów. Była ubrana w niebiesko-białą szatę nowicjuszki, tym razem nieco workowatą.

- Prawie jak przedtem - oznajmił Edeard obejrawszy ją od stóp do głów. Zdawał sobie sprawę ze spojrzeń innych młodych mężczyzn na rynku, które przyciągała.

Poruszyła się nerwowo, ciągnąc za długie, kloszowate rękawy.

- Zapomniałam, jak drapie ten materiał, kiedy jest nowy - powiedziała. - W Ashwell tylko raz miałam na sobie nową szatę, podczas ceremonii inicjacji. Potem zakładałam używane. Ale tutejsza Matka kazała dla mnie zrobić pięć. - Oceniała ubranie

Edearda. - Nadal nie znalazłeś tkacza?

Edeard wygładził swoją starą koszulę z dziwnymi odbarwionymi plamami. Jego spodnie były za małe, a buty tak stare, że popękała na nich skóra.

- Aby tkacz zrobił ci koszulę, potrzebujesz pieniędzy. Uczniów ubiera Gildia. A uczeń bez statusu dostaje do wyboru wszystko, co odrzucili inni.

- Nadal nie potwierdzili twego statusu czeladnika?

- Nie. To wszystko kwestia polityki. Jego czeladnicy są absolutnie nieporadni. I to głównie dzięki złemu szkoleniu. Tracą przynajmniej sześć z każdych dziesięciu jaj. To po prostu żalosne. U Akeema nawet uczniowie nie tracili tak wielu. Czelnicy są również o pięć lat ode mnie starsi, więc gdyby Mistrz wpuścił mnie na ich poziom, przyznałby że jest nieporadny. Nie doceniałem tego, co miałem u Akeema. - Umilkł na to bolesne wspomnienie. Powinni byli znaleźć czas, by odzyskać ciała, by wyprawić swej wsi właściwy pogrzeb, błogosławiony przez Panią,

- Doceniałeś to - powiedziała, podtrzymując go na duchu.

- Tak. Dziękuję.

Wędrowali przez rynek, Edeard patrzył z zawiścią na wystawione ubrania. Jako uczeń nie miał pozwolenia na handel jajami, które wyrzeźbił, wszystkie należały do Gildii. Akeem traktował tę sprawę z elastyczną przyzwoitością, wierząc w system cichych nagród. Ale teraz Edeard znalazł się bez pieniędzy, przyjaciół, bez szacunku. To tak, jakby znowu miał dziesięć lat.

- Zeszłej nocy wrócił jeden z patroli - oznajmiła Salrana, kiedy spacerowali. - Rano Matka była na spotkaniu wioskowej starszyny. Dowódca patrolu powiedział im, że nie znaleźli żadnego śladu bandytów, nie mówiąc już o ich dużej grupie. Mówi się o redukcji patroli.

- Idioci - chrząknął Edeard. - Co spodziewali się znaleźć? Powiedzieliśmy im, że bandyci umieją się ukrywać.

- Wiem. - Na jej twarzy odbiło się zakłopotanie. - Nasz głos niewiele znaczy.

- Jak im się wydaje, co zniszczyło Ashwell?
- Bądź dla nich trochę łaskawszy, Edeardzie. Cały ich świat wywrócił się do góry nogami. To nigdy nie jest łatwe.
- Gdy tymczasem nam wszystko poszło jak po maśle.
- To nie było miłe.
- Przepraszam. - Odetchnął głęboko. - Po prostu nienawidzę tego. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, traktują nas jakbyśmy byli problemem. Naprawdę powinienem być zatrzymać tamten pistolet.

Pozostawił go na dnie szybu studziennego, nie chcąc nic przyjmować w spadku po bandytach. Pistolet był czystym złem. Od tamtego czasu próbował narysować małe komponenty, które wyczuł w środku. Kowal w Thorpe nad Wodą śmiał się, kiedy pokazał mu szkice, mówiąc, że nie można zrobić takich rzeczy. Obecnie ludzie sceptycznie traktowali całą tę historię o wielokrotnie strzelających pistoletach.

- Zrobiłeś słusznie - oznajmiła. - Straszne byłoby życie, gdyby wszyscy mieli taką broń.

- To okropne, że bandyci ją mają, a my nie - warknął na nią. - Co ich powstrzyma przez ostrzelaniem całej prowincji? A potem dalej? Dlaczego nie całego rejonu?

- To się nie wydarzy.

- Nie, nie wydarzy się, ponieważ gubernator zbierze armię. Na szczęście jest nas więcej niż ich, więc możemy wygrać bez względu na to, jakie mają bronie. Ale będzie to oznaczało rozlew krwi na niespotykaną dotychczas skalę. - Pragnął walić pięściami w najbliższy stragan. - Skąd wzięli ten pistolet? Czy sądzisz, że znaleźli jeden ze statków, którymi tu przylecieliśmy?

- Może nigdy nie opuścili statku, którym przylecieli - powiedziała cicho.

- Może. Nie wiem. Dlaczego nikt nas nie słucha?

- Ponieważ jesteśmy dziećmi.

Obrócił się, by na nią warknąć, a potem zobaczył głęboką troskę w jej myślach i jej zmęczoną twarz maźniętą zielonkawą maścią. Była taka śliczna. W jakiś sposób wiedział, że Akeem zaaprobowałby to, że zaryzykował wszystko, by ją ocalić.

- Przepraszam. Nie wiem, dlaczego wyładowuję się na tobie.
- Ponieważ jestem jedyną osobą, która cię słucha - odparła.
- O, Pani, pod pewnymi względami to gorsze niż Ashwell. Starszyzna jest taka... taka zacofana. Muszą się hodować wsobnie, jak psy.

Salrana się uśmiechnęła.

- Mów cicho - napomniała go.

- W porządku - uśmiechnął się w odpowiedzi. - Mam nadzieję, że teraz to już długo nie potrwa.

Ludzie zbierali się wzdłuż boku placu targowego i obserwowali przybycie karawany. Edeard naliczył trzydzieści dwa wozy na drodze i te wjeżdżające na most. Do większości przywiązane były ziemskie zwierzęta: konie, osły, woły, krowy; niektóre miały zagrody z wielkimi świniami. Obok kroczyły gewilki oraz jechało więcej jeźdźców z pistoletami niż poprzednim razem. Ale wozy były równie wielkie, jak zapamiętał. Koła, z metalowymi brzegami były równie wysokie, jak on sam. Większość wozów przykryto zakrzywionymi osłonami z ciemnej, naoliwionej tkaniny, choć kilka zadaszono nasmołowanym drewnem jak małe ruchome domki. Na ławkach woźniców siedziały całe rodziny. Machały rękami i uśmiechały się, gdy wozy zmierzały na rynek. Karawany objeżdżały ten rejon każdego lata, handlując zwierzętami, nasionami, jajami, narzędziami, żywnością, napojami i wykwintnymi sukniami z samego Makkathranu. Nie zawsze odwiedzały Ashwell, ale Edeard pamiętał podniecenie, jakie towarzyszyło ich przybyciu.

Jeszcze zanim wóz się zatrzymał, wieśniacy krzyczeli do podróżujących rodzin, pytali się, co przywieźli. Był to dobroduszny tłum, który miał mało czasu na wysłuchiwanie powitania burmistrza skierowanego do kierownika karawany. Handel zaczął się, zanim ukończono formalności. Rozdawano próbki wina i piwa, głównie uczniom. Edeard przeżuwał jakąś suszoną wołowinę z przyprawami, których nigdy wcześniej nie próbował. Salrana z gracją wybierała małe kaski z tac owoców i marynowanych jarzyn, choć kiedy przyszła kolej na egzotyczne czekolady, mniej się hamowała.

Kiedy wieczorne niebo zaczynało mrocznieć, Edeard był w znacznie lepszym humorze. Razem z Salraną podszedł do prowadzących karawanę. Wieśniacy, którzy jeszcze pozostali, odchodzili, pilnie ignorując parę z Ashwell.

Barkus, Mistrz Karawany był również taki, jakim Edeard go zapamiętał. Człowiek kilka dziesięcioleci po setce, ale nadal krzepki. Miał największe bokobrody, jakie Edeard widział w życiu i białe wąsy sterczące wokół krzywej szczęki, obramowujące rumiane policzki. Czerwona jedwabna koszula i ekstrawagancka czerwono-złota kamizelka odziewały beczułkowaty tors.

- I co mogę zrobić dla waszej dwójki? - zarechotał, kiedy Edeard i Salrana przesunęli się w pobliże jego wozu. Jego wielka rodzina spojrzała na nich i kontynuowała pracę - rozciągali markizę na ramie martozowego drzewa, tworząc rozległy namiot. - Chyba skończyły nam się najlepsze próbki. - Mrugnął do Edearda.

- Chcę z panem jechać do Makkathranu, obydwójce chcemy. Barkus wydał huczący śmiech. Dwóch z jego synów, wypychających koniec markizy w twardej gruntu, zachichotało.

- Bardzo romantycznie, jestem pewien. Podziwiam twój hart ducha, młody panie i twój, pani, moja nowicjuszko Pani. Ale niestety nie mamy miejsca dla pasażerów. I jestem pewien, że jeśli wasza dwójka ma być ach... jak byśmy to powiedzieli, pobłogosławiona dodatkami, wasi rodzice nie będą tacy straszni, jak oczekujecie. Wierzcie mi. Idźcie do domu i powiedzcie, im, co się wydarzyło.

Salrana wyprostowała się.

- Nie jestem w ciąży. Moje śluby poświęcenia biorę bardzo serio. To jawne kłamstwo prawie ugasiło oburzenie Edearda.

- Nazywam się Edeard, a to jest Salrana. Jesteśmy ocalałymi z Ashwell. - Bardzo dokładnie zdawał sobie sprawę z ciszy, wywołanej jego oświadczeniem. Cała rodzina Barkusa patrzyła na nich. Omiotło ich kilka włókien dalwzroku, emanujących z drugiego końca wozu. - Zdaje się, że znał pan mojego Mistrza, Akeema.

Barkus poważnie skinął głową.

- Lepiej, jeśli wejdziecie. A wy, zabierajcie się z powrotem do roboty. Wóz był jedną z tych, stanowiących powód do chluby, drewnianych chat. Wnętrze miał wyłożone pięknym starym złotym drzewem, wyrzeźbionym z doskonałością, której Geepalt ze swymi uczniami nigdy by nie osiągnęli. Każdy fragment ścian i sufitu zajmowały drzwi. Najmniejsze z nich były nie większe niż pięść Edearda. Największe - wyższe od niego. Barkus otworzył parę drzwi poziomych, które rozłożyły się w długie, wyściełane ławy. Dwoje mniejszych drzwiczek przy szczycie ław rozsunęło się, odsłaniając zamglone szklane panele. Barkus zapalił zapałkę i przepchnął ją przez dziurkę na końcu szkła, zapalając knot. Znajomy przytulny blask płomienia z oleju jamolarowego wypełniłabinę. Edeard uśmiechnął się. Był pod wielkim wrażeniem.

- Wspominam twojego mistrza z wielkim sentymentem - powiedział Barkus, gestem wskazując im ławę naprzeciwko siebie. - Podróżował tu z nami dawno temu. W tym czasie byłem zaledwie w waszym wieku. Twoja Matka także, nowicjuszko Salrana, zawsze okazywała nam życzliwość. Będzie nam ich brakować i będą opłakiwani. Stała się rzecz straszna.

- Dziękuję - powiedział Edeard. - Nie chcę się narzucać, ale żadne z nas nie może zostać w Thorpe nad Wodą. Nie jesteśmy tutaj mile widziani i w każdym przypadku jest to zbyt blisko Ashwell.

- Rozumiem. Cała prowincja jest wstrząśnięta tym, co się stało, choć słyzałem już mnóstwo wersji tych wydarzeń. Łącznie z paroma, muszę to powiedzieć, które stawiały cię w niekorzystnym świetle, młody człowieku. Nie rozповідаłem takich historii, ponieważ pamiętałem cię z naszej ostatniej wizyty, cztery letnie sezony temu. Pamiętam również? co mówił o tobie Akeem. Był pod wrażeniem twego talentu, a to się u niego rzadko zdarzało.

- Edeard zaryzykował życie, by mnie ocalić - powiedziała Salrana.

- To również słyzałem.

- Zanim nadeszła tamta noc, Akeem powiedział, że chce, bym

pojechał do Makkathranu, by studiować w Niebieskiej Wieży mojej Gildii. Chcę zobaczyć... nie, zobaczę, jak spełnia się jego życzenie.

Barkus uśmiechnął się łagodnie.

- Godny cel, młody człowieku.

- Zapracujemy na swój przejazd - oznajmił z mocą Edeard. - Nie będę pasożytem.

- Ja też nie - powiedziała Salrana.

- Tego właśnie się spodziewałem - powiedział Barkus. - Jednak to długa droga, nie dotrzemy do Makkathranu przed wiosną, i to jedynie w wypadku, gdy wszystko dobrze pójdzie. Wiele karawan skróciło już swoją podróż i opuściło tę prowincję. Historii o losie Ashwell jest wiele, ale wszystkich nas zdenerwowały. Jak sobie przypominam, Akeem mówił, że masz silną trzecią rękę?

- To prawda. Ale mój talent polega na rzeźbieniu. W lasach i na wzgórzach tej prowincji jest wiele dzikich domyślników. Zanim zapadnie zima, mogę wyrzeźbić panu takie stado gewilków, że nie przejdzie przez nie żaden bandycki gang, bez względu na to, jak bardzo się ukryje. Mogę je wyrzeźbić z silniejszym zmysłem węchu niż wszystkie, które pan dotąd wykorzystywał. Mogę także wyrzeźbić orły, które będą krążyły oddalone o wiele kilometrów po wszystkich stronach konwoju i które wypatrzą najdrobniejsze oznaki zdrady czy zasadzki.

- Jestem pewien, że możesz.

Nawet teraz Barkus był niezdecydowany.

- Mogę również nauczyć pana i pańskie rodziny tego - powiedział Edeard. Utknął wokół siebie ukrycie. Edeard czuł, jak dalwzrok Mistrza karawany smaga tam i z powrotem po kajucie. Spokojnie wstał i usiadł obok zaskoczonego Barkusa, a potem wycofał swoje ukrycie. - Jak mogliby zaatakować pana bandyci, jeśli by pana nie widzieli?

- Pani droga! - chrząknął Barkus. - Nie miałem pojęcia, że taka rzecz...

- Akeem mi to przekazał.

Barkus szybko odzyskał równowagę.

- Akeem miał słuszość co do ciebie i sądzę, że połowa historii,

które słyshałem, jest prawdziwa. Bardzo dobrze moi drodzy młodziankowie. Przyjmę was oboje jako nowicjuszy w rodzinie. Podążycie z nami aż do Makkathranu. I rzeczywiście zapłacicie za przejazd. Zobaczmy, czy nadal będziecie sądzili, że taka szlachetność była coś warta, kiedy dotrzemy do gór Ulfsen. Jednak, Edeardzie, ta umowa jest ważna pod warunkiem, że nie będziesz nikogo uczył tej sztuczki z osłoną, zgadzasz się?

- Tak, proszę pana. Ale nie rozumiem, dlaczego.

- Nie nauczyłeś jej nikogo w Thorpe nad Wodą, prawda?

- Nie, proszę pana.

- Wykazałeś się przy tym dobrym instynktem politycznym, mój chłopcze. Trzymajmy się tego. Nasz biedny stary świat trapi dostatecznie wiele kłopotów i nie potrzeba, żeby dodatkowo wszyscy skradali się wszędzie niewidoczni. Chociaż, jeśli znajdziesz sposób, w jaki dalwzrok może odkryć tę sztuczkę, będę wdzięczny, jeśli natychmiast mnie o tym poinformujesz.

- Tak, proszę pana.

- Dobry chłopak. Wyruszamy za trzy dni o świcie. Jeśli nie będziesz tutaj o tej porze, wyruszmy i tak. Choć nie przypuszczam, by twój Mistrz miał coś przeciwko twemu exodusowi.

- Myślę, że nie będzie miał, proszę pana.

- Makkathran! - powiedział Edeard, kiedy pośpiesznie wyszli z wozu. Teraz, kiedy Barkus powiedział, że ich zabierze, wszystkie jego dawne zmartwienia i wątpliwości zniknęły. Wcześniej myślał, że ucieka, że jest tchórzem, bo oddziela się od bandytów tymi wszystkimi prowincjami i pozwala tutejszym na samodzielne radzenie sobie z problemem. Akceptując to, że przelewają krew, by pilnować kraju, kiedy on pędzi bezpieczny i wygodny żywot w mieście. Ale teraz odjeżdżali i to było to. - Wyobraź sobie tylko.

- Nie mogę w to uwierzyć - Salrana uśmiechała się szeroko i beztrosko. - Czy sądzisz, że miasto będzie tak cudowne, jak w tych historiach, które słyżeliśmy?

- Jeśli będzie tylko w jednej dziesiątej tak bajeczne jak mówią, przekroczy to wszystkie nasze marzenia.
- I będziemy bezpieczni - westchnęła.
- Tak. - Objął ręką jej ramiona. Jak brat! - Będziemy bezpieczni. I jakież wspaniałe życie będziemy wieść w stolicy świata.

Zdziwiająco łatwo znalazł usterkę. Prawdopodobnie Emily Alm dość pośpiesznie umieściła ją w systemie i chyba nie przypuszczała, że Troblum tak szybko zacznie jej szukać. Wprowadziła do projektu kilka modyfikacji. Oddzielnie każda z nich była stosunkowo niewinna - tym trudniejsza do wykrycia - ale ich skumulowane działanie spowodowało awarię. Troblum usunął je w niecałą godzinę i wznowił proces.

W tym czasie u-adiunkt ustanowił jednorazowe bezpieczne połączenie z mieszkaniem Trobluma. Teraz miał dowody, że Marius próbuje nim manipulować i robi wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Troblum musiał zapewnić sobie drogę ucieczki. Kolonie - tylko tam znalazłby się poza zasięgiem reprezentanta. Po wojnie Gwiazdokrążcy stare Dynastie dysponowały niewykorzystanymi szalupami - statkami kosmicznymi, które w razie zwycięstwa obcych alf mogły ewakuować dostojników z poszczególnych Dynastii w bezpieczne miejsce na drugą stronę galaktyki. Budowa szalup pochłonęła fortunę, dlatego potem nie posłano ich na złom, choć wojnę wygrała Wspólnota. Przeciwnie, łodzie ratunkowe wykorzystano przy kolonizowaniu nowych światów i cywilizacji całkowicie niezależnych od Wspólnoty. Wystrzelono ponad czterdzieści statków, choć to niepewna liczba, bo przywódcy Dynastii nie chcieli zdradzić, ile pieniędzy wpompowali w swoje zbawienie. Przez następne wieki do kolonii wyruszały dalsze statki z członkami Dynastii oraz wyznawcy rozmaitych religii i ideologii, szukający większej wolności, niż mogły zaoferować Światy Zewnętrzne. Ostatnia duża wyprawa miała miejsce w roku 3000, gdy Nigel Sheldon sam dowodził Rotą dziesięciu statków, największych, jakie kiedykolwiek zbudowano. Ludzie chcieli doświadczyć czegoś nowego w innym miejscu. Mówiono, że tamte statki miały zasięg pozagalaktyczny.

Wykorzystując ultrabezpieczny link ze swoim apartamentem, Troblum użył równie dobrze chronionego łącza u-adiunkta do pobrania informacji z unisfery. Interesowały go lokalizacje kolonii uchodźców wewnątrz tej galaktyki. Otrzymał dane na temat setek wypraw oraz tysiące artykułów o każdej z nich. Spekulowano, dlaczego ani jedna kolonia nie wysłała choćby krótkiego komunikatu. Żaden statek przemierzający galaktykę nie natknął się na zamieszkania przez ludzi świat. Choć, prawdę mówiąc, przytłaczająca większość układów z planetami odpowiednimi dla ludzi nie została przebadana. I jeszcze jedno: główny dogmat Żywego Snu głosił, że większość podróży - a może nawet każda - kończy się w Pustce. Wielu naukowców interesowało się lokalizacją kolonii, choć słabnące Dynastie usiłowały storpedować tamte projekty badawcze. Może osiągnięto wiarygodne wyniki, ale przecież poszukiwania musiałyby objąć obszar o średnicy setek lat świetlnych. Jednak „Odkupienie Mellanie” to świetny statek i zdoła dolecieć do skupiska Drasix, pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych stąd. Tam - jak twierdzono - zmierzały statki Dynastii Brandtów.

Troblum wiedział, że nie będzie tęsknił za Wspólnotą. Nic go tu nie trzymało, a kolonie na ogół znajdowały się na przyzwoitym poziomie cywilizacyjnym. Gdyby znalazł świat Brandtów, na pewno chętnie skorzystano by z jego wiedzy w dziedzinie bioniki, która powstała wiele lat po odlocie statków. Zatem pozostawał tylko jeden problem: co zrobić z artefaktami z wojny Gwiazdokrażcy? Troblum nie potrafiłby znieść rozłąki ze swoimi eksponatami, a gdyby je teraz przewiózł do hangaru, Marius mógłby to zauważyć. Do sieci apartamentu przesłał rozkaz zorganizowania przesyłki. Potem odbył bolesną rozmowę z Krępusiem Florakiem.

Neumannowskie moduły cybernetyczne w ciągu trzydziestu dwóch godzin wytworzyły nadświatlny silnik dla planet. Troblum stał pod błyskającym walcem, gdzie tłocznie kończyły produkcję urządzenia. Zachwycił się jego elegancją. Od swoich

funkcji polowych otrzymał raport: gęsty splot energii i hipernapężonej materii są w idealnej równowadze; występowało tu tak wiele egzotycznych zjawisk, że samo urządzenie można by uznać za osobliwość.

Jeśli koloniści nie zechcą biononiki, na pewno zechcą mieć to.

Zadowolony obserwował, jak pola siłowe umieszczają walec w „Odkupieniu Mellanie”. Zamknęły się zmodyfikowane ładownie i Troblum ustawił urządzenie w tryb gotowości. Nikt nie będzie mógł sforsować kodu dostępu, nawet wysłannicy ZAN. Urządzenie należało wyłącznie do niego.

Zabezpieczył je i zaekranował. Wrócił do swojego biura i z powrotem wpisał do schematów usterki umieszczone tam poprzednio przez Emily, a potem dodał własne modyfikacje na głębszym poziomie. Teraz silnik naprawdę był unikalny.

Kilka godzin później zadzwonił Marius.

- Skończyłeś już swoje analizy?

- Dopiero co. Chyba będę musiał kompletnie przeprojektować kanały naprężeń egzotycznych.

- Nie brzmi to zbyt dobrze. A ja nawet nie rozumiem, o czym mówisz.

- Tak, kiepska sprawa.

- Jestem pewien, że z naszych funduszy da się to pokryć. Teraz mam do ciebie małą prośbę.

- Co takiego?

- Chciałbym, żebyś zabrał mojego kolegę na naszą stację.

- Pasażera? - Troblum wpadł w popłoch. Z obcą osobą na pokładzie nigdy nie będzie miał swobody lotu. Z coraz większym przerażeniem stwierdzał, że prawdopodobnie o to w tym wszystkim chodziło. Czyżby Marius coś wywahał? Troblum mógłby przysiąc, że jego kody są nie do złamania. Ale miał przecież do czynienia z frakcją ZAN.

- Jakiś problem? W twoim statku zmieszczą się co najmniej dwie osoby, a lot jest stosunkowo krótki. Cały czas wewnątrz Wspólnoty.

W tym na pewno kryła się jakaś aluzja.

- Żaden problem. Muszę przygotować lot.

- Na pewno uporasz się z tym w godzinę. Szczęśliwej podróży.

Marius nie zapytał uprzejmie o to, czy Troblum jest gotów do drogi. Wydał raczej rozkaz. W Troblumie irytacja walczyła z ciekawością. Po co jestem im tak nagle potrzebny?

- Troblum?

- Co....? - Odwrócił się tak szybko, jak pozwoliły mu potężne gabaryty. W biurze stał bardzo wysoki mężczyzna. Jego chudą czaszkę porastała ruda szczecina. Miał na sobie proste szare ubranie, podkreślające długość kończyn. - Kim pan jest, do cholery? - Biononika Trobluma natychmiast otuliła go obronnymi polami siłowymi, a jedna z broni, jakie miał w swoich modyfikacjach, wycelowała w intruza.

- Jestem Lucken. Chyba mnie pan oczekiwał?

- Jest pan...?

- Pańskim pasażerem. Czy statek jest gotów?

- Jak pan się dostał do środka?

Twarz Luckena pozostała niewzruszona.

- Potrzebuje pan pomocy w przygotowaniach do lotu?

- Nie.

- To proszę zaczynać.

Troblum poprawił sobie z przodu stary togatur, reagując wściekle na tę arogancką odzywkę.

- Przewody są już podłączone. Wylatujemy, jak tylko napelnia się zbiorniki. Chce pan się udać do swojej kabiny?

- Już pan wsiada?

- Nie. Mam tu jeszcze coś ważnego do zrobienia.

- Poczekam. Wejdę na pokład razem z panem.

- Jak sobie pan życzy. - Troblum usiadł głęboko na krześle i uaktywnił projektory solido. Żeby pokazać, jak obojętny jest mu ten gość.

Lucken nie poruszył się. Ani razu nie spuścił wzroku z Trobluma. Zapowiadał się długi lot.

To był prawdziwie nostalgiczny lot. Troblum widział tę stację pięćdziesiąt lat temu i nigdy nie przypuszczał, że ją jeszcze

kiedys zobaczy. Zdziwił się nawet, że pozostała w nienaruszonym stanie. „Odkupienie Mellanie” leciało trzy dni z Arevalo do bezmiennego czerwonego karła. Wokół plamki słabego rudego światła nie krążyły żadne planety - ani skaliste, ani gazowe - tylko wielki dysk gąbczastych węglowodorowych planetoid. Gdy pracował tam poprzednim razem, było tego więcej. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych eksperymentów. Wtedy po raz ostatni naprawdę się upił, zupełnie nie przejmując się tym, że robi z siebie durnia.

„Odkupienie Mellanie” wyszło z hiperprzestrzeni dziesięć jednostek astronomicznych od gwiazdy i osiem tysięcy kilometrów bezpośrednio nad swoim celem. Troblum ustawił przyśpieszenie na siedem g i celował prosto w ciemny torus o średnicy pięciu kilometrów. Obronne krążowniki - cała eskadra pozbyła się osłony typu stealth - pojawiły się wokół statku i ciasno go okrążyły. Każdy miał ponad sto metrów długości i kształt kropli rtęci zamrożonej w trakcie uderzania o rtęciową powierzchnię; dziwne nibynóżki tworzyły koronę, od której odchodziły zniekształcone fale. Poruszały się elegancko i gładko niczym ławica morskich zwierząt hasających wesoło wokół przybysza. Zapуściły sondy kwantowe w kadłub „Odkupienia Mellanie” - a to nie było już zabawne. Troblum wstrzymał oddech. Nie miał pewności, czy wyrafinowane ekranowanie, jakie umieścił wokół przedniej ładowni, potrafi zablokować skanowanie. Udało się. Ale przecież to on był jednym z konstruktorów tych krążowników. Siedemdziesiąt lat temu. To ciekawe, że w ciągu minionych dziesięcioleci nie wymyślono nic nowego. U ludzi rozwój techniki osiągał płaskie maksimum lokalne. Emily Alm chyba słusznie oceniała stan floty: wojsko dysponowało ogromną wiedzą i uważało, że we wszechświecie nie ma nic nowego.

W eskorcie krążowników statek wylądował na stacji. „Odkupienie Mellanie” wleciało w wewnętrzną rurę torusa, która była niemal tak długa jak jego średnica. Korzystając ze skromnej sieci sensorycznej Troblum mógł się przekonać, że znaczne obszary stacji ponownie uruchomiono. Czarny jak tytan kadłub

został pokryty długimi wąskimi kolcami i wyglądało to tak, jakby na stacji osiadły ostre kryształy lodu. Większość kolców była przezroczysta, barwy białoniebieskiej, ale wśród nich, najwyraźniej przypadkowo, rozmieszczono kilka mniejszych jarzących się słabym karmazynowym światłem. Jakby kolce przechwyciły trochę fotonów z pobliskiego słońca.

Troblum pilotował swój statek do czerwonego kolca długiego prawie na siedemset metrów. Drzwi hangaru były otwarte i czekały. Gdy się zamknęły, Troblumowi nasunęło się nieodparte skojarzenie: na głucho zamyka się cela starożytnego więzienia.

- Dziękuję, że zechciał pan skorzystać z Linii Lotniczych Trobluma i życzę miłego dnia - powiedział wesoło.

Lucken otworzył służę i wyszedł na zewnątrz. Podczas podróży nie odezwał się ani słowem. Nie spał, tylko przez cały czas siedział w środkowej kabinie. Zniknął, gdy Troblum aktywował małą walizkę i przywdział szmaragdowy płaszcz. Statek wyglądał niepozornie w przepastnej, olśniewająco białej komorze. Z podłogi wysunęły się białe rury i wpasowały się w gniazda serwisowe statku. Troblum nigdzie nie widział drzwi na zewnątrz. W ogóle żadnego wyjścia na stację. Gdy szedł po zakrzywionej podłodze, ciężenie zmieniało się i zawsze przyjmował pozycję pionową. Dla zmysłu wzroku było to dość dezorientujące.

Pod dziobem statku czekała na niego kobieta. Wysoka jak Troblum, miała zupełnie pozbawioną włosów głowę i wielkie idealnie okrągłe oczy na płaskiej twarzy. Długą ponad dwudziestocentymetrową szyję okrywały wąskie złote pierścienie; wyglądało to jak metalowa segmentowana kończyzna. Całe jej ciało migotało jak togatur nastawiony na stalowoszary kolor. Migotanie bardzo ciasno przylegało do skóry i Troblum przypuszczał, że osoba jest biononicznie zmodyfikowana. Wielu Elewatów tuż przed załadowaniem decydowało się na fizjologiczne modyfikacje.

- Witaj - powiedziała przyjemnym, niemal dziewczęcym głosem.

- Wiele o tobie słyszałam.

- Przykro mi, ale nie mogę odwdziaczyć się tą samą

uprzejmością. - Czytał z podręcznika dobrego wychowania, który pokazał mu się w egzowizji.

- Jestem Neskia, zarządzam stacją. Mój poprzednik miał bardzo pochlebne zdanie o twoich zdolnościach. Nasza Frakcja chciałaby ci podziękować, że wróciłeś.

Jakbym miał inny wybór.

- Świetnie, ale w zasadzie po co tu jestem? Czyżby rój źle działał?

- W żadnym razie. - Wdzięcznym gestem zachęciła go, by za nią szedł. Szyja wygięła się płynnym węzowym ruchem i twarz kobiety znalazła się naprzeciwko twarzy podążającego za nią Trobluma. Ten szedł po zakrzywionej powierzchni, a walizka unosiła się tuż nad jego głową. Wysoko w górze otworzyły się żrenicowo okrągłe drzwi. Wewnętrzny wygląd stacji zdecydowanie zmienił się przez siedemdziesiąt lat.

- O!

- Jesteś rozczarowany? - zapytała, zatrzymując się przy drzwiach na chwilę.

Troblum nie był pewien, czy koło wypadło z zakrzywionej powierzchni i stanęło pionowo czy też w dziwny sposób manipulowano lokalną grawitacją, oszukując zwykłe zmysły. Nie chciał tego sprawdzać skanowaniem polowym. Próbowano go zdeorientować. Dziecinada.

- Rozczarowany? Nie. Zakładam, że mam sprawdzić i aktualizować rój, na wypadek gdyby zrealizował się najgorszy scenariusz Pielgrzymki. Ostatnio dokonano pewnych odkryć. Można by je tu zastosować.

- Rój rozproszył się do punktów dyslokacji. Cały czas jest uaktualniany. Nie spodziewamy się, żeby ekspansja Pustki spowodowała jakieś problemy.

- Naprawdę? Więc dlatego stacja cały czas działa?

- Między innymi dlatego. - Weszła do korytarza.

Troblum poznał dawny szaroniebieski wystrój. A więc nie wszystko tu zmienili.

- Przydzieliłam ci apartament w sektorze 7-B-5 - powiedziała Neskia. - Możesz go zmodyfikować według własnego uznania,

tylko powiedz smartkorowi stacji, czego chcesz.

- Dziękuję. A z jakiego powodu tu jestem?

- Budujemy dwanaście silników z ultranapędem dla floty Pielgrzymkowej. Uważamy, że masz niezrównane doświadczenie w technikach, jakich używamy.

Troblum stanął jak wryty. Walizeczka omal nie uderzyła go w tył głowy.

- Ultranapęd?

- Tak.

- Naprawdę istnieje? Zawsze myślałem, że to tylko pogłoski.

- Nie. Będziesz pracował z małym zespołem. Zatrudniono pięćdziesięciu ekspertów. Samą fabrykacją zajmą się neumannowskie moduły cybernetyczne, te które zbudowały rój.

- Fascynujące. - Przedtem czułem się podle, bo go szantażowano i straszono, ale teraz ponury nastrój zaczął go opuszczać. - Muszę zapoznać się z założeniami teoretycznymi.

- Oczywiście. - Mrugnęła wielkimi oczami. - Przekażemy informacje, jak tylko się zainstalujesz.

- Już się zainstalowałem.

Araminta czekała na przyjazd Shelly, której miała formalnie przekazać mieszkanie. Wprawdzie kancelaria Cressidy zajęła się prawną obsługą sprzedaży - więc wszystko powinno być w porządku - ale osobista obecność dewelopera świadczyła o profesjonalizmie. A w biznesie to wartość bezcenna.

Patrzyła z balkonu, jak kapsuła Shelly opada na wyznaczone lądowisko, a chwilę później większa kapsuła dostawcza ląduje na publicznym parkingu. Mieszkanie wydawało się niezbyt atrakcyjne, gdy Araminta wyniosła z niego pokazowe meble, które miały nadać wnętrzą nowoczesny wystrój.

- Wszystko w porządku? - spytała Shelly, gdy Araminta otworzyła jej drzwi.

- Tak. Chcę się tylko upewnić, czy jesteś zadowolona.

- O, tak. Nie mogę się doczekać, kiedy się tu wprowadzę.

Shelly minęła ją i weszła głębiej do mieszkania. Uśmiechnęła się

zadowolona, widząc puste pokoje. Była wysoka i ładna. Miała w tej dzielnicy własny salon. Araminta trochę jej z tego powodu zazdrościła - Shelly była o rok od niej młodsza, a już odniosła sukces. Ale ona nie popełniła błędu i nie zadawała się z kimś takim jak Laril.

Shelly zauważyła duży bukiet kwiatów na bufecie w kuchni.

- O, dziękuję! Jakie to miłe!

- Bardzo proszę. - u-adiunkt Araminty przesłał do Shelly kody aktywacyjne mieszkania. - Gdyby były jakieś problemy, proszę, dzwoń do mnie.

Schodząc, przywarła do ściany, gdy podnośniki regrawowe wciągały na górę wielką czarno-czerwoną kanapę. Araminta by takiej nie wybrała, ale... Wzruszyła ramionami i wyszła z domu.

Swoją starą kapsułą poleciała nad Cowlyn do dzielnicy Bodant. Wylądowała na publicznym parkingu. Poranek był ponury, znad morza wiatr pchał brudnorude chmury wzbierające deszczem. Araminta wysiadła z kapsuły i z uśmiechem spojrzała na pięciopiętrową kamienicę. Dość typowy budynek z białymi balkonami, obrośnięty barwnymi, kwitnącymi pnączami. Na rogach stały czarne szklane kolumny ożywione rojami fioletowo-granatowych refrakcyjnych plamek, które poruszały się w górę i w dół jak wspinające się gryzonie. W nocy efekt był wyraźnie widoczny, ale w deszczowy dzień brakowało tej dekoracji dynamizmu. Na dachu pod kryształową kopułą znajdował się basen i sala gimnastyczna. Przed frontem budynku był wypielęgnowany ogród - rósł na prywatnym podziemnym garażu.

Z niskich chmur wyłoniła się smukła fioletowa kapsuła Cressidy i wylądowała obok Araminty.

- No, kochana, ale wyczyn! - Prawniczka miała na sobie czarno-biały futrzany płaszcz, który otulał ją przy każdym ruchu. Spojrzała na fronton budynku i zmrużyła oczy, widząc trzy balkony, na których stał wysoki stos starego wyposażenia. - Mam kody dostępu i certyfikaty właściciela. - Idziemy na górę, co?

Araminta kupiła całe trzecie piętro z pięcioma apartamentami. Budynek przechodził modernizację. Ikor, poprzedni właściciel,

wyprowadził się, więc pojawiła się oferta, której nie potrafiła się oprzeć. Cressida weszła do pierwszego mieszkania i wywróciła oczami.

- Nie mogę uwierzyć, że się na to zdecydowałaś.

- Dlaczego? Dla mnie to doskonała okazja. - Araminta pogodnie przyjmowała zastrzeżenia kuzynki.

Podeszła do drzwi balkonowych. Szyba odsunęła się przed nią i Araminta wyszła na balkon. Słyszała odgłosy wiercenia i brzęczenie - to inni inwestorzy przygotowywali mieszkania na sprzedaż.

- Ma dziewięćdziesiąt lat i potrzebuje renowacji. Ale tylko spójrz na ten widok!

Cressida wydeła usta pociągnięte szafirowym błyszczkiem. Patrzyła na park i leżącą za nim rzekę Cairns. Przy nabrzeżu leżała przystań z budynkami w stylu art deco. Były olśniewająco białe, jakby je właśnie wyjęto z pieca termojądrowego.

- Jesteś po złej stronie parku, kochanie. Po tamtej stronie są pieniądze, elegancja i dużo się dzieje. A poza tym stąd jest tylko kilka ulic do dzielnicy Helie. Naprawdę!

- Nie zrzędź. Dowiodłam, że potrafię czegoś dokonać. Wiesz o tym.

- Wiem też, ile zapłaciłaś za te nory. Sto tysięcy za każdą. Czy ktoś cię porwał i trzymał dla okupu?

- Każdy apartament ma trzy sypialnie. Wymagają znacznie mniej pracy niż tamto mieszkanie. Dwa największe mają ten widok. A poza tym poprzednio zarobiłam czterdzieści tysięcy.

- Mimo to nie mogę uwierzyć, że bank dał ci aż taką pożyczkę.

- Standardowa pożyczka komercyjna. Spodobał im się mój biznes-plan - oznajmiła Araminta z dumą.

- A Ozzie wróci, żeby nas zbawić. Daj spokój, możesz mi wszystko powiedzieć. Spałaś z całym biurem, co?

- To tylko prosta kalkulacja finansowa.

- Aha! To tylko dowodzi, że nie wiesz, o czym mówisz. Finanse nigdy nie są proste.

- Odnowię jedno mieszkanie, prawdopodobnie to. Będzie na pokaz. Pozostałe sprzedam w stanie surowym, ludzi zachęci

dobrze wykończenie. Zaliczka wystarczy na spłacenie hipoteki, a ja będę dalej remontowała.

- To jest najlepsze? Nie mogę!

- Tak. A tym dzielnicą Helie ma perspektywy. Nie krytykuj wszystkiego. To irytujące - powiedziała tonem ostrzejszym, niż zamierzała. Cressida natychmiast zaczęła ją przeproszać.

- Wybacz, kochanie. Teraz moje życie pozbawione jest ryzyka. Naprawdę podziwiam cię, że tak dużo gotowa jesteś zaryzykować. Przyznaj, że to ryzyko.

- Oczywiście. Bez ryzyka nigdy do niczego nie dojdiesz.

- No, no, co się stało z tą wiejską dziewczyną z Langham?

- Umarła. Na pogrzeb nikt nie przyszedł.

Cressida ze zdziwieniem uniosła w górę idealną brew.

- Jakiegoż potwora stworzyłam!

- Myślałam, że będziesz zadowolona, widząc, jak prędo przodu.

- Jestem zadowolona. Zamierzasz znów sama przeprowadzić wszystkie prace?

- Tak, większość. Mam nowe boty i wiem, gdzie kupować materiały budowlane. To będzie prestiżowe miejsce. Wszystkie apartamenty sprzedam z zyskiem.

- Jestem tego pewna. Czy wiesz, że hotele w mieście są pełne?

- A jakie to ma znaczenie?

Cressida oparła się o poręcz balkonu, którą wcześniej wytarła.

- Przybywa wielu wyznawców Żywego Snu. W gajaserze rozniosła się pogłoska, że na Viotii żyje Drugi Śniący.

- Naprawdę? Nie wiedziałam, ale od tygodni nie zaglądałam do wiadomości. Ostatnio jestem pracującą dziewczyną.

- Nikomu tego nie powtarzaj, ale rząd obawia się między innymi presji na rynek mieszkaniowy oraz innych rzeczy, na przykład niepokojów społecznych.

- Nie mów.

- Serio. W ciągu ostatnich siedmiu tygodni przyleciały dwa miliony wiernych. A wiesz, ilu odleciało?

- Nie.

- Żaden. A jeśli będą się starać o stały pobyt, zmieni to strukturę polityczno-demograficzną.

- Więc znów przyjmujemy imigrantów. W ten sposób rozwijają się planety. Zwiększy się zapotrzebowanie na mieszkania. Dobrze na tym wyjdę.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że w czasach niepokojów wartość nieruchomości gwałtownie spada.

- To aż tak poważne? - Aramintę nagle ogarnął niepokój. Cressida miała przecież bardzo dobre źródła informacji.

- Wiesz, że zawsze istniał podskórny żal do Ellezelin. Jeśli ludzi z Żywego Snu będzie przybywać w takim tempie, pojawią się kłopoty. Kto by chciał żyć w hierokracji?

- Jasne, ale ma wyruszyć Pielgrzymka i chyba wezwą ich z powrotem na Ellezelin? Przecież nie znajdują tego głupiego Drugiego Śniącego, przynajmniej nie tutaj. Ta cała heca to chwyt polityczny nowego Kleryka Konserwatora. Mam rację?

- Kto wie. Ale, kochanie, radziłabym ci znaleźć jakiegoś frajera, któremu mogłabyś szybko opylić te mieszkania.

Araminta przypomniała sobie, jak bardzo Ikor nalegał, żeby kupiła od niego mieszkania. A cena wydawała się wtedy okazjna. Czyżbym to ja była frajerem?

- Chyba nie zawadzi, jak się za kimś takim rozejrzę - stwierdziła.

Rozległ się chórek przekleństw, gdy poczwórny pan Bovey manewrował staromodną kamienną wanną, próbując ją wstawić do łazienki. Przychodziło mu to z trudem, bo korytarzyk był dość wąski.

- Mogłabym w czymś pomóc? - zawołała Araminta z kuchni, gdzie wraz z trzema botami poprawiała przyłączenia do zamówionego modułu kuchennego.

- Dziękuję, daję sobie radę - odpowiedziano jej w kwadrofonii. Zachichotała.

- W porządku.

Po dwudziestu minutach jeden z nich wszedł do kuchni. Był to ten Bovey, którego po raz pierwszy spotkała w markecie budowlanym w alejce z łazienkami, Bovey o mahoniowej skórze i starzejącym się ciele. Był w średnim wieku, ale nie migał się od

pracy. Na pokryte zmarszczkami czoło wystąpiły mu krople potu.

- Zaparzyłam herbatę - powiedziała, wskazując na czajnik i starożytne filiżanki. - Chyba przyda się panu przerwa.

- Tak, moi pozostali są młodszy. - Uśmiechnął się z zachwytem, patrząc na parujące filiżanki i paczkę herbacianych sześcianików.

- Naprawdę się pani udało, co?

- Czekałam na dostawę modułu kulinarnego - powiedziała z miną męczennicy.

- Zaraz go dostarczymy, obiecuję. - Wziął filiżankę. Spojrzał na paczkę z żywnością i piec hydracyjny. - Czy pani tu mieszka?

- Tak. Nie wynajmuję żadnego mieszkania, dzięki czemu oszczędzam mnóstwo pieniędzy. A jaki by to miało sens? Mam pięć apartamentów, nie są takie złe, dach nie przecieka, trochę brak estetyki... Mogę wytrzymać parę miesięcy.

- Wie pani co, podziwiam pani postawę. Niewiele osób w pani wieku podjęłoby się takiego projektu.

Mrugnęła.

- A w jakim jestem wieku?

- Szczerze? Nie mam pojęcia. Ale widać wyraźnie, że to pani pierwsze życie.

- Przyznaję się do tego.

- Czy mógłbym zaproponować pani dziś wieczór niehydrowane jedzenie? Znam w pobliżu miłą restaurację.

Uśmiechnęła się, dłonią objęła kubek z herbatą.

- Byłoby cudownie. Ale nie lubię curry.

- Zgoda. Niektórzy ze mnie też tego nie lubią.

- Macie różne gusta kulinarne?

- Oczywiście. Smak związany jest z biochemią, różną w każdym ludzkim ciele. A przecież mam duży wybór.

- Dobrze. - Opuściła oczy wstydliwie. - Muszę spytać. Nigdy przedtem nie byłam na randce z wieloczwolnikiem. Czy wszyscy przysiadacie się do stolika?

- Nie. To chyba byłoby dla pani za dużo, prawda? Poza tym muszę zająć się sklepem, dostawami, montażem i innymi sprawami. Moje życie toczy się nadal.

- Ach, tak. - Dziwne, ale do zaakceptowania.

- Gdyby była pani innym wieloczlówkiem, mogłoby być inaczej.

- Jak?

- Zarezerwowalibyśmy całą restaurację z romantycznymi stolikami dla dwojga i wszystkie byśmy zajęli. Pani-one i ja-oni prowadzilibyśmy równocześnie pięćdziesiąt różnych rozmów, spróbowałibyśmy wszystkiego z menu i z karty win. To jak speed dating szybko przewijana do przodu.

Roześmiała się.

- Czy kiedyś pan to robił?

- Powiem pani wieczorem.

- Dobrze. Więc z którym z pana będę siedzieć przy stoliku dla dwojga?

- Proszę wybrać. Ilu mnie i który?

- Jeden, może być pan.

Araminta starannie i z wielkim namysłem wybierała strój i łuski kosmetyczne, które miała zastosować. Ubrała się dwie godziny przed planowanym wyjściem. Spojrzała w lustro i zaczęła jeszcze raz. Pięćdziesiąt minut później wszystkie skrzynie w pokoju były otwarte. Podłogę pokrywały stroje kupione w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Ubrania rozłożyła również na meblach. Próbowwała czterech różnych rodzajów łusek. Najpierw nablyszczyla włosy, potem je zmoczyła. Natłuściła, a później natapirowała. Ozdobiła czerwonymi scyntylatorami, potem niebieskimi, potem zielonymi, potem niebieskobiałymi...

W końcu jedenaście minut przed wyjściem podjęła decyzję: prostota. Pan Bovey nie należał do osób, które przywiązują wagę do wyglądu zewnętrznego.

Jego kapsuła wylądowała na parkingu przed domem. Araminta zjechała windą na parter, gdzie piętrzyły się rupiecie i pudła z nowo dostarczonymi rzeczami. Pokryty pyłem hol oświetlały zbyt jasne prowizoryczne lampy.

Pan Bovey miał na sobie prosty jasnoszary togatur z minimalnym migotaniem. Gdy zobaczył ją w drzwiach windy,

uśmiechnął się i powiedział:

- Pani punktualna, ależ... ojej!

Wpatrywał się w nią. Skinęła lekko głową. Wyobraziła sobie klientów, których nikt nie obsługuje, wstrzymane prace montażowe, dostawy trafiające pod zły adres.

- Wygląda pani... - przełknął, próbując odzyskać równowagę - ...fantastycznie. Zachwycająco.

- Ależ dziękuję. - Trzymając dłonie za plecami, nadstawiła policzek do powitalnego pocałunku jak naiwna dziewczynka.

A więc dokonała dobrego wyboru: czarna sukienka bez rękawów zrobiona z prostej jedwabistej tkaniny miała z przodu szerokie rozcięcie, złączone tylko dwoma wąskimi czarnoszmaragdowymi łańcuszkami; suknia sprawiała wrażenie, że zaraz pęknie na Aramincie; włosy nabłyszczone jasnokasztanowo, zaczesane do tyłu z paroma falami opadającymi na ramiona; żadnych łusek, tylko usta o barwie lekko ciemniejszej niż naturalna, oraz szmaragdowe rzęsy wysyłające słabe promieniowanie. A najważniejszy był filuterny uśmiech, który na pewno odurzy mózg mężczyzny - wszystkie mózgi.

Pan Bovey otrząsnął się z wrażenia.

- Idziemy?

- Z największą chęcią.

Zarezerwował miejsce „U Richarda”. Mała stylowa restauracja zajmowała dwa piętra starego kamiennego domu w dzielnicy Udno. Właściciel był równocześnie głównym kucharzem i, jak wyjaśnił pan Bovey, miał małą łódź, którą kilka razy w tygodniu pływał do ujścia rzeki i łowił ryby do swoich popisowych dań.

- Więc umawiasz się z innymi multiludźmi? - spytała, gdy zamówili dania.

- Oczywiście - odparł. - Ale nie ma nas zbyt wielu na Viotii.

- A małżeństwo? Czy możliwe jest tylko z multiludźmi?

- Byłem raz żonaty. Ta multikobieta nazywała się pani Rion. To było... - zmarszczył czoło, jakby szukał odpowiedniego słowa - ...przyjemne.

- Strasznie to zabrzmiało.

- Byłem w stosunku do niej nie fair. Póki małżeństwo trwało, dobrze nam było. Pierwszorzędny seks. - Uśmiechnął się bezwstydnie. - Wyobraź sobie: trzydzieści jej, trzydziestu mnie. Co noc wszyscy razem. Wy pojedynczy nawet w orgii nie zbliżacie się do takiego fizycznego raj.

- Nie wiesz, jak dobra jestem w orgiach. - Powiedziała to i od razu poczuła, że uszy jej płoną. Zaskoczyła go drugi raz tego wieczora, a randka trwała dopiero godzinę. Cressida byłaby ze mnie dumna.

- W każdym razie... Po siedmiu latach stwierdziliśmy że trzeba to zakończyć. Bez wrogości. Nadal jesteśmy przyjaciółmi. Na szczęście nie połączyliśmy naszych firm. Zawsze należy spisać kontrakt przedmałżeński.

- Tak. Sama się o tym dotkliwie przekonałam.

- Byłaś zamężna?

- Tak. To był błąd. Ale jak powiedziałeś, jestem młoda. Moja kuzynka twierdzi, że tylko na błędach możemy się czegoś nauczyć.

- Twoja kuzynka ma rację.

- Masz zamiar mnie dziś nawracać?

- Nawracać?

- Na koncepcję wielocłowieka. Mówiłeś chyba, że wieloludzkosc jest nieunikniona.

- Tak. Ale nie jestem kaznodzieją. Choć niektórzy z nas mają takie zapędy - przyznał.

- Umawiasz się z... no z...

- Z kobietami spoza naszej wiary? Tak, oczywiście. Interesują mnie wszyscy ludzie.

- Elewaci wydają się dość nudni. Jeśli to brzmi nietolerancyjnie, wyjaśniam, że mój były mąż migruje obecnie do centrum.

- A więc to nie jest obiektywna opinia.

Araminta wzniosła kieliszek.

- Na Ozziego, mam nadzieję, że nie.

- Zmiana w Elewate to błąd. To droga technokratyczna. My proponujemy humanistyczny sposób na nieśmiertelność i ewolucję.

- Ale przecież wykorzystujecie technikę.
- W bardzo małym zakresie. Kilka gajainterfejsów do ujednoczenia naszych myśli. To prosta procedura.
- A jednak! Próbujesz mnie nawrócić.

Uśmiechnął się.

- Jesteś przewrażliwiona.
- Jak wszyscy rozwodnicy. Czy ktoś z ciebie jest kobietą?
- Nie. Niektórzy multiludzie są wieloseksualni, ale to nie dla mnie. Za bardzo by to przypominało masturbację.
- Miałabym jedno pytanie... Żeby być fair, powinieneś mi odpowiedzieć...
- W jakim sensie fair?
- Widzisz, że teraz jestem tylko z tobą...
- Aha. - Uśmiechnął się przebiegle. - Chodzi ci o to, że część mnie ciężko pracuje w markecie, a część w jakiejś restauracji rozmawia z inną kobietą?
- Tak.
- A dlaczego miałyby to być w innej restauracji? - Zrobił szeroki gest. - Przyznaj, skąd możesz wiedzieć, czy któryś z obecnych gości nie jest mną?

Na myśl o tym Araminta wstrzymała oddech.

Pan Bovey zaczął się śmiać.

- Zapewniam cię, że żaden. Teraz interesuję się tylko i wyłącznie tobą. - Wzrokiem powędrował na jej piersi. - Jakże mogłoby być inaczej?

- To... - upiła trochę wina - bardzo mi pochlebia. Dziękuję.

W ten sposób wieczór potoczył się mniej więcej zgodnie ze starym schematem.

Olbrzymie stworzenia lecą swobodnie wśród wspaniałych barwnych zorzy, jasno świecących na tle bezkresnych ciemnych przestrzeni. Zataczają pętle wokół szkarłatnych wzgórz, ciągnących się przez całe lata świetlne, zakręcają i nurkują nad plamiastą kurtyną słabego zimnego gazu. Lecą, a wyobrażenie

tego, co było, ociera się o ich ciała, łaskocze umysły - to jak podróż wśród wspomnień kogoś zupełnie innego. Wyobrażenie niewiele odbiega od prawdy, zwłaszcza tutaj, w pobliżu jądra ich wszechświata.

Ona przebywa w stworzeniu, które teraz obraca się leniwie wokół swojej głównej osi, świadome otaczających go krewniaków. Stado ciągnie się na miliony kilometrów. W odległości większej od średnicy planety inny członek stada też się rozwija; olbrzymie jak góra wydłużone ciało rozpościera próżniowe skrzydła - subtelną tkaninę molekuł wielką jak atmosferyczne chmury, które migoczą delikatnie w nikłym świetle gwiazdy. Istota ma świadomość szeptów myśli unoszących się ze skalistej planety, gdzieś w dali za przepastną otchłanią. Indywidualne umysły znów nabierają siły, dostrajają się do tkanki tego wszechświata. Gdy istota wygrzewa się w łagodnym promieniowaniu obłoku, zastanawia się, kiedy umysły będą miały prawdziwą moc wpływania na rzeczywistość. Taki czas - zgadza się ze swoimi krewniakami - na pewno nadejdzie. Wtedy stado opuści wielki obłok, by szukać nowoprzybyłych i zanieść ich kompletne życia z powrotem do jądra, gdzie w końcu nastąpi kulminacja wszelkiego życia.

Jakie przyjemne wyobrażenia! Araminta westchnęła z zadowoleniem, choć istota wymykała się w ciemność, gdzie mieszkała. Mgliste światło gwiazdy ustąpiło, pojawił się rząd drgających świateł. Pajęczynowy oddech mgławicowego pyłu zestalił się w postaci palców, które sunęły po jej nogach; inne ręce gładziły ją po brzuchu, jeszcze inne ścisnęły piersi. Masowały jej skórę słodkim olejem. Języki lizały ją z intymną zmysłowością.

- Czas się obudzić - mruzczał głos.

Po drugiej stronie inny głos zachęcał:

- Czas na przyjemność.

Rozkosznie zaspana, Araminta wygięła się tak, jak nakłaniały ją dłonie. Otworzyła ociążałe powieki i zobaczyła, że przy rozległym łóżku stoi ten pan Bovey, z którym jadła kolację. Patrzył na nią z uśmiechem. Też się do niego uśmiechała, gdy

wbito się w nią od tyłu. Gwałtownie łapała powietrze, zaskoczona i podniecona, widząc ekstazę na jego twarzy. Inne dłonie gładziły ją po pośladkach. Otworzyła usta i przyjęła członka naprawdę młodego pana Boveya. Bardzo brzydko z jej strony.

Nie wiedziała, ilu zadowala tym razem. Nie wiedziała, czy jest już ranek czy to dopiero środek nocy. Nic ją to nie obchodziło. Ciało i rozkosz - jej własne - były teraz dla niej całym światem.

Po kolacji w „U Richarda” pojechali do niego kapsułą. Duży dom stał na skarpie na południowym brzegu rzeki pośród trawników schodzących aż do samej wody. Nie minęła jeszcze północ. W salonie zostało tylko kilku z nich, paru gotowało, trzech było przy basenie. Na górze śpią inni, wyjaśnił.

Istny dwór. Siedziała pośrodku szerokiej skórzanej kanapy, a oni przy niej ze wszystkich stron; rozłożył się również na poduszkach u jej stóp. Rozmawiali. Dopiero po dłuższym czasie przestała ich odruchowo traktować jako oddzielnych ludzi. Lubił się z nią droczyć, zmieniać rozmówcę w połowie zdania, nawet spierać się sam ze sobą. Ale było to bardzo sympatyczne, gdy jego ciała równocześnie wybuchały śmiechem. To było cudownie ospałe uwodzenie.

W pewnym momencie ten, z którym była na kolacji, pochylił się ku niej i pocałował ją. Wino i nastrój wyczekiwania podziały: serce zaczęło jej bić, a skóra płonęła.

- Wybór należy do ciebie - powiedział jedwabistym głosem.

- Wybór?

- Ilu i którzy.

Rozejrzała się i na jego twarzach zobaczyła identyczne zachwyty i pożądanie. Przez długą chwilę twarze wszystkich były zupełnie nierozróżnialne. Mogły być klonami. Wtedy właśnie na poziomie podświadomym uznała, że on jest jednością.

- Ty, oczywiście - odparła swemu towarzyszowi z restauracji. - Przecież to ty wykonałeś ciężką pracę, żeby mnie tu sprowadzić. - Potem wybierała dalej. - Ty. - Wskazała przystojnego. - Ty. - Młodego i bardzo muskularnego. Widziała go, jak wychodzi z basenu.

Trzech wybranych poprowadziło ją na piętro. Araminta uznała, że już samo to jest dość śmiałe, ale noc szybko zmieniła się w wyczerpującą przygodę seksualną, gdy pan Bovey uczył ją aktów możliwych tylko w grupie.

- Zaufaj mi - powiedział jeden z nich, otwierając aerozol przy jej twarzy. - To dopalacz. Wzmaga przyjemność, w pewnym sensie wyrównuje szanse między nami a tobą.

Araminta wciągnęła preparat. Był mocny.

Zebrali się ciasno, silne dłonie przytrzymywały ją w rozmaitych pozycjach. Każdy doprowadzał ją do szczytowania, a wrażenia wzmacniał dopalacz, który stopniowo nasycał jej krwioobieg. Po trzecim orgazmie opadła na materac w cudownym, ciepłym zapomnieniu. Wtedy zobaczyła, że przyszli kolejni i nago czekają w milczeniu przy łóżku. Przyglądali jej się podnieceni. Nie protestowała.

- Tak - powiedziała. Świeże ciała zbliżyły się.

Nie raz tej nocy omdlewała z wyczerpania i ekstazy podkreconej aerozolem. Krótко odpoczywała przed następnym porywem i właśnie wtedy śniła swój dziwny sen.

Obudziła się dopiero przed południem. Szczegóły minionej nocy postrzegła jako jedno pasmo niepohamowanej zwierzęcości. Była zaskoczona, że uległa wszystkim jego żądaniom.

Bovey, ten, z którym jadła kolację, leżał obok niej na łóżku. Tylko on został w sypialni.

- Dzień dobry - powiedział łagodnym, uprzejmym tonem. - Taaa... - Czuła bezsilne zmęczenie i nieprzyjemny ból. Działanie aerozolu ustąpiło. Skórę miała chłodną i trochę lepką.

- Wiesz, że podczas snu wyglądasz pięknie.

- Nikt mi tego przedtem nie mówił.

- Jak się czujesz?

- Chyba dobrze.

- Rozumiem. - Odsunął jej z twarzy niepokorne pasmo włosów. - Zadam takie pytanie: czy chciałabyś jeszcze raz przeżyć podobną noc?

- Tak - odparła szeptem.

Wiedziała, że się zaczerwieniła. Choć zachowywała się

skandalicznie, miała absolutną pewność, że to był najlepszy seks w jej życiu. Jak dotychczas. Cressida chełpiła się swoimi wyczynami z wieloma partnerami, a Aramita była zbyt nieśmiała, żeby tego spróbować. Ostatniej nocy formalnie spała z jednym mężczyzną. Emocje bez wyrzutów sumienia... prawie.

- Miałem nadzieję, że zechcesz. Nie każda pojedyncza osoba potrafi się do mnie tak dostroić. Jesteś wyjątkowa, Araminto.

- Miałam... - nie wiedziała, jak to wyrazić. To głupie. - Miałam wrażenie, że staję się częścią ciebie. Czy to nie śmieszne?

- Nie. Przy takich wyrazistych przeżyciach zawsze jest połączenie przez gajaserę z każdą osobą w pobliżu, choć przeważnie byłaś blisko mnie. Z własnego wyboru?

- Nie mam gajainterfejsów.

Spojrzał na nią dziwnie.

- To ciekawe. Byłem pewien, że... ach, dajmy temu spokój. Dom przygotowuje ci kąpiel.

- Dziękuję. A dokąd pójdziemy?

- W Broadway Empire grają jakąś komedię. Prawdziwi aktorzy. Zarezerwowałem miejsca na dziś.

Nie na tym zależało jej najbardziej.

- Świetnie. A potem?

- Pragnę, żebyś tu wróciła. Do tego łóżka. Naprawdę tego pragnę.

- Dobrze - zgodziła się z fałszywą skromnością. Przypuszczała, że już nigdy nie będzie to takie ekscytujące jak ostatniej nocy. Pierwszy raz jest zawsze szczególny, ale jeśli oni będą tak samo namiętni również tej nocy, czeka ją seks najgorętszy z gorących. Zeszła z łóżka i prostując się, odetchnęła głęboko. - Ile ciał masz?

Teraz on zachowywał się powściągliwie.

- Ponad trzydzieści. - A ile... ostatniej nocy?

- Sześć - odparł z typowo męskim zadowoleniem.

- Ozzie! - Właśnie stałam się skończoną ladacznicą. Nie mogę się doczekać, aż opowiem wszystko Cressidzie. Sześciu! Będzie mi cholernie zazdrościła.

- Co chcesz na śniadanie? - spytał, gdy otworzyła drzwi do łazienki.

- Sok pomarańczowy, kawę z Bathsamie. Mocną. Rogaliki z dżemami truskawkowym i hijune.
- Jak wyjdiesz, będzie gotowe.

Kapsuła regravowa pędziła nad jałową pustynią. Martwe, suche krzaki miały tę samą barwę co spękana żółta gleba, na której rosły. Gdy Aaron patrzył w dół przez przezroczysty kadłub, widział tylko rozmazaną cętkowaną plamę. Trudno mu było określić, czy lecą na wysokości metra czy kilometra. Żeby mieć jakieś odniesienie, wzrokiem szukał czarnego cienia kapsuły, przesuwającego się po niskich wzniesieniach.

Najpierw dostrzegli płot. Słupy z białego drewna wystawały w miejscu nieróżniącym się niczym od reszty tego jałowego terenu. Między słupami zwisał zardzewiały drut kolczasty. Gdy podlecieli bliżej, ukazały im się kolejne płoty, otaczające mniejsze połacie ziemi. W końcu zobaczyli grupę budynków, wśród których stało ranczo, otoczone całą siecią drutów kolczastych.

- Co on tu hoduje? - spytała Corrie-Lyn.
- Korrimumesy.
- Nie widzę żadnych poruszających się stworzeń.
- Chyba pora roku jest nieodpowiednia. Spojrzała krytycznie na bezkresną pustynię.
- A tu występują w ogóle jakieś pory roku?
- O, tak. Pada co dziesięć lat.
- Rety, jak ci hodowcy wytrzymują ten podniecający tryb życia?

Kapsuła okrążała ranczo. Aaron doliczył się ośmiu wielkich, stojących osobno szop. Wszystkie zbudowano ze starożytnego kompozytu o imbirowej barwie. Dom z białego kamienia stał pośród dużego szmaragdowego ogrodu. Basen na wolnym powietrzu migotał turkusem. Po rozległym padoku galopowały ziemskie konie.

- Dość przyjemnie to wygląda - przyznała Corrie-Lyn niechętnie. Funkcje polowe Aarona raportowały, że kapsułę poddano szerokopasmowemu skanowaniu.
- Ale raj to nie jest - powiedział cicho. Jego własne pasywne

skanowanie wykryło na poziomie gruntu gęste skupiska siłowe, tworzące regularne koło na granicy posiadłości. Rodzaj pierścienia obronnego.

Kapsuła osiadła w wyznaczonej strefie przy ogrodzie.

- Czy ty... - zaczął Aaron, ale zobaczył po jej minie, że nie jest zainteresowana. - W takim razie tylko ja będę mówił, dobrze?

- Oczywiście. Mam tu zostać? Chcesz mnie zakneblować? A może wolałbyś mnie wepchnąć do pojemnika staży.

- To bardzo kusząca propozycja - odparł wesoło. Nie zwracał uwagi na jej gniewny wzrok.

Paul Alkoff stał oparty o bramę prowadzącą na padok. Miał na sobie wyblakły dżinsowy kombinezon, a na głowie stetsona. Ten wysoki mężczyzna nie ukrywał swoich siedmuset pięćdziesięciu lat. Na plecy opadały śnieżnobiałe, wspaniale wyszczotkowane włosy. Ruchy miał wyraźnie spowolnione, jakby wszystkie kończyny mu zeszywniały. Z chudej opalanej na brązowo twarzy świeciły jasnoniebieskie oczy. Starannie przystrzyżona hiszpańska bródka dodawała mu elegancji. Nawet na Aaronie ten człowiek robił wrażenie. Zastanawiał się ile życia upchano w te siedemset pięćdziesiąt lat. Przyjmował, że bardzo dużo.

- Proszę pana, dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć.

Corrie-Lyn spojrzała na Aarona zdziwiona jego pełnym szacunku tonem. Paul uśmiechnął się lekko, uniósł nieco kapelusza i skłonił głowę przed Corrie-Lyn.

- Witam szanowną panią.

- Hmm, cześć - odparła skonsternowana.

- Zwykle nie przyjmuję ludzi twojego rodzaju - zwrócił się bezpośrednio do Aarona. - Więc rozumiesz, że nie zaproszę cię do środka i nie ągoszczę.

- Moja biononika ma zastosowanie bojowe, ale nie jestem Elewatem.

- Aha. W obecnych czasach chyba nie ma to większej różnicy. Tamtą bitwę stoczono dawno temu.

- I wygrał pan?

- Planeta nadal należy do ludzi, czyli chyba zrobiliśmy wtedy coś dobrego.

- Więc jesteście Protektoratem?

- Moi dawni partnerzy prosili mnie, żebym pozwolił wam wylądować. Gdy ich pytałem, dlaczego, usłyszałem, że naciskali na nich ludzie wysoko postawieni w organizacji, o której dawno nic nie słyszeliśmy. Ty do tego doprowadziłeś, synu, więc byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie próbował ze mną żadnych gier.

- Oczywiście, że nie.

- Czego chcesz?

- Informacji.

- Zorientowałem się. - Odwrócił się i oparł łokcie na górnym balu bramy. - Widzicie Georgię? To ta z cętkowaną grzywą.

Aaron i Corrie-Lyn podeszli do bramy.

- Tak, proszę pana - odarł Aaron.

- Żwawe stworzenie, co nie? Potrafię prześledzić jej pochodzenie aż do arabów na Ziemi żyjących w połowie dziewiętnastego wieku. Najczystsza krew. Ani jednej sztucznej sekwencji w całym genomie. Poczęta w naturalny sposób i urodzona z brzucha matki jak wszyscy jej przodkowie. Dla mnie to uosobienie piękna. Najwyższego piękna. Nie chcę, żeby to popsuto. W żadnym wypadku nie chcę, żeby ulepszano jej żrebięta. Ona i jej rasa ma prawo istnieć na tym świecie, tak jak to miało być na planecie, która ją stworzyła.

Aaron obserwował, jak klacz galopuje z rozwianą grzywą.

- Rozumiem ten pogląd.

- Rzeczywiście? A mój kapelusz?

- Słucham, proszę pana?

Paul zdjął stetsona, obejrzał go i włożył na głowę.

- Musisz wiedzieć, że to autentyk. Jeden z ostatnich egzemplarzy zrobionych w Teksasie, ponad dwieście pięćdziesiąt lat temu, w fabryce, która produkowała je przez tysiące lat, zanim ZAN w końcu ją zamknął, bo uznał, że to jakaś błahostka. Eks-ludzie, którzy żyją na tej biednej starej planecie, już się tym nie zajmują nawet w ramach hobby. Kupiłem całą partię i trzymam ją w stazie, więc kiedy jeden kapelusz mi się zniszczy, biorę następny, nowy. Zostały mi już tylko dwa. Strasznie szkoda. Ale z drugiej strony raczej nie będę żyć aż tak długo, żeby zużyć ostatnią

sztukę. Będzie leżeć na mojej trumnie.

- Przykro mi to słyszeć, proszę pana.

- Więc powiedz mi, synu, czy zorientowałeś się, jaki jestem?

- Nie, niezupełnie.

Paul przygwoździł Aarona niepokojącym wzrokiem.

- Jeśli do pasji doprowadza mnie autentyczność kapelusza, to wyobraź sobie, jak potrafię się wściec, gdy w grę wchodzi wytępienie ludzkiego dziedzictwa.

- Aha.

- Należę do Protektoratu i napawa mnie to dumą. Mam swój udział w powstrzymaniu ekspansji tego świętoszkowatego gówna na te wszystkie wspaniałe układy planetarne. Elewaci nie przypominają żadnej staromodnej religii czy ideologii z dawnych czasów, gdy ludzie o różnych poglądach potrafili przeklinać i spierać się całą noc nad butelką whisky, a rano się z tego śmieli jak dżentelmeni. Kultura Elewatów to inna sprawa. Traktuję ją jak fizycznego wirusa, którego należy wyplenić. Zatruje nas i pozbawi wszelkiego wyboru. Jeśli rodzisz się z biononiką, która zaraziła twoje komórki, to odebrano ci wybór. W końcu załadujesz swoje myśli do ZAN. I tyle. Żadnej innej opcji, żadnej alternatywy. Twoja osobowość została ci odebrana, zanim się urodziłeś. Człowiek, prawdziwy człowiek, ma wolną wolę. Elewaci jej nie mają. Ani trochę.

- A ich życie między narodzinami a załadowaniem? - spytała Corrie-Lyn.

- Nie ma znaczenia. Są jak zwierzęta domowe, może nawet bardziej jak bydło. Hodowane i chronione przez maszyny, aż będą gotowe oddać się swemu metalowemu bogowi w akcie ostatecznego poświęcenia.

- Więc po co ten bóg ich stworzył?

- W ostatecznym rozrachunku to rzeczywiście bezcelowe. Wprawdzie wiele lat minęło, ale to wczesny etap. ZAN uważa, że nas zastąpi. Jeśli pozwolimy jej rządzić bez przeszkód, wytępi nas.

- Wiele gatunków nadal istnieje po osiągnięciu etapu postfizycznego - stwierdził Aaron. - Dla większości ascendencja

jest momentem odrodzenia, ci, którzy nie zmieniają się w postfizycznych, różnicują się i rozprzestrzeniają wśród nowych gwiazd.

- Tak, ale przestają być tym, czym byli. - Paul znów spojrzał na Georgię. - Jeśli nie będzie się jej chronić, świat nigdy nie ujrzy czegoś takiego jak ona. To nie w porządku. Nie można do tego dopuścić.

- Radykalny ruch Elewatów jest na wymarciu - zauważył Aaron.

- Nie ma już infiltracji. ZAN tego dopilnowała.

Paul uśmiechnął się niewyraźnie.

- Tak, czy to nie ironia losu? Może dobry Bóg nałożył na tego metalowego oszusta ograniczenia moralne.

- Chciałbym pana zapytać o te czasy, gdy był pan aktywnym członkiem Protektoratu.

- Pytaj, synu. Nie wiem, kim jesteś, ale chyba mam pewność, kim nie jesteś. Nie jesteś policjantem czy czymś takim.

- Nie jestem, proszę pana.

- Cieszę się.

- Przyszedłem spytać o Iniga.

- Aha. Domyślałem się tego. Obydwoje go szukacie?

- Czy pan wiedział, że on jest Elewatem?

Reakcja Paula zaskoczyła go. Starzec uderzył dłonią o bramę i uśmiechnął się promiennie.

- Sukinsyn! Wiedziałem, do cholery. Ależ on był przebiegły jak lichy. Wiesz, jak długo go obserwowaliśmy?

- Więc mieliście podejrzenia?

- Oczywiście.

- Czyli Erik Horovi był Elewatem?

- Erik? Nie. Biedny dzieciak. Został wykorzystany tak jak siostry przez tego pieprzonego anioła.

- Siostry? Ma pan na myśli ciotkę Iniga?

- Niewiele wiesz, synu. Mam rację?

- Tak, proszę pana, ale muszę się dowiedzieć. Sprawa jest pilna.

- Ha! Wszystko jest pilne. Obecnie cały wszechświat się śpieszy. Tak to widzę, bo jestem starszy, ale, do cholery...

- A Erik? - przypomniał mu Aaron.

- Zaczniemy od aniołów. Wie pan, czym są?

- Słyszałem o nich.

- Radykalni Elewaci zamierzali nawrócić cały świat na swoją kulturę. W tej sprawie nie chcieli dać ludziom wyboru. Jak już mówiłem, jeśli rodzisz się z biononiką, nie masz wyboru, czym staniesz się w życiu. Więc wtedy tamte anioły lądowały na planetach i prowadziły swoje brudne dzieło: inicjowały zarazę, która miała się rozprzestrzenić na całą populację. Protektorat obserwował wszystkie kosmoporty, wyszukiwał osoby z biononiką i cały czas miał na nie oko. O ile się orientuję, nadal to robi. Więc aniołowie lądowali gdzieś w głuszy. Skakali ze statku, gdy znalazł się na niskiej orbicie, a ich pola siłowe chroniły ich podczas spadania przez atmosferę. - Spojrzał przeciągle na Aarona. - Pan to potrafi?

- Tak, chyba tak. To kwestia sformatowania. Ale w tamtych czasach to musiało być nowatorskie.

- Och, ci dranie mieli dostęp do nowatorskich technik. Pola siłowe. To z ich powodu zyskali nazwę aniołów. Były uformowane w kształcie skrzydeł i sprowadzały ich na planety w przepysznym ogniu. Wielu z nich przedostało się niepostrzeżenie. Ale mieliśmy szczęście. Gdy jeden z naszych sympatyków wyprawił się na ryby, zauważył ślad termiczny nad oceanem i zawiadomił nas. Ze swoim zespołem śledziliśmy potwora do Kuhmo. Spóźniliśmy się jednak. Zdążył dopaść Erika Horoviego i Imeldę Viatak, którzy chodzili ze sobą, jak to nastolatki. Rzecz polega na tym, że aniołowie są hermafrodytami i są piękni. Naprawdę piękni. A ten nawet na ich tle był wyjątkowy. Mógł być albo pięknym chłopcem, albo nadzwyczajną dziewczyną, zależnie od płci partnera. Zaprzyjaźnił się z Erikiem i Imeldą i z obojgiem poszedł do łóżka. Najpierw z Erikiem. Kolejność jest ważna. Organy anioła zainfekowały spermę Erika biononiką. Potem z Imeldą. Została zapłodniona zmienioną spermą Erika.

- A antykoncepcja? - spytał Aaron.

- Bezużyteczna. Aniołowie potrafią ją zablokować lepiej niż lekarz. Więc dzieciaki się dowiedziały, że będą miały bobasa.

Testy DNA potwierdziły, że nie ma wątpliwości co do rodziców. Nawet obecnie biononikę jest piekielnie trudno wykryć u płodu. A w tamtych czasach było to prawie niemożliwe. I pach! Masz w gnieździe podrzutka, choć nigdy się o tym nie dowiesz. Biononika ujawnia się dopiero w okresie pokwitania, a wtedy jest już za późno. Jeśli w populacji zaszczepisz jej wystarczająco dużo, za kilka pokoleń większość urodzonych będzie Elewatami. Ale nam się udało przerwać na czas ten trójkąt miłosny.

- Akademik wydziału sztuki - rzekła domyślnie Corrie-Lyn.

- Tak, proszę pani. Anioł wywołał bójkę. Ale dopadliśmy go. Żeby pokonać biononikę, potrzeba w zasadzie tylko większej siły ognia. Akademik stał w polu rażenia.

- A co z dzieckiem?

- Zabraliśmy Erika i Imeldę do naszej kwatery polowej. Dziewczyna była w ciąży jakieś dwa tygodnie, o ile pamiętam, i płód był zainfekowany.

- Chyba pan mówił, że tego się nie da określić. Paul patrzył przed siebie w stronę horyzontu.

- Są sposoby. Trzeba sprawdzić komórki bezpośrednio.

- Och, Ozzie! - Corrie-Lyn westchnęła. Pobladła.

- Wyjeliśmy z niej dziecko i zbadaliśmy. Żaden embriion nie przeżyje takiego testu. Na szczęście tym razem mieliśmy rację. Było jednym z nich.

- Nie jest pan człowiekiem, choćby nie wiem co pan o sobie mówił. Aaron spojrział na nią wściekle. Miała coś dodać, ale z oburzeniem wzniosła ręce i odeszła.

- Proszę wybaczyć - powiedział Aaron. - I co się stało?

- Standardowe postępowanie, w wypadku gdy dziewczyna wie, że jest w ciąży. A Imelda wiedziała. Nie możemy wymazać kilku tygodni wspomnień, to by zostało odkryte. Więc pobraliśmy od niej jajeczko, zapłodniliśmy nasieniem Erika i implantowaliśmy je. Potem obojgu wymazaliśmy z pamięci ten wieczór, który spędzili u nas. Następnego ranka obudzili się z kacem i nic nie pamiętali. Typowe: nastolatki budzą się dzień po imprezie.

- Czy coś poszło źle?

- Nie, synu, wszystko idealnie się udało. Dziewięć miesięcy

później urodziła im się śliczna dziewczynka. Normalna.

- Więc jak został poczęty Inigo?

- Imelda miała siostrę.

- Sabina?

- Tak. Bliźniaczka. Były identycznymi bliźniaczkami.

- Aha, chyba zaczyna się to logicznie układać.

- Powinienem być się tego domyślić. To podstawowa fantazja każdego nastolatka. Wielu mężczyzn również.

- Spał z obiema.

- Tak. I on, i anioł. Przed chwilą właśnie mi to potwierdziłeś. Wreszcie. Część procedur czyszczących przeprowadzanych przez Protektorat polega na tym, że przegląda się pamięć anioła, żeby odkryć, kogo zakaził. Włamanie się do jego mózgu to straszna, straszna rzecz, jedno z największych nadużyć techniki medycznej. Wiele dni trwa przedarcie się przez ochronę, jaką biononika daje neuronom. W naszym zespole ja się tym zajmowałem, niech mi Bóg wybaczy. Ale to było konieczne. Nie było innego sposobu, żeby odkryć, co te diabelskie potwory chciały zrobić. To się nie opiera na naukowych podstawach, ani wtedy, ani teraz. Umysły nie są uporządkowanymi składnicami jak jednostki pamięci. Musiałem połączyć swój umysł z jego umysłem i wpuścić jego złe, podstępne myśli do swojej czaszki. Przejrzałem jego ostatnie wspomnienia i autentycznie przeżywałem stosunek z Imeldą. - Zamknął oczy. Fałszywe wspomnienia wyraźnie sprawiały mu ból. - Miałem jej twarz kilka centymetrów od swojej twarzy. Była taka... słodka. Ale z drugiej strony to nie była zupełnie ona. To znaczy wspomnienia nie dotyczyły tylko jej. Nie rozróżniałem tych dziewcząt. Do diabła, w tamtym czasie nie wiedziałem, że jest jakaś różnica, której powinienem szukać.

- Więc Inigo urodził się w ramach planu infiltracji radykalnych Elewatów.

- Tak. Byliśmy zszokowani, gdy odkryliśmy, że Sabine jest w ciąży, ale to wyszło na jaw dopiero, gdy zbliżało się rozwiązanie. W moim zespole toczyliśmy wiele dyskusji, co należy zrobić.

- Odebrać dziecko i poddać testom.

- To była jedna z opcji. Łagodna. - Paul spojrział na Corrie-Lyn, która siedziała na niskim betonowym murku przy stodole. - Ale taka interwencja jest coraz trudniejsza w miarę upływu czasu, zwłaszcza po urodzeniu dziecka. Nie jesteśmy... Istnieje różnica między aborcją a zabójstwem dzieci. Przynajmniej dla mnie. A gdy się urodzi, ma legalne prawo pobytu. Nawet gdybyśmy je zabrali matce i odesłali do Światów Centralnych, oni natychmiast odesłaliby je z powrotem. Pod względem prawnym to straszny paszтет. Właśnie dlatego utworzono Protektorat. Żeby przerwać te koszmarne wydarzenia, zanim powstaną polityczne komplikacje.

- Więc co zrobiliście?

- Zawsze uważałem, że ciąża dziewcząt w odstępie dwóch tygodni to nie przypadek. Ostatecznie postanowiliśmy podjąć obserwację. Gdyby Inigo był zakażony, w końcu by się to ujawniło. Jak u wszystkich.

- Ale się nie ujawniło.

- Nie. Przez ponad dwadzieścia pięć lat monitorowaliśmy go od czasu do czasu. Nigdy nie zrobił fałszywego kroku. Pod każdym względem był normalnym człowiekiem. Szkoła. Uniwersytet. Dziewczyny. Sport, ale bez przesady. Kontuzjowany podczas gry w futbol. Musiał znaleźć sobie pracę. Trzymał się z dala od lokalnej polityki. Przystał do firmy finansującej rejuwenację. Gdy używał aerozoli, odurzał się. Dostał nudną akademicką posadę na państwowym uniwersytecie, na wydziale kosmologii. Nic nie wskazywało na to, że chłopak ma bionikę. Aż do pańskiego przyjazdu gotów byłem sądzić, że najprawdopodobniej nie miał bioniki. Już wierzyłem, że mimo wszystko jego narodziny były przypadkowe. Uwierz mi, synu, że gdybyśmy odkryli bionikę, gdy osiągnął pełnoletniość, przedstawilibyśmy mu ciche ultimatum.

- Wyjedź albo umieraj.

- Tak. Jak można traktować ich inaczej.

- A potem wyjechał. Aż na Stację Centurion.

- Tak. Wynikły z tego cholerne kłopoty. Połowa obcych w galaktyce chce nas usunąć z kosmosu. Kto mógłby mieć do nich

pretensje?

- Tylko Imperium Ocisenów tego chce.

- Chodzi ci o to, że tylko oni wyraźnie się opowiedzieli. Chyba nie wierzy pan, że inni nie będą reagować i pozwolą nam rozwalić gwiazdy?

- Kto wie? Jeśli uda mi się go znaleźć, może zdołam zatrzymać tę całą Pielgrzymkę.

- Powiniennem był go zabić w łonie, kiedy była okazja.

- Nie wiemy kim jest, ale nie jest Elewatem.

- Może jeszcze nie został zanieczyszczony ich kulturą, ale w końcu to go dopadnie.

- Najwyraźniej nie. Znalazł alternatywę drogi, która - jak wam się wydaje - została dawno ustalona. Jego przeznaczenie jest wewnątrz Pustki, a nie w ZAN.

Paul wzruszył ramionami.

- I tak nie jest to przeznaczenie człowieka.

- Naszym przeznaczeniem jest to, co sami uznamy za przeznaczenie. Wolny wybór, sam pan to mówił.

- Mylisz się, synu. Rozumiem, że wierzysz w siebie, i życzę ci powodzenia. Ale mylisz się.

- Cóż, różnimy się w ocenie. A co się stało z Erikiem?

- Strata ciała. - Paul zauważył minę Aarona. - To nie my, to był autentyczny wypadek. Ciężko pracował, żeby utrzymać obie dziewczyny. Według mnie to był przyzwoity facet. Pomagał na farmie. Ale tamten farmer nie dbał o maszyny. Erik został wciągnięty przez agrobota. To się wydarzyło jakieś pół roku po narodzinach dzieci. Ubezpieczenie zapłaciło odszkodowanie, ale Erikowi dopiero co wstawiono komórkę pamięci. To typowe w takich wypadkach. Nowe ciało ma wspomnienia tylko z kilku miesięcy, a to nie wystarcza do zbudowania osobowości na odpowiednim poziomie. Tuż po ożywieniu był bardzo dziecinny. Ironia losu, bo w zasadzie nie miał dzieciństwa. Nie czuł więzi emocjonalnej ani z siostrami, ani z dwójką swoich dzieci. Przynajmniej na początku. Imelda bardzo starała się to naprawić. Udało się. Wyjechali razem. Sabine i mały Inigo zostali. To wywołało wielką awanturę w rodzinie. Od tego czasu siostry

praktycznie ze sobą nie rozmawiały.

- I dlatego ciotkę Imeldę wykreślono z jego oficjalnej biografii.
- W zasadzie tak.

- Nigdy nie spotkałam takiego nikczemnika - powiedziała Corrie-Lyn, gdy kapsuła regravowa wznosiła się nad ranczem. - A mówiąc to, pamiętam o naszym kochanym Kleryku Konserwatorze.

- A spotkałaś kiedyś anioła Elewatów?
 - Nie.
 - No właśnie.
 - I uznajesz to za usprawiedliwienie?
 - Nie zamierzam niczego usprawiedliwiać. Wskazuję tylko na to, że każda akcja wywołuje reakcję. Takie były wtedy czasy.
 - To psychopata. Cholera go wie, ile dzieci zamordował. Należy mu się zawieszenie na wieczność.
 - Czyli śmierć.
 - Coś w tym stylu! - Zapadła się w miękkim fotelu. Jej delikatna twarz przybrała wściekły, ponury wyraz.
 - Prosiłem cię, żebyś nie wtrącała się do rozmowy.
 - Kurwa, zamknij się.
 - Przynajmniej nam pomóż.
 - W jaki sposób?
 - Właśnie, gdybyś w złości nie odeszła...
 - Pieprz się. Mogę się założyć, że zanim wymazano ci pamięć, byłeś w Protektoracie. Idealnie do ciebie pasuje.
 - Nie.
 - Skąd ta pewność? I jak to się dzieje, że masz kontakty wśród wysoko postawionych ludzi w tej ohydnej organizacji?
 - Wiem tylko, kogo pytać w takich okolicznościach, i tyle. Informacja nie oznacza zgody i podporządkowania. I nie wiem, gdzie jest źródło moich danych.
 - Phi! - Odwróciła się i zaczęła obserwować przemykającą pod nimi pustynię.
- Aaron czekał chwilę, aż się uspokoi. Nie doczekał się.

- Inigo wykupił sobie polisę rejuwenacyjną.
 - I co z tego? - Prychnęła jak rozwścieczona pięciolatka.
 - Próbował się wpasować do modelu normalnego człowieka - ciągnął Aaron niezrażony. - Jeśli ktoś ma biononikę, nie potrzebuje terapii rejuwenacyjnej, która przeznaczona jest dla Awangardów i naturalnych. Biononika utrzymuje komórki ludzkie w optymalnym stanie, ciało przestaje się starzeć, gdy człowiek osiągnie wiek dwudziestu pięciu lat. Zrobił to po to, żeby zmylić Protektorat. Znał swoje dziedzictwo, więc wiedział, co z nim zrobią, jeśli się ujawni.
 - A w jaki sposób nam to pomaga?
 - To znaczy, że łądował pamięć do bezpiecznego banku. Prawdopodobnie do czasu, gdy dostał przydział na Stację Centurion.
 - Wybacz, ale nie wiedziałam, że jesteś głuchy. W jaki sposób to nam pomaga?
 - Gdzieś na Anagasce istnieje elektroniczna wersja osobowości młodego Iniga. Alkoff podał mi nazwę firmy, u której Inigo wykupił polisę.
 - To nam... Na Ozziego! Chyba żartujesz.
- Aaron uśmiechnął się do niej radośnie.
- Najwyższy czas, żeby na tej planecie zaczęło się coś dziać.

Przed wojną Gwiazdokrażcy, gdy Wspólnota tworzyła w zasadzie jedno społeczeństwo składające się głównie z fizycznych obywateli, rząd powołał komitet bardzo wysokiej rangi zwany Radą EgzoProtektoratu, którego obowiązkiem była ocena zagrożenia ze strony odkrywanych obcych gatunków. Gdy ZAN zaczął działać i przejął projektowanie, produkcję i zarządzanie flotą Wspólnoty, zagrożenie stało się pojęciem abstrakcyjnym. Jeśli stara Wspólnota potrafiła pokonać alfy, to ZAN ze swoją postfizyczną techniką raczej nie powinien się bać wrogów mniej rozwiniętych od złośliwej rasy postfizycznych. Ale pozostała fizyczna część Wspólnoty mogła się natknąć wśród gwiazd na wiele kłopotów. Rada EgzoProtektoratu istniała w

zmodyfikowanej postaci wewnątrz ZAN, działając niezależnie od ZAN:Władz.

Zbierała się rzadko i nieregularnie. Gdy więc admirał Kazimir zapowiedział spotkanie, pojawili się wszyscy delegaci. Podejrzewali, jaki jest powód wezwania. Spotkali się w neutralnej rzeczywistości perceptualnej w bezpiecznym miejscu wewnątrz ZAN, w staroświeckiej sali konferencyjnej z dość ekstrawaganckimi biało-pomarańczowymi meblami. Za panoramicznym oknem rozciągał się widok na równiny mollaviańskie i pasmo wodorowych wulkanów. Z góry spadały meteoryty z lodowych kamyków, zostawiając za sobą płonące ślady smug kondensacyjnych, rozwidlających się w błyskawice.

Kazimir aktywował rzeczywistość perceptualną i zmaterializował się w fotelu u szczytu stołu.

Milisekundę później pojawił się Gore, siadając z prawej strony Kazimira. Za nim przyszła Justine. Potem Ilanthe - delikatna kobieta w granatowo-szarym trykocie. Na ciemnych, krótko przyciętych włosach miała fioletowe paski. Nie były to żadne modyfikacje wzbogacające, tylko zwykłe pasemka. Kazimir sądził, że poznaje ten styl, ale nie potrafił go nazwać; musiałby sprawdzić w swojej ulepszonej strukturze neuronalnej. Ilanthe niewarta była tego wysiłku: wyznaczona do Rady przez Frakcję Progresywistów, lubiła psocić, gdzie tylko się dało. Cała sztuka polegała na tym, żeby nie dać się jej sprowokować.

Obok Justine pojawił się w fotelu Crispin Goldreich. Ponad tysiąc lat temu zasiadał jako Senator w pierwotnej Radzie EgzoProtektoratu. Od tamtego czasu zachował to stanowisko. Kazimir i ZAN:Władze pozwalały mu pozostać w Radzie, ponieważ w kwestii politycznych aspektów wszelkich kryzysów nikt nie potrafił doradzić lepiej od niego, z wyjątkiem zgromadzenia całej Władzy. Niestety, na jego opinie wpływała ksenofobia w stosunku do obcych ras. Było tak od czasu, gdy kilku członków jego rodziny zginęło na Nattavaarze podczas wojny Gwiazdokrażcy. Teraz był zdecydowanym zwolennikiem zarówno Frakcji Izolacjonistów, jak i Internalistów.

Jako ostatni pojawili się Creewan i John Thelwell, którzy

reprezentowali Frakcje Kustoszy oraz Darwinistów.

- Dziękuję wam za przybycie - zagaił Kazimir. - Powołałem to zebranie rady, ponieważ w sprawie Imperium Ocisenów sytuacja osiągnęła nowy etap. Eskadra naszej floty rozmieszczona w rejonie Hancher odkryła, że wyruszyła potężna flota Imperium. Jej trajektoria prowadzi bezpośrednio do Wspólnoty, konkretnie w sektor zawierający Ellezelin.

- Ile statków wysłali? - spytała Justine.

- Dwa tysiące osiemset siedemnaście - odparł Kazimir. - Dziewięćset jest klasy Gwiazdozabójca. Największe i najdroższe statki wojenne, jakie kiedykolwiek zbudowali. Przez ostatnie czterdzieści lat gospodarka Imperium przeżywała spadek z powodu produkcji tych statków. Są uzbrojone w głowice przypominające bomby kwantowe. Sądzą, że o tym nie wiemy, ale odkryliśmy, że czterdzieści pięć lat temu prowadzili doświadczenia z tymi bombami.

- Mają bomby kwantowe? - spytał Crispin.

- Tak, jakiegoś typu - powiedział Kazimir. - To nieunikniony rozwój sytuacji. W porównaniu z tym istoty z ery bomb atomowych wydają się pacyfistami.

- A flota nie raczyła się podzielić z nami tymi informacjami?

- Imperium uważa, że ich przewaga polega na tym, że my o tym nie wiemy. Upublicznienie faktu, że Imperium posiada sprzęt, który Światy Zewnętrzne uznałyby za broń ostateczną, oznaczałoby ujawnienie naszej przewagi, nie wspominając o podważeniu zaufania społecznego.

- Są chyba niespełna rozumu - mruknął Creewan. - Imperator musi sobie zdawać sprawę, jak zareagujemy na tego typu zniewagę. Wiedzą, jak jesteśmy silni.

- Właściwie tego nie wiedzą - oznajmił Kazimir. - Nikt poza ZAN: Władzami i mną nie zna dokładnie zdolności bojowej naszej floty odstraszałej.

- Proszę mnie zapewnić, że jesteśmy dość silni, by dać sobie radę z Imperium Ocisen.

- Proszę się tym nie przejmować. Nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia.

- Czy są sami? - spytał Gore. - Ambasador twardo utrzymywał, że zdobędą jakichś solidnych sojuszników.

- We flocie, którą wystrzelili, nie było statków spoza Imperium.

- Chłopcze, jeszcze zrobimy z ciebie polityka. Więc czy mamy pewność, że klasa Gwiazdozabójca wyposażona jest tylko w bomby kwantowe i że nie znaleźli jakichś brzydkich pozostałości po kimś, kto przeszedł w stan postfizyczny?

- Musielibyśmy przechwycić Gwiazdozabójcę i przeprowadzić skanowanie, żeby mieć pewność, co zawiera - wyjaśnił Kazimir. - Odradzałbym to. W pojęciu Ocisenów taka prowokacja oznaczałaby wypowiedzenie wojny. Poza tym zdradzilibyśmy im w ten sposób naszą siłę.

- Więc co, do diabła, radzisz? - spytał Crispin. - W końcu i tak się dowiedzą.

- Wolałbym tego uniknąć. W stosunku do Ocisen chciałbym zastosować nacisk dyplomatyczny, żeby zawrócili swoją flotę do domu.

- To nierealne - stwierdził Creewan. - Jeśli Imperium wystrzeliło w naszym kierunku prawie całą swoją flotę, to ze względów politycznych nie mogą jej odwołać bez gwarancji, że Pielgrzymka zostanie powstrzymana. Uprzejma prośba nic nie pomoże. Musimy użyć siły.

- A może stworzyć bardziej bezpośrednie zagrożenie dla Imperium? - zasugerowała Justine. - Jakieś nieznane statki nadlatujące z innego kierunku? Potrafimy to chyba przeprowadzić?

- Tak - odparł Kazimir. - Ale to tylko odwleka nieuniknione. Możemy wykonać manewr udający zagrożenie, ale jeśli ich flota zawróci, by stawić czoło intruzowi, zostaniemy zdemaskowani. Nie mogą doprowadzić do wysadzenia całego układu gwiazd tylko dla podtrzymania iluzji. Nawet jeśli pominiemy aspekt moralny, pozostaje poważny problem promieniowania. Dowiódł tego nasz projekt Zapora Przeciwozniowa.

- Kiedy tu dotrą? - spytała Ilanthe.

- Do Ellezelin za siedemdziesiąt dziewięć dni - powiedział Kazimir. - To istotne, bo do tego czasu budowa floty Pielgrzymów

nie zostanie ukończona. Zakładam, że Ociseni chcą zaatakować statki Pielgrzymów jeszcze na planecie. Gdyby Żywy Sen wystrzelił swoje statki w kosmos, byłoby je znacznie trudniej przechwycić, zwłaszcza Ocisenom.

- W takim razie nie rozumiem dlaczego oponujesz przeciwko dywersji? Gdy statki Pielgrzymki znajdą się w kosmosie, flota Imperium będzie praktycznie zneutralizowana. Nie musisz rozsądzać gwiazdy po drugiej stronie Imperium ani robić czegoś równie dramatycznego. Wystrzel tysiąc dron o fantomowych sygnaturach, by sprawiły wrażenie, że to wroga flota leci na Imperium. Daj trochę dodatkowego czasu Żywemu Snu.

- Zorientują się - zauważył Gore. - Chodzi o synchronizację akcji. Oni wystrzelili flotę. My musimy ją powstrzymać i wtem z innej części kosmosu nadciąga nieznane zagrożenie. Co za zbieg okoliczności? Nawet Ociseni nie są na tyle głupi, żeby się na to nabrać.

- Nie liczcie na to - mruknął John Thelwell.

- Żeby zawrócić musieliby widzieć wiarygodne zagrożenie - rzekł Kazimir.

- Więc zakradnij się przy granicach Imperium i rozwal parę gwiazd albo przynajmniej planet.

- Zbyt gładko używamy słowa „Imperium” - powiedziała Justine.

- Dosłowne tłumaczenie nazwy ich planet brzmi: Światy, na których się gnieździmy. Zawstydza mnie, że ta Rada gotowa jest demonizować Ocisenów, by usprawiedliwić użycie siły. Musimy się skoncentrować na rozwiązaniu pokojowym.

Ilanthe uśmiechnęła się zwycięsko do Gore'a, gdy ten spojrzał gniewnie na swoją córkę.

- Gdyby nie wysyłali na nas floty uzbrojonej w bomby kwantowe zdolne zmieść wszystkie planety Wspólnoty, to ja nie nazywałbym ich psychopatycznymi chujami - burknął Gore. - A w tej sytuacji musimy doradzić flocie, jak ma reagować. Rozmawiałas z ambasadorem. Na jaką pokojową propozycję to „Imperium” by zareagowało?

- Musimy przedstawić im warianty - nalegała Justine. - Najlepiej takie, które pozwolą im zachować twarz.

- Na przykład wymusić na Żywym Śnie, żeby zrezygnował ze swojej zwariowanej Pielgrzymki - powiedział Creewan.

- To nie leży w gestii naszego komitetu - wtrąciła Ilanthe. - Doradzamy, jak ma zareagować flota. - Nawet nie odwróciła głowy, by spojrzeć na Creewana. - Jeśli chcesz nawoływać do czegoś takiego, to przedstaw propozycję na zebraniu politycznym albo Władzom.

- To sensowna opcja - stwierdziła Justine.

- Nie tutaj. Tu decydujemy, ile słońc zmienić w nowe, żeby ich przekonać do przerwania akcji.

- Nikt nie będzie zmieniał słońc Imperium w supernowe. Jak powiedziałem, ich flota nie stanowi zagrożenia dla Wspólnoty pod żadnym względem. Może być skutecznie unieszkodliwiona.

- Dużo powiedziane - rzekła Ilanthe. - Jesteś tego pewien?

- Tak, o ile założymy, że nie dysponują kradzionymi nadwyżkami techniki postfizycznej.

- Więc trzeba ich unieszkodliwić. Zatrzymać ich nagle w przestrzeni międzygwiazdnej. Nie mają floty zapasowej, którą w razie czego mogliby przysłać.

Kazimir rozejrzał się po zebranych.

- Czy taka jest rekomendacja komitetu?

- Na pewno nie - sprzeciwiła się Justine.

- A twój plan...? - spytała Ilanthe protekcyjnym tonem.

- Ostrzeżenie - powiedział John Thelwell. - Prawdopodobnie kilka ostrzeżeń, zważywszy na to, z kim mamy do czynienia. A potem demonstracja naszych intencji i zdolności bojowych.

- Czy będziemy musieli przeprowadzić kilka takich demonstracji? - spytała Justine sarkastycznie. - Dla zaznaczenia, jak bardzo jesteśmy wielcy i strasni.

- Zawrócą, kiedy zobaczą, że nie powstrzymają Pielgrzymki.

- Zakładasz, że kierują się głównie logiką i rozsądkiem - powiedział Crispin. - A to przecież Ociseni. Chcą nas powstrzymać za wszelką cenę. Będą nacierać, nawet jeśli to ma oznaczać zagładę wszystkich statków z ich floty.

- Statki nie zostaną zniszczone, tylko unieruchomione - wyjaśnił Kazimir. - Nie przyzwoliłbym na zabicie tylu żywych istot.

- W takim razie nie rozumiem, po co nas tu zebrałeś - rzekł Crispin.

- Ponieważ ja i Władze nie chcemy zdradzić naszej prawdziwej zdolności bojowej w sytuacji takiej jak ta, kiedy nie ma prawdziwego, poważnego zagrożenia.

- Między młotem a kowadłem - mruknął Gore. - Jedyne sposoby, żeby ich powstrzymać, nie siejąc dokoła śmierci, to użycie techniki ZAN, co z kolei przerazi wszystkich fizycznych obcych, poniewierających się w tym rejonie galaktyki.

- Debatajmy o moralności? - drwiła Ilanthe.

- Nawet raelowie będą się nas obawiać - powiedziała Justine.

- Masz mój głos - zadeklarował Gore. - Zarozumiałe gnojki. Czas, żeby ktoś im utarł nosa.

- Och, przestań! - zgaśniła go Justine. Gore pochylił się do przodu.

- Przekaż ostrzeżenie do statku dowódcy - radził. - Jeśli to zignorują, unieruchom statek. Jeśli się nie zatrzymają, zabij ich wszystkich. Użyj sprzętu jak najmniej zaawansowanego, ale wystarczającego do tego zadania.

- Popieram - rzekł Crispin.

- Chciałbym zauważyć, że dowódcą floty będzie piskle Imperatora - powiedział Creewan. - Polityczne skutki tego, że zostanie pokonane gniazdo władcy, nie są korzystne. Istnieje duże prawdopodobieństwo destabilizacji.

- Ani nas to ziębi, ani grzeje. - John Thelwell spojrzał lekceważąco na Kustosza. - Już przedtem daliśmy im wycisk, ale nie wyciągnęli żadnych wniosków.

- Nasza pozycja zobowiązuje - nalegała Justine.

- Tylko według ludzkich zasad moralnych. A to są obcy - stwierdziła Ilanthe.

- Chcę pozostać w zgodzie ze sobą - oznajmiła Justine zasadniczym tonem.

- Oczywiście pozostaniesz.

- Głosuję przeciwko użyciu siły wobec floty Imperium, nawet bardzo ograniczonej siły. Musimy poszukać alternatywnego rozwiązania.

- Dziękuję, mamu. Czy ktoś jeszcze przeciw wnioskowi? - spytał

Kazimir.

Creewan podniósł rękę. Kazimir spojrzął po obecnych.

- A więc większością głosów uchwalamy, że flota ma ostrzec statek dowódczy, a jeśli to zostanie zignorowane, unieszkodliwić go. Wdrożę to niezwłocznie.

- A jeśli będą kontynuować lot nawet po wyłączeniu statku dowodzącego? - spytała Justine. - A będą, i ty o tym wiesz.

- Wtedy ponownie zbiorę komitet - zadeklarował Kazimir.

Ze złością wypuściła powietrze i wbrew etykietce natychmiast się wycofała.

Pozostali patrzyli, jak opuszczona przestrzeń rzeczywistości perceptualnej dostosowuje się do braku jednej osoby.

- Oto jakie są skutki przebywania w realnym ciele - wymamrotała ironicznie Ilanthe.

- Oczywiście ustanowię bezpieczne łącze do statku floty, który wystosuje ultimatum - wyjaśnił Kazimir. - Każdy z was będzie miał dostęp do tego wydarzenia.

- Ile czasu upłynie do wysłania żądania? - spytał John Thelwell.

- Chciałbym użyć statku, który potrafi unieszkodliwić Gwiazdozabójcę nie powodując śmierci - powiedział Kazimir. - Mamy takie środki w eskadrze pomagającej hancherom. Czas lotu to około dziesięć dni. Ostrzeżenie da im jeden ziemski dzień na odwrót.

- A więc zbierzemy się tu znowu za dwa tygodnie - prognozował Gore.

W niecałą sekundę po oficjalnym zakończeniu spotkania Ilanthe poprosiła o dostęp do osobistej rzeczywistości perceptualnej Gore'a. Oczekiwał tego i udzielił pozwolenia, gdy przechadzał się po białej piaszczystej plaży poniżej cyplu. Wyszła z wody w biało-granatowym bikini.

- Zupełnie jak Ursula Andress - powiedział z uznaniem. Kobieta nie miała już kolczastej fryzury Kotki. Z długich pukli o barwie miodu strząsała krople wody.

- Dziękuję. - W świetle południowego słońca zmrużyła oczy,

osłaniając je bladą dłonią. - Zastosowałeś tu bardzo prymitywne sterowniki. Czy mogę dostać poparzenia słonecznego?

- Nie są prymitywne, ale mocne. Zapobiegają wrogim koniom trojańskim z brzydkimi niespodziankami. Nie, nie poparzysz się na słońcu, zwiększ czynnik pigmentacji skóry.

- Aha. - Mrugała, widząc, jak skóra jej ciemnieje do mocnego brązu. - Mimo to mam wrażenie, że to bardzo ziemskie środowisko. Czy chcesz mnie upić i uwieść?

- Seks jest powszechny między wrogami.

- Och, Gore. Nie jesteśmy wrogami. Ponadto oboje uzyskaliśmy na zebraniu to, na czym nam zależało.

- Czyżby?

- Oboje głosowaliśmy za tym samym. A o co chodzi? Czy droga Justine nadal się dąsa?

Podjął spacer po brzegu.

- Dam ci jedną radę: nigdy nie lekceważ mojej córki. Ja czasami jej nie doceniam. A to błąd.

- Zrozumiałam. Czy sądzisz, że Kazimir będzie zwlekał z jej powodu?

- Za cholere, nie. Nie spotkasz człowieka bardziej prawomyślnego. Rząd dał mu jasne rozkazy, więc on strzela obcasami, salutuje i naciska guzik.

- Jesteś taki anachroniczny. Naprawdę powinieneś unowocześnić swoje odnośniki.

- Co? Mam się wynieść aż do dwudziestego piątego wieku?

- No nie, krok po kroku.

- Wtedy się urodziłaś, tak?

- Oni mają rację. Jesteś czystym złem. - Zaśmiała się.

- Jacy oni?

- Prawie wszyscy.

- Więc prawdopodobnie mają rację. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Dobiemy targu?

- W sprawie Pielgrzymki? Jasne.

- Interesująca kapitulacja. Tylko jakoś ci nie wierzę.

- To będzie przełomowe wydarzenie. Każda Frakcja to wie. Do diabła, nawet niektóre zwierzęta na zewnątrz budzą się na

zapowiedź tego, co ma się stać. Darwiniści aż susiają z podniecenia. A twoja grupa nie jest lepsza, biegają wszędzie, naciskają i szturchają tam, gdzie nie powinni.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Ten dupek Marius przebył mnóstwo lat świetlnych.

Udawiała, że jest zszokowana. Położyła dłoń na szyi.

- Tak jak twój Dostawca.

- Prawdziwi Konserwatyści to paranoidalne stworzonka. Mieli swoje powody.

- Twierdzisz, że nie jesteś jednym z nich?

- Mam pewne związki.

- To zabawne, ale według naszych akt jesteś przewodniczącym zarządu.

- Naprawdę powinnaś zaktualizować swoje odnośniki.

Położyła sobie dłonie na biodrach.

- Słuchaj, chcesz dobić targu czy nie?

- W tej pozie wyglądasz bardzo seksownie, wiesz o tym?

- Gore!

- Już dobrze. Co proponujesz?

- Lekkie odprężenie. Trochę mniej manipulacji z obu stron.

- Niech zwierzęta decydują, o to ci chodzi? Tego raczej od ciebie nie kupię. W każdym razie tak długo ustawialiśmy pionki na właściwych miejscach, że teraz poruszają się bez nas. - Przechylił głowę i uśmiechnął się. - A może coś przeoczyłem?

- Nie.

- Naprawdę? Może jest jakieś istotne wydarzenie i zależy ci, żeby poszło gładko?

- Takie momenty historycy wymyślają już po fakcie, aby usprawiedliwić swoje nudne życie. Nie ma pojedynczego elementu, który by mógł stworzyć albo odwołać Pielgrzymkę.

- Naprawdę? Czy próbowałaś kiedyś powiedzieć Ozziememu albo Nigelowi, że działania pojedynczej osoby nie mają znaczenia historycznego?

- Nikt nimi nie manipulował. A to jest zabawa. Po prostu chcemy, żeby obie strony ochłonęły.

- Więc Frakcja Progresywiistów chce, żeby o wydarzeniach w

galaktyce decydowały zwierzęta? Hmm. Nic dziwnego, że nie podoba ci się moje środowisko. Tutaj na dłoniach nie wyrastają kaktusy.

- To twoja odpowiedź?

- Nie. Ale jestem umiarkowanie zainteresowany. Jeśli Frakcja albo ZAN:Władze nie staną na przeszkodzie, statki Pielgrzymki zostaną wystrzelone. Więc na czym, do cholery, polega stanowisko Progresywistów dotyczy tego, że galaktyka zostanie pochłonięta przez Pustkę i zostanie zniszczone całe życie, również nasze?

- Nie dojdzie do tego. Dlatego tu jestem. Mam ci powiedzieć, że przedsięwzięliśmy środki ostrożności na wypadek najgorszego scenariusza.

Gore przystanął, odwrócił się i zaczął się w nią wpatrywać autentycznie zaskoczony.

- Do cholery, o czym ty mówisz?

- Jeśli granica Pustki omiecie ten sektor przestrzeni, Ziemia i ZAN będą całkowicie bezpieczne.

- Tego nie wiecie.

- Przeciwnie, wiemy.

- Naprawdę, naprawdę mam nadzieję, że nie opieracie swoich celów na jakiejś technice wojennej, którą udało się wam sklecić paroma starymi replikatorami. Raielowie nie zdołają obronić granicy. Nawet ZAN: Władze nie potrafią przewidzieć, co się stanie i kiedy Pustka przeleje się przez swoje granice.

- Aż tak wielka ekspansja jest nieprawdopodobna, wręcz niemożliwa. Po pierwsze, gwiazdy Ściany mają olbrzymią masę, wystarczy, żeby napędzać wolę każdego pielgrzyma Żywego Snu przez wieki. To całkowicie błędne przekonanie, że wszystkie gwiazdy galaktyki zostaną objęte Pustką. To propaganda raielów do znudzenia powtarzana przez ocisenów. Raielowie to stara rasa, która poniosła klęskę, rasa niezmienna jak sama Pustka. Nie mają prawa niczego nam dyktować. Nawet gdyby zostało pozarte całe jądro galaktyki, to bez znaczenia. Tam nie ma nic żywego, planety są napromieniowanymi skalnymi skorupami. Nawet ty w to wierzyłeś, zawsze oskarżając nas o to, że chcemy pochłonięcia.

Mówiłam to kiedyś?

- Nie. Dokładnie wiem, czego chcą Progresywiści. Fuzji. Mam rację? Chcecie połączenia ZAN z materią przestrzeni Pustki. Uważacie, że w taki sposób osiągnięcie stan postfizyczny.

- Oglądałeś sny Iniga. Wiemy, że Konserwatyści analizowali je równie starannie, jak wszyscy. Wewnątrz Pustki umysł bezpośrednio wpływa na strukturę wszechświata, możemy wziąć odpowiedzialność za nasz los.

- Nie, nie, nie - krzyknął Gore. - Pustka to nie jakiś pieprzony wszechświat. To mikroświat, malutki, nic nieznaczący pyłek. W kategoriach kosmologicznych jest niezauważalny. Można tam udawać Boga, jasne, jak Wodostapacz. Ale Bogiem jest się tylko tam wewnątrz, nigdzie indziej. To obca wersja ZAN, i tyle. To nie transcendencja, siedzi się tak głęboko we własnej dupie, że nie widzi się tego, co się dzieje na zewnątrz.

- To fantastyczna okazja do rozwoju. Pustka tkwi w zastoju, nie zmienia się od milionów... miliardów lat. Możemy ją pobudzić. Ludzie już zaczęli ten proces, zwykłe żałosne zwierzęta, które mają moce umysłowe, o jakich nawet my możemy tylko pomarzyć. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby ZAN miał pełny dostęp do tej techniki i zacząłby się nią posługiwać w nowych sferach.

- Słodki Ozzie, ależ jesteś żałosna. Byłoby to pochlebstwo z mojej strony, gdybym uznał was za istoty rozumne, ale nie jesteście istotami rozumnymi.

- Wiemy, że sprzeciwiłbyś się fuzji. Nasza propozycja to uwzględnia.

- Mianowicie - powiedział Gore podejrzliwie.

- Zduplikujemy ZAN. Ci, którzy zechcą fuzji z Pustką, mogą tu zostać, a ci, którzy nie chcą, mogą się przenieść i spokojnie odlecieć.

- Dzieweczko, to nie rozwiązuje żadnej pieprzonej sprawy. Pustce nie można pozwolić na stopienie się z umysłem postfizycznym czy choćby z ZAN, którego, powiedzmy szczerze, jeszcze tam nie ma.

Twarz Ilanthe stężała.

- Zdradza cię twoja mowa. Nie można pozwolić? Nie masz prawa do takich sądów. Ewolucja i tak się pojawi, wywołana albo przez Pielgrzymkę, albo dzięki bardziej bezpośredniemu połączeniu. Sam Chodzący po Wodzie może spowodować ekspansję.

- Pojawił się tysiące lat temu, dziesięć tysięcy, o ile wiemy.

- Czas nie ma tu znaczenia.

- Co za gówno! Nie jesteście już Progresywnymi, ujrzeście światło i nawróciliście się na Żywy Sen.

- Dostrzeżliśmy okazję do dalszego rozwoju. Nigdy przed nikim nie ukrywaliśmy, co jest naszym celem.

- To nie Progresywiści zaczęli pożądać Pustki.

- Teraz dochodzi do głosu twój wiek, twoja niezmienność.

- A więc powinienem się usunąć? Może po prostu się wymazać? Żeby wszystko było miłe i proste dla Nowego Porządku.

- Sam jesteś odpowiedzialny za swój los. - Wzruszyła zgrabnymi ramionami. - Wybór należy do ciebie.

- Zgoda i dokonam wyboru, wierz mi. Ale zakładając, że masz rację i że Pustka nie rozszerzy się jak hiperprzestrzenne tsunami, kiedy dotrze tam Pielgrzymka, to jak zamierzacie połączyć ZAN z Pustką?

- Nie musimy. Elewaci pojadą na statkach Pielgrzymów. Będą badali prawdziwą strukturę Pustki i mechanizm, który ją wytwarza.

- Jeśli można ją było zbudować jeden raz, to można ją zbudować ponownie - powiedział Gore cicho.

Ilanthe uśmiechnęła się.

- Teraz rozumiesz. Możemy zbudować drugą Pustkę tutaj w tym układzie słonecznym i spowodować fuzję od razu. ZAN będzie ewoluowała i przejdzie w stan postfizyczny.

- Przyjemny eksperyment naukowy. A jeśli się nie uda? ZAN jest jądrem kultury Elewatów, Ziemia jest centrum fizycznym Wspólnoty. Jeśli to zabierzecie, dwie cywilizacje na tym ucierpią.

- Nigdy nie spodziewałam się, że to usłyszę: Gore Burnelli jęczy jak liberał. Normalni, Elewaci i Awangardowie z rasy ludzkiej będą musieli kroczyć własną drogą we wszechświecie. To też jest

ewolucja.

- W galaktyce, która z powodu waszej arogancji będzie miała bardzo krótką przyszłość.

- Nasze rozwiązanie zadowoli wszystkie frakcje. Oboje możemy robić to, co dotychczas.

- Ty nawet nie urodziłeś się na Ziemi. Ja się tam urodziłem. To mój dom. I nikomu nie pozwolę go rozpieprzyć.

- W takim razie jesteś jeszcze mniej rozwinięty niż ocenialiśmy. Podtrzymujemy naszą propozycję. Spodziewam się, że inne Frakcje skorzystają z naszej oferty, kiedy się przekonają, że to, co ma nadejść, jest nieuniknione.

- Zamierzasz zdmuchnąć flotę Imperium z przestrzeni?

Ilanthe zrobiła autentycznie oburzoną minę.

- Oczywiście że nie. Są nieistotni. Kazimir się nimi zajmie w ten czy inny sposób. - Uśmiechnęła się chłodno. - Proszę, Gore, zastanów się nad naszą propozycją. Jest w duchu pojednania. Przecież jeśli ZAN ma ojca, to ty nim jesteś. Może nadszedł czas puścić go wolno i pozwolić swemu dziecku na własne życie. - Weszła do wody i zanurkowała.

Gore patrzył na fale w miejscu, gdzie zniknęła. Jego umysł śledził, jak wycofywała się z jego osobistej rzeczywistości.

- Pieprzyć to - warknął.

Gdy po gruntowej ścieżce wszedł na cypel, zastał tam już Nelsona siedzącego przy basenie u stóp wieży. Jak zwykle na stoliku stał drink w wysokiej szklance.

- Zrozumiałeś to wszystko? - spytał Gore, siadając obok.

- Zrozumiałem. Ale niezbyt w to wierzę. Przynajmniej przed wszystkim bardzo gładko mówiła o tym, że statki Pielgrzymki dostaną się do środka. Co zamierzasz zrobić?

- Wiedziałem, że zależy im na cechach, jakie ma struktura Pustki. To logiczny krok rozwojowy na drodze do postfizyczności. Ale niepokoi mnie, w jaki sposób chcą to zdobyć. W ogóle nie wierzę w grupę bezinteresownych naukowców, którzy jakoby mają polecieć z Pielgrzymką, żeby zbadać strukturę Pustki. Musimy trochę starannej pogrzebać i dowiedzieć się, co oni kombinują. Dowiedz się jak najwięcej o

tym facecie, którego Marius odwiedzał na Arevalo. O tym fizyku Troblumie.

- Postaram się. A co jeśli ZAN w końcu zdoła osiągnąć stan postfizyczny?

- Od samego początku wiedziałem, że do tego dojdzie. O to chodziło... oraz o zdolność obrony Wspólnoty.

- Zamierzasz to powstrzymać?

- Oczywiście nie. Nie chcę, żeby przejęto kontrolę nad naturalnym procesem. A to się może stać, jeśli nie zachowamy ostrożności.

Zapadła noc, gdy kapsuła Aarona osiadła na lądowisku przy Klinice św. Marii przed izbą przyjęć. Aaron wysiadł i rozejrzał się. Klinika zajmowała dziesięć kilometrów kwadratowych. W gęstym lesie stały oddzielne domy. Wysokie drzewa glistrele tworzyły ciemną ścianę wokół lądowiska; ich długie pierzaste gałęzie zasłaniały widok na wille, szpitalne pawilony, kopuły wypoczynkowe - Aaron wiedział, że te budynki stoją na tym terenie. Jedyne światło sączyło się z długich okien oddalonej o trzydzieści metrów izby przyjęć.

Corrie-Lyn ze skrzywioną miną stanęła przy Aaronie i poprawiała sobie bluzkę.

- Rety, ale mi się to podoba. Ponure otoczenie w stylu „dżungla z dzikimi zwierzętami”. Bardzo przyjazne.

- Może uda nam się tutaj wyleczyć twoją psychozę maniakalno-depresyjną.

- Pieprz się.

- Pamiętaj, kochanie: szczęście na twarzy.

Chwycił ją za rękę i uśmiechnął się promiennie. Chciała mu się wyrwać, ale opamiętała się i powoli odetchnęła.

- Dobrze, ale załatw to szybko.

Otworzyły się drzwi izby przyjęć w niskim budynku. Weszli do przytulnego wnętrza, które sprawiało wrażenie wyrzeźbionego w różowo-złotym marmurze. Od centralnego holu odchodziły pomieszczenia przypominające grotty. W większości z nich

znajdowały się eleganckie wystawy z niezmiernie drogimi ubraniami i produktami znanych projektantów.

Powitała ich osobista lekarka - Ruth Stoi. Jej ciało najwyraźniej miało reklamować kompetencje kliniki. Nastoletnia bogini udrapowana w półprzezroczystą srebrno-różową tkaninę. Nawet Aaron, całkowicie skoncentrowany na misji, którą miał wypełnić, przez chwilę podziwiał z uśmiechem to uosobienie witalności, gdy kobieta podała mu na powitanie nienaganną dłoń. Funkcje polowe Aarona odkryły, że sieć bezpieczeństwa budynku przeprowadza dyskretne skanowanie. Zmylił je bez trudu, pokazując sensorom obraz nieco otyłego mężczyzny - dodatkowy tłuszcz na torsie był w istocie uprzężą z całym arsenałem broni.

Ruth Sol, bez żadnych modyfikacji ulepszających, miała jednak więcej klastrów makrokomórkowych niż przeciętny Awangard, a jej system nerwowy rozpałał się impulsami z częstotliwością, którą normalny człowiek mógłby osiągnąć tylko po dużej dawce dopalaczy.

- Bardzo dziękuję, panie Telfer, że wybrał pan naszą klinikę. - Kokieteryjnie ścisnęła dłoń Aarona. Jego biononika sprawdzała penetrację feromonową. Paranoja! Jej dotyk i głos niewątpliwie go podniecały, w polu egzowizji widział, jak serce mu przyśpiesza, a temperatura skóry wzrasta.

- Żadnej penetracji - donosił mu u-adiunkt. A więc to wszystko było naturalne. Trudno się dziwić.

- Bardzo mi miło - powiedziała Corrie-Lyn głosem tak zimnym, że czuło się, jak spadają kulki lodu.

- Taa, właśnie - wymamrotał Aaron z opóźnieniem. Niechętnie wycofał dłoń i z upodobaniem patrzył na wyraz nieśmiałego rozbawienia w przezroczystych zielonych oczach lekarki. - Dziękujemy za wyznaczenie wizyty w tak krótkim czasie.

- Zawsze chętnie pomagamy parom w zbudowaniu bezpieczniejszego związku - powiedziała Ruth Stoi. - Mówili chyba państwo, że zależy państwu na bliźniakach?

- Bliźniakach? - powtórzyła Corrie-Lyn bezbarwnym głosem.

- Tak, zgadza się. - Aaron oplótł Corrie-Lyn ramieniem. Czuł jej

napięte mięśnie. - Najlepsze jakie się da.

- Oczywiście. Chłopcy czy dziewczynki? - spytała lekarka.

- Kochanie? - zwrócił się Aaron do Corrie-Lyn.

- Chłopcy - odparła.

- Czy macie państwo jakieś wyobrażenie co do ich statusu fizjologicznego?

- Ma być przynajmniej tak dobry jak pani - odparł Aaron, wywołując następny uśmiech. - I chciałbym, żeby nas również przesunięto na ten poziom. Czas przejść do awangardy. - Poklepał się ze smutkiem po wydatnym brzuchu. - Może lekkie podkręcenie metabolizmu, żebym schudł.

- Byłabym za to bardzo wdzięczna - wtrąciła się Corrie-Lyn. - Teraz aż odechciewa się na niego patrzeć. Nie mówiąc o seksie.

- Och, kochanie, obiecałaś, że o tym nie wspomnisz - powiedział Aaron dobitnie.

Uśmiechnęła się promiennie.

- To znakomity krok: ujawnienie wszelkich problemów na samym początku - zauważyła Ruth Stoi. - Stworzycie rodzinę godną zazdrości. Jutro możemy rozpocząć diagnostykę i przekonamy się, co możemy zaoferować. Nasze znakomite usługi pozwalają na szybką procedurę zmian. Sądzę, że nie powinno to trwać dłużej niż parę tygodni. Czy zamierza pani sama donosić bliźniaki? - zwróciła się do Corrie-Lynn. - Czy proces ma się odbyć w sztucznym łonie?

- Jeszcze nie podjęłam decyzji. - Corrie-Lyn odpowiedziała uśmiechem. - Tak go kocham, że gotowa jestem ponieść ciężar fizyczny, ale zanim się zobowiążę, musiałaby mi pani pokazać, co się robi, żeby ciąża łatwiej przebiegała.

- Jakie to miłe. Mam sensoryczny pakiet symulujący przebieg całej ciąży. Jutro rano może go pani przejrzeć. I proszę pamiętać, że potem zawsze możemy odwrócić zmiany.

- Wspaniale.

- Przydzieliliśmy państwu willę 163. Ma własny basen i leży niedaleko pawilonu zabiegowego.

- Doskonale - powiedział Aaron. - Chyba najpierw pójde zobaczyć główny basen i restaurację. Dużo słyszałem o grillu

singapurskim. A ty, kochanie?

- Jestem zmęczona po całym dniu. Pójdę do willi. - Przyglądała się wystawom w holu. - Najpierw coś kupię. Niektóre rzeczy mi się podobają.

- Nie wydaj za dużo. - Cmoknął ją w policzek i ruszył do drzwi. Jego u-adiunkt wydobyl z lokalnej sieci plan kliniki. Przez kilka następných minut sieć miała odnosić wrażenie, że wszystko idzie normalnie. - Możesz się dostać do skarbcza? - spytał u-adiunkta.

- Nie. Do skarbcza nie prowadzą żadne kanały danych.

Aaron przeszedł ścieżką od lądowiska do wielkiej niebieskiej kopuły, pod którą krył się bujny tropikalny las oraz basen w kształcie laguny. Ścieżka pod stopami wyglądała jak jasna żółta mgła.

- A tutejszy system bezpieczeństwa? - spytał swego u-adiunkta.

- Mogę się tylko dostać na najniższy poziom. Wszyscy goście są pod ciągłą obserwacją, kilku ma czerwone identyfikatory.

- Naprawdę? A ja jestem oznaczony na czerwono?

- Nie.

- Czy będą wiedzieli, jeśli zejdem za ścieżki?

- Tak. Do smartkoru dane dostarczane są przez różne bierne czujniki.

- Proszę, rozpocznij małą dywersję. Wznieć alarm i zaatakuj sieć bezpieczeństwa w kilku miejscach, z dala ode mnie. Ale niech to nie doprowadzi do wezwania policji.

- Zaczynam.

Aaron opuścił ścieżkę i wbiegł w gęstwinę. Ubranie wytwarzało wokół niego efekt typu stealth. Przez minutę niewidoczny przemykał się wśród drzew. Dotarł do budynku administracji, który miał jedno piętro, ale plany pokazywały, że zagłębiał się dziesięć pięter w dół. Zabezpieczone podziemie skarbcza znajdowało się na samym dole. Skanowanie polowe ujawniło skomplikowany system czujników strzegący murów i otaczającego je ogrodu.

Przebiegł szybko obok ostatnich drzew i przed trawnikiem mocno przyśpieszył, korzystając z polowego wzmocnienia mięśni. Wtedy skoczył, wyciągając swoje pole siłowe na kształt

długich, odchylonych do tyłu płatków. Zawieszony między swymi niewidocznymi, skrzydłami ślizgał się prosto ku konkretnemu oknu na piętrze jak bezgłośny pocisk. Uśmiechał się, przyjmując na twarz powiew powietrza, które marszczyło mu ubranie. Czuł wzrastające podniecenie, a biononika tylko trochę mogła to stłumić. Wiedział, co za chwilę zrobi, ale mimo wszystko sprawiało mu to przyjemność. Przecież po to właśnie istniał.

Ze swojej biononiki wypuścił impuls elektromagnetyczny, mający unieszkodliwić czujniki i zasilanie wokół okna. Gdy był pięć metrów od ściany, włączył efekt dystorsyjny. Szkło zmieniło się w biały proszek i wybuchło do środka z odgłosem rozdieranej mokrej tkaniny. Zlikwidował skrzydła pola siłowego. Wpadł do środka i potoczył się po podłodze.

W długim pomieszczeniu znajdował się dział finansowy, teraz pusty i ciemny. Drzwi były zamknięte. Tym razem Aaron nie skorzystał z efektu dystorsyjnego, po prostu uderzył w drzwi siłą wzmocnionych mięśni. Znalazł się na korytarzu, który biegł przez całą długość budynku. Pomarańczowe oświetlenie awaryjne dawało dziwne skośne cienie na ścianach. Efektem zakłócającym Aaron wyeliminował sieć w połowie budynku. Pobiegł do wyjścia ewakuacyjnego, wpadł na klatkę schodową, przeskoczył przez barierkę i wylądował z głuchym łomotem na betonowej podłodze; wbudowane pole siłowe zamortyzowało upadek. Aaron spokojnie zabrał się za skanowanie otoczenia.

W centralce siedziało dwóch szefów ochrony, obaj mieli silne modyfikacje. Stali bez ruchu, a ich u-adiunkci łączyli się z siecią bezpieczeństwa kliniki. Próbowali się dowiedzieć, co stało się w lesie.

Drzwi do ich pomieszczenia pękły i wkroczył Aaron. Z uprząży pod ubraniem wypuścił osiem porcji energii - czarne krążki wielkości pięści, które świszczały w powietrzu jak cybernetyczne szerszenie. Uderzyły w ochroniarzy, nim zdążyli strzelić. Obaj zmienili się w sylwetki oślepiającego białego światła, gdy ich osobiste pola siłowe zostały bezlitośnie przeładowane. Macki wylądowań elektrycznych wyskakiwały jak bicze z ich rozjarzonych ciał i uziemiały się na biurkach i krzesłach. Wokół

ich stóp z wykładziny na podłodze wznosiły się wstążki dymu. Miotali się, gdy energia wyładowywała się z nieznośnym piskiem. Plastikowe panele świetlne na suficie wybuchały i pryskały odłamkami.

Gdy aureola świetlna wokół pierwszego ochroniarza zaczęła przygasać, Aaron wyjął z uprząży pistolet żelowy. Pole siłowe mężczyzny migotało w postaci fioletowo-pomarańczowego całunu. Wkradały się w niego cienie, ujawniające kawałki tłęcego się munduru. Aaron strzelił. Ochroniarz zmienił się w kulistą falę krwi, która bryzgała po całym pomieszczeniu. Potem Aaron odczekał kilka sekund, aż porcje energii dokończą dzieła przy kobiecie i jej pola siłowe zgasną. Pokój pogrążył się w ciemności. Prawie nieprzytomna, kobieta opadła bezwładnie na podłogę, łkając.

Aaron przyklęknął przy niej. Z kieszeni wyjął swój nóż chirurgiczny - mały czarno-srebrny przyrząd, z którego wysunęło się osiem plastmetalowych ramion, gdy ostrożnie położył go na głowie kobiety. W odróżnieniu od Ruth Stoi, szefowej ochrony nie wyposażono w urodę. Miała pospolitą okrągłą twarz o ciemnych zmodyfikowanych oczach. Skóra na policzkach była spalona i popękana od strumieni elektronów. Kobieta patrzyła na Aarona i łzy ciekły jej po policzkach.

- Proszę - wychrypiła.

- Niech się pani nie martwi - powiedział. - Nie będzie pani pamiętała tej nocy, gdy zostanie pani ożywiona.

Nóż ustawił się na szczycie czaszki niczym jakieś wampiryczne stworzenie; ramiona zacisnęły się dla lepszego uchwytu na spalonej skórze. Mikrochirurgiczne ostrza energetyczne wysunęły się i zaczęły ciąć. Aaron czekał. Ciszę zakłócały tylko lepkie krople krwi spadające z pokrytego sadzą sufitu.

- Procedura zakończona - raportował u-adiunkt.

Aaron delikatnie pociągnął nóż, który oderwał się z młaśnięciem, zabierając ze sobą górną część czaszki. Niewielka ilość krwi wezbrała na brzegu odpiłowanej kości i ściekała po zmierzwionych włosach. Odsłonięty mózg kobiety połyskiwał szaro w słabym świetle awaryjnym, docierającym z korytarza.

Aaron umieścił swoją lewą rękę parę centymetrów nad zakrwawionym nagim mięsem. Na skórze dłoni pojawiły się zmarszczki w postaci siedmiu małych okrągłych wzgórków. Cienkie macki wysunęły się jak robaki ze szczytu każdego wzgórka. Przyłożył dłoń do mózgu kobiety i manipulując polem siłowym, połączył dłoń z mózgiem, w taki sposób, żeby ręka nie przesunęła się ani odrobinę. Macki wkręciły się w neurony i rozwidlały się jak korzenie dążące do wilgoci. Wyszukiwały różne drogi neuronowe, przechytrzając świadomą kontrolę nie tylko nad fizycznym ciałem, lecz również nad myślami kobiety.

Synapsy były skutecznie naruszane i psute. Software Aarona wydobywał spójne włókna z chaotycznych impulsów.

Kobieta nazywała się Viertz Accu. Lat sto siedemnaście. Obecnie żona Ashera Lela. Dwójka dzieci. Młodszy Harry miał dwa lata. Była niezadowolona, że znowu musiała pracować na nocnej zmianie. Harry tak lubił, jak mu czytała przed snem.

Software Aarona przesunął ognisko pobierania ku chwili bieżącej.

Cała wcześniejsza treść emocjonalna została zastąpiona przez paniczny strach. Sensoryczny dopływ bodźców z ciała, zminimalizowany, spadł poniżej fal bólu spowodowanego zapaścią pola siłowego. Tylko jedno wspomnienie wybijało się nad inne jasno i donośnie: zagłębianie się noża chirurgicznego. I wszystko od początku. Myśli stały się niekoherentne, gdy pamięć degenerowała się w psychotycznym zapętleniu. Ciało doznało szoku i kończyny zaczęły drżeć.

Zapomnij to. Umysł Aarona instruuje mózg, którym teraz on kieruje. Musi się skoncentrować i natężyć własne myśli, by wyparły u niej pamięć o strachu. Jego wysiłek wspomaga fakt, że macki idealnie nałożyły się na neurony i kobieta nie może stawiać oporu. Teraz odbywa się inny rodzaj mentalnej presji. Myśli kobiety zanikają aż do stanu martwoty i kobieta w zasadzie zapada w śpiączkę.

Wstań, rozkazuje marionetce.

Prostuje się, a on staje obok niej. Na czubku uciętej czaszki cały czas trzyma rękę unieruchomioną kleistym polem siłowym.

Przeгляд systemu bezpieczeństwa kliniki. W ich wspólnej egzowizji pojawia się schemat z zaznaczonymi punktami krytycznymi. Jego u-adiunkt kończy wrogie elektroniczne natarcie i przez osobiste bezpieczne połączenia kobiety dostaje się do sieci kliniki. W budynku administracji generuje fałszywe sygnały, żeby zastąpić moduły, które unieszkodliwił podczas wejścia.

Kody. Z pamięci Viertz i jej klastrów makrokomórkowych wylewają się pliki z kodami do wszelkich podsystemów kliniki. Aaron przy ich pomocy wygasza czujność sieci bezpieczeństwa, redukując ją do poziomu zerowego. Inny pakiet rozkazów resetuje stan alarmowy smartkoru, zapewniając go, że wcześniej otrzymał ostrzeżenie o awarii i że szefowie ochrony mają teraz wszystko pod kontrolą.

Kilku agentów rozproszonych po lesie otrzymuje wezwanie.

Wszystko w porządku, formułuje myśl Aaron i Viertz wysyła ten komunikat bezpiecznym łączem. Wystąpiło kilka usterek, te popieprzone gliny znów dostały się do okablowania. Dranie kopały w węzle. „Popieprzone” to ulubione określenie Viertz. Gliny to małe miejscowe gryzonie. Występują masowo w lesie i klinika zawsze ma z nimi kłopoty, choć dwukrotnie próbowano je nielegalnie eksterminować.

Wyjaśnienie przyjęto. Viertz wymienia z kolegami kilka prywatnych uwag i rozłącza się.

Skarbiec.

Idą obok siebie korytarzem parteru. Dłoń Aarona cały czas mocno spoczywa na jej głowie. Kod kobiety otwiera drzwi do windy. Aaron przejmuje uprawnienia, dzięki czemu ustawienia domyślne są kasowane, a on otrzymuje zgodę na zjazd z ochroniarzem.

Na poziomie skarbcza pojawiają się kolejne problemy. Cały pokryty jest czujnikami, które mają bezpośrednie połączenie ze smartkorem kliniki przez izolowane chronione obwody. Aaron w żaden sposób nie może przejąć uprawnień, żeby przejść dalej - jeśli zostanie wykryty, smartkor natychmiast zażąda podania tożsamości.

Czasu robi się coraz mniej.

Docierają na poziom skarbcza i Aaron impulsem EM unieszkodliwia obwody zasilania i systemy niestrzeżone. Polem zakłócającym paraliżuje chronioną sieć bezpieczeństwa. Smartkor wie teraz, że coś jest nie tak, ale nie potrafi zidentyfikować usterki. Cały skarbiec znalazł się w elektronicznej martwej strefie.

Wolną ręką Aaron rozsuwa drzwi windy. Metalowe drzwi stawiają znaczny opór. Siłowniki, ustępując pod wpływem nacisku, zgrzytają. Aaron wychodzi w ciemność. Skanowanie funkcjami polowymi i obrazowanie podczerwone pokazują krótki pusty korytarz. Aaron idzie naprzód, a zombi Viertz maszeruje obok niego. Docierają na koniec korytarzyka do wielkich drzwi z metawiązanego plastmetal. Drzwi i ściany chroni silne pole siłowe, zasilane niezależnie od wewnątrz. Aaron przesuwa swobodną dłoń po niechronionej ścianie korytarza, aż jego palce znalazły się nad zbrojonym kanałem, w którym biegnie część okablowania sieci bezpieczeństwa. Naciska. Słaby impuls dystorsyjny rozbija beton. Sypie się pył. Aaron wepchnął rękę w otwór. Musi zanurzyć ją aż po łokieć, żeby dostać się do kanału. Następuje zderzenie pól energetycznych i odsłaniają się kable optyczne.

Z koniuszków palców wysuwają się cienkie włókna, które zaczynają penetrację w kablach optycznych, zanurzając się wewnątrz w rozbłyskach spójnego światła. Modyfikacje Aarona sprzęgają się bezpośrednio ze smartkorem przez niechronione łącze. U-adiunkt wypuszcza potoki destrukcyjnego software'u, wżerającego się w podstawowe procedury tak jak kwas wżera się w skórę. Podczas pierwszych ośmiu milisekund ataku smartkor traci połowę swego potencjału intelektualnego. Standardowe procedury konserwujące wycofują połączenia z systemem bezpieczeństwa skarbcza i odizolowany smartkor może lizać rany.

U-adiunkt Aarona koncentruje się teraz na połączeniach na drugim końcu przejętego przez siebie kabla i bada sieć bezpieczeństwa wewnątrz skarbcza. W niecałą sekundę mapuje węzły i jednostki pamięci, odcina kontrolę smartkoru, likwiduje

procedury ochronne. Pole siłowe wyłącza się i grube drzwi otwierają się z niskim sykiem ustępującego plastmetal.

Aaron wycofuje rękę z poszarpanego otworu. Wraz z Viertz przechodzą przez zasłonę powietrzno-pyłową, wywołując ciche bzyczenie. Włączają się niezależne panele oświetleniowe i ukazuje się błyszczące owalne pomieszczenie wypełnione od podłogi do sufitu stojakami, na których leżą przezroczyste, różowe, plastikowe jednostki pamięci.

Tuż przy wejściu jest rejestr - prosty wąski metalowy cokół.

Viertz dostaje się do uśpionego wewnątrz oprogramowania. Pytana jest o certyfikat oparty na identyfikatorze DNA.

Gdy pokonuje tę barierę, pole skanujące Aarona ujawnia dwie dziwne sygnatury energii, wyłaniające się ze ścian po obu stronach skarbcu. To ostateczny sejf chroniący bezcenne pół miliona komórek pamięci w skarbcu. Nigdzie nie ewidencjonowany w sieci bezpieczeństwa, potajemnie sprowadzony ze Świata Centralnego, gdzie ta technika jest czymś zwyczajnym. Dwaj strażnicy z modyfikacjami bojowymi szczelnie zamknięci w strefie zawieszenia czasu, w klatkach z egzotycznej materii. Gdy zaczynali swoją dwuletnią służbę, ich modyfikacje były w pełni gotowe do akcji. Wkraczając z powrotem w czas rzeczywisty od razu otwierają ogień.

Pole siłowe Aarona natychmiast ładuje się niemal do przeciążenia, usiłując ich ochronić. Walą w nich promienie energii. Aaron jest w skrajnie niekorzystnym położeniu. Atakują go gęste fale szkarłatnych fotonów i rozpalają się wściekle wokół jego torsu i ramion. Cofa się o krok.

Prześlij certyfikat pełnomocnictwa.

Ale cokół używa hardware'u klasy niemilitarnej. Nie może przyjąć żadnej informacji w takim wrogim elektromagnetycznym środowisku.

- Cholera! - Uprząż Aarona wysyła stado elektronicznych dron i pięć gąbek zerujących. Strażnicy unikają zagrożenia, chowając się za stojaki. W chwili gdy z pola siłowego Aarona uciekają ostatki energii, udaje mu się wolną ręką dotknąć cokołu z góry. Z koniuszków palców wyłaniają się nici i próbują się zagłębić w

gniazda i kable pod warstwą metalu.

Obaj strażnicy w półobrocie otwierają do niego ogień zza stojaków. Gąbki zerujące skupiają się razem i aktywują swoje horyzonty absorpcyjne. Promienie energetyczne z wrogiej broni zakrzywiają się dziwnie w gorącym powietrzu i pozbawione mocy spadają spokojnie przed Aaronem niczym bukiet ciemnych gwiazd. Horyzonty gąbek zaczynają ekspandować. Strażnicy zmieniają broń na karabiny kinetyczne. Hiperszybkich nabojów gąbka nie jest w stanie powstrzymać - trafiają w Aarona i Viertz. Pole siłowe rozpala się jasną miedzianą barwą przechodzącą w karmin. Aaron odczuwa uderzenia na swoim ciele; pola wzmacniające usiłują utrzymać go w pozycji pionowej.

Na kolana.

Viertz opada na błyszczącą podłogę, stając się teraz mniejszym, bardziej stabilnym celem. Nici Aarona zagłębiły się w metalową obudowę cokołu i pod spodem zaczęły się łączyć z delikatną siecią żyłek optycznych.

Dwa pochłaniacze energii ślizgiem biegną w stronę Aarona - strzela do nich z prostego jonowego pistoletu ze swojego zmodyfikowanego przedramienia. Pole siłowe musi się w mgnieniu oka przeformatować, żeby przepuścić jony. To słabość, którą bezwzględnie wykorzystują strażnicy, koncentrując w tym miejscu swój ogień. Aaron czuje, jak pociski kinetyczne trafiają go w ramię i górną część torsu. Software bojowy raportuje o pięciu trafnych uderzeniach. Skanowanie połowe ujawnia prawdziwe charakterystyki wrogich pocisków. Pierwszy: ma prosty środek wybuchowy - ten zostaje unieszkodliwiony przez pole tłumiące, które zmieniło go w bryłę białego gorącego metalu. Drugi: uwalnia kłębki splątanego ogniodrutu, który rozpręży się w ciele Aarona, rozrywając je na poziomie komórkowym, po drodze paląc i niszcząc bioniczne organella; można je powstrzymać tylko polem destruktora o określonej częstotliwości, które by zaatakowało strukturę molekularną, ale to osłabiłoby bionikę nadal funkcjonującą w tym obszarze. Trzeci: uwalnia środek paraliżujący w ilości zdolnej zabić pięciuset ludzi; bionika szybko neutralizuje śmiertelną truciznę. Czwarty: inny środek

wybuchowy, unieszkodliwiony wraz z pierwszym. Piąty: skupisko mikrobrechaczy, generatorów wielkości bakterii, zapychających układ nerwowy, blokujących bionikę i modyfikacje wzbogacające; wtórną funkcją pocisku jest wywoływanie impulsów bólu. Mikrobrechacze można unieszkodliwić polem zakłócającym.

Krew cieknie z podziurawionego ciała i rozerwanego skafandra, ale z powrotem jest wtłaczana pod sformatowane na nowo pole siłowe. Materia skafandra szybko się nasycza. Bioniki gromadzą się na obrzeżach ran i wspólnie usuwają zniszczenia, uszczelniają żyły, tętnice i naczynia włosowate. Wewnątrz ciała ekspansja ogniodrutów zostaje zahamowana, gdy dystorter psuje ich spójność molekularną. Ale robi to zbyt wolno i ogniodruty czynią ogromne szkody, zwiększane dodatkowo przez mikrobrechacze.

Aaron gwałtownie odchyła głowę i wyje z bólu, gdy w jego mięśniach i układzie krwionośnym toczy się wojna techniczna na poziomie mikroskopowym. Cały czas jednak przytrzymuje Viertz i opiera dłoń na cokole.

Bionika wyłącza mu całe sekcje nerwów, eliminując ból i wszelkie bodźce w barku i ręce. Na dyspleju egzowizji niepokojąco duży obszar raportu medycznego błyska na czerwono. Aaronowi dokuczają mdłości. Nogi mu drżą. Lokalny pakiet medyczny w udzie podaje dawkę inhibitorów do układu krwionośnego.

Uderzają kolejne fale pocisków kinetycznych. Aaron o mało nie pada do tyłu. Jego bionika i modyfikacje pracują na granicy wydajności. Drony starają się zmylić sensory celownicze przeciwnika, ale ciasny skarbiec prawie uniemożliwia dronom skuteczne działanie.

Włókna Aarona łączą się z rejestrem jednostek pamięci.

Prześlij certyfikat pełnomocnictwa.

Software rejestru akceptuje pełnomocnictwa Viertz. U-adiunkt poszukuje, gdzie jest bezpiecznie składowana komórka pamięci Iniga. Lokalizuje ją. Fizyczne współrzędne ładują się do procedur bojowych Aarona. Trzeba zachować te osiem centymetrów sześciennych w stanie nietkniętym. Reszta skarbcza jest zbędna.

Aaron zdejmuje dłoń z cokołu, puszcza Viertz. Kobieta pada na twarz - gwałtowny ruch wstrząsa jej niezabezpieczonym mózgiem. Świeża krew bąbelkuje wokół odpiłowanej kości. Ustaje ochronne wirowanie gąbek zerujących, zapada się ich czarna powłoka. Aaron podnosi głowę i uśmiecha się ze zwierzęcym grymasem do strażników. Widzi ich wyraźnie przez klarowne powietrze. Przestali atakować, liczą straty.

- Rewanż - warczy entuzjastycznie.

Pierwszy impuls dystorsyjny demoluje połowę cennych stojaków w wirze stopionego plastiku. Strażnicy cofają się. W ich pola siłowe wali pistolet żelowy. Świszczą pochłaniacze energii, wypuszczane przez obie strony. Czarne horyzonty zerujące rozszerzają się i kurczą jak supernowe a rebours. Pociski kinetyczne wgryzają się w betonowo-marmurowe ściany skarbcza. Kolejne stojaki rozbijają się niczym starożytnie szkło. Plastik zajmuje się ogniem i stopionymi strumykami cieknie po podłodze, pchając przed sobą małe płomyki.

Aaron zajmuje pozycję między strażnikami a komórką pamięci Iniga, chroniąc ją przed ewentualnym uszkodzeniem. Udaje mu się przebić pole siłowe wokół nogi jednego ze strażników i w dziurę strzela z pistoletu żelowego. Noga natychmiast zmienia się w płynną breję zniszczonych komórek. Strażnik wyje i przewraca się. Jego pole siłowe rekonfiguruje się nad kikutem, wypuszczając krzepnącą krew na podłogę; krew lekko paruje. Pochłaniacze energii dopadają go jak drapieżniki. Miota się bezradnie, gdy jego pole siłowe zanika.

Teraz Aaron ma już tylko jednego przeciwnika. Ruszają na siebie, każdy zdany na własne modyfikacje bojowe. To już nie jest bitwa między oprogramowaniem czy ludzkim sprytem. Tu może zwyciężyć tylko brutalna siła.

Pod koniec walki przypominają dwie kolidujące atomowe kule. Fala uderzeniowa rozżarzonej energii rozszerza się od punktu zderzenia i zamienia w parę wszystko, na co się natknie. Nagle jedna ognista kula zanika.

Aaron stoi nad kupką węgla - przed chwilą był to jego przeciwnik. Patrzy w dół, równocześnie wyciągając na bok

zdrową rękę. Z przedramienia wyłania się lufa lasera rentgenowskiego. Promień siecze głowę beznogiego strażnika. Zakrzywia się i anihiluje jego komórkę pamięci. Aaron wzdycha przeciągle. Krzywi się z tępego bólu pulsującego głęboko w barku. Spogląda na siebie i widzi rozszerzającą się na torsie palmę krwi. Przez dziurę wyrwaną i wypaloną w materii skafandra widać tylko fragment rozharatanej, poczerniałej skóry broczącej krwią. Monitoring medyczny raportuje mu, że kłębki ogniodrutu wgryzły się głęboko i szkody są rozległe. Syczy, czując ostry ból w lewej nodze. Kolano omal mu nie siada. Biononika działa wspólnie, tropiąc i eliminując mikrojangle, które grasują w krwioobiegu. Gdyby dotarły do mózgu, Aaron miałby poważne kłopoty. Pakiet medyczny ciągle pompuje lekarstwa przeciwszokowe. Utrata krwi stanie się wkrótce dużym problemem, jeśli Aaron nie dotrze do urządzenia medycznego. Nadal zachowuje sprawność, ale musi się poddać odtruciu i unieszkodliwić środek paraliżujący. Biononiki nie potwierdzają, że udało im się zlokalizować wszystkie ogniska toksyny. Funkcja skanowania polowego zwiększa precyzję i ponawia skanowanie.

Aaron podchodzi do stojaka zawierającego komórkę pamięci Iniga. Gąbki zerujące, trzepocząc w powietrzu, wracają do uprząży Aarona i moszczą się znowu w swoich ładownicach. Buty rozgniatają trzeszczący gruz, potem chlupoczą w krwi i plastikowej breji. Ujmuje dłonią komórkę pamięci - najtrudniejszy etap misji jest zakończony.

Wychodzi ze skarbcza. Widzi, jak płomienie zajmują mundur Vietz. Kobieta nie poruszyła się z klęczek. Aaron strzela jej w głowę z lasera rentgenowskiego - akt miłosierdzia na wypadek, gdyby jej komórki pamięci nadal rejestrowały impulsy. To nie w jego stylu, ale w obliczu sukcesu może sobie pozwolić na wielkoduszność.

Trzy minuty później Aaron wydostał się na dach budynku administracyjnego. Podeszedł do skraju dachu, jego oddech był

szybki i płytki. Rana na zdrętwiałym ramieniu zaczynała go palić, falami nadchodziły zawroty głowy, a modyfikacje medyczne ledwo potrafiły to opanować. Straszny ból nóg, brzucha i kręgosłupa wwiercał się w niego, wstrząsał nim i oślebiał. Biononika raportowała - czego nie widział na displeju egzowizji - że robi postępy w wykrywaniu i eliminacji pozostałych mikrobrechaczy, nadal zatruwających krew.

Wyprostował się sztywno. Chwiał się, omal nie spadł z dachu piętrowego budynku. Gdy wydostał się z szybu windy, jego u-adiunkt ponownie skontaktował się z unisferą i raportował, że resztki smartkoru wrzeszczą o pomoc na wszystkich łączach kliniki z unisferą.

- Reagują taktyczne siły policji - informował u-adiunkt. - Funkcjonariusze bezpieczeństwa kliniki zbroją się. Granica terytorium zamyka się szczelnie.

- Lepiej stąd uciekajmy. - Brawura go nie opuszczała. Skrzywił się, gdy poczuł ból obojczyka. Wezwał Corrie-Lyn - Idziemy. Jestem na wyznaczonej pozycji jeden-A.

- O, już skończyłeś - powiedziała. Przez chwilę sądził, że sobie żartuje. - Co?

- Nie wiedziałam, że załatwisz to tak szybko.

Złość go zmroziła. Podał jej przecież precyzyjny harmonogram. Nawet niespodziewani strażnicy i wymiana ognia opóźniły go najwyżej o czterdzieści sekund.

- Gdzie jesteś? - Egzowizja pokazywała mu lokalną mapę. Widział, jak krążowniki policji lecą ku klinice z prędkością ośmiu machów.

- Eee... ciągle jestem w holu recepcyjnym. Oferują bardzo ładne ubrania, a Ruth Sol ma wycucie stylu. Kto ją tego nauczył? Przymierzyłam już kilka cudownych wełnianych...

- Spieprzaj do kapsuły! Natychmiast, do cholery! - wrzasnął. Programy taktyczne oceniły sytuację zgodnie z jego intuicją: na dachu był zbyt łatwym celem. Noga mu mimowolnie drgnęła i w tym momencie skoczył z dachu, całkowicie zdając się na swój software bojowy. Program uformował pole siłowe amortyzujące upadek. Mimo to podczas lądowania ból eksplodował w mózgu

Aarona. Odotoczył się i chwiejnie wstał na nogi. O wiele za wolno.

- Drzwi się nie otwierają - powiedziała Corrie-Lyn. - Nie mogę dotrzeć do kapsuły. Włączył się alarm. Czekał... Ruth mówi, żebym się nie ruszała.

Aaron jęknął, zataczając się po trawniku przed budynkiem administracji. Drzewa nie dawały żadnej osłony przed nadchodzącym atakiem. Kryć się w ciemności - prosty zwierzęcy instynkt.

- Załatw sukę - polecił Corrie-Lyn.

- Co takiego?

- Uderz ją. Tu masz program bojowy. - Jego u-adiunkt przesłał jej odpowiednie pliki. - Obezwładnij ją ciosem. Nie wahaj się.

- Nie mogę tego zrobić.

- Uderz. I wezwij kapsułę. Przebije się przez drzwi.

- Aaron, czy nie mogłabym tylko użyć kapsuły, żeby się wydostać? Naprawdę to nie w moim stylu, żeby kogoś bić bez ostrzeżenia.

Aaron dotarł do linii drzew. Nogi się pod nim ugięły. Upadł na kolczaste pnącza. Rozwalone ramię pulsowało bólem, który nie miał nic wspólnego z mikrobrechaczami.

- Pomocy - wychrypiał. - Corrie-Lyn, na chuj, sprowadź tu kapsułę. - Zaczął pełznąć. Egzozobrazy rozmazały się i migocząc, krążyły w coraz węższym polu widzenia.

- Hej, ona mnie chwyciła.

- Corrie-Lyn...

- Ty krowo!

- Nie dotrę. - Odepchnął się zdrowym ramieniem od wilgotnej gleby, próbując się podnieść na nogi. Nagle w górze bezgłośnie pojawiły się dwie kapsuły policyjne. Sekundę potem przygwoździł go ich supersoniczny huk, od którego rozłupały się nawet gałęzie drzew. Aaron skomląc, przewrócił się na plecy.

- Och, Ozzie, wszędzie krew. Chyba złamałam jej nos. Naprawdę nie uderzyłam jej mocno.

- Zabierz mnie stąd. - Wysłał pojedynczy rozkaz do gąbek zerujących w uprząży. Małe kule wzbity się w ciemność ponad falujące drzewa. Powietrze przecięły fiołkowe promienie laserów

jasne jak rozgałęziające się błyskawice. Aaron uśmiechnął się blade. - Macie pecha - powiedział do niewidocznych kapsuł policyjnych.

Gąbki zerujące zassały energię pompowaną w nie przez kapsuły. Teoretycznie dzięki efektowi zerującemu mogły absorbować miliardy kilowatogodzin aż do momentu nasycenia. Aaron zaprogramował wartość graniczną. Gdy broń policji napompowała je do tego poziomu, efekt pochłaniania odwracał się.

Pięć wielkich eksplozji rozkwitło wysoko nad lasem, wywołując potężne fale ciśnienia. Kapsuły policyjne nie uległy zniszczeniu przy wybuchu, gdyż miały bardzo skuteczne pola siłowe, ale czoła fal wprowadziły je w chaotyczny ruch wirowy i zepchnęły poza granicę lasu, gdy napędy regramu próbowały się im przeciwstawić. W dole powstało pobojuwisko: drzewa padały, jakby były z papieru, z pięciu ośrodków eksplozji przewracały się na siebie koncentrycznie jak domino.

Zamieć drewnianych szczap i żwiru porwała Aarona - przekoziółkował pięć metrów, objając się boleśnie. W końcu padł na plecy. To dziwne, ale ciągle trzymał w dłoni komórkę pamięci. Patrzył w niebo upstrzone skomplikowaną siecią wstępnych wyładowań jonowych.

- Corrie-Lyn! - wołał rozpaczliwie.

Nad nim piękne niebo gasło aż do bezkresnej czerni. Aarona otoczyła ciemność bez gwiazd.

Czwarty sen Iniga

O świcie zwinęli obóz i ruszyli w drogę. Po trzech godzinach karawana wspięła się wreszcie na ostatnią grań i wtoczyła się na nadbrzeżną równinę. Edeard uśmiechnął się na ten widok. Napływ adrenaliny napełnił go entuzjazmem. W podróży spędził niemal rok, a teraz nareszcie patrzył na swoją przyszłość. Salrana, jadąca przy nim na gekoniu pisnęła uszczęśliwiona i klasnęła w dłonie. Kilka świń na tyłach wozu O'Irany'ego chrząknęło, reagując na ten nagły hałas.

Edeard wstrzymał myślami swego gekonia. Karawana nieubłaganie toczyła się dalej, wozy sunęły po kamiennej drodze. Bezpośrednio przed nim pogórze Donsori ostro spadało ku imponującej równinie Iguru. Ciągnęła się ona w dal przez wiele kilometrów. Był to płaski przestwór bogatych terenów rolniczych, uprawianych prawie w stu procentach. Powierzchnia poznaczona ogromnymi regularnymi polami pełnymi zieleniejących pól. Rowy - a była ich gęsta siatka - odprowadzały wodę do szerokich płytkich rzek z ochronnymi obwałowaniami po obu brzegach. Kilka niewielkich stożków wulkanicznych, otoczonych na ogół lasami, łamało jednostajność równinnego krajobrazu. Na ile Edeard mógł się zorientować, strome pagórki rozmieszczone na równinie nie tworzyły żadnego wzorca. Były rozmieszczone całkowicie przypadkowo. Dziwny krajobraz, zupełnie różny od poszarpanych terenów otaczających równinę. Edeard zbył wzruszeniem ramion niezwykłość terenu i zmrużył oczy, obserwując horyzont na wschodzie. Może to częściowo sprawa wyobraźni, a częściowo mgieł na horyzoncie, ale wydało mu się, że widzi morze Lyot jako szarą linię.

Choć miasta nie trzeba było sobie wyobrażać. Makkathran siedział na horyzoncie jak lśniąca w słońcu perła. Edearda z początku rozczarowały małe rozmiary miasta, ale potem zaczął

zdawać sobie sprawę, jakie odległości wchodzą tu w grę.

- Niezła rzecz, co? - powiedział Barkus, kiedy podjechał na swym gekoniu i zrównał się z Edeardem.

- Tak, proszę pana - zgodził się Edeard. Dodatkowy komentarz wydawał się zbyteczny. - Jak daleko od niego jesteście?

- Dostanie się w dół na równinę zajmie przynajmniej pół dnia. Ten ostatni odcinek drogi z gór jest trudny. Rozbijemy obóz w Clipsham, pierwszym mieście na Iguru o przyzwoitej wielkości. Potem jeden dzień niemal nam wystarczy, by dotrzeć do samego Makkathranu.

Uprzejmie skinął głową i popędził swego gekonia naprzód.

Prawie dwa dni drogi. Edeard patrzył urzeczony na stolicę. Rzekomo jedyne prawdziwe miasto na Querencii. Karawana odwiedziła po drodze kilka bajkowych miast, wielkie konurbacje z bogatą ludnością. Kilka z nich miało parki większe od Ashwell. W tamtym czasie uważał, że są wspaniałe, był pewien, że nic nie może być większe. Pani, jaki ze mnie kmiotek.

- Ze wszystkich miejsc wybrałaś akurat to na swoje wątpliwości? - spytała Salrana. - Hodujesz w swej głowie kilka bardzo melancholijnych myśli.

- Po prostu spokorniałem - odparł.

Jej myśli zaiskrzyły rozbawieniem i przerodziły się w żartobliwy uśmiech:

- Myślisz o Franlee?

- Nie, od miesiący - odpowiedział z wielką godnością. Salrana zaśmiała się szelmowsko.

Spotkał Franlee w Plax, stolicy prowincji po drugiej stronie gór Ulfen. Seria pechowych zdarzeń na drodze, w tym połamane koła, chore zwierzęta, a także niezwykle wczesne jesienne burze, sprawiły, że karawana spóźniła się z dojazdem do Plax. W konsekwencji śnieg zasypał ich na przeszło sześć tygodni. Właśnie wtedy spotkał Franlee, uczennicę Gildii Jajoformerów i przeżył swój pierwszy w życiu romans. Większość okropnej zimnej pogody spędzili razem, albo w łóżku, albo zwiedzając tańsze tawerny w mieście. Mistrz Gildii Jajoformerów uznał jego talent i zaofiarował mu status starszego ucznia z obietnicą

osiągnięcia za rok statusu czeladnika. Był aż tak blisko podjęcia decyzji, że tam zostanie.

Ale w końcu obietnica dana Akeemowi okazała się silniejszym bodźcem.

Wyjazd był tak bolesny, że Edeard przez wiele tygodni, gdy karawana toczyła się powoli przez zaśnieżone doliny gór Ulfsen, pozostawał ponury i zamknięty w sobie. Reszta karawany narzekała, że jest obrzydliwym ponurakiem. Wyleczenie się z tego nastroju wymagało czasu i oddzielenia się górami Ulfsen od Plax. Ponadto wymagało Roseilin w jednej z górskich wsi. I Dalice. I... Cóż, kilku więcej dziewcząt tu i tam.

- Spójrz na miasto - powiedział poważnie. - Zrobiliśmy właściwą rzecz. Salrana przechyliła głowę do tyłu. Na wpół przymknęła oczy, chroniąc je przed jaskrawym, porannym światłem.

- Zapomnij o mieście - powiedziała. - Nigdy nie widziałam tak wiele nieba.

Kiedy spojrział w górę, zrozumiał, co ma na myśli. Wysoki punkt obserwacyjny dawał im widok na błękitną nieskończoność, przykrywającą równinę. Wysoko nad głową mknęły jasne chmurki, smugi tak cienkie, że prawie same przybrały kolor szafiru. Wydawały się skręcać, kiedy przesuwały się po wysokich łukach nad Iguru. Potem napotykały górskie prądy wznoszące, w których rozszerzały się i ciemniały. „Wiatr nad miastem zawsze wieje od morza”, mawiał mu Akeem, „Kiedy jego kierunek się zmienia, uważaj”.

- Co to za zapach? - zapytał zaintrygowany.

Powietrze było świeże, prawie pobudzające, a jednak, jednocześnie wydawało się czymś zanieczyszczone.

Z wozu, który przejeżdżał obok, rozległ się śmiech.

- Ty zacofany wiejski chłopcze! - zakpił woźnica, Olkus. - To zapach morza.

Edeard powrócił spojrzeniem na horyzont. Nigdy wcześniej nie widział morza. Prawdę mówiąc z tej odległości nie robiło wrażenia: szaro niebieska plamiasta linia. Przypuszczał, że stanie się bardziej interesująca i zrobi większe wrażenie, kiedy podjadą bliżej.

- Dziękuję, starcze - zawołał w odpowiedzi i wykonał szybki ruch dłonią. Do tej pory zdołał nawiązać doskonałe stosunki z niemal wszystkimi rodzinami w karawanie. Opuszczenie ich w Makkathranie będzie co najmniej tak przykre jak wyjazd z Plax.

- Chodźże - powiedziała Salrana. Popędziła gekonia.

Po chwili Edeard podążył za nią.

- Przy śniadaniu rozmawiałam z Magrith - powiedziała Salrana. - Mówiła mi, że jedziemy tą samą drogą, którą podążał Rah, kiedy wyprowadzał swoich towarzyszy po konflikcie, który nastąpił zaraz po wylądowaniu na Querencji. Zobacząby miasto po raz pierwszy dokładnie z tego samego miejsca.

- Ciekawe, co pomyślałby sobie o Iguru - powiedział cicho Edeard.

- Czasami naprawdę cię nie rozumiem, Edeardzie. Dotarliśmy do Makkathranu, w co i tak nie do końca wierzyłam. My, po prostu dwoje wieśniaków z Ashwell, jesteśmy tutaj, w centrum naszego świata. A ty mówisz tylko o głupim terenie rolniczym na zewnątrz.

- Przepraszam. To po prostu... to miejsce jest dziwne, to wszystko. Rozejrzyj się wokół, góry nagle się kończą, jakby ktoś je odciął.

- Jestem pewna, że jest tu Gildia Geografii, jeśli tak cię to interesuje - parsknęła.

- To rzeczywiście jest pomysł - odparł, najwidoczniej nagle zainteresowany. - Sądziś, że trudno będzie się do niej dostać?

- Och! - pisnęła z irytacją. Sięgnęła ku niemu trzecią dłonią, próbując zepchnąć go z siodła. Natychmiast oddał pchnięcie, co spowodowało, że się zgarbiła i mocniej ścisnęła wodze.

- Edeardzie! Ostrożnie!

- Przepraszam.

W karawanie bez przerwy żartowano, że nie zna swojej siły. Pokręcił głową i skoncentrował się na falandze genistarów, pilnując, by gekonie ciągnęły wozy po linii prostej, gewilki trzymały się blisko, a georty krążyły szerokimi kręgami. Powierzchnia drogi była doskonała, wyłożona wielkimi płaskimi kamieniami, dobrze utrzymana - niemal jak bruk w mieście. Ale

była to główna droga przez góry i prowadziła prosto do stolicy. Zarówno oczami jak i dalwzrokiem dostrzegał kilka wozów i małych konwojów, które pięły się w górę i zjeżdżały w dół kilka zakrętów serpentyny przed nimi. Edeard zobaczył także grupę jeźdźców w towarzystwie gewilków, która niespiesznie posuwała się w górę. Obliczył, że do czoła karawany grupa dotrze przed południem.

Trzymał zmysły szeroko otwarte i powoli zdawał sobie sprawę z emanacji miasta. Było to ciche szemranie w tle, podobne do aury dowolnego ludzkiego osiedla. Jednak tym razem był zbyt daleko, by czuć ludność Makkathranu, bez względu na to jak był utalentowany czy wrażliwy. Ponadto ludzkie umysły cechowało tu inne tempo: powolniejsze i pełne zadowolenia. Była to esencja leniwego letniego popołudnia, przedestyłowana do jednej długiej harmonicznnej. Miła i odprężająca. Ziewnął.

- Edeardzie! - zawołała Salrana.

Zamrugął. Niepokój w jej głosie przełączył go do pełnej czujności. Jego gekoń bezładnie szedł blisko krawędzi drogi. Nie, żeby to czymś groziło, strome zbocza zaczynały się niżej, na początku zakosów, tutaj za drogą zaczynał się tylko nierówny grunt. Wydał parę szybkich instrukcji mentalnych i gekoń poprawił kierunek.

- Spróbujmy dojechać cało - powiedziała zjadliwie. - Na miłość Pani, nadal jesteś okropnym jeźdźcem.

Był zbyt zaniepokojony, by się z nią przekomarzać. Już nie czuł zaśmiecających umysł myśli miasta - zbyt wiele adrenaliny krążyło mu w żyłach. Teraz, kiedy miasto znalazło się w zasięgu wzroku, stawał się rzeczywiście podniecony. Nareszcie pozostawili okropną przeszłość naprawdę daleko za sobą.

W południe karawana zatrzymała się, w akompaniamencie jęku drewnianych i metalowych hamulców, parskania zwierząt i spokojnego gderania ludzi. Rozciągnęli się na około osiemset metrów i właśnie pokonywali jeden z dłuższych zakosów, co utrudniało podróż wszystkim innym użytkownikom drogi.

Kapitan patrolu milicji, który kazał im stanąć, usprawiedliwił się nieco, niemniej jednak upierał się przy swej decyzji.

Edeard był tylko dwa wozy za początkiem karawany, kiedy Barkus spytał:

- Czy jest jakiś problem, proszę pana? To nasza coroczna podróż i wszystkie miejskie władze dobrze nas znają.

- Sam pana znam, Barkusie - odpowiedział kapitan, zerkając na gewilki.

Siedział na czarnym jak noc terriańskim koniu. Wyglądał wspaniale w swoim galowym niebiesko-fioletowym mundurze z wypolerowanymi mosiężnymi guzikami. Edeard wykorzystał dalwzrok, by zbadać tkwiący w białej skórzanej kaburze rewolwer mężczyzny. Był zadziwiająco podobny do tego, który należał do rodziny Genrila. Pozostali milicjanci, podobnie uzbrojeni, z pewnością nie nosili nic co przypominałoby szybkostrzelną broń bandytów. Edeard nie wiedział, czy to dobrze czy źle. Gdyby miasto posiadało taką broń, z pewnością nie prezentowałoby jej na widoku w patrolach, takich jak ten.

- Jednak nie pamiętam, żebyś wcześniej miał tyle gewilków - zauważył kapitan.

- W zeszłym roku odwiedziliśmy prowincję Rulan. Wieś została splądrowana przez bandytów, fermy ucierpiały od napadów. Żaden środek ostrożności nie jest zbyt skuteczny.

- Cholerne dzikusy - kapitan splunął. - Prawdopodobnie były to po prostu dwa plemiona walczące o tę samą kurwę. Nie wiem, dlaczego w ogóle tam jeździsz, Barkusie. Oni tam wszyscy są bandytami i nierobami, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Edeard powoli wyprostował się, utkwiał wzrok w kapitanie. Wzmocnił wokół siebie tarczę.

- Nic nie rób - Barkus szepnął do niego dalmową.

- Edeard - cicho syknęła Salrana. W jej myślach czuł ledwo hamowaną wściekłość. Wszędzie wokół niego umysły przyjaciół promieniowały niepokojem i współczuciem.

- Ale to korzystne - kontynuował gładko Barkus. - Tam, daleko, możemy kupować różne rzeczy naprawdę bardzo tanio.

Kapitan zaśmiał się, nieświadomy zbierającej się wokół niego

emocjonalnej burzy.

- Za które, jak przypuszczam, moi miejscy przyjaciele zapłacą bardzo dużo.

- Na tym polega istota handlu - wyjaśnił Barkus. - Mimo wszystko, podróżując, ponosimy spore ryzyko.

- Cóż, powodzenia, Barkusie. Ale jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo Makkathranu, więc muszę cię prosić, byś w obrębie murów trzymał swe bestie na smyczy. Nie nawykły do cywilizacji. Nie chcemy jakichś nieszczęśliwych wypadków.

- Oczywiście.

- Może zechcesz przyzwyczajać je do tego od razu, gdy dotrzesz do równiny.

- Dopilnuję tego.

- Świetnie. I żadnego handlowania z mieszkańcami rejonu Sampalok, he?

- Absolutnie żadnego.

Kapitan i jego ludzie zawrócili i odjechali drogą w dół. Stado ich własnych gewilków pobiegło za nimi.

Barkus dopilnował, żeby karawana ruszyła z miejsca, a potem popędził konia z powrotem do Edearda i Salrany.

- Przykro mi, że musiałeś tego słuchać - oznajmił.

- Nie wszyscy w mieście są tacy, prawda? - zapytała z niepokojem Salrana.

- Dobra Pani, nie. Oficerowie milicji to zwykle młodszy synowie starych rodzin, mali idioci, którzy nic nie wiedzą o życiu. Ich pozycja społeczna dodaje im mnóstwo arogancji, ale nie pieniędzy. Zaś milicja daje im złudzenie utrzymywania statusu, tymczasem zajmują się głównie szukaniem bogatych żon. Na szczęście, kiedy tu patrolują, nie mogą wyrządzić poważnych szkód.

Edearda niemal zaszokowała taka sytuacja.

- Jeśli potrzebują pieniędzy, dlaczego nie wstąpią do jakiejś Gildii i nie rozwiną swoich talentów psychicznych, albo nie otworzą jakiejś firmy?

Ku jego zaskoczeniu, Barkus wybuchnął śmiechem.

- Och Edeardzie, mimo że tyle z nami podróżowałaś, masz

jeszcze przed sobą daleką drogę. Syn szlachcica pracujący, by zarobić na życie?! - Znowu się zaśmiał, a potem kazał swemu gekoniowi podjechać do następnego wozu.

Po Clipshamie, Edeard pragnął po prostu wziąć konia i pogalopować przez Iguu do Makkathranu. Z pewnością nie zajęłoby to więcej niż kilka godzin. Zdołał jednakże powstrzymać swą niecierpliwość i spokojnie szedł wzdłuż wozów, pomagając uspokoić gewilki, nieprzyzwyczajone do chodzenia na smyczy.

Na równinie było ciepło. Wiał łagodny, stały wiatr, niosący wilgotne morskie powietrze, które dziwnie ożywiało Edearda. Barkus wyjaśnił, że zima tutaj trwa znacznie krócej niż zima w prowincji Rulan, do której Edeard się przyzwyczaił. Jednak w tych miesiącach może się jeszcze przytrafić ostry mróz i kilka zamieci śnieżnych. Większość wielkich rodzin miała wille w górach Donsori, gdzie spędzała najcieplejsze dni pory gorącej.

Tereny rolnicze Iguu odzwierciedlały klimat - każde pole pokrywała bujna roślinność. Drogę obsadzono wysokimi szczupłymi palmami, o pniach spowitych wstęgami kobaltowego mchu. Na samym wierzchu wypuszczały kępki szmaragdowych i szkarłatnych liści. Rosło tu niewiele zboża, za to spotykało się mnóstwo zagajników drzew cytrusowych i plantacji owocowych, a także hektary winorośli i krzewów owocowych. Właśnie wypalano niektóre pola trzciny - czarne chmury dymu, wzbijały się wysoko w czyste niebo. Wulkaniczna gleba, regularne deszcze i słoneczne niebo - to wszystko przyczyniało się do zdrowego zielonkawego odcienia roślinności. Na całym terenie krzątały się armie geszypansów, wśród których krążyli nadzorcy na koniach. Domy na farmach były wielkimi bielonymi budynkami z czerwonymi dachówkami z wypalanej gliny, dorównywały wielkością kompleksowi Gildii w Ashwell.

Mimo że jechali już od wielu godzin, widok po obu stronach drogi pozostawał denerwująco podobny. Jedyne stożki wulkaniczne stanowiły jakieś punkty terenu, według których można było się zorientować w postępie jazdy. Edeard widział

żyły srebrzystych strumieni, spływających po ich zboczach, a potem niknących wśród gęstych ciemnozielonych drzew. Ale stożków nie wieńczyły korony kraterów lecz po prostu zaokrąglone kopuły.

Na wielu stały domki wzniesione na wąskich półkach, zwarte, acz wymyślne konstrukcje. Przyjaciele wyjaśnili Edeardowi, że są to właściwie pawilony dla miejskich bogaczy, spędzających tam ospałe dni na rozkoszowaniu się bajecznym widokiem. Jeszcze częściej zdarzało się, że ktoś umieszczał w nich swoją ulubioną kochankę.

Kiedy zbliżali się do Makkathranu ruch się wzmacniał. Terriańskie konie spotykało się teraz częściej od gekoni - ich jeźdźcy nosili drogie ubrania. Wozy załadowane wysoko płodami z farm i posiadłości na równinie, toczyły się ciężko ku jarmarkom i kupieckim magazynom. Wykwintne powozy z zasłoniętymi okienkami mijały ich z grzechotem kół. Edeard, zaskoczony, przekonał się, że są osłonięte przed przypadkowym dalwzrokiem łagodną odmianą jego własnego talentu maskującego; ich woźnice promieniowali ponurym gniewem, zniechęcając wszystkich do wścibiania nosa.

Końcowy odcinek drogi do murów miasta obfitował w zdumiewającą rozmaitość drzew. Starodawne czarne i szare pnie stały po obu stronach drogi, wysuwając nad głowami podróżnych sękaty konary, tworzące splecione łuki - pozostające tam od kilkuset lat. Z początku Edeard sądził, że ostatnio wydarzyło się jakieś trzęsienie ziemi. Wszystkie drzewa, bez względu na swój wiek i rozmiar, pochylały się w jedną stronę, ich gałęzie kierowały się w tym samym kierunku. Potem powoli uświadomił sobie, że drzewa ukształtował stały wiatr, pchając ich gałęzie od linii brzegowej.

Przez ostatnie trzysta metrów ciągnęła się prosta płaska łąka, na której pasły się stada owiec. Kiedy opuścili schronienie drzew, Edeard pierwszy raz od zejścia z pogórza zobaczył miasto. Mieli przed sobą kryształową ścianę, wznoszącą się bezpośrednio z trawy na wysokość trzydziestu metrów. Mury, choć przezroczyste, miały złotawy odcień, zniekształcający sylwetki

budynków wewnątrz i uniemożliwiający stworzenie sobie prawdziwej wizji tego, co jest w środku. Mury tworzyły wokół miasta idealny okrąg, cały czas tej samej wysokości, z wyjątkiem portu po stronie wschodniej, gdzie obniżały się, pozwalając morzu obmywać nadbrzeża. Łagodne pływy Querencii nie wywierały na nie widocznego wpływu; uparty kryształ był równie odporny na siły erozji, jak na wszystkie inne formy ataku. Ani kule ani oskardy nie mogły wyszczerbić murów, klej się do nich nie lepił. Jako bariera ochronna były niemal doskonałe.

Ze znanych oddziaływań reagowały jedynie na telekinezę, która stopniowo mogła je osłabić. W taki sposób Rah otworzył miasto dla swego ludu. Wykorzystując potężną telekinezę, systematycznie przebijał się przez kryształ, kształtując trzy bramy. Legenda głosi, że wyrzeźbienie każdej z nich zajęło mu dwa lata. Jego następcy przemocowali wielkie oddzielone segmenty do gigantycznych metalowych zawiasów, zmieniając je w precyzyjnie dopasowane bramy. W ciągu dwóch tysiącleci, które upłynęły od tamtej pory, bramy zamknięto jedynie osiem razy. Ostatnie siedemset lat pozostawały otwarte.

Karawana przejechała przez bramę północną, która przy podstawie miała siedem metrów szerokości, a sklepiła się dziesięć metrów nad głową Edearda. Same wrota odchyłono na zawiasach i płasko przylegały do wewnętrznej ściany. Edeardowi trudno było uwierzyć, że coś tak olbrzymiego można poruszyć. Zawiasy wydawały się niezwykle prymitywnymi urządzeniami. Składały się z pękatych żelaznych złączy i wsporników, nabijanych nitami. A jednak nie skorodowały, a osie były stale oliwione.

Wewnątrz murów, na lewo od drogi znajdował się szeroki pas terenów wybiegowych nazywany Wysoką Fosą, która biegła obok murów aż do dzielnicy Górny Ogon tuż przy porcie. Ponieważ do głównych dzielnic nie wpuszczano koni, wiele rodzin utrzymywało stajnie tutaj - proste drewniane budowle, które rozrastały się w ciągu wieków. Znajdowały się tam również zagrody dla bydła i boksy do użytku podróżnych, a nawet parę tanich rynków. Po prawej stronie drogi, podobny półksiężyc

Niskiej Fosi ciągnął się aż do Bramy Głównej. Wzdłuż wewnętrznego brzegu Fos biegł Kanał Północnej Krzywej, wyłożony tym samym białawym materiałem, z którego zbudowano większość miasta. Materiał przypominał lodowy marmur, był jednak mocniejszy niż wszystkie materiały, które byli w stanie wyprodukować ludzie na Querencii.

Edeard patrzył oczarowany na sunące po kanale gondole. Już przedtem widywał łodzie - Thorpe nad Wodą miało ich mnóstwo, wiele innych miast również. Jednak tamte były prymitywnymi pracującymi kuzynami w porównaniu do tych eleganckich, czarnych statków. Gondole miały kile płytko, a ich strzeliste dzioby wznosiły się wysoko nad wodę, wyrzeźbione w eleganckie postacie. Na środku łodzi białe markizy chroniły wyściełane siedzenia przed gorącym słońcem. Gondolier stał na platformie na rufie i manipulował długą żerdzią ze swobodnym wdziękiem. W każdej gondoli mieszkała przynajmniej para gekotów. Edeard uśmiechnął się uszczęśliwiony na widok tradycyjnych form genistarów, które rojnie wchodziły do słonej wody i wychodziły na brzeg. Odmiennie od nadętych stworzeń, które ukształtował tam w Ashwell, były to opływowe zwierzęta wodne z błoniastą stopą i długim, wijącym się ogonem. Powierzchnia kanału falowała, kiedy gekoty ścigały zwinne filiszury i żuły pasma wodorostów trilanu, by utrzymać kanał w czystości.

- Och, moja wielka Pani - westchnęła Salrana, gapiąc się na miasto.

- Zrobiliśmy właściwą rzecz - powiedział Edeard, tonem zamykającym dyskusję. - Właśnie tak.

Teraz, kiedy znalazł się w obrębie kryształowych murów, przeniknęła go prawdziwa aura miasta. Nigdy wcześniej nie wyczuwał takiego ożywienia, upojnego uczuciowego uderzenia, które mogło pochodzić jedynie od ludzi w bezpośrednim otoczeniu przeżywających swe gorączkowe życie. Nie można było odróżnić poszczególnych osób, ale ogólne poczucie było kopalnią ożywczych emocji. Czuł się podniesiony na duchu, gdy po prostu stał i wchłaniał widoki i dźwięki.

Karawana zjechała z drogi. Barkus odbył krótką rozmowę z miejskim mistrzem podróży, który wyznaczył im trzy zagrody w Wysokiej Fosie, gdzie mogli się rozłożyć do handlu. Wozy potoczyły się wąską dróżką na końcowe miejsce postoju.

Edeard i Salrana podjechali na gekoniach do wozu Barkusa. Sytuacja przypominała tamten czas w Thorpe nad Wodą, kiedy przyszedli do mistrza karawany prosić o pomoc. Rodzina starca ustawiała markizy po obu stronach starego wozu. Wtedy wszyscy byli obcy, ciekawi i podejrzliwi. Teraz Edeard ich znał i uważał za przyjaciół - co sprawiało że rozstanie było trudne. Kiedy Barkus odwrócił się w ich stronę myśli Salrany były posępne i pełne przygnębienia.

Stary mistrz karawany zerknął na pakunki, które nieśli.

- Więc naprawdę macie zamiar tutaj zostać?

- Tak, proszę pana.

Uściskał obydwójce. Salrana musiała otrzeć łzy. Edeard walczył, aby jemu też się to nie przytrafiło.

- Czy macie dość pieniędzy?

- Tak, proszę pana, powodzi się nam doskonale. - Edeard poklepał się po wewnętrznej kieszeni spodni. Po drodze sprzedał dosyć gepająków, by opłacić tygodnie w wystawnie urządzonej tawernie i znowu był porządnie ubrany.

- Jeśli wam nie wyjdzie, będziemy tu przez tydzień. Serdecznie zapraszam. Oboje. Zawsze znajdziecie u nas swój dom.

- Nigdy nie zapomnę pańskiej życzliwości - oznajmił Edeard.

- Ani ja - dodała Salrana.

- No dalej, wynocha.

Edeard widział w poruszonych myślach starca, że to wszystko jest równie bolesne dla niego, jak dla nich. Chwycił ramię Barkusa, mocno je uściskał i odwrócił się. Salrana zarzuciła ramiona na szyję mistrza karawany i ucałowała go z wdzięcznością.

Droga, którą wjechali do miasta kończyła się niedaleko od Kanału Północnej Krzywej. Maszerowali przez pewien czas przy

wodnym szlaku, aż znaleźli most. Zrobiono go z mocnego, wszechobecnego miejskiego materiału koloru ochry - prosty niski łuk, do którego po obu stronach dodano drewniane poręcze. Na moście panował tłok. Edearda potrącało tak wielu ludzi, że musiał mocno ścisnąć torbę. Ale zdał sobie sprawę, że nie ma tu zwierząt, nawet geszypansów. Most zaprowadził ich do dzielnicy Ilongo, którą tworzyły małe, pudełkowate budynki, wysokie na dwie lub trzy kondygnacje ze sklepieniami gwiaździste dachami i ścianami, które często odchylały się od pionu. Okna miały przeróżne kształty: były tam nachylone pod kątem szczeliny, półksiężyce, krople łez, koła, owale, ale nie było kwadratów; wszystkie miały szyby z grubego, przezroczystego kryształu, który wyrastał, kształtował się i uzupełniał w taki sam powolny sposób jak same budynki. Wejścia tworzyły proste łukowato sklepione prostokąty i elipsy przecinające ściany na poziomie parteru; ludzie dodali drewniane drzwi, umieszczając w strukturze budynków zawiasy przymocowane gwoździemi wbitymi za pomocą telekinezy. W ciągu lat szpile będą powoli odrzucane przez materiał ścian, który będzie naprawiał wybite przez nie dziury. Wymagało to ponownego przytwierdzenia drzwi co dziesięć lat. Stała, spokojna odnowa materiału miasta sprawiała, że miasto wyglądało świeżo, jakby dopiero co je zbudowano.

Luki między budynkami były wąskie. Czasami przy ściętym rogu między ścianami pozostawało zaledwie pół metra, co zmuszało Edearda do obracania się bokiem, gdy się przeciskał; inne przejścia były szerokimi chodnikami, po których kilku ludzi mogło maszerować obok siebie. Ni z tego ni z owego przecinali placky i podwórce, na każdym fontanna słodkiej wody pieniała się na szczycie grubego słupa.

- Czy tu nikt nie pracuje? - pytała zaintrygowana Salrana, kiedy w ciągu dziesięciu minut spaceru wąskim chodnikiem, stale ich potrącano. - Chyba całe miasto sobie spaceruje.

Edeard tylko wzruszył ramionami. Dzielnica stanowiła dezorientujący labirynt. Przekonał się również, że materiał miasta jest prawie nieprzezroczysty dla dalwzroku. Po drugiej

stronie ścian rozróżniał jedynie ciemne kształty. I z pewnością nie dostrzegął, co dzieje się za budynkami. Nie był przyzwyczajony do takiego ograniczenia percepcji, więc nieco go to denerwowało. W końcu wezwał swego georta i posłał go, by szybował nad dachami, co pozwoliło mu zaplanować trasę.

Chciał się dostać do dzielnicy Tosella, gdzie Gildia Jajoformerów miała swoją Niebieską Wieżę. Dzielnica znajdowała się na wschód od Ilongo, oddzielona od nich Ukrytym Kanałem. Mimo że znajdowała się tak blisko, dotarcie przez Ilongo do drewnianego mostku na kanale zajęło im czterdzieści minut.

Budynki w Toselli wykonano ze znacznie większym rozmachem od tych, które widzieli dotychczas. Długie, wielokątne rezydencje z wysokimi szczelinowymi oknami, ustawione jedna na drugiej i przykryte kopułami z koncentrycznych pierścieni, przecinającymi się wzajemnie niczym fale. Teren bezpośrednio przed ścianami domów odgradzono smukłymi słupami, odgradzającymi chodnik publiczny od symbolicznych mozaik z połyskujących plamek w kolorach podstawowych. Partery przypominały gotyckie klasztory i zadbane ogrody rosły tam w długich korytach pod zimnym, zabarwionym światłem płynącym ze świetlików wysoko w górze. Parter jednej z rezydencji zamieniono w stajnie do użytku mieszkańców. Edeard zauważył nawet uczniów i czeladników, krzątających się z myślami pełnymi tłumionego niepokoju, gdy starali się utrzymać w łaskach swego Mistrza. Edeard uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie kilka co bardziej skandalicznych historii o życiu uczniów w Makkathranie.

- Wiem, że wszyscy o to pytają - powiedziała Salrana, kiedy zatrzymali się przy jednej z ogromnych rezydencji i podziwiali subtelne tęczowe cienie, rzucane przez jej połyskujący, śnieżnobiały fronton. - Ale zastanawiam się, kto zbudował to miejsce?

- Myślałem, że Pierwotne Byty. Czyż nie tak mówi Pani?

- Tak naprawdę nie mówi tego w żadnej ze swoich nauk. Mówi tylko, że miasto pozostawili ci, którzy nadeszli wcześniej.

- W każdym razie nie mogli to być ludzie.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Och, możemy je z powodzeniem wykorzystywać, pojęcie schronienia, jak przypuszczam, jest uniwersalne. Ale wszystko, co tu jest, trochę nam nie pasuje. Przede wszystkim, zanim przybył Rah, nie było bram.

- Więc budowniczywie przybywali i odchodzili żeglując po morzu; taka wizja z pewnością pasuje do tych wszystkich kanałów - odpowiedziała z uśmiechem.

- Nie. - Nie mógł się dostosować do jej lekkiego humoru. Korzenie architektury bazują na tworzących ją gatunkach, od podstawowej funkcjonalności aż po estetykę. A Makkathran po prostu nie pasował do ludzkiej wrażliwości. Czuł się tutaj nie na miejscu. - Ludzie nigdy nie zbudowali tego miasta, po prostu się do niego przystosowali.

- Ależ z ciebie mądrała. A jesteśmy tu tylko godzinę.

- Przepraszam. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Ale to intrygujące, musisz to przyznać.

- Powiadają, że dzielnica Eyrie jest naprawdę niesamowita. Tam właśnie Pythia ma kościół, który jest jedynym budynkiem ukształtowanym dla ludzi. Miasto zapewniło to Pani, tak by jej stadko było blisko wież, kiedy w końcu powrócą Władcy Niebios.

- Wież?

- Tak. Właśnie tam Władcy Niebios zapłonęli podczas swej ostatniej wizyty, w dniu, kiedy zabrali ducha Raha do Morza Odyna.

- Och. Chwileczkę, chcesz powiedzieć, że Kościół Pani zaprojektowali ludzie?

Westchnęła kpiąco.

- Widzisz? Wiedziałbyś to, gdybyś zechciał regularnie przychodzić do kościoła. Tak stwierdzono w pismach Pani.

Edeard jeszcze raz spojrzął podejrzliwie na rezydencję.

- To jak kształtowanie genistarów, ale z budynkami. Ciekaw jestem, czy budowniczcy miasta przywieźli na Querencię domyślniki.

- Jeśli Gildia Geografii cię odrzuci, zawsze możesz starać się o przyjęcie do Gildii Historii.

- Bezczelna! - Zamachnął się na nią.

Salrana tańcząc odsunęła się i pokazała mu język. Kilkoro przechodniów spojrzało na nią z zaciekawieniem. Nie byli przyzwyczajeni, by nowicjuszka Pani zachowywała się w ten sposób. Przybrała skruszony wyraz twarzy i schowała skromnie ręce za plecy. W jej oczach i umyśle nadal iskrzyło rozbawienie.

- No chodź - ponaglił. - Im prędzej dotrzemy do Niebieskiej Wieży, tym szybciej zamknijemy cię w dormitorium nowicjuszek, gdzie twoje miejsce. Będiesz tam bezpieczna i nie będziesz sprawiała kłopotów.

- Pamiętasz naszą obietnicę? Ja zostanę Pytią, a ty Burmistrem.

- Taaa... - uśmiechnął się. - Może to zająć parę lat, ale zrobimy to. Jej uśmiech znikł, a myśli stały się trzeźwe.

- Edeardzie, nie zapomnisz o mnie, prawda?

- Hej, oczywiście, że nie.

- Mówię poważnie. Obiecuj. Obiecuj mi, że nadal będziemy rozmawiać każdego dnia, nawet, jeśli będzie to po prostu pozdrowienie dalmową.

Podniósł rękę, zwrócił ku niej wewnętrzną część dłoni.

- Przysięgam na Panią, nie zapomnę cię. Taka rzecz po prostu nie jest możliwa.

- Dziękuję. - Jej psotny uśmiezek powrócił. - Czy chcesz znowu mnie pocałować, zanim na każdą noc zamkną nas w osobnych dormitoriach?

Jęknął z przerażeniem.

- Może powinienem po prostu zostawić cię w karawanie.

Teraz z kolei Salrana zamachnęła się na niego.

Niebieska Wieża stała pośrodku dzielnicy Tosella i była co najmniej dwukrotnie wyższa od największej rezydencji, jaką dotychczas widzieli. Miejski materiał jej ścian przybrał odcień ciemnego lazuru, który wydawał się wchłaniać światło słoneczne, jakby fasada posiadała własną aureolę cienia. Edeard, kiedy stał przy podstawie wieży, między belkami przyporowymi - przywodzącymi na myśl korzenie starego drzewa - czuł się

onieśmielony tym sercem Gildii. Z pewnością ta konstrukcja nie została zbudowana po to, by gościć zawód, który miał czynić ludzkie życie lżejszym. Budynek przypominał raczej fortecę - siedlisko bandytów.

- Czy jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - spytała niepewnie Salrana, równie zaniepokojona dominującą strukturą, jak on.

- Eee... Tak. Jestem pewien. - Żałował, że wahanie w jego myślach jest aż tak jawne.

Weszli do środka przez szerokie drzwi, których podobieństwo do gigantycznych ust było niewygodnie oczywiste. Kolor ścian i podłogi, zmienił się w bardzo ciemną czerwień, a ich powierzchnia stała się wygładzona, by pasowała do wypolerowanego drzewa. Silne promienie słońca wpadały przez wysokie okna i przecinały mrok holu wejściowego.

Edeard nie wiedział, dokąd iść, nie było widać żadnego funkcjonariusza, kierującego odwiedzających do właściwych pokoi. Determinacja Edearda topniała w błyskawicznym tempie. Tkwił pośrodku szerokiej otwartej przestrzeni.

- Nie wydaje mi się, żeby właśnie tutaj uczniowie mieli swoje dormitoria - zauważyła Salrana ściszym głosem.

W holu znajdowało się kilka grup mężczyzn, rozmawiających ze sobą. Mieli na sobie delikatne ubrania pod obręzionymi futrem szatami, a na kołnierzach wyhaftowany herb Gildii - jajo w podwójnej pętli. Salranę i Edearda obrzucano spojrzeciami pełnymi dezaprobaty. Zaskakująca liczba ludzi zogniskowała na nich swój dalwzok.

A dalwzrok Edearda ostrzegł go o trzech strażnikach uzbrojonych w rewolwery, maszerujących przez hol wejściowy. Mieli na sobie lekkie bluzy z drojedwabiu nałożone na nieskazitelnie białe bawełniane koszule. Na ich hełmach widniał herb Gildii.

Sierżant spojrział na Edearda gniewnie, ale w stosunku do Salrany był odrobinę mniej wrogi - zobaczył jej strój nowicjuszeki.

- Wy dwoje - warknął - czego tutaj szukacie?

Tyle, jeśli chodzi o ciepłe przyjęcie bliźniego, członka Gildii, który przybył z daleka, pomyślał kwaśno Edeard. Potem

uświadomił sobie, że strażnik nie jest w stanie go onieśmielić. Po bandytach ten sierżant i jego mały oddział wydawali się nieco śmieszni.

- Jestem czeladnikiem Gildii - oznajmił Edeard, sam zdziwiony, jak pewnie i autorytatywnie brzmi jego głos. - Przybywam z prowincji Rulan, by zakończyć swoje szkolenie.

Sierżant skrzywił się, jakby ugryzł zgniły owoc.

- Jesteś zbyt młody, by zwać się czeladnikiem. Gdzie masz odznakę?

- To była długa podróż - powiedział Edeard, nagle nie mając ochoty na wyjaśnianie, co stało się z wsią komuś, kto nigdy nie zrozumie życia poza miastem. - Zgubiłem ją.

- Rozumiem. A twój list?

- List?

Sierżant mówił powoli, jego myśli barwiła pogarda.

- Twój list wprowadzający do Gildii od twojego Mistrza?

- Nie mam żadnego.

- Jaja sobie robisz, synu? Przepraszam, panienkę - powiedział niechętnie do Salrany. - Wynoś się, albo zaprowadzę cię do Sądów Sprawiedliwości za włamanie i kradzież.

- Nic nikomu nie ukradłem - głośno zaprotestował Edeard. - Moim mistrzem był Akeem; zmarł zanim zdążył napisać list wprowadzający.

- Wtargnąłeś tu tylko po to, by nam coś ukraść ty małe wiejskie gówienko - warknął sierżant. - Teraz mnie wkurzyłeś i nie wyjdzie ci to na zdrowie. - Sięgnął do Edearda, a potem mrugnął zaskoczony, kiedy dłoń ześlizgnęła mu się po wyjątkowo silnej tarczy telekinetycznej. - Och... sam się o to prosiłeś. - Jego trzecia ręka usiłowała schwycić chłopca.

Edeard z łatwością ją odsunął, po czym uniósł sierżanta z ziemi. Mężczyzna zaczął krzyczeć i wierzgać nogami.

- Załatwcie to gówienko! - wrzasnął do swoich ludzi.

Ich trzecie dłonie zamknęły się na Edeardzie, bezskutecznie. Sięgnęli po pistolety. Ich ramiona poruszały się powoli przez niemożliwie gęste powietrze.

- Edeard! - pisnęła Salrana.

Edeard nie rozumiał, w jaki sposób sprawy tak szybko przybrały szalony obrót.

- Wystarczy - polecił ktoś barytonem.

Dalwzrok Edearda ukazywał starca, idącego do nich przez hol. W późnym wieku mężczyzna przybrał na wadze. Spodnie koloru ochry skrojono wysoko, więc nie zwisał mu wystający brzuch, workowata koszula również dyskretnie maskowała tuszę, ale jego waga nadal była widoczna w pulchnych palcach, ciężkich policzkach i drugim podbródku. A jednak nosił się z energią dwa razy młodszego człowieka. Nawet bez wyczuwania jego trzymany w ryzach myśli, widać było, że to człowiek, którego władza jest znaczna.

- Opuść go - polecił Edeardowi.

- Tak, proszę pana - odpowiedział potulnie Edeard. Po prostu wiedział, że to Mistrz równy Akeemowi. - Proszę o wybaczenie. Nie pozostawiono mi wy...

- Bądź cicho. - Mężczyzna zwrócił się do sierżanta, który prostował swe ubranie, unikając patrzenia w oczy innym. - A ty, sierżancie, musisz kontrolować swoje humory. Nie jestem gotów na to, by Niebieską Wieżę strzegli małostkowi paranoicy. Masz się nauczyć bardziej racjonalnego podejścia, albo dokonasz żywota w terenie i będziesz pilnował majątku Gildii po drugiej stronie gór Donsori. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, proszę pana.

- Odejdź, a ja ustalę, jak wielkie zagrożenie przedstawia dla nas ten chłopiec.

Sierżant odprowadził swoich ludzi, ale zdążył rzucić Edeardowi spojrzenie zapowiadające okropną zemstę.

- Twoje imię, chłopcze?

- Edeard, panie.

- A ja jestem Topar, Mistrz z rady Gildii i zastępca Wielkiego Mistrza Finitana. To powinno ci dać pojęcie w jak głębokie wdepnąłeś gówno. Droga nowicjuszko Pani, czy mogę zapytać o twe imię?

- Salrana.

- Rozumiem. I sędzę, że obydwójcie dopiero ostatnio przybyliście

do Makkathranu. Zgadza się?

- Tak, proszę pana - powiedział Edeard. - Naprawdę bardzo mi przykro z powodu...

Topar lekceważąco machnął ręką.

- Powinienem być zirytowany, ale imienia Akeem nie słyszano w naszej dostojnej Wieży już od dłuższego czasu. Jestem zaintrygowany. Czy dobrze usłyszałem: mówiłeś, że nie żyje?

- Tak, proszę pana. Obawiam się, że tak.

Przez chwilę entuzjazm zniknął z postawy Topara.

- Szkoda. Tak, bardzo wielka szkoda.

- Czy pan go znał, proszę pana?

- Nie, ja nie. Ale zabiorę cię do kogoś, kto go znał. Będzie ciekaw szczegółów, jestem tego pewien. Chodźcie za mną.

Poprowadził ich do sklepionego łukowo przejścia z tyłu holu i zaczął się wdrapywać na szerokie schody. Kiedy po nich wchodzili, Edeard przekonał się, że miał rację - ktokolwiek stworzył to miasto, nie był to człowiek. Schody były masywne, bardziej przypominały zbocze zestalonych drobnych fal. Były wystarczająco zaokrąglone, by dostarczyć niepewnego oparcia dla stóp, a ich rozstaw nie bardzo nadawał się dla ludzkich nóg. Wznosiły się po spirali i po krótkim czasie Edeard zorientował się, że się poci. Jego mięśnie łydek nie były przyzwyczajone do takich wyęzionych ćwiczeń.

W pewnej chwili, kiedy musieli już być cztery czy pięć pięter nad poziomem holu, Topar obrócił się do młodszych towarzyszy z uśmiechem samozadowolenia. Chrząknął, jakby ciesząc się z ich udręki.

- Tylko sobie wyobraźcie, o ile byłbym bardziej okrągły, gdybym nie musiał się tak wdrapywać pięć razy dziennie.

Zaśmiał się cicho i poszedł dalej.

Kiedy w końcu zatrzymali się w czymś w rodzaju wielkiego przedpokoju, Edeard ciężko dyszał. Nie miał pojęcia jak wysoko weszli, ale szczyt wieży z pewnością mógł się znajdować jedynie parę metrów nad nimi. Ta wysokość wyjaśniałaby jego zawroty głowy.

- Poczekajcie tu - powiedział Topar i wszedł przez drewniane

drzwi ozdobione grubymi żelaznymi filigranami.

Przedpokój również miał czerwone ściany, ale jaśniejsze od tych na niższych piętrach. Nad głową sufit jarzył się bladym bursztynowym światłem, co nadawało skórze Edearda nieprzyjemny szary odcień. Chłopak rzucił torbę na podłogę i usiadł na wielkim krześle z zakrzywionych, drewnianych żeber. Salrana usiadła obok. Wyglądała na całkowicie oszołomioną.

- Mamy kłopoty, czy nie? - zapytała.

- Myślę, że jest mi już wszystko jedno. Ta świnka sierżant wiedział, że jesteśmy nieszkodliwi.

Uśmiechnęła się.

- Ty nie jesteś.

Był zbyt zmęczony, by się spierać. Jego dalwzrok był prawie zupełnie zablokowany murami wieży, ale wyczuwał dwa umysły za drewnianymi drzwiami. Nie można było odczytać ich emocji, z drugiej jednak strony, kiedy szedł przez dzielnicę miasta, zauważył, jak sprawni są miastowi w pilnowaniu swoich uczuć.

Topar otworzył drzwi.

- Możesz teraz wejść, Edeardzie. Nowicjuszko Salrana, gdybyś była tak uprzejma i okazała nam jeszcze trochę cierpliwość. Za moment zjawi się tu ktoś, kto się tobą zaopiekuje.

Jeszcze zanim wszedł do pokoju, Edeard domyślił się, że zabierają go do Wielkiego Mistrza Finitana. Kiedy wszedł, prawie się zachwiał, omieciony dalwzrokiem niczym porywem zimnego wiatru. Pod jego wpływem podniosły mu się włoski na rękach. Pomyślał przez chwilę, że jeśli ktokolwiek mógł coś zobaczyć przez psychiczną osłonę, to właśnie ten człowiek.

Wielki Mistrz Finitan siedział w fotelu z wysokim oparciem przy wielkim dębowym biurku, zwrócony przodem do drzwi. Jego gabinet musiał zajmować prawie ćwierć powierzchni wieży na tym poziomie. Był ogromny, ale prawie pusty - stały tu jedynie biurko i fotel. Dwie ściany przykrywały regały, zawierające setki oprawionych w skórę woluminów. Większość ścian za Wielkim Mistrzem zajmowało kryształowe okno z cienkimi gwiazdzistymi żebrami, przez które roztaczał się widok na cały Makkathran. Edeardowi opadła szczęka. Ledwo powstrzymał się od

podbiegnięcia i gapienia się, jak uszczęśliwione dziecko. Z tego co widział pod tym kątem, falujące szczyty dachów ciągnęły się kilometrami, a kanały przecinały je niczym szaroniebieskie arterie. Kiedy tak na nie patrzył, wiedział już na pewno, że miasto żyje. A ludzie byli tutaj jedynie obcymi bakteriami, mieszkającymi w ciele, którego nigdy nie pojmą.

- Niezły widok, prawda? - powiedział łagodnie Wielki Mistrz Finitan.

Pod wieloma względami jego budowa fizyczna była przeciwieństwem Topara. Szczupły i wysoki, z gęstymi włosami do ramion, które dopiero zaczynały siwieć. Jednak jego wiek był wyraźnie widoczny w zmarszczkach na twarzy. Mimo tego, nie okazywał lekceważenia - wydawał się zainteresowany i uprzejmy.

Edeard przeniósł wzrok z powrotem na Wielkiego Mistrza.

- Tak, proszę pana. Eee, jeszcze raz przepraszam za to, co wydarzyło się na do...

Wielki mistrz podniósł palec do ust i Edeard zamilkł.

- Nie mówmy już o tym - powiedział Finitan. - Przebyłeś długą drogę, prawda?

- Z prowincji Rulan, proszę pana.

Finitan i Topar spojrzeli po sobie. Uśmiechnęli się, dzieląc jakiś prywatny żart.

- To długa droga - rzekł poważnie Finitan. - Herbaty? - Jego umysł wysłał dalmową szybka instrukcję.

Edeard odwrócił się i zobaczył, że przy podstawie jednej ze ścian z regałami otwierają się drzwi. Były zbyt niskie dla człowieka, miały nieco ponad metr wysokości. Wybiegły z nich geszympany z dwoma krzesłami i tacą. Krzesła umieszczono przed biurkiem wielkiego Mistrza, a tacę ze srebrnymi przyborami do herbaty na biurku, obok kołyski z jajem genistara.

- Siadaj, mój chłopcze - zaprosił Finitan. - Jak rozumiem, utrzymujesz, że nasz kolega Akeem nie żyje. Kiedy to się stało?

- Prawie rok temu, proszę pana.

- Temu wspomnieniu towarzyszą w twoim umyśle bardzo mroczne myśli. Proszę, opowiedz mi tę historię, niczego nie

pomijając. Wierzę, że jestem wystarczająco stary, by znieść całą prawdę.

Zażenowany, że jego umysł jest tak przezroczysty, Edeard westchnął i rozpoczął opowiadać.

Kiedy skończył, zarówno Wielki Mistrz jak i Topar przez długą chwilę milczeli. W końcu Finitan oparł brodę na złożonych dłoniach.

- Ach, mój biedny drogi Akeem. To, że zakończył życie w taki sposób to niewybaczalna tragedia. Cała wieś wybita przez bandytów. Uważam, że to niezwykle.

- To się wydarzyło - powiedział Edeard z błyskiem gniewu.

- Nie kwestionuję twojej opowieści, mój chłopcze. Bardzo mnie niepokoi, że w dziczy istnieje jakiś typ społeczeństwa inny niż nasz. I w dodatku tak nieubłagane wrogi.

- To zwierzęta - warknął Edeard.

- Nie. Twoja reakcja jest instynktowna. Owszem to zdrowa reakcja. Ale zorganizowanie takiego rajdu, to spore osiągnięcie. - Odchylił się w fotelu i napił herbaty. - Czy może istnieć gdzieś tam, poza naszymi mapami, konkurująca z nami cywilizacja? Mają technikę ukrywania się i dziwaczne bronie. Zawsze wierzyłem że takie rzeczy pochodzą tylko z tego miasta.

- Macie pistolety wielostrzałowe? - zapytał Edeard. Gdy podróżował, nikt o czymś takim nie słyszał. Rok stałego lekceważenia sprawił, że wątpił we własne wspomnienia z tej okropnej nocy.

Finitan i Topar jeszcze raz spojrzeli po sobie.

- Nie. I jest to bardziej niepokojące od wiedzy, jak się ukryć. Ale jakie to miłe, że Akeem znał technikę, która miała być praktykowana jedynie przez Mistrzów Gildii.

- Był Mistrzem, proszę pana.

- Oczywiście. Miałem na myśli tylko tych z nas, którzy zasiadają w radzie. Niestety, Akeem nigdy do tego nie doszedł. To, oczywiście, była sprawa polityki. Obawiam się, młody Edeardzie, że przekonasz się, że życie tu, w mieście kręci się wokół polityki.

- Tak, proszę pana. Czy znał pan Akeema, proszę pana?

Finitan uśmiechnął się.

- Jeszcze się nie domyśliłeś, mój chłopcze? Na Panią, myślałem, że jesteś bystrzejszy. Dzielimy zobowiązanie, ty i ja. Gdyż on był moim Mistrzem, kiedy ja byłem tutaj mało znaczącym uczniem.

- Och!

- Co oznacza, że stawiasz mnie przed bardzo nieprzyjemnym problemem.

- Naprawdę? - spytał z niepokojem Edeard.

- Nie masz formalnego listu potwierdzającego od swego Mistrza. Co gorsza, kiedy twoja wieś przepadła, nie możemy nawet potwierdzić, że zostałeś przyjęty do Gildii.

Edeard uśmiechnął się niepewnie.

- Ale ja umiem formować jajo. - Omiótł dalwzrokiem jajo na biurku Wielkiego Mistrza, odczytał cień zarodka zwinięty wewnątrz. - Pan wyrzeźbił gepsa. Nie rozpoznaję niektórych cech, są inne niż formy tradycyjne, ale to pies. Chyba dwa dni przed wylęciem.

Topar skinął głową z uznaniem.

- To robi wrażenie.

- Akeem był najlepszym Mistrzem - powiedział Edeard z zapamiętaniem.

Finitan westchnął jeszcze ciężiej niż poprzednio.

- Widać, że otrzymałeś szkolenie Gildii i najwyraźniej posiadasz zarówno siłę, jak i umiejętności. I to stanowi problem.

- Nie rozumiem, proszę pana.

- Mówisz, że Akeem zrobił cię czeladnikiem?

- Tak, proszę pana.

- Nie mogę przyjąć cię do Gildii na tym poziomie. Wiem, że wygląda to na surowość nie do zniesienia, ale istnieją formalności, których muszę przestrzegać nawet ja.

Edeard miał świadomość, że płoną mu policzki. Był zły na małostkowość Mistrza Gildii w Thorpe nad Wodą. Z pewnością Wielki Mistrz, przywódca całej Gildii Jajoformerów, nie może być również tak małostkowy. Jego słowa są dla Gildii prawem.

- Rozumiem.

- Wątpię w to, ale sympatyzuję z oburzeniem, które musisz odczuwać. Byłbym uszczęśliwiony przyjmując cię do Gildii tu, w

Makkathranie, ale musi to być przyjęcie młodszego ucznia. Nie mogę czynić wyjątków, zwłaszcza w twoim przypadku.

- Co pan ma na myśli?

- Potwierdzenie twego statusu czeladnika bez formalnego listu twojego Mistrza, otworzy drogę innym członkom rady Gildii do oskarżania mnie o to, że kogoś faworyzuję.

- To polityka - wyjaśnił Topar.

- Rozumiem - szepnął Edeard. Bał się, że wybuchnie przed nimi płaczem. Dostanie się do Makkathranu, przebywanie w obecności Wielkiego Mistrza, a potem wysłuchanie wiadomości, że wszystko, co osiągnął jest bezwartościowe, ponieważ nie ma przy sobie kawałka papieru...

- Proszę mi wybaczyć, ale to głupie - powiedział pośepnie.

- To jest znacznie gorzej niż głupie. Ale doceniam twoją uprzejmość, mój chłopcze.

Edeard prychnął i wytarł nos.

- Jak długo zająłby mi powrót do statusu czeladnika?

- Tu, w Niebieskiej Wieży, kiedy założymy, że masz odpowiedni talent: siedem lat. Wyznaczenie cię na czeladnika w twoim wieku było... ambitne, nawet dla Akeema. Ale jednocześnie bardzo dla niego typowe.

- Siedem lat - powtórzył tępo Edeard. Siedem lat powtarzania wszystkich lekcji, których już się nauczył i wchłaniania darów wiedzy, które już dawno wchłonał. Siedem lat powstrzymywania się. Siedem lat posłuszeństwa czeladnikom mniej zdolnym od siebie. Siedem lat!

- Wiem, co myślisz choć nie używam dalwzroku - powiedział łagodnie Finitan. - Proszę cię byś zniósł rzecz straszną.

- Nie jestem pewien, czy zdołam - powiedział Edeard. - Kiedy tu przyszedłem, myślałem, że pragnę tylko przynależności do Gildii, ale teraz... Te formalności. Akeem zawsze powtarzał, że będą dla mnie trudne. Myślałem, że żartuje.

- Posłuchaj mnie Edeardzie - powiedział Finitan. - Bo za chwilę powiem coś, co graniczy z bluźnierstwem.

- Panie?

- Hierarchia, którą mamy w Gildiach, nie tylko w naszej, ale we

wszystkich Gildiach, istnieje dla tych, którzy chcą robić karierę w ramach naszego systemu politycznego. Talent w wybranej przez człowieka dziedzinie gra pewną rolę, ale wszystko sprowadza się do pieniędzy i polityki. Tak się przedstawiają sprawy tutaj, w stolicy. Jeśli nie urodziłeś się w którejś z wielkich rodzin, ale jesteś ambitny, wtedy wstępujesz do Gildii i walczysz, by dostać się na szczyt. Teraz rozważ to bardzo starannie, gdyż jest to wybór, który zdecyduje, jak spędzisz resztę swego życia. Czy Gildia Jajoformerów to coś, czego naprawdę chcesz? Ja właśnie tego chciałem i osiągnąłem swój cel. Jestem Wielkim Mistrzem. Ale spójrz na bitwy, jakie musiałem toczyć na wszystkich poziomach. Jestem otoczony przez tak wielu ludzi, dążących do tego samego, do tego fotela w tym gabinecie, że nie mogę zrobić wyjątku dla kogoś tak utalentowanego jak ty, tylko dlatego, że sto lat temu miałem Mistrza, który później uczył ciebie. Czy nie jest to szaleństwo, Edeardzie? Czy właśnie takiego życia pragniesz? Zastanawiać się nad podobnymi rzeczami kilkanaście razy dziennie, uważać na każdy krok, kontynuować tradycję, bez względu na to jaka jest jałowa i bezwartościowa, ponieważ to właśnie ona cię podtrzymuje. Być niezdolnym do dokonania zmian, mimo że perspektywa wprowadzenia zmian była najważniejszą rzeczą, która cię napędzała. Tym właśnie jestem, Edeardzie, tym właśnie jest Topar. Czasami wpadam w rozpacz, bo stałem się bezradny i uwikłany w system, który chciałem zmienić i ulepszyć.

- Ale proszę pana, jeśli pan nie może dokonać zmian, to kto może?

- Nikt nie może, Edeardzie. Nie teraz, nie w tych czasach. Nasze społeczeństwo jest dojrzałe. Zmiana to niestabilność. Dlatego właśnie wszystkie instytucje, które mamy, opierają się zmianom. Utrzymywanie status quo jest naszym jedynym życiowym celem.

- To jest złe.

- Tak, to złe. Ale co chcesz w związku z tym zrobić? Czy chcesz spędzić siedem lat tyrając jak wół, by zostać czeladnikiem, i zrobić pierwszy prawdziwy krok, aby otrzymać status mistrza, co jednocześnie sprawi, że twój talent stanie się nieistotny i zaczniesz

się prawdziwe politykowanie. Budujesz przymierza i robisz sobie wrogów na każdym zebraniu rady, w którym bierzesz udział, aby zyskać większą władzę i siłę. Ale na zebraniach chodzi jedynie o władzę i siłę. W ostatecznym rozrachunku to bardzo niewiele.

- Czy mówi pan, że powinienem zawrócić i przyłączyć się do karawany?

- Nie. Moja oferta przyjęcia cię do Gildii jest prawdziwa i pozostaje otwarta, przez cały czas, gdy jestem Wielkim Mistrzem. Kto wie? Może dokonasz zmian, kiedy dotrzesz do tego gabinetu. Powinienem cię teraz poinformować, że nikt młodszy od setki nigdy tutaj nie siedział.

- Nie wiem - powiedział Edeard bezradnie.

- Jest pewna alternatywa. Już wiesz, jak rzeźbić jaja. Kiedy dołączysz do Gildii, odkryjesz, że twoje życie jest teraz zorientowane na cele polityczne. Jednakże miejscy konstable zawsze szukają rekrutów. To szlachetny zawód. Moja pozycja w Radzie Wyższej pozwala mi poprzeć twoją kandydaturę do ich szeregów. Będą uszczęśliwieni, mogąc przyjąć kogoś z tak silną trzecią ręką. A to miasto rozpaczliwie potrzebuje silnych ludzi, by wymuszać przestrzeganie prawa. Bez tego wszyscy staniemy się niczym.

- Konstabl? - Nawet nie był pewien, kto to jest konstabl.

- Nawet w mieście tak wyrafinowanym jak Makkathran istnieje przestępczość, Edeardzie. Przyzwoici ludzie, zwłaszcza w uboższych dzielnicach żyją w strachu przed gangami, które nocami przemierzają ulice. Kupcy są okradani i podnoszą ceny, co dotyka wszystkich. Będziesz bezpośrednio pomagał ludziom. I to natychmiast. Odmienne niż w innych Gildiach, konstable - uczniowie nie są tak głęboko schowani, by nie rzucać się w oczy i nie trudzą się, by ułatwić życie swojemu Mistrzowi. Hierarchia konstabli jest również mniej skomplikowana. Perspektywy awansu są dobre. Jesteś bystry i silny. Nie będę cię zwodził, że to łatwa droga. Ale ty poznałeś prawdziwą walkę na śmierć i życie, co daje ci przewagę nad pozostałymi rekrutami. Powiedzie ci się.

- Nie jestem pewien.

- Oczywiście, że nie. Nie oczekiwałem, że natychmiast udzielisz

mi odpowiedzi. Potrzebujesz czasu, by przemyśleć swoją przyszłość. Może byś odprowadził przyjaciółkę do jej kościoła, a potem dobrze się rozejrzał. Poczuj miasto, zanim się zdecydujesz. Jeśli chcesz, spróbować u konstabli, porozmawiaj dalmową z Toparem, a my zorganizujemy twoje przyjęcie.

- Dziękuję panu.

- Proszę bardzo. I Edeardzie.

- Słucham?

- Cieszę się, że pod koniec życia Akeem miał tak utalentowanego ucznia. Nie było mu łatwo żyć w Ashwell. Musiałeś znacznie wzbogacić jego życie.

- Dziękuję. - Edeard wstał z krzesła, wiedząc, że czas rozmowy się skończył. - Proszę pana, dlaczego Akeem opuścił Niebieską Wieżę?

Finitan uśmiechnął się czule.

- Był podobny do ciebie, mój chłopcze. Chciał wpływać na świat, pomagać ludziom. Tutaj mógł zrobić bardzo mało. Podejrzewam, że na zewnątrz naszej kryształowej ściany, w Ashwell, wywarł wielki wpływ na życie wieśniaków.

- Tak, proszę pana. Wywarł.

- Co się tam wydarzyło? - zapytała Salrana, kiedy Edeard ponownie pojawił się w przedpokoju. - Nie wyglądasz na uszczęśliwionego.

- Nie jestem - przyznał i wziął swoją torbę. - Chodź, musimy dotrzeć do twojego kościoła przed zmrokiem. Po drodze powiem ci, co się stało.

- Nie możesz zrezygnować - oznajmiła Salrana, kiedy przechodzili mostem nad Kanałem Zagajnikowym prowadzącym do dzielnicy Eyrie. Miała błagalny głos. - Nie po tym wszystkim.

- Jednak Finitan miał rację. Jaki to ma sens? Umiem już kształtować jaja, niemal najlepiej ze wszystkich. Jeśli wstąpię do Gildii, zrobię to, by wspinać się w hierarchii, po nic więcej. I co

tam jest, nawet, jeśli zostanę Wielkim Mistrzem? Trzeba siedzieć na szczycie wieży i organizować Gildię, a wszyscy inni w radzie czekają, aż zrobię jakiś błąd. Miałbym milion wrogów, żadnych przyjaciół, i nic by się nie zmieniło. Nie pomagałbym nikomu. Pamiętasz, jak było w Ashwell, zanim ludzie zaakceptowali fakt, że genistary mogą polepszyć im życie? Cóż, Makkathran jest o tysiąc razy gorszy. Nie możesz wyrzeźbić lepszych genistarów, nie możesz zwiększyć liczby genistarów, które tu wykorzystują.

- Więc kiedy staniesz się Wielkim Mistrzem, może wmusisz genistary ludziom, którzy żyją w dzikich krajach. Gildia Jajoformerów nadal może zmienić życie wszystkich mieszkających poza równiną Iguru. Widziałeś, jak wygląda życie w odległych prowincjach. Uczyń je lepszym, Edeard, spraw, żeby życie tamtejszych ludzi było równie łatwe, jak życie wszystkich tutaj.

- To za wiele - odparł. - Nie mogę tego zrobić, Salrano. A przede wszystkim nie mógłbym znieść kolejnych siedmiu lat jako uczeń. Po prostu nie mógłbym. Przyswoiłem nauki Gildii. Przez rok radziłem sobie sam na drodze. Pozycja niższa niż czeladnik byłaby dla mnie olbrzymim krokiem wstecz. Przykro mi.

Oczyrna duszy widział właśnie Akeema, kręcącego głową na swój znużony sposób. Miał straszne poczucie winy.

Pogłaskała go po policzku, co przyciągnęło zdumione spojrzenia przechodniów.

- Nie zrezygnuję z ciebie. I z pewnością nie pozwolę, byś zrezygnował ze swego własnego marzenia. Nie po tym, co przeszliśmy.

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

- Proszę bardzo - odpowiedziała dziarsko.

Spojrzał w górę na dziwacznie skrzycone iglice, które wznosiły się w górę niczym gigantyczne stalagmity. Nawet najmniejsza była wyższa od Niebieskiej Wieży. Nie miały okien, ani balkonów, jedynie jedno wejście na poziomie gruntu, prowadzące do spiralnych schodów. Na samym wierzchołku rozszerzały się lejkowato w szerokie platformy, które wyglądały okropnie niestabilnie, tak jakby w każdej chwili mogły się złamać.

Po szalonej krzątaninie, którą obserwowali w innych dzielnicach, Eyrie wydawała się niemal opuszczona. Zapadał zmierzch, więc wierni podążali do centralnego kościoła Pani empirejskiej na wieczorne nabożeństwo pacierzy i dziękczynienia. Ze szczelin w pofałdowanych wieżach wokół zaczynało sączyć się światło, zalewając twardey grunt bladomandarynkową iluminacją. Edeard obserwował to światło z zaciekawieniem i zdał sobie sprawę, że to takie same żarzenie, które oświetlało schody w Niebieskiej Wieży. W jakiś sposób materiał miasta emitował je nie wydzielając ciepła.

- Dokąd dzisiaj pójdziesz? - zapytała.

- Nie wiem. Przypuszczam, że znajdę tanią tawernę z pokojami.

- Och, Edeardzie, będziesz tam taki samotny. Może byś wrócił do karawany. Wszyscy będą szczęśliwi.

- Nie - powiedział zdecydowanie. - Nie wrócę tam.

Zacisnęła zęby z niepokojem.

- Twoja duma kiedyś cię zgubi.

Uśmiechnął się.

- To prawdopodobne.

Centralny kościół Pani robił wrażenie. Wielka, biała jak obłoki kopuła, której trzecią część, najwyższą, zrobiono z takiego samego kryształu, jak miejskie mury. Z jej środka odchodziły promienieście trzy skrzydła, obramowane balkonami.

- Jestem tutaj - powiedziała zdziwiona Salrana. W jej oczach błyszczały łzy, a jej umysł promieniował szczęściem.

- Sama Pani spędziła tu ostatnie lata życia. Czy czujesz świętość tej ziemi? To wszystko jest prawdziwe, Edeardzie. Przesłanie Pani dla świata jest prawdziwe.

- Wiem - powiedział.

Szeroko otwarte drzwi kościoła rzucały wachlarz różowozłotego światła na rozległy plac. Kilka matek ubranych we wspaniałe białosrebrne szaty stało na progu, osobiście witając członków swojej kongregacji. Salrana wyprostowała ramiona i podeszła do pierwszej z nich. Wywiązała się kilkuminutowa rozmowa. Edeard starał się nie podsłuchiwać. Zakończyła się, kiedy Matka uściskała Salranę. Inne matki

pośpieszyły na jej wezwanie w dalmowie. Wszystkie zaczęły gwarzyć w podnieceniu wokół dziewczyny.

Salrana odwróciła się, wyciągnęła rękę ku Edeardowi.

- Wezmą mnie - powiedziała z twarzą pełną szczęścia.

- To dobrze - powiedział łagodnie.

- Chodź, dziecko - powiedziała pierwsza matka i objęła Salranę ramieniem.

- Młody człowieku.

- Tak, Matko.

- Udzielamy ci pochwały za pomoc naszej straconej duszy.

Niech Pani błogosławi cię za to, co zrobiłeś.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko lekko skinął głową.

- Czy zostaniesz na nabożeństwie?

- Ja... muszę się dostać do swojej kwatery, dziękuję. Wycofał się i ruszył szybko przez plac.

- Nie zapomnij - zbesztła go dalmową Salrana. - Przemów do mnie jutro rano, jak tylko się obudzisz. Chcę wiedzieć, czy z tobą wszystko w porządku.

- Tak zrobię.

Pomimo zimnego pomarańczowego światła świecącego z poskręcanych wież, Edeard denerwował się maszerując przez pustą dzielnicę. Ciemne partie górnych części wież tworzyły czarne sylwetki na tle jaśniejącego nocnego nieba. Umysł miał skoncentrowany na ciepłej aurze ludzkich umysłów po drugiej stronie Kanału Zagajnikowego.

Zanim dotarł do jakiegoś mostu, podjął decyzję. Natężył swój dalwzrok, by osiągnąć Niebieskiej Wieży. Iskierki umysłów były trudno rozpoznawalne przez ściany, ale uparł się i w końcu znalazł jedną, którą rozpoznał.

- Można pana przeprosić? - odezwał się dalmową do Topara. Wyczuł niewielki wybuch zaskoczenia, szybko zduszony.

- Gdzie jesteś, Edeardzie?

- W Eyrie, proszę pana.

- I dalwzrokowałeś mnie stamtąd przez ściany Niebieskiej Wieży?

- Ee, tak, proszę pana.

- Oczywiście, że tak. Więc co mogę dla ciebie zrobić?
- Wiem, że wydaje się, że to nagła decyzja, ale przemyślałem to, co po wiedział mi Wielki Mistrz. Chciałbym wstąpić do konstabli. Nic innego mi tutaj nie pozostaje.
- Tak, obiecaliśmy ci to. Bardzo dobrze. Zamelduj się na głównym posterunku konstabli w dzielnicy Jeavons. Kiedy tam dotrzesz, będą na ciebie czekać. Twój list polecający dotrze do kapitana rano.
- Tak, proszę pana. Proszę, niech pan podziękuje Wielkiemu Mistrzowi w moim imieniu. Nie zawiódę go.
- Edeardzie, nie sądzę, byś go zawiódł. Przyjmij dobrą radę obywatela urodzonego w Makkathranie.
- Tak, proszę pana?
- Nie pozwól, by twoi bliźni konstable zorientowali się, jaki jesteś silny. Nie od razu. Mogłoby to pociągnąć za sobą niewłaściwy rodzaj zainteresowania. Polityka, pamiętasz?
- Pamiętam, proszę pana.

- Wstawać, gnojki!
- Edeard jęknął. Mrugał chroniąc oczy przed pomarańczowym światłem wlewającym się do dormitorium. Kiedy rzeczywistość wtargnęła w jego kurczący się sen, jego myśli utworzyły dezorientujący wir.
- Szybciej! Wstawać! Nie mam czasu się z wami pieścić, żałosne palanty. Jeśli nie potraficie nawet rano wstać, to jaki z was pożytek? Żaden. W ogóle mnie to nie zaskakuje. Za pięć minut wszyscy macie się stawić w małym holu. Ci, którzy nie zdążą, zanim zamknę drzwi, mogą spieprzać z powrotem do domu, do matki. Teraz ruszcie dupy.
 - Co...? - zdołał powiedzieć Edeard. Ktoś przeszedł obok jego łóżka i walnął go w stopy pałką. - Oj!
 - Jeśli myślisz, że to boli, poczekaj, aż dobiorę się do twych uczuć, chłopaku z farmy.
- Edeard pośpiesznie zrzucił koc i wytoczył się z łóżka. W pokoju dormitorium znajdowało się sześć nisz na łóżka, jedynie dwie

były puste. Zeszłego wieczora widział innych konstabli - rekrutów. Krótko, bo zaraz Chae, sierżant szkoleniowy ich oddziału wmaszerował do pomieszczenia i warknięciem kazał im się przespać: „Bo jutro zaczynacie wczesnie”.

Edeard naciągał koszulę. Podejrzewał, że to Chae ich obudził. Skądś znał ten głos.

- Chyba sobie kpi - powiedział Boyd, wysoki chłopak z prostymi jasnymi włosami i wielkimi uszami.

Był czwartym synem piekarza z dzielnicy Jeavons, położonej niedaleko posterunku. Miał dwadzieścia kilka lat i kiedy zobaczył, jak starszy brat przejmuje coraz więcej piekarni, w końcu pogodził się z faktem, że nie odziedziczy żadnej części rodzinnej firmy. Siostry wyszły za mąż, a pozostali bracia opuścili dzielnicę, by poszukać innej drogi w przyszłość. Nie miał ich przedsiębiorczości, więc uznał, że jedynym wyjściem są Gildie, milicja lub konstable. Nie miał jednak pieniędzy, by wkupić się do milicji. A jego psychiczne talenty również były ograniczone.

- Och, wcale nie kpi - stwierdził Macsen, pośpiesznie wciągając spodnie.

Jego historia była podobna do przypadku Boyda. Był nieuznanym synem kochanki patriarchy jednej z wielkich rodzin. Zazwyczaj taki ojciec kupował po cichu swemu potomkowi patent na niższy stopień w milicji, lub ułatwiał mu wejście do zawodowej Gildii, takiej jak prawnicza czy urzędnicza. Niestety, patriarcha postanowił udać się w podróż na jednym ze swoich statków handlowych pływających wzdłuż wybrzeża na południe, kiedy rozpętała się burza - rzadki wypadek na morzu Lyot. Żona i najstarszy syn patriarchy wyrzucili Macsena i jego matkę z rodzinnej posiadłości, zanim jeszcze odprawiono nabożeństwo żałobne.

Edeard wsunął bosc stopy w buty.

- Lepiej róbmy jak każe, przynajmniej do czasu, aż zorientujemy się, na ile konstabl mówi poważnie - powiedział. - Spojrzał na szafkę przy łóżku, gdzie leżała jego torba na ramię i przez chwile zastanawiał się, czy jest tam bezpieczna. Nie żeby w środku było coś bardzo cennego. I, mimo wszystko, to posterunek konstabli.

- Chae mówi serio, owszem - powiedział Dinlay.

Ostatni z towarzyszy Edearda również był najmłodszym synem, ale jego ojciec był konstabłem. W związku z tym, Dinlay był jedynym z ich grupy, który miał już mundur. Zapiął srebrne guziki z przodu swej granatowej bluzy. Niewielkie metalowe krążki zostały wypolerowane do połysku, czarne buty do kostek również. Spodnie zostały wyprasowane w ostry kant. Mundur nie był nowy, ale żeby zobaczyć ślady zużycia trzeba mu się było bardzo uważnie przyglądać. Zeszłego wieczora Dinlay poinformował ich, że mundur należał do jego ojca, gdy był on konstabłem na stażu. Z całej czwórki tylko on wydawał się entuzjastycznie nastawiony do swojego nowego zawodu.

- Ojciec mówi, że sierżant Chae za dużo pije. Wysłali go na ten posterunek, ponieważ wszystko spieprzył - poinformował ich szeptem w dalmowie.

- Więc powierzyli mu szkolenie rekrutów? - wykrzyknął Macsen.

- Dinlay skrzywił się, rozglądając z zażenowaniem.

- Nie tak głośno. On nie lubi, jak mu się przypomina, że zmarnował karierę.

Boyd zachichotał.

- Karierę? Jako konstabl? Komediant z ciebie.

Dinlay, zanim włożył druciane okulary, obdarzył go gniewnym spojrzeniem. Coś w tym chłopcu przypominało Edeardowi Fahina, nie tylko problem z krótkowzrocznością, ale również sposób, w jaki się oddawał swojej życiowej profesji, jednocześnie tak wyraźnie się do niej nie nadając.

Edeard zadrżał, mimo że miał na sobie gruby wełniany sweter. Już dawno nie myślał o Fahinie, ale niepokojący sen zostawił mu nieprzyjemne wspomnienie zmartwychwstałych szkieletów, które trwały niczym nieprzyjemny posmak. Nie pomagało mu to dobrze zacząć pierwszego poranka na nowym miejscu.

Nie żeby już był poranek, zauważył, kiedy biegli w dół centralnych schodów posterunku do małego holu, gdzie spędzą najbliższe sześć miesięcy, ucząc się nowego rzemiosła. Jaśniejące mgławice nieba Querencii nadal były widoczne przez pierzaste

obłoki napływające od morza. Na świt trzeba będzie poczekać jeszcze co najmniej godzinę.

Edeard nie przyzwyczał się jeszcze do sposobu, w jaki budowle w Makkathranie blokowały mu dalwzrok. Tak więc, kiedy wszedł do holu, zaskoczyło go, że obok sierżanta Chae siedzi inny konstabl na stażu. Dziewczyna. Mniej więcej w jego wieku, może nieco starsza, z czarną czupryną ściętą krócej niż kiedykolwiek widział u dziewczyny. Miała zaokrągloną twarz, pulchne policzki, a na twarzy stały grymas niezadowolenia. Nawet według norm Makkathranu miała mocno zasłonięte myśli, niedające najmniejszej wskazówki co do jej prawdziwych uczuć. Edeard próbował być dyskretnym, kiedy ją sprawdzał, ale kiedy przeniósł wzrok z jej długich nóg - biodra były raczej zbyt pulchne - na jej piersi, nagle zdał sobie sprawę, że ona też go obserwuje. Uniosła pogardliwie brwi. Zaczerwienił się i odwrócił.

Chae stał przy ścianie najbardziej oddalonej od drzwi, pod jedną z okrągłych plam światła. Na szczęście jego gniew gdzieś zniknął.

- Bardzo dobrze, chłopaki i dziewczęta, prawie na czas. A teraz, wiercie lub nie, ten wczesny poranek nie został stworzony tylko po to, by obrzydzić wam życie. Będę miał mnóstwo okazji żeby to robić w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Nie. Dziś, chciałbym, żebyście się poznali. Oznacza to, że zaczniemy od kilku prostych testów, by określić poziom waszych zdolności psychicznych - albo wykryć ich brak. W ten sposób zdołamy połączyć was w oddział, w którym razem będziecie znacznie bardziej skuteczni. I wiercie mi, będziecie musieli współpracować. Tam na zewnątrz są gangi, które z radością nakarmią wami filszcury, jeśli spróbujecie stanąć im na drodze.

Edeard nie był całkiem pewien, czy w to wierzy i miał nadzieję, że jego myśli nie ukazują jego wątpliwości. Skupił się na próbie uzyskania takiej samej bierności, jaką wykazywali wszyscy pozostali.

- Konstabl Kanseen, czy zechcecie zacząć - polecił Chae. Wskazał gestem na stojącą przed nim ławę.

Na starym drewnie leżało pięć metalowych kul, najmniejsza

wielkości ludzkiej pięści, inne coraz większe. Szósta kula leżała na podłodze i miała niemal pół metra średnicy.

- Którą? - spytała Kanseen.

- Po prostu pokaż mi, co potrafisz, młoda damo - odparł Chae. W jego głosie dźwięczała silna nuta pogardy. - W ten sposób zdołam określić, jakie ci przydzielić obowiązki. Jeśli jakieś przydzielę.

Twarz Kanseen stwardniała w grymasie jeszcze silniejszej dezaprobaty. Popatrzyła gniewnie na czwartą kulę. Kula powoli wzniosła się w powietrze.

Macsen zagwizdał z aprobatą i zaklaskał. Inni konstable na stażu uśmiechnęli się z uznaniem. Edeard po chwili dołączył się do tego uznania. Przypuszczał, że ktoś dał jej tę sama radę co jemu, by nie odsłaniała swej prawdziwej siły.

- To tyle? - zapytał Chae.

- Tak, proszę pana - odburknęła Kanseen.

- W porządku, dziękuję. Boyd, zobaczmy, z czego cię zrobiono.

Uśmiechnięty Boyd wystąpił do przodu. Czwarta kula zadrżała i podniosła się kilka centymetrów nad drewnem. Czoło Boyda pokryło się potem.

Macsen zdołał podnieść piątą kulę. Dinlay uśmiechnął się z pewnością siebie i podniósł piątą i drugą kulę, co przyniosło mu rundę mocnego aplauzu. Nawet Kanseen przyłączyła się do oklasków.

- W porządku, Edeardzie, pokaż im jak wieś przewyższa miasto.

Edeard powoli skinął głową i postąpił naprzód. Inni pilnie obserwowali. Odczuwał silną pokusę, by rzucić szóstą kulę prosto na sierżanta, ale przestroga Topara nadal dźwięczała mu w mózgu.

Jego trzecia dłoń zamknęła się na piątej kuli i podrzuciła ją w powietrze, aż znalazła się w pół drogi do sufitu. Rozległ się aplauz. Podniósł drugą kulę, a następnie urządził przedstawienie. Udał, że natęża się, by podnieść trzecią i pozwolił jej, by zawisała kilkanaście centymetrów nad drewnem.

Pierwsza kula wystrzeliła ze stołu i pomknęła ku Edeardowi. Jego tarcza stwardniała, dość łatwo odbijając kulę. Jednocześnie upuścił trzy, które trzymał w powietrzu.

Wszyscy konstable na stażu umilkli, wpatrując się w niego i w Chae.

- Bardzo dobrze, Edeardzie - powiedział Chae przeciągle. - Prawie mnie przekonałeś. Nieco za dużo czasu między uderzeniem i upuszczeniem. Popracuj nad tym.

Edeard popatrzył na sierżanta ponuro.

Chae pochylił się i powiedział scenicznym szeptem.

- Mam przyjaciół w Gildii Jajoformerów, chłopcze.

Edeard poczerwieniał.

- Konstable powinni być przede wszystkim uczciwi - ciągnął Chae. - Zwłaszcza wobec swych kumpli w oddziale. W końcu życie każdego z was może zależeć od zachowania towarzysza. A teraz, czy zechcesz jeszcze raz spróbować?

Edeard wciągnął szóstą kulę w powietrze. Usłyszał westchnienie zaskoczonego Boyda.

- Dziękuję, Edeardzie - powiedział Chae. - A teraz dalwzrok. Ustawiłem kilka znaczników w dzielnicy. Zobaczmy, co uda się wam znaleźć.

Edeard delikatnie odłożył szóstą kulę na miejsce. Zastanawiał się, co powiedziałby Chae, gdyby wiedział ile jeszcze rzeczy mógłby dodatkowo podnieść.

Testy psychiki trwały jeszcze następną godzinę, mierząc ich rozmaite talenty, aż Chae ogłosił, że ma ich dość. Edeard był zainteresowany wynikami. Kanseen miała dalwzrok niemal tak dobry, jak jego własny, a Dinlay mógł prawdopodobnie widzieć przez pół równiny Iguru - zdolność z której był niezwykle dumny. Tarcza Macsena wydawała się nieproporcjonalnie silniejsza od jego trzeciej dłoni - nic, czym rzucał w niego Chae się przez nią nie przedostało. Boyd w niczym się nie wyróżniał. Po próbach Edeard zastanawiał się, czy on wychodzi ponad przeciętność, czy też jego koledzy z oddziału są wyraźnie poniżej średniej. Psychiczne zdolności sierżanta Chae z pewnością były dość potężne.

Chae kazał im zjeść jakieś śniadanie i zameldować się na

mierzenie munduru.

- Jeśli ktoś z was ma pieniądze, radzę mu, by je wydał na swoją bluzę. Tym bez pieniędzy będzie się odejmowało jej koszt przez najbliższe sześć miesięcy i zapewniam was, że pod koniec tygodnia nie będzie wam dużo zostawać.

Poszli gromadnie do głównego holu posterunku - długiej, łukowo sklepionej komnaty z wielkim kryształowym oknem. Niektóre ławy były już zajęte. Jakiś sierżant poinformował ich, że ława pod oknem, na czas trwania stażu należy do nich. Reszta konstabli ich ignorowała.

Gemałpy wybiegły z kuchni z naczyniami stołowymi. Wprawnie odbierały rozkazy. Edeard przekonał się o tym, gdy poinstruował jedną, by mu przyniosła herbatę i jajecznicę. Posterunek przynajmniej dostarczał żywności. Zastanawiał się, czy powinien spróbować wywołać Salranę. Na zewnątrz właśnie wschodziło słońce.

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś podnosił tak dużo - zauważył Boyd. - Masz mnóstwo talentu, Edeardzie.

Edeard wzruszył ramionami.

- Pierwszy rezerwuję sobie prawo do stanięcia za nim, kiedy zacznie latać gównem - powiedział Macsen. - I kule.

- Wszyscy wyglądacie na takich, którzy dadzą sobie radę, jeśli zapędzą nas w róg - odparł Edeard.

- Nie mamy wielkiego wyboru, prawda? - powiedział Macsen. - Nie mamy wystarczających umiejętności do Gildii, ani pieniędzy, by wkupić się do milicji. Tak więc jesteśmy tutaj i dopiero zaczynamy. Dziś rozpoczynamy długi spadek do ścieku, moi drodzy koledzy nieudacznicy.

- Nie zwracajcie na niego uwagi - powiedział Dinley. - Przemawia przez niego gorycz, bo został źle potraktowany przez rodzinę swego ojca.

- Nie jest mi tak gorzko, jak będzie im, kiedy z nimi skończę - powiedział Macsen z nieoczekiwanym ferworem.

- Plany zemsty? - spytała Kanseen.

- Nie muszę planować. Te aroganckie gnojki nieustannie łamią prawo. Pewnego dnia będę miał wystarczające wpływy, by całą

tę kupę sukinsynów zamknąć i zrujnować.

- To jest coś, co lubię oglądać: ambicja.

- Jak to się stało, że nie wstąpiłeś do Gildii, Edeardzie? - spytał Macsen. - Masz więcej psychicznego talentu, niż my wszyscy razem wzięci.

- Nie chcę, żeby mnie rozstawiano po kątach rozkazując mi przez następne siedem lat - podał proste wyjaśnienie.

- Niech to Pani błogosławi - powiedział Dinlay. - My tylko musimy zgrzytać zębami przez sześć miesięcy i odniesiemy sukces.

- To ciekawa definicja sukcesu - zauważyła Kanseen lekceważącym tonem, kiedy gemałpa przyniosła jej tacę z miską płatków i wysoką szklankę mleka. - Pozwolą nam wychodzić na ulicę po to, by poszturchiwały nas gangi i byśmy dostawali lanie, kiedy będziemy przerywać bójki w tawernach.

- Więc dlaczego tu jesteś? - spytał Macsen.

Pociągnęła większy haust mleka.

- Czy widzisz mnie jako wzorową żoneczkę jakiegoś sklepikarza - prostaka?

- Nie wszyscy sklepikarze są prostakami - powiedział Boyd defensywnie.

Macsen zignorował go.

- Więc tu znajdziesz to, czego ci potrzeba - powiedział.

Obróciła powoli głowę i popatrzyła na niego.

- Nie jestem zainteresowana, dzięki.

Edeard uśmiechnął się szeroko, a Dinlay i Boyd roześmieli się.

- Ja też nie - odparł Macsen, ale na chwilę zawiesił głos i brzmiało to bardzo nieszczerze.

- A więc Chae miał rację, kiedy mówił o kupnie munduru? - spytał Edeard. Był świadomy, że prawdopodobnie ma w kieszeni więcej monet niż pozostali.

- To zależy - powiedział Dinlay. - Jeśli stanowczo chcesz być konstabłem, to nie ma znaczenia, jak będziesz płacił. Ale jeśli nie jesteś pewien, wtedy najlepiej wyjdiesz, kiedy każesz im potrącać ratę z zarobków. W ten sposób, kiedy odejdiesz po paru tygodniach oddasz im mundur i nie stracisz swoich

pieniędzy.

- Och, spójrz prawdzie w oczy - powiedział Macsen. - Jeśli tu jesteśmy, to nie dlatego, że nie jesteśmy pewni: jesteśmy po prostu zdesperowani.

- Mów za siebie - powiedział Dinlay. - To mój rodzinny zawód.

- Wobec tego przepraszam. Ja nie mam komfortu wyboru.

- Mogłeś wstąpić do gangów - powiedziała lekko Kanseen - Prawdopodobnie lepiej płacą.

Macsen pokazał jej szybki gest.

- Jak wielki stanowią problem? - spytał Edeard. - To znaczy gangi. Nie słyszałem o nich, zanim dotarłem do miasta.

- Pani, ty naprawdę jesteś ze wsi - powiedział Macsen. - Kiedy tu przyjechałeś?

- Wczoraj.

- Wczoraj! - powtórzył Macsen tak głośno, że kilku konstabli spojrzęło zaciekawionych w ich stronę.

- Wczoraj - powtórzył z mocą Edeard.

- W porządku, cóż, teraz to już za późno. W niektórych dzielnicach gangi są wielkie, a w innych nie. Większość z nich ma bazę w Sampalok. Jeśli jesteś bogaty, nie stanowią wielkiego problemu, ale gdy jesteś biedny, trudniej je znieść. Specjalizują się w ochronie. Pomyśl o nich jako o alternatywnym systemie podatkowym.

- Ale z przemocą - powiedział Dinlay. - To mordercze szumowiny i należałoby je wytepić.

- Kiedy już sąd orzeknie o ich prawdziwej winie.

- To rzeczywisty problem, który się pogłębia - oznajmił Boyd. - Mój brat musi im płacić, by zostawili w spokoju piekarnię, a ona mieści się jedynie dziesięć minut drogi od tego posterunku, co znaczy, że są już tak daleko od Sampalok, jak to tylko możliwe. Kiedyś było tu bezpiecznie. Mój ojciec nigdy nie miał takich kłopotów.

- Dlaczego nie zamelduje o nich konstablom? - spytał Edeard.

Macsen parsknął niegrzecznie.

- Rozejrzyj się, Edeardzie. Czy poprosiłbyś nas, żebyśmy cię chronili przed zorganizowanym gangiem, który uważa, że

wrzucenie twoich dzieci lub twojej matki do kanału z przywiązaniem do szyi kamieniem jest zabawne? Czy będziesz stał przed piekarnią dwadzieścia cztery godziny na dobę przez dziesięć lat, tylko po to, by ich ocalić? Czy myślisz, że Chae by ci na to pozwolił? A gdyby pozwolił, to co ze wszystkimi innymi w dzielnicach? Nie. Teraz są częścią życia w Makkathranie. Konstable mogą najwyżej utrzymywać trudny rozejm i powstrzymać miasto przed popadnięciem w całkowitą anarchię.

- Taki młody, a tak cyniczny - skomentowała Kanseen. - Ignoruj ich, Edeardzie. Wcale nie jest tak źle, jak tu opowiadają.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział stłumionym głosem. Może nadal przeżywał szok miejskiego życia, ale miał nieprzyjemne wrażenie, że Wielki Mistrz Finitan nie był w stosunku do niego całkowicie uczciwy, kiedy informował go o życiu w Makkathranie.

Harlan, śledczy drugiego poziomu, stał w otwartych drzwiach skarbcza i patrzył na panujący wewnątrz chaos. Wszystko - ściany, podłogi, sufit, trupy - pokrywał gruby kożuch szaroniebieskich, cienkich jak pajęczyna włókien. Tak jakby przez noc milion pajaków przedło tu wspólnie swoje sieci. Cienkie nici były w istocie półorganicznymi włóknami; przez przeszło trzy godziny neutralizowały paraliżującą truciznę wyciekającą ze zużytych pocisków kinetycznych oraz tłumily sporadyczne przypiływy energii pochodzące z amunicji pozostałej po strzelaninie. Harlan nieco się zdziwił, że Klinika św. Marii wykorzystuje środki paraliżujące. Z drugiej jednak strony ważne osoby chcą mieć gwarancję, że ich magazyny pamięci są naprawdę bezpieczne. Oznajmił kierownikowi kliniki, że w południe sprawdzi, czy mają pozwolenie na użycie toksyn. Wystarczająco dużo czasu na wykonanie kilku telefonów na najwyższym szczeblu i sprokurowanie właściwych pozwoleń. Taka elastyczna interpretacja procedur zapewniła Harlanowi dwa ostatnie awanse. Uznał, że i tak światem rządzą duzi chłopcy, więc dokuczając im niewiele zyska. I z powodu takiej postawy komisarz policji wyznaczył do tego zadania właśnie jego. I natychmiast, gdy Harlan dostał przydział, zadzwonił do niego zastępca burmistrza i wyjaśnił mu niektóre aspekty polityczne całej sprawy. A głównym był fakt, że kompletne zniszczenie pół miliona komórek pamięci należących do najbogatszych i najbardziej wpływowych obywateli państwa, tak naprawdę nie zaistniało. Jeśli nastąpiła krótkotrwała usterka w dostępie do danych z jednostek pamięci, spowodowana niefortunną awarią generatora mocy kliniki, było to godne pożałowania, ale nie stanowiło powodu do niepokoju i nie zasługiwało na nadmierne zainteresowanie mediów. Reporterzy mogą opisywać szkody w obszarze leśnym, ale nie można ich wpuszczać ani do budynku

administracyjnego, ani do jego podziemi.

U-adiunkt Harlana zakończył analizę pajęczyny i zameldował, że właśnie nastąpiła całkowita dekontaminacja.

- W porządku - powiedział Harlan do ośmiu potężnych członków zespołu śledczego, którzy stali za nim w korytarzu. - Chcę dostać całkowitą analizę miejsca przestępstwa, aż do poziomu molekularnego. Nie ma ograniczeń budżetowych. Ta sprawa znacznie przekracza pilnością nasze zwykłe priorytety. Col i Agelo, zrekonstruuje dla mnie przebieg wydarzeń. Darval, zobacz, czy możesz się dowiedzieć jak nazywała się komórka pamięci, na którą polował ten sukinsyn Telfer.

Darval zerknął ponad ramieniem Harlana. Projektor oświetlenia awaryjnego zamontowany w progu wywoływał w całym podziemiu srebrno-niebieską poświatę i cienie. Sprawiało to, że pajęczyna połyskiwała łagodnie i przypominała pofalowane jezioro, zalane światłem księżyca. Fale pokrywały pół miliona skrępyłych jednostek pamięci.

- Jak, na miłość Ozziego, mam to zrobić, szefie?

Harlan obdarzył go nieprzyjemnym uśmiechem.

- Jednego powinno brakować. Więc musisz tylko zebrać fragmenty tych, które tu pozostały, i powiedzieć mi, którą zabrano.

- Kurestwo.

- Słuszna uwaga. Plan B: przejrzyj nazwiska w rejestrze i przydziel im prawdopodobieństwo, że ktoś chciałby ukraść ich pamięć. Zaczynij od polityków, przestępców i finansistów. Darval niechętnie skinął głową. - Cały czas miejcie włączone pola siłowe - nakazał Harlan. - Tu nadal leży trochę brzydkiej amunicji i nie chcę ryzykować.

Zespół śledczy ostrożnie wszedł do skarbcza. Razem z nimi wbiegły badacze, boty przypominające ołowiane karaluchy - na czarnych nogach, z elektromięśniami, najeżone czujnikowymi mackami. Przepychały się przez pajęczynę i macały powierzchnię pod spodem. Wypuszczono przeszło dwa tysiące takich robotów. Rozlażyły się po podłodze i ścianach, by zbudować wszechstronny molekularny obraz skarbcza.

Harlan przeczekał krzątanię drobnych botów wokół trupa Viertz Acu, a potem obejrzał go dokładnie. Owinięte w kokon ciało kobiety znajdowało się w pozycji klęczącej, plecy zginały się do przodu, niczym do modlitwy. Szczyt jej czaszki znaleźli na górze, kiedy czekali, aż pajęczyna zakończy procedurę dekontaminacyjną. Harlan wiedział, co z tego wynika - sprawa z każdego punktu widzenia wyglądała coraz gorzej.

W egzowizji nałożył wyniki badaczy na obnażony mózg trupa, co pokazało mu cienkie wypalone linie. Zastosowano mnóstwo energii - rozpoznawał sposób jej wykorzystania. Użył modułu głębokiego skanowania i zbadał głębokość penetracji promienia. Komórka pamięci kobiety została zniszczona.

- Mam nadzieję, że ostatnio zrobiła sobie kopię zapasową - rzekł cicho.

- Co pan o tym sądzi, szefie? - spytał Angelo. Stał przed klatką egzotycznej materii.

- Przypuszczam, że to dobry pomysł. Nie widziałem wcześniej czegoś takiego. Telfer najwidoczniej nie wiedział, że tu są.

- Rzeczywiście, wielka korzyść dla kliniki. Ci strażnicy raczej go nie spowolnili, prawda?

- Nie. Jego modyfikacje wzbogacające nie mieszczą się w żadnej skali. Harlan znowu wywołał akta sprawy głównej. W jego egzoobrazowaniu pojawił się Telfer. Zdjęcie zrobiono w głównym obszarze recepcyjnym. Sugerowało ono orientalne pochodzenie mężczyzny, ale nie pasowały do tego szare oczy. Wiek zamrożony w okolicach trzydziestki, co nie było niezwykle, na twarzy cień gęstego zarostu. Wizerunek nie wyróżniał się niczym charakterystycznym. Harlan wiedział, że to w wyniku rozmyślnego działania. Chociaż w obecnej epoce rysy twarzy niewiele znaczyły. Teraz nawet identyfikacja DNA niczego nie dowodziła - a mieli dosyć próbek ze śladów krwi na dachu. Obraz pokazywał Telfera, jak z uśmiechem wita się z piękną młodą pracowniczką kliniki. Jeśli chodzi o jego współniczkę, to zupełnie inna sprawa, z pewnością nie można było powiedzieć, że jest przeciętna: prawdziwa piękność z piegowatą twarzą i gęstymi, ciemnorudymi włosami. Ma również fajny nos, pomyślał z

podziwem. Ludzie będą pamiętali tę twarz.

Wszystko, co łączyło się z ich przybyciem wyglądało zupełnie normalnie, aż do chwili, kiedy w sieci bezpieczeństwa kliniki pojawiły się usterki i Telfer zniknął spod biernego nadzoru smartcoru. Napad był przeprowadzony wyjątkowo profesjonalnie. Z wyjątkiem wyjścia. Kobieta wyglądała niemal na zaskoczoną, jakby improwizowała.

A to nie miało sensu.

- Szefie - wywołał go Darval.

- Taa.

- Rejestr został znakowany.

Harlan podszedł do miejsca, gdzie Darval stał schylony nad postumentem rejestru. Kilka badaczy pełzło po pajęczynowatym płaszczu postumentu, poszturchując go swymi mackami.

- Czy nastąpiło fizyczne... - zaczął pytać. Nie dokończył zdania.

Do skarbcza weszła jakaś kobieta. Harlan rzucił jej zaskoczone spojrzenie i chciał zapytać kim jest - podejrzewał, że to kolejny członek personelu burmistrza, ponieważ bez jego pozwolenia nikt inny nie mógł się przedostać przez kordon policji. Potem obraz jej twarzy dotarł do niego i Harlan nie musiał już o nic pytać, wiedział wszystko o tej żyjącej legendzie; w organach nadzorujących przestrzeganie prawa wszyscy to wiedzieli.

- Słodki Ozzie - powiedział cicho i nieprzyjemna sprawa stała się dla niego koszmarem.

Kobieta była niższa od większości obywateli dzisiejszej Wspólnoty, ale emanowała pewnością siebie, która znacznie przewyższała przeciętną. Harlan spotykał w swoim czasie wystarczająco wielu Elewatów, by rozpoznać ich nieco zbyt pełną samozadowolenia wiarę w siebie; kobieta znacznie przewyższała ich poziomem, a jej spokój można było określić jako lodowaty. Miała uroczą twarz, kombinację rysów dawnego ziemskiego Filipińczyka i Europejczyka, obramowaną przez gęste, proste, kruczoczarne włosy. Piękność, którą można było jedynie określić jako staromodną. Co było właściwe, jeśli się weźmie pod uwagę, że nie zmieniła ona swojego wyglądu ani razu w ciągu ostatnich czterestu stuleci.

Cały zespół śledczy zapadł w pełne czci milczenie i gapił się na kobietę.

Harlan wystąpił naprzód, mając nadzieję, że nie okazuje zdenerwowania. Kobieta miała na sobie konserwatywny, kremowy togatur, na figurze, której ledwie dorównywały te stworzone przez specjalistów ze św. Marii. Kiedy próbował ją przeskanować przy wykorzystaniu najsubtelniejszych sond, które mogły wytworzyć jego modyfikacje wzbogacające, wszystkie jego sondy zostały subtelnie oszukane. Wydawało się, że nic przed nim nie ma. Jedyne empiryczne dowodu na jej istnienie dostarczał wzrok.

- Proszę pani, jestem śledczy Harlan, zajmuję się tą sprawą. Ja... eee, to znaczy bardzo nam pochlebia pani obecność tutaj.

- Dziękuję - odparła Paula Myo.

- Czy mogę zapytać, co panią zainteresowało?

- Mnie osobiście nic; Jestem tylko przedstawicielką ZAN:Władz.

- W tym wszechświecie - szepnął Darval do Angelo.

Paula uśmiechnęła się do niego słodko.

- Stare dowcipy są najlepsze.

Darval zrobił minę, jakby było mu niedobrze.

- Jasne - powiedział Harlan. - Więc co interesuje ZAN:Władze?

- Pan Telfer.

- Czy to Elewat?

- A jak się panu wydaje?

- Jego biononika bojowa jest bardziej zaawansowana od tych, które widzieliśmy na Anagasce. Strażnicy skarbcza zostali zatrudnieni tylko ze względu na swoje modyfikacje, a on zabił ich obu w ciągu niecałej minuty. Tak więc, jeśli nie jest Elewatem, to ma dostęp do najlepszych rzeczy, jakie mogą zaoferować Świąty Centralne.

- Bardzo dobrze - pochwaliła go Paula. - Więc?

- Prawdopodobnie pracuje dla jednej z waszych Frakcji.

- Doskonałe rozumowanie, śledczy. Właśnie jestem tu po to, by sprawdzić, czy ten wniosek jest słuszny. Teraz, proszę, chciałabym mieć bezpośredni dostęp do wszystkich wyników waszego śledztwa.

- Ee... oczywiście dopilnuję, żeby dostała pani kopie.

- Pański rząd planetarny zapewnił ZAN:Władzom pełną współpracę w tej sprawie. Jestem pewna, że docenia pan wchodzące tu w grę względy polityczne. Proszę, niech pan się nie krępuje i potwierdzi to u swego komisarza, a nawet burmistrza; ale nie chodzi mi o kopie. Proszę o pierwszy i nieograniczony dostęp do nieobrobionych danych, dziękuję.

Halraan wiedział, kiedy bitwa jest przegrana.

- Tak, proszę pani. Pierwszy dostęp. Zaraz to zorganizuję.

- Dziękuję. A teraz, kto analizuje rejestr?

- Ja - odpowiedział ze skrępowaniem Darval.

- Kogo, według pana, szukał Telfer?

Darval spojrzął na Harlana, który nieznacznie skinął głową.

- To w gruncie rzeczy łatwe. Jeden z chronionych depozytów należał do Iniga.

- Ach. - Paula uśmiechnęła się. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. - Kiedy była ostatnia aktualizacja?

- W roku 3320.

- W roku, w którym wyjechał na swoją misję na Stację Centurion

- powiedziała. - I nie powrócił na Anagaskę aż do roku 3415, prawda?

- Tak. Centralną Świątynię Żywego Snu na Anagascie zbudowano w Kuhmo; był tutaj, żeby ją poświęcić.

- Ciekawe - zadumała się Paula.

- Myśli pani, że ktoś ma zamiar go sklonować?

- Z jakiego innego powodu miałby kraść jego umysł? - zapytała Paula. - Dziękuję za współpracę, śledczy. I nadal chciałabym oglądać te wyniki, w miarę, jak napływają.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia ze skarbcza.

- To wszystko? - zapytał Harlan.

Paula zatrzymała się, przechyliła głowę i spojrzała spokojnie na śledczego.

- Chyba, że ma pan coś więcej do dodania.

- A co z Telferem?

- Powodzenia w tropieniu go.

- Czy pomoże nam pani?

- Nie umieszczę wam na drodze żadnych przeszkód, ani politycznych, ani innych.

Wyszła ze skarbcza, pozostawiając Harlana patrzącego na swój zespół z dezorientacją i oburzeniem.

Paula wyszła z budynku administracyjnego i spojrzała na las. Podmuchy powietrza spowodowały powierzchowne szkody, większość budynków kliniki nie ucierpiała i mimo że większe drzewa zostały przewrócone, nadal było wystarczająco wiele młodych drzew, by utrzymać las, kiedy usunie się martwe pnie. Kordon policji rozciągał się na kilkaset metrów, patrolboty uzupełniono funkcjonariuszami. Personel obsługujący tereny kliniki nadal współpracował z wykonawcami i leśnymi botami i usuwał najgorsze zniszczenia. Niewielkie pasma dymu unosiły się w górę z poczerniałego gruntu, na którym pożar, zanim go ugaszono, płonął przez całą noc.

Nie zatrzymała się, gdy skanowała okolicę polami osobistymi, ale jej u-adiunkt zaznaczył na czerwono dwóch robotników budowlanych. Obydwaj byli osłonięci z wykorzystaniem złożonych technik odchylających, dostępnych jedynie dla bioniki wysokiego poziomu. Oczywiście jej techniki miały jeszcze wyższy poziom. Obaj robotnicy trzymali się w pewnej odległości od kordonu, ale jej oczy zdołały przybliżyć i uchwycić ich rysy twarzy. W mniej niż sekundę jej u-adiunkt przyporządkował te rysy konkretnym osobom. Kiedyś, około tysiąc lat temu, Paula natychmiast stanęłaby z nimi twarzą w twarz. Teraz tak nie robiła. Lubiła myśleć, że złągodniała. W rzeczywistości korzystniej było dla całej sprawy, by sądzili, że ich nie rozpoznała.

Paula urodziła się na Azylu Huxleya, jedynym świecie założonym przez Fundację Ludzkiej Struktury, która zmodyfikowała genetycznie każdego obywatela, by pasował do prostej struktury społecznej działającej w ramach cywilizacji mało rozwiniętej technicznie. Ku zgrozie i przerażeniu pozostałej części Wspólnoty, system, który wszyscy potępiali jako

niewolnictwo genetyczne, tak naprawdę zadziałał, i wytworzył ludność w większości szczęśliwą ze swego z góry ustalonego losu. Garstka malkontentów była utrzymywana w ryzach przez funkcjonariuszy policji, którzy zostali specyficznym wyprofilowani psychoneuralnie. Wśród wielu innych cech wpisano im wariant zaburzenia obsesyjno-maniakalnego, który zapewniał, że nigdy nie zaprzestaną pościgu. Fundacja stworzyła Paulę na takiego funkcjonariusza, ale dziecko wykradła z izby porodowej grupa radykalnych liberałów, która postanowiła wyzwolić biednych niewolników. Paula dorastała na swobodzie we Wspólnocie, potem została śledczym w Wydziale Poważnych Przestępstw, a następnie przez ostatnie siedemset lat pracowała jako agent ZAN: Władz.

Azyl Huxleya nadal istniał, jego społeczeństwo żyło spokojnie i poruszało się po swych utartych ścieżkach, nie zmieniając się ani nie ewoluując. Większa Wspólnota miała z nimi obecnie bardzo ograniczony kontakt; sama Paula nie wracała tam przez przeszło trzysta lat i jej powroty były zasadniczo nostalgiczną turystyką. Nie było potrzeby nadzorowania planety. ZAN:Władze były bardzo opiekuńcze w stosunku do kultur nieelewatoryjnych. To ironia, ale taka strategia dawała Pauli bardzo mało okazji, by tam wracać; wyznaczone jej zadanie - zapobieganie próbom nielegalnego mieszania się Frakcjom ZAN w sprawy Światów Zewnętrznych, zajmowało jej niewiarygodnie wiele czasu.

Jej u-adiunkt ustanowił ultra-bezpieczne połączenie do Justine Burnelli.

- Jestem w klinice na Anagasce - powiedziała.
- I co?
- Miałyśmy słusność. Napad zorganizowała Frakcja.
- Są jakieś wskazówki, która?
- Cóż, Marius i Dostawca włączą się na zewnątrz, co sugeruje, że są równie zainteresowani jak my.
- Czyli, to nie ich sprawka.
- Nie bądź taka pewna. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Progresywiści i Konserwatyści byli równie bezczelni. Najprawdopodobniej to któraś z nich, a druga chce ich

zdemaskować, lub przeciwstawić się ich działaniom. Wiesz, jacy są.

- O czyją komórkę pamięci im chodziło?

- A to już interesujące: o Iniga.

- Och, rzeczywiście? - zdziwiła się Justine. - Jestem zaskoczona, że Inigo aż tak się odsonił.

- Ściśle mówiąc, Inigo sprzed Żyjącego Snu. To stary magazyn.

- Komu się to może przydać?

- Nie jestem pewna. Konserwatyści skorzystają, jeśli powróci i zatrzyma projekt Pielgrzymki Kleryka Konserwatora. Ale nie można przewidzieć, czy to zrobi. Może po prostu przyklasnąć i przyłączyć się do Pielgrzymki.

- Jeżeli jedna z tych Frakcji go sklonuje, będą mieli do dyspozycji mesjasza-kukiełkę. Użyteczna rzecz do forsowania swego programu.

- Jeśli nie liczyć tego, że to nie będzie pełny klon - zauważyła Paula. - Tylko wczesna wersja.

- Mam teorię, która może pasować.

- Wal.

- Wczesna wersja pełnego klona prawdopodobnie będzie zdolna odbierać sny z pustki dokładnie jak oryginał, co da osobom, które go kontrolują znaczną przewagę nad przeciwnikami.

- Masz na myśli, że przypuszczalnie zdołają osiągnąć Ostatniego Snu?

- Bardziej prawdopodobne, że nowych Snów Władcy Niebios. Ethan nadal nie znalazł Drugiego Śniącego, mimo ogromnych wysiłków. Czy wiesz, że Żywy Sen modyfikuje wszystkie sponsorowane przez siebie gniazda konfluencyjne? A to około osiemdziesięciu procent gniazd w Wielkiej Wspólnocie. Są zdesperowani; napływa coraz więcej nowych snów. To już nie fragmenty. Do gajASFery przesiakają całe sekwencje.

- Nie sądzę, by za napadem stał Żywy Sen.

- Oni odnieśliby ogromne korzyści - odparła Justine.

- Tak, ale mój u-adiunkt zidentyfikował kobietę pomagającą panu Telferowi. To była Radca Żywego Snu, Corrie-Lyn. Teraz

persona non grata dla Żywego Snu, oskarżona o spowodowanie utraty kilku ciał na Ellezelyn. Listy gończe we Wspólnocie są całkiem obszerne. Wspominają one także o jej współniku, Aaronie, który ma identyczne rysy jak pan Telfer.

- A to ciekawe. Masz jakieś teorie na temat Aarona vel pana Telfera?

- Nie, ale po napadzie na klinikę ta para natychmiast przeniosła się na statek gwiazdny. I tylko jednego takiego statku brakuje w tej chwili na Anagasce: „Sprytnego Kombinatora”.

- Jakie są jego dane?

- Standardowy prywatny jacht, zarejestrowany na Sholapur.

- Och, teraz do czegoś dochodzimy. Sholapur: innymi słowy nie wiemy do kogo należy.

- Rzeczywiście. Prawdziwe dane są niedostępne. Wiemy jednak, że „Sprytny Kombinator” był na Ellezelinie aż do zamieszania w świątyni Riasi.

- Corrie-Lyn była kiedyś kochanką Iniga. Czy możliwe, że usycha z tęsknoty? Pełny klon mógłby być jednym ze sposobów, by go odzyskać.

- Nie. To pionek. Telfer ją wykorzystuje, by dobrać się do Iniga.

- W jaki sposób jakaś nieaktualna komórka pamięci miałaby pomóc w zbliżeniu się do niego? Wielu ludzi próbowało go znaleźć. Prawdopodobnie całkowicie opuścił Wspólnotę. Albo wyruszył, by samemu dotrzeć do pustki, albo odszedł i dołączył do Ozziego.

- Nie dołączył do Ozziego. Sprawdziłam to piętnaście lat temu.

- Zawsze zazdrościłam ci życia, jakie prowadzisz - oznajmiła Justine. - Wszystkie te niebezpieczeństwa i podróże, jest w nich coś upojnego dla wychowanej pod kloszem bogatej dziewczynki takiej jak ja. Co słysząc u Ozziego?

- Tak jak u mnie, zasadniczo bez zmian.

- Jak ci się wydaje, dla kogo pracuje ten typ Aaron?

- Jak wspominałaś, istnieje mnóstwo Frakcji i organizacji, które odniosłyby korzyść ze znalezienia Iniga. Ten napad po prostu mówi nam, jak pilne staje się to poszukiwanie. Do tej pory nikt nie był na tyle nierozważny, żeby pokazać karty.

- Więc co teraz zrobisz?

- Ten napad jest tylko jednym z aspektów znacznie większego ciągu politycznych wydarzeń. Myślę, że trzeba koniecznie znaleźć Drugiego Śniącego, zanim zrobi to Żyjący Sen. Od tej osoby najwidoczniej zależą wyniki Drugiej Pielgrzymki.

- No, no, nadal masz wielkie plany.

- Zawsze uważałam, że rozwiązywanie danej sprawy to proces całościowy. To jedno z niewielu przekonań, którym pozostałam wierna w ostatnim tysiącleciu.

- A co z Aaronem i Corrie-Lyn?

- Tym aspektem sprawy zajmę się w widoczny sposób. Śledczemu Harlanowi zidentyfikowanie Corrie-Lyn nie zajmie wiele czasu i sprawa stanie się głośna. Jeśli zacznę wypytywać o Drugiego Śniącego, zbytnio zainteresuje to frakcje.

- Czy chcesz, żebym zaczęła szukać Drugiego Śniącego?

- Nie. Jesteś dla frakcji bardzo widoczna. Prawie tak jak ja. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli będziesz miała na oku Dostawcę i Mariusa.

- Zrobię tak. Kto w takim razie będzie tropił Drugiego Śniącego?

Paula uśmiechnęła się szeroko, wiedząc, że agenci Frakcji, zamaskowani w lesie, skupią się na tym uśmiechu i będą się nad nim zastanawiać.

- Oczywiście osoba, którą wszyscy będą najmniej podejrzewać.

Stan rur dostarczających usługi komunalne w trzecim mieszkaniu był o wiele gorszy niż oczekiwała Araminta. Rano spędziła trzy niezaplanowane godziny, śledząc ich przebieg w ścianach i w podłodze, oraz nadzorując boty, wyrrywające skorodowane rury. To wszystko spowodowało mnóstwo bałaganu, co oznaczało więcej sprzątanania, a to z kolei oznaczało więcej czasu na przygotowanie ściennych ram na nowe zamocowania i znowu przesunęło czas zakończenia robót.

Jej u-adiunkt zawiadomił że wybiła godzina jedenasta, co ledwo dało jej czas na sporowy prysznic w czwartym mieszkaniu, które zajmowała. Przed nadejściem klientów wystarczyło czasu na

zaaplikowanie sobie nieco odświeżacza i włożenie eleganckich spodni i żakietu. Wonny sprej, który zwilżył jej skórę nieoczekiwanie przywołał wspomnienie dnia, w którym się dowiedziała, że Laril opuścił Viotię i zaczęła często korzystać z higieników. Wszystkie te wspomnienia wzbudziły w niej poczucie winy, bo od wieków nie pokazała się u Nika.

Machnęła ręką na te głupie sentymenty i wyszła do westybulu. Winda przywiozła jej z holu na dole nowych klientów. Danal i Mareble byli dziwnie ubrani. Ona w długiej spódnicy z imbirowej bawełny z szerokim ścięciem i w zamszowej kamizelce z mosiężnymi guzikami założonej na zwykłą białą bluzkę. Pod wirującym obrąbkiem widoczne były mocne brązowe buty. Jej gęste kruczoczarne włosy były zaczesane do tyłu, ich fale przewiązано prostymi elastycznymi wstążkami. Mężczyzna miał na sobie skórzane spodnie oraz podobne buty. Żółtą marynarkę niemal całkowicie zakrywał brązowy płaszcz zrobiony z jakiejś impregnowanej tkaniny. Kiedy drzwi windy otworzyły się, Araminta nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Mimo historycznych strojów, mieli w sobie jakiś entuzjazm - młodzieńcze uśmiechy, pełne ekscytacji spojrzenia, sposób, w jaki cały czas trzymali się za ręce.

- Witajcie - powiedziała Araminta. Drzwi do apartamentu pokazowego otworzyły się na oścież.

W mieszkaniu każdy pokój ozdobiła prostym dwutonowym układem kolorów i ustawiła jak najmniej mebli. Podłogę salonu na planie otwartym stanowił drogi parkiet z hebanu. Artystycznie ustawione stoły, krzesła i kanapy były utrzymane w stylu Herfala z ostrymi krzywymi i metalowo-morowymi nogami. Taka moda panowała trzysta lat temu. Drzwi na balkon były otwarte, a na zewnątrz panował ciepły jasny dzień. Widok na park potęgował wrażenie.

Kiedy weszli, Mareble głośno zaczerpnęła tchu.

- To bajeczne - wykrzyknęła. - Dokładnie to, czego szukaliśmy. Danal zakrztusił się.

- Proszę wybaczyć mojej żonie, ona najwidoczniej nie wierzy w zasadę ukrywania kart przed negocjacjami.

- Ja zrobiłam to samo przy poprzednim sprzedawcy - przyznała się Araminta. - Człowiek bardzo szybko staje się miłośnikiem tych mieszkań. W gruncie rzeczy zastanawiam się nad zatrzymaniem jednego dla siebie.

Mareble stała przed drzwiami balkonu.

- Czy mieszkanie, które zamierzamy kupić będzie miało ten sam widok? - Apartament trzy mieści się na rogu - Araminta wskazała gestem wzdłuż balkonu. - Ma pani widok na park jak również perspektywę na zachodnią część miasta. Widać nawet most wiszący.

- Jak ślicznie.

- Czy możemy to zobaczyć? - spytał Danal.

- Jeszcze nie teraz. Przepisy miejskie dotyczące zdrowia i bezpieczeństwa nie pozwalają mi zabierać ludzi do miejsca uznanego za teren budowy. - I jest tam kompletny bałagan, co mogłoby was odstraszyć.

- Teren budowy? Czy są problemy z konstrukcją budynku?

- Absolutnie żadnych. Konstrukcja budynku jest bez zarzutu. Plik z niezależnie wykonanym głębokim skanowaniem jest zarejestrowany w Ratuszu, jeśli chcecie to sprawdzić. Ja tylko odnawiam i przemodelowuję. Niestety, miasto uważa to za budowę, ponieważ zmieniam instalację elektryczną i system dostarczania usług komunalnych. To po prostu więcej papierkowej roboty, i tyle.

Danal westchnął ze współczuciem.

- To przypomina Ellezelin. Droga pani, Chodzący po Wodzie nigdy nie musiał składać próśb w Sądowym Pałacu, jeśli chciał załatwić jakąś sprawę. Ale spróbuj to powiedzieć naszemu rządowi.

- Ależ kochanie. - Mareble ścisnęła mu dłoń. - On bardzo nie lubi biurokratów - wyjaśniła.

- Wszyscy ich nie lubimy - zapewniła ją Araminta.

- Dzięki - odrzekł Danal.

- Więc przeprowadzacie się tutaj z Ellezelinu?

- O tak! - odpowiedzieli chórem uszczęśliwieni.

- Jestem technikiem gniazd konfluencyjnych - wyjaśnił Danal. -

Właśnie teraz jest bardzo dużo pracy z aktualizacją całej gajafery. Jest to ważne zwłaszcza na Viotii.

- Czemuż to? - spytała Araminta.

- Mieszka tu Drugi Śniący - wyjaśniła Mareble. - Jesteśmy tego pewni. Ostatnie sny były znacznie żywsze niż te pierwsze fragmenty. Nie wydaje ci się?

- Nie mam gajafejsów - powiedziała Araminta, starając się mówić lekko, jakby to była drobna usterka sprzętu gospodarstwa domowego, którą ma zamiar za chwilę usunąć.

Modliła się, żeby nie sprawiło to żadnego problemu w interesach. Potrzebowała ich depozytu na trzeci apartament; mieszkania nie były tak łatwe do sprzedania jak się jej wydawało, a jej dostawcy żądali zapłaty.

Zarówno Mareble jak i Danal jednocześnie przybrali takie same współczujące miny, jakby było im przykro z jej powodu. To natychmiast przypomniało jej pana Boveya.

- Gajasfera to coś, bez czego nie mogłabym się obejść - powiedziała cicho Mareble. - Ja zawsze czuję Danala, bez względu na to, gdzie jesteśmy, nawet, kiedy dzielą nas planety. Ten rodzaj łączności emocjonalnej satysfakcjonuje i pokrzepia.

- I oczywiście znamy Sny Inigo. Gruntownie - dodał Danal. Uśmiechnął się, ze spokojnym poczuciem szczęścia, które osiągnąć może jedynie prawdziwy wierny.

Araminta próbowała skopiować tę radosną minę.

- Nie wiedziałam, że możecie rozpoznać, skąd pochodzi sen - powiedziała, mając nadzieję, że odwróci to ich uwagę od jej tragicznego defektu. Nie ma większej radości dla wyznawcy dowolnej sekty czy ideologii, niż uczynienie dobrodziejstw swej wiary oczywistymi dla osób z zewnątrz.

- Tak właśnie jest z gajasferą - wyjaśniła poważnie Mareble. - Nie jest taka jasna ani precyzyjna jak unisfera. Ludzkie myśli nie są cyfrowe, to emocje. Czułam je w czasie ostatnich kilku snów Władcy Niebios; były tuż przy mnie. Teraz, gdy sny odtwarzają gniazda, straciły tę cechę, nie żeby nadal nie były cudowne. Wszyscy mamy nadzieję, że doświadczymy Władcę Niebios lecącego do Makkathranu, by zabrać duszę Chodzącego po

Wodzie. Po wszystkim co uczynił dla ludu Querencii i dla nas, zasługuje on na odpoczynek w Morzu Odyne.

Coś z wizji Mareble spowodowało, że Araminta zawahała się, jak gdyby łączyło się to z jakimś dawnym wspomnieniem. A to przecież niemożliwe.

- Rozumiem - powiedziała Araminta. Jej znajomość całej epopei Wodostąpacza była w najlepszym wypadku ogólnikowa, z pewnością jednak nic znała żadnych szczegółów. - Dlatego właśnie chcecie tu mieszkać?

Mareble ochoczo potaknęła.

- Jestem przekonana, że Drugi Śniący jest tutaj. Pewnego dnia się objawi i Pielgrzymka będzie mogła się rozpocząć.

- Dołączycie do niej?

Uśmiechnęli się do siebie i znowu złapali się za ręce.

- Taką mamy nadzieję.

- Cóż, ryzykuję, że jestem ignorantką, ale sadzę, że nie znajdziecie lepszego miejsca do czekania niż to.

- Chyba możemy rozważyć tę ofertę - powiedział Danal. - Ogromna liczba naszych bliźnich szuka na Viotii własnego lokum. Mieszkanie w hotelu jest przyjemne, ale będziemy szczęśliwi wprowadzając się do prawdziwego domu.

- To mogę w pełni docenić.

- Jesteśmy przygotowani, by zaoferować pani pełną cenę mieszkania, ale potrzebna nam gwarancja, że apartament będzie skończony na czas.

- Mogę dołączyć mój certyfikat do tego pliku, owszem.

- Wirtualny model, który obejrzelśmy jest miły, ale...

- Chcę poczynić pewne zmiany - powiedziała szybko Mareble. - Technika musi być wyciszona, a wystrój powinien być bardziej naturalistyczny.

- Naturalistyczny?

- Mniej produktów wytworzonych, więcej drewna. Tak jak na Querencii. Nie mamy nic przeciwko technice, korzystamy z niej cały czas, ale nie powinna być podkreślana. Na przykład, czy może pani zainstalować w kuchni właściwą kuchenkę. Taką z piecem i płytą grzewczą?

- Sprawdzę przepisy miejskie i dam państwu odpowiedź.

- Więc możesz mi dostarczyć właściwą kuchenkę? - spytała pana Boveya wieczorem przy kolacji.

Była w jego domu, siedziała przy stoliku na balkonie. W pobliskim parowie płynęła rzeka Cairns - strzyżona trawa ustępowała tam kudłatym trzinom i długim kępom drzew coranu krętego, które zanurzały w wodę chromowobłękitne, pierzaste liście. Jasne światła budynków na drugim brzegu połyskiwały na gładkiej czarnej powierzchni rzeki. Tworzyło to miły, odprężający nastrój, z wybornym posiłkiem, przygotowanym przez kilku Boveyów i trzema kolejnymi siedzącymi z nią przy stole. Miłe zakończenie irytującego dnia.

- W gruncie rzeczy, owszem - powiedział przystojny blondyn.

- Mówisz to z taką pewnością.

- Bo w ciągu ostatnich dziesięciu dni dostarczyłem już takie trzy - wyjaśnił niższy mężczyzna z ciemną cerą. - Fanatycy Żywego Snu lubią prymitywne wygody. Wolą również kąpiele wodne od sporowych pryszniców.

- Ozzie drogi, moja kuzynka miała rację, oni opanowują planetę. Powinnam podnieść cenę na ostatnie dwa apartamenty.

- Nie chciałbym psuć wieczoru, ale naprawdę mnie niepokoi ta perspektywa. Głównie dlatego, że tak gwałtownie staje się faktem. Teraz jest ich tutaj mnóstwo, miliony.

- Pomyślałabym, że popyt na kwatery przyniesie taką samą korzyść tobie jak mnie, a nawet większą.

- Finansowo, owszem - powiedział blondyn, podnosząc kebab przyprawiony torkalem, marynowanym w czerwonym miodzie. - Ale wieloludzie nie pasują do etosu Żywego Snu. - Ugryzł mięso i zaczął je żuć. - W Makkathranie nie istnieliśmy - wyjaśnił ten o orientalnej urodzie.

- Z pewnością nie występują przeciwko twemu stylowi życia. - Wspomniała z niechęcią, jak Mareble i Danal oddani byli swej ideologii i kompletnie zamknięci na prawie wszystko, co się z nią nie wiązało. Nie byli wrodzy, po prostu pewnych rzeczy nie

akceptowali.

- Och, nigdy aktywnie, nie. Boże uchwaj. Ich ukochany Wodostapacz chciał, by wszyscy mieszkali razem i by w ich relacjach nie było konfliktów. Ale powiedz mi, jak twoi klienci zareagowali, kiedy dowiedzieli się, że nie dzielisz z nimi chwały, która istnieje jedynie w gajasferze?

- Z zaskoczeniem - przyznała. - Potem sądziłam, że chcą mnie nawrócić.

- Założę się, że chcieli.

- To nie potrwa długo - zapewniła. - Gdy zacznie się Pielgrzymka, wszyscy popędzą tłumnie, by do niej dołączyć. Moja para mi to powiedziała. Oni są tutaj jedynie dlatego, że wydaje im się, że właśnie tu ukrywa się Drugi Śniący.

- Co jest równie niepokojące.

- Dlaczego? - spytała dolewając sobie trochę wspaniałego różowego wina.

- Jeśli jesteś następnym wybranym, czemu się chowasz? I co więcej, czemu wypuszczasz sny, które zawiadamiają każdego, że istniejesz i się ukrywasz?

- W ogóle nie rozumiem Żywego Snu. Ta cała ideologia wydaje mi się głupia.

- Słowo którego ci brakuje to „niebezpieczna” - powiedział niższy mężczyzna. - Zbyt wiele obietnic niemożliwych do spełnienia. Zbyt wielu osób, które w nie wierzą. To zła kombinacja.

- Jesteś starym cynikiem.

Wszyscy trzej podnieśli kieliszki z winem.

- Winny, ale dumny.

- Macie gajafejsy. Czy te drugie sny są realne?

- Czy sen jest realny? - Troje ust wyszczerzyło się w uśmiechu. - Sny istnieją. Wszystko sprowadza się do perspektywy osobistej. Jeśli chcesz im wierzyć, wtedy Drugi Śniący gdzieś tam jest i otrzymuje sny od Władcy Niebios, z wnętrza Pustki. Jeśli nie...

- Nie wiem w co wierzyć. Prawie mnie kusi, żeby pobrać gajafejsy i się dowiedzieć.

- Uwierz mi, nie warto - oznajmił blondyn. - Gajasfera to po

prostu kolejna przelotna moda zaanektowana przez bandę fanatyków.

- Czemu Ozzie ją wynalazł?

- Powiedział, że po to, by ludzie się lepiej rozumieli. Gdybyśmy mieli więcej empatii, bardziej miłowalibyśmy pokój. Miła teoria. Nie zauważyłem, żeby ostatnio gajasfera miała jakiś większy wpływ na ludzka naturę.

- Jednak bez niej byś nie istniał. A myślisz, że to ty jesteś przyszłością. Orientalny pan Bovey uśmiechnął się skromnie.

- To prawda. I też nie sądzę, żeby Ozzie nas przewidział.

- Istnieje mnóstwo rzeczy, o których nie wiemy, dopóki ich nie napotkamy. - Orientalny pan Bovey przytulił się do niej i wyjął kieliszek z jej dłoni.

Jego ciepło tuż przy niej bardzo jej się spodobało. Blondyn z drugiej strony pogłaskał ją po policzku i obrócił jej głowę do pocałunku.

Zamknęła oczy. Dłonie gładziły ją po plecach. Dłonie głaskały jej nogi. Pocałunek trwał i trwał.

- Chodź ze mną - polecił jeden z nich.

Pocałunek się skończył i zobaczyła wszystkich trzech uśmiechających się w ten szczególny sposób, łagodny i przebiegły. Nie dbali o to, by ukrywać swą niecierpliwość.

Trzech poprowadziło ją do ciepłej sypialni na piętrze, oświetlonej miłym oranżem o barwie płomienia świecy. Stała przy końcu łóżka, a oni rozbierali się przed nią, dokładnie tak, jak to lubiła, czyniąc ją ośrodkiem uwagi, ośrodkiem pożądania. Potem nadeszła jej kolej. Zdejmowała ubranie powoli, popisując się, spijając ich podziw, radując się ich aprobatą. Kiedy była naga, zaczęli badać jej ciało z robiącą wrażenie zażyłością.

- Tak. - Zadrżała wreszcie z rozkoszy, a oni ponieśli ją do łóżka.

Pędząc w kosmosie, stworzenie czuło jak zabłąkane molekuly całują jego szeroko rozstawione skrzydła próżniowe. Te rzadkie zderzenia wywoływały migotanie, które kapało z ich krawędzi spływu, zostawiając w pustej czeluści słabą fluorescencyjną

smugę kondensacyjną. Z przodu, na wspaniałym tle falującej turkusowej mgławicy, błyszcząca gwiazda, wytwarzając ciepłe ciśnienie fotonów, które, ach jak powoli, zaspakajał fizyczny głód stworzenia. Stworzenie obracało się swobodnie w bogatym świetlnym strumieniu i słuchało coraz mocniejszych myśli ze stałej planety, nadal oddalonej o lata świetlne.

Jedna myśl była wyjątkowo wyraźna. „Widzisz, musisz teraz odpocząć; gdybyś była wielociałowikiem, inne ciało mogłoby kontynuować. Ekstaza trwałaby całymi godzinami. Więcej ciał mogłoby robić to jednocześnie; wyobraź sobie przyjemność, której właśnie doświadczyłaś zdwojoną, powiększoną czterokrotnie, dziesięciokrotnie. Czy by ci się to nie podobało? Czy twoje życie nie byłoby o tyle lepsze, o tyle wspanialsze...?”. Myśl znikła w ogromie, kiedy wiatr słoneczny ochłodził się i ściemniał.

Kiedy Araminta się zbudziła, było przy niej tylko dwóch. Sprawdziła czas w egzowizji i jęknęła z przerażeniem. Już pięć po siódmej. A w trzecim apartamencie musiała jeszcze tyle zrobić. Boty powinny spędzić noc na usuwaniu starych kafelków w piątym apartamencie, ale jej u-adiunkt odkrył, że zatrzymały pracę o trzeciej nad ranem, bo napotkały problem, z którym ich semirozumne oprogramowanie nie mogło sobie poradzić. A przed południem powinni przybyć dwaj potencjalni nabywcy czwartego apartamentu.

- Wielki Ozzie - pożałowała się, gramoląc się z łóżka.

Nie ma czasu na prysznic. Złapała ubranie, które miała na sobie wieczorem podczas kolacji, i które naprawdę nie było jej codziennym ubiorem. Muszę przynieść torbę z jakimiś przyzwoitymi ubraniami na rano. Czy on będzie miał coś przeciwko temu?

Uciekła z sypialni nie budząc pana Boveya. Pobiegła po schodach przeczesując palcami pasma strasznie splątanych włosów. Zapach kawy i grzanek dochodził z wielkiej kuchni. Było to bardzo kuszące. Muszę brać mniej tych wzmacniających

aerozoli. Chociaż minuta spędzona nad kubkiem kawy nie narazi chyba całego dnia na ruinę?

Wsadziła głowę w łukowe drzwi i obdarzyła uśmiechem długie pomieszczenie salonu-kuchni, zaprojektowane na planie otwartym. Pięcioro Boveyów siedziało wokół baru śniadaniowego, a trzech innych rozsiadło się na wielkiej starej kanapie.

- Cześć... - Uśmiech na jej twarzy zbladł.

Na szóstym stołku przy barze śniadaniowym siedziała jakaś kobieta ubrana w wielki, puszysty szlafrok. Jeden z nich obejmował ją ramionami, czule masując dłońią podstawę jej karku. Kobieta podniosła wzrok znad kubka parującej kawy i zrobiła minę przyłapanego przestępcy.

- Och, cześć. Jestem Jossil. Chyba męczyła mnie połowa z tych, którzy w nocy nie byli z tobą. Jest dobrym seks partnerem, hmm... Dałam radę czterem. - Uśmiechnęła się dumnie do otaczających ją panów Boveyów.

Aramincie udało się powstrzymać swoją twarz przed zrobieniem czegoś małostkowego w rodzaju gniewnego spojrzenia, wyduęcia warg czy krzyku, oskarżającego go o to, że jest bezużyteczną kupą gówna.

- Tak jest - powiedziała ochryple. - Muszę iść. Spotykam się z ludźmi, których traktuję uczciwie.

Skierowała się do drzwi wyjściowych, tak szybko jak zdołała, nie przechodząc do biegu. Nawet zdołała wyjść na zewnątrz. Jej stara kapsuła robocza stała na zwirowanym placyku. Piętnaście metrów dalej.

- Poczekaj chwilkę. Obróciła się.

To było ciało, z którym odbyła pierwszą kolacyjną randkę. Zawsze wykorzystywał je do rozmowy z nią, gdy chodziło o coś poważnego. Najwidoczniej stosował psychotechniczny chwyt „wiek równa się mądrości”.

- Idźcie do diabła! - warknęła. - Wszyscy.

- Wiedziałaś, że będę spotykał się z innymi kobietami.

- Ja... - prychnęła z oburzeniem. - Nie! Tak naprawdę nie wiedziałam! Myślałam, że my...

Rozpaczliwie próbowała się przed nim nie rozplakać. Jaki byłby sens takiego zachowania przed kimś, kto znał ją tak dobrze? Nie chciała dać mu satysfakcji, nie chciała pokazać jak bardzo jest zakochana.

- Posłuchaj. - Stał przed nią, opanowanie się zajęło mu chwilę. - Jesteś śliczną, fantastyczną osobą. Od lat nie spotkałem nikogo, kto by mnie tak zauroczył. I myślę, że o tym wiesz.

- Cóż to jest...

- Dziwny sposób na okazywanie tego? Nie. To dotyczyłoby pojedynczej osoby, nie mnie.

- To śmieszne - krzyknęła.

- Może próbowałaś się przed tym ukryć, nie wiem. Przystosowanie się do wielokrotnego życia zajmuje czas. Nie jest to łatwe i jesteś zdenerwowana.

- Nie jestem zdenerwowana - oznajmiła wyniośle.

- Świetnie się z tobą bawiłem, za każdym razem, bez względu na to, gdzie byliśmy i co robiliśmy i to jest problemem. Pomyśl o czymś. Jesteś cudowną, zdrową dziewczyną z ogromnym apetytem seksualnym. Marzeniem każdego mężczyzny. I zawsze zdumiewa mnie, z iloma mnie idziesz do łóżka. Ale nawet ty nie zdołasz fizycznie zaspokoić trzydziestu ośmiu męskich ciał każdej nocy. Chodzimy ze sobą cały ten czas i nadal jest kilku mnie, których nie spotkałaś, nie mówiąc już o uprawianiu seksu. Podniecasz mnie i roznamiętniasz, ale za każdym razem, kiedy to robisz, większość mnie jest sfrustrowana.

- Ja... och. Naprawdę?

To było oczywiste, kiedy wyjaśnił całą rzecz w ten sposób. Ale miał rację, to rzeczywiście nie była sprawa, którą pragnęła przemyśleć.

- Mogę znieść tylko tyle, ile mogę. Jossil i inne pomagają zmniejszyć napięcie, które tworzysz.

Inne. Znowu coś, czego nie chciała rozpatrywać. To całe zwielokrotnienie okazywało się jedną gigantyczną komplikacją. Westchnęła i spojrzała na żwir wokół stóp.

- Przepraszam. Masz rację, nie rozważałam całej sprawy z tej strony. Było to dla mnie tak dobre, że założyłam, że jest tak samo

dobrze dla ciebie. Myślenie jednokrotnego, ha!

- Tak. - Położył dłoń na jej ramieniu. Pocieszyło ją to, że nadal był taki mądry i współczujący. - Ale mam nadzieję, naprawdę mam nadzieję, że jakoś nam się ułoży.

Jej spojrzenie wyrażało poczucie winy.

- Nie jestem pewna, czy mogę przyzwyczaić się do idei, że uprawiasz również seks z innymi. Czy... nie. Nie chcę tego wiedzieć.

Podniósł brew. Cierpliwie czekał. Araminta westchnęła.

- Czy zeszłej nocy uprawiałeś z nami seks jednocześnie?

- Tak.

W jej umyśle pojawiła się szczególnie złośliwa myśl.

- A ona mogła sobie poradzić jedynie z czterema?

- Obawiam się, że tak.

- Biedactwo. - Jej niewielki przebłysk humoru zaraz zgasł. - Nie wiem, co z tym robić. Nie jestem pewna, że sobie poradzę. Będzie potrzeba tylu kobiet. To nie jest podstawa długotrwałego związku.

- Posłuchaj, od początku mówiłem, że jesteś szczególna i im lepiej cię znam tym bardziej jestem przekonany, że nie chcę cię stracić.

- Więc co zrobisz? Wysterylizujesz swoją połowę? Naprawdę nie mogę... nie trzydziestu ośmiu.

Uśmiechnął się szeroko.

- Poznaję swoją Aramintę, rozpatrującą to wszystko nawet teraz. Ale jest inne wyjście, prawda?

- Co takiego?

Nie odpowiedział natychmiast. Zamiast tego dotknął dłonią jej policzka i odchylił jej głowę do tyłu, tak, że nie mogła już uniknąć patrzenia mu w oczy. W końcu, pokonana skinęła głową.

- Zdobędę dla siebie jakieś dodatkowe ciała - powiedziała cichym głosem.

- Nie mam zamiaru cię zastraszać. Nie mógłbym ci tego zrobić, to byłoby złe. Decyzja musi należeć jedynie do ciebie. Chcę tylko, byś o tym pomyślała. Z pierwszej ręki dowiedziałaś się o praktycznych korzyściach. A ostatniej nocy znowu

przypominałem ci o korzyściach seksualnych. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Powiedz: jeśli to zrobię, czy przestaniesz umawiać się z innymi kobietami? Czy będziemy tylko ja i ty?

- Tak, podkreślam to, tylko ty. Ty w moim sercu, ty w moim łóżku. Daję słowo. Chcę tego, Araminto, chcę tego tak bardzo. Szkoda, że nie masz gajafejsów, pokazałbym ci, na ile poważnie to mówię. Zamiast tego będziemy musieli zadowolić się rejestracją w ratuszu.

Na Ozziego! Propozycja małżeństwa i zmiany stylu życia w jednym. A jeszcze nie minęła siódma trzydzieści.

- Przepraszam, że musiałaś w ten sposób się na to natknąć.

- Nie twoja wina. Masz rację, powinnam była o tym pomyśleć. Więc będę dużą dziewczynką i pomyślę o tym teraz. Nie oczekuj natychmiastowej odpowiedzi. To znacznie więcej, niż przywykłam załatwiać w ciągu jednego dnia.

Oplótł ją rękami i mocno przytulił, jakby to właśnie on szukał otuchy.

- To sprawa wielkiej wagi, pamiętam o tym. Poświęć temu tyle czasu, ile ci potrzeba.

Od wielu godzin jechał wierzchem na gigantycznym koniu, jego młode nogi ledwie obejmowały siodło. W oddali wznosiły się prawdziwe góry, ich przykryte śniegiem szczyty dźgały wspaniałe, szafirowe niebo. Zostawiał je za sobą, odjeżdżając od lasu pokrywającego pogórze. Teraz pod kopytami jego konia rósł dziki veldt, bujna tropikalna roślinność poprzecinana strumieniami i rzeczkami. Drzewa z kilkunastu planet rosły na niskich zboczach, dostarczały wspaniałego starcia kształtów i kolorów. Czuł porywy gorącego powietrza, ciężkiego od obcych pyłków.

Przyjaciele jechali obok. Cała szóstka omijała wzgórze, grzbiety i dodawała sobie otuchy okrzykami. Żaden z nich nie był dorosły, ale wreszcie byli wystarczająco wyrośnięci, by można ich było samych wypuścić z domu. To właśnie takie dni jak ten nadawały

sens życiu.

A potem wzniosły się okrzyki.

- Królewskie orły, królewskie orły są tutaj.

Przeczesał wzrokiem jasne niebo i zobaczył czarne kropki nad nierównym horyzontem. A potem on też zaczął krzyczeć na powitanie, jego serce waliło w podnieceniu. Koń pobiegł szybciej, a szlachetni panowie nieba stawali się coraz więksi.

Czerwone światła błyskały na niebie. Królewskie orły wydłużyły się, czarne linie zakrzywiały się i skręcały tworząc prostokątny kształt. Jego koń zniknął, pozostawiając go leżącego na plecach. Czerwone linie stały się fioletowo-niebieskie i zaczęły się wycofywać, kiedy otworzył się wierzch komory medycznej. W pole widzenia wślizgnęła się jakaś twarz, zerkąła w dół. Mrugnęła i twarz się wyostrzyła. Bardzo ładna twarz z mnóstwem piegów i z masą ciemnorudych włosów związanych z tyłu.

- Dobrze się czujesz?- spytała Corrie-Lyn.

- Arrgh - odpowiedział Aaron.

- Masz, wypij to.

Do ust wsunięto mu plastikową słomkę. Wessał trochę smacznej, chłodnej cieczy do obolałego gardła.

- Co? - wybełkotał.

- Co, co?

- Co się stało?

- Przez parę dni byłeś w komorze medycznej statku.

Skrzywił się, kiedy spróbował poruszyć ramionami. Cały lewy bok był sztywny, jakby skóra mu się skurczyła.

- Chwileczkę - powiedział.

Jego u-adiunkt wyświetlił dane medyczne w jego egzowizji. Aaron opuścił szczegóły, skupiając się na większych naprawach. Szkody były bardziej rozległe niż się spodziewał. Rany wejściowe od pocisków połączone z okaleczeniem ogniodrutem i zatruciem toksynami oznaczały, że komora medyczna musiała wycinać i wyciągać mnóstwo uszkodzonych tkanek i kości z jego klatki piersiowej. Na ich miejsce wsuwała obce tkanki - komórki o neutralnych funkcjach, które miały preaktywne DNA, dzięki czemu można z nich formować nowe komórki organów, mięśni

czy kości. Zauważył plik dodatkowy i otworzył go. Obce komórki zmagazynowane w komorze nie były znowu takie obce, DNA było jego; miało ono także pełny komplet bionicznych organeli.

Ciało było naprawiane przez komorę medyczną i jego bionikę. Prognozowany czas, w którym bionika zakończy wiązanie i komórki wdrożą się do swych nowych funkcji wynosił siedemdziesiąt dwie godziny.

- Mogło być lepiej, mogło być gorzej - ocenił.

- Niepokoiłam się - powiedziała. - Twoja rana była ogromna. Krew... - Jej twarz zbladła, nawet piegi zanikły.

Aaron powoli poruszył ramionami, usiadł. Wtedy właśnie zauważył, że nie ma na sobie ubrania.

- Dziękuję.

- Spojrzała na niego bez zrozumienia.

- Powiniennem ci podziękować, prawda? Co się wydarzyło? Ostatnie, co pamiętam, to ty, bijąca Ruth Stoi.

- Ta mała księżniczka, suka.

- Tak więc? Co było potem?

Aaron przerzucił stopy przez brzeg kapsuły, wydawało się, że jego błędnik zareagował na ten ruch ze znacznym opóźnieniem. Ścianki działowe zawirowały wokół niego, a potem wróciły na swoje miejsca. Kabina statku była w trybie salonowym, ze ścianek działowych wysunęły się długie kanapy. Pokuśtykał do najbliższej, a komora medyczna schowała się w podłodze. Usiadł i na próbę szturchnął się w pierś palcem wskazującym. Połowa jego torsu miała paskudny łososiowy kolor i była pokryta jakąś połyskującą błoną ochronną.

- Zrobiłam, co sugerowałeś - wyjaśniła Corrie-Lyn. - Kapsuła przebiła się do holu recepcyjnego. Dostałam się do środka akurat wtedy, kiedy coś wybuchło nad lasem. Trochę rzuciło kapsułą, ale wewnętrzne pole ochronne mnie złapało. Pognaliśmy do budynku administracyjnego. Byłeś... w opłakanym stanie, ale zdołałam wciągnąć cię do wnętrza. Potem spotkaliśmy się ze „Sprytnym Kombinatorem” na zewnątrz kliniki, tak, jak to zaplanowałeś. Statek otoczył kapsułę swoim polem siłowym i

przeniósł nas do środka. Dobra robota. Policja dostała świra. Strzelali do nas ze wszystkich broni, jakie mieli, cała okolica była w kraterach, kiedy startowaliśmy. Kazałam smartkorowi zabrać nas z układu, ale on działał zgodnie z planem walki, który wcześniej załadowałeś. Siedzimy po prostu w czymś w rodzaju dziury hiperprzestrzennej, rok świetlny od Anagaski. Nie mogę się z nikim połączyć przez unisferę. Smartkor mnie nie posłucha.

- Załadowałem mu kilka opcji - powiedział. Jego u-adiunkt wydał smartkorowi instrukcje i otworzyła się szafka. - Czy mogłabyś, proszę, dać mi ten szlafrok?

Skrzywiła się z dezaprobatą, ale wyciągnęła szlafrok.

- Naprawdę się niepokoiłam, myślałam, że utkniesz tu na zawsze, jeśli umrzesz. To było straszne. Komora medyczna odmładzałaby mnie co pięćdziesiąt lat, a ja tylko siedziałabym w salonie podłączona do biblioteki dramatów sensorycznych i dożywiana kroplówką przez jednostkę kulinarną. To nie jest mój ulubiony sposób spędzania wieczności.

Uśmiechnął się lekko, widząc jej aktorsko-królewskie oburzenie i włożył szlafrok.

- Jeśli komora mogłaby cię odmłodzić, z całą pewnością mogłaby mnie ożywić.

- Och.

- W każdym razie, jeśli umrę, smartkor pozwoli ci na pełną kontrolę.

- Słusznie.

- Ale! - Złapał ją za rękę. Szarpnęła się z trwogą. - Nic z tego by się nie wydarzyło, gdybyś była gotowa mnie zabrać, kiedy ci powiedziałem.

- Przez wiele tygodni nie widziałam żadnych przyzwoitych ubrań - zaprotestowała. - Po prostu straciłam poczucie czasu, to wszystko. Nie chciałam się spóźnić. Ponadto, myślałam, że cię zraniono przed wyznaczonym spotkaniem.

Zamknął oczy w desperacji.

- Corrie-Lyn, jeśli jesteś w misji bojowej, nie robisz sobie pieprzonej przerwy, żeby iść na zakupy. Zrozumiano?

- Nigdy nie mówiłeś nic o bojach. Szybki rajd, wkradnięcie się

do ich skarbcza, tak mówiłeś.

- Informacja na przyszłość: tajna misja, w której wszystkie strony są uzbrojone, to sytuacja bojowa.

Skrzywiła się.

- „Nic, co mają, nie będzie problemem dla mojej biononiki”.

- Nigdy tego nie mówiłem.

- Owszem, mówiłeś.

- Ja... - Wypuścił powietrze i z trudem się opanował. Joga. Ona zawsze zmuszała nas do ćwiczenia jogi. To było kurewsko głupie. Corrie-Lyn spojrzała na niego nachmurzona.

- Dobrze się czujesz? Potrzebujesz pójść znowu do komory?

- Doskonale. Posłuchaj, dziękuję, że mnie zabrałaś. Wiem, że takie rzeczy, to nie to, czym normalnie żyjesz.

- Proszę bardzo - odpowiedziała szorstko.

- Proszę, powiedz, że nadal mamy tę komórkę pamięci.

Corrie-Lyn uśmiechnęła się kokieteryjnie i podniosła małą plastikową jednostkę.

- Nadal mamy tę komórkę pamięci.

- Dzięki ci Ozzie za to.

Jego u-adiunkt kazał smartkorowi pokazać mu log statku. Chciał sprawdzić ile wysiłków włożono w próby ich wyśledzenia. Od czasu kiedy opuścili Anagaskę kilka statków przeprowadziło złożone skanowania hiperradarem do odległości kilku lat świetlnych - ale nikt nie mógł wykryć statku z ultranapędem w stazie transwymiarowej. Log zapisał także, że Corrie-Lyn zdołała obejść zabezpieczenia, jakie nałożył na jednostkę kulinarną, by uniemożliwić jej wytwarzanie drinków alkoholowych. Teraz naprawdę nie było czasu, żeby robić z tego sprawę.

- W porządku - powiedział. - Nie przypuszczam, żeby ktoś nas wykrył. Chociaż zaraz po naszym rajdzie w okolicy zrobił się duży ruch. Kilka statków o niezwyklej sygnaturze kwantowej wyskoczyło z hiperprzestrzeni nad Anagaską. Smartkor sądzi, że mogą być zamaskowanymi statkami z ultranapędem.

- Kto to może być?

- Nie wiem. I nie zamierzam tu zostać, żeby zapytać. Ruszajmy stąd.

- Nareszcie.

Wyciągnął dłoń, zachowując obojętny wyraz twarzy. Corrie-Lyn spojrzała na jednostkę i po chwili zwłoki opuściła ją na jego dłoń.

- Nie jestem pewna, czy podoba mi się twój pomysł czytania umysłu Iniga.

- Nie mam takiego zamiaru. Asymilacja pamięci zupełnie nie przypomina podłączania się do dramatu sensorycznego z unisfery, czy do akceptowania doświadczeń przez gajaserę. Prawdziwą pamięć absorbuje się przez długi czas. Można ją skompresować, przeżyć to szybciej niż w czasie rzeczywistym, ale nadal ta jednostka zawiera prawie czterdzieści lat jego życia. Przerzucenie tego do ludzkiego mózgu zajęłoby miesiące. Jeśli mamy zamiar go znaleźć przed Pielgrzymką, nie możemy tracić tak wiele czasu.

- Więc co zamierzasz zrobić?

- Zanieść to do kogoś, kto zdoła to wchłonąć znacznie szybciej niż ja i ładnie poprosić.

- Właśnie powiedziałaś, że ludzki mózg nie może wchłonąć zmagazynowanych wspomnień tak szybko.

- Tak powiedziałem. I dlatego bierzemy kurs na „Wysokiego Anioła”. Corrie-Lyn wyglądała na zszokowaną.

- Na statek raieli?

- Tak.

- Dlaczego raielowie mieliby ci pomóc?

Uśmiechnął się do jednostki kulinarnej.

- Powiedzmy po prostu, że teraz mamy doskonałą pozycję negocjacyjną.

Corrie-Lyn nie miała cierpliwości potrzebnej do prowadzenia rozległych badań. Aaron musiał uzupełniać dekady i stulecia, które przepuściła, kiedy zaczęła podłączać się do plików, które jej u-adiunkt wyszukał na temat raieli. Ludzie odkryli „Wysokiego Anioła” w 2163 roku, wyjaśnił Aaron, kiedy w jego układzie gwiazdowym otworzono wormhol w poszukiwaniu planet nadających się do zamieszkania. Wydział badawczy STT szybko stwierdził, że nie ma tam światów, na których ludzie mogliby żyć, ale astronomowie zauważyli sygnał mikrofalowy,

nadchodzący z orbity gazowego giganta Icalanise.

- Co to ma wspólnego z aniołami - zapytała. - Czy wszyscy byli religijni?

- Nie astronomowie.

Kiedy zogniskowali swoje czujniki na źródle mikrofal zobaczyli mały księżyc, długi na sześćdziesiąt trzy kilometry z czymś co wyglądało jak skrzydła mglistego, perłowego światła. Skrzydła anioła.

- Dla mnie wygląda na to, że byli religijni, jeśli to pierwsza rzecz, o której pomyśleli.

Aaron jęknął. Kiedy włączyli więcej czujników, wykryli prawdziwą naturę artefaktu. Skalisty rdzeń, z którego wychodziło dwanaście łodyżek, podpierających rozległe kopuły, z których pięć było przezroczystych. Wewnątrz były widoczne miasta i parki.

To był gwiazdolot; żyjąca istota albo maszyna, która ewoluowała i stała się rozumna. Jej pochodzenie było niewiadome, a stworzenie nic nie mówiło. Tylko raielowie zgodzili się rozmawiać z ludzkością, a i oni nie mówili zbyt wiele.

Kilka największych firm astroinżynieryjnych wynegocjowało wynajem trzech z tych kopuł i „Wysoki Anioł” stał się miastem-sypialnią dla archipelagu mikrograwitacyjnych stacji fabrycznych, produkujących niektóre z najbardziej zaawansowanych we Wspólnocie i najbardziej dochodowych artykułów technicznych. Siła robocza i rodziny jej członków wkrótce stały się na tyle liczne, żeby ogłosić autonomię (przy aprobacie „Wysokiego Anioła”) i zająć fotel w Senacie.

Kiedy wybuchła wojna Gwiazdokrażcy, „Wysoki Anioł” stał się podstawową bazą Wspólnotowej floty, a firmy astroinżynieryjne przestawiły swoje stacje przemysłowe na produkcję okrętów wojennych. Dalsze kopuły zostały wyhodowane czy też wysunięte, albo magicznie powołane do istnienia, by pomieścić personel floty. Jednak dalej nikt nie rozumiał techniki zastosowanej przez „Wysokiego Anioła”.

- Czy obecnie wiemy o niej coś więcej? - zapytała.

- Niewiele. ZAN może wiedzieć; Światy Centralne mogą

zduplikować pewne funkcje biononiką; ale Światy Zewnętrzne nie zdołały wyprodukować nic podobnego.

Ludzie, powiedział jej Aaron, musieli czekać po wojnie jeszcze dwieście lat, zanim historia ogromnego statku stała się trochę jaśniejsza. Heroiczna podróż Wilsona Kime'a na „Endeavourze”, mająca na celu zbadanie galaktyki, odkryła dla Wspólnoty istnienie Pustki, łącznie ze Stacją Centurion i systemem obronnym raieli, utrzymującym gwiazdy Ściany. Inne statki badawcze floty odkryły więcej statków klasy „Wysokiego Anioła”; jednym z gatunków obecnych na każdym statku byli raielowie.

Skonfrontowani z tym faktem raielowie wyjaśnili wreszcie, że stworzyli statki klasy „Wysokiego Anioła” przeszło milion lat temu, kiedy ich gatunek osiągnął szczyt rozwoju. To był złoty wiek, kiedy cywilizacja raielów rozprzestrzeniła się na tysiące planet; mieszała się z setkami innych rozumnych gatunków, prowadzili ich i obserwowali, gdy dziesiątki gatunków przenosiły się do stanu postfizycznego. Znali nawet silfenów, zanim ich wyśnią nowe ścieżki istnienia.

A potem Pustka przeszła jedną ze swoich okresowych faz ekspansji. Raielowie nie mogli nic zrobić, by powstrzymać barierę przed połknięciem całych gwiazdnych skupisk. Grawitacja przesunęła się wokół rdzenia galaktyki, kiedy gwiazdy były wciągane za horyzont zdarzeń. To była katastrofa dla cywilizacji żyjących tuż za gwiazdami Ściany. Gwiazdy zmieniały pozycje, kiedy zmieniało się pole grawitacyjne ich rdzenia; a planety zmieniały orbity. Stracono tysiące unikatowych biosfer, zanim ewolucja dostała w nich rzeczywistą szansę rozkwitnięcia. Całe społeczeństwa trzeba było ewakuować, zanim fronty burzowe ultratwardego promieniowania o tysiącach lat świetlnych średnicy uderzyły w podstawę spiralnych ramion galaktyki.

A potem wszystko się skończyło. Po operacjach ratowniczych, które trwały tysiąclecia, raielowie ogłosili, że Pustki nie można już tolerować. Pierwotne Byty, które ją stworzyły, kiedy galaktyka nadal przebywała w okresie niemowlęcym,

najwyraźniej nie zdawały sobie sprawy, jakie potworne skutki będzie ona miała dla żyjących po ich epoce. Raielowie stworzyli armadę statków, które mogły funkcjonować w dowolnym stanie kwantowym, który teoretycznie mógł istnieć wewnątrz Pustki.

I rozpoczęli inwazję. Sto tysięcy statków okrążyło straszną barierę i wleciało do wewnątrz, gotowe na wszystko.

Żaden nie powrócił.

Pustka pozostała nienaruszona.

Resztki niegdyś kolosalnej cywilizacji raieli podjęły budowę tylnej straży. Zbudowano system obronny wzmacniający gwiazdy Ściany, żywiąc niewielką nadzieję, że powstrzyma to następną makroekspansję. Dalsze statki zostały stworzone jako arki dla pojawiających się gatunków, wywozły je ze skazanej na zagładę galaktyki, by mogły się osiedlić na nowych światach w pokojowych skupiskach gwiazdnych. Był to ostatni wspaniałomyślny akt rasy, która nie sprostała swemu ostatecznemu wyzwaniu. Raielowie przysięgli, że jeśli nie zdołają uratować galaktyki, pozostaną w niej do gorzkiego końca, i będą przenosić istoty o mniejszych możliwościach w bezpieczne miejsce.

- To nie jest wersja historii, w którą mogłabym uwierzyć - powiedziała cicho Corrie-Lyn, kiedy obrazy z pliku skurczyły się i znikły. - Trudno mi zaakceptować fakt, że Pustka to coś wrogiego, skoro znam piękno, które kryje w swym wnętrzu.

Pociągnęła gorącej czekolady z koniakiem i zwinęła się na kanapie.

- To ma być właściwa wersja? - spytał Aaron z drugiego końca kabiny.

- Cóż, nigdy tego nie sprawdzimy, prawda?

- Jeśli nie wyposażono mnie w fałszywe wspomnienia, masz dane z prawie sześciuset lat ludzkich obserwacji na Stacji Centurion, by potwierdzić bardzo nienaturalny sposób, w który bariera pożera układy gwiazdne. I słuchaj, kto zbierał niektóre z tych danych? Ach, tak, sam Inigo.

- Tak, ale cała opowieść o armadzie krzyżowców? Chyba w to nie wierzysz. Sto tysięcy statków z bronią, która mogła miażdżyć

gwiazdy. Gdzie one są? Żaden ze snów Iniga nie pokazał ich najmniejszej pozostałości.

- Są martwe. Rozłożone na atomy i skonsumowane jak każda cząstka materii, która przechodzi przez barierę. - Przerwał, nieco zatroskany. - Z wyjątkiem ludzkiego statku, który się przedostał i wylądował na Querencii.

- Dość gówniana taktyka jak na gatunek, który ogłosił się gatunkiem superumysłów. Czy nie pomyśleli, by najpierw wysłać jednego czy dwóch zwiadowców?

- Może tak zrobili. Możesz o to zapytać, kiedy dotrzemy na „Wysokiego Anioła”.

Spojrzała na niego z politowaniem.

- Jeśli w ogóle pozwolą nam zadokować.

- O małowierną.

„Sprytny Kombinator” wrócił do czasoprzestrzeni dziesięć tysięcy kilometrów od „Wysokiego Anioła”. Icalanise, widoczna za obcym statkiem, wyglądała jak rogaty półksiężyc walczących ze sobą pasm burzowych o barwach topazu i platyny. Wzdłuż równika ułożyły się cztery czarne krążki, koniuszki stożków cieniowych rzucanych przez grupę koniunkcyjną trzydziestu ośmiu księżyców.

Statek omiotło swymi polami kilka czujników. Na „Wysokim Aniele” nadal gościła znaczna część floty Wspólnoty. Admirał w bazie poważnie traktował sprawy bezpieczeństwa. Świeża tożsamość i oficjalne certyfikaty zostały już załadowane do smartkoru i przesłane do zbadania. U-adiunkt Aarona poprosił o pozwolenie na dokowanie przy kopule Nowe Glasgow dla statku „Alini”. Pozwolenie na zbliżenie wydano im niemal natychmiast.

Archipelag stacji przemysłowych ślizgał się leniwie po tysiąckilometrowej orbicie, tworząc gęstą pętlę srebrnych cętek wokół „Wysokiego Anioła”. Promy obsługujące pomykały między nimi a kopułami zamieszkanymi przez ludzi, zabierając wytwory zaawansowanej techniki i materiały, w celu przekazania ich dalej do Światów Zewnętrznych, gdzie podobne systemy nadal

były w cenie.

- A jak z tym? - powiedział z zachwytem Aaron, kiedy podłączył się do obrazu wytworzonego przez czujniki. - Anioł z aureolą.

- Przesadzasz z tymi religijnymi analogiami - zgañiła go Carrie-Lyn. Obecnie ze skalistej powierzchni rdzenia wznosiło się siedemnaście kopuł. Sześć było zajętych przez ludzi i te były przezroczyście - widzieli w środku miasta i parki. Cztery pozostałe również w pewnym stopniu prześwitywały; widma obcych słońc świeciły przez nie według swych własnych cykli dni i nocy. Na tle krajobrazów w środku widać było dziwne sylwetki miast. W nocy, promieniowały one kuszącymi, kolorowymi i świetlnymi punktami. Jedna z kopuł należała do raieli. Pozostałe były zamknięte dla obserwacji zewnętrznych i ani „Wysoki Anioł” ani raielowie nie chcieli mówić nic o ich rezydentach.

Posłuszny instrukcjom Aarona, smartkor statku wycelował maser komunikacyjny w kopułę raieli.

- Proszę o pozwolenie na zadokowanie przy kopule raieli. Jest pewien rezydent, z którym chciałbym porozmawiać.

- To niezwykła prośba ze strony osoby prywatnej - odpowiedział „Wysoki Anioł” głosem ludzkiego samca. - Ja mogę mówić w imieniu raielów.

- To nie wystarczy. Znasz naturę tego statku?

- Rozpoznaję ją. Bardzo mało statków ZAN z ultranapędem kiedykolwiek się do mnie zbliżyło; technika tych statków jest bardzo wysublimowana. Musisz być jednym z reprezentantów ZAN.

- Coś w tym rodzaju i chciałbym rozmawiać z konkretnym raielem.

- Bardzo dobrze. Przesyłam ci nową trajektorię lotu, proszę trzymaj się jej.

- Dziękuję. Raiel, z którym chce rozmawiać to Qatux.

- Oczywiście.

„Sprytny Kombinator” nieznacznie zmienił kurs, zakręcił wokół masywnej ciemnej skały rdzenia „Wysokiego Anioła” i skierował się do filaru kopuły raieli. Przy jego podstawie umieszczono wielkie ciemne owale, tuż przed punktem, gdzie trzonek o

barwie grafitu zlewał się ze skorupą skały. Jeden z owali zdematerializował się, ukazując za sobą pozbawioną cech białą komorę. „Sprytny Kombinator” wleciał do środka, a zewnętrzna ściana znowu się za nim zmaterializowała.

- Proszę, przygotujcie się do teleportacji - powiedział „Wysoki Anioł”. Corrie-Lyn wyglądała na bardzo przestraszoną.

- Powiem to jeszcze raz - rzekł Aaron. - I choć nadal nie mam żadnej nadziei, że zwrócisz na to najmniejszą uwagę: pozwól, że to ja będę rozmawiał.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć.

Kabina znikła, natychmiast zastąpiona szeroką krągłą przestrzenią, z podłogą, która żarzyła się bladoszmaragdowo. Jeśli był tu sufit, to był niewidoczny, gdzieś daleko w mroku na górze. Przed nimi stał dorosły raiel. Corrie-Lyn głośno nabrała powietrza i niemal się potknęła. Aaron pospiesznie złapał ją za ramię. Nie pamiętał, by kiedykolwiek był na Ziemi i używał T-sfery, ale ta gwałtowna translacja była dokładnie tym, czego oczekiwał.

- Wielki Ozzie - stęknęła Corrie-Lyn.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zszokowana - powiedział raiel swym łagodnym szeptem.

Aaron ukłonił się formalnie. Raiel był tak duży jak dorosły swego gatunku, większy niż ziemski słoń, z szarobrązową skórą najeżoną grubym włosiem. Aaron nie był ekspertem, ale ten obcy wyglądał na nadzwyczajnie zdrowy okaz. Z przodu jego potężna głowa była otoczona kołnierzem mackowatych kończyn. Ich grubsza para znajdowała się na dole, były długie na cztery metry i zakończone segmentowymi płetwami, przeznaczonymi do ciężkich prac. Pozostałe kończyny były coraz mniejsze, aż do grupy szczupłych manipulatorów, przypominających wijące się węże. Każdy bok głowy miał grupę pięciu małych półkolistych oczek, które jednocześnie się obracały. Poniżej, na spodniej stronie głowy, skóra marszczyła się w pewną liczbę luźnych fałd i tworzyła strefę gębową. Kiedy obcy mówił, Aaron mógł widzieć przez chwilę głębokie wilgotne szczeliny, a nawet rząd ostrych brązowych kłów.

- Nie, wszystko dobrze - wyjąkała Corrie-Lyn. Przypomniała sobie o należnych manierach i niezręcznie pochyliła głowę.

- Od pewnego czasu nie miałem bezpośredniego kontaktu z ludźmi - powiedział Qatux swoim smutnym szeptem. - Byłem ciekaw. Nie zdawałem sobie sprawy, że nadal znacie me imię.

- Obawiam się, że znam tylko twe imię i nic więcej - powiedział Aaron. - Ale dziękuję, że zgodziłeś się z nami spotkać.

- Mój udział w waszej historii był przelotny. Wziąłem udział w ludzkiej wyprawie podczas wojny Gwiazdokrąży. Miałem przyjaciół. Ludzkich przyjaciół, co jest niezwykle dla raiela tak samo wtedy jak i teraz. Powiedzcie mi, czy znacie Paulę Myo?

Aaron był zdziwiony, że jego serce nieco podskoczyło, gdy usłyszał to nazwisko. To musi być ta kuracja.

- Słyszałem o niej.

- Lubiłem Paulę Myo - powiedział Qatux.

- Ona obecnie jest przedstawicielką ZAN:Władz.

- A wy nie jesteście?

- Nie na jej poziomie.

Aaron modlił się, by Corrie-Lyn nie zaczęła paplać.

- Co was tutaj sprowadza? - spytał Qatux.

- Mam prośbę. - Podniósł w górę jednostkę pamięci. - To komórka pamięci człowieka. Chciałbym, byś odebrał te wspomnienia. Potrzebuję odpowiedzi na pewne pytania dotyczące jego osobowości.

Qatux nie odpowiedział. Jego oczy przeskoczyły z Aarona na Corrie-Lyn i z powrotem.

- Czy możesz to zrobić? - spytał Aaron.

Umysł mówił mu, że Qatux to raiel, który najprawdopodobniej pomoże im w ten sposób. Dotychczas na tej misji cała intuicyjna wiedza załadowana do jego podświadomości okazała się prawdziwa.

- Miałem w zwyczaju tak robić - szepnął Qatux. - Kiedyś byłem zauroczony ludzkimi stanami emocjonalnymi. Poślubiłem człowieka.

- Poślubiłeś? - wyrwała się Corrie-Lyn.

- Najmilsza dama o imieniu Tiger Pansy. Nigdy wcześniej nie

znałem nikogo tak reaktywnego emocjonalnie. Spędziliśmy razem wiele szczęśliwych lat na planecie, którą nazwaliście Far Away. Dzieliłem jej wszystkie myśli, wszystkie uczucia.

- Co się wydarzyło? - spytał Aaron, wiedząc, że nic dobrego.

- Umarła.

- Przykro mi.

- Umarła w straszny sposób. Kobieta zwana Kotką wydłużyła jej śmierć na wiele dni. Rozmyślnie. Dzieliłem ten czas z moją żoną. Doświadczyłem ludzkiej śmierci.

- Cholera - wybełkotał Aaron.

- Od tamtego czasu nie znałem ludzkich myśli ani emocji. Pod koniec moja żona wyleczyła mnie z tej dziwnej słabości. To był jej ostatni podarunek, mimowolny. Znowu jestem raiel. Wśród swego własnego rodzaju mam wysoką rangę.

- Nie powinniśmy cię o to prosić - rzekła z pokorą Corrie-Lyn. - Nie wiedzieliśmy. Tak mi przykro.

Aaron pragnął wystrzelić do niej z obezwładniacza.

- To Inigo - powiedział, ponownie unosząc jednostkę pamięci. - Człowiek, który śni o życiu ludzi wewnątrz Pustki.

Jeszcze raz Qatux znieruchomiał. Tym razem jego oczy skupiały się wyłącznie na Aaronie.

- Aaron! - syknęła Corrie-Lyn przez zaciśnięte zęby.

Czuł gniew wypływający z niej przez gajaserę i całkowicie go zignorował.

- Szukam go - powiedział ogromnemu kosmicie patrząc prosto w jego wielokrotne oczy. - Trzeba go znaleźć, zanim wyznawcy Żywego Snu wywołają swoją Pielgrzymką następną fazę pożerania. Czy pomożesz?

- Inigo? - spytał Qatux, niemal niesłyszalnym szeptem.

- Tak. Jednostka pamięci zawiera jego osobowość aż do chwili, kiedy wyjechał na swoją misję na Stacji Centurion. Lata, gdy kształtowała się jego osobowość. Wszyscy znają jego życie od chwili, gdy założył Żywy Sen, nawet raielowie. Jeśli połączyć tę wiedzę z okresem kształtowania osobowości, myślę, że będziesz w stanie zrozumieć jego motywację, że będziesz mógł dla mnie wywnioskować, dokąd się udał.

- Raielowie od tak dawna chcieli poznać wnętrze Pustki. Teraz żyjemy tylko po to. Jesteśmy jej przeciwieństwem, tak jak ona jest przeciwieństwem nas. Przez przeszło milion lat zadowalaliśmy się rolą, którą wyznaczył nam los. A potem przychodzi jakiś człowiek i po prostu śni o tym, co jest w środku. Żaden z nas tego nie śni. Najsilniejsi z naszej rasy wpadli w to złe miejsce i nie pozostał żaden ślad. Nic.

- Ono nie jest złe - powiedziała ponuro Corrie-Lyn.

- Chciałbym w to wierzyć. Nie mogę. Znamy Pustkę od czasów, kiedy wasz gatunek nie był jeszcze rozumny. To niszczytelka życia, nadziei. Nic z niej nie ucieka.

- Miliony ludzi mieszkają wewnątrz Pustki. Przeżywają życie pełne nadziei, miłości i śmiechu, żyją lepiej niż ktokolwiek z nas tutaj.

- Aby to robić, by osiągnąć to pełniejsze życie, którego tak im zazdrościsz, zabijają was. Zabijają tę galaktykę. A teraz chcecie do nich dołączyć, by zwiększyć szkody do stopnia, którego sobie nawet nie możecie wyobrazić.

- Czy zatrzymacie Pielgrzymkę? - spytał Aaron.

- Nie ja. Nie ten statek-arka. To nie jest cel tych raieli, my jesteśmy jedynie kustoszami. Są jednakże inni raiiele, którzy służą innym celom. Oni są obrońcami tej galaktyki. Nie wiem, co zrobią waszej Pielgrzymce.

Aaron spojrzał na Corrie-Lyn. Miała zaciśnięte usta.

- Czy możesz nam pomóc ze wspomnieniami Iniga? Jeśli zdołam go znaleźć i z nim pomówić, może jest szansa na zatrzymanie Pielgrzymki.

Qatux ruszył ku niemu. Osiem kłocowatych nóg po obu stronach jego podbrzusza przechyliła się do przodu. Poruszały ciało z nieznacznym falowaniem. Aaron stał w miejscu, choć zdawał sobie sprawę, że Corrie-Lyn, powłócząc nogami lekko się cofa. Jej emocje, przesączające się do gajASFery zmieniały się z dumy w troskę.

- Zrobię, co mogę - powiedział Qatux. Wyciągnął mackę średnich rozmiarów.

Aaron odetchnął z ulgą i wręczył mu komórkę pamięci. Koniec

macki owinął się wokół niej i cofnął, zwijając do tyłu. Tuż za kołnierzem z macek, zwisających z raielowego odpowiednika szyi zadyndały niezliczone cielesne wypustki, każda z nich zakończona małą, ciężką banieczką, o wyraźnie technicznym pochodzeniu. Jednostka pamięci zapadła się w ciemną powierzchnię bańki, jak kamyk, wpadający w wodę.

Przez korpus Qatuxa przebiegło długie drżenie, a wielki kosmita wydał westchnienie, chyba bolesne.

- Powiem wam, kiedy skończę - oznajmił.

Aaron i Corrie-Lyn zostali bezceremonialnie przeteleportowani na „Sprytnego Kombinatora”.

Bliźniaki Marsa nabrzmiały niezwykłą czerwienią, kiedy w górnych warstwach ich atmosfery huragany wirowały i ścierały się na tysiąckilometrowych frontach, unicestwiając mroczne cienie, które od czasu do czasu znaczyły ich powierzchnię. Ich ponura atmosfera pasowała do nastroju Kleryka Konserwatora Ethana, kiedy maszerował przez Lilią Hall. Nad nim burze szalejące po wizjonerskim suficie błyskały fioletowymi błyskawicami i okładały się wzajemnie jak fale atakujące plażę. Kłębily się razem, zasłaniając obie małe planety. Ta bezgłośna, żywa bitwa sprzyjała imponującemu wejściu, kiedy przekraczał łukowate drzwi do apartamentów burmistrza.

Rincenso i Falven, dwaj jego najwierniejsi stronnicy w Radzie czekali na niego w pierwszym przedpokoju. Wyraz ostrożności, malujący się na ich twarzach, w tym bursztynowym oświetleniu wydawał się bardzo złowieszczy. Nie pozwalali sobie wpuszczać do gajaszery nic ponad uprzejmy blask oczekiwania. Nawet łatwo wyczuwalny nastrój Ethana nie wywoływał u nich wahania.

Skinął na nich, by szli za nim, i dotarł do owalnego azylu. Silne światło słoneczne przenikało przez wysokie okna w stylu promienistego gotyku, oświetlając wspaniałe drewniane biurko, identyczne jak to, przy którym siadywał Wodostąpacz, kiedy był burmistrzem Makkathranu. Przed biurkiem ustawiono pięć prostych krzeseł. Przy boku jednego stał radca Pnelim, czekając,

aż Ethan usadowi się za biurkiem. Miał na sobie prostą zielononiebieską szatę Radcy. Miała świadczyć o tym, że noszący ją jest osobą otwartą i łatwo dostępną, która poświęci czas na rozwiązywanie czyichś problemów. Na Phelimie szata wywierała odwrotny efekt, podkreślając jego wzrost i surowe rysy twarzy.

- Tak więc wydaje się, że Władca Niebios jest w drodze do Querencji - powiedział Ethan, siadając.

Falven odchrząknął.

- Kieruje się ku jakiejś planecie. Musimy założyć, że to Querencia. Perspektywa, że inna planeta gości ludzi w Pustce wywoływałaby wiele komplikacji.

- Wcale nie - odparł Rincenso. - Wszystko mi jedno, ile tam jest innych planet nadających się dla ludzi i kto na nich mieszka. Nas obchodzi tylko Querencia i Chodzący po Wodzie. To jego przykład pragniemy naśladować.

- Zbyt wiele niewiadomych, by się wypowiadać - powiedział Falven.

- Z pewnością nie aż tak wiele - odparł Ethan. - Nie możemy wątpić, że Drugi Śniący śni Władcę Niebios. To stworzenie jest świadome dusz i umysłów żyjących istot rozumnych. Ono i jego stado leci w kierunku planety, by zabrać te dusze i zanieść je do Morza Odyna. O tym locie mówią wszystkie nauki Pani.

- Ciekaw jestem, jak wygląda obecne życie w Makkathranie - zadumał się Rincenso. - Minęło tyle czasu.

- Wkrótce się przekonasz - oznajmił Ethan. - Kadłuby naszych pielgrzymkowych statków są właśnie wytwarzane. Wkrótce będziemy gotowi do wyruszenia. Phelimie?

- Kadłuby i systemy wewnętrzne powinny być gotowe we wrześniu - oznajmił Phelim. - Koszty są kolosalne, ale Strefa Wolnego handlu ma dużą zdolność wytwórczą. Produkcja składowych jest wysoce cybernetyzowana: a kiedy załaduje się wzorce, będzie jeszcze prostsza. I, oczywiście, bez względu na to, z jak ostrą krytyką się spotykamy, firmy na Światach Zewnętrznych zawsze pragną naszych pieniędzy.

- We wrześniu - powiedział Rincenso. - Ozzie drogi, to już niedługo. Ethan nie patrzył na Phelima. Nikomu innemu nie

powiedział o ultranapędach, które zobowiązał się dostarczyć Marius.

- Sprawy fizyczne idą dobrze - skonstatował. - Pozostaje nam tylko do załatwienia sprawa zagadkowego Drugiego Śniącego. Nadal nie wiemy, dlaczego się nie ujawnił, ale to znaczące, że jego sny stały się bardziej konkretne, gdy zaczęto budować statki.

- Dlaczego się nie pokaże? - spytał Falven. Gajasfera ukazywała błysk gniewu w jego umyśle. - Niech będzie przeklęty, czy mamy go nigdy nie znaleźć?

- Jest na Viotii - oznajmił Phelim.

- Jesteś pewien?

- Tak. Gniazda konfluencyjne gajasfery na Viotii pierwsze odebrały jego ostatni sen. One rozpowszechniły go po całej gajasferze Wspólnoty.

- Czy wiesz, gdzie jest na Viotii?

- Jeszcze nie. Ale teraz, kiedy potwierdziliśmy planetę, nasze wysiłki skoncentrują się na określaniu dokładnego położenia geograficznego. Oczywiście, ludzie się przenoszą. A jeśli aktywnie poszukuje anonimowości, po prostu będzie po każdym śnie zmieniał położenie.

- Czemu trzeba zapobiec - powiedział Ethan po prostu.

- W jaki sposób? - spytał Rincenso.

- Właśnie dlatego zaprosiłem was obu, moi najdrożsi przyjaciele i sprzymierzeńcy w Radzie. Drugi Śniący ma zasadnicze znaczenie dla naszej Pielgrzymki. To właśnie on musi poprosić Władców Niebios o przeprowadzenie nas przez barierę i dalej do Querencii. Podczas nieobecności Iniga to właśnie on oświetli nam drogę.

- Więc cóż chcesz, żebyśmy zrobili? - spytał Falven.

- Mamy przed sobą kilka dróg - powiedział cicho Ethan. - Uważam, że ta, którą w końcu pójdziemy, to wprowadzenie Viotii do Strefy Wolnego Handlu.

Obaj Radcy spojrzeli po sobie zaintrygowani.

- To już jest cześć naszej Strefy Wolnego Handlu - zauważył Falven.

- Owszem, według układu - odparł Ethan. - To nie jest jedna z

naszych głównych planet. Jeszcze nie. Musimy się przygotować do zakończenia procesu przyjęcia, procesu, którego kulminacją będzie otwarcie wormholu między obydwooma naszymi światami. Po tym fakcie rząd Viotii powinien spojrzeć na Żywy Sen nieco przychylniejszym okiem. Ostatecznie, chciałbym ich powitać w naszej hierarchokracji.

Falven odchylił się na krzesło, z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Rincenso jedynie uśmiechnął się z uznaniem.

- Jest tam już mnóstwo naszych zwolenników. Czy ich wystarczy, by zmienić statystykę demograficzną?

- Niewykluczone - powiedział Phelim.

- W takim razie będę szczęśliwy wnosząc tę propozycję na forum Rady.

- Ja też - powiedział powoli Falven.

- Naszym stronnikom na Viotii często okazuje się niechęć i wrogość - powiedział Ethan. Jeśli otworzymy wormhol, łączący ich gospodarkę z naszą, ta niechęć objawi się w ulicznej przemocy. Musimy zagwarantować bezpieczeństwo wszystkim wyznawcom Żywego Snu.

- Czy mamy takie możliwości? - spytał ostrożnie Falven.

- Na głównych planetach Strefy Wolnego handlu rozproszono wystarczającą ilość narodowych sił bezpieczeństwa, by zapewnić rządy prawa na Viotii - odparł Phelim. - Przeprowadzamy rekrutację dodatkowego personelu od chwili wywyższenia Ethana na Konserwatora.

- Wystarczy ich do tego?

- Tak.

- Ach. Rozumiem.

- Żałuję wszelkich ewentualnych niewygód jakie będą cierpieć obywatele Viotii - oświadczył Ethan. - Ale nie możemy sobie pozwolić na stratę Drugiego Śniącego.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, dlaczego on odmawia ujawnienia się... - powiedział zjadliwie Rincenso.

- Ponieważ on jeszcze nie wie - odparł Ethan ze znużonym smutkiem.

- Jak może nie wiedzieć?

- Inigowi zorientowanie się, co się dzieje, zajęło kilka tygodni. Z początku wydawało mu się, że jego sny, to rodzaj wycieku z interaktywnego dramatu, który wpłynął do gajASFery Stacji Centurion. Chyba ta dezorientacja znowu się powtarza. Początkowo mieliśmy tylko małe fragmenty, migawki Władcy Niebios, które razem edytowaliśmy. Teraz, kiedy kontakt się ustalił, długość i siła snów wzrasta. Tak jak w przypadku Iniga. Wkrótce sny osiągną apogeum i Drugi Śniący zorientuje się, do czego go wybrano.

Falven spojrział ze skrepowaniem na innych zgromadzonych w azylu.

- Więc dlaczego musimy inkorporować Viotię?

- A co, jeśli Drugi Śniący nie jest wyznawcą Żywego Snu? - spytał łagodnie Ethan.

- Ale...

- Istnieje znacznie gorszy scenariusz - powiedział Phelim. - Jeśli któryś z naszych przeciwników dotrze do niego pierwszy i wykorzysta go do sabotowania Pielgrzymki.

- Będą go szukać - powiedział Rincenso.

- Oczywiście, że będą - zgodził się Ethan. - ale nasza władza nad gajASFerą daje nam ogromną przewagę. Nawet nikczemne Frakcje ZAN, nie mogą nic z tym zrobić. Musimy dotrzeć do niego pierwsi.

- A jeśli on odmówi udzielenia pomocy? - zapytał Falven.

- Trzeba będzie mu zmienić stan umysłu. - powiedział Phelim. - W bardzo dosłownym sensie.

- Przypuszczam, że to okaże się niezbędne - powiedział Rincenso nerwowo.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Ethan. - Ale musimy być gotowi na wszelkie ewentualności.

- Tak. Rozumiem.

- Najpierw chciałbym skierować proste wezwanie zarówno do Drugiego Śniącego, jak i do Władcy Niebios - oznajmił Ethan.

Myśli Falvena zafalowały zaskoczeniem, którego w ogóle nie starał się skryć.

- Deklaracja w unisferze?

- Nie. Bezpośrednia interwencja w następny sen.

- W jaki sposób?

- Drugi Śniący wysłał swój sen do gniazda konfluencji w czasie rzeczywistym - powiedział Phelim. - Tuż przy końcu ostatniego snu, kiedy on już zanika, jest anomalia, niewielka. Niezwykle trudno ją zauważyć, wydaje się, że umknęła ona uwadze większości naszych wyznawców. Ale nasi Mistrzowie Snu przeglądali te ostatnie momenty. Istnieje ludzka emocja włączająca się w strumień świadomości Władcy Niebios. Słabe poczucie przyjemności, ale z wyraźną konotacją seksualną. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jesteśmy świadkami satysfakcji po odbyciu stosunku płciowego.

- Drugi Śniący odbiera sen Władcy Niebios podczas stosunku? - spytał z niedowierzaniem Rincenso.

- Ludzki umysł jest najbardziej otwarty, kiedy jest odprężony - powiedział Ethan.- Okres bezpośrednio po stosunku z pewnością wywołuje taki stan.

- Czy to właśnie przydarzyło się Inigo? - Falven zapytał o to niemal z oburzeniem.

Wargi Ethana drgnęły z rozbawieniem.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale Inigo nigdy nie publikował swych snów w czasie rzeczywistym, więc nie przypuszczam, byśmy się kiedykolwiek dowiedzieli jak było naprawdę. Ale ta anomalia jest najmocniejszym dowodem na to, że mamy do czynienia ze śnieniem w czasie rzeczywistym. A w tym przypadku, powinniśmy być zdolni do włączenia się, do rozmowy zarówno z Drugim Śniącym jak i Władcą Niebios. Jeśli uda nam się przeprowadzić taką interwencję, może będziemy zdolni do nawiązania bezpośredniej łączności bez Drugiego Śniącego. W takim wypadku nasz problem będzie rozwiązany. Viotia stanie się nieistotna, tak samo jak nasz nieuchwytny Drugi Śniący. A my będziemy o krok bliżej do Pustki.

- To byłoby... cudowne - powiedział Falven.

- Nasi Mistrzowie Snów monitorują obecnie gniazda konfluencyjne, łapiąc czas, kiedy Drugi Śniący zacznie śnić. Kiedy to nastąpi zrobimy próbę.

- A jeśli się nie uda?
- Wtedy przedstawimy Radzie waszą propozycję.

Tysiąc czterysta lat życia to długi czas, bez względu na przyjęte normy. Istnieli jednak obywatele Wspólnoty, którzy pozostali w swoich ciałach dłużej - Paula spotkała nawet kilku z nich. Nie bawiła się dobrze w ich towarzystwie. W większości byli to członkowie Dynastii, którzy nie chcieli zapomnieć o czasach, kiedy ich imperia rodzinne rządziły Wspólnotą. Po tym jak biononika, ZAN i kultura Elewatów zmieniła na zawsze Światy Centralne, oni zatrzymali co mogli ze swoich starodawnych bogactw i osiedlili się w Światach Zewnętrznych, gdzie zajęli się odtwarzaniem swojego osobistego złotego wieku.

Mieli pieniądze i wpływy, by móc budować śmiałe, nowe, eksperymentalne społeczeństwa, coś innego, coś ekscytującego. Jednak jedynym wyjątkowym elementem ich stylu życia była tylko ta niezwykła długowieczność. I im dłużej utrzymywali swoje małe imperia wokół siebie, tym bardziej stawały się one odporne na zmiany. Nie próbowano niczego nowego, a zamiast tego szukano w historii wzorców stabilności. Zwłaszcza na jednej z planet ich inżynieria społeczna osiągnęła dno. Na Iaioud, gdzie rządzący kolektyw Halgarth założył i utrzymywał społeczeństwo jeszcze mniej podatne na zmiany niż Azyl Huxleya. Uzyskano to za pomocą prostego środka - zabroniono poczęć. Po osiągnięciu pięćdziesiątki każdy obywatel był odmładzany, a jego pamięć ścierana - tylko państwo wiedziało kim był i jaką pracę wykonywał najlepiej. Kiedy budził się w klinice świeżo po kuracji, zostawał przydzielony do tego samego zawodu i spędzał następne pięćdziesiąt lat robiąc to samo, co robił przez ostatnie pięćdziesiąt, sto, trzysta lat. Była to ostateczna forma feudalizmu.

Trzysta lat temu Paula kierowała tam zespołem tajnych agentów. Przenikali do klinik, które wykonywały kurację odmładzającą i powoli je korumpowali. W ciągu następnych pięciu lat ścieranie pamięci stało się niekompletne, pozwalając ludziom wspominać, jak było wcześniej. Tysiące kobiet odkryło,

że ich odmłodzone ciała znowu mają funkcjonalną macicę. Ustanowiono podziemne sieci - z początku pomagały przestępczym wyrzutkom, które urodziły dzieci, a potem wzięły na siebie większą rolę - stały się opozycją polityczną przeciw reżymowi Halgarthów.

Czterdzieści lat po tym jak Paula i jej zespół ukończyli misję siania niepokoju na laioud, rewolucja przy minimalnym użyciu siły obaliła kolektyw Halgarth.

W tamtym czasie Paula martwiła się, że nadal nie jest gotowa do tego rodzaju misji. Od dłuższego czasu czuła, że się zmienia. Uświadomienie sobie, że musi się umyślowo przystosować, by nadążyć za wciąż zmieniającymi się kulturami Wielkiej Wspólnoty to jedna sprawa. Ale inaczej niż wszyscy inni, musiała podjąć świadomą decyzję - czy zmienić się fizycznie, by pozwolić na ewolucję swoich poglądów? Jej starannie zaprojektowane DNA ułożyło neurony w szczególne cechy osobowości. Aby przeżyć dowolny postępowanie umyślowe, musiała najpierw zniszczyć to, co było. Działanie, które niebezpiecznie zbliżało się do samobójstwa tożsamości. A w niej, tak jak w każdym człowieku, próżność nie była związana z DNA; Paula uważała swoją istniejącą osobowość za więcej niż odpowiednią - krótko mówiąc, lubiła być sobą.

Ale małymi krokami, za każdym razem, kiedy musiała się poddać rejuwenacji, w trochę większym stopniu modyfikowała swój profil psychoneuronalny. Przy końcu trzystuletniego procesu, nadal miała obsesję na punkcie wielu rzeczy, ale teraz raczej był to wybór niż fizycznie zaprogramowany przymus. Pewnego razu, dawno temu, kiedy próbowała umyślowo przewyciężyć swą potrzebę zatrzymania przestępcy, by osiągnąć większy cel, wysiłek sprawił, że jej ciało przeżyło ostry szok. Teraz, po usunięciu fizjologicznych ograniczeń Fundacji, jej umysł mógł się rozwijać na sposoby, których jej dawno zmarli projektanci nawet nie potrafili sobie wyobrazić. Urodziła się z wbudowaną intencją tropienia indywidualnych przestępców, takich, którzy mogli dręczyć społeczeństwo Azylu Huxleya. Obecnie miała swobodę spoglądania na swe działania z

perspektywy ogólnej. Jednak żadne z wyzwoleń, które dla siebie wybrała nigdy nie dotyczyło rdzenia jej tożsamości, zawsze zachowywała intuicyjne rozumienie, co jest złe, a co dobre. Jej dusza pozostawała niespaliona.

Iaioud ostro przetestował jej nową, wszechstronną osobowość. Zaakceptowała fakt, że sposób w jaki kolektyw Halgarth ustanowił konstytucję był zły ze swej istoty, że gnębił całą ludność. W gruncie rzeczy być może przyznałaby to wcześniej. Ale cała natura sztywnego społeczeństwa Iaioud była niewygodnie bliska strukturze Azylu Huxleya. Po pewnym czasie uznała, że różnica jest dość prosta. Na Iaioud ludzie byli trzymeni w ryzach przez brutalnie autorytarny reżym, niewłaściwie używający technik medycznych Wspólnoty. Tymczasem na Azylu ograniczenia i dostosowywania nadeszły od wewnątrz. Możliwe, że popełniono przestępstwo bezpośrednio przy zakładaniu kolonii, kiedy Fundacja Ludzkiej Struktury zaczęła produkować całą ludność z DNA zmodyfikowanym według ich wielkiego planu. Stare grupy liberalne mogły mieć słuszość - myśl, która nareszcie sprawiłaby przyjemność radykałom, którzy ukradli ją, gdy była dzieckiem. Ale bez względu na grzech popełniony przy narodzinach społeczeństwa, ograniczenia nałożone na to społeczeństwo były wewnętrzne. Jego mieszkańcy nie mogliby zostać zmienieni bez zniszczenia tego, czym byli. To byłaby znacznie większa zbrodnia.

W każdym razie przekonała samą siebie. Obecnie odłożyła to na bok, jako spór między filozofiami. Interesujący i zupełnie niezwiązany z realnym życiem. Wspólnota miała dosyć rzeczywistych problemów, by Paula miała pełne ręce roboty. Chociaż, musiała to przyznać nawet ona, ta cała sprawa z Pielgrzymką wywoływała pewne unikatowe komplikacje.

Przede wszystkim nie mogła zdecydować, czy Żywy Sen ma prawo wyruszyć na Pielgrzymkę i lekceważyć możliwe konsekwencje. Dylemat wiązał się z całkowitym brakiem dowodów empirycznych, że Pustka pożre resztę galaktyki. Musiała przyznać, że mnóstwo Frakcji popierających Pielgrzymkę i różni komentatorzy, mieli prawo być sceptyczni w

tej sprawie. Założenie, że Żywy Sen igra z anihilacją, było całkowicie oparte na informacjach pochodzących od raieli. Ogromny wpływ czasu od ostatniej katastrofalnej makroekspansji mógł zniekształcić najstaranniej przechowywaną informację. A jeśli doda się do tego kosmitów, ze swoimi własnymi celami... Paula nie mogła po prostu zaakceptować takiej tezy bez dowodów.

ZAN:Władze również bardzo chciały zebrać więcej informacji na temat bieżącej sytuacji, co dało Pauli pożyteczne ujście dla jej energii i dzięki Bogu mało czasu, by zastanawiać się nad zagadnieniami politycznymi, które się z tym wiązały. Jej zadanie, jak zawsze, polegało na przeszkodzeniu Frakcjom we wmanewrowaniu obywateli Wspólnoty w działania, których w innym przypadku by nie wykonali.

Opuściła klinikę św. Marii i wróciła na swój statek - „Alexis Denken”, opływową jednostkę z ultranapędem. Statek dostarczyły ZAN:Władze i uzbroiły go do tego stopnia, że zaalarmowałoby to każdego kapitana floty. Paula odleciała z planety, a potem wisiała w stazie transwymiarowej dwadzieścia jednostek astronomicznych od gwiazdy. Była to pozycja, która ze zdumiewającą dokładnością pozwalała jej monitorować ruch statków nadświetlnych w całym systemie Anagaski. Niestety, jedną z rzeczy, której nie potrafiły zrobić czujniki statku, było zlokalizowanie zimnego tropu. Po statku Aarona nie pozostał żaden ślad. Jego nieobecność po niewielkim czasie, jaki upłynął od napadu na klinikę do przybycia Pauli, dawała podstawy do przypuszczenia, że Aaron dysponuje statkiem z ultranapędem. Marius z pewnością taki miał. Jej u-adiunkt monitorował jego powrót do kosmoportu i wejście na prywatny jacht. Czujniki „Alexisa Denkena” wyśledziły, jak jacht wślizguje się do hiperprzestrzeni. Dla wtajemniczonych jego sygnatura również wskazywała na ultranapęd.

Godzinę później Dostawca wyleciał we własnym statku, którego sygnatura napędu była równie podejrzana. Odleciał w prawie dokładnie przeciwnym kierunku niż Marius. Dziesięć minut później w kometarnym halo układu inny statek wyszedł z

transwymiarowej staży i poleciał tym samym kursem co Dostawca.

- Powodzenia - Paula przesłała życzenia Justine.

- Dzięki.

Paula otworzyła ultra bezpieczne połączenie do ZAN:Władz.

- Wydaje się, że wasza technika ultranapędu jest kompletnie skompromitowana - zameldowała.

- Należało się tego spodziewać - odparł ZAN:Władze. - Spopularyzowanie teorii jego budowy to niezupełnie moja wina. Większość Frakcji dysponuje odpowiednimi zasobami intelektualnymi. A kiedy ma się już równania, dowolny replikator Elewatorów powyżej piątego poziomu może wyprodukować odpowiedni sprzęt.

- Nadal sądzę, że możesz posłużyć się władzą w nieco większym stopniu. Mimo wszystko, każda Frakcja jest częścią ciebie.

- Frakcje są sposobem, w jakim pozostaję całością. Jestem mnogi.

- Twój sposób mówienia brzmi tak, jakbyś miał elektroniczną wersję psychozy dwubiegunowej.

- Raczej wielomiliardowobiegunową. Ale tym właśnie jestem. Wszystkie indywidua, które do mnie dołączają, robią to wpisując na mnie swoje programy osobowościowe. Jestem zbiorową świadomością wszystkich mieszkańców ZAN, to właśnie stanowi istotę mojej władzy. Po przekazaniu tej esencji, mogą się stać tym, czym chcą. Nie zabieram im również ich wspomnień, byłaby to aneksja indywidualności.

- Musisz przejść przez ucho igielne, by mieszkać na placu zabaw bogów.

- Jeden z lepszych cytatów Iniga - skomentował ZAN:Władze z rozbawieniem. - Szkoda, że wygłosił również resztę tego kazania.

- Nie ułatwiasz mi pracy.

- Wszystkie moje zasoby są do twojej dyspozycji.

- Ale jestem tylko jedna i czuję się jakbym walczyła z hydrą.

- Ten brak pewności siebie jest do ciebie niepodobny. O co chodzi?

- Oczywiście o Pielgrzymkę. Czy powinno się na nią pozwolić?

- Ludzie z Żywego Snu wierzą, że jest to zarówno ich prawo, jak i ich przeznaczenie. Jest ich miliardy. Czy tak wielka wiara może się mylić?

- Tak, jeśli narażają na niebezpieczeństwo biliony.

- Racja. To nie jest pytanie na które można łatwo odpowiedzieć. Nie w jednoznacznych terminach, których się domagasz.

- A co jeśli oni włączą w Pustce fazę ostatecznego lub przynajmniej ogromnego pożerania?

- Ach, teraz to jest prawdziwe pytanie. A także takie, na które nie sądzę, bym mógł odpowiedzieć a priori. Ani ja, ani inni postfizyczni, z którymi nawiązałem łączność nie są świadomi, co dzieje się wewnątrz Pustki.

- Inigo wam pokazał.

- Inigo pokazał los ludzi w Pustce. Co, akurat nie różni się od załadunku we mnie; chociaż Pustka może bardziej przemawiać do technofobów, gdyż w przekazach Inigo dźwięczą na wprost mistyczne nuty. I trzeba pozostać w postaci fizycznej. Inigo nie pokazuje natomiast natury samej pustki.

- Więc jesteś gotowy na ryzyko?

- W tej chwili jestem gotowy pozwolić aktorom dumnie kroczyć po scenie.

- Tak. To nie jest zdecydowane działanie.

- Gdybym zabronił Pielgrzymki i wymusił ten zakaz, wywołałbym w sobie rozłam. Frakcje popierające Pielgrzymkę, takie jak Progresywiści, prawdopodobnie spróbowałyby zbudować własną wersję mnie. I łaskawie pamiętaj, że ja nie jestem środowiskiem wirtualnym. Istnieję całkowicie realnie w przecięciu pól kwantowych wokół Ziemi.

- Boisz się rywala?

- Rasa ludzka nigdy nie była tak zjednoczona jak dzisiaj. Osiągnięcie tej zgodności zajęło całą naszą historię. Wszyscy ludzie żyją dobrze, a ich życie jest wypełnione tak różnorodnie, jak tylko sobie życzą. Migrują do wewnątrz, aż załadowują się do mnie. Wewnątrz mnie mogą swobodnie wznosić się na wyższe poziomy rozwoju. I to na tyle sposobów, na ile pozwalają im zdolności i wyobraźnia. Pewnego dnia, jako całość, stanę się

postfizyczny. Ludzie, którzy nie życzą sobie podróżować tą drogą, zaczną od nowa. Taka jest wizja ewolucji, która nas czeka. Konkurencyjny punkt zogniskowania, zniekształci tę wizję, możliwe, że nawet uszkodzi, lub rozcieńczy chwilę osobliwości.

- Może istnieć tylko jeden bóg, he?

- Może być wielu. Ja po prostu chciałbym uniknąć stworzenia wrogich bogów. Nikt nie chce być świadkiem wojny w niebiosach. Wierz mi, w porównaniu z tym Pustka i jej pożeranie wydają się rzeczą trywialną.

- Sadziłam, że różnorodność to nasza zaleta.

- To jedna z naszych zalet i jako taka, ona kwitnie we mnie.

- Ale...

- To także niebezpieczeństwo, które może doprowadzić do naszego zniszczenia. Przeciwstawne siły muszą być równoważone. To moja funkcja.

- I jedna z dziedzin w której możesz zawieść, jeśli nie będziesz uważny.

- Niewątpliwie.

- Więc musimy znaleźć inne opcje.

- Tak jak robili to ludzie od czasu, gdy na Ziemi zaczęła się cywilizacja. To właśnie, jak sądzę, jest największą zaletą.

- Więc dobrze. - Paula przerwała na chwilę, by uporządkować myśli. - Nie jestem pewna, kto stoi za napadem na klinikę. To zastanawiające, dlaczego zarówno Progresywiści jak i Konserwatyści mieli tam swoich obserwatorów. Czy myślisz, że zamieszana jest w to jakaś trzecia Frakcja?

- To bardzo prawdopodobne. Wiele przymierzy zawiązuje się i rozpada. Jednakże, wkrótce może będziesz mogła ustalić ich tożsamość. Admirał Kazimierz właśnie odbiera wiadomość od admirała bazy w „Wysokim Aniele”. Prawdopodobnie poprosi cię, byś to załatwiła.

- Ach.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała...

- Dam ci znać.

Połączenie zakończyło się. Paula usiadła wygodnie w głębokim, krzywym fotelu, który ukształtowała dla niej kabina statku. Czują

się niepewnie. Trapił ją brak pokrzepienia ze strony ZAN:Władz. Choć przypuszczała, że powinna być wdzięczna, że jest z nią szczerzy.

Kazimir wywołał ją po niecałej minucie.

- Jak poszło śledztwo na Anagasce? - zapytał.

- Rezultat dodatni. To był stanowczo ktoś z zaawansowaną biononiką i możliwe, że miał statek z ultranapędem. Celem była stara komórka pamięci Iniga.

- Ciekawe. Właśnie otrzymałem meldunek, że „Alini”, prywatny statek gwiazdny zadokował przy „Wysokim Aniele”

- W jaki sposób dotyczy to sprawy?

- Zadokował przy kopule raieli. Czujniki floty wykryły sygnaturę, która może wskazywać na ultranapęd.

To zwróciło uwagę Pauli.

- Zrobił to teraz? Raielowie niewielu ludzi wpuszczają do swojej kopuły. Do kogo należy „Alini”?

- Nie wiadomo. Jest zarejestrowany na firmę na Sholapurze.

- Już tam lecę.

Dostawca wylądował na głównym kosmoporcie na Daroce. Zaparkował swój statek z ultranapędem - „Jomo” - na placu połączonym z trzecim budynkiem terminalowym, który obsługiwał prywatne jachty. Potem poszedł przez pole do pobliskiej strefy hangarowej. Sekcję nawigacji naziemnej portowego smartkoru infiltrowała pluskwa dywersyjna. Dostawca wiedział o niej wszystko, ale mu to nie pomagało. Wszystkie hangary były identyczne, ich szeregi ustawiono w równy szyk. To nieco dezorientowało. Nie na tyle, żeby się zgubił, nie ze swoimi modyfikacjami i instynktownym wyczuciem kierunku. Ale po prostu na wszelki wypadek... Jego u-adiunkt przechwycił w czasie rzeczywistym obrazy z satelity czujnikowego i poprowadził go do celu.

W końcu stanął przy podstawie lśniącej czarnej ściany, gdzie małych bocznych drzwi strzegła doskonała tarcza ochronna. Nawet stosując pełne funkcje polowe, nie mógł określić, co jest w

środku. Uśmiechnął się. To wyglądało na tę rzecz.

Jego biononika zaczęła modyfikować swoje funkcje polowe, drażniąc tarczę ochronną różnymi wzorcami energii, wprowadzając małe niestabilności, które szybko zaczęły narastać. Jego u-adiunkt sięgnął w nowopowstałe luki i wpuścił rój inteligentnych koni trojańskich do sieci hangaru.

Drzwi otworzyły się jak żrenica.

Dziewięćdziesiąt siedem sekund. Nieźle.

Wewnątrz jego funkcje polowe skanowały otoczenie w poszukiwaniu prawdopodobnego uzbrojenia strażniczego, a jego u-adiunkt grzebał w systemach elektronicznych hangaru. Troblum założył dość standardową sieć obronną z koncentrycznymi tarczami wokół głównej sekcji hangaru. Fizyk był najwyraźniej bardziej zainteresowany odosobnieniem niż ochroną osobistą.

Skanowanie Dostawcy nie wykryło w hangarze żadnej ludzkiej obecności. Pierwszy gabinet był wyraźnie terenem recepcyjnym, przykrywką dla tych, którzy przeszli przez układ pozorujący. Za nim znajdował się drugi gabinet z jednym z największych smartkorów, jakie Dostawca kiedykolwiek widział. Nie był on podłączony do sieci hangaru ani do unisfery. U-adiunkt Dostawcy nawiązał łączność z jego systemami peryferyjnymi i sondował dostępne pliki.

Dostawca wszedł do głównego hangaru. Gwizdnął cicho, zobaczywszy rozległy zestaw cybernetycznych modułów Neumanna, zajmujących połowę pomieszczenia. Maszyna była wyłączona, ale dostatecznie znał technikę, by zgadnąć, że prawdopodobnie przekracza swoją złożonością replikatorzy szóstego poziomu. Zwykły obywatel - Elewat na ogół nie posiadał takich rzeczy. Nic dziwnego, że Troblum potrzebował tak wielkiego smartkoru, nic innego nie mogłoby sterować takim sprzętem.

- Czy możesz wejść do pamięci głównej? - zapytał u-adiunkta.

- Nie jest to dla mnie możliwe. Będę potrzebował pomocy wysokiego poziomu.

Dostawca zaklął i otworzył ultra bezpieczne połączenie z

Fracją Konserwatystów. Istniało niewielkie ryzyko, że wiadomość zostanie przechwycona przez inną Frakcję, lub przez same ZAN:Władze, ale w obliczu tego, na co się natknął, uznał, że to konieczne.

- Potrzebuję pomocy w uzyskaniu dostępu do smartkoru Trobluma. Powinno nam to dać pojęcie, co tu budował.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Frakcja Konserwatystów.

U-adiunkt dostarczył połączenia, a Dostawca niemal czuł, jak obecność Frakcji przesuwają się do hangaru. Zaczęła infiltrować smartkor. Kiedy to robiła, Dostawca przeglądał bardziej przyziemne pliki z sieci hangaru. Szukał terminów dostaw. Pojedyncze składniki maszyny musiały skądś pochodzić, a AEM do ich otrzymania znacznie przekraczała zasoby jednej osoby. Nie było jednak sądu, w którym Konserwatorzy mogliby się skonfrontować z Progresywiściami, nawet, gdyby wyszedł przepływ danych aż do ich przedstawicieli. Ale, gdyby mógł znaleźć pośrednika, zaopatrującego Trobluma w dodatkowe AEM, istniała szansa, że znajdzie inne tajne przelewy AEM z tego samego źródła. Odsłoniłoby to cały poziom działalności Progresywiściami.

- W tym smartkorze zmagazynowano tylko jeden projekt - oznajmiła Frakcja Konserwatystów. - Wydaje się, że to silnik nadświetlny zdolny przetransportować planetę.

Dostawca obrócił się i gapił na ciemną maszynę, sterczącą tuż nad nim. Jego wzrok przyciągnął okrągły wysunięty mechanizm pośrodku.

- Całą planetę?

- Tak.

- Czy to by zadziałało?

- Ten projekt opiera się na pomysłowym wykorzystaniu teorii materii egzotycznej. Jeśli się ją zastosuje prawidłowo, może zadziałać.

- I ta maszyna zbudowała coś takiego? - zapytał, nadal gapiąc się na urządzenie.

- Były dwie próby wytworzenia silnika. Pierwsza została przerwana. Wydaje się, że druga została ukończona z

powodzeniem.

- Dlaczego chcieliby rozpędzać planetę do szybkości nadświetlnej? I którą planetę?

- Nie wiemy. Proszę cię, zniszcz maszynę i smartkor.

Dostawca wziął się pod boki i spojrzął na maszynę z przerażeniem.

- Jaki maksymalny poziom techniki mogę tu zastosować?

- Nieograniczony. Nikomu nie wolno wiedzieć, że to kiedykolwiek istniało, a już na pewno nie Elewatom.

- Dobrze. Jak sobie życzyście.

Fracja Konserwatystów zakończyła połączenie. Dostawca poczuł się niezwykle samotny. Teraz, kiedy znał cel maszyny, cichy hangar miał w sobie coś ze starodawnej sceny morderstwa. Nie czuł się dobrze w tym miejscu. Denerwowało go ono.

Wywołał smartkor „Jomo” i kazał mu przylecieć. Główne drzwi hangaru otworzyły się przed statkiem, który przeniknął przez ekran ochronny i usadowił się na kołyskach wewnątrz. Jego dziób niemal dotykał ściany z urządzeń Neumanna. Dostawca upewnił się, że ekran ochronny hangaru jest włączony na najwyższą moc, a potem stanął pod otwartą śluzą „Jomo” i dał się wciągnąć przez jej grawitację. Kiedy znalazł się w środku, wykorzystał wielokrotnie poświadczoną autoryzację do aktywacji m-rząpi Hawkinga, zmagazynowanego w jednej z przednich ładowni. Małe urządzenie było umieszczone w środku sań regrawowych wysokiej mocy, które wysunęły się i zawisły przed urządzeniami cybernetycznymi Neumanna. Kiedy sanie już się ustawiły, Dostawca skierował na maszynę wąski impuls dystorsyjny, tuż nad m-rząpiem Hawkinga. Półmetrowa sekcja sprzętu wyparowała, wypuszczając poziomą fontannę gorącego, zjonizowanego gazu. Fontanna wygięła się lekko w powietrzu i została wciągnięta w m-rzapie Hawkinga, które wchłonęło wszystkie cząsteczki. Dostawca powiódł impulsem dystorsyjnym po przodzie maszyny, wodząc za jego śladem m-rzapie.

Wyparowanie całej maszyny zabrało czterdzieści minut. Kiedy się skończyło m-rzapie wchłonęło trzysta dwadzieścia siedem ton materii, co stanowiło niemal limit nośności sań

regrawowych. Sanie wsunęły się do ładowni statku. Dostawca poprosił port o pozwolenie na odlot i „Jomo” wzbił się w ciepłe, letnie niebo Arevalo.

Justine obserwowała jego odlot bezpieczna we własnym statku, zaparkowanym na placyku w tej samej uliczce, osiem hangarów dalej.

Zmierzch skąpał Hawksbill Bay intensywnym złotym odcieniem, na tyle łagodnym, że dziwne konstelacje mogły wesoło mrugać na bezchmurnym niebie. Jedyne dźwięki nad basenem pawilonu pochodziły od fal rozbijających się o skały przylądka poniżej.

- Silnik nadświetlny przesuwający planety - powiedział Nelson.
- To budzi ich podziw. Nie myślą detalicznie.

- W ogóle nie myślą: kropka - warknął Gore. - ZAN jest zanurzona w lokalnych polach kwantowych. Nie można ich po prostu zerwać i rzucić przez galaktykę, na ślepa randkę z Pustką.

- Oni najwidoczniej w to wierzą. AEM Trobluma przechodzi przez jeden z ich fasadowych komitetów. Zbudował silnik dla Progresywistów.

- Nie wierzę - powiedział Gore kręcąc głową. - Wygłosił nawet prelekcję dla floty o anominach, którzy wcześniej wykorzystali coś podobnego, by przyciągnąć generatory bariery Dysona. Nawet poprosił Kazimira, by wszczął ich poszukiwanie, na rany Chrystusa. Czemu Ilanthe miałyby mu pozwolić publicznie przedstawić tę ideę? Rozbiliby go na atomy, zanim by zdążył wysłać zaproszenia dla floty. Nie, nie mamy jeszcze wystarczająco dużo informacji.

- To ma sens, jeśli to dywersja. - Odparł niechętnie Nelson. - Oni nie budowali nic, co ma takie znaczenie dla ich planów w świecie Elewatów. My tak nie robimy.

- I zbudowanie tego zabrało wiele lat przy dość nędznym budżecie. To niewłaściwy poziom priorytetów. Naprawdę musimy znaleźć Trobluma i grzecznie zapytać, co on właściwie robi dla Progresywistów.

- Opuścił Arevalo jakiś czas temu. Według planu lotu miał lecieć

na Lutan. Nigdy się nie pokazał, ani tam ani na żadnym innym świecie Wspólnoty, ani Centralnym, ani Zewnętrznym.

- Musimy go znaleźć - powtórzył Gore stanowczo.
- Nie uda nam się. Albo mają go Progresywiści, albo się ukrywa, albo, co bardziej prawdopodobne jest po prostu martwy.
- Więc dowiedzmy się o który z tych przypadków chodzi.

Justine stała pośrodku niesamowicie pustego hangaru. Wywołała Paulę.

- Tu jest nie tak.
- Pod jakim względem? - spytała Paula.
- Sądzę, że Dostawca wyczyścił to miejsce - Justine powoli rozglądała się po wielkiej pustej przestrzeni, przekazując ten obraz Pauli. - Widzisz? Tu coś było. Moje skanowanie połowe wskazuje, że te kable zasilające przecięto impulsem dystorsyjnym. To samo dotyczy dźwigarów podpierających. Cokolwiek to było, miało spore rozmiary i zużywało mnóstwo energii. Ale „Jomo” nie jest większy od mojego statku. Co pozostawia tylko jedną możliwość.
- Myślałam, że m-rząpie Hawkinga jest bardziej poufne niż technika ultranapędu. Wygląda na to, że się myślę, co jest niepokojące.
- Trzeba o tym powiedzieć Kazimirowi - odparła Justine. - Jeśli po Wspólnocie latają statki, wyposażone w taki rodzaj broni, flota powinna być poinformowana. Frakcje wykorzystują na swoich reprezentantów ludzi, którzy nieszczerólnie dochowują wierności zasadom.
- Pozostawię to tobie.
- Wspaniale. Dziękuję. On jest człowiekiem w wystarczającym stopniu, by winić posłańca.
- To zawodowiec. Nic ci nie zrobi. Czy wiesz, dokąd skierował się Dostawca?
- Kiedy opuścił zasięg moich czujników, kierunek wskazywał na Ziemię. Wyobrażam sobie, że wpierw będzie chciał się pozbyć masy zmagazynowanej w m-rząpiu Hawkinga, i zrobi to głęboko

w przestrzeni międzygwiazdnej. Wypuszczenie tego wywoła kolosalną emisję promieniowania gamma.

- Na razie zostaw go w spokoju. Centrum uwagi znowu przesuwa się na Żyjący Sen.

- Czemu?

- Nasze źródła w ich ruchu zameldowały o niepokojącym wydarzeniu - wyjaśniła Paula. - Żyjący Sen przygotowuje siły bezpieczeństwa cywilnego na wszystkich głównych światach Strefy Wolnego Handlu. Urlopy odwołano i wszyscy przechodzą szkolenia w wymuszaniu praw stanu wojennego.

- Stan wojenny? Wprowadzono go w Strefie Wolnego Handlu?

- Nie wprowadzono. Jeszcze nie. Ale jeśli mają zamiar zaanektować Viotię, prawdopodobnie będą potrzebować wielu policjantów, by kontrolować jej ludność.

- Jezu! Planują to?

- Ethan jest zdesperowany, chce zyskać kontrolę nad Drugim Śniącym. On właśnie jest osobą, która może zatrzymać w biegu tę całą Pielgrzymkę.

- I wszyscy wierzą, że jest na Viotii - powiedziała przerażona Justine. - Wielkie nieba, inwazja międzygwiazdna. W tych dniach i w tej epoce to nie do pomyślenia, to relikwiny wojny Gwiazdokrążcy.

- Zaczynaj o tym myśleć. Zrobiłam błąd, nie nadając temu wyższego priorytetu. Naprawdę musimy zaoferować Drugiemu Śniącemu ochronę ZAN:Władz. W ten sposób nikt nie będzie go naciskał, by pomagał czy przeszkadzał Pielgrzymce.

- Ale wpieryw musimy go znaleźć. Jak szybko możesz przydzielić do tej pracy swojego agenta?

- Lada moment. Lecę się z nim zobaczyć. Po drodze załatwię jeszcze jedną krótką wizytę.

Justine podejrzliwie oglądała wewnętrzny gabinet hangaru. Było tam puste miejsce, do którego prowadziły trzy kable łączności o równo uciętych końcach.

- Cokolwiek tu budowali, było najwyraźniej ważne i Dostawca sporo ryzykował zacierając ślady. Nie sadzę, by pozostało nam wiele czasu.

- To kupa gówna. Nie działa. Twój idioci nie wzięli pod uwagę sterowania mocą.

- Masz analizę problemu?

Troblum mógł tylko potaknąć, gdyż żuł gorący chleb florattowy z mozzarellą i ziołami. Jego u-adiunkt przesłał plik.

- Dziękuję. Zespół recenzujący to zbada. W ciągu godziny będziesz miał odpowiedź. Taka jest procedura.

- Jasne, Dobrze. - To wspaniale, że problem techniczny został załatwiony, ale do spaghetti z ziołowymi kulkami mięsnymi i sosem attrato przydałoby się więcej czarnego pieprzu. Sięgnął po swój kufel, ale dłoń Neskii przykryła jego dłoń, przeszkadzając mu podnieść piwo. Jej skóra połyskiwała od bieli do srebra. Nie wyczuwał temperatury jej palców - nie były gorące ani zimne.

- Co takiego?

Jej oczy mrugnęły, zmieniając barwę źrenic od czerni do głębokiego indygo.

- W przyszłości. W miejscach publicznych. Kiedy jesteś tutaj, na mojej stacji. Proszę cię, dopilnuj, żeby działał twój program interakcji towarzyskich i kieruj się jego radami.

- Och. Dobrze. - Nachylił głowę w kierunku kufła.

- Dziękuję, Troblum. - Podniosła dłoń. - Czy jest coś jeszcze? Zdaje się, że projekt pochłania większość twojego czasu.

- Taa, to interesujące. Może się to łączyć z jednym z moich własnych projektów. Ultranaśpęd to fascynująca przeróbka kwantowej teorii wymiarów. Kto wyszedł z inicjatywą?

- Chyba ZAN:Władze. Czy to ważne?

- Nie. - Odsunął na bok talerz spaghetti i zajął się jagnięciną.

Neskia nadal patrzyła na niego. Chciała się znowu odezwać, kiedy nadeszło dwoje ludzi i zatrzymało się przy ich stole. Troblum skończył żucie i podniósł wzrok - wiedział, że właśnie to doradziłyby mu program towarzyski. Marius spoglądał na niego z góry ze swą zwykłą wyrefinowaną pogardą. Ale to jego towarzyszka sprawiła, że Troblum znieruchomiał. Jego członki nie chciały się poruszyć. Na szczęście, to samo dotyczyło jego ust,

co powstrzymało go od rozwarcia szczęk i jęknięcia. Nie mógł też oddychać, gdyż coś w rodzaju szronu sunęło mu w dół przez płuca.

- Przedstawiłbym was - powiedział zimno Marius. - Ale ze wszystkich ludzi na tej stacji właśnie ty tego nie potrzebujesz. Powiedz, potrzebujesz?

Mroczna fascynacja Trobluma mocno krępowała mu mięśnie. Kobieta nie była łatwo rozpoznawalna, nie miała już tego czuba na głowie, który widniał we wszystkich plikach jej historii. Włosy nadal były ciemne i krótkie, ale dzisiaj zaczesła je gładko do tyłu, a nad czoło przesunęła wąskie, miedziane okulary słoneczne. Miała na sobie szykowny nowoczesny kostium, a nie skórzane spodnie i ciasną bluzkę, które kiedyś preferowała. Ale ta ciemnawa cera i szeroki rozbawiony uśmiech, na granicy szaleństwa... Nie było wątpliwości. Była znacznie mniejsza niż sobie wyobrażał, ledwo sięgała mu do ramion, a jednak ciągle ją wizualizował jako Amazonkę.

- Troblum jest z zamiłowania historykiem - powiedział Marius. - Zna całą masę dziwnych faktów.

- Jaka jest moja ulubiona potrawa? - spytała Kotka.

- Risotto cytrynowe ze szparagami - wyjąkał Troblum. - To była specjalność restauracji, w której jako piętnastolatka pracowałam jako kelnerka.

Uśmiech Kotki wyostrzył się.

- Czym on, kurwa, jest? - zwróciła się do Mariusa o wyjaśnienie.

- Sawant z wojną Gwiazdokrażcy jako fetyszem. Jest dla nas użyteczny.

- Jeśli was to podnieca.

- Jesteś w stazie - powiedział Troblum bezbarwnym tonem. Nie mógł powstrzymać wychodzących słów, mimo że się jej bał. - Zostałaś skazana na pięć tysięcy lat.

- Au. Jest naprawdę całkiem słodki - powiedziała Kotka do Mariusa. Obdarzyła Trobluma lubieżnym mrugnięciem. - Ja to kiedyś odsiedzę. Obiecuję.

- Jeśli zechcesz chwilę poświęcić - poprosił Marius Neskię. - Musimy wybrać odpowiedni statek dla naszego gościa.

- Oczywiście. - Wstała.

- Ach tak - dodał Marius, jakby nie miało to żadnego znaczenia. - Czy Troblum się dobrze zachowuje?

Neskia przeniosła wzrok z Mariusa na Trobluma.

- Jak na razie dobrze. Był całkiem pomocny.

- Tak trzymać - powiedział Marius. Nie uśmiechał się.

Troblum skłonił głowę, niezdolny do patrzenia na którekolwiek z nich. Zbyt wielu ludzi. Zbyt blisko. Zbyt natrętni. I jedna z nich to Kotka! Nie był dzisiaj przygotowany na takie spotkanie. Żadnego dnia zresztą nie był na to przygotowany. Ale wyszła ze staży - w jakiś sposób i sobie spaceruje. Jest na tej stacji!

Jego displej medyczny rozbłysł niebieskimi symbolami z boku egzowizji, informując go, że włączyła się jego biononika, że ingeruje w mięśnie jego torsu, uspakaja je do stałego rytmu. Zupełnie nie zauważył, że zaczął oddychać w taki sposób, jakby ktoś ścisnął mu gardło. Niewielki koktajl lekarstw wypłynął z gruczołów wielkokomórkowych, obniżając tempo bicia serca.

Troblum zaryzykował podniesienie wzroku, na twarzy malowało mu się okropne poczucie winy. Tamta trójka odeszła, usunęła się z pola widzenia, usunęła się z baru. Koledzy, którzy nadal tu siedzieli, patrzyli na niego z ciekawością. Chciał im powiedzieć, chciał krzyknąć: To nie na mnie powinniście się gapić.

Zamiast tego poczuł, jak zaczyna drzeć, gdzieś w głębi korpusu. Szybko wstał. Zakręciło mu się od tego w głowie. Biononika wzmocniła mu mięśnie nóg, umożliwiając pośpieszne wyjście z baru. W korytarzu jego u-adiunkt przywołał dla niego bota na kółkach, by na nim usiadł. Bot zawiózł go do kwatery, gdzie klapnął na łóżko. Załadował certyfikat dziewiątego stopnia do zamka, choć wiedział, jak daremna to czynność.

Kotka!

Leżał na łóżku, włączył ogrzewanie kabiny i czuł, jak szok powoli odpływa. Wyzwolenie się od fizycznych symptomów nie zmniejszyło strachu. Ze wszystkich megalomaniaków i psychopatów w historii, Progresywiści przywrócili do życia właśnie ją. Troblum godzinami leżał w ciepłej ciemności i

zastanawiał się, co sprawiło, że nie mieli innego wyboru, jak tylko ją wykorzystać. Zawsze popierał ruch Progresywistów, ponieważ był tak logiczny. Oni pielęgnowali ewolucyjny rodowód, który zaczął się od jednokomórkowych ameb i zakończył się wyniesieniem do stanu post-fizycznego. Konieczność, z którą nie można dyskutować. Inne Frakcje myliły się, to rzucało się w oczy. Jemu. Filozofia Progresywistów przemawiała do jego natury fizyka. Ponieważ ten przykry, złośliwy Marius miał rację, nie pozostało mu wiele więcej, jeśli chodzi o osobowość.

Zapomnij o tym. To nie dotyczy sprawy.

Ponieważ coś, co wykorzystuje do działania Kotkę, nie może być słuszne. Po prostu nie może.

Piąty sen Iniga

„...wobec tego, ponieważ miasto jest uważane za jedyną istotę, z własnymi prawami, żaden człowiek nie może «posiadać» swojej rezydencji w tradycyjnym sensie prawnym. Jednakże w piętnastym roku po przybyciu Raha nowo utworzona Wysoka Rada wydała pierwszą Ustawę o Rejestracji. W zasadzie oznacza to, że każdy człowiek może prosić o rezydencję w obrębie miejskich murów na swoje własne potrzeby. Aby się zarejestrować, po prostu trzeba znaleźć niezajęty dom, apartament czy pokój, pozostać w nim przez dwa dni i dwie noce, a potem zarejestrować swoje roszczenie w Komitecie Mieszkaniowym. To roszczenie, zarejestrowane notarialnie, pozwoli tobie i twoim potomkom na mieszkanie w danym miejscu, aż nadejdzie czas, kiedy zechcą się go zrzec. Ponieważ nie ma i nie może być nowych budynków, najbardziej atrakcyjne i największe domy zostały zajęte w ciągu dziesięciu lat od chwili, kiedy Rah otworzył pierwszą bramę. Są teraz pałacami naszych najstarszych rodzin, Mistrzów Dzielnic, i oni, jako tacy, mają prawo do umieszczania w tych budynkach pięciu pokoleń, a w każdym z pokoleń pierwszego syna, który czeka na odziedziczenie posiadłości i fotela w Wysokiej Radzie. Pozostałe kwatery, dostępne dzisiaj w mieście, są małe i źle skonfigurowane jako mieszkania dla ludzi. Mimo to, ich zasób gwałtownie się zmniejsza. Wobec tego, chociaż dzielnice takie jak Eyrie zasadniczo nie nadają się do zamieszkania...”.

Edeard miał nadzieję, że nie jęknął głośno z okropnej nudy. Był obecnie tak sprawny w przysyłaniu swych emocji przed przypadkowym dalwzrokiem jak każdy obywatel Makkathranu, ale jeśli Mistrz Solarin z Gildii prawniczej jeszcze raz użyje zwrotu „wobec tego”... To zagadka, jak ten starzec mógł mówić tak długo bez żadnej przerwy. Według pogłosek krążących po posterunku, Mistrz Solarin miał przeszło dwieście pięćdziesiąt

lat. Edearda zdziwiłoby, gdyby to była prawda. Z pewnością nie wyglądał tak młodo. Jego białe włosy cofnęły się bardzo i wierzch czaszki miał teraz zupełnie łysy - coś, czego Edeard u nikogo wcześniej nie widział - choć pozostałe pasma włosów były na tyle długie, że sięgały poniżej ramion. Kończyny miał okropnie cienkie i kruche, gdy tymczasem palce napuchły do tego stopnia, że miał trudności z ich zginaniem. Ale jego struny głosowe nie ucierpiały zupełnie.

Edeard siedział ze swymi kolegami, konstablami na stażu, w małym holu posterunku w Jeavons i słuchał cotygodniowego wykładu z podstaw makkathrańskiego prawa. Za następne dwa miesiące czeka ich partia egzaminów z tego przedmiotu, które muszą zdać, by zakończyć szkolenie. Podobnie jak wszyscy inni, uważał wykłady Solarina za ciężką próbę cierpliwości. Szybkie spojrzenie wokół pokazało, że Boyd niemal śpi. Macsen patrzył w dal i rozmawiał z dziewczętami ze sklepu modystki przy końcu ulicy. Wydawało się, że Kanseen uważa, ale Edeard znał ją teraz dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że jest równie znudzona jak on. Jednakże Dinlay siedział, słuchał w nabożnym skupieniu i nawet robił notatki. Edeard jakoś nie mógł się z tego śmiać. Biedny stary Dinlay musiał tak wiele udowadniać swemu ojcu i wujkom, że niewątpliwie na egzaminach uzyska wysokie oceny. A to znowu stanowiło dla ich reszty bardzo poważne zagrożenie, że kiedy ukończą kurs, Dinlay zostanie wyznaczony dowódcą ich oddziału. To było coś, co Edeard traktował bardzo poważnie.

„...wobec tego ustanowiono precedens dla niższego sądu pomocniczego, żeby wysłuchać każdego wniosku o eksmisję, kiedy istnieje podejrzenie, że w samej posiadłości miało miejsce przestępstwo. W praktyce pełna rozprawa nie jest konieczna i możecie poprosić o tymczasowy nakaz eksmisji od dyżurnego sędziego pokoju, który działa jako de facto wysoka rada względem niższego sądu. I obawiam się, że to doprowadza tę sesję do pomyślnego zakończenia. Kryteriami składania takiego wniosku zajmiemy się w przyszłym tygodniu. Tymczasem chciałbym, żebyście wszyscy przeczytali „Powszechne Prawo Sampsola”, tom trzeci, rozdziały od trzynastego do dwudziestego

siódmego, do czasu mojego powrotu. Tekst ten omawia główne parametry użycia broni w obrębie murów miejskich. Może nawet ożywie nasz wspólnie spędzony czas niewielkim testem. Jakie to będzie podniecające, prawda? Dziękuję za zainteresowanie i żegnam państwa".

Solarin uśmiechnął się do nich niewyraźnie, zdjął okulary w złotej oprawce i zamknął wielką księgę pełną adnotacji. Jego gemałpa umieściła ją starannie w skórzanej naramiennej torbie obok innych książek, które prawnik wykorzystywał w swym wykładzie.

Dinlay uniósł dłoń. - Proszę pana?

- Ach, mój drogi chłopcze. Niestety, dzisiaj muszę pędzić. Jeśli mógłbyś zapisać swoje pytanie i dać je memu starszemu uczniowi w Gildii, byłbym ogromnie wdzięczny.

- Tak, proszę pana.

Dłoń rozczarowanego Dinlaya opadła, a jego ramiona się zgarbiły.

Edeard pozostał na miejscu, kiedy prawnik opuszczał powoli hol, wspomagany przez dwie gemałpy. Zastanawiał się, jak wyglądałby naprawdę Solarin, gdyby rzeczywiście gdzieś pędził.

- Orzeł Olovana dziś wieczór?

- Co takiego? - Edeard otrząsnął się ze swego absurdalnego snu na jawie.

Macsen stał nad jego biurkiem z wyrazem samozadowolenia na twarzy.

- Przyjdzie Clemensa. Evala powiedziała, że pytała o ciebie.

- Clemensa?

- Ta z ciemnymi włosami, zawsze zawiązanymi w długi ogon. Niestety, ma również wielkie nogi, ale nikt nie jest doskonały.

Edeard westchnął. To była kolejna dziewczyna modystki. Macsen cały czas przymilał się do nich albo próbował skojarzyć je z przyjaciółmi. Kiedyś nawet usiłował połączyć Kanseen z uczniem stolarza - drugi raz nie będzie tego robił.

- Nie. Nie, nie mogę. Jestem bardzo do tyłu z moimi tekstami prawnymi, a sam słyszałeś, co mówił Solarin.

- Przypomnij mi.

- Będzie test - powiedział Edeard znużony.
- Och, w porządku. Liczy się tylko egzamin końcowy. Nie martw się. Posłuchaj, mam znajomego w Gildii Prawników. Parę złotych szylingów i podaruje nam całego „Sampsola”.
- To oszustwo - zaperzył się Dinlay.
- Macsen przybrał odpowiednio urażony wyraz twarzy.
- Pod jakim względem?
- Pod każdym!
- Dinlay, on cię po prostu prowokuje - powiedziała Kanseen, szykując się do wyjścia.
- Mówię całkowicie poważnie - oświadczył Macsen z twarzą niewiniątka.
- Zignoruj go - powiedziała i lekko popchnęła ramię Dinlaya. - Chodźmy i zjedzmy lunch, zanim stąd wyjdziemy.
- Dinlay zdołał przesłać Macsenowi ostatnie spojrzenie i pośpieszył za Kanseen. Zaczął ją pytać o coś na temat prawa zamieszkania.
- To musi być prawdziwa miłość - zaszczębiotał radośnie Macsen, kiedy zniknęli z pola widzenia.
- Jesteś złem - uznał Edeard. - Czystym złem.
- Jedynie dzięki latom treningu i poświęcenia.
- Wiesz, że zostanie dowódcą oddziału, prawda?
- Jak tylko Gildia Jajoformerów ogłosi, że wyrzeźbiła latającą geświnę, on następnego dnia dostanie swoją nominację.
- Mówię poważnie. Będzie miał stopnie o wiele lepsze od nas, a jego ojciec i cała kupa rodziny są już konstablami. W dodatku starszymi.
- Chae nie jest głupi. Wie, że to nie zagra.
- Edeard pragnął wierzyć, że Macsen ma słuszność.
- Uhm, Edeardzie, naprawdę nie jesteś zainteresowany Clemensą? - spytał Boyd.
- Ho, ho, to świetne. - Macsen zacierał dłonie. - Czemu pytasz, obliczasz swoje szanse?
- Tak naprawdę, to owszem - powiedział Boyd z większą odwagą, niż Edeard gotów był mu przyznać.
- Doskonale. To śliczna dziewczyna. Tak namiętna, jak drakken

w krwawej gorączce, to akurat wiem.

Boyd nachmurzył się.

- Skąd wiesz?

- Evala mi powiedziała - gładko oświadczył Macsen. - Rzuciła swego ostatniego chłopaka, bo nie był dostatecznie wytrzymały.

Boyd nagle spojrzął na Macsena jak urzeczony.

- Dziś wieczór pójde z tobą. Ale musisz powiedzieć Evali, by się za mną wstawiła.

- Zostaw to mnie, mój wspaniały przyjacielu. W tej chwili już wyglądasz, jakby ci ktoś dał pałką w łeb.

Edeard przewrócił oczami i obiecał Pani, że od tej chwili będzie wiecznie dobry, jeśli tylko ona powstrzyma Macsena od bycia... cóż, Macsenem.

- Chodźmy, złapmy coś do jedzenia, zanim znowu wszystko złapią konstable.

- Och tak - powiedział Boyd. - Nasi pomocni i serdeczni koledzy. Nie cierpię tego, jak nas traktują.

- Jeszcze tylko dwa miesiące, to wszystko - zauważył Macsen.

- Naprawdę myślisz, że okażą nam szacunek, gdy zdamy egzaminy? Jestem innego zdania.

- Nie, nie okażą - przyznał Macsen. - Ale przynajmniej możemy odgarnąć gówna dalej, na nowych stażystów. Na pewno poczują się wtedy lepiej.

- Nie zgadzam się - oświadczył Edeard. - Będziemy z nimi rozmawiać, pomożemy w ich problemach i sprawimy, że poczują się docenieni.

- Czemu?

- Ponieważ chciałbym, żeby traktowano mnie właśnie tak. Dzięki temu być może więcej ludzi zechce się zaciągnąć. Czy nie zorientowaliście się, że w mieście brakuje konstabli? Powstają stowarzyszenia sąsiedzkie przeciw gangom. To podminuje rządy prawa.

- Wielka Pani, naprawdę tak uważasz? - spytał Macsen.

- Tak - powiedział z mocą Edeard i dał im poczuć swój mentalny ton, by wiedzieli, że nie żartuje. - Wiem, co się dzieje, jeśli władze cywilne nic nie znaczą. Widziałem przemoc, którą stosują

barbarzyńcy, kiedy społeczeństwo pozostaje otwarte dla każdego sukinsyna, który zorientuje się, jakie ono jest słabe. A to się tutaj nie zdarzy. Makkathran nie może sobie pozwolić na wewnętrzne rozdarcie.

- Nie wiem, dlaczego się niepokoisz, że Dinlay będzie dowódcą oddziału - odparł Macsen, równie poważnie. - Ty jesteś dowódcą.

- Tak jest, proszę pana!

Edeard nadal z lekkim skrępowaniem nosił publicznie mundur konstabla. Stażyści od regularnych konstabli odróżniali się jedynie białymi naramiennikami. Pozostałe części munduru były - jak to ujął Macsen - „naprawdę prawdziwe”. Elegancka granatowa bluza ze srebrnymi guzikami z przodu; dobre spodnie z szerokim regulaminowym skórzanym pasem, pałąk, dwiema fiolkami z gazem pieprzowym, parą żelaznych kajdanków z diabelsko skomplikowanym sześciodźwigniowym zamkiem, którego otwarcie za pomocą telekinezy było prawie niemożliwe, oraz mały pakiet pierwszej pomocy. Pod bluzą znajdowała się biała koszula - sierżant Chae bardzo pilnował każdego poranka, żeby rzeczywiście miała nieskalaną biel. Buty dobierano indywidualnie, ale musiały być czarne i co najmniej do kostek (ale nie za kolana) oraz wypucowane na glans. Kopułasty hełm zrobiono z epoksydowanego drojedwabiu z wyściółką w środku, by chronić czaszkę właściciela przed fizycznym uderzeniem. Tak jak inni, Edeard kupił kamizelkę z drojedwabiu, która podobno miała być tak mocna, że chroniła przed kulami. Macsen posunął się o krok dalej i kupił z drojedwabiu także szorty.

W teorii koszt nie był zbyt wysoki. Ale w praktyce każdy konstabl potrzebował dwóch bluz i przynajmniej trzech koszul. Ponadto trzeba było ciągle dostarczać płatków mydlanych geszypansom, by wszystko prały. Edeard zyskał znaczny prestiż, kiedy koledzy odkryli, jak dobrze instruuje geszypansy co do zadań pralniczych. Po pierwszym tygodniu Chae przestał doszukiwać się uchybień, bo każdego ranka pojawiali się w

nieskazitelných mundurach.

Dzienna rutyna w zasadzie się nie zmieniała. Rankami mieli rozmaite zespołowe sesje szkoleniowe fizyczne i telepatyczne, następnie wykłady. Popołudniami zabierano ich na patrol pod niepokojąco czujnym okiem Chaego. Czasami towarzyszył im kapitan ich jednostki, Ronark. Teoretycznie wieczory mieli całe dla siebie. Radzono im, by uczyli się przynajmniej w dni powszednie.

Edeard bardzo nie lubił, kiedy Ronark wychodził z nimi, by „sprawdzić postępy”. Mężczyzna miał osiemdziesiąt kilka lat i nigdy nie miał już się wznieść ponad swój obecny status. Żona opuściła go dziesięciolecia temu, dzieci się go wyrzekły. Zostali mu tylko konstable, w których wierzył z religijnym zapałem. Wszystko wykonywano zgodnie z regulaminem. Zmiany nie były dozwolone i naruszenia tego typu karano surowymi grzywnami, zakazami i degradacją. Posterunek w Jeavons miał najniższy współczynnik rekrutacji w mieście.

Kiedy Chae dokładnie o godzinie pierwszej wyprowadził ich z posterunku, nikt nie zwrócił na nich uwagi. Ronark stał przy swym zakrzywionym oknie typu rybie oko nad wielką podwójną bramą i namierzał czasy wchodzenia i wychodzenia patroli na swym wiekowym kieszonkowym zegarku. Na zewnątrz, na wąskim chodniku, jakiś oddział szybko maszerował z powrotem na posterunek. Jego kapral miał zaczerwienioną twarz i dyszał, kiedy starali się zminimalizować swoje opóźnienie. Gepsy truchtały przy nich, ciesząc się z biegu.

Konstablom-stażystom nie zezwalano na wsparcie genistarami. Na szczęście, Chae utrzymywał dyskretne milczenie na temat georła Edearda, który teraz mieszkał razem z innymi orłami w ptaszarni na dachu posterunku.

Jeavons była dość miłą dzielnicą. Miała nawet w centrum niewielki park, który zespół miejskich gemałp pielęgnował zgodnie ze wskazaniem sztuki ogrodniczej. Na środku parku znajdował się wielki staw wody słodkiej, z egzotycznymi szkarłatnymi rybami prawie metrowej długości. Edeardowi zawsze wydawały się one złowrogie - miały kły i osobliwie

patrzyły na ludzi, którzy stali przy barierce i je obserwowali. Park miał jednak również wyznaczone boisko futbolowe i Edeard od czasu do czasu dołączał do gier w weekendy, kiedy lokalne chłopaki rozgrywały amatorskie mecze. Raczej cieszył się z faktu, że w Jeavons raczej nie mieszkają wielkie rodziny; budynki były tu stosunkowo skromne, choć rezydencje nad Kanałem Marmurowym wyglądały niemal królewsko. Stolarze, jubilerzy i lekarze - wszyscy mieli tutaj sztaby swoich gildii. Był tu także dom stowarzyszenia astronomicznego, które walczyło o status gildii przez siedem wieków i zawsze było blokowane przez Pytię, która utrzymywała, że niebiosa to królestwo nadnaturalne i że astronomia stoi na krawędzi herezji. Boyd, oczywiście, przekazywał mnóstwo plotek tego rodzaju, kiedy chodzili po krętych ulicach; prawdopodobnie znał układ ulic lepiej od Chaego.

Dziś Chae poprowadził ich nad Kanałem Przybycia do mniejszej dzielnicy, Silvarum. Tutejsze budynki wyglądały na dziwacznie pokrzywione, jakby kiedyś były zespołem bąbli, które z jakiegoś powodu zgnieciono. Boyd nazywał je „ściśniętymi ulami owadów”. Żaden z nich nie był na tyle duży, by zwać się pałacem, ale wszystkie należały do bogatych rodzin - mniejszych kupców i starszych Mistrzów Gildii zawodowych. Wszystkie tutejsze sklepy sprzedawały towary nieosiągalne dla Edearda: jego zasoby monetarne topniały.

Kiedy przechodzili przez ozdobny drewniany most, Edeard znalazł się przy Kanseen.

- Nie wychodzisz na miasto dziś wieczór? - zapytała.

- Nie. Nie zostało mi wiele pieniędzy i naprawdę muszę się pouczyć.

- Więc mówiłeś poważnie o tym, że chcesz to robić zawodowo?

- Zapytaj mnie o to znów za rok. Do tego czasu nie zamierzam tego zawalić przez własną głupotę. Muszę zdać egzaminy.

- Wszyscy musimy - zauważyła.

- Hm. - Edeard zerknął na Macsena, który ociągał się na końcu mostu, wymieniając dobroduszne uwagi z gondolierem przepływającym pod spodem. Ławki gondoli zostały usunięte,

zastąpione przez prostą platformę z listew, na której spoczywał stos drewnianych skrzynek. - Jak na kogoś, kogo podobno wyrzucono bez grosza na ulicę, wydaje się, że Macsen ma mnóstwo kasy.

- Nie słyszałeś? - zapytała z uśmiechem wyższości.

- O czym?

- Jego matka zaprzyjaźniła się z osławionym Mistrzem z Gildii Muzyków. Mieszka w miłym małym apartamencie w dzielnicy Cobara. Zdaje się, że jest starszy od niej o sto dziesięć lat.

- Nie! - Edeard wiedział, że ta plotka nie powinna go interesować, ale takie rozmowy stanowiły alternatywną walutę Makkathranu. Każdy znał jakąś pogłoskę czy plotkę na temat rodzin Mistrzów Dzielnicy, i nie mógł się doczekać, by się nią podzielić. A skandal był najmocniejszą walutą ze wszystkich.

- O, tak. Był członkiem jednej z podróżujących orkiestr, które krążą po Igru i wsiach w górach Donsori. - Nachyliła się i zniżyła głos. - Najwidoczniej musiał przerwać objazdowe koncertowanie jakiś czas temu, ponieważ w tych wsiach miał aż tyle potomstwa. Obecnie po prostu opiekuje się uczniami w budynku gildii i grywa dla rodzin.

Jakieś niejasne wspomnienie wypłynęło w myślach Edearda - rozmowa późnym wieczorem w jakiejś tawernie, kilka miesięcy temu, rozmowa nieprzeznaczona dla jego uszu. Powiedziała „osławiony”.

- Nie mówisz przypadkiem o Dybalu?

Kanseen uśmiechnęła się zwycięsko.

- Ja tego nie mówiłam.

- Ale... czy nie złapano go w łóżku z dwiema nowicjuszkami Pani?

- To część jego mitu. Gdyby jego pieśni satyryczne nie cieszyły się taką popularnością, wyrzuciliby go z gildii dziesięciolecia temu. Najwidoczniej napełniają one otuchą. Młodszy członkowie szlacheckich rodzin ubóstwiają go, a starsi chcą, by skończył na dnie jakiegoś kanału.

- Taa, ale... matka Macseena?

- Tak.

Kanseen wydawała się dziwnie zadowolona z siebie, głównie z powodu sceptycyzmu Edearda. Zawsze się tak zachowywała, chciała wydawać się nieco lepsza od innych. Na Edeardzie nie robiło to wrażenia, uważał, że Kanseen po prostu w taki sposób sobie radzi w okresie próbnym, buduje rozsądne bariery wokół siebie. To z pewnością niełatwa rzecz być dziewczyną-konstblem. Niewiele ich było.

Chae ruszył w stronę placu, gdzie mieściła się Gildia Aptekarzy. Chodniki między budynkami miały kolor czerwono-brązowy, a pośrodku rząd grubych stożków wznoszących się na wysokość ludzkiej talii. Wypełniono je ziemią i obsadzono wielkimi drzewami saffczereśni, których gałęzie tworzyły zielony dach pomiędzy nachylnymi ścianami po obu stronach. Różowo-niebieskie kwiaty właśnie zaczęły opadać, powstał delikatny dywan z płatków. Edeard próbował przeszukiwać pieszych, by znaleźć oznaki działalności przestępczej, tak jak ciągle instruował ich Chae. Było to trudne. Wspomnienia Akeema pozostawały kryształowo czyste i prawdziwe, jeśli chodzi o jeden aspekt miejskiego życia: dziewczęta. Były piękne. Zwłaszcza te ze szlacheckich rodzin. W dzielnicach takich jak Silvarum polowały w stadach. Bardzo dbały o swój wygląd w miejscach publicznych - te suknie z głębokimi dekoltami; spódnice z zaskakującymi rozcięciami wśród falban; przezroczyste koronkowe materiały; fryzury ustylizowane na niedbałe; zręczny makijaż podkreślający uśmiechy, kości policzkowe, wielkie niewinne oczy; połyskująca biżuteria.

Mijał grupkę dziewcząt, mniej więcej piętnastoletnich. Pierścionki każdej z nich były warte więcej od jego miesięcznego zarobku. Dziewczyny zachichotały z fałszywą skromnością, kiedy spostrzegły, że na nie patrzy. Drażniły się z nim:

- Czy możemy w czymś pomóc, panie władzo?
- Czy to naprawdę pańska pałka?
- To długa pałka, prawda, Gilliaen?
- Czy wykorzysta pan ją, by poskromić ludzi?
- Emylee jest bardzo niegrzeczna, panie władzo, niech pan użyje swojej pałki.

- Hanna! Ona zachowuje się nieprzyzwoicie, panie władzo. Niech pan ją aresztuje.

- Jak ci się wydaje, czy on ma jakiś loch, do którego mógłby ją wrzucić?

Trzecie dłonie szczypały i szturchały go w intymne części ciała. Zaszokowany Edeard podskoczył, pośpiesznie okrył się tarczą i mocno się zaczerwienił. Dziewczęta zapiszczały z rozbawieniem i czmychnęły.

- Małe ladacznice - skomentowała cicho Kanseen.

- Eee, masz rację. - Edeard obejrzał się, po to, by się upewnić, że nie powodują kłopotów.

- Dwie z nich nadal go sprawdzały. W ulicy rozbrzmiewały dzikie chichoty. Edeard wzdrygnął się i patrzył przed siebie z twardym wyrazem twarzy.

- Kusilo cię, prawda? - spytała Kanseen.

- Wcale nie.

- Edeardzie, fajny z ciebie facet i cieszę się, że jestem z tobą w tym samym oddziale. Ale masz jeszcze w sobie mnóstwo wieśniaka. - Co jest dobre - dodała pośpiesznie. - Ale każda dziewczyna z wielkiej rodziny zjadłaby cię na śniadanie i jeszcze przed obiadem wypluła pestki.

Więc jak to jest, że wyglądają tak cudownie? - pomyślał smętnie.

- Ponadto - stwierdziła Kanseen - wszystkie chcą mieć za mężów pierwszych synów Mistrzów Dzielnic, ludzi z Gildii lub, jeśli są zdesperowane, oficerów milicji. Konstable nie mogą się z nimi równać, jeśli chodzi o status materialny.

Z placu poszli dalej, na rynki. Były trzy, oddalone zaledwie parę ulic od Wielkiego Kanału Głównego, który stanowił północną granicę Silvarum. Otwarte tereny, trochę mniejsze od placu, całkowicie zatłoczone straganami. Pierwszy specjalizował się w świeżej żywności. Płócienne markizy tworzyły pofałdowany sufit, łączący ze sobą wszystkie stragany i dostarczający ciepłego cienia. Nieruchome powietrze nasycali zapachy. Edeard gapił się na stosy owoców i warzyw z łagodną zawiścią, kiedy straganiarze wykrzykiwali ceny, zachwalali jakość i smak. Już

dawno nie siedział przy naprawdę przyzwoitym posiłku, jak te, które zwykł jadać w Ashwell. W stołówce na posterunku wszystko zawijano w ciasto, a geszympanów w kuchni nigdy nie wyszkolono w sztuce robienia sałatek.

- To melancholijne myśli - powiedziała cicho Kanseen.

- Przepraszam - odparł i zmusił się do czujności.

Chae mówił, że na rynkach zawsze grasują złodzieje. Prawdopodobnie miał rację. Tutaj, tak jak zawsze, straganiarze ciepło ich witali uśmiechem i oferowali drobne prezenty - jabłka, gruszki, parę butelek. Obiecywali konstablom korzystne ceny, jeśli tu zajdą po służbie. Lubili, gdy konstable byli na widoku. Zniechęcało to złodziejasków.

Edearda niepokoiło przyjęcie, które im gotowano w niektórych dzielnicach i na pewnych ulicach, gdy Chae prowadził ich przez miasto. Ponure spojrzenia i złowrogie milczenie, jawnie nieprzyjazne emocje. Ludzie odwracali się do nich plecami. Poszturchiwania trzecich rąk, gdy znajdowali się nad brzegiem kanałów. Chae, oczywiście, szedł dalej niezrażony, ale Edearda to denerwowało. Nie rozumiał, dlaczego w całych rejonach prawo i porządek budzą odrazę.

Przeszli do następnego rynku, specjalizującego się w materiałach i ubraniach. Młode kobiety przechadzały się tłumnie, oglądały kolorowe materiały, radośnie gwarzyły między sobą. Edeard trzymał wokół siebie niewielką tarczę i unikał kontaktu wzrokowego. Choć niektóre ładne dziewczęta aż prosiły się, by spojrzeć na nie ponownie. Macsen nie miał takich zahamowań. Gawędził wesoło z każdą dziewczyną, która choćby zerknęła w jego stronę.

- Nigdy nie powiedziałaś, z jakiej dzielnicy pochodzisz - zagaił Edeard.

- Nie powiedziałałam - przyznała Kanseen.

- Przepraszam.

- Musisz też przestać ciągle przepraszać - powiedziała z uśmiechem.

- Tak, wiem. To po prostu fakt, że wy wszyscy jesteście do tego przyzwyczajeni. Zatoczył gestem krąg. - Ja nie jestem. Na tym

rynku jest więcej ludzi, niż kiedykolwiek mieszkało w Ashwell. - Na moment ogarnęło go prawdziwe poczucie winy. Myślał obecnie coraz mniej o swym domu. Niektóre twarze zbladły w jego pamięci. Nie Akeem, on nigdy nie zblednie; ale Gonat: czy miał włosy rude, czy kasztanowe? Skrzywił się z wysiłku, ale we wspomnieniach nie nadchodził żaden czysty obraz.

- Bellis - powiedziała Kanseen. - Moja rodzina mieszka w Bellis.

- Jasne - odparł. Bellis znajdowała się po wschodniej stronie miasta, blisko portu. Od Sampalok oddzielał ją Wielki Kanał Główny. Tam jeszcze nie patrolowali. - Nigdy tam nie wracałaś, by się z nimi zobaczyć.

- Nie. Matka nie pogodziła się z tym, że jestem konstablem.

- Och. Przep... Szkoda.

- Myślę, że wolałaby, bym złożyła śluby Pani.

- Nie byłoby w tym nic złego.

- Naprawdę jesteś ze wsi.

- Czy to źle? - spytał sztywno.

- Nie. Chyba właśnie tam zachowały się wartości, którymi kiedyś kierowało się miasto. Tam, gdzieś za Górą Donsori. Po prostu jestem zszokowana, słysząc kogoś, kto ma silne przekonania, to wszystko. W Makkathranie to rzadkość, Edeardzie. Zwłaszcza wśród konstabli. Właśnie dlatego ludzie czują się przy tobie niezręcznie.

- Naprawdę? - zapytał, szczerze zaskoczony.

- Taa.

- Ale... Ty musisz wierzyć w wartości. Bo dlaczego tu się zapisałaś?

- Z tego samego powodu, co połowa z nas. Za kilka lat zmienię pracę i będę ochroniarzem kogoś z rodziny Mistrza Dzielnicy. Oni zawsze rozpaczliwie potrzebują ludzi z wykształceniem i doświadczeniem konstabli. Zwłaszcza takich jak ja: kobiety konstable nie rodzą się na kamieniu. A szlachetne damy potrzebują ochrony tak samo, jak ich mężowie i ojcowie. Będę mogła zażądać każdej stawki.

- Och. - Ta myśl go zaskoczyła, nigdy nie sądził, że służba konstabla to droga do innej kariery, być może lepszej. - Kto przy

mnie czuje się niezręcznie?

- Na przykład, Dinlay. On wierzy w prawdę i piękno, tak jak ty, i znacznie głośniej o tym rozpowiada. Ale ty jesteś silniejszy i bardziej bystry. Chae ma zamiar zrobić cię dowódcą oddziału.

- Tego nie wiesz.

Uśmiechnęła się. Wtedy sobie uświadomił, jaka jest naprawdę atrakcyjna; z powodu jej umundurowania normalnie tego nie zauważał. Ale z tym uśmiechem mogła się równać z każdą z głupiotkich dziewcząt z wielkich rodzin, szwędających się po rynku.

- Założysz się o to? - prowokowała go.

- Oczywiście, że nie - powiedział z żartobliwym oburzeniem. - To byłoby nielegalne.

Obydwoje się roześmiali.

- Potrzebujecie pokoju dla dwojga?! - zawołał Macsen przez ramię. - Znam jeden, za który wezmą tanio.

Kanseen obdarzyła go wiele mówiącym gestem dłoni. Skrzywił się.

- Łał, to prawda: możesz zabrać dziewczynę z Sampalok, ale nie możesz zabrać Sampalok z dziewczyny.

- Dupek - warknęła.

- Jesteśmy w patrolu - szczerknął Chae. - Co to znaczy?

- Profesjonalne zachowanie się przez cały czas - odpowiedzieli posłusznie.

- Więc bądźcie łaskawi o tym pamiętać i stosować się do tego.

Macsen, Kanseen i Edeard uśmiechnęli się do siebie i przeszli na trzeci rynek z wyrobami rzemieślniczymi. Stragany wystawiały małe meble, ozdoby, tanią biżuterię i alchemiczne mikstury. Była tu nawet sekcja, gdzie sprzedawano rzadkie zwierzaki jako zwierzęta domowe. Markizy ułożone w sześciokątne stożki, podparte centralnym słupem obrośniętym orłowinem, wszystkie miały jednakowy wzór: pomarańczowo-białe pasy. Pod markizami było ciepło, ale chroniły przed pełnym słońcem.

Edeard sięgnął dalwzrokiem przez Wielki Kanał Główny. Kanał przebiegał przez całe miasto od dzielnicy Port do kanałów Kręgów, gdzie usytuowano Pałac Sadowy. Dzielnica Ysidoro

znajdowała się po drugiej stronie Silvarum, wklonowana między Żłoty Park i Niską Fosę. Tam właśnie znajdował się dom nowicjuszek Pani.

- Czy nie przeszkadzam? - zapytał mentalnie.

- Cześć - odpowiedziała Salrana z wybuchem radości. - Tak, czuję się świetnie. Jesteśmy w ogrodzie, sadzimy letnie zioła. Jest tu tak ślicznie. - Z jej radością nadpłynął łagodny obrazek - przekaz. Zobaczył ogrodzony ogród ze stożkowatymi cisami przy zwirowanych ścieżkach. Pnącza i pnące róże wymalowały mury w jaskrawe kolory. W środku znajdowała się szeroka murawa, co w Makkathranie było czymś niezwykłym. Przystrzyżono ją tak starannie, że Edeard zastanawiał się, jakiego genistara zastosowali, by się na niej pał. Biała jak śnieg figura Pani stała w końcu ogrodu, prawie równie wysoka jak mury. Uśmiechała się do nowicjuszek w biało-niebieskich szatach, kiedy krzątały się wokół z wiklinowymi koszami pełnymi roślin.

- Piękne. Dlaczego do sadzenia ziół nie wykorzystujecie geszympanów?

- Och, Edeardzie, musisz zacząć czytać więcej z nauk Pani. Celem życia jest osiągnięcie harmonii ze środowiskiem. Jeśli do wszystkiego wykorzystujesz genistary, ustawiasz barierę między sobą a światem.

- Jasne. - Pomyślał, że to głupie, ale ukrył tę emocję, w obawie, że Salrana ją wyczuje. Obecnie rozwijała w sobie dość nieznośną empatię.

- Gdzie jesteś? - spytała.

- Patroluję rynki w Silvarum. - Pozwolił jej zobaczyć otaczającą go krzątanię, pokazał bogatą ofertę straganów.

- Czy aresztowałeś kogoś złego?

- Nie. Oni wszyscy uciekają przed nami w przerażeniu.

- Och, Edeardzie, czuję, że jesteś taki smutny.

- Przepraszam. - Przyłapał się na tym i skrzywił się. - Nie jestem. To po prostu nudne. Wiesz, naprawdę niecierpliwie czekam na egzaminy. Będę to wszystko miał za sobą, kiedy je zdam. Zostanę wtedy prawdziwym konstablem.

- Nie mogę się doczekać uroczystości waszej promocji.

- Nie będzie aż tak wspaniała. Major wręczy każdemu parę ciemnych naramienników, to wszystko.

- Tak, ale odbędzie się to w Pałacu Sadowym, będą tam wszyscy konstable-stażyci z miasta, a ich rodziny będą na to patrzyły. To wielkie wydarzenie, Edeardzie, nie krytykuj tego.

- Nie krytykowałem tak naprawdę. Czy będziesz mogła przyjść?

- Oczywiście, że tak. Matka Galian aprobeje udział w formalnych uroczystościach, takich jak ta. Już jej powiedziałam, że zostaniesz promowany.

- Hej, te egzaminy nie są łatwe, wiesz.

- Zdasz, Edeardzie. Poproszę Panią, by ci dała proste pytania.

- Dziękuję! Zdołasz wyjść w ten weekend?

- Nie jestem pewna. Jest trudno z głównym nabożeństwem na...

Gniewne okrzyki zmusiły Edearda do rozejrzenia się. Dalwzrokiem dostrzegał kilka umysłów rozplomienionych wściekłością. Wokół nich znajdowały się umysły gorejące obrzydliwą determinacją; zaczęły się poruszać coraz szybciej.

Okrzyki niosły się pod markizami.

- Zatrzymać ich!

- Złodzieje! Złodzieje!

- Zranili Kavine'a.

- Złodzieje na rynku!

Identyczne okrzyki w dalmowie łąły się w eter. Przesyłane skaczące obrazy twarzy błyskały w mózgu Edearda. Zbyt wiele i zbyt złej jakości, by coś z nich odcyfrować.

Jego dalwzrok omiółł rozgorączkowany tłum, skupił się w jego centrum. Mężczyźni biegli, młócili ramionami ludzi rojących się wokół. Dłonie chwyciły długie metalowe ostrza, machały szeroko, odpędzały wszystkich. Nuty przerażenia musowały w zgiełku dalmowy.

- To my! - krzyknął sierżant Chae. - Dalej, konstable! Zejdźcie z drogi! Konstable nadchodzą.

Jego dalmowa miała ostrzec ludzi, którzy przechadzali się między straganami. Puścił się biegiem. Edeard natychmiast pobiegł za nim, Macsen i Kanseen również.

- Odsuńcie się! Odsuńcie się na bok!

Boyd otrząsnął się z szoku i ruszył za nimi. Dinlay stał skamieniały, jego mózg promieniował przerażeniem.

Edeard biegł teraz szybko, trzymając się blisko Chaego. Ludzie uskakiwali z drogi, przywierali do straganów, by zrobić przejście. Kobiety wrzeszczały. Dzieci krzyczały, podniecone i trwożne. Nie ustawała wrzawa z powodu kradzieży.

- Pamiętajcie: działajcie razem - mówił Chae w zadziwiająco spokojnej dalmowie. - Minimum dwoje cały czas, nie rozdzielajcie się. Tarcze wzniesione.

Edeard wysłał swego georła, by mknął przez niebo ku krańcowi rynku, gdzie z pewnością musieli wynurzyć się złodzieje. Ulice za sfalowanym dachem płóciennych kopuł przykryte były ładnymi drzewami saffczereśni. Ich różowo-niebieskie kwiaty zasłaniały widok chodnika i spacerujących ludzi. Dalwzrok Edearda nadal był skoncentrowany na przestępcach, którzy biegli z miejsca rabunku. Było ich czterech, trzech dzierżyło noże, a czwarty taszczył jakieś pudło. Z tego, co czuł Edeard, pudło wypełniał metal. A na wielu straganach wokół wystawiano biżuterię.

Kiedy przebili się przez grupę ludzi stojących przy paru przewróconych straganach, Chae wyciągnął pałkę. Jakiś mężczyzna leżał na ziemi, jęcząc i rzucając się. Wokół niego zbierała się kałuża krwi.

- Pani! - wykrzyknął Chae. - W porządku, odsuńcie się, dajcie mu powietrza. - Chwycił swój pakiet medyczny i uklęknął przy powalonym straganiarzu.

- Doktor? - zapytał Chae dalmową, głośniej, ponad ogólną wrzawą. - Czy jest doktor na rynku rzemiosła w Silvarum? Mamy rannego.

Edeard dalwzrokiem nadal śledził przestępców.

- Chodźcie! - wrzasnął do Macsena i Kanseen.

- Dokąd? - zapytał Macsen. - Zgubiłem ich.

- Właśnie dotarli do krańca rynku, do ulicy Albaric. Nadal ich wyczuwam. - Jak pług przebił się przez grono gapiów.

- Edeard, nie! - wrzasnął za nim Chae.

Edeard niemal zatrzymał się na ten rozkaz, ale po prostu nie mógł zignorować uciekających złodziei. Nadal mogli ich złapać.

To byłoby ich pierwsze prawdziwe aresztowanie. Jak dotychczas, w czasie swoich czterech miesięcy stażu, jedynie czyścili ulice z pijaków i interweniowali w czasie bójek. Nigdy nie wykonywali prawdziwych obowiązków konstabla. Rzucił się w wąskie przejście między straganami. Macsen i Kanseen pędzili za nim.

- Wracaj! - ryczał Chae.

Zignorowanie sierżanta dało mu chwilę złośliwej radości.

Straganiarze dopingowali trzech konstabli-stażystów, gdy ci mknęli przez rynek. Edeard i Macsen wykorzystywali swą dalmowę i kazali ludziom odsuwać się na bok. Na ogół to działało. Doganiali uciekających złodziei.

Georzeł Edearda zanurkował nisko nad drzewa saffczereśni na ulicy Albaric. Skrzydłami machał kilkanaście centymetrów nad falującym kwieciami. Czterej złodzieje biegli ciężko po chodniku pod drzewami, kierując się prosto do Wielkiego Kanału Głównego. Noże schowali do pochew, by nie przyciągać uwagi. Ale mimo to, umysły ludzi wokół nich pulsowały ciekawością i niepokojem.

- Dokąd oni bieżną? - spytała Kanseen.

- Na pewno do kanału - odparł Macsen. W jego dalmowie czuło się mnóstwo radosnego podniecenia.

Edeard zobaczył w końcu przed sobą koniec rynku; dach z pasiastego płótna ustąpił mglistemu blaskowi przefiltrowanego przez kwiaty światła słonecznego.

- Czy możesz zlokalizować jakichś innych konstabli? - zapytał.

- Pani, mogę tylko uważać, gdzie idę - poskarżył się Macsen.

- Co planujesz? - spytała Kanseen, pełna trwogi i wątpliwości.

- Zatrzymać ich - odparł Edeard.

Czy to nie oczywiste? Co z nią jest nie w porządku?

- Jest ich więcej niż nas. I mają noże.

- Zdejmę ich - warknął. Niepewność oddaliła się od niego, jakby była następnym pozostawionym w tyle kamieniem milowym.

Teraz zbliżali się szybko. W porównaniu z tłocznym rynkiem ulica Albaric była niemal pusta. Konstabile mogli pędzić naprzód, omijając krnąbrnych pieszych.

Georzeł mignął nad ostatnim drzewem saffczereśni. Pokazał

Edeardowi ulicę, jak kończy się nagle na brzegu Wielkiego Kanału Głównego. Rozległa droga wodna rozciągała się w obie strony, przecinając miasto na połowy. Na zachodzie znajdował się Staw Birmingham, przecinający Kanał Zewnętrzny Kręgu, a na wschodzie Wysoki Staw tworzył połączenie z Kanałem Lotnym i Kanałem Rynkowym. Między Silvarum i dzielnicą Padua na drugim brzegu znajdowały się tylko dwa mosty - jeden przy każdym ze stawów. Jak wszystkie mosty nad Wielkim Kanałem Głównym, były one wąskie i strome - większość ludzi wolała przemierzać te sto pięćdziesiąt metrów wody w gondolach. Kilka kołysało się przy platformie cumowniczej, gdzie kończyła się ulica.

- Mamy ich! - wykrzyknął Edeard. - Właśnie wybiegli z ulicy.

Jego radosny nastrój przysł, kiedy czterech przestępców pomknęło po drewnianych schodach w dół ku platformie i wskoczyło do czekającej gondoli. Pomalowana zmętniała, podrapana farbą, z burą markizą, wyglądała na obskurną i źle utrzymywaną, w porównaniu z łodziami, które normalnie przemykają po miejskich drogach wodnych. Na rufie miała dwóch gondolierów, każdy z wiosłem.

- Och, Honious!

- Co? - spytała Kanseen. Zaczerwieniona, ciężko dyszała, aletrzymała się tuż za nim.

- Łódź - wydyszał. - Chodź, nadal możemy ich złapać.

Dokładnie przed nim starsza dama, wyglądająca dostojnie w powiewającej czarno-białej sukni, w otoczeniu młodszych służących, wychodziła z jednej z szykownych restauracji przy ulicy Albaric. Dalmowa Edearda, by się odsunęły, nie wywołała u nich żadnej reakcji. Trzecia ręka trzepnęła go, jakby był dokuczliwym owadem. Rzucił jej zirytowane spojrzenie.

Georzeł wzniósł się po spirali i obserwował, jak obskurna gondola odbija od platformy cumowniczej i miesza się z mnogością łodzi pływających po wielkim kanale. Gondolierzy mogli wyglądać na przygaszonych, ale znali swój fach. Mając dwa wiosła i pracując synchronicznie, szybko nabrali prędkości i prześcigali wszystkie inne łodzie w okolicy. Czterej złodzieje

klapnęli na ławki i zaczęli się śmiać.

Edeard, Macsen i Kanseen wbiegli nad brzeg kanału. Z rozpędu omal nie wpadli do wody, kiedy stanęli u szczytu drewnianych stopni przystani.

- Sukinsyny! - krzyknął Macsen w ich kierunku.

Jeden z gondolierów uchylił zielono-niebieskiego słomkowego kapelusza w kpiącym pozdrowieniu. Odpłynęli już dwadzieścia metrów od przystani. Edeard miał pewność, że popłyną prosto do Sampalok, a pobity straganiarz będzie zrujnowany.

- Pomóż nam! - zawołał do gondoliera, który cumował łódź poniżej. - Zabierz nas i popłyn za nimi.

Gondola była wykwintną łodzią. Jej czarna farba lśniła w popołudniowym słońcu, a na markizie wyhaftowano szkarłatnego herbowego ptaka. W jakiś sposób Edeard wiedział, że należała ona do staruszki z tyłu.

- Wykluczone, chłopcze! - odkrzyknął gondolier. - To prywatna gondola pani Florrel.

Przez chwilę Edeard rozważał zepchnięcie go do kanału i zarekwirowanie gondoli do pościgu. Nie miał jednak zielonego pojęcia, jak używać wiosła takiego typu.

- Niech ktoś pomoże! - zawołał głosem i dalmową. Przyciągnął kilka ciekawych spojrzeń gondolierów. Ale nikt nie zapytał go nawet, o co chodzi.

Chór drwin niósł się po wodzie. Trzydzieści metrów dalej przestępcy wychylali się nad burtą, machając do niego rękami i gestykulując. Edeard patrzył na swych oprawców z wściekłością, od której ścinała mu się krew. Uśmiechnął się do nich dziko. Część jego wściekłości musiała się przedrzeć na zewnątrz. Macsen i Kanseen niepewnie cofnęli się o krok. Drwiny ustały.

Edeard sięgnął trzecią ręką i wyrwał pudło mężczyźnie, który je trzymał. Dłonie na próżno łapały puste powietrze, gdy Edeard wzniosł je trzy metry nad gondolą. Złodzieje wyciągnęli swoje trzecie dłonie, próbując wyszarpnąć je z powrotem.

- Tylko na to was stać? - kpił Edeard. Nie mogli nawet rozluźnić jego chwytu.

Ludzie w gondolach patrzyli w milczeniu, jak pudło spokojnie

płynie przez powietrze. Uśmiech Edearda stał się złośliwy, kiedy szkatuła miękko wylądowała u jego stóp. Skrzyżował ręce w geście triumfu. - Nie wracajcie do naszej dzielnicy - przemówił w dalmowie do odpływającej gondoli. - Nigdy.

- Jesteś, kurwa, martwy, ty pieprzony gówniarzu - nadeszła odpowiedź.

Edeard nacisnął trzecią ręką dziób gondoli, powodując, że niepokojąco się zakołysała. Tyle że teraz gondola znajdowała się już za daleko, by ją wywrócić. Cała szóstka przestępców pośpiesznie wzniosła tarczę wystarczającą do osłony.

Macsen zaczął się śmiać. Opuścił ciężko dłoń na ramię Edearda. - O, Pani, jesteś najwspanialszy Edeardzie, absolutnie najwspanialszy. Widziałeś ich twarze?

- Tak - przyznał Edeard ze złym uśmiechem.

- Nie zapomną dzisiejszego dnia - powiedziała Kanseen. - Na niebiosa, Edeardzie, musiałeś wystraszyć ich na śmierć.

- Miejmy nadzieję. - Uśmiechnął się do przyjaciół, bardzo zadowolony, że ta wspólna akcja trochę bardziej związała ich ze sobą.

Parasolka z falbankami uderzyła go w ramię.

- Au!

Parasol należał do staruszki, obok której się przepchnął.

- W przyszłości, młody człowieku, masz okazywać właściwą uprzejmość ludziom starszym i lepszym od siebie - warknęła na niego. - Mogłeś mnie przewrócić, kiedy tak szarżowałeś, kompletnie nie zwracając na nikogo uwagi. I to w dodatku na osoby w moim wieku. Mogłabym już w ogóle się nie podnieść.

- Ee, tak, proszę pani. Przepraszam.

- Pani Florrel - powiedziała, a jej drżący głos podniósł się o oktawę z oburzenia. - Nie udawaj, że nie wiesz, kim jestem.

Edeard słyszał, jak Macsen za nim chichocze. Dźwięk był stłumiony, jakby Macsen trzymał dłoń przy ustach.

- Tak, pani Florrel.

Zmrużyła podejrzliwie oczy. Edeard pomyślał, że wygląda co najmniej równie staro jak Mistrz Solarin.

- Zamelduję o tobie memu siostrzeńcowi - oznajmiła. - Były w

tym mieście czasy, kiedy konstable mieli w swoich szeregach przyzwoitych ludzi. Te czasy wyraźnie minęły. A teraz zejdź mi z drogi.

Wprawdzie nie stał jej na drodze, ale i tak wykonał krok do tyłu. Przeszła tuż obok niego, wirując swą namiotopodobną spódnicą, i zeszła po schodach na przystań. Jej otoczenie poszło za nią z nieskazitelnie osłoniętymi umysłami. Para służących dziewcząt rzuciła mu rozbawione uśmiechy. Wszyscy usadowili się w gondoli.

- Widzisz - powiedział Macsen, obejmując ramiona Edearda. - To nasza prawdziwa nagroda, szacunek wdzięcznej ludności.

- Kto to jest? - jęknął Edeard.

Doprowadziło to Macsena do ponownego wybuchu śmiechu.

- Naprawdę nie wiesz? - spytała z niedowierzaniem Kanseen.

- Nie.

- Nie licząc innych powiązań rodzinnych, pani Florrel jest ciotką Burmistrza.

- Och. Przypuszczam, że w takim razie nie jest dobrze.

- Nie. W ostatnim stuleciu każdy burmistrz był jej bliższym lub dalszym krewnym. Ona w gruncie rzeczy decyduje, kogo wybierze Wielka Rada.

Edeard pokręcił głową i sprawdził gondolę poniżej. Pani Florrel zniknęła pod markizą. Gondolier mrugnął do niego i odbił od pomostu.

- Wracajmy - powiedział Edeard.

Macsen radośnie schylił się, by zabrać szkatułę. Kiedy poczuł ciężar, jeszcze raz spojrzął na Edearda.

- Czuję tu mnóstwo łańcuszków na szyję. To musi być złoto.

- Mam nadzieję, że z nim wszystko w porządku - powiedział Edeard.

- Z Chaem? - spytała Kanseen. Wydawała się nieco nerwowa.

- Nie. Ze straganiarzem.

- Och, tak. Słusznie.

Wysoko nad Wielkim Kanałem Głównym georzeł wznosił się leniwie na prądzie termicznym, obserwując obskurną gondolę, śpieszącą ku Sampalok.

Kiedy Edeard z towarzyszymi dotarli na scenę przestępstwa, większość ludzi już się rozeszła. Niektórzy straganiarze w swych wyrazistych ciemnozielonych fartuchach krzżeli się wokół straganów, prostowali je, układali na nowo wystawione towary. Boyd i Dinlay pomagali mocować markizę dokładnie nad głowami - oderwała się ona, gdy stragany przewrócono.

Ranny straganiarz nadal leżał na ziemi. Pielęgnowała go jakaś kobieta. Klęczała obok pacjenta, u stóp miała otwartą torbę lekarską. Pomagało jej dwóch młodych uczniów. Zabandażowali pierś straganiarza, a teraz lekarka, z zamkniętymi oczami, dłońmi lekko naciskała bandaż. Telekinetycznie działała na ciało, manipulowała naczyniami krwionośnymi i tkanką. Wytworną twarz zmarszczyła w intensywnym skupieniu. Od czasu do czasu wydawała ciche polecenia uczniom, którzy posłusznie stosowali telekinetę we wskazanych przez nią miejscach.

Edeard obserwował to uważnie, próbując również wyczuć jej działania dalwzrokiem. Stary doktor Seneo nigdy nie operował trzecią ręką, choć Fahin mówił, że ta technika znajduje się w podręcznikach Gildii Lekarzy.

- Z waszą trójką wszystko w porządku? - spytał Boyd dalmową.
- Oczywiście - odparł Macsen.

Boyd spojrział na sierżanta Chaego, rozmawiającego z grupką straganiarzy.

- Ostrożnie - szepnął.

Chae podszedł, twarz miał wykrzywioną wściekłością. Stał tak ciężko, że Edeardowi wydało się, że jego buciory zostawią ślady na szarobrązowym chodniku rynku. Pod wpływem jakiegoś niezupełnie zrozumiałego procesu, Edeard stał teraz przed Macsenem i Kanseenem.

- Chyba wydałem ci bezpośrednie polecenie - powiedział Chae tonem groźnie pozbawionym emocji.

Cały dobry humor Edearda, spowodowany odzyskaniem szkatuły, zniknął. Nigdy nie myślał, że Chae będzie aż tak wściekły. Tym razem sierżant nawet nie próbował ukrywać

swoich uczuć.

- Ale sierżancie...

- Kazałem ci się zatrzymać czy nie kazałem?

- Cóż... tak. Ale...

- Więc mnie słyszałeś?

Edeard zwiesił głowę.

- Tak, sierżancie.

- Więc mnie nie posłuchałeś. Ponadto wystawiłeś na niebezpieczeństwo siebie i swych kolegów. Ci ludzie byli uzbrojonymi członkami gangu. A gdyby mieli pistolety?

- Mamy to - obwieścił wyzywająco Macsen.

- Co?

- Odebraliśmy to sukinsynom - powiedział głośno Macsen. Nieco się obrócił, by stanąć przodem do grupki straganiarzy, i uniósł szkatułę.

Wybuch zdumienia emanujący od ludzi na targu zaskoczył Edearda. Uciszył także sierżanta Chaego, choć ten nadal spoglądał gniewnie na konstabli. Macsen podszedł do ludzi stojących najbliżej zranionego mężczyzny.

- Proszę - powiedział i wręczył szkatułę.

Jeden z młodszych mężczyzn w zielonych fartuchach postąpił naprzód.

- Jestem Monrol. Kavine to mój wuj. To jego okradli. - Obrócił zamek i pokrywka odskoczyła. - Jest wszystko - powiedział z uśmiechem. Pokazał zgromadzonym otwartą szkatułkę. - Wszystko. Przynieśli to z powrotem. Konstabile przynieśli to z powrotem.

Ktoś zaczął klaskać. Wkrótce dołączyli do niego gapie. Gwizdy aprobaty rozdarły powietrze, a potem troje konstabli zostało nagle otoczonych przez ludzi w zielonych fartuchach. Ściskano im ręce, klepano po plecach. Uśmiechnięty promiennie Monrol uściskał Macsen, a potem przeszedł do Kanseen. Edearda też zagarnął w uścisku.

- Dziękuję, dziękuję.

- Sierżancie Chae - zadudnił głęboki głos.

Straganiarze ucichli, gdy wystąpił Setersis. Edeard widział go

wcześniej parę razy, zwykle kiedy skarżył się Chaemu, że patrole na rynku pojawiają się za rzadko. Setersis był głową stowarzyszenia straganiarzy w Silvarum i w związku z tym miał fotel w radzie miejskich kupców, co dawało mu prawie takie same wpływy polityczne jak Mistrzowi z Rady Gildii.

- Czy dobrze usłyszałem? - spytał Setersis. - Czy konstable w końcu przyszli nam z pomocą?

Przynajmniej raz Chae miał niepewną minę.

- Byliśmy w stanie udzielić pomocy. - Przestał gniewnie wpatrywać się w Edearda i przybrał minę niemal sympatyczną. - Właśnie miałem spytać bardziej lekkomyślnych członków mego patrolu, co wydarzyło się podczas pościgu.

- Lekkomysłni członkowie, hę? - Setersis uśmiechnął się szeroko do trojga konstabli-stażystów. - Tak, jesteście młodzi, prawda? Dobra robota. Gdybyśmy mieli więcej konstabli z jajami, nie byłibyśmy w takim opłakanym stanie jak jesteśmy. Proszę o wybaczenie, moje dziewczę.

- Wybaczam - powiedziała łaskawie Kanseen.

- Więc powiedzcie mi, co się wydarzyło podczas pościgu. Czy zdołaliście przypadkowo wrzucić te męty do kanału?

- Nie, proszę pana - odparł Edeard. - Obawiam się, że uciekli w gondoli. Popłynęli w kierunku portu.

Coś powstrzymało go od wspomnienia o swym georle, który pokazywał, że złodzieje już przepłynęli przez Leśny Staw i zbliżają się do Sampalok.

- Żaden z gondolierów nie chciał nam pomóc - wyrwało się Macsenowi. - Prosiłiśmy ich.

- Ha! Filszczury w ludzkim przebraniu - burknął Setersis. - Jednak Wykonaliście dobrą robotę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio konstable zwracali ukradzione dobro. - Rzucił Chae znaczące spojrzenie, a usta sierżanta zacisnęły się. - Macie moje podziękowania. Jestem przekonany, że moi koledzy straganiarze okażą wam wdzięczność, kiedy następnym razem patrol zawędruje na rynek.

Edeard wiedział, że uśmiecha się jak głupi. Nie miało to znaczenia, Macsen i Kanseen wyglądali tak samo. Potem w końcu

spojrzał na Dinlaya, który miał taką minę, jakby właśnie umarł mu ktoś z najbliższej rodziny.

Kiedy lekarka obwieściła, że Kavine wyzdrowieje, Chae oznajmił, że patrol się skończył i że wracają na posterunek w Jeavons. Wyprowadził ich z rynku bez słowa. Edeard nie mógł się zorientować, czy są w poważnych kłopotach, czy też nie - sierżant skrył dokładnie swój umysł pod tarczą.

Macsen skierował ku Boydowi bezpośrednio zapytanie dalmową, które przekazał też Edeardowi i Kanseen:

- Co mówił Chae?

- Niewiele - odpowiedział Boyd, również ukradkowo. - Tylko wrzeszczał, żebyście się zatrzymali. Kiedy żaden z was nie wrócił, po prostu się skoncentrował na udzielaniu pomocy straganiarzowi. Musiałem ścisnąć jego ciało, by zmniejszyć krwawienie. Pani! Myślałem, że zemdleję, tyle było tam krwi. Monrol powiedział, że ciachnęli go tymi nożami kilka razy, żeby puścić szkatułę. Szkoda, że nie poszedłem za wami, ale w tej pierwszej sekundzie zawahałem się. Przepraszam.

- Nie przepraszaj - powiedział Edeard. - Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaję się sobie głupi. Chae miał rację.

- Co?! - wykrzyknął Macsen. Spojrzał na Chae, ale wydawało się, że sierżant tego nie zauważył.

- Było ich czterech i mieli noże. Nawet sześciu, jeśli doliczyć gondolierów. Mogliby nas zabić i byłaby to moja wina.

- Przynieśliśmy z powrotem szkatułę.

- Szczęście. To wszystko. Czyste szczęście. Pani uśmiechnęła się dzisiaj do nas. Jutro tego nie zrobi. Musimy działać jak właściwi konstable. Trzymać się razem, pracować zespołowo.

Macsen pokręcił głową skonsternowany. Edeard spojrział na Kanseen i przepraszająco wzruszył ramionami.

- Poszłam z tobą - powiedziała spokojnie. - Też dałam się ponieść emocjom. Nie próbuj utrzymywać, że to wszystko twoja wina.

Skinął głową. Nieco przed nimi Chae nadal maszerował

wyprostowany, nie rozglądając się. Dinlay szedł przy nim i unikał wszelkiej łączności z przyjaciółmi. Kiedy od Wielkiego Kanału Głównego wracali na rynek, ich trójka triumfowała; teraz ten nastrój nieprzyjemnie się odmienił. W tej chwili Edeard miał ochotę odwrócić się na pięcie i wymaszerować z miasta. Z powrotem na posterunku będzie okropnie, po prostu to wiedział.

- To nie jest postawa, którą powinien przybrać powracający bohater - powiedziała Salrana. Dalmową przekazywała mnóstwo troski. Edeard uniósł głowę i skierował ku niebu zażenowany uśmiech.

- Przepraszam. Chociaż nam się udało. Rzeczywiście odgoniliśmy kilku oprychów z gangu.

- Wiem! Śledziłam cię dalwzrokiem cały czas! Byłeś wspaniały, Edeardzie. Żałuję, że nie wybrałam zawodu konstabla.

- Nasz sierżant nie podziela twojej opinii. I, co gorsza, ma rację. Nie zachowaliśmy się właściwie.

- Czy powiedziałaś to temu sklepikarzowi?

- Nie o to chodzi.

- Tak, chodzi właśnie o to, Edeardzie. Dzisiaj uczyniłeś dobro. Nie ma znaczenia, w jaki sposób to zrobiłeś. Komuś pomogłeś. Pani to zobaczyła i będzie rada.

Czasami musisz zrobić coś złego - powiedział bezgłośnie. Nabrał trochę otuchy, kiedy spróbował sobie wyobrazić, co miałyby do powiedzenia Akeem na temat wszystkich zasad i procedur Chaego. Jego wypowiedź byłaby krótka i bardzo konkretna, wiedział o tym.

- Co? - spytała Salrana.

- Nic. Ale dziękuję. Teraz wracam na posterunek i zrobię wszystko, co będzie trzeba, by ułożyć sobie właściwe stosunki z sierżantem.

- Zawsze jestem taka z ciebie dumna, Edeardzie. Porozmawiaj ze mną wieczorem, powiedz mi co się dzieje.

- Zrobię to. Obiecuję.

Kiedy wrócili na posterunek, wydawało się, że zły humor

Chaego minął. Edeard spodziewał się, że zostanie zrugany natychmiast, gdy przekroczą wielkie wrota. Zamiast tego Chae stał z wyrazem znużenia na zniszczonej twarzy. Przynajmniej tym razem jego osłona opadła wystarczająco, by Edeard czuł, jak zmęczone są jego myśli.

- Do małej sali - rozkazał oddziałowi.

Pozostali posłusznie weszli do budynku. Edeard poczekał, aż przejdą przez bramę.

- To moja wina - powiedział do Chaego. - Zachęciłem innych, by za mną poszli. Nie posłuchałem pana i zignorowałem procedurę.

Chae patrzył na niego uważnie, a jego umysł stał się na powrót nieprzenikniony.

- Wiem. A teraz, czy możesz zgadnąć, co by się stało, gdyby Setersis usłyszał, jak was wszystkich opierdalam?

- Eee, prawdopodobnie stanąłby po naszej stronie?

- Tak by zrobił. A teraz szybko dorośnij, chłopcze. Dowiedz się, jak należy wszystko równoważyć w naszym mieście. Chodź, chcę z wami porozmawiać.

Inni konstable wstali, kiedy Chae wszedł do małej sali. Dinlay energicznie zasalutował.

- Dajcie temu spokój - powiedział Chae. Trzecią ręką zatrzęsął drzwiami do sali. - Siadajcie.

Członkowie oddziału spojrzeli po sobie lekko osłupiali. Z wyjątkiem Dinlaya, który nadal trzymał się na uboczu.

- Więc, według was, jak się nam dzisiaj udało? - spytał Chae.

- Niewłaściwa procedura - zaryzykowała Kanseen.

- Taa, niewłaściwa procedura. Ale ocaliliśmy życie straganiarza. Jakieś męty z gangu spotkała przykra niespodzianka. I odzyskaliśmy skradzione towary. To wszystko punkty dodatnie. Konstable będą przez parę tygodni popularni w Silvarum. To dobrze, nie ma w tym nic złego. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że rządy prawa zostały utrzymane w mocy. Edeardzie?

- Proszę pana?

- Czy twój orzeł śledził ich aż do domu?

- Eee, tak, proszę pana. Obserwowałem, jak udają się do

Sampalok. To budynek niedaleko Wielkiego Kanału Głównego. Jeszcze z niego nie wyszli.

- Więc wiemy w którym budynku prawdopodobnie mieszkają. Co w związku z tym zrobimy? Czy zmontujemy duży oddział, wejdziemy tam i ich aresztujemy?

- Prawdopodobnie nie.

- Dlaczego? Złamali prawo. Czy nie trzeba ich doprowadzić do sądu?

- Zbyt wiele wysiłku jak na drobne przestępstwo - powiedział Macsen.

- Słusznie. Sprowadź więc, proszę, orła z powrotem.

- Tak, proszę pana.

Wysłał polecenie przez niebo nad Makkathranem i poczuł, jak orzeł wznosi się i nurkuje pionowo ku ziemi. Ptak pomknął z powrotem nad wielkim kanałem.

Chae uśmiechnął się dziwnie do Edearda.

- A ty rzeczywiście możesz sięgnąć dalmową tak daleko, prawda?

- Proszę pana?

- W porządku. Słuchajcie, nie jestem na was wściekły. Więc odprężcie się i, na miłość Pani, postarajcie się słuchać tego, co za chwilę wam powiem. Zaciągnęliście się do konstabli, żeby robić takie rzeczy jak dzisiaj: by zapobiegać działalności przestępczej i chronić ludzi w tym mieście. To dobrze, bo to pokazuje, że macie poczucie obowiązku i jesteście względem siebie lojalni. Technicznie rzecz ujmując, moim obowiązkiem jest przeprowadzić was wszystkich przez następne dwa miesiące, a potem będziecie zdani na siebie, a ja zajmę się następną porcją beznadziejnych młodziaków. Moja odpowiedzialność za was w tamtej chwili się skończy. Ale muszę spróbować wam wpoić, zanim stąd wyjdziecie, poczucie proporcji, a być może nawet pewną świadomość polityczną. Pomyślcie. Ci gangsterzy będą nieco wstrząśnięci siłą Edearda i wściekli, że wrócili z pustymi rękami po podjęciu tak dużego ryzyka. Następnym razem, kiedy wybiorą się na skok, będą chcieli sobie zagwarantować, że ich przestępstwo przyniesie jakieś wyniki. Więc dla pewności

przygotują się z zapasem. Boyd, co byś zrobił na ich miejscu? Kiedy poczułbyś się pewnie?

- Zabrałbym pistolet?

- Bardzo możliwe. Więc, jeśli jakiś patrol konstabli się za nich zabierze, zostanie ostrzelany.

- Poczekajcie - powiedział Edeard. - Nie możemy pozwolić, żeby to nas powstrzymywało. Jeśli będziemy tak się bać rozprawy z gangami, że nic nie zrobimy, to będzie oznaczać, że oni wygrali.

- Właśnie. Więc co?

- Następnym razem przegnamy ich, to wszystko - powiedział Maccsen.

- Słusznie. Choć tak naprawdę, wasza reakcja była niemal prawidłowa. Nie zachowałem się tam sam zbyt dobrze, głównie dlatego, że niepokoiłem się o waszą grupę, która tak po prostu sobie pobiegła. Stare prawo przyrody głosi, że każdemu działaniu odpowiada takie samo przeciwdziałanie. Jeśli ci gangsterzy przyszli na rynek w świetle dnia i pocięli nożami straganiarza, to musieli oczekiwać reakcji ze strony konstabli. To oni w tym wypadku przekroczyli granicę. Ale to nadal nie oznacza, że troje z was może pognać za ich czwórka. Z pistoletami i nożami, czy bez nich, mają przewagę liczebną. Całe zdarzenie ma wypisany na sobie Wyraz „tragedia”. Zatem nie należało tego robić. Nie należało również zostawiać rannego bez opieki. Nie zatrzymaliście się, by ocenić sytuację, co jest niesłychanie ważne. Pozwoliliście, by wasz czysty instynkt wziął górę nad moimi rozkazami, co jest największą zbrodnią, bez względu na to, jak mocno jesteście przekonani o swojej słuszności. Mam was szkolić w reagowaniu na sytuację w sposób profesjonalny i najwidoczniej w tym zakresie nie ćwiczyłem was wystarczająco. Jestem gotów przypisać wasze dzisiejsze potknięcia podnieceniu wywołanemu nową dla was sytuacją i ogólnym zamętem. Potrzebujecie doświadczenia bardziej niż teorii, więc nikt nie będzie ukarany i nie będzie wzajemnych oskarżeń. Ale zrozumcie: to w żadnym wypadku nie może wydarzyć się w przyszłości. Następnym razem, kiedy spotkacie się z właśnie popełnianym przestępstwem, macie stosować się

do każdej litery procedur. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak, sierżancie - odpowiedzieli chórem.

- No to się rozumiemy. Weźcie sobie wolny wieczór, idźcie do Orła Olovana na drinka czy dziesięć drinków i bądźcie w tej sali na następną porcję teorii jutro skoro świt. Naruszę również swoją strategię postępowania i coś wam powiem: jeśli kompletnie nie spieprzycie waszych egzaminów końcowych, wszyscy przeszłicie pozytywnie okres próbny.

- Byłem bezużyteczny - skarżył się Dinlay. - Po prostu znieruchomiałem. Byłem taki bezużyteczny.

Edeard spojrział na Macsena, który po prostu wzruszył ramionami. Od godziny przebywali w Orle Olovana, a Dinlay powiedział w zasadzie tylko tyle. I cud, że w ogóle go namówili, by poszedł z nimi. Od tamtej chwili w małej sali, kiedy Chae ich zwolnił, nie wypowiedział nawet dziesięciu słów.

- Znieruchomiałeś na dwie sekundy, to wszystko - powiedziała Kanseen. - Oznacza to, że byłeś blisko Chaego, kiedy kazał nam wszystkim się zatrzymać i pomóc straganiarzowi. Nie mogłeś zrobić nic innego.

- Powiniennem zignorować go, tak jak wy. Nie zrobiłem tego. Zawiodłem.

- Och, słodka Pani - rzuciła z irytacją Kanseen i usiadła na powrót w swoim fotelu.

Miała na sobie niebiesko-białą sukienkę w pomarańczowe kwiaty. Nie był to najbardziej stylowy ubiór z tych, które Edeard widywał na Makkathranie, ani też najnowszy, ale wyglądała w nim dobrze. Krótka fryzura nadal odróżniała ją od innych dziewcząt noszących, zgodnie z modą, długie włosy. Ale Edeardowi jej fryzura się raczej podobała i pasowała dziewczynie, podkreślając jej spłaszczony nos i ciemnozielone oczy. Teraz, kiedy znał ją od kilku miesięcy, nie onieśmiałała go tak jak na początku. I nie chodziło o to, żeby myślał o niej inaczej niż jako o koleżance i przyjacielu.

- Nikt nie zawiódł - powiedział Edeard. - To popołudnie było

chaosem, to wszystko. A ty pomogłeś Chaemu ze straganiarzem.

- Zamarłem - rzekł Dinlay żałośnie. - Zawiodłem was. Oczekiwali po mnie, że w ciągu dziesięciu lat zostanę kapitanem posterunku, wiecie. Mój ojciec oczekiwał.

- Weźmy jeszcze po drinku - zasugerował Macsen.

- O, tak, to rozwiąże wszystkie problemy - powiedziała gorzko Kanseen.

Macsen mrugnął do niej, a potem rzucił dalmową rozkaz do jednej z kelnerek tawerny. Musiał powiedzieć jej coś jeszcze. Edeard spostrzegł, jak kelnerka obrzuca Macsena uśmiechem pełnym fałszywego oburzenia.

Jak on to robi? Nie chodzi o to, co mówi, ale ta jego cała postawa. I dlaczego ja nie mogę tego robić? Edeard odchylił się w fotelu i poddał swego przyjaciela krytycznemu badaniu. Macsen siedział pośrodku niewielkiej kanapy z Evalą po jednej stronie i Nicolar po drugiej. Obie dziewczyny pochylały się ku niemu. Śmiały się z jego żartów, wzdychały i chichotały, kiedy im opowiadał, co wydarzyło się na rynku - przesadzona opowieść o dreszczach emocji i męstwie, w której Edeard niezupełnie rozpoznawał dzisiejsze wydarzenia. Przypuszczał, że Macsen jest dość przystojny - miał płaską szczękę i ciemnoblonde włosy. Jego brązowe oczy ciągle wypełniało łotrzykowskie rozbawienie, co stanowiło dodatkową atrakcję. Pomagał fakt, że kiedy gdzieś wychodził, zawsze ubierał się elegancko. Dzisiaj włożył beżowe spodnie skrojone z najdelikatniejszego zamszu, przepasane czarnymi, splecionymi paskami skóry. Pod ciemnozielonym surdudem było widać skrawek błękitnej satynowej koszuli.

Właśnie. Nigdy bym nie zdobył się na odwagę, by włożyć podobny zestaw, ale jemu pasuje idealnie. Typowy przykład młodszego syna wielkiej rodziny.

Rzeczywiście, w porównaniu z nim, pozostali wyglądali bezbarwnie. Edeard na ogół cieszył się po cichu ze swojej czarnej bluzy, szytych na miarę spodni i butów do kolan. Teraz został zdegradowany do roli biednego przyjaciela, któremu dziewczyny Macsena współczuły i usiłowały go połączyć z własną przyjaciółką ze skrzynki z darami na cele dobroczynne.

O której mówiąc... Edeard próbował nie gapić się na Boyda, siedzącego po przeciwległej stronie stołu z wyrazem oczarowania na twarzy. Clemensa siedziała obok niego i trajkotała o tym, jak spędziła dzień. Była co najmniej tego samego wzrostu co Boyd. Ich waga również była zbliżona. Edeard nie mógł nic poradzić na to, że jego wzrok opadał na jej wielki dekolt za każdym razem, kiedy się schylała, co następowało podejrzanie często.

Kelnerka przyniosła zamówioną przez Macsena tacę z piwem. Dinlay natychmiast sięgnął po swój kufel. Edeard grzebał w woreczku z pieniędzmi, który miał w kieszeni.

- Och, nie, to moja kolejka - powiedział Macsen. Trzecią ręką położył kilka monet na pustej tacce. - Dziękuję - powiedział szczerze.

Kelnerka uśmiechnęła się. Evala i Nicolar przycisnęły się do niego mocniej.

Edeard westchnął. Jest również zawsze taki grzeczny. Czy to o to chodzi?

- Boyd! - zawołał Macsen. - Zamknij usta, człowieku, ślinisz się.

Boyd gwałtownie zacisnął zęby i gniewnie spojrzał na Macsena. Jaskrawy rumieniec wpełzł mu na twarz.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedziała Clemensa. Podniosła dłoń do policzków Boyda, obróciła mu głowę i pocałowała go. - Dziewczyna lubi, kiedy mężczyzna skupia na niej uwagę.

Edeard pomyślał, że Boyd zemdleje ze szczęścia.

- Muszę wyjść - powiedział cicho Dinlay. - Za minutę wrócę.

Fakt, że na wyższym piętrze były toalety, był dla Edearda kolejnym zaskoczeniem. Musiał się przez pewien czas oswajać z miejskimi budynkami. Sama tawerna, która rozpostarła się na wiele pięter, była również nowością. Jak też bladopomarańczowe światło, promieniujące z sufitu, niemal tak jasne jak światło dnia. Pierwszego wieczoru, kiedy odwiedzili Orła Olovana, zastanawiał się, dlaczego na podłodze nie leży słoma. Życie w mieście było takie cywilizowane. Kiedy tak siedział tu w ciepłe, widząc przez okno światła na zewnątrz ciągnące się aż do morza Lyot, pijąc dobre piwo z miłymi przyjaciółmi, było mu trudno połączyć to z

gangsterskimi przestępstwami, które kładły się cieniem na miasto.

- Co robisz? - syknęła Kanseen do Macsena. - On już za dużo wypił.

- To dla niego najlepsze. Nie jest pijakiem zadziornym. Jeszcze ze dwa kufle i uśnie. Następną rzeczą, z której zda sobie sprawę, to to, że jest jutro i czeka go taka masa roboty, że nie będzie miał czasu na rozmyślania. To przez dzisiejszy wieczór musimy go przeciągnąć.

Kanseen miała taką minę, jakby chciała zaprotestować, ale nie mogła znaleźć argumentów. Spojrzała na Edearda.

- To ma sens - przyznał.

Macsen zamówił u kelnerki następną kolejkę.

- Moja wątroba musi się poświęcić, byśmy mogli przeciągnąć Dinlaya do promocji - poskarżyła się Kanseen.

- My, konstable, trzymamy się razem. - Edeard uniósł kufel. - Na cześć naszych wątrób. Komu są one potrzebne?

Wypili za to.

- Nie martw się - powiedział Macsen. - Zorganizowałem to. Nasze piwo jest rozwodnione. Dinlay ma w każdym kuflu dwa kieliszki wódki.

Nawet Kanseen musiała się zaśmiać. Nachyliła swój kufel ku Macsenowi.

- Jesteś taki...

- Cudownie zły? - zasugerował Edeard, patrząc na kufel z zawstydzeniem. - Ono jest rozcieńczone? Nie potrafię stwierdzić; smakuje tak samo.

- Dokładnie tak - odpowiedziała.

- Dziękuję wam. - Macsen objął rękami ramiona obu dziewcząt i przyciągnął je do siebie. Najpierw pocałował Evalę, potem Nicolar.

- Nie tylko o tę noc musimy się martwić - powiedział Boyd.

- Czy nasz Boyd musi się martwić o dzisiejszą noc? - spytał Macsen Clemensę.

Obdarzyła Boyda głodnym spojrzeniem.

- Z pewnością nie. Po tym, co dzisiaj zrobiliście, jesteście

według mnie wszyscy bohaterami. To wymaga wielu nagród.

- Będzie chciał się sprawdzić - powiedział Boyd. - Gadka sierżanta go nie powstrzyma. Następnym razem, kiedy natkniemy się na bójkę lub grabież, Dinlay będzie na przedzie i będzie się palił do ujęcia złoczyńcy.

- Też do tego doszedłem - powiedział Edeard.

- Musimy być gotowi - powiedziała Kanseen. - Nie możemy go powstrzymywać, to tylko pogorszy sprawę. Ale możemy być tam razem z nim.

- Wszyscy razem - rzekł Macsen. Podniósł kufel. - Bez względu na wszystko.

- Bez względu na wszystko! - ryknęli, wznosząc toast.

Edeard w dalszym ciągu nie wyczuwał smaku wody.

Cztery gemałpy z posterunku konstabli w Jeavons szły wolno ulicą, wyglądając jak żałobnicy, kiedy niosły nieprzytomnego Dinlaya do domu, na jego łóżko w dormitorium.

Kanseen ciągle oglądała się, by sprawdzić, co z nim jest.

- Chyba nic mu nie będzie?

- Niezupełnie - odparł Edeard. - Jeśli Macsen mówi poważnie o wódce, jutro rano będzie miał kaca z Honiousa.

Odwrócił się, by sprawdzić gemałpy. Wykorzystanie ich nie było idealnym rozwiązaniem, ale lepszym, niż gdyby razem z Kanseen wlekli Dinlaya. Boyd i Macsen zostali w tawernie z dziewczętami. Na górze znajdowały się prywatne pokoje, które bez wątpienia wykorzystają. Edeard starał się panować nad zazdrością.

- Macsen! - wykrzyknęła Kanseen.

- Nie jest taki zły. Tak naprawdę, wolałbym mieć przy boku raczej jego niż Dinlaya.

- Też ci wybór.

- A ty jesteś z nich najlepsza.

Piwo, a teraz balsamiczne nocne powietrze spowodowały, że zakręciło mu się w głowie. To musiała być przyczyna, że tak się wyraził.

Kanseen milczała przez dłuższą chwilę. Szli długą, niemal pustą ulicą.

- Akurat teraz nie szukam nikogo - powiedziała poważnie. - Właśnie zerwałam z mężczyzną. Byliśmy zaręczeni. To... skończyło się źle. Chciał miłej, tradycyjnej dziewczyny, takiej, która zna swoje miejsce.

- Przykro mi. Ale muszę powiedzieć, że to jego strata.

- Dziękuję, Edeardzie.

Szli przez chwilę w milczeniu. Cienie przesuwają się, kiedy przechodzili przez jasne pomarańczowe łąty na zewnątrz budynków.

- Nie wiem, co z tobą jest - powiedziała cicho. - Nie mówię po prostu o tym, jak silną masz trzecią rękę. Ty się wybijasz. Jesteś taki, jacy powinni być synowie szlacheckich rodzin albo jacy rzeczywiście byli, zanim stali się bogatymi i tłuściochami.

- Nie ma we mnie nic ze szlachectwa.

- Szlachectwo nie pochodzi z więzów krwi, ono przychodzi z naszego wnętrza. Gdzie znajdowała się twoja wieś?

- Ashwell, w prowincji Rulan.

- Nic mi to raczej nie mówi. Z geografii znam tylko Równinę Iguru.

- Ashwell leżało daleko od niej, tuż przy skraju dzikich krain. Pokażę ci na mapie, jeśli jakąś znajde. Dotarcie tutaj zajęło nam rok.

- Daj mi przekaz.

- Co? Och. - Edeard skupił się, próbując znaleźć wspomnienie, które oddawałoby jego domowi sprawiedliwość.

Wiosna - wybrał - kiedy drzewa raptownie budzą się do życia, niebo jest jasne, a wiatr ciepły. Razem z innymi dziećmi wyszedł poza mury szańcowe, okrężną drogą dotarli na górę przepaści, skąd patrzyli w dół na przytulne domy, które schroniły się pod skałą.

Usłyszał ciche westchnienie i zdał sobie sprawę, jak głęboko zaangażował się w to wspomnienie, zaprawiając je melancholią.

- Och, Edeard, jest taka piękna. Co się stało? Dlaczego wyjechałeś?

- Napadli ją bandyci - powiedział sztywno. Nigdy nie opowiedział swym nowym przyjaciółom prawdy o Ashwell. Wiedzieli tylko, że bandyci zabili mu rodzinę.

- Przykro mi - powiedziała. Tym razem opuściła zasłonę wokół swych myśli, pozwalając mu odczytać jej współczucie. - Czy było to tragiczne?

- Salrana i ja przeżyliśmy. I pięcioro innych.

- Och, Pani. Edeardzie. - Chwyciła go za ramię.

- Nie martw się. Pogodziłem się z tym. Z wyjątkiem straty mego Mistrza, Akeema. Nadal za nim tęsknię.

Prądy uczuciowe wezbrały w jego myślach. Zarówno nieoczekiwane, jak i niepokojąco silne. Naprawdę sądził, że pozostawił za sobą wszystkie te uczucia i żal. A teraz wystarczyło, by wytworzył obraz swego starego domu, a emocje napłynęły z powrotem, równie silne jak w dniu, w którym się wydarzyły.

- Powinieneś porozmawiać z którąś z Matek Pani. One wspaniale pocieszają.

- Taa. Być może. - Wprawił swe nogi ponownie w ruch. - Chodźmy. Coś mi mówi, że Chae nie ma zamiaru traktować nas jutro zbyt łagodnie.

Gemałpy ułożyły Dinlaya na materacu i przykryły go cienkim kocem. W ogóle się nie obudził, tylko jęknął i trochę się przesunął. Edeard nie mógł się zdobyć na zdjęcie butów przyjacielowi, nagle sam poczuł okropne zmęczenie. Ledwo zdołał zdjąć własne buty i spodnie. Sypialniane geszympany dreptały wokół, zbierając do prania jego ubranie.

Oczywiście, teraz, kiedy już naprawdę leżał, miał umysł zbyt niespokojny, by dostarczył snu, tak upragnionego przez ciało. Wysłał myśl do głównej rozety oświetleniowej na suficie: ściemniała do mgławicowej poświaty. To była niemal jedyna reakcja na ludzką myśl, jaką kiedykolwiek wykazały miejskie budynki. Geszympany uspokoiły się. Słabe dźwięki z dolnej kondygnacji przelatywały szeptem przez wielki, pusty pokój -

zwykle odgłosy wejścia i wyjścia funkcjonariuszy z nocnej zmiany. Edeard nigdy naprawdę nie przyzwyczał się do sposobu, w jaki zakrzywiały się ściany w mieście. Tam, w Ashwell, ściany prowadzono w liniach prostych: dziewięć boków dziedzińca gildii uważano za całkiem śmiały projekt architektoniczny. Tutaj, w dormitorium, owalne alkowy z łózkami były niemal samodzielными pokojami, z łukowatymi wejściami dwa razy wyższymi od Edearda. Lubił sobie wyobrazić, że dormitorium było tak naprawdę jakimś typem arystokratycznej sypialni i że być może rasa, która stworzyła Makkathran, miała więcej niż dwie płcie. Stąd sześć łóżek. Więc posterunek byłby ważnym budynkiem. Niezupełnie mógł wyobrazić sobie zastosowanie dla przypominającego pszczeli plaster labiryntu małych pokojków pod ziemią, które obecnie wykorzystywano jako cele dla więźniów i składy. Kiedy o tym rozmyślał, pozwolił swemu dalwzrokowi dryfować przez przezroczystą szarą panoramę konstrukcji posterunku. Obraz jakby go otaczał, pochłaniał. Grawitacja pociągnęła jego umysł i zapadł się niczym duch przez podłogę w podziemiach. Pod spodem, w gruncie, znajdowały się szczeliny, gładkie szczeliny, które pętiły się i zakrzywiały, skręcając coraz głębiej. Niektóre nie były szersze od palca, natomiast inne były tak szerokie, że można było w nich spacerować. Rozgałęziały się i przecinały, tworząc zawile filigran i przypominając mu żyły w ludzkim ciele. Czuł, jak w kilku z nich pulsuje woda, a w innych dmuchają silne wiatry. Kilka mniejszych szczelin zawierało nici fioletowego światła, które jakby płonęło, nigdy nie naruszając ścian szczeliny. Próbował dotknąć ich trzecią ręką - ale tylko przeszła przez nie, jakby chytał miraż.

Jego dalwzrok rozszerzył się, stał się cienki i naciągnięty. Szczeliny odchodziły od posterunku, ryły pod ulicami na zewnątrz, splatały się z innymi rozległymi pustymi filigranami, które podpierały otaczające budynki. Edeard westchnął w zadziwieniu, kiedy jego dalwzrok coraz bardziej się rozrastał, i im bardziej się odprężał, tym więcej dostrzegał. Okruchy barw połyskiwały w jego umyśle, jak gdyby ten świat cieni nabierał

konsystencji. Już nawet nie wyczuwał dormitorium. Posterunek był małym, żarzącym się klejnotem zanurzonym w rozległym wirze podobnych wielokolorowych iskier.

Makkathran.

Edeard doświadczył cudu jego myśli. Zanurzył się w melodię, której pojedynczy takt trwał lata, struny były tak wspaniałe, że mogłyby rozedrzeć sam grunt, gdyby kiedykolwiek uzyskały substancję. Miasto spało długim snem wszystkich olbrzymów, niesplamione żalosnym gorączkowym tempem pasożytujących ludzi, pełzających w jego fizycznych wypustkach.

Miasto było zadowolone.

Edeard pławił się w tym starodawnym spokoju i powoli zapadł w pozbawiony marzeń sen.

6

- Długo jeszcze? - spytała Corrie-Lyn.

Aaron znowu warknął i zignorował ją.

Przebywał wewnątrz klatki gimnastycznej, wysuniętej przez kabinę statku. Testował zdolności i siłę odtworzonego torsu. Ciągnął i pchał ciężary, robił skłony i skręty. Trudził się w pocie czoła, a tymczasem mierzono jego wytrzymałość, zużycie tlenu jego nowego ciała, szybkość przepływu krwi i impulsów nerwowych...

- Wiedziałaś, że Qatux może robić takie rzeczy - jęknęła. - Więc na pewno wiesz, ile mu to zajmie.

Aaron zazgrzytał zębami, kiedy ciążenie odchyliło się od pionu i wzrosło, zmuszając go do ciągnięcia za rączkę, którą trzymał i jednoczesnego rozciągania ciała. Biononika meldowała, że ścięgnięta są bliskie granice wytrzymałości.

Jednocześnie ciężkim próbom poddawano jego cierpliwość. Od ich powrotu na „Sprytnego Kombinatora” upłynęło piętnaście godzin i cały ten czas Corrie-Lyn poświęciła na picie i jęki. Teraz uważała, że przekazanie wspomnień Iniga to okropna zdrada, nie mówiąc już o tym, że to po prostu zły pomysł. Naprawdę zły pomysł. W gruncie rzeczy głupi. I stale to powtarzała.

- Więc będzie on miał jakby mini-Iniga włączającego się wewnątrz jego mózgu?

Aaron spojrział na zużycie tlenu w mięśniach ramion. Poziom różnił się od poziomu mięśni oryginalnych jedynie o parę punktów. Niezły wynik jak na dwa dni. Lekarstwa i biononika zrobiły, co mogły, teraz wszystko zależało od dobrych, staromodnych ćwiczeń. Dobry program gimnastyczny spowoduje, że mniej więcej po tygodniu poziomy się wyrównają. Wyłączył siłownię.

- Coś w tym rodzaju - odparł.

Corrie-Lyn mrugnęła na tę niespodziewaną odpowiedź.

Przetoczyła się na kanapie i sięgnęła po karafkę z margaritą tasimionową.

- Tak więc zadasz mini-Inigo pytanie...

- I Qatux na nie odpowie. Owszem.

- Co za stek bzdur.

- Zobaczymy. - Wyślizgnął się z T-shirta i obejrzał swój tors. Błona zaczynała złazić. Pod spodem skóra była delikatna, ale przynajmniej kolor ciemniał do tego samego odcienia, co reszta Aarona. - Wezmę prysznic - oznajmił.

- Bardzo dobrze nabierasz kształtów. - Zachichotała. - Potrzebujesz tam pomocy?

Aaaron wzniosł oczy w górę.

- Nie, dzięki. - Obecnie miał już mocną teorię, dlaczego Inigo uciekł od Żyjącego Snu i nie miało to nic wspólnego z Ostatnimi Snami, ani z napięciem, które odczuwał jako obiekt uwielbienia miliardów. Może ona zmieniła się w to coś dopiero po jego odejściu?

Klatka gimnastyczna zapadła się w ścianę i po chwili oczekiwania, z tej samej części ściany wysunął się boks prysznic. Aaron zrzucił szorty i wszedł do kabiny w akompaniamencie wilczego skowytu Corrie-Lyn. Musiał wracać do zdrowia, gdyż kutas mu się poruszył. Ale jeśli Qatuxowi uda się wpaść na trop ukrywającego się mesjasza mimo woli, Aaron będzie potrzebował Corrie-Lyn bardziej niż kiedykolwiek. Wobec tego maksymalnie obniżył temperaturę spor i myślał o innych sprawach. Niestety, jako że nie sięgał pamięcią wcześniej niż spotkanie z Ethanem, nie miał wiele materiału do przemyśleń. Jeśli nie liczyć dziwaczkich snów. Ta jazda konna... był młody. Więc musiało to być w dzieciństwie. Wyglądało na dość przyjemne.

Kiedy już wziął prysznic, kontynuowali badania życiorysu starego raiela, który zgodził się im pomagać. Wzięli pod uwagę to, co im powiedział i wysłali swoich u-adiunktów do unisfery na poszukiwanie plików dotyczących historii Far Away podczas wojny Gwiazdokrażcy. Pierwszą niespodzianką było znalezienie ponad miliona dostępnych plików na temat tamtego okresu.

Odfiltrowanie informacji nieistotnych lub bezużytecznych zajęło im osiem godzin. A nawet wtedy nie uzyskali bezpośrednich dowodów obecności Qatuxa na Far Away.

Znaleźli niezliczone dokumenty, mówiące o tym jak zespół Strażników Bradleya Johanssona ścigał Gwiazdokrażcę, aż umknął do swego legowiska i jak zespół połączył siły z dziwną drużyną ochroniarzy, którą wyznaczył im do pomocy Nigel Sheldon. Oczywiście admirał Kime był członkiem tej drużyny - tę informację zawierały powszechnie dostępne źródła historyczne. Opis jego śmiałego przelotu hiperszybowcem nad Mount Herculaneum i tego, jak został wyratowany przez samego Nigela. Anna - Judasz. Oscar - męczennik. Paula Myo i eskadra floty, Pazury Kotki.

- Nie wiedziałem, że to właśnie Nigel wysłał na początku Kotkę na Far Away - wykrzyknęła Corrie-Lyn. - Co on sobie w ogóle wyobrażał?

Znowu była trzeźwa po posiłku i paru aerozolah związujących alkohol. Pewne aspekty poszukiwań szczerze ją interesowały.

- Bądź sprawiedliwa, nie był jasnowidzem.

Pewne przypisy utrzymywały, że w poszukiwaniach pomagał jakiś obcy. Ale ich kontekst był dziwny. Jak wiadomo, w tamtym czasie w skład tajnej koterii Nigela wchodził Bose - alfa. Do żadnego raiela odnośników nie było.

Jeden z plików zawierał informację, że grupa barsoomska pomogła Johanssonowi, ponieważ przywiózł on na Far Away ich genetycznego świętego Graala. I nie było żadnej informacji, czym był ten Graal.

- Spójrzmy na to pod innym kątem - zaproponował Aaron. Kazał swemu u-adiunktowi znaleźć wszystkie pliki odnoszące się do obywatelki Wspólnoty o nazwisku Tiger Pansy mniej więcej w okresie wojny Gwiazdokrażcy.

Portal kabiny wyświetlił dość zaskakujący obraz.

- To nieprawdopodobne - stwierdziła Corrie-Lyn.

Aaron gapił się na kobietę z podobnym niedowierzaniem. Wyglądała jak nieboskie stworzenie. Straszne włosy; złe profilowanie twarzy zrujnowało symetrię oczu, nosa i warg,

okropne środki kosmetyczne sprawiały, że twarz wyglądała jeszcze gorzej; śmieszne powiększone piersi; obcisły, krótki strój, który nie uszedłby żadnej dziewczynie po dwudziestce, nie mówiąc już o tej, która z pewnością zbliżała się do wieku kolejnej rejuwenacji.

- Przypisana do firmy Wayside Production na Oaktier - odczytała Corrie-Lyn ze swej egzowizji. - Pojawiała się w dużej liczbie ich... aha spektakli. Opuściła ich w ostatnim roku wojny Gwiazdokrażcy. Nie ma dalszych informacji. Nic: w żadnej z planetarnych cybersfer nie ma wzmianki o miejscu zamieszkania, żadnych zapisów o kuracjach rejuwenacyjnych, żadnego świadectwa o porzuceniu ciała. Po prostu wypadła z pola widzenia.

Aaron wzdrygnął się i wyłączył wyświetlanie.

- W tamtym czasie było to dość łatwe. Nastąpiła masowa migracja z dwudziestu trzech Utraconych Planet, napadniętych przez alfy. Po tym migracja stała się nawet jeszcze bardziej chaotyczna.

- Zbieg okoliczności?

- Raiiele nie są znani ze swoich kłamstw. Może Qatux rzeczywiście ją poślubił. Ona z pewnością wygląda na typ uczuciowy.

- Nie całkiem zgodziłabym się z tym określeniem - powiedziała cicho Corrie-Lyn. - I jak dostała się na Far Away? Praktycznie rzecz biorąc planeta była odcięta przez dziesięciolecia, aż do chwili, kiedy zaczęły tam latać linie gwiazdne.

- Musiała należeć do zespołu Johanssona. Nie sądzę, by miało to znaczenie.

- Nie, ale to interesujące. Czemu miały tam lecieć jakiś raiel?

- Chcesz zapytać?

Pokręciła głową.

- Nieee, za bardzo się boję.

- Zapytam w twoim imieniu.

- Nie, po prostu daj temu spokój.

- Mimo że masz słuszność? To jest interesujące. Widocznie moje informacje są prawdziwe. Qatux pomaga ludziom.

- Powiedział, że kiedyś to robił. Dopóki nie zabito Tiger Pansy.
- Zabiła ją Kotka, nikt inny. To na pewno wystarczyłoby, by każdego wytrącić z kolein wzajemnej zależności, bez względu na to jak ta zależność była miła i jak głęboko zakorzeniona.
- Tak, cóż, Ozzie dzięki, Paula Myo w końcu ją złapała.
- Taa. I za mniej więcej cztery tysiące lat możemy się wspólnie radować, kiedy wyjdzie ze staży.
- Brr. Nic mnie nie zmusi, do pojawienia się wtedy w pobliżu.
- Qatux znał Paulę Myo - zauważył Aaron. - Ciekaw jestem, czy jest to istotne.
- Pod jakim względem?
- Począł chwilę, czy podświadomość mu czegoś nie podpowie. Nie odpowiedziała.
- Nie mam pojęcia.
- Smartkor „Sprytnego Kombinatora” powiadomił ich, że są wywoływani przez „Wysokiego Anioła”.
- Proszę, przygotujcie się do teleportacji - powiadomił ich statek.
- O, cholera - powiedziała Corrie-Lyn wstając na nogi. - Naprawdę nie przepadam za takimi...
- Kabina znikła. Znowu stali w wielkiej okrągłej sali przed Qatuxem.
- ...rzeczami.
- Skrzywiła nos z niesmakiem. Aaron uklonił się raielowi.
- Dziękujemy, za wyświadczenie nam grzeczności.
- Proszę bardzo - szepnął wielki kosmita.
- Czy ci się udało?
- Przeżyłem wczesne życie Iniga. Nie wyróżniało się tak bardzo.
- Aaron spojrział prosto na Qatuxa, unikając wzroku Corrie-Lyn. Jego gajafejsy wykryły irytację, którą w jej umyśle wywołała ta ostatnia uwaga.
- Tym niemniej musiało ci to dać pewne zrozumienie wzorców jego zachowań.
- Powoduje nim poczucie winy.
- Poczucie winy?
- Spędził całe życie ukrywając swoją prawdziwą naturę przed

wszystkimi: rodziną, ukochanymi i wrogami.

- Czy masz na myśli Protektorat?

- Tak. Zdawał sobie sprawę, że stale go nadzorowali. Pod koniec czerpał przewrotną radość z tego, że udaje zwykłego Awangarda. Ale takie życie położyło się na nim ciężarem. Była to jedna z głównych przyczyn, dla których zgłosił się na ochotnika na służbę w Stacji Centurion.

- W porządku, mogę zaakceptować taką wersję. Biorąc pod uwagę okoliczności w jego późniejszym życiu, jak ci się wydaje, dokąd się udał?

- Na Hanko.

Aaron nie przygotował się na taką odpowiedź. Na podobną również.

- Jeden z czterdziestu siedmiu światów Drugiej Fali?

- Tak.

- Wiem, że to właśnie stamtąd pochodziła ludność Anagaski, ale wszyscy musieli opuścić planetę, bo po ataku alf przestała się nadawać do zamieszkania. Tam nie ma nic, już nie.

- Iniga zawsze fascynowało to, co uważał za swój prawdziwy i odwieczny dom - wyjaśnił Qatux. - Pamiętaj, że on nie należał do kultury Awangardów na Anagasce. Hanko dawała mu psychiczny punkt oparcia, wzmocniony obsesją na punkcie przodków, zakorzenioną w jego duszy przez fakt, że stracił ojca tak krótko po urodzeniu. Taki uraz wpływa na każde dziecko, zarówno Elewata jak i Awangarda, zwłaszcza, gdy ta strata jest wspominana przez matkę z taką goryczą.

- Rana, która drażniła, nienaumyślnie lub specjalnie.

- Właśnie. Hanko okazała się idealnym rozwiązaniem, zwłaszcza dla takiego wysiedleńca jak Inigo. Miejsce rzeczywiste, a jednocześnie nieosiągalne. Złudzenie, którego nie można stracić. Inigo często dawał pieniądze na akcje dobroczynne wspierające oficjalne rządowe zespoły Odzyskiwania. To wiele mówi. Na Anagasce nigdy nie był osobą zamożną.

- I sądzisz, że tam wrócił?

- Jeśli porzucił Żywy Sen z powodu własnej niepewności co do kierunku przyjmowanego przez ten ruch, to

przyporządkowałbym tej możliwości bardzo wysokie prawdopodobieństwo. Jest Elewatem, fizyczne oddziaływania klimatu i promieniowania wywrą na niego bardzo niewielki wpływ.

- W tych założeniach jest wiele niewiadomych.

- Gdybyś miał pewność, nie byłoby cię tutaj.

- Proszę o wybaczenie. Oczekiwałem, że powiesz, że uciekł ze Wspólnoty, albo, że istnieje jakaś tajna koteria, zdecydowana mu pomagać. Ale Hanko z pewnością wyjaśniałoby, dlaczego nikt go nie znalazł.

- Polecisz tam?

- Aaron spojrział na Corrie-Lyn, która wyglądała na bardzo zaintrygowaną.

- Tak - odparł.

- Ambicja i dobre chęci zawsze są dobrym punktem wyjścia - oznajmił Likan. - Potem, ani się obejrzyście, a rozbijacie się o rzeczywistość. Albo się przystosowujecie, stajecie się realistami i odpowiednio reagujecie, albo brniecie dalej, aż zatonicie pod ciężarem własnych kapitulacji. Wiem, że ci z was, którzy są tu obecni nie dają tak łatwo za wygraną. Do diabła, ci, co dają, nie mogliby sobie pozwolić na bilet wstępu tutaj. Z uśmiechem powiódł wzrokiem po rozbawionych słuchaczach. - W życiu albo cię cisną, albo ty ciśniesz. To samo dotyczy interesów.

Trzy rzędy od małego podium Araminta powiódła wzrokiem po kolegach przedsiębiorcach. Było tak, jakby zgromadziła się tu armia klonów.

Wszyscy to gorliwi młodzi ludzie interesów, elegancko ubrani i modnie uczesani. Wchłaniali każde słowo, które miał im do powiedzenia najbogatszy człowiek świata, bo mówił o nabywaniu tego bogactwa. Każdy z nich rozpaczliwie polował na najmniejszą aluzję na temat zachowania rynku, na żart o trendach finansowych, którego nowego prawa należy się wystrzeżać, do których projektów państwowych warto się przyłączyć.

Jeśli sądzili, że sheldonita im to powie, bardzo się rozczarują. Podstawowy wywiad wskazywał jedno: Likan był człowiekiem bezlitosnym. Przybył tu, do Colwyn City, by wygłosić jeszcze jeden ze swych wykładów: „Jak Się Dorobiłem”, dla reklamy i prestiżu, a nie po to, by pomagać nieopierzonym rywalom. Celebra pomagała mu w interesach, a ponadto podniecały go pochwały. Cały wieczór ilustrował jego ulubione hasło: wygraj-wygraj.

Wiedziała, że Bovey nienawidziłby tego wszystkiego i uśmiechnęła się ukradkiem na tę myśl. Tu, pomiędzy wiernymi, taka myśl byłaby odebrana jako niemal bluźnierstwo. Ale z drugiej strony Bovey miał kompleksy dotyczące potężnych i bogatych. Wszyscy politycy byli bezwartościowymi durniami. Wszyscy miliarderzy zdemoralizowanymi przestępcami. To jedno z dziwactw, które lubił. Było całkiem zabawnie, słysząc jego młodsze ego, biologicznego czternastolatka, jak wścieka się na gabinetowego ministra spraw socjalnych. Pan Bovey, jak wszystkie samozatrudniające się osoby szczerze nienawidził biurokracji i podatków, których ona wymagała, by funkcjonować i co gorsze, rozrastać się. Zgodnie z doświadczeniem Araminty czternastolatki nie miały dorosłych trosk, w tym wieku ma się tylko neurotyczne lęki i nierealizowalne aspiracje. Dobrze to pamiętała.

Araminta westchnęła czule. Głośniej niż zamierzała. Zobaczyła, jak Likan zerka w jej kierunku, choć nawet przez chwilę się nie zająknął. Zacisnęła wargi narzucając im cenzurę.

Mowa okazała się dokładnie taka, jakiej oczekiwała. Mnóstwo słów motywujących, kilka dowcipów, cała masa product placementów usług finansowych i nadmiar zębatych uśmiechów podczas przerw na brawa i śmiechy. Araminta nawet klaskała razem z całą resztą. Sprzedawano tu standardowy towar, ale wśród tego wodolejstwa trafiały się samородki. Była zainteresowana wczesnymi latami Likana, tym jak przeskoczyć z drobnego zakresu działań, takiego jak jej na poziom większego przedsiębiorstwa. Według Likana, rozwój sprowadzał się do ryzyka i tego, na jak wielkie ryzyko jest się przygotowanym.

Wiele razy wspominał o pewności siebie jak również determinacji i ciężkiej pracy. Araminta zastanawiała się, czy kiedykolwiek spotkał Larila. To byłaby naprawdę interesująca konwersacja.

Likan skończył i zgotowano mu owację na stojąco. Araminta wstała razem ze wszystkimi i bez przekonania biła brawo. Żałowała, że nie mówił bardziej konkretnie, może nawet podając jakieś rzeczywiste przykłady. Przewodniczący Stowarzyszenia Drobnych Przedsiębiorców w Colwyn podziękował wybitnemu gościowi i ogłosił, że poczęstunek czeka w sali recepcyjnej na zewnątrz.

Kiedy Araminta wyszła z audytorium, jej koledzy - właściciele małych firm - utworzyli grupki, by pogawędzić przy darmowych drinkach i kanapkach. Ze strzępków rozmów, które podsłuchiwała w drodze do baru, wynikało, że większość prowadzi firmy wirtualne. Rozmawiano o krzywych rozwoju, cross-promocyjnych penetracjach rynku, opcjach i terminach fuzji. Kiedy przechodziła, mężczyźni zerkali w jej stronę. Były zapraszające uśmiechy, nawet podszczypywano jej u-adiunkta, oferowano zaproszenia i komplementy. Jej u-adiunkt nie reagował - uszczyplenia są takie szczeniackie. Jeśli chcecie zaprosić mnie na obiad, miejcie odwagę powiedzieć mi to w twarz. Wybrała ciemnoturkusową suknię, dobraną do koloru włosów. Mówiąc ściśle dekolt był zbyt głęboki, a obrąbek zbyt wysoki na przyjęcie branżowe. Teraz jednak wystarczyło jej pewności siebie, by przeciwstawić się konwencji - przynajmniej w małym zakresie. Niezależność i kontakt z Cressidą dały jej tę pewność.

- Woda gruszkowa - powiedziała barmanowi.

- Ciekawy wybór.

Odwróciła się i zobaczyła, że stoi za nią Likan. Miał intrygujący wygląd, jak na kogoś tak bogatego. Podpuchnięta skóra na twarzy a policzki zaczerwienione, jakby stale brakowało mu oddechu. Jego biologiczny wiek był wyższy od przeciętnej, ustalony na około czterdziestkę, a nie na mniej więcej dwadzieścia pięć lat - ulubiony wiek wszystkich pozostałych.

Ubranie, które miał na sobie było drogie, ale bez harmonii, jakby czerpał swe odzieżowe gusta z jakichś reklam. Marynarka z połyskiem rekiniej skóry była szykowna, ale nie z tą fioletową koszulą i zielonym golfem. A jego brązowe buty najbardziej nadawały się do prac w ogrodzie.

- Muszę jeszcze dziś pracować - wyjaśniła. - Nie mogę sobie pozwolić, by alkohol mącił mi w głowie.

- Dobra samokontrola, lubię to.

- Dziękuję - odpowiedziała obojętnie.

- Mam wrażenie, że nie zrobiłem dziś na pani wrażenia.

Ludzie w pobliżu dyskretnie patrzyli w ich stronę. Likan mówił tak głośno, jak poprzednio na podium. To przynajmniej dawało wrażenie mocnej osobowości. Araminta popijała wodę gruszkową, zastanawiając się, jak to rozegrać.

- Miałam nadzieję, że usłyszę więcej szczegółów - odparła.

- Szczegółów, jakiego typu? Niech pani mówi, zapłaciła pani za bilet, ma pani do tego prawo.

- Dobrze: mała firma, prosperująca. Potrzebuje wznieść się na następny poziom. Czy trzeba reinwestować dochody i liczyć na stopniowy rozwój z każdym kolejnym przedsięwzięciem nieco większym niż poprzednie, czy wziąć pożyczkę bankową i skoczyć o dziesięć poziomów.

- Jak duża firma?

- Grupa z jednej kobiety, wspieranej przez kilka botów.

- Produkt firmy.

- Deweloperstwo.

- Dobry wybór na początek. Wysoka dochodowość w stosunku do rozmiarów. Chociaż występuje sufit, zwłaszcza przy firmie jednoosobowej. Pierwsze trzy nieruchomości powinny zapewnić wystarczający dochód, by nająć dodatkowy personel. W tym momencie trzeba skończyć z jedną budową na raz i zacząć budowy wielokrotne. Nigdy nie było lepszych czasów, obecnie nieruchomości idą jak woda, dzięki Żywemu Snowi.

- Wszystko jest względne. Przy takim popycie deweloper kupuje drogo.

- Więc ten deweloper powinien kupić całą upadającą ulicę. To

mnożnik dochodu, ponieważ wprowadzasz całą ulicę na rynek i sprawiasz, że jest pożądana.

- To duży krok.

- Poziom ryzyka, na jaki jesteś gotowa jest proporcjonalny do potencjału twojego wzrostu. Jeśli go nie podejmujesz, deklarujesz, że posuwasz się do tego a tego miejsca i nie dalej. To określa całe twoje życie. Nie sądzę, żeby pani tego chciała.

- Pytanie: czy doradzałby pan rozszerzenie personelu poprzez stanie się wieloczlówkiem?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Zostanie wieloczlówkiem wydaje się tylko rozwiązaniem, które pozwala uniknąć samotności. Ostatecznie to raczej wybór stylu życia, a nie stylu prowadzenia interesów. Niech pani zada sobie pytanie, czy jako wieloczlówek może pani zrobić coś, czego nie mogłaby pani zrobić stosując dobre, agresywne zarządzanie. Ponieważ pani przyszła mnie dziś wysłuchać, wiem, że pani już myśli perspektywicznie, ma wielkie plany. Nieruchomości to kamień węgielny imperium korporacyjnego. Dobra podstawa, nadal posiadam portfel nieruchomości, ale by osiągnąć prawdziwą dominację na rynku, musi pani zróżnicować i powiązać swoje zainteresowania. Właśnie tak zrobił Sheldon. Wykorzystał swój monopol na transport międzygwiazdny jako źródło gotówki do finansowania przedsięwzięć przemysłowych, handlowych i finansowych na setce światów. W czasie wojny Gwiazdokrażcy praktycznie był Imperatorem Wspólnoty.

- Czy chce pan zostać naszym imperatorem?

- Tak.

Aramintą wstrząsnęła jego szczerość. Pomyślała, że może w jakiś sposób sprawdza jej karty.

- Czemu?

- Ponieważ to sytuacja, w której można robić, co ci się podoba. Ostateczna wolność. Czy nie dążymy do tego wszyscy?

- Z potęgą wiąże się odpowiedzialność.

- To mówią pani politycy, jeśli chcą dostać pani głos. Istnieje różnica między potęgą polityczną a finansową, zwłaszcza tutaj, w

Światach Zewnętrznych. Chciałbym to pani zademonstrować.

- Jak pan to sobie wyobraża?

- Niech pani przyjedzie i zamieszka przez weekend w moim domu. Zobaczy pani bezpośrednio to, co osiągnąłem. Zdecyduje, czy pragnie pani tego dla siebie.

- A co z pańskimi żonami?

Powszechnie znane było jego niezłomne zdecydowanie, by odtworzyć ideologię i życie swego idola, łącznie (a może zwłaszcza) z haremem.

- Co, co z nimi?

- Czy nie będą miały nic przeciwko mojej wizycie?

- Nie. Dołączą do nas w łóżku.

To mi da nauczkę; nie mogę już oczekiwać większej szczerości. Była zadowolona, ze sposobu, w jaki kontrolowała swoje reakcje, żadnego zaskoczonego wyrazu twarzy, żadnej zdradliwej mowy ciała - prostowania pleców i ramion. W rezultacie wiedziała, że w każdej chwili może mu się przeciwstawić.

- Zgadzam się - odpowiedziała, jakby to była jakaś prośba o przegląd sprawozdań finansowych.

- Wiedziałem, że nie pomyliłem się, co do pani - powiedział.

- W jakim sensie?

- Zna pani siebie i wie, czego chce. To zawsze jest niebezpieczne.

- Dla kogo?

- Dla wszystkich pozostałych. To właśnie czyni panią tak godną pożądaną.

- Więc wygraj-wygraj - zazartowała.

„Alexis Denken” wślizgnął się wygodnie w wielką śluzę w podstawie szypułki kopuły raieli. Gwiazdy za nim zniknęły, kiedy ściana ponownie się zmaterializowała. Paula wstała, niezręcznie wygładziła zmarszczki swego żakietu i się wyprostowała. „Wysoki Anioł” przeteleportował ją do osobistej izby Qatuxa. Domy raieli były tradycyjnie rozdzielone na trzy sekcje: publiczną, mieszkalną i prywatną. Trzeba być rzeczywiście bliskim przyjacielem, by zostać zaproszonym poza sekcję

publiczną. Okrągła komnata miała bladoniebieską podłogę, a sufit, zgodnie z tradycją niewidzialny, wisiał gdzieś nad głową. Wokół niej srebrno-szare ściany marszczyły się, jakby spływała po nich woda, jednak w powietrzu nie słychać było żadnych dźwięków, ani nie czuło się wilgoci. Za brykającą powierzchnią wiły się bezcieleśnie krajobrazy planet i wizerunki dziwnych galaktyk. Jednak jeden obraz pozostawał mocny i wyraźny, ludzka twarz, którą Paula znała aż nazbyt dobrze.

Pochyliła głowę przed wielkim kosmitą, który zajmował środek komnaty.

- Paulo, raduję się, że tu jesteś.

- Minęło sporo czasu, Qatuxie. Co u ciebie?

- Wszystko dobrze. Gdybym był człowiekiem, byłbym w dobrej formie.

- Cieszę się.

- Wzniostem się na piąty szczebel „Wysokiego Anioła”.

- Ile jest tych szczebli?

- Pięć.

Paula zaśmiała się, zapomniała o przebiegłym humorze Qatuxa.

- Więc jesteś kapitanem.

- Mam ten zaszczyt.

- Gratulacje.

- A ty, Paulo, czy w dalszym ciągu prosperujesz?

- W dalszym ciągu jestem bardzo zajęta. Dla mnie oznacza to mniej więcej to samo.

- Należało się tego spodziewać. Niewielu z twojego gatunku pozostało w swoim ciele tak długo jak ty.

- Właśnie dlatego tu jestem. Potrzebuję informacji.

- Dokładnie jak za starych dobrych czasów. Jakie to intrygujące.

Paula przechyliła głowę na bok i patrzyła na wielkiego kosmitę. To ostatnie zdanie nie pasowało do niego. Grupa oczu Qatuxa była stale na niej skupiona. Dawno temu nie byłby tak śmiały, żeby się z nią drażnić. Ale z drugiej strony był czymś w rodzaju wraku, aż do misji na Far Away. Oczywiście, wtedy ona również była inna.

- Statek „Alini” właśnie odwiedził kopułę raieli. Czy możesz mi

powiedzieć, czy miał na pokładzie tych ludzi?

Jej u-adiunkt wydobyl pliki z wizerunkami Aarona i Corrie-Lyn.

- Miał - szepnął Qatux.

- Czego chcieli?

- Wydaje się, że ich misja była poufna.

Rzuciła staremu przyjacielowi przenikliwe spojrzenie. Nie podobał jej się wniosek, który właśnie wyciągnęła.

- To właśnie ty z nimi rozmawiałeś?

- Tak.

Dolny zestaw mackowych kończyn lekko zadrżał - dla raieli był to odpowiednik rumieńca.

- Qatux, czy przeglądałeś wspomnienia Inigo?

- Przeglądałem.

- Czemu? - spytała, szczerze zatroskana. - Myślałam, że to się skończyło przed wiekami. Tiger... - Nie mogła dokończyć.

Jej wzrok przyciągnęła twarz zawieszona za ścianą. Tiger Pansy z głupim beztróskim uśmiechem patrzyła na nią zniewalająco. Najwidoczniej wizerunek uchwycono w chwili, kiedy kobieta była bezgranicznie szczęśliwa.

- Wiem - szepnął raiel. - To nie powrót do mojego nałogu, zapewniam cię. Naprawdę znalazłoby się niewielu raieli, którzy odmówiliby okazji doświadczenia umysłu Iniga. On śni Pustkę, Paulo. Pustkę! Ta zła zagadka dręczy nas w stopniu, którego ludzie nigdy nie pojną.

- W porządku. - Paula przeczesła ręką włosy, czyniąc wysiłki, by zignorować niewygodne osobiste skutki uboczne, które wywołała ta sprawa. - Komórka pamięci Iniga została skradziona z kliniki na Anagasce. Dlaczego pomogłeś Aaronowi?

- Nie wiedziałem, że wspomnienia są skradzione. Przybył w statku z ultranapędem. Dano mi to do zrozumienia, że jest przedstawicielem ZAN:Władz. Tak naprawdę nigdy tego nie potwierdził. Przepraszam. Chyba mnie nabrano. Jakie to głupie, akurat mnie ze wszystkich raieli. Podstęp był całkiem prosty.

- Nie dręcz się tym. Takie rzeczy przytrafiają się najlepszym z nas. Więc co chciał wiedzieć?

- Prosił mnie, bym zgadł, gdzie może znajdować się Inigo.

- Spryciarz. Co jest ciekawe samo w sobie. Niewielu ludzi wie o twoim małym problemie. Jeden z nich musiał dołączyć do Frakcji. Więc cóż mu powiedziałaś?

- Przypuszczałem, że Inigo musi być na Hanko.

- Hanko? Ale to po prostu radioaktywna ruina. - Przerwała, myśląc o tej idei. - Ale, jeśli nie liczyć Ziemi, to miejsce narodzenia jego narodowości. A jednak, to dziwny wybór.

- Czy wiesz, że jest z urodzenia Elewatem?

- Nie, nie miałam pojęcia! Tego nigdy nie było w danych. Jesteś pewien?

Największe macki Qatuxa poruszyły się ze wzburzeniem.

- Jestem czterdziestoma latami jego wczesnego życia, Paulo. Przeze mnie mówisz do młodego Iniga.

- Jeśli ZAN:Władze o tym nie wiedziały, to całkiem pewne, że wiedziało o tym bardzo niewielu ludzi. To zmienia cały jego profil. Nic dziwnego, że nikt nie mógł go znaleźć. Jako Elewat ma znacznie większe zasoby osobiste.

- Polecisz za Aaronem i Corrie-Lyn?

- Nie jestem pewna. Nie przewidziałam, że Aaron jest taki bliski znalezienia Iniga. Ale nawet, jeśli jest on na Hanko, wytropienie go zajmie Aaronowi trochę czasu. Muszę się skonsultować z ZAN:Władzami. Dziękuję za pomoc, Qatuxie.

- Proszę bardzo, Paulo. Polecam się na przyszłość.

Już chciała poprosić, by ją teleportował z powrotem na jej statek, kiedy zawahała się.

- Co raielowie sądzą o Pielgrzymce?

- Że jest niewiarygodnie głupia. Otwarcie bariery Alfy Dysona było też przykładem głupoty, ale to wznosi wasze idiotyczne zaślepienie na całkiem nowy poziom. Czemu ZAN:Władze na to pozwalają?

Paula westchnęła.

- Nie mam pojęcia. Ludzie zawsze pragnęli badać swoje ograniczenia, to sprawa instynktu.

- To sprawa głupoty.

- Nie jesteśmy tak starzy jak wy. Mądrość nie cechuje wszystkich, co do jednego, osobników danego gatunku, nie

mówiąc już o odpowiedzialności.

- Ludzi-Elewatów cechuje.

- Zasada powszechnej odpowiedzialności jest podstawą ich kultury, ale jako indywidua mają jeszcze wiele przed sobą. A jeśli chodzi o ZAN, dominuje w niej intelektualny ekwiwalent pierwotnego mułu. Kto wie, co wynurzy się z niego triumfalnie pod koniec dnia. Zaczynam wątpić w zdolność ZAN:Władz do utrzymania porządku.

- Mówisz poważnie?

- Nie wiem - przyznała. - Całe to wydarzenie bardzo mnie niepokoi. Zbyt wielu ludzi igra z katastrofalnymi niewiadomymi. Część mnie, ta stara część, która czci porządek, chciałaby zamknąć całe to przedsięwzięcie Pielgrzymki. To oczywiście, potworne szaleństwo. Jednak moja liberalna strona zgadza się, że ci ludzie mają prawo szukać swego szczęścia, zwłaszcza jeśli Wspólnota nie oferuje im niczego atrakcyjnego. To charakterystyczne dla naszego dziedzictwa kulturowego, że nie możemy zapewnić domu dla wszystkich.

- Ale, Paulo, ich „prawo” poszukiwania idealnego rozwiązania w Pustce narazi na niebezpieczeństwo resztę galaktyki. Nie można pozwolić na egzekwowanie takiego prawa.

- Owszem. A jednak nie dysponujecie ostatecznym dowodem, że Pustka zareaguje, tak jak utrzymujecie.

Qatux zamilkł, jakby zaskoczony.

- Wątpisz w nas, Paulo?

- Ludzie lubią sami dowiadywać się o wielu rzeczach. To nasza natura, Qatuxie.

- Rozumiem to. Przykro mi za was.

- Wpadliśmy w zbyt melancholijny nastrój. Daję ci słowo, że spróbuję uporządkować ten bałagan.

- Jak zwykle jesteś honorowa. Mam nadzieję, że ci się uda. Nie chciałbym oglądać, jak nasze gatunki popadają w konflikt.

- Nie popadniemy.

„Wysoki Anioł” teleportował Paulę z powrotem do kabiny

„Alexisa Denkena”. Jak wszystkie nowoczesne statki, kabina zaopatrywała ją we wszystko, co niezbędne do życia - niczym pokój hotelowy ze szczególnie podłym widokiem. Kazała wysunąć proste krzesło i z szafki wyjęła gitarę. Późno w życiu odkryła muzykę. W miarę jak pomału zanikały jej genetyczne przymusy, rozszerzały się jej horyzonty kulturalne. Sztuki, jako całości nie mogła nigdy w pełni docenić, zawsze szukała racjonalnego wyjaśnienia każdej pracy. Literatura okazała się znacznie bardziej satysfakcjonująca, opowieści miały puentę, rozwiązanie. Nie żeby obecnie wypuszczano w unisferę wiele książek, współcześni pisarze mieli tendencję do pisania szkiców i scenariuszy dla dramatów sensorycznych. Ale klasyka dość ją cieszyła. Jedynym rodzajem, którego raczej unikała były kryminały i powieści akcji. Poezję ignorowała jako rzecz absurdalną i nieistotną. Jednak muzyka miała w sobie coś na każdy nastrój i każde miejsce. Czerpała z niej wiele przyjemności, słuchała wszystkiego od aranżacji orkiestrowych do piosenek autorskich, od jazzu do gajanatury, od chorałów do starsferu, „Alexis Denken” często mknął między układami gwiazdowymi rozbrzmiewając dźwiękami Rachmaninowa, Pink Floyd lub Deeleya KTC.

Paula usiadła i zaczęła losowo trącać struny, przechodząc stopniowo do „Wędrowca” Johnny’ego Casha. Nie próbowała śpiewać - w życiu są pewne ograniczenia, z którymi po prostu trzeba się pogodzić. Smartkor wyświetlił natomiast w kabinie Mężczyznę w Czerni, który zaczął nucić do jej melodii.

Piosenka pomagała jej myśleć.

Wiedziała, że powinna podążyć prosto na Orakum, czy nawet na Hanko, ale ostatnia uwaga Qatuxa zaniepokoiła ją znacznie bardziej niż powinna. Wydawało się, że cała ta sytuacja z Pielgrzymką istnieje po to, by naruszyć jej obiektywizm i logikę osądów.

A może po prostu na starość staje się samotna i niepełna.

Paula skończyła brzdąkać. Mężczyzna w Czerni spojrział na nią żałośnie, więc machnęła lekceważąco dłonią. Smartkor zakończył projekcję.

Jej u-adiunkt otworzył połączenie z Kazimirem - kimś kto wczuwał się w jej sytuację.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał.

- Jestem przy „Wysokim Aniele”. Aaron dał Qatuxowi komórkę pamięci Iniga. Ktoś wiedział o upodobaniu naszego przyjaciela.

- Czy Qatux ją przejrzał?

- O, tak. Qatux poinformował Aarona, że Inigo prawdopodobnie ukrywa się na Hanko.

- Ciekawe. Przypuszczalnie właśnie tam kieruje się „Sprytny Kombinator” vel „Alini”.

- Tak.

- Tuż przed odlotem „Sprytnego Kombinatora” do układu przybył drugi statek z ultranapędem. Dowódca Floty powiedział, że trzymał się z daleka, w pasie kometarnym, a potem poleciał za tropem.

- Czy każda frakcja ma statek z ultranapędem? - spytała z oburzeniem Paula. - Justine złapała Dostawcę na wykorzystywaniu m-rząpie Hawkinga na Arevalo.

- Też mi tak powiedziała. Uważam to za znaczące, że Frakcje otwarcie wykorzystują tę technikę. Ta cała Pielgrzymka może równie dobrze wywołać nieodwracalny podział kulturowy w obrębie rasy ludzkiej.

- Do której strony się przyłączysz?

- Flota została stworzona przez ZAN, by chronić ludzi przed silniejszymi, wrogimi obcymi. To właśnie będę robił do chwili, aż zostanę zdjęty ze stanowiska. Jeśli ZAN postanowi opuścić wszechświat fizyczny, zostanę w tyle i zagwarantuję, że wszystkie nasze odłamy, które pozostaną, nadal będą otrzymywały tę ochronę. Myślisz, że przyłączam się w ten sposób do jakiejś strony?

- Nie. Ale jest to z pewnością plan.

- Polecisz za Aaronem?

- Nie natychmiast. Czy możesz zapewnić jakąś ochronę Hanko i Inigowi, jeśli tam jest?

- Będę obserwował i powiadomię cię, co się dzieje. Wiesz jednak, że Flota nie może interweniować bezpośrednio w

wewnętrzne sprawy obywateli wspólnoty. Pomimo skali problemu, właśnie tak jest.

Paulą wstrząsnęła ta odpowiedź. Spodziewała się, że Kazimir okaże się znacznie bardziej pomocny.

- Tysiąc lat temu też ściśle trzymałam się przepisów. Nic dobrego z tego nie wyniknęło. Powinieneś się troszkę nagiąć Kazimirze.

- Istniejesz ty i inni przedstawiciele, więc nie muszę. Ty radzisz sobie z szarymi obszarami, ja natomiast pracuję w czerni i bieli.

- Nie ma czegoś takiego.

- Tym niemniej operuję w obrębie zestawu przepisów, których nie naruszę.

- Rozumiem. Po prostu zrób, co możesz, proszę.

- Oczywiście.

„Sprytny Kombinator” wyszedł z nadprzestrzeni pięć tysięcy kilometrów nad równikiem Hanko. Czujniki zbadały otaczające środowisko i wywołały kilka bursztynowych sygnałów ostrzegawczych, a nawet ze dwa czerwone. Lokalna gwiazda miała nienormalnie wielką liczbę plam, goniących się po jej powierzchni, co wywoływało niebezpiecznie gęsty wiatr słoneczny. Pod metalicznym fioletowym kadłubem statku, globalna powłoka chmur odbijała ostre białe żarzenie słońca z powrotem w przestrzeń. Jej jednolity blask zakłócały jedynie rozległe zorze, które smagały atmosferę. Powyżej atmosfery potworne łuki fioletowej fluorescencji szybowwały daleko poza orbitę geosynchroniczną, pożerając pasy radiacyjne Van Allena, które dławiły planetę huraganem cząsteczek wysokoenergetycznych. Kiedy „Sprytny Kombinator” wślizgiwał się na orbitę o wysokiej inklinacji, na jego kadłubie iskrzyły się ognie świętego Elma.

- Witajcie w piekle - powiedział cicho Aaron, monitorując obrazy z zewnątrz.

Statek rozpoczął sondowanie przez obłoki, omiatając wszystko hiperradarem wysokiej rozdzielczości, radarem standardowym,

skanerem magnetycznym, receptorami sygnatury kwantowej i czujnikami elektromagnetycznymi. Odsłaniał ukształtowanie mroźnego terenu poniżej. Na wyłaniającej się mapie pojawiło się kilka sygnałów boi komunikacyjnych, jedyne świadectwo aktywności na tym minionym świecie. Nadawały one oficjalne komunikaty zespołu Odzyskiwania proszące wszystkie przybywające statki o kontakt.

Statek wielokrotnie okrążył planetę i tworzył dokładną mapę powierzchni. Corrie-Lyn obserwowała obrazy na portalu z ponurą miną. Tysiąc dwieście lat od ataku alf, a z rejonów polarnych nadal schodziły lodowce.

- Nie mogę uwierzyć, że Iniga kiedykolwiek przyciągało to miejsce - powiedziała.

- Słyszałaś Qatuxa. On cieszył się ideą rodzimej planety.

- Nawet, jeśli tu przyleciał, to spojrzał i odleciał. Nic tu nie ma.

- Tam w dole nawet w tej chwili pracują zespoły Odzyskiwania - powiedział Aaron, wskazując ręką na małe szkarłatne kropki rozsiane na mapie. Boje na wszystkich kontynentach działały jak prymitywne stacje przekaźnikowe, jedyna sieć komunikacyjna planety.

- To musi być największa porażka w galaktyce - zauważyła.

- Prawdopodobnie masz rację. Siedemnaście światów z Drugiej Fali oficjalnie zamknęło swoje projekty Odzyskiwania, a reszta właśnie się zwija. Budżet zmniejsza się corocznie. Nikt z tego powodu nie podnosi krzyku. Inaczej było przez pierwsze dwieście lat po wojnie.

Po dziesięciu okrążeniach smartkor zmapował cały odsłonięty teren ukrywający się pod pokrywą wiecznych chmur. Czujniki wykryły dwadzieścia trzy ośrodki intensywnej aktywności elektromagnetycznej. Największym była kopuła pola siłowego w centrum Kajaani, w starej stolicy. Wszystkie pozostałe niewiele się różniły od skupisk maszyn i budynków rozproszonych po martwej tundrze na trzech kontynentach. Chmur nie można było spenetrować żadnym czujnikiem cieplnym, więc Aaron nie mógł określić, czy w którejś z tych placówek znajdują się ludzie. Nie dostrzegł żadnych kapsuł w trakcie lotu. Wysoka aktywność

elektryczna atmosfery zakłócała pracę czujników.

- Nie można ustalić, czy tam jest - powiedział Aaron. - Nie stąd, z góry. Nie widzę nawet, jakie statki zaparkowano pod polem siłowym.

- Czego oczekiwałeś?

- Właśnie tego. Po prostu badam teren, zanim wylądujemy. Sprawdzam, czy nie ma niespodzianek.

Corrie-Lyn zatarła ręce, jak gdyby zimno planety przesączało się do kabiny.

- Więc jaką historijkę opowiemy tym razem?

- Nie trzeba nic wymyślać. Zespoły chyba nie są silnie uzbrojone.

- Więc po prostu będziesz ich kolejno rozstrzeliwał, dopóki nam go nie wydadzą?

- Spojrzał na nią ze złością.

- Powiemy, że szukasz byłego kochanka. Zmienił nazwisko i sposób zachowania, by cię zapomnieć, ale wytropiłeś go aż tutaj. Bardzo romantycznie.

- Będę wyglądała jak kompletna ofiara losu.

- O, Boże - zadrwił i kazał smartkorowi wywołać boję w Kajaani.

Na odpowiedź z osłoniętej bazy musieli poczekać kilka minut. W końcu bardzo zaskoczony dyrektor projektu Odzyskiwanie pojawił się na linii i udzielił im pozwolenia na lądowanie.

„Sprytny Kombinator” zwinnie zapadł się w trzykilometrową warstwę chmur. Wiatry wiejące z prędkością dwustu kilometrów na godzinę waliły w kadłub prawie zestalonymi kawałami szarej mgły, a błyskawice zaciskały wściekle szpony na polu siłowym statku. W końcu opuścili chmury i weszli w warstwę superczystego powietrza. Temperatura na zewnątrz ostro spadła. Pod nimi rozciągał się ponury widok. Czarny, skuty lodem kraj pokryty rozmazanymi plamami długich śniegowych wydm. Ogołocony z roślinności krajobraz miał surowy odcień czerni i bieli. Nad martwym krajem mknęły długie warkocze brudnych obłoków.

- To musiało być przerażające - powiedziała ze smutkiem Corrie-Lyn.

- Alfy zrzuciły dwie bomby rozbłyskowe w gwiazdę - wyjaśnił Aaron. - Jedyнным sposobem, w jaki flota mogła je unieruchomić było zbombardowanie korony bombami kwantowymi. Wszystkie te bomby wytworzyły wystarczające promieniowanie, by zabić milionkrotnie każdą żywą komórkę. Atmosfera Hanka wchłaniała energię, aż osiągnęła punkt nasycenia, co uruchomiło superburzę, która z kolei wyprodukowała dosyć chmur, by zakryły całą planetę i spowodowały epokę lodowcową. A gwiazda wciąż się nie ustabilizowała. Zresztą jej stabilność nie ma znaczenia: promieniowanie całkowicie zniszczyło biosferę. W plikach mamy informację, że w najgłębszych partiach oceanu nadal coś żyje, ale to wszystko. Łąd jest równie sterylny, co komora chirurgiczna. Zobacz poziomy promieniowania na zewnątrz, a przecież ciągle jesteśmy na wysokości pięciu kilometrów.

- Nie doceniałam skali, na jaką toczono tę wojnę.

- Oni mieli zamiar popełnić ludobójstwo.

Wypowiadał te słowa niemal z bólem. To były przerażające czasy. Aaron zadrżał. Skąd wiem, jak wyglądała wojna? Głębszy instynkt zapewniał go, że nie jest aż tak stary.

„Sprytny Kombinator” wciąż obniżał pułap i przebijał się przez szalejące niższe obłoki, płonąc niczym słońce, kiedy odrzucał biczowate macki energii elektrycznej. Na tej wysokości szybkość wiatru spadła do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale gęstość powietrza sprawiała, że statkowe jednostki ingrawu natężyły się, by statek pozostawał stabilny.

Corrie-Lyn starała się nie okazywać niepokoju, kiedy statek zaczął się trząść. Pędzące z wielką szybkością kryształki lodu rozbijały się o pole siłowe, kiedy obskakiwał ich rozszalały chmurny warkocz. Chrzęst unieczystwianego lodu był słyszalny w kabinie.

- Więc tak, dlatego tu w dole nie latają żadne kapsuły - powiedział cicho Aaron. Jego egzowizja pokazywała mu rozciągającą się poniżej kopułę pola siłowego, która zmniejszała swój indeks przenikalności, by wpuścić ich do środka. Szybkość wiatru spadła obecnie do mniej niż stu kilometrów na godzinę.

Na zewnątrz kopuły niewiele zostało z miasta. W swoim czasie Kajaani było domem dla trzech milionów ludzi. Po ataku alf, jego pole siłowe osłaniało przed burzami i chroniło stację wormholową, aby można było ewakuować ludność planety na Anagaskę. Proces trwał ponad miesiąc. Pojazdy rządowe transportowały uchodźców z odległych rejonów wszystkich kontynentów, burze stawały się coraz gorsze, a roślinność usychała i umierała. Po siedmiu tygodniach i trzech dniach od wyjazdu premiera planetarnego STT zamknęła wormhol na Hanko. Jeżeli ktoś pozostał na planecie, już nie można się było z nim skontaktować. Poczyniono wszelkie wysiłki, przeszukano wszystkie znane siedziby i izolowane farmy.

Kiedy ludzie odeszli, pola siłowe chroniące miasta i metropolie wyłączały się jedno po drugim, pozwalając wiatrom atakować budynki, a falom zalewowym wymywać grunt wokół nich. Nawet nowoczesne super-mocne materiały nie mogły wiecznie opierać się podobnemu działaniu. Konstrukcje załamywały się i waliły. W końcu, kiedy klimat zjeżdżał po spirali w swoją epokę lodową, deszcze przerodziły się w śnieg, a potem w lód. Rozmiękłe piargi oblepiły zamrożone ruiny niszcząc kolejne świadectwa, że kiedyś ten świat był zamieszkały.

„Sprytny Kombinator” przeszedł przez pole siłowe i znalazł się w spokojnej bańce ciepłego powietrza, stanowiącej główną bazę zespołu Odzyskiwania. Umieszczono ją w jednym z dawnych parków Kajaani. Pod tarczą ochronną pola siłowego, grunt został odkazono i obsadzony roślinami. Trawa znowu tu rosła, zrobiono nawet krótką aleję. Grupy powietrznych sfer fotopolimerowych świeciły na bujną zielen, imitując blask słoneczny. Rury nawadniające dostarczały czystej wody. Były tam nawet miejscowe ptaki i brzęczące wokół owady, niepomne ciemnego nieba i mroźnych wiatrów na zewnątrz.

Wylądowali na małej łacie betonu na skraju parku, na której stał jeszcze jeden statek, trzydziestoletni handlowy frachtowiec combi z ciągłym napędem wormholowym, który mógł przewozić zarówno ładunek, jak i pasażerów. Różniły się od siebie już na pierwszy rzut oka - kadłub „Sprytnego Kombinatora” miał gładką

fiółkowo-chromową barwę i wyglądał na niemal organiczny, natomiast robocza kobyła zespołu Odzyskiwania miała kadłub węglowo-tytanowy z obłazącym lakierem.

Aaron i Corrie-Lyn spłynęli łagodnie w dół ze śluzy i wylądowali pomiędzy pięcioma pękatymi nogami statku. Okazało się, że wita ich dziesięciu ludzi, jak na bazę spory tłum, i wszyscy są ciekawi nieplanowanych przybyszów. Na czele delegacji stał Ansan Purillar, nieco pulchny mężczyzna z przyciętymi krótko włosami blond, ubrany w prostą granatową bluzę z logiem Odzyskiwania na ramieniu.

- Pozdrawiamy was - oznajmił. - Chciałbym wiedzieć, po co tu przylecieliście. Nie zrozumcie mnie źle, oczywiście cieszymy się z waszego przybycia. Ale nikt nas tu nie odwiedza. Nigdy.

Zachowywał miły luz, ale pod spodem wyczuwało się determinację.

Bionika Aarona wykonała szybkie skanowanie na niskim poziomie. Dyrektor Purillar był zwykłym człowiekiem, Awangardem. Jego współpracownicy też. Elewatorów wśród nich nie było.

- To dość niezręczne - powiedział z krzywym uśmiechem. - Ee, Corrie...

- Szukam kogoś - oznajmiła.

Był to cichy głos, dręcząco żalorny. Aaron był pod wrażeniem. Wzmocniła słowa łagodnym bólem wysłanym do malutkiej gajaszki bazy. Cały zespół nagle stał się uważny i współczujący.

- Mężczyzna. Yigo. Kochaliśmy się. Potem się zepsuło. Moja wina. Byłam taka głupia. Nie powinnam... Nie chcę powiedzieć...

Przekonująco pociągała nosem. Aaron objął ją ramieniem, skłonił głowę.

- Dobrze już, dobrze - zapewnił ją. - Oni nie chcą szczegółów.

Corrie-Lyn dzielnie kiwnęła głową i kontynuowała.

- Wyjechał. Zabrało mi długi czas, zanim się zorientowałam, jaki popełniłam błąd. Ale zraniłam go, naprawdę mocno. Szukam go od trzech lat. Zmienił nazwisko i sposób zachowania, ale jego siostra wygadała się, że przyleciał tutaj.

- Kto to jest? - spytał dyrektor Purillar.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko to, co mówiła jego siostra, że dołączył do projektu Odzyskiwanie. Po prostu musiałam przylecieć. Jeśli istnieje najmniejsza szansa...

- Hm, tak, z pewnością. - Purillar spojrział po swych kolegach, którzy zajęci byli wzajemnym sprawdzaniem, by zobaczyć, czy któryś z nich ma zamiar się przyznać, że jest Tym Jedynym. Machnął ręką dookoła. - Czy ktoś tutaj wydaje się znajomy?

Corrie-Lyn z przygnębieniem pokręciła głową.

- Nie. Prawdopodobnie go nie rozpoznam. - Odwróciła się twarzą do swej małej publiczności. - Yigo, proszę, jeżeli to ty, proszę, powiedz. Chcę tylko porozmawiać, to wszystko. Proszę.

Teraz nikt nie patrzył jej w oczy.

- Nie musisz tego robić przed swoimi przyjaciółmi - powiedziała. Przyjdź do mnie później. Ja naprawdę, naprawdę za tobą tęsknię.

Ostatniemu wyznaniu towarzyszył impuls szczerzej desperacji wtłoczony do gajASFery.

- Więć dobrze - powiedział swojemu zespołowi kompletnie zażenowany Purillar. - Zorganizuję to. Możemy się spotkać ponownie przy obiedzie.

Ludzie rozdzielili się, skierowali w stronę trawnika, trzymając uśmiechy pod ścisłą kontrolą. Ale gdy oddalili się na kilka kroków, zaczęli głęboką i intensywną konwersację, z głowami zbliżonymi do siebie.

Aaron patrzył jak odchodzą i jego twarz była bez wyrazu. Baza będzie o tym rozmawiać przez najbliższe dwadzieścia lat.

Ansan Purillar pozostał i stał przed parą nieproszonych gości, skrobiąc się z pewnym zakłopotaniem po głowie. Jego gajafesjsy wypuszczały odpowiadające temu uczuciu zaniepokojenie.

- Zapraszamy do wykorzystania naszych kwater. Mamy mnóstwo wolnych pokoi, spuścizna po czasach, kiedy projekt był realizowany na znacznie większą skalę. Ale, całkiem szczerze, podejrzewam, że wasz statek będzie wygodniejszy. - Zerknął z zazdrością na „Sprytnego Kombinatora”. - Naszych kwater mieszkalnych nie modernizowano od stulecia.

- To miłe z pana strony i oczywiście zostaniemy na statku -

odparł Aaron. - Nie mamy zamiaru się narzucać.

- Wprost przeciwnie - powiedział z zażenowaniem Purillar. - Doskonale wpłyniecie na morale. Jedyłą rozrywką, która tu mamy są dramaty sensoryczne, a one po pewnym czasie blakną. Tymczasem poszukiwanie, takie jak to... Jedną z naszych nudnych starych dusz ma romantyczną przeszłość. Wspaniale!

- Jak długo pan tu jest?

- Ja? W ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat zaliczyłem tutaj dwadzieścia pięć.

Aaron gwizdnął.

- To się nazywa poświęcenie. Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego?

Purillar wykonał gest, by szli za nim i ruszył przez trawę.

- Mam prawie trzysta lat, więc w gruncie rzeczy to mała część mego życia. Nie mam nic przeciwko poświęcaniu na to czasu, ponieważ mogę rozciągnąć swe życie jak długo chcę, by to nadrobić.

- To brzmi niemal jak filozofia Elewatów.

- Przypuszczam, że tak. Prawdopodobnie przeniosę się do centrum, kiedy skończy się projekt Odzyskiwanie. Kultura Elewatów jest dla mnie atrakcyjna.

- Ale po co ta pierwsza darowizna?

- To dość proste, spotkałem jedną z Odzyskanych. Zginęła natychmiast po ataku alf, złapana w polu siłowym, kiedy uderzyła burza. Siedemset lat później jeden z naszych zespołów znalazł jej ciało i wyciągnął jej komórkę pamięci. Ożywiono ją w klonie i żyje szczęśliwie na Anagasce. To jej zadowolenie na mnie wpłynęło. Ma takie ruchliwe, satysfakcjonujące życie, ogromną rodzinę, udziela się w lokalnej społeczności. Uderzyło mnie, że nasz świat byłby bez niej uboższy. Więc zapisałem się na turę. Potem, kiedy już tu jesteś, widzisz bezpośrednio ludzi, których znajdujesz, obserwujesz ich wydobywanie, ocenę, ekstrakcję DNA, odzyskiwanie komórek pamięci, aż po ponowne ożywienie. Rozumie pan? Spotkałem żywych osobników po tym jak wykopałem ich trupy. Niewinnych ludzi, których zabito; ofiary wstrętnej wojny. Może robię to dla siebie, ale może sobie pan

wyobrazić, jak dobrze się po tym czuję.

- Nawet nie będę próbował. Widzę, że kiedy wrócę na Anagaskę, dołączę się do finansowania projektu.

Przeszli przez duże pole trawy do niskich budynków po drugiej stronie. Kwatery dla członków zespołu składały się z małych osobnych domków, ułożonych w pięć schludnych kręgów, każdy z centralną grupą budynków do wspólnego użytkowania. Kiedy się do nich zbliżyli, Aaron zobaczył basen na wolnym powietrzu i kilka miejsc na piknik. Było nawet boisko sportowe. Obecnie w użyciu pozostawały tylko dwa kręgi. Nie można było dostrzec z czego zrobiono domki - wszystko przykrywało gęste pnącze z brązowymi liśćmi - na ich koniuszkach dyndały złote kwiaty. Tworzyło to przyjemny kontrast z pustkowiem na zewnątrz pola siłowego. Aaron pomyślał, że to rozmyślny efekt; pnącza były przyjemnie kudłate, ale przycinano je, by nie zasłaniały okien.

Za domkami znajdowały się dwa nowoczesne funkcjonalne kompleksy. Jak wyjaśnił Purillar, jeden zawierał laboratoria projektu, w drugim znajdowały się warsztaty naprawcze i sprzęt dla bieżących potrzeb.

- Jesteśmy wysoko scybernetyzowani - poinformował. - Ale nawet my potrzebujemy od czasu do czasu kilku techników do naprawiania botów.

- Czy mógłby pracować jako technik? - spytał Aaron Corrie-Lyn.

- Któż to wie? - odpowiedziała. - Wiem tylko, że jest tutaj. Prawdopodobnie. To mimo wszystko strzał w ciemno.

Aaron nie patrzył na nią. Ta jej cholerna gęba! Zdołał dostać się do jednostki kulinarnej statku i zmienić jej łąty w oryginalnych modułach, tak, że zamawiane przez Corrie-Lyn drinki miały tylko połowę zaprogramowanej przez nią zawartości alkoholu. Jej postawa nie uległa jednak jakimś cudownym zmianom.

- Czy możemy porozmawiać ze wszystkimi? - zapytał Aaron.

- Jasne. Chyba tak. Mimo wszystko to placówka cywilna. Wiecie, nie bardzo można mnie uważać za komendanta policji. Nie mogę przymusić nikogo, kto nie zechce zostać przedstawiony. - Obdarzył Corrie-Lyn przepaszającym wzruszeniem ramion.

- Jeśli ktoś odmówi, to prawdopodobnie będzie właśnie on, nie

sądzi pan? - zapytał Aaron.

- Pana wniosek wydaje się słuszny - odpowiedział dyrektor. - Zdajecie sobie sprawę, że teraz wszyscy na planecie będą wiedzieli, że tutaj jesteście, a zwłaszcza po co tu jesteście? To niewielka operacja.

- Ilu dokładnie macie ludzi?

- Jest nas czterystu dwudziestu siedmiu, z czego stu osiemdziesięciu jest tu w bazie. Czterysta lat temu zajmowało się tym sześć tysięcy osób.

- Ilu ludzi odzyskaliście?

- W sumie dwa i jedną dziesiątą miliona - powiedział dumnie Purillar.

Aaron gwizdnął z podziwem.

- Nie miałem pojęcia.

- Oczywiście, większość z tej liczby odzyskano we wczesnej fazie. Ale nasze techniki od tamtego czasu bardzo się polepszyły. Dzięki Bogu, ponieważ, nawet mimo zimna, które sprzyja konserwacji, naszym głównym wrogiem jest entropia. Wejdźcie do środka, pokażę wam. - Otworzył drzwi do kompleksu laboratoryjnego.

Pokój oceny był pierwszą sekcją, gdzie zajrzeli. Wielka, czysta izba z dziesięcioma długimi metalowymi stołami otoczonymi przystawkami z wielowarstwowego plastiku, pełnymi instrumentów i czujników. Na jednym ze stołów leżał niedawno odnaleziony trup. Aaron zmarszczył nos na jego widok. Trudno było stwierdzić, czy ta rzecz to człowiek. Ciemna bryła, zawinięta w skurczoną materię i powalana brudem. Nie sposób było wyróżnić kończyny, wyglądały jak długie fałdy. Pasma włosów na jednym końcu wskazywały, gdzie była głowa. Po minucie zorientował się, że trup zwinął się w pozycji płodowej.

Dwoje z zespołu Odzyskiwania stało obok stołu w szczelnych białych kombinezonach i zerkało przez baniaste hełmy na pałeczkowate czujniki przesuujące się w rozmaitych szczelinach na powierzchni ciała. Ruch czujników przemieszczał bryłki śniegu, natychmiast starannie odsysane z blatu stołu.

- Utrzymujemy tutaj taką samą temperaturę jak na zewnątrz -

wyjaśnił Purillar. - Nagła zmiana środowiska mogłyby spowodować katastrofę. Musimy również dbać o to, by pokój oceny był wyjałowiony.

- Dlaczego? - zapytała Corrie-Lyn.

- Promieniowanie wybiło życie bakteryjne na Hanko. To następny czynnik, który wspomaga proces konserwacji. Gdyby jakieś żyjątka tam się dostały, miałyby ucztę, a my zostalibyśmy z breją.

- Obecnie muszą być już bardzo delikatni - zauważył Aaron.

- Tak. Ten jest niemal nienaruszony. Normalnie mamy do czynienia z połamanyymi segmentami.

- Nie używacie pola stabilizującego?

- Nie, jeśli nie ma takiej konieczności. Odkryliśmy, że w gruncie rzeczy pole wywiera szkodliwy wpływ na ich komórki pamięci. Nie zapominajcie, że wtedy Wspólnota nadal wykorzystywała matryce krystaliczne. We wczesnych przypadkach uszkadzaliśmy dziesięć procent informacji.

- Więc wydobycie komórek pamięci musi być trudne.

- Nawet nie próbujemy tego robić. Kiedy już wyciągniemy wystarczająco wiele próbek DNA, by odczytać pełny genom, wprowadzamy do kryształu włókna infiltrujące. Nawet to połączone jest z ryzykiem. Zasilanie komórek pamięci po tak długim okresie czasu jest zgubne. Trzeba je czytać zimne, co robi się po jednej warstwie molekularnej na raz. Każda komórka zabiera około dziewięciu miesięcy.

- Myślałem, że krystaliczne komórki pamięci przetrwają dłużej.

- Budowali je całkiem trwałe, nawet wtedy. Ale pomyślcie, co one zniosły przez tysiąc dwieście lat. To nie pomaga.

- Kim on jest? - spytała Corrie-Lyn.

- Tak naprawdę, to ona. Sądzimy, że to Aeva Sondlin. Na pewno będziemy wiedzieli po odczytaniu jej genomu, ale miejsce było właściwe.

- Miejsce?

- Znalaziono ją cztery kilometry od jej samochodu. To samo w sobie utrudniało odnalezienie. Zmyła ją fala powodziowa. Z zapisów wiemy, że mieszkała w domu powyżej poziomu

zalanego przez powódź. Sądzimy, że usiłowała uciec do najbliższego miasta, gdy burza chwilowo się uciszyła. Zorganizowano tam oficjalny punkt ewakuacyjny, a ona poinformowała władze, że przyjeżdża. Nigdy nie dotarła. Musiały ją złapać wiatry lub woda. Może będzie mogła nam o tym opowiedzieć.

- Wiedzieliście, że zaginęła?

- Tak. Oczywiście zapisy z tamtego okresu nie są doskonałe. Mamy jednak pełen spis ludności i oczywiście, wszyscy, którzy dotarli na Anagaskę zostali w pełni opisani. Naszym zadaniem jest próba określenia, co stało się z zaginionymi. Musimy każdym przypadkiem zajmować się oddzielnie. W przypadku Aevy przeszukiwaliśmy możliwe miejsca przez siedemdziesiąt lat.

- Wciska mi pan kit - powiedział Aaron.

- Zapewniam pana, że nie.

- Przepraszam, ale siedemdziesiąt lat?

- Zaczęliśmy od drogi, którą musiała obrać, wybraliśmy punkty oczywistych niebezpieczeństw i obsialiśmy je botami czujnikowymi. Rozchodziły się po kręgu, starając się natrafić na jakiś ślad. Podobnie jak cały nasz sprzęt, boty, w ciągu wieków naszej obecności tutaj, stały się znacznie lepsze. Większość z nich potrafi kopać, przekopuje się przez śnieg, i powierzchniowe warstwy gleby. Tak wiele wierzchniej warstwy gleby zostało przemieszczone podczas burz, że zmieniło się całe ukształtowanie kontynentu, a teraz wszystko trzyma na miejscu wieczna zmarzlina. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi, których obecnie odzyskujemy jest zakopana. Oznacza to, że boty pracują w wysoce szkodliwych warunkach nawet jak na ten świat. W projekcie Odzyskiwanie od początku jego istnienia pracowało czterysta pięćdziesiąt milionów ludzi. Obecnie jedenaście milionów jest w dalszym ciągu aktywnych i poszukuje. Nie posuwają się szybko naprzód, ale pracują gruntownie.

- Ilu ludzi nadal szukacie?

- Około trzystu trzydziestu tysięcy. Nie żywię wielkich nadziei. Większość z nich została zmyta do morza. - Wskazał gestem na

pomarszczoną bryłę na stole. - Samochód kochanej Aevy znajdował się czterdzieści siedem kilometrów od drogi, którą jechał, i łatwo go było znaleźć; ona leżała głęboko pod osadami. Wytrwałość się opłaca. Nadal znajdujemy dwudziestkę corocznie, nawet teraz.

Przeszli do działu deszyfracji DNA. Dla Aarona wyglądał on jak zwykłe biuro z pięcioma wielkimi smartkorami. Nawet w zwykłych okolicznościach ludzkie DNA rozkłada się szybko. Po tysiącu dwustu latach na Hanko pozostały tylko bardzo drobne fragmenty. Ale w każdym ciele znajdowało się mnóstwo komórek, każda ze swoimi fragmentami. Złożenie ich było możliwe, jeśli zastosowało się właściwe techniki i wiele mocy obliczeniowej. Kiedy już ustalono główne sekwencje, projekt mógł wykorzystać dane rodziny, by wypełnić luki. W wielu przypadkach w różnych klinikach były dostępne pełne zapisy DNA. Natychmiast po zidentyfikowaniu ciała, hodowano klona do ożywienia.

- Ale nie tutaj - wyjaśnił Purillar. - To robią kliniki tam, na Anagascie. Mimo wszystko, kto chciałby się tutaj obudzić? Ludzie i tak mają dosyć kłopotów z dostosowywaniem się do teraźniejszości, to znaczy ich przyszłości. Nie pozostał nikt z ich najbliższej rodziny i przyjaciół. Kiedy się budzą, są bardzo samotni.

Po dziale deszyfracji DNA zwiedzili sekcję odbudowywania pamięci, która próbowała zebrać informacje zebrane z komórek pamięci. Proces o wiele rzędów wielkości bardziej złożony niż odczytywanie DNA.

Archiwum historyczne: dla odzyskanych ludzi, których nie można było zidentyfikować. Wszystkie akta cywilne Hanko, wspomnienia rodzin, które straciły krewnych, zapiski i wspomnienia zespołów ewakuacyjnych. Lista ludzi, którzy mogli odwiedzać Hanko, kiedy zaczął się atak. Wewnątrzukładowa lista zaginionych osób z tamtego okresu.

Dalej laboratoria specjalizujące się w strukturach molekularnych, identyfikujące drobne wskazówki odkryte podczas drążenia zmarzniętej ziemi Hanko. Próby przypisania

łusek z farby indywidualnym modelom samochodów. Przymiarowanie strzępków materiału do konkretnych ubrań, szukanie ich producentów, oddziałów sprzedaży detalicznej, list klientów i przekazów bankowych. Elementy biżuterii. Nawet zwierzęta domowe. Długi wykaz nieznanymi artefaktów, z których wszystkie mogły doprowadzić do następnego zaginionego trupa.

Izba konkretnych przypadków. Z danymi wszystkich, o których wiadomo, że są zaginieni.

Centrum operacyjne, monitorujące boty czujnikowe i zespoły w placówkach, kopiające w strasznych warunkach.

Po dwóch godzinach zetknęli się ze wszystkimi pracującymi w budynku. Nikt nie zareagował na Corrie-Lyn i nikt nie próbował jej unikać. Aaron spokojnie skanował każdego. Nikogo nie wzbożcono biononiką.

- W okolicy przebywa jeszcze kilkoro innych ludzi - oznajmił Purillar. - Prawdopodobnie spotkacie ich dziś wieczorem w kantynie. Na ogół razem.

- Czy możemy odwiedzić placówki? - zapytała Corrie-Lyn.

- Jeśli jest tutaj, już o was wie. Wykorzystałby boje, by się z nami połączyć. Chyba nie chce z wami wracać.

- Ujrzenie mnie bezpośrednio może się okazać jedną z rzeczy, której się nie oprze - powiedziała Corrie-Lyn. - Proszę. - Wylew jej żalu w gajaserze był niepokojący.

Dyrektor miał nieszczęśliwą minę.

- Jeśli chce pani ryzykować na zewnątrz, nie mogę zrobić nic, by panią zatrzymać. W sensie formalnym, jest to nadal wolny świat Wspólnoty. Może się pani udać, dokąd chce. Ale odradzałbym to.

- Dlaczego? - spytał Aaron.

- Ma pan dobry statek, ale nawet dla niego manewry tuż nad ziemią będą ciężką próbą. Nie możemy tu wykorzystywać kapsułek, wiatry są za silne, a poziom energii w atmosferze zbyt wysoki. Dwie próby wykorzystania naszego statku do akcji ratowniczych niemal skończyły się katastrofą. Obie przerwaliśmy i musieliśmy powtórnie ożywiać członków zespołu.

- Mój statek ma doskonałe pole siłowe.

- Jestem przekonany, że ma. Ale rozszerzenie pola siłowego nie pomaga, dostarcza pan po prostu wiatrom większej powierzchni do pchania. W gruncie rzeczy sprawia to, że łatwiej ulega pan burzy. Pańska stabilność w powietrzu zależy jedynie od tego, co mogą panu zapewnić jednostki napędowe statku.

Aaronowi się to nie podobało. „Sprytny Kombinator” zapewniał prawie najlepszą możliwą ochronę. W normalnych okolicznościach. Pamiętał, jak jego jednostki regrawu zbliżały się do krańca swoich możliwości, kiedy obniżali się do kopuły pola siłowego bazy, a to był duży cel.

- Jak poruszają się wasze zespoły? - zapytał.

- W pełzaczach gruntowych. Każdy z nich waży trzy tony i jeżdżą na gąsienicach. Nie są szybkie, ale są niezawodne.

- Możemy jakiś pożyczyć? Musicie mieć jakieś wolne. Powiedział pan, że kiedyś był tu znacznie liczniejszy personel. Wystarczy mi jakiś stary.

- Posłuchajcie. Naprawdę. Nie ma go tutaj.

- Podpiszę każdy dokument uwalniający pana od odpowiedzialności, jaki tylko pan sobie zażyczy - oświadczyła Corrie-Lyn. - Proszę. Niech pan mi da tę ostatnią szansę.

- Mam tam w terenie przeszło dwadzieścia zespołów. Połowa z nich nie jest nawet na tym kontynencie. Wykorzystujemy czapy polarne w charakterze mostów do innych lądów. Objechanie ich wszystkich zajmie wam rok.

- Przynajmniej zaczniemy. Jeśli Yigo usłyszy, że go szukamy, będzie wiedział, że w końcu musi ze mną porozmawiać. Może skłoni go to do nawiązania kontaktu.

Purillar nerwowo potarł palcami czoło.

- To będzie wymagało gigantycznego zrzeczenia się roszczeń. Ja nie jestem w stanie zapewnić żadnego zadośćuczynienia od projektu.

- Rozumiem. I dziękuję.

Po kolacji Aaron i Corrie-Lyn poszli do drugiego kompleksu, by obejrzeć pełzacz gruntowy, który niechętnie udostępnił im

Purillar. Unoszące się nad głowami światła ściemniały do łagodnego półmroku. Efekt psuły błyskawice przecinające niebo na zewnątrz pola siłowego.

- Więc nie było go w kantine? - zapytała Corrie-Lyn.

- Nie. Wszystkich w bazie mam już przeskanowanych. Nikt z nich nie ma biononiki. Chociaż kilkoro z nich ma kilka całkiem interesujących modyfikacji. Nie może być tutaj tak nudnawo, jak utrzymuje pocziwy dyrektor.

- Zawsze osądzasz ludzi.

- Wprost przeciwnie. Wszystko mi jedno, co sobie robią w odosobnieniu gdy są w swoich domkach. Muszę jedynie ocenić zagrożenie.

Plastmetalowe drzwi garażu numer jedenaście rozsunęły się, ukazując pełzacza gruntowego - prosty metalowym klin na czterech niskich gąsienicach. Korpus pomalowano na jaskrawy oranż, szczelinowe okna kontrastowały z nim barwą - wydawały się pustymi czarnymi rozcięciami po bokach. Projektory pola siłowego tworzyły bryłowate bulwy na górnych krawędziach nadwozia. Boty remontowe obok przyłgnęły do jego powierzchni niczym dzieci jakichś torbaczy. Kiedy Aaron zapytał o to sieć pojazdu, okazało się, że pełzacz ma bardzo rozwinięte funkcje samonaprawcze. Jedną trzecią luków bagażowych zajmowały części zamienne.

- Nie powinniśmy mieć z nim problemów - oznajmił. - Sieć go poprowadzi. Nie musimy nic robić, a tylko powiedzieć, dokąd chcemy jechać.

- A gdzie to dokładnie jest? Wiesz, Purillar ma rację. Jeśli Inigo jest na planecie, wie, że tu jestem i go szukam. Skontaktowałby się z nami. Przynajmniej ze mną.

- Zrobiłby to?

- Nic nie mów - odparła, a jej twarz zmarszczyła się z niesmakiem. - Po prostu nic.

- Widocznie nie tęskni za tobą tak, jak ty za nim. Pamiętaj, to on wyjechał.

- Pieprz się! - wrzasnęła.

- Nie chowaj się przed tym. Nie teraz, chciałbym, żebyś była w

pełni funkcjonalna.

- Funkcjonalna - zadrwiła. - Cóż, nie jestem taka. I jeśli go znajdziemy, to na początek poproszę go, żeby ci nie pomagał, ty psychopieprzony odmieńcu.

- Nigdy nie spodziewałem się po tobie niczego innego.

Spojrzała na niego wściekle, ale nie odchodziła. Aaron uśmiechnął się za jej plecami.

- Jeśli jest tutaj, to kiedy go znajdziemy, Pielgrzymka już dawno będzie w drodze - powiedziała chmurnie.

- Niezupełnie. Pamiętaj, że mamy przewagę, która pozwala nam zredukować pole poszukiwań. Wiemy, że jest Elewatem.

- W czym to pomaga?

W jej głosie nadal brzmiała pogarda, ale obecnie walczyła z ciekawością.

- Efekt skanowania polowego byłby tam, na zewnątrz, bardzo użyteczny, pomagałby wyszukiwać zakopane w ziemi ciała. Ja mogę go wykorzystać, by wykrywać anomalie oddalone o kilkaset metrów. Przez stałą masę jest trochę trudniej, ale funkcja wszechprzenikania nadal sięga na rozsądny dystans.

- Jeśli tu jest, będzie odnosił większe sukcesy od wszystkich pozostałych - powiedziała.

- Są też inne czynniki, na przykład określanie położenia zaginionej osoby z rozsądną dokładnością. Wszystko sprowadza się do tego, jak dobrze przebadano dany przypadek. Ale owszem, to rozsądne założenie, że zespół z największymi sukcesami to zespół Iniga.

- Jest taki?

- Taa. Mój u-adiunkt nie musiał nawet hakować żadnych plików. Zespół z największą obecnie szybkością Odzyskiwania pracuje w prowincji Olhava. To na tym kontynencie, dziewięćset kilometrów na południowy zachód. Jeśli wyruszymy jutro rano, dotrzemy tam za czterdzieści osiem godzin.

Oscar Monroe zakochał się w tym domu od pierwszego wejrzenia. Był to prosty krąg. Wysoka szklana ściana oddzielała

podłogę i sufit. Dom stał pięć metrów nad ziemią na centralnym słupie, w którym biegiły spiralne schody. Zarówno podstawę jak i dach zrobiono z jakiejś gładkiej sztucznej skały podobnej do białego granitu, który błyszczał jak śnieg na szczytach gór w lekko zabarwionym na niebiesko świetle słonecznym Orakuma. Tereny rozpościerające się na zewnątrz przypominały jakiś wspaniały historyczny park, który zaniedbano. Ścieżki zarastała wełnista trawa, znajdowały się tu linie drzew ozdobnych i para stawów z niewielkim wodospadem pomiędzy nimi. Były tam nawet jakieś ceglane hellenistyczne konstrukcje, ukryte w głębokich zakamarkach, zarośnięte mchem i kwitnącymi pnączami, co wzmagało poczucie archaiczności. Kilkadziesiąt botów ogrodowych ciężko pracowało na to poczucie.

Mieszkał tu już od dziewiętnastu lat. Był to cudowny dom, do którego można było powracać za każdym razem po zakończeniu wahty pilota. Nie docierał tu stres ani żaden typ gównianej polityki, która zawsze łączyła się z pracą dla jakiejś korporacji. Oscar pilotował statki komercyjne dla kwitnącej linii kosmicznej Orakuma, która utrzymywała rejsy na przeszło dwadzieścia planet Zewnętrznych. Pilotaż był jedynym zajęciem, którego się miał od powtórnego ożywienia.

Obudzenie się w klinice było cholernym zaskoczeniem. W jego ostatnim wspomnieniu hiperszybowiec rozbijał się o identyczny hiperszybowiec pilotowany przez Annę Kime. Ocalić Wspólnotę - dobrze. Zabić żonę najlepszego przyjaciela - nie takie miłe. Bez Anny, która starała się zepsuć mu lot, Wilson Kyme na pewno rozpocznie misję o kluczowym znaczeniu dla wojny Gwiazdokrażcy. Oscar pamiętał chwilę przed zderzeniem, chwilę absolutnego spokoju. Nie spodziewał się, że ktoś odzyska jego komórkę pamięci. Nie po jego wyznaniu, że w młodości był zamieszany w akt terroryzmu politycznego, w którym zginęło czterysta ośmiu ludzi, jedna trzecia z nich bez komórek pamięci, głównie dzieci, zbyt małe na wszczepy. Fakt, że nigdy tego nie zamierzał, że te śmierci były pomyłką, że chybili celu - to wszystko nigdy nie powinno się liczyć na jego korzyść. Ale chyba jego służba Wspólnocie, jego ostateczne poświęcenie, coś

znaczyły dla sędziego. Chciałby myśleć, że być może Wilson zapłacił za przyzwoitego prawnika. Byli dobrymi przyjaciółmi.

- W taki razie, chyba oznacza to, że wygraliśmy. - Takie były jego pierwsze słowa. Nawet brzmienie głosu mu się nie zmieniło.

Młoda twarz lekarza ponad nim się uśmiechnęła.

- Witam z powrotem, panie Yaohui - powiedział lekarz.

- Mów do mnie Oscar. Byłem nim znacznie dłużej niż kiedykolwiek Yaohui. - Oscar to jego nowa tożsamość, którą przyjął gdy uciekał przez przeszło czterdzieści lat.

- Jak sobie życzysz.

Oscar zdołał się unieść na łokciach. Ten ruch go zaskoczył; kilkakrotnie widział ożywione klony; żałosne stworzenia z cienkim ciałem, rozciągniętym na kościach; ich organy, które zmuszono do szybkiego wzrostu. Klony były niezdolne do ruchu przez miesiące, kiedy budowały masę mięśniową. Ale to ciało zdawało się niemal kompletne. Oznaczało to, że technika się polepszyła. W czasie wojny stracono mnóstwo ciał - przynajmniej dziesiątki milionów. Jego prawdopodobnie zepchnięto na sam dół listy.

- Jak długo?

- Eee, Oskarze, zrozum, że sądzono cię za twoją, eee... poprzednią zbrodnię. Ustanowiło to całkiem sporo prawnych precedensów, przy twoim, eee... stanie w tamtym czasie.

- Jaki proces? Co chcesz powiedzieć przez „w stanie”? Byłem martwy.

- Cierpiełeś na stratę ciała. Twoja komórka pamięci przetrwała zderzenie nienaruszona. Wspólnota uznaje to prawnie za twoją prawdziwą istotę. Komórkę pamięci odzyskała Paula Myo.

- Uhm... - Oscara nagle ogarnęło bardzo złe przecucie. - Paula mnie odzyskała?

- Tak. Ciebie i Annę Kime. Przywiozła was z powrotem na Ziemię.

- Ale Anna była agentką Gwiazdokrąży.

- Tak jest. Zgodnie z warunkami amnestii Doi, uwarunkowanie Gwiazdokrąży zostało usunięte z jej pamięci i została ożywiona jako normalny człowiek. Najwidoczniej kontynuowała swe długie

życie i szczęśliwe małżeństwo z Wilsonem Kime. Z pewnością była z nim na „Discovery”, kiedy statek oblatywał galaktykę.

Mimo wszystko ramiona Oscara nie były takie silne. Opadł z powrotem na materace.

- Jak długo - powtórzył. W jego głosie słychać było przynaglenie.

- Na procesie zostałeś uznany za winnego. Oczywiście przy wydawaniu wyroku twoja służba we flocie stanowiła okoliczność łagodzącą, ale nie mogła ona skompensować liczby osób zabitych na Stacji Abadan. Sędzia dał ci stazę. Jednak kliniki Wspólnoty nie były zdolne do radzenia sobie z ogromną liczbą... eee... nieprzestępców wymagających w tamtym czasie ożywienia, pozwolił ci pozostać jako zmagazynowana pamięć i nie kazał ci żywić przed rozpoczęciem wykonywania wyroku.

- Jak długo - szepnął Oscar.

- Skazano cię na tysiąc sto lat.

- Ja pierdołę!

Został całkiem sam. To prawdopodobnie było większą karą niż zawieszenie. Mimo wszystko nie był świadomy przemijającego czasu w ciągu tego tysiąclecia, nie mógł rozmyślać o swoich złych uczynkach i żałować ich. Ale w tej terażniejszości życie było inne. Wszyscy, których znał albo zmarli, albo wywedrowali do wewnątrz - śmieszne wyrażenie, politycznie poprawny sposób powiedzenia, że popełnili samobójstwo z siatką bezpieczeństwa. Może na tym właśnie polegał sens zawieszenia. Z pewnością to bolało.

Tak więc nie miał przyjaciół, rodziny, wiadomości i kwalifikacji, które zainteresowałyby nawet jakieś muzeum. Oscar Monroe musiał zacząć od nowa.

Flota, co raczej zrozumiała, nie chciała go. Wyjaśnił, że nie oczekiwał zostania członkiem floty odstraszającej i zaoferował, że przeszkoli się jako pilot ich załóg badawczych. Odmówili mu. Dawniej przed wojną Gwiazdokrąży walczył w departamencie rozpoznania w STT. Odnajdywanie nowych planet, przygotowanie ich dla kolonistów, było rodzajem narzuconej sobie pokuty. Jeśli nie liczyć tego, że ta praca go naprawdę

cieszyła. Tak więc odbył szkolenie pilota statku gwiazdowego. Na szczęście nowoczesny napęd wormholowy wykorzystywał zasady i teorie rozwinięte w czasie jego poprzedniego życia, więc dość szybko przyswoił sobie ich obecne zastosowanie w technice.

Orakum SolarStar było trzecią firmą, w której pracował od chwili ożywienia. Nie różniła się bardzo od dowolnej innej linii Świata Zewnętrznego. Tak naprawdę była mniejsza niż większość z nich. Orakum znajdowało się na krawędzi Większej Wspólnoty i zostało zasiedlone zaledwie dwieście lat temu. Ale takie położenie czyniło z niego głównego kandydata do organizowania lotów rozpoznawczych i odkrywania kolejnych światów. Zdarzało się to rzadko. Flota zmapowała wszystkie układy gwiazdne leżące na zewnątrz Światów Zewnętrznych. Ekspansja do nowych światów była na najniższym poziomie w historii. Granica między Światami Zewnętrznymi i Centralnymi od wieków niewiele się zmieniała. Stare założenie, że kultura Elewatów będzie się zawsze rozprzestrzeniała na zewnątrz i że zwykli ludzie będą stanowili falę poprzedzającą tę ekspansję, okazało się fałszywe. Z powodu migracji do wewnątrz liczba Elewatów pozostawała mniej więcej taka sama. A Światy Zewnętrzne dostarczały niemal wszystkich rodzajów społeczeństw, jeśli chodzi o narodowości, ideologie, techniki i religie. Jeśli jakiś obywatel czuł się pozbawiony swoich praw na własnej planecie, musiał się tylko przemieścić, nabywszy bilet na przelot. Obecnie nie było przyczyn, by szukać nowych światów.

W ciągu dziewiętnastu lat jego pobytu na Orakum SolarStar wysłał jedynie trzy loty rozpoznawcze. Przelot do dwóch z nich był krótszy niż podróż dalekosieżnym rejsiem komercyjnej firmy. Trudno byłoby to nazwać wytyczaniem nowych granic. Jeśli zostanie zorganizowana następna wyprawa na zewnątrz, to powinien zostać wybrany. Jak wszyscy piloci był wiecznym optymistą.

Kiedy wypełniał swój meldunek z lotu w biurach firmy, w ogóle nie wspomniano o tej ulotnej misji. Właśnie powrócił z długiego kursu na Trojan, oddalonego o siedemdziesiąt lat świetlnych.

Piętnastogodzinna podróż i nic do roboty, prócz rozmów ze smartkorem i przetrząsania unisfery w poszukiwaniu czegokolwiek ciekawego. Był pewien, że w niezbyt odległej przeszłości ludzie w końcu zarzucą ideę, że statkiem musi kierować człowiek. Siedział w kabinie statku tylko z powodu PR-u. Tak naprawdę w przedziale pasażerskim byli prawdopodobnie ludzie o lepszych od niego kwalifikacjach, gdyby okazały się potrzebne jakieś naprawy. Nie żeby były potrzebne kiedykolwiek.

Ale przynajmniej odwiedza nowe planety.

Ciągle te same. Znowu i znowu.

Jego kapsuła regravowa opadła z chmur, statecznie zakreśliła wokół domu i wylądowała na trawie obok zagajnika wyniosłych drzew rancata, wysokich na prawie dwadzieścia metrów i z czerwonobrazowymi biczowatymi liśćmi, kołyszącymi się na lekkim wietrze. Wysiadł i odetchnął głęboko ciepłym, pachnącym równinami powietrzem. Tam za horyzontem nieujarzmione krainy Orakum pokrywały kolczaste dzikie kwiaty, które przez większość roku wypuszczały pąki. Innym powodem, dla którego wybrał Orakum, był jej łaskawy klimat.

Spod domu wyszedł Jesaral. Wyraz twarzy tego wspaniale przystojnego młodziana niezupełnie można było nazwać powitalnym uśmiechem, ale widać było, że odczuwa na widok Oscara ulgę. Miał na sobie tylko białe spodnie do kolan i popisywał się opalonym ciałem, które zawsze sprawiało, że krew Oscara płynęła nieco szybciej. Jesaral był najmłodszym z jego trzech partnerów życiowych, zaledwie dwudziestoletnim. Co, jak podejrzewał Oscar, sprawiało, że był najgorszym chuliganem w całej galaktyce. Różnica wieku ponad tysiąc lat: było to rozkosznie nieprzyzwoite.

Młodzian szeroko rozłożył ramiona i serdecznie uściskał Oscara, a potem mocno i zmysłowo go pocałował. Niepohamowany entuzjazm wypełnił gajaserę.

- O co chodzi? - spytał Oscar.

- O nich - powiedział Jesaral, dźgając lekceważąco kciukiem w kierunku domu.

Oscar powstrzymał się od westchnienia. On i jego pozostali partnerzy Dushiku i Anja tworzyli stabilne trio przez przeszło dziesięciolecie. Oboje mieli ponad setkę i w swoim towarzystwie czuli się całkowicie swobodnie. Doskonale rozumieli małe ustępstwa niezbędne, by przetrwał dowolny związek. Dostosowanie się do nowego przybysza trwało dłużej niż należało oczekiwać - tamten nie miał ich doświadczenia ani kultury. Co właśnie sprawiało, że był taki podniecający w łóżku i poza nim.

- Co takiego zrobili?

- To niespodzianka. A ja wiem, jak nienawidzisz niespodzianek.

- Nie zawsze - zapewnił go Oscar. - Zależy czy to niespodzianka dobra czy zła. Jaka jest ta?

- Och, nie. Mówię tylko, że to niespodzianka dla ciebie. Nie chcę, byś się denerwował, że jakaś jest, to wszystko.

Oscar użył klastera wielokomórkowego, by podłączyć się do sieci domowej. Cokolwiek czekało go w środku zostało umiejętnie zablokowane. To na pewno robota Anji, która pracowała nad komercyjnymi programami neuralnymi. Była jednym z najlepszych specjalistów na planecie.

- Nigdy się nie spotkałem z tak dziwną logiką jak twoja - oznajmił Oscar.

Jesarał uśmiechnął się szeroko.

- Chodź! Nie mogę się doczekać!

Pociągnął Oscara za rękę, a wylewający się entuzjazm błyszczał niczym słońce.

Pospieszyli do podstawy słupa i wspięli się po szerokich spiralnych schodach. Zaprowadziły ich do małego westybulu, obsadzonego kolorowymi krzakami z kilku światów, o kwiatach sięgających ku otwartemu niebu nad nimi. Z westybulu wychodziło dziesięć par drzwi. Jesarał zaprowadził go do głównego salonu. Inaczej niż na zewnątrz, salon wyłożono drzewem carana, lokalną odmianą, o intensywnej złotobrazowej barwie. Deski połączono tak umiejętnie, że wydawało się, że znajdują się wewnątrz ogromnego, wydrążonego pnia. Umebłowanie było szkarłatne i złote, wzmacniające uczucie

przepychu.

Dushiku czekał pośrodku wielkiego pokoju ze szklaneczką whisky słodowej z trzema kostkami lodu. Na szerokiej twarzy malował mu się figlarny uśmiech.

- Witaj w domu.
- Dziękuję. - Oscar ze znużeniem przyjął drinka.
- Widzę, że Jesaral był jak zawsze powściągliwy.
- Nie powiedziałem mu - zaprotestował Jesaral.
- Tak więc? - spytał Oscar.

Dushiku podniósł brew, wykonał półobrót i wskazał balkon za szklaną ścianą w oddalonym końcu salonu. Stała tam Anja, przechylona przez barierę i omawiała jakiś aspekt ogrodu poniżej. Jej wypełniony śmiechem głos był ledwo słyszalny przez otwarte drzwi. Oscar dobrze znał ten ton, grała idealną gospodynię, znaczyła swoje terytorium. Anja była uderzająco piękna, utrzymanie tego piękna zużywało trzecią część jej pensji. Dwie wizyty w klinice każdego roku uważała za niezbędne minimum, gdyż piękno było płynne a mody to zdradliwe efemerydy nawet na Orakum. Wróciła trzy tygodnie temu z ostatniej kuracji i popisywała się obniżonym wzrostem i teksturą skóry, przypominającą ciemną satynę. Łagodne krzywizny twarzy zasłaniała grzywa gęstych kasztanowatych włosów spadających poniżej ramion. Wielkie oczy zerkały niewinnie, rzutując w gajaserę dziewczęcą niewinność uzupełnioną przez naiwną żywiołowość. Ubrania miała pozornie proste, szkarłatny T-shirt i granatową wirującą spódnicę, co podkreślało kobiecość jej zwartej figury.

A jednak tym razem Anja nie robiła wrażenia na osobie, z którą rozmawiała. Oscar patrzył na drugą kobietę przechylającą się przez poręcz. O całą głowę niższa od Anji miała nowoczesną białą sukienkę z nieznacznym migotaniem na powierzchni i rdzawoczerwony żakiet z krótkimi rękawami. Stylowa, bez kobiecego przeładowania Anji. Nie reagowała tym rodzajem uprzejmej uwagi, którą Anja na ogół wydobywała ze wszystkich napotkanych osób. Mógł to stwierdzić, ponieważ po dziesięciu latach mowa ciała Anji i ton jej głosu stanowiły dla niego otwartą

księgę. I im mniej robiła na kimś wrażenie, tym bardziej stawała się naburmuszona. Oscar pozwolił nawet, by nieco jego rozbawienia przeciekło do gajaszfery. Anja musiała to poczuć. Jej pełne wargi stwardniały w naganie i Oscar podszedł do balkoniku.

- Oscar, kochanie, rozmawiałam z twoją starą znajomą. Druga osoba na balkonie odwróciła się. Chytrze się uśmiechała. Oscar upuścił szklaneczkę, kiedy jego dłonie i wszystkie inne części ciała doznały szoku. Kryształ się rozbił, kostki lodu potoczyły się po wypolerowanym drzewie podłogi.

- Jasna cholera!

- Długo się nie widzieliśmy.

Oscar nie mógł nawet chrząknąć. Do gajaszfery przesączał się niepokój, kiedy jego partnerzy życiowi zobaczyli co się dzieje.

- Wy dwoje... - powiedział Jesaral, podnosząc palec oskarżycielsko na Paulę. - Myślałem...

- Wszystko w porządku. - Oscar zdołał wydobyć z siebie głos.

- O co chodzi? - Jesaral zapytał oskarżycielsko Paulę. - Powiedziała pani, że byliście przyjaciółmi.

- Byliśmy kiedyś. Dawno temu.

- To stary wykręt. Znowu. Wszystko się wydarzyło przed moim urodzeniem.

- Bo wtedy się wszystko wydarzyło - powiedział Oscar. Jego uadiunkt wezwał bota-pokojówkę, by sprzątnęła rozbity szklaneczkę. Dopiero wtedy zdołał słabo się uśmiechnąć.

- Co u ciebie słyhać, Paulo?

- To samo, co zawsze.

- Taa.

Nie zmieniła się. Przynajmniej fizycznie. Może tylko jej proste ciemne włosy wydłużyły się o parę centymetrów. Inaczej niż on, któremu dano wspaniałe ciało Awangarda, oparte na jego własnym DNA, a potem wzbogacono wszystkimi klasterami wielokomórkowymi, silniejszymi kośćmi, efektywniejszymi narządami i dłuższym okresem życia. Po osiemdziesięciu sześciu latach nadal rejuwenację miał w dalekiej perspektywie, chociaż jego twarz zaczynała już wykazywać oznaki nowo przeżytych lat

- co Anja niestrudzenie mu wypominała. Ale ona... Zgadywał, że teraz musi być Elewatem. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że odwiedza klinikę, by się upiększyć.

- Więc się znacie? - spytał niepewnie Dushiku.

- Tak. - Oscar odchrząknął. - Proszę, czy moglibyście na chwilę nas zostawić?

Jego partnerzy życiowi wymienili zaniepokojone spojrzenia, zalewając gajasferę troską i irytacją.

- Będziemy na zewnątrz - powiedziała Anja, poklepując go po ramieniu, gdy go mijała. - Wystarczy jak wrzaśniesz.

Bot-pokojówka weszła do salonu i zaczęła wsysać whisky. Oscar wycofał się w stronę kanapy i ciężko usiadł. Odrętwienie rozprasało się, zmienione w narastający gniew. Spojrzał wściekle na Paulę.

- Tysiąc sto lat. Dzięki za to.

- Odzyskałam twoją komórkę pamięci.

- Postawiłaś ją przed sądem.

- Jesteś dzisiaj równie żywy, jak w dniu, kiedy latałeś hiperszybowcem. To więcej niż można powiedzieć o twoich ofiarach w Abadanie.

- Na pierdolone rany Chrystusa! Przestań mnie prześladować.

- Nie mogę sprawić, byś poczuł się winny. Sam to sobie robisz.

- Tak, tak. - Zapadł głębiej w tapicerkę. - Co do cholery tutaj robisz?

- Mieszkasz wygodnie. - Obróciła głowę, studiując salon. - Anja była całkiem dumna z domu. Rozumiem, dlaczego.

- Mój fundusz emerytalny STT został przekazany zarządowi powierniczemu w dniu zakończenia procesu, dzięki uprzejmości Wilsona. Chcesz wiedzieć jak wyglądają procenty z tysiąca stu lat? Stoisz w nich. Cholerna inflacja! Powiniennem być w stanie kupić planetę.

- A twoi partnerzy życiowi to dobrzy ludzie. Jesarał jest raczej młody, prawda?

- Taa - warknął Oscar. - Ma też bardzo dużego kutasa.

Paula uśmiechnęła się.

- Czy kiedykolwiek komunikowałeś się z Wilsonem po

ożywieniu?

- Zostawił dla mnie wiadomość. Anna też. Dawno temu załadowali się do ZAN. Za co, szczerze mówiąc ich nie podziwiam. Posłuchaj, to bzdury: czego, do cholery chcesz?

- Potrzebuję, byś wykonał dla mnie pewną pracę.

Oscar nie uwierzyłby, że to możliwe. Był w tym samym pokoju, co Paula Myo i śmiał się z niej.

- O Boże, czy sobie kiedyś dałaś spokój w czasie tych wieków. Chcesz, bym pracował dla ciebie? Ja? To pieprzone żarty.

Uśmiech Pauli miał w sobie coś niemoralnego.

- Właśnie.

Oscar gwałtownie stracił humor. Żołądek ścisnęły mu mdłości.

- O, cholera: nie żartujesz.

- Oczywiście, że nie. To idealny układ. Kto by coś takiego podejrzewał?

- Nie. Nie ma szans. Idź i szantażuj kogoś innego. Raczej wróciłbym do staży.

- Oskarze, słuchaj, nie jesteś Jesaralem, więc przestań zachowywać się tak jak on. Nie jestem tu po to, by ci grozić. Jestem tu, by cię prosić, ponieważ cię znam i wiem, czego chcesz.

- Nie znasz mnie, moja pani!

Paula nachyliła się ku niemu z błyszczącymi oczyma.

- O tak, ależ znam, Oscarze. Spędziliśmy razem ostatnich kilka dni twojego życia. Ja niemal zginęłam, a ty zginąłeś. Nie mów mi, że się wzajemnie nie rozumiemy. Zostałeś męczennikiem, by rasa ludzka mogła przetrwać. Jesteś honorowym człowiekiem Oscarze. Popieprzonym poczuciem winy, ale honorowym.

Oscar starał się jak mógł, by nie dać się zastraszyć.

- To była szalona sytuacja. Więcej się taka nie powtórzy.

- Och, naprawdę? Jak sądzisz, dla kogo obecnie pracuję?

- Zaryzykuję i powiem, że dla ZAN. Nigdy się nie zmieniasz.

- Masz rację co do ZAN, ale mylisz się w sprawie zmian. Jestem inna.

- Taa, na to wygląda. Ta sama praca przez tysiąc trzysta lat. Ledwie cię rozpoznałem. Paulo, nie umiesz się zmienić, to ty.

- Far Away mnie zmieniło. Niemal mnie zabiło, ale

zrozumiałam, że muszę się przystosować. Tak więc przebudowałam swoje DNA, by usunąć cechę przymusowego zachowania.

- To widać.

- Zdecydowanie może pokonać sztuczną naturę.

- Jestem przekonany, że filozofowie byliby zachwyceni, słysząc twój pogląd na geny i wychowanie. Dlaczego się do nich nie zwrócisz i nie zapoznasz ich z tym poglądem? Och tak, słusznie. Oni wszyscy są martwi od dwóch tysięcy lat.

- Próbujesz uniknąć odpowiedzi. Próbujesz usprawiedliwić przed sobą swój strach.

- Zła diagnoza, proszę pani. Całkowicie i totalnie zła. Odpowiedź brzmi „nie”. Nie pomogę pani. Czy chce pani bym to powiedział wyraźniej? Nie.

- Jak sądzisz, na ile zła jest sytuacja, że jestem tutaj, by cię prosić?

- Nie dbam o to. Nie pomogę pani.

- To Pielgrzymka Oscarze i jestem w związku z nią zaniepokojona. Naprawdę zaniepokojona.

Gapił się na kobietę, niepewny, ile wstrząsów jeszcze wytrzyma.

- Posłuchaj, śledziłem całą historię dość starannie, kto tego nie czynił? Flota zatrzyma Imperium Ocisen w miejscu. ZAN zatrzyma statki Pielgrzymki. Nie jest głupi. Pustka zeżre połowę galaktyki, jeśli kretyńskie owieczki Iniga w ogóle wejdą do wewnątrz.

- I sądzisz, że to wszystko? Oscarze, ty i ja byliśmy tam z Nigelem, zanim poleciliśmy na Far Away. Wiedziałeś, jak skomplikowana jest sytuacja, ile czynników wchodziło w grę. Cóż, to jest gorsze. Pustka to tylko wydarzenie na peryferiach, wygodny giez; tu mamy do czynienia z Frakcjami, które maszerują do walki. To bitwa o przeznaczenie ludzkości. Jej wynik będzie decydował o losach naszych dusz.

- Nie mogę pomóc - powiedział, zażenowany, że słowa Pauli były niemal lamentem. - Jestem tylko pilotem, na litość Boską.

- Och, Oskarze. - Jej głos był pełen współczucia. Uklęła przed

nim i ujęła jego dłonie. Jej palce były ciepłe w dotyku. - Wystarczy tej pokory. Potrzebuję pomocy twojego charakteru. Wiem, że kiedy się zgodzisz, nie będę się już martwić tym problemem. Nie zostawisz mnie i to właśnie jest ważne.

- To dla ciebie podróż wspomnieniowa, ja jestem jedynie pilotem.

- Byłeś tylko kapitanem floty, ale ocaliłeś nas przed Gwiazdokrażcą. Powiem ci, o co cię proszę. A potem powiem ci, dlaczego to zrobisz. Jeśli chcesz mnie znienawidzić za to, że zmuszam cię do stawienia czoła rzeczywistości, to również mnie zadowolili.

Wyrwał dłonie z jej uścisku.

- Powiedz swój kawałek i odejdz.

- Frakcje mnie znają. Obserwują mnie, kiedy obserwuję ich agentów. Tak więc nie mogę im dać do zrozumienia, że rozpaczliwie próbuję zlokalizować Drugiego Śniącego.

Oscar tylko się zaśmiał.

- Mam znaleźć Drugiego Śniącego? Ja?

- Tak. I wiesz, dlaczego ci się uda?

- Ponieważ nikt nie będzie tego oczekiwał. - Umyślnie wypowiedział to tonem dziecka w szkole recytującego bezużyteczny fakt.

- Właśnie. I wiesz, dlaczego robisz to dla mnie?

Zebrał się w sobie. Z pewnością nie było nic więcej w jego życiu, czym mogłaby mu zagrozić. Czy wymazałem pamięć? Mój Boże, czy był jeszcze inny Abadan?

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś znudzony tym szarym, monotonnym życiem, przez które idziesz niczym lunatyk.

Oscar otworzył usta, by na nią wrzasnąć. Powiedzieć jej, że w końcu zbzikowała. Że się pomyliła. Że jego życie jest bogate. Że ma ludzi, którzy go kochają. Że nigdy nie pragnął wracać do tamtych zwariowanych dni podczas wojny Gwiazdokrażcy. Że już zniósł dawkę przerażenia i dzikiego podniecenia, którą może pomieścić życie jednego człowieka. Że takie rzeczy najlepiej zostawić nowemu pokoleniu. Ale z jakichś przyczyn głowa mu

opadła i ciężko westchnął. Nie mógł patrzeć na Paulę. I z pewnością nie mógłby spojrzeć w oczy swym życiowym partnerom.

- Nie mogę im tego powiedzieć - wyszeptał z bólem. - Jakbym mógł. Oni uznaliby, że to ich wina.

Paula wstała. Położyła mu dłoń na ramieniu z łagodnym współczuciem.

- Chcesz, żebym ja to zrobiła?

- Nie. - Pokręcił głową. Przeciągnął wierzchem dłoni po oczach, by usunąć irytujące plamy wilgoci.

- Nie. Aż takim tchórzem nie jestem.

- Jeśli potrzebujesz jakiejś przykrywki, to ją masz. Mogę zorganizować... właściwie wszystko.

- Uhm.

- W lokalnym kosmoporcie czeka na ciebie statek. - Uśmiechnęła się po łobuzersku. - Z ultranapędem.

Oskar uśmiechnął się niewyraźnie, czując, jak porusza się w nim radość.

- Ultranapęd? Cóż, przynajmniej nie uważasz mnie za tanią dziwkę.

Araminta nie w ten sposób wyobrażała sobie powrót na kontynent Suvorov. Siedziała w starzejącej się kapsule transportowej, lecącej przez Wielki Chmurny Ocean, niżej i wolniej niż jakakolwiek kapsuła na planecie.

Niezupełnie stylowy powrót. Zawsze sobie obiecywała, że jeśli kiedykolwiek powróci na swój rodzimy kontynent, to wtedy, kiedy będzie mogła wysiąść z jakiejś luksusowej kapsuły wysokiej klasy i z pełnym wyższości uśmiechem patrzeć na Langham i rodzinny interes.

Jeszcze do tego nie doszłam.

Niestety, posiadłość Likana znajdowała się na Suvorovie. To zrozumiałe, właśnie tam leżała stolica Vioty, Ludor. Likan nie był typem prowincjonalnym, musiał przebywać tam, gdzie jest akcja. Więc z powrotem przebyła ocean. Z bagażnikiem pełnym

najlepszych sukni i pogłębiającym się poczuciem niepokoju.

Była szczerze zainteresowana umiejętnościami sheldonity. Dostanie się na jego poziom poniżej stopięćdziesiątki, było fenomenalnym osiągnięciem. Mogła się od niego sporo nauczyć, pod warunkiem, że skłoni go do mówienia.

I jeszcze ta cała sprawa z kulturą sheldonitów. Tysiące ludzi na setkach Światów Zewnętrznych próbowało naśladować swego hiperkapitalistycznego idola. Naśladownictwo niebezpiecznie bliskie ślepej czci, pomyślała. Ale była skłonna zawiesić swój osąd, do czasu, kiedy bezpośrednio zetknie się z tym zjawiskiem. Może właśnie taką drogą powinna pójść. Nawet Bovey nie mógł zaprzeczyć, że sheldonizm był szczytem kultury biznesowej. To znaczy sheldonizm, który się powiódł. Wystarczająco wielu członków - nieudaczników zaśmiewało Światy Zewnętrzne.

I wreszcie harem. Typowa samcza fantazja; bogaty mężczyzna realizujący swoje marzenia. A jednak zjawisko znacznie częstsze obecnie niż w czasach Sheldona. Grupowe związki z partnerami życiowymi stawała się coraz popularniejsze w Światach Zewnętrznych. I przecież nie mogła tego krytykować. To, czym się cieszyła z Boveyem było zasadniczo takim samym układem. Więc oto była tu, technicznie rzecz biorąc wolna, samotna i nadal zainteresowana seksualnymi eksperymentami, by zobaczyć, co najbardziej jej odpowiada. Nie sądziła, że pozna życie w haremie, ale na przykład z Boveyem zaskoczyła samą siebie.

Więc ostatni raz dziko zaszaleję. W ten sposób, cokolwiek odkryję, ten weekend będzie wygraj-wygraj.

Ta przestępcza myśl rozgrzała ją. Kapsuła wreszcie dotarła do lądu i zaczęła lecieć nad posiadłością Likana. Był właścicielem terenu o powierzchni stu tysięcy mil kwadratowych, długiego pasa wybrzeża - zabudowanego kompleksami wypoczynkowymi. Ogromne obszary terenów uprawnych z polami o powierzchni mili kwadratowej, na których rosły wszystkie możliwe do wyobrażenia luksusowe płody rolnicze - takie, których nikt nie wyprodukuje w jednostce kulinarnej - utrzymywano za pomocą przeszło miliona botów rolniczych; wszystko przerabiano w nieskazitelnie higienicznych scybernetyzowanych fabrykach i

sprzedawano pod własnymi markami.

A potem był Albany, kompleks przemysłowy Likana. Położony na płaskiej równinie, miał kształt kwadratu o boku ośmiu mil; wysokie, pudełkowate budowle ułożone w idealną siatkę: każda z budowli to fabryka lub zakład przetwórczy. Z jednej strony kompleksu rozpostarł się kosmoport, długie szeregi placyków do lądowania ciągnące się przez łąki do pobliskiej rzeki. Barki oceaniczne pokrywały wodę, a grube statki gwiazdne ustawione jeden za drugim tworzyły na niebie niemal ciągłe linie. W samym Albany nie mieszkał żaden człowiek - technicy, którzy utrzymywali je w ruchu mieszkali w miastach-sypialniach dwadzieścia mil stąd. Przeleciała nad jednym z nich, zaskoczona ich miłym wyglądem, wielkimi domami, mnóstwem zieleni i ozdobnymi gmachami publicznymi, dostarczającymi wszelkich możliwych wygod.

Posiada to wszystko. Co więcej: on to stworzył. To prawdziwa wizja.

Sieć w jej kapsule odebrała pytanie od lokalnej kontroli ruchu. Podała certyfikat tożsamości i otrzymała zgodę na lądowanie.

Dom Likana tak naprawdę stanowiły trzy osobne budynki. Dwa z nich leżały na dziesięciomilowym brzegu jeziora. Jeden był gigantycznym kamiennym zamkiem i musiał mieścić z pięćset pokoi. Araminta widziała mniejsze wsie. Drugi, niemal naprzeciwko pierwszego, był ultranowoczesnym opalizującym jajem, które zdawało się zanurzać w wodzie. Trzeci budynek był mały w porównaniu z tymi dwoma - to po prostu drewniana chata na klifach postrzępionej wyspy.

Kapsuła wylądowała przy jaju. Araminta cieszyła się z tego powodu. Chciała zobaczyć jak jest w środku, czy są tam wzory lub pomysły, które mogłaby wykorzystać.

Kiedy wysiadała, dwie członkinie haremu czekały, by ją przywitać. Clemance, szczupła nastolatka, ubrana w prostą białą bluzkę i niebieskie bawełniane szorty. Miała świeżą twarz, piegi na nosie i czole, podekscytowany uśmiech i włosy blond, ledwie stylizowane. Niezapełnie to, czego spodziewała się Araminta. Natomiast druga, Marakata była wysoka i klasycznie piękna, z

hebanową skórą, pobłyskującą w słońcu. Jej szkarłatna suknia kosztowała prawdopodobnie więcej niż wszystko, co Araminta przywiozła, razem wzięte. I to właśnie nosi w środku popołudnia. Subtelne łuski kosmetyczne podkreślały zielonkawe oczy i szerokie usta. Nie uśmiechała się, cała jej postawa sygnalizowała chłodne rozbawienie.

Clemance skoczyła do przodu, jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. Objęła czule Aramintę.

- Likan wszystko nam o tobie opowiedział. Tak wspaniale, że wreszcie cię widzimy.

Lekko zaskoczona Araminta odpowiedziała dziewczynie niepewnym uściskiem.

- Co mówił?

- Żebyśmy były ostrożne - powiedziała Makata. Uniosła elegancką brew i obserwowała reakcję Araminty.

- Mówi, że jesteś naprawdę ambitna, bystra, atrakcyjna i nie dasz sobą rządzić... - Wydawało się, że Clemence zabrakło oddechu.

Araminta wreszcie zdołała wyplątać się z uścisku dziewczyny.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że wywarłam takie wrażenie.

- Likan bardzo szybko ocenia ludzi - powiedziała Marakata.

- A ty? - spytała Araminta tak chłodno jak mogła.

To pytanie przywołało na wargi imponującej kobiety słaby uśmieszek.

- Ja się nie spieszę i moja ocena jest całkowicie słuszna.

- Dobrze wiedzieć.

Clemance zachichotała.

- Chodź, pokażemy ci twój pokój.

Złapała Aramintę za rękę i pociągnęła ją za sobą jak pięciolatek wlokący rodzica do choinki bożonarodzeniowej.

- Personel weźmie twoje torby - powiedziała nonszalancko Marakata.

Araminta nachmurzyła się, a potem zobaczyła, że ona nie żartuje. Para kobiet w identycznych eleganckich togaturach zmierzała do jej kapsuły, prowadząc regrawowe sanie.

- Macie ludzki personel?

- Oczywiście.

- Tak więc Nigel Sheldon także musiał go mieć.

- Hm, jesteś bystra. - Clemance zaśmiała się i pociągnęła mocniej. - Chodź! Wybrałam dla ciebie ten.

Były tuż przy połyskującej powierzchni. Araminta nie zdawała sobie sprawy z wielkości jaja. Kiedy stała przy jego podstawie, musiało sięgać dziesięciu piętér ponad nią, choć krzywizna utrudniała ocenę. Nie miało żadnych wyróżniających się cech, a z pewnością żadnych drzwi. Całą podstawę otaczała szeroka marmurowa ścieżka, jakby jajo leżało na jakimś cokole. Pod stopami zmaterializowała się para cienkich złotych linii. Clemance poszła za nimi. Prześlizgnęła się przez wir wielobarwnego światła. Araminta szła za nią. Przypominało to przechodzenie przez pole ciśnieniowe, albo sporowy prysznic - drobne mrowienie skóry, jasny błysk w oczach i już była w bankowej izbie z przezroczystym meblowaniem, obrysowanym żarzącymi się szmaragdowymi liniami, niczym krzywymi promieniami lasera. Wszystkie szafki i szuflady były puste, wnętrze poduszek, krzeseł i kanap świeciło bardziej rozproszonym światłem, co nadawało im wygląd projekcji wadliwego portalu. Podłoga i kopulaste ściany stanowiły matową wersję zewnętrznego migotania. Tylko kremowo-złote prześcieradła na łóżku Araminta oceniała jako materialne.

- Domowy smartnet oferuje program sterujący pokojem - poinformował ją jej u-adiunkt.

- Zaakceptuj go.

Jej egzowizja pokazała jej plik podłączający się do jej spacji pamięci. Clemance już siedziała na krawędzi łóżka, podskakując w górę i w dół.

- Podoba ci się?

- Główne wejście domu prowadzi do gościnnej sypialni?

- Tylko wtedy, kiedy tego potrzebujesz - odpowiedziała dziarsko dziewczyna. - Powiedz swemu programowi sterującemu, że chcesz wyjrzeć na zewnątrz.

Araminta zrobiła tak i ściany po jednej stronie straciły połysk, ukazując ogrody na zewnątrz oraz jej kapsułę i regrawowe sanie

z jej pudłami.

- Teraz, że potrzebujesz łazienki... - powiedziała Clemence.

Cały pokój, zaczął się ślizgać do góry, wzdłuż krzywej ściany zewnętrznej. Gdzieś, skryty pod podłogą, musiał znajdować się doskonały kompensator grawitacji, ponieważ Araminta nie czuła żadnego ruchu. Potem przesuwały się poziomo ku centrum jaja. Inne bąblowe pokoje przepływały obok nich.

Araminta wyobraziła sobie, że to jest właśnie perspektywa krwinek pędzących przez żyłę. Uśmiechnęła się zachwycona.

- To kapitalne, cała struktura jest zmienna.

Jej sypialnia zetknęła się z łazienką i ściana otworzyła się. Układ pomieszczenia za nowymi drzwiami był bardziej tradycyjny, z ogromną wanną - basenem, prysznicami, komorami suszącymi. Pomieszczenie było większe niż salony w mieszkaniach, które budowała.

- Jeśli chcesz kogoś zobaczyć, albo pójść do jadalni na kolację, albo po prostu zmienić widok - powiedz to domowi - powiedziała Clemence.

- Tak zrobię - potaknęła Araminta.

Naprzeciwko łazienki otworzyły się drzwi i weszła przez nie Marakata. Araminta zdołała dostrzec całkowicie biały pokój z długim biurkiem i kilkoma przyrządami gimnastycznymi.

- Zobaczymy się później - powiedziała Marakata i drzwi za nią zamknęły się.

- Czy to groźba? - mruknęła Araminta.

- Och, zignoruj ją - odparła Clemence. - Ona zawsze jest nieśmiała w stosunku do nowych ludzi. W łóżku jest znacznie bardziej zabawna, daję słowo.

- Jestem o tym przekonana.

Araminta odwróciła się, i obejrzała pokój dokładniej. Szuflady zaczęły wypełniać się jej ubraniami. Proces przypominał oglądanie wody wznoszącej się w szklance.

- Zabierz mnie do Likana - poleciła swemu u-adiunktowi.

Pokój zamknął drzwi do łazienki. Zakrzywione ściany prześlizgnęły się obok - poziomo, a potem uciekły w dół.

- I zrób ściany nieprzezroczyste. - Grawitacja mogła być idealnie

stabilna, ale widok dziwnie dezorientował.

Pokój Likana był ogromny. Araminta podejrzewała, że nieczęsto się porusza. Inne pomieszczenia w domu musiałyby się przemieścić razem z nim. Był okrągły z wypolerowaną dębową podłogą, która wyglądała jak pojedynczy gigantyczny segment. Wyhodowana w kadzi - czytała plik na temat takiego procesu na jednym ze swoich kursów projektowania. Ściany były bladoróżowe i niebieskie, z teksturą prześwitującej skorupki jajka. Przechodziły w przezroczyste na jednej trzeciej swej długości i ukazywały panoramę jeziora.

Likan zmierzał ku niej ubrany w prostą beżową bluzę i długie zielone szorty. Małe kolorowe symbole kurczyły się i znikwały wokół niego. Ściany muszą być portalami, stąd ta duża zdolność do projekcji, pomyślała. To chyba jego biuro. Mężczyzna uśmiechnął się ciepło, zatrzymał przed nią i pocałował ją. Pocałunek sugerował to, czego później będzie po niej oczekiwał.

- Piękny dom - powiedziała.

- Wiedziałem, że ci się spodoba. Koncepcja jest stara, ale dopiero teraz obniżyliśmy koszty wytwarzania do bardziej przystępnego poziomu. Co nie jest proste bez replikatorów Elewatów.

- Chciałabym dostać licencję na Colwyn City.

Odpowiedział jej ciepłym, pełnym podziwu uśmiechem.

- Teraz widzisz, większość deweloperów robiłaby złośliwe uwagi, że pozbawiam ich zarobków. Ale ty... ty widzisz jak się dostosować i pójść do przodu. To właśnie sprawia, że się wybijasz.

- Dziękuję.

Clemance czmychnęła do nowych drzwi.

- Złapię cię później.

Likan machnął z lekceważeniem ręką, i poprowadził Aramintę do przezroczystej ściany.

- Picie? Jedzenie? - zapytał.

- Mam dosyć na parę godzin.

- Dobrze. Premier i dwóch ministrów gabinetowych przyjdzie na kolację.

- Czy próbujesz zrobić na mnie wrażenie?
- I tak mieli przyjść. Ale mam nadzieję, że da ci to pojęcie o życiu, które wiodę. By stać się dużą, musisz się bawić w politykę.
- Ratusz Colwyn City może być bestią, gdy wydaje pozwolenia.
- Zaproś urzędnika od planowania przestrzennego na obiad. Pożycz swemu lokalnemu radnemu elegancką kapsułę. Oni wszyscy są łasi na to, co mogą dostać. W przeciwnym razie nie żarliby z publicznego koryta.
- Chyba, że się w to zaangażowali, by zlikwidować korupcję.
- Taa. Ci są problemem. Na szczęście na ogół nie rządzą zbyt długo.
- Jesteś cynikiem.
- Pragmatykiem, jeśli nie masz nic przeciw temu. Jestem również pod każdym względem bardziej doświadczony od ciebie. Zaufaj mi więc, kiedy mówię, że wszyscy politycy mają swoje słabości.
- Jaka jest twoja? - zażartowała.
- Po pierwsze łatwo zaciągnąć mnie do łóżka. Ale już to wiesz. Po drugie ryzyko. Ryzyko to moja słabość. Poczucia, że ryzyko się opłaciło nie da się z niczym porównać. Zawsze podejmuję ryzyko. Cieszę się z sukcesów zbyt mocno, by tego nie robić.
- Więc jakie ryzyko podejmujesz w tej chwili?
- Jesteś bystra, zebrałaś o mnie informacje. Przynajmniej przejrzałaś pliki finansowe. Powiedz mi.
- Kiedy tu jechałam, uzyskałam dostęp do sytuacji w tle. Panuje przekonanie, że jesteś niebezpiecznie rozciągnięty.
- I moje pożyczki znacznie wzrosły w ciągu ostatnich paru lat. Więc jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?
- Masz zamiar wymazać firmy budujące takie domy, jak ten? Zalać rynek?
- Uśmiechnął się szeroko.
- To by była mała skala. Ja operuję na dużą. Ponadto, żeby coś takiego stało się modne, a później powszechnie akceptowane potrzeba dziesięciolecia. Pomyśl, jaki jest dzisiaj najbardziej palący problem Viotii?
- Żywy Sen?

- Coś w tym rodzaju. Ellezelin ciągle nad nami majaczy. I słusznie. Strefa Wolnego Handlu to wielki rynek. Nigdzie nie odejdzie i stale rośnie. Każdy, kto już na nim operuje ma ogromną przewagę w możliwościach finansowych i wytwórczych nad jakąś biedną małą firmą z Viotii. Kłopot polega na tym, że kiedy w końcu otworzą tutaj wormhol, wszystkie nasze firmy stracą z powodu taniego importu. Handel stanie się jednokierunkowy.

Myślą wróciła do Albany, do samych rozmiarów tamtego miejsca.

- Masz zamiar ich podkopać.

- Albany jest zautomatyzowane tak bardzo, jak tylko się da bez replikatorów. Spędziłem dekadę inwestując w najbardziej zaawansowane systemy cybernetyczne, które mogłyby obniżyć koszty. Aby to zrobić, aby obniżyć koszt jednostkowy tak bardzo, jak jest to fizycznie możliwe, musisz mieć produkcję masową. To właśnie w tej chwili mnie zabija. Fabryki pracują ledwie na jałowym biegu. Ale kiedy tamten wormhol wreszcie się otworzy...

- To nie będzie taką finansową masakrą, jakiej się spodziewają.

- Oni importują. Ja eksportuję. Tylko objętość tego eksportu będzie dziesięciokrotnie wyższa niż zakładają.

- Będziesz potrzebował sieci dystrybucyjnej. Odwrócił się i spojrzał na jezioro.

- Z pewnością tak.

- Niesamowite - powiedziała. I to miała na myśli. Ambicje Likana były tak wielkie, że jej ambicje rozrysowane na tym samym diagramie nawet nie byłyby widoczne. - Dlaczego mi o tym mówisz? Nie chcesz mi imponować po to, by zaciągnąć mnie do łóżka. Na tyle już mi zaimponowałeś.

- Choć moja opinia na temat własnych zdolności jest bardzo subiektywna, tak naprawdę nie mogę sam zarządzać wszystkimi aspektami, nawet przy sztucznie powiększonej sprawności myślenia. To zbyt wiele szczegółów. W fazie ekspansji na tym poziomie potrzebuję ludzi, którym mogę zaufać na wyższych stanowiskach menadżerskich. Zwłaszcza poza planetą.

- To bardzo pochlebające.

- I tak i nie. Sądzę, że będziesz kompetentnym menedżerem. Masz właściwy rodzaj motywacji i sposób myślenia. Nie masz doświadczenia, by stać na szczytach organizacji, ale go nabędziesz.

Nachmurzyła się.

- Dlaczego ja?

- Jak wiele informacji naprawdę zebrałaś? O samym Sheldonie?

- Żadnych - przyznała się. - Tylko to, co pamiętam ze szkoły.

- Stare Dynastie były właśnie tym: przedsiębiorstwami rodzinnymi. Najpewniejszy sposób, na który kiedykolwiek wpadli ludzie, by utrzymać lojalność i władzę. Nigel wykorzystywał własne ciało i krew.

- Ach.

Araminta odniosła wrażenie, jakby pokój nagle zaczął się przemieszczać w dół.

- Wszystkie wyższe stanowiska zajmowały jego dzieci - oznajmił Likan. - Ja też tak robię.

Nagle na powierzchnię jej umysłu wypłynęło pewne wspomnienie.

- Debbina? - zapytała, zanim mogła się powstrzymać.

Likan skrzywił się boleśnie.

- Co ja ci zrobiłem? W porządku, to nie jest moja ukochana dziewczynka. Ale mnóstwo innych dzieci kieruje działami w mojej firmie.

- I jak ja pasuję do tego wszystkiego?

- Jak ci się wydaje?

- Zwerbalizuj mi to.

- Zostaniesz jedną z moich żon. Będziesz miała moje dzieci. One zajmą swoje miejsca w firmie.

- Naprawdę wiesz, jak romansować z dziewczyną.

Błysnął krzywym uśmiechem.

- Posłuchaj, jesteście dorośli. W dzisiejszych czasach wszystkie małżeństwa to na wpół biznes. Będziemy się świetnie bawić w łóżku. Mogę sobie pozwolić, byś prowadziła taki styl życia, jaki chcesz. Twoje dzieci wyrosną jako część najbardziej dynamicznej firmy w tym sektorze Wspólnoty. Nigdy im niczego nie zabraknie

i postawi się ich przed praktycznie biorąc niczym nieograniczonymi wyzwaniem. Znam cię na tyle dobrze, że wiem, że to do ciebie przemawia. Nie ma mowy o jakichś kontaktach oszczędnościowych dla dzieci. I to samo dotyczy ciebie. Trwaj przy mnie przez jakieś dziesięć, piętnaście lat, a potem możesz albo nadal piastować stanowisko w firmie, albo odejść z wielką kupą pieniędzy i wystarczającą ilością wewnętrznych informacji, by owinąć sobie wokół palca wszystkich pozostałych.

- Na matkę Ozziego! Czy mówisz poważnie?

- Absolutnie. - Przysiadł się bliżej, objął ją ramieniem i znowu pocałował, tym razem delikatniej. - Nie chcę natychmiastowych odpowiedzi. Właśnie dlatego tu jesteś. Wypróbuj wszystko, co możesz i zechcesz, a potem bez pośpiechu podejmij decyzję.

Nieźle, ktoś mi się oświadczył drugi raz w tym miesiącu.

- W porządku - odpowiedziała niepewnie. - Zrobię to.

- Naprawdę tak myślisz? Nie mówisz tego tak sobie?

- Nie. Naprawdę tak myślę.

Araminta nie włożyła do kolacji swoich ubrań. To była pierwsza rzecz, której się dowiedziała o życiu w haremie. Kiedy pokój ją zabrał z przestronnego biura Likana, w jej sypialni czekała stylistka o imieniu Helenna. Jowialna kobieta, bliska rejuwenacji, dla której wiek oznaczał, że w ostatnich latach przybrała na wadze. Szczerze przyjacielska, z zapałem dzieliła się plotkami o gospodarstwie, z których większość była dla Araminty niezrozumiała, choć plotek było mnóstwo. Helenna mieszkała z Likanem przez pięćdziesiąt lat.

- Tak więc wiem to wszystko, kochanie, a widziałam jeszcze więcej. Nie osądzam nikogo i nic, co będziesz tu robiła, mnie nie zaskoczy. Jeśli zechcesz coś szczególnego na ten wieczór, po prostu mnie poproś.

Araminta nie była pewna, co ona ma na myśli. Kusiło ją, by zapytać, o co prosiły inne dziewczyny. Jedna z rzeczy, których Helenna była pewna, to to, że:

- Likan lubi, jak jego kobieta jest elegancka. Więc musimy cię

wystroić, byś mogła skutecznie konkurować z innymi.

Zajęło to godziny. Jej sypialnia skakała po całym jajowatym domu, by połączyć się z pokojami innych specjalistów. Mężczyzna o imieniu Nifran, równie brutalny co kompetentny, wykonał masaż. Później Araminta miała poczucie, że wylewa się ze stołu luźnymi, oklapłymi członkami. Pokój przymiarek. Dom z pokojem przymiarek? Zmierzone ją tam, by uszyć suknię wieczorową.

Spiralny zjazd w dół do salonu, gdzie Helenna została wreszcie zdemaskowana jako czarodziejka. Zastosowano warstwy błon kosmetycznych, a jednak, gdy Araminta przejrzała się w lustro nie było po nich śladu. Z lustra spoglądała na nią nie ona, ale jej dziewiętnastoletnia tożsamość. Dziewiętnastolatka, której nigdy nie знаła, ale zawsze pożądała - z ostrymi kośćmi policzkowymi, bez grama zbędnego ciała, z miękkimi, długimi rzęsami, idealnie czystą skórą i iskrzącymi się oczyma. Po kolejnej godzinie jej włosy zostały „zreperowane”, jak Helenna z naganą nazwała pierwszą operację. Potem je przedłużono, zagęszczono i wystylizowano.

Podczas tych czynności, Clemanca siedziała przy niej na krześle. Inna członkini haremu, Alsena zajęła miejsce po drugiej stronie. Dość swobodnie rozmawiały, co dawało jej wgląd w siostrzane uczucia między kobietami. Przedstawiono jej skrót genealogii Likana ze specjalnym naciskiem na krnąbrne dzieci. Była to prawdziwa saga, aby ją śledzić musiała podłączyć nowy plik do spacji pamięci.

Dziewczęta, mimo że przyjacielskie, tak naprawdę nie interesowały się prawdziwym światem. Była to dość zjadliwa obserwacja, ale jak czuła Araminta, prawdziwa. Jeśli Likan chciał kobiet podobnych do niej, co robił z pozostałymi? One z pewnością nie aspirowały do prowadzenia oddziałów jego imperium korporacyjnego.

- Lubi rozmaitość - wyjaśniła jej Helenna, kiedy salon znowu spotkał się z pokojem przymiarek.

Klasyczna „mała czarna sukienka” nigdy nie przestała być stylowa. I kiedy Araminta patrzyła na swoją - przygotowaną dla

niej przez uczennice-czarodziejki w pokoju przymiarek - rozumiała dlaczego. Czuła się roznamietniona w chwili, gdy się w nią wślizgnęła, więc tylko Ozzie wiedział, jakie wrażenie wywołała ta suknia na napotkanych samcach. Skandalicznie przylegała, a jednak dawała piersiom całkowitą swobodę ruchu. Kiedy szła w niej pierwszy raz, czerwieniła się. W jakiś sposób wysoki obrąbek i mikromateria z jedwabnym połyskiem natryskana na jej nogi sprawiała, że łydki i uda wyszczuplały, do rozmiarów tego samego dziewiętnastoletniego ideału, w którego twarz wyposażyli ją zakłęcia Helenny.

Koktajle przedkolacyjne podano domownikom i gościom Likana w pokoju muzycznym, z którego teraz rozciągał się widok na jezioro. Araminta chodziła z wysoko uniesioną głową, wiedząc, jak wspaniale wygląda. Zaskoczona i opóźniona reakcja Likana, uśmiechy haremowi, podskok i małe podniecone klaśnięcia w dłonie Clemance, były pochwałami, które po prostu jej się należały. Pomogły dodać jej pewności siebie. Tak więc, kiedy Likan przedstawił ją pani premier i jej mężowi, była doskonale przejemna i traktowała ich, jakby była im niemal równa.

A kiedy toczyła rozmowę towarzyską i próbowała dziwnie smakujących kanapek, wciąż się zastanawiała, jak zachowywałyby się Bovey, gdyby tutaj był. Uważał się za kulturalnego i jeśli chodzi o wino i jedzenie mógłby się okazać większym snobem od całej reszty. Ale towarzystwo, w którym przebywała to możni i bogacze tego świata, oraz kilku zaledwie słynnych i obraz Bovey'a zadzierającego w stosunku do nich nosa po prosu ją prześladował.

A jednak tu jestem i się trzymam.

Wieczór miał swoje wady. Mąż premier, obok którego siedziała przy stole, był fantastycznym nudziarzem. Na szczęście Eridal, jeden ze starszych synów Likana siedział z drugiej strony. Bystry i czarujący jak Likan, prowadził dom finansowy w Ludor. Nie miał jednak tej byczej determinacji, która napędzała jego ojca. Sumiennie próbowała unikać spędzenia całego wieczoru na pogawędkach jedynie z nim.

Kiedy wszystko się skończyło, po tym jak sala jadalna opuściła

się na parter, by goście mogli pójść do swych kapsuł, został tylko Likan i ósemka z haremu. Drzwi zacięły się, ściany znowu zaczęły połyskiwać, a wszyscy się roześmieli spontanicznie, z ulgą. Araminta całym sercem dołączyła do tego śmiechu.

Likan pocałował ją z uznaniem.

- Cholera, zapomniałem, jaki ten ciul jest okropny - powiedział.
- Miałem ochotę go walnąć, a nawet ze mną nie rozmawiał. Dziękuję, że go znosiłaś.

Drzwi otwierały się do różnych sypialni wokół sali jadalnej. Harem znikał za nimi. Ze wszystkich kobiet obecnych przy kolacji to one były niezaprzeczalnie najpiękniejsze, większość zadziwiająco piękna. Mimo wszystkich wysiłków Heleny, Araminta nie mogła nic na to poradzić - w ich obecności czuła się niczym ubogi krewny.

- Idź i się przygotuj - kazał jej Likan. - Będziemy czekać.

Odwrócił się i wyszedł przez drzwi do małego przyciemnionego pokoju. Araminta patrzyła za nim przez chwilę, a potem wezwała własną sypialnię. Ten cały obraz samca alfa wydającego rozkazy po prostu do niej nie przemawiał. Po pierwsze nie miał charyzmy, by wejść w tę rolę, nie ze swoim doborem ubrań i reliktowym wyglądem fizycznym. Z drugiej strony fakt, że dokonał tak wiele, był mrocznie przymuszający. Uśmiechnęła się do swoich argumentów. Co tam, do diabła, przynajmniej Clemance będzie zabawna.

- Ubierz mnie w sposób, który go ucieszy - powiedziała oczekującej Helenne.

Był to bardziej pracochłonny proces niż tego oczekiwała. Zaczynał się od Nifrana, który zbeształ ją za brak należytych ćwiczeń i że nie może jej wystarczająco odprężyć. To co robił z jej nogami, praktycznie biorąc było seksem samym w sobie.

Helenna zastosowała jakiś olejek o bajecznym zapachu, który w połączeniu z obijaniem Nifrana, sprawił, że ciało jej płonęło.

- On nie jest zwolennikiem sadyzmu czy czegoś takiego? - spytała Araminta. Te przygotowania były bardzo szczegółowe. Normalnie jej własne przygotowania do gorącej nocy polegały na ubraniu się w coś, co mężczyzna mógłby szybko usunąć.

- Nie martw się, słodka, on cieszy się z seksu w taki sam sposób jak cieszy się swymi kobietami: gustownie.

Araminta zastanawiała się nad tym, pozwalając Helennie się ubierać. Biały peniuar składał się głównie z tasiemek, jednak perwersyjnie zdołał zakryć więcej jej ciała niż czarna suknia. Obejrzała się w lustrze. Więc jego idea smaku to Księżniczka Zdzir? Jakie to samcze.

Sypialnia poniosła ją szybko do buduaru Likana - nie było na to innego słowa. Obszerne łóżko pośrodku, umeblowanie o niegrzecznych kształtach, przyciemnione złotoczerwone oświetlenie. Harem oczekujący, i owszem, ubrany elegancko w jedwabie i satyny, z powiewającymi otwartymi szlafrokami, rozłożony leniwie na kanapach, sączący szampana, obserwujący, jak dwie z nich kochają się na łóżku.

Araminta wmaszerowała, starając się nie wyglądać na zbyt pełną obaw. Likan, w czarnej szacie, pozdrowił ją.

- Szampana? - zaproponował.

- Dziękuję.

Wzięła wysoki kryształowy kieliszek od Marakaty, która szczegółowo taksowała ją spojrzeniem. W sposobie, w jaki ta powściągliwa kobieta zdawała się przenikać wzrokiem peniuar było coś niepokojąco erotycznego.

- Wy dwie powinniście się pocałować - powiedział Likan.

Araminta przycisnęła się do posągowej kobiety, ciesząc się zmysłowym dotykiem. Marakata z pewnością wiedziała, jak całować.

Kiedy skończyły, Araminta pociągnęła szampana, a Likan wziął ją za rękę i poprowadził powoli do kanapy, gdzie czekała Alsen. Araminta uklękła i rozpoczęła pocałunek.

Kiedy kontynuowała całowanie wszystkich innych kobiet, tak jak polecił, doszła do wniosku, że doświadczenie było nie tyle wysmakowane, co sformalizowane. Likan zrytualizował miłość fizyczną. Na końcu pocałowała jego samego. Następnie zanesiono ją do łóżka. Chciał, żeby przyjęła specjalną klęczącą pozycję, bardzo seksowną i figlarną. Jedna z członkiń haremu pomogła ozdobnie ułożyć na ramieniu jej włosy.

Clemance zdjęła szlafrok z Likana. Araminta gapiła się na jego olbrzymią erekcję.

- Mam dla ciebie podarunek.
- Tak - powiedziała z emfazą. - Widzę.
- Program.
- Hę?

- Melanż, który sam skomponowałem w ciągu kilku lat. Pozwala na głębszy dostęp do twojego własnego mózgu, otwiera poziomy na granicy podświadomości w sposób, jaki starodawni jogowie osiągnęli przez medytację.

- Jasne - powiedziała z powątpiewaniem. I mów tu o psuciu nastroju.

Uśmiechnął się czule i pogłaskał ją po policzku.

- Używam go samemu, by się skoncentrować. Pomaga oczyścić umysł od zbędnych myśli. Możesz powrócić do zwierzęcych podstaw, które tworzą rdzeń naszej osobowości. - Zbliżył twarz do jej twarzy. - W takim stanie nie można mieć zahamowań. Do czegokolwiek dążysz, jest to bezwstydnie czyste.

- Żadnych zahamowań?

- Jasność jest przydatnym narzędziem w biznesie. Ale również przy kochaniu się. Możesz się skoncentrować na wrażeniach swego ciała, aż do wykluczenia wszystkiego innego. Pomaga to we wzmacnianiu nawet najsłabszych sygnałów nerwowych.

- Masz na myśli, że mogę wzmocnić szczytowanie?

Opis przypominał elektroniczną wersję aerozólów seksu, których używała z Boveyem.

- Tak. Są tam także zaadaptowane podprogramy biologicznego sprzężenia zwrotnego, które wpływają na twoje fizyczne ego. Kiedy już określisz źródło swej cielesnej przyjemności, możesz ją powtórzyć. - Jego głos stał się łagodniejszy, kuszący. - Tyle razy ile starczy ci siły.

Jej u-adiunkt poinformował ją, że Likan ofiarowuje jej program. Nagle w peniuarze zrobiło jej się bardzo gorąco.

- Przeskanuj go na ukryte wejścia i konie trojańskie - poleciła u-adiunktowi, patrząc w oczy Likana.

- Jest czysty.

- Załaduj i uruchom.

Egzowizją obserwowała jak program wpływa w jedną z jej spacji pamięci. Bardzo przypominał programy nauczające, którym pozwalała wnikać w swoją szarą materię. Instynktowna wiedza musowała w jej mózgu.

- Nie bój się - powiedział cicho Likan. - Ja wykorzystam to razem z tobą. To sprawi, że nasz pierwszy raz będzie spektakularny.

Skinęła głową, nie wierząc w swoje zdolności wypowiedzania słów. Teraz, kiedy o tym myślała, oczyszczenie umysłu było prostym procesem. Szła za wznoszącymi się cyklami snu, ale nigdy ich nie akceptowała. Jej oddech ustatkował się i stała się świadoma rytmów ciała, przepływu nerwowej energii. Bicia serca. Peryferyjne myśli znikły, pozwalając jej na skoncentrowaniu się na buduarze, na łóżku. Coraz bardziej uświadamiała sobie lekkie dotknięcie materii na skórze. Drobną perelką potu trwały, przyklejone do skóry. Dźwięk bąbelków syczących w kryształowych kieliszkach. Oddech Likana. Zobaczyła, że wysuwa on rękę, jego palec przyzywa.

Marakata odpowiedziała na wezwanie, wślizgując się wężowo na materace. Jej palce gładziły skórę Araminty. Bodźce przesyłane przez nerwy wlały się w jej mózg falą przypływu. Wciągnęła powietrze i skupiła uwagę na najprzyjemniejszych doznaniach. Pławiła się w nich.

Instruowana przez Likana, Marakata zerwała tasiemki peniaru z ramion Araminty. Powietrze płynęło nad jej obnażonymi piersiami, a za nim ciepłe palce. Araminta dziko zadrżała pod tym dotykiem i uśmiechnęła się, skoncentrowana na doznaniu. Gorąca krew ruszyła ku jej brodawkom piersiowym i uniosła je.

- Tak - powiedziała właścicielowi palców.

Pieszczotę powtórzono i nastąpiła identyczna ekstaza. A potem przesuwano się po niej wiele dłoni. Ciepłe, chętne usta całowały. Pławiła się w rozkosznych doznaniach rozbudzonych przez harem. Zdjęto z niej peniar. Instynktownie wygięła plecy w łuk. Kutas Likana wślizgnął się do jej wnętrza. Doświadczenie było nie do zniesienia, pozostało tylko to. A jednak jej umysł stał

niezłomnie w prądzie radości fizycznej. Araminta przyrzekła sobie, że bez względu na wszystko nie zaśląbnie, jak to zrobiła przy Boveyu. Tym razem nie było substancji chemicznych zaciemniających jej umysł, tym razem była wolna, by doświadczać niewiarygodnej konkluzji. Śmiała się i płakała jednocześnie, gdy Likan zaczął falować potężnym rytmem. A potem harem rozpoczął od nowa swój wirtuozerski występ.

Władca Niebios szybował w zewnętrznej atmosferze stałej planety. Skrzydła próżniowe wciągnął już dawno temu. Gęste, burzliwe strumienie jonosfery omywały jego przednią część, tworząc długie vibracje przebiegające przez gigantyczny kadłub. Wewnątrz niego drgająca energia tworzyła specyficzny wzorzec, myśli mieszały się z żywiołową mocą ciała i manipulowały materią wszechświata na zewnątrz. Szybkość Władcy zmniejszała się, kiedy narzucał swe życzenia rzeczywistości. Łagodnie zaczął wnikać w atmosferę. Daleko w dole umysły istot rozumnych zaśpiewały na powitanie.

- Teraz! - Kleryk konserwator Ethan rozkazał czekającym posłusznie umysłom Mistrzów Snu.

Ich myśli wytrysnęły płomieniem w gajaserę, pchały materię snu, szukały wejścia. Macki czystej woli macały i szturchały oporny obraz emanujący z Drugiego Śniącego. Kiedy Władca Niebios zaczął ogniskować swą uwagę na starodawnym nadbrzeżnym mieście poniżej, czuli, jak jego percepcja zwraca się na zewnątrz, ku nim. Poczuli ich! Wiedzieli, że tu są.

- Panie! - zawołał Ethan z głębokim szacunkiem. - Potrzebujemy twojej pomocy.

Władca Niebios zatrzymał się. Śniący Władcę Niebios czuli jak masa planety naciska na percepcję wspaniałego stworzenia. W ten sposób naprawdę czuli wiatry, dmące przez Równinę Igru. Doświadczali fal toczących się leniwie po morzu Lyot ku wybrzeżu. I tam, bezpośrednio pod nimi, tak kusząco blisko, fizyczne formy budynków Makkathranu ocierały się o ich świadomość. Każdy z nich dokładnie taki, jaki był w snach Inigo.

Uwielbienie i wdzięczność wezbrały w nich, przelewały się w gajaserę, unosząc ze sobą myśli Ethana.

- Staramy się do ciebie dotrzeć. Pokaż nam drogę do siebie, panie. Przyjmij nas.

Sen rozbił się we wspólnym szczycie bólu. Apodyktyczne myśli Władcy Niebios zostały szarpnięte przez straszną siłę.

- NIE! - rozkazał Drugi Śpiący pośród zrujnowanej rozkoszy. - Ja jestem sobą.

Nieskończona czarna powierzchnia napuchła złośliwym gniewem, zamykając przepaść między gajaserą i Władcą Niebios.

Oślepiający ból wypalił się głęboko w umyśle Ethana, jakby warknęła na niego czerń. Wrzasnął, wszystkie mięśnie napięły się, wyrzuciły go z fotela i miłosiernie stracił świadomość.

Araminta zbudziła się, wciągając powietrze. Serce jej łomotało i dyszała. Instynktownie zastosowała wiedzę programu. Ustabilizowała pędzący umysł i stłumiła cierpienie ciała. Program pracował doskonale.

Co, do cholery, jest z tym snem?

Zaczął się całkiem przyjemnie, łagodnym płynięciem nad dziwną planetą; ciepłe słońce na plecach, tajemniczy kontynent przesuwany się pod spodem. Potem coś się wydarzyło, duszące uczucie, które włączyło napływ adrenaliny i musiała się miotać, próbując się zbudzić. Wyzwolić się od tego gnębiącego uczucia duszenia. Było to tak, jakby ktoś próbował ukraść jej duszę. Wrzasnęła na ciemną siłę i w końcu zdołała się obudzić.

Kopiąc, wijąc się i krzycząc. Czy na pewno? A jednak to, co rzeczywiście zrobiła, to trochę się przesunęła i usiadła.

Rozejrzała się zdezorientowana. Buduar Likana nadal oświetlało to samo ciepłe światło. Wszyscy inni spali. Clemance zwinęła się obok niej, tamie położyła na jej nogach. Dziewczyna przesuwała się, mrugała zdezorientowana, kiedy Araminta się ruszała. Araminta pogłaskała jej splecione włosy i policzek, kojąc ją, jakby była niespokojnym dzieckiem. Senna Clemance uśmiechnęła się z uwielbieniem, a potem znowu zamknęła oczy,

Araminta z irytacją odetchnęła i znowu opadła na plecy. Mimo miękkiego materaca, ciało miała mocno napięte - co bez wątpienia zdenerwuje Nifrana. Kiedy tak sztywno leżała, słyszała jak dwie z haremu cicho kwilą we śnie. Wiec nie tylko ona miała złe sny. Zastanawiała się, czy ma przejść przez pokój i je obudzić. Ale w końcu obie wpadły w głębszy sen. Jednak ona nadal nie mogła się odprężyć i zasnąć. Coś po omacku szukało w jej podświadomości i ją niepokoiło, uciekające wspomnienie, które próbowała wywołać. Nie sen, coś wcześniej.

Jeszcze raz program przyszedł jej z pomocą. Oczyściła umysł i skoncentrowała się na wspomnieniach z orgii. Fizycznie była ogromnie satysfakcjonująca - nie ma co zaprzeczać. I harem czerpał radość z uczenia jej całego zakresu aktów zmysłowych, które sprawiały przyjemność Likanowi i im. Ale to znowu była sprawa rytuału. Nie było tu prawdziwej pasji i towarzyszącego jej ferworu, powodowanego zatraceniem się w sposób, w jaki robiła to z Boveyem. To było trochę zbyt mechaniczne, z nimi wszystkimi starającymi się wypełniać instrukcje Likana.

Araminta znowu usiadła na łóżku, ze skórą stygnącą od szoku. Wspomnienie Likana i Marakaty pojawiło się absolutnie jasno w jej umyśle dzięki jego własnemu cudownemu programowi. I jaka to ironia. Przemyślała to jeszcze raz, a potem przejrzała kilka innych podejrzanych wspomnień. W końcu opuściła głowę w dłonie i jęknęła z przerażeniem:

- O, cholera.

Helenna, wierna swemu słowu nie osądzała jej. Nie komentowała, kiedy dom opróżnił szuflady i szafki. Ubrania prześlizgiwały się przez szczeliny między pokojami, i wypełniały jej walizki w lokalu kamerdynera. Araminta niemal chciała zapytać ile widziała innych, którzy gwałtownie wyjechali po nocy z Likanem. Ale to byłoby nie fair w stosunku do nich obu.

Jej sypialnia przepłynęła po krzywej przez jajowaty dom i otworzyła drzwi na ścieżkę, która okrążała budynek. Światło świtu odbijało się ponurą szarością od spokojnego jeziora. Dwie

kobiety z domowego personelu, elegancko ubrane, ładowały z powrotem jej walizki do kapsuły transportowej.

- Szkoda, kochanie - powiedziała Helenna. - Uważałam cię za jedną z tych, które z łatwością się dopasują.

- Też tak uważałam. - Szybko uściśnęła pokojówkę. - Dziękuję za wszystko.

- Hej, miło było cię poznać.

Araminta odwróciła się i wyszła z sypialni. Drzwi zasunęły się za nią.

- Poczekaj! - zawołała Clemance. - Nie możesz wyjechać! - Wybiegała z drugich drzwi, dziesięć metrów dalej, próbując owinąć się prześwitującą tkaniną.

Za nią szedł Likan, znacznie bardziej opanowany, w grubym ciemno-fioletowym szlafroku.

- Nawet się nie pożegnasz? - zapytał. Na mopsowatej twarzy miał nieprzyjemny grymas.

- Domowa sieć jest aktywna. Wiedziałeś, że wyjeżdżam. Jeżeli chciałeś powiedzieć mi coś przed wyjazdem, mogłeś to zrobić - odparła Araminta. - I oto jesteś.

- Tak, oto jestem. Chciałbym wiedzieć, dlaczego uciekasz. Myślę, że jestem do tego uprawniony po ofercie, którą ci złożyłem. Wiem, że podobała ci się zeszła noc. Więc o co chodzi?

Araminta spojrzała na zrozpaczoną dziewczynę, która stała między nimi, niepewna, do kogo podejść.

- Jesteś pewien?

Likan postąpił o krok naprzód i objął ramiona Clemance, pomagając jej nałożyć tkaninę.

- Niczego nie ukrywam przed moimi żonami.

- Nawet tego, że są psychoneuralnie sprofilowane.

Twarz dalej miał obojętną.

- Było to pomocne na początku.

- Pomocne? - zawołała. - Wyhodowałeś je, by stały się twoimi niewolnicami. Takie profilowanie jest nielegalne, zawsze takie było. Robienie tego jest złe i nieludzkie. One nie mają wyboru. Nie mają wolnej woli. To nieprzyzwoite! Czemu, na miłość Ozziego? Nie musisz zmuszać ludzi, do pójścia z tobą do łóżka. Ja

prawdopodobnie bym się z tobą związała. I wiem, że są tysiące innych, które pokochałyby tę szansę. Czemu to zrobiłeś?

Likan zerknął na Clemance z niemal ojcowskim wyrazem twarzy.

- One były pierwsze - powiedział po prostu.

- Pierwsze?

- Z mojego haremu. Musiałem go jakoś zainicjować. To była zasada stawania na własne nogi.

- O czym ty mówisz?

- Żeby coś rozpocząć, jeśli nic nie masz, musisz polegać na własnych siłach. Musiałem zostać nim, zostać Nigelem Sheldonem. On miał harem, dlatego ja też go miałem. Nie rozumiesz, czym był tamten człowiek. On władał setkami światów, miliardami ludzi. Nie żartowałem, kiedy nazwałem go imperatorem. Był największym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył. Muszę myśleć podobnie do niego. - Prawie cedził te słowa przez zęby.

- Więc stworzyłeś niewolników, aby to osiągnąć?

- To nie są niewolnice. Każdy z nas ma skłonności do pewnych cech osobowych. Sposób, w jaki te cechy się łączą czyni z nas osobowości. Po prostu wzmocniłem w dziewczętach kilka atrybutów zachowawczych.

- Taa: uległość! Obserwowałam je zeszłej nocy, Likan. Słuchały cię, jak roboty.

- Ten związek jest o wiele bardziej skomplikowany.

- Do tego się sprowadza. Dlaczego siebie nie sprofilowałaś, by myśleć jak Sheldon? Jeśli już musisz kogoś rujnować, dlaczego nie samego siebie?

- Inkorporowałem jego znane neuralne charakterystyki w swoje DNA. Ale struktura neuralna to tylko naczynie na osobowość. Potrzebujesz również środowiska. Tak kompletnego, jakie tylko możesz uzyskać.

- Ach, na miłość Ozziego! Rozmyślnie, złośliwie hodowałeś niewolników. I sądzisz, że to akceptowalna droga, by osiągnąć to, czym jesteś. Przyprawia mnie to o mdłości. Nie chce być żadną częścią ani ciebie, ani twojej zboczonej rodziny. Nawet nie

pozwalasz im odejść! Dlaczego nie usuwasz ich profilowania, kiedy udają się na kurację rejuwenacyjną?

- Stworzyłem ich z powodu swoich przekonań, według ciebie złych; teraz myślisz, że trzeba zmienić te kobiety z powodu twoich przekonań. Czy nie uderza cię że to nieco ironiczne? Istnieje stare powiedzenie, że dwa zła nie czynią jednego dobra. Przyjmuję odpowiedzialność za swoje żony, zwłaszcza te sprofilowane - tak jak zrobiłby to Sheldon.

Araminta patrzyła na niego wściekle, a potem przełączyła swą uwagę na Clemance, wyraz jej twarzy złagodniał, stał się błagalny.

- Chodź ze mną. Chodźmy stąd. To da się odwrócić. Pokażę ci, co to znaczy być wolną, co znaczy być naprawdę człowiekiem. Wiem, że mi nie wierzysz, ale proszę cię, spróbuj. Spróbuj Clemance.

- Jesteś taka głupia - odparła dziewczyna. Przycisnęła się mocniej do Likana. - Ja nie jestem sprofilowana. Ja lubię być w haremie. Lubię pieniądze. Lubię życie. Podoba mi się, że moje dzieci będą rządziły całymi planetami. Bez Likana, czym będą twoje?

- Będą sobą - powiedziała słabo Araminta.

Clemance spojrzała na nią ze szczerą litością.

- Dla mnie to nie wystarczy.

Araminta niepewnie wzniosła dłoń.

- Czy ona jest...?

- Zawsze było ich jedynie trzy - powiedział Likan. - Clemance nie jest jedną z nich. Czy chciałabyś zgadnąć powtórnie?

Araminta pokręciła głową. Nie ufała swemu głosowi. Marakata. Marakata jest jedną z nich, wiem o tym. Może, gdybym tylko...

- Zegnaj - powiedział Likan.

Araminta wsiadła do kapsuły towarowej i kazała się zawieźć do domu.

Oscar nigdy nie przypuszczał, że powróci do tego samego miejsca, w którym zginął. Oczywiście, nie oczekiwał również, że

kiedyś znowu zobaczy Paulę Myo.

Aby pogorszyć sprawę, przedsiębiorczy tubylcy z Far Away przekształcili jego ostatni rozpaczliwy lot hiperszybowcem w atrakcję turystyczną. Co gorsza, była to atrakcja nieudana.

A jednak Oscar musiał przynajmniej nazwać nowiutki statek, który ZAN dostarczyła dla niego na Orakum i nie namyślając się długo, nazwał go „Rewanż Elvina”. W smartkorze statek miał wielki plik instruktażowy, który błyskawicznie przejrzał i wysłał kilka pytań do Pauli, która w tym czasie była na swoim statku.

Kiedy skończył czytać plik, jedna rzecz stała się dla niego bardzo jasna. Paula ogromnie przeceniła jego umiejętności. Było mnóstwo potężnych i bardzo zdecydowanych grup szukających Drugiego Śniącego. Prawda, mogło to nie peszyć Pauli, ale...

- Jestem tylko pilotem - powtarzał jej, kiedy wywołała go na bezpiecznym kanale transwymiarowym i spytała go, dlaczego leci na Far Away.

Nie powiedziała, że może śledzić „Rewanż Elvina”, ale jakoś nie był tym zaskoczony.

- Będę potrzebował pomocy. I tak jak ty ufasz mnie, tak ja ufam komuś innemu.

Warknęła na niego, bo nie chciał powiedzieć jej kto to jest. Choć podejrzewał, że będzie wiedziała - to raczej nie była nauka o własnościach hiperprzestrzeni.

Wylądował w kosmoporcie Armstrong City. Było to wielkie pole na północny wschód od miasta z czterema wielkimi budynkami terminali, obsługującymi loty pasażerskie i z siecią magazynów, przeznaczonych dla frachtowców. Wybrał placyk parkingowy przy płocie, z dala od większej aktywności. Kiedy statek się obniżał omiótł czujnikami stare miasto, które rozpostarło się od brzegu Morza Północnego. Jak należało się spodziewać, nad wybrzeżem znajdowało się gęste zgromadzenie wysokich wież i piramid. Obszerne majątki wielkich domów zalały tereny za nimi. To wszystko było znacznie bardziej chaotyczne niż układ większości miast Wspólnoty, co raczej sprawiało mu przyjemność. Szukał widoku Szosy Wen, historycznej drogi, na której jego przyjaciele gonili Gwiazdokrążcę aż do jego zagłady.

Wszystkim, co teraz pozostało, był długi, gruby pas miejski, leżący na starej drodze, który ciągnął się kilometrami przez Stepy Wielkiego Irilu, jakby budynki miejskie próbowały uciec od swoich historycznych korzeni w centrum. Tak jak na wszystkich światach Wspólnoty, na Far Away transport naziemny stanowił kurczącą się mniejszość. Niebo nad miastem roiło się od regrawowych kapsuł.

Oscar spłynął w dół ze śluzu pod „Rewanżem Elvina” i jeszcze raz stanął na gruncie Far Away. Z jakiejś śmiesznej przyczyny drżał. Dłuższą chwilę głęboko oddychał, a potem odszedł od statku. Stopy delikatnie rozpychały krótką trawę i ślizgały się po niej w niskiej grawitacji. Zapomniał jak przyjemna była ta część świata, te szybująco-skaczące kroki dawały wrażenie wolności, jakby znowu miał hormony nastolatka.

Kiedy oddalił się od statku zatrzymał się i zrobił pełny obrót. Po jednej stronie na tle nieba rysowała się linia dachów i jakieś odległe góry. Nic znajomego. Jeśli nie liczyć wspaniałego, szafirowego nieba. Na szczęście pozostało to samo, gdyż biosfera powoli odradzała się z nowymi roślinami i stworzeniami, które ludzie przywieźli na ten świat.

Ciągłe porywy ciepłego morskiego powietrza wzbudzone przez statki korzystające z terminalu szarpały mu włosy. Wszystko to bardzo się różniło od głównego kosmoportu Orakum, z którego wyruszył, obsługującego jedynie pięćdziesiąt lotów dziennie. Ale z drugiej strony Far Away była samozwańczą stolicą Światów Zewnętrznych; planetą, która odrzuciła polityczną i ekonomiczną integrację z Wielką Wspólnotą. Nawet obecnie była jedynie członkiem stowarzyszonym. Jej nieugięta niepodległość zainspirowała całe pokolenie nowo zasiedlonych światów po wojnie Gwiazdokrażcy. Wola polityczna, sprzężona z końcem monopolu transportowego STT, wywołanym wprowadzeniem statków, pozwoliły na pojawienie się pierwszego podziału kulturowego w rozpatrywanym całościowo społeczeństwie Wspólnoty. Kiedy Dynastia Sheldona udostępniła bionikę, zapoczątkowując kulturę Elewatów, Barsoomianie na Far Away wprowadzili ulepszenia genetyczne, które wyniosły ludzkie ciała

daleko ponad naturalny szczyt ich możliwości, co przerodziło się w ruch Awangardów. Następnie Far Away ze swą zażartą tradycją wolnościową zadeklarowało się jako ideologiczna przeciwwaga dla Ziemi i ZAN. Senatorzy wspólnoty mogli patrzeć na ich poglądy ze swym archaicznym, mądrym lekceważeniem, ale obywatele Far Away naprawdę wierzyli we własne przeznaczenie.

Oscar uśmiechnął się do ożywionego miasta, kiedy poczuł emocjonalny przyptyw lokalnej gajafery. Nawet ją cechowała wojowniczość, która wysławiała upór mieszkańców planety. Jego u-adiunkt otworzył kanał do planetarnej cybersfery i wywołał niegdysiejszy kod adresowy, który mu dano przed osiemdziesięciu sześciu laty, w dniu, w którym wyszedł z kliniki ożywiania. Ku jego zaskoczeniu, odpowiedź była natychmiastowa:

- Tak?

- Muszę się z wami spotkać - powiedział Oscar. - Mam problem i potrzebuję pomocy w jego rozwiązaniu.

- Kim do cholery jesteś i jak ukradłeś ten kod?

- Jestem Oscar Monroe, a ten kod mi przekazano. Jakiś czas temu.

Nastąpiła długa przerwa, choć kanał pozostawał otwarty.

- Jeśli się podszycasz, masz jedną szansę, by odejść. Teraz.

- Wiem, kim jestem - odparł Oscar.

- Będziemy wiedzieli, jeśli nim jesteś.

- Doskonale.

- Dobrze. Bądź w sanktuarium Kime'a na szczycie Mount Herculaneum za godzinę. Jeden z nas cię spotka.

Kanał się wyłączył. Oscar uśmiechnął się szeroko. Nie powinien się tym podniecać, naprawdę nie powinien.

Jego u-adiunkt skontaktował się z lokalną firmą wynajmu i wypożyczył wysokosprawną kapsułę ingrawową. Biorąc pod uwagę, z kim miał się spotkać, nie chciał ryzykować wycieku technologii, gdyby przybył statkiem z ultranapędem.

Kapsuła skoczyła na Mount Herculaneum półbalistycznym łukiem, co zajęło dwadzieścia osiem minut. Ostatni raz widział

ten kolosalny wulkan, w dniu, kiedy zginął rozbiwszy się o dolne partie jego zboczy. Dzisiaj jego przybycie było o wiele bardziej wygodne. Kapsuła wyskoczyła z górnych warstw atmosfery i leciała wzdłuż krzywizny planety na południowy zachód. Czujnikami obserwował, jak Wielka Triada wyłoniła się zza horyzontu. Nadal były to najwyższe góry znalezione na światach odpowiednich dla ludzi. Na planecie z normalnym ciężeniem zapadłyby się pod własnym ciężarem, ale tutaj ciągle rosły, kiedy magma pchała je w górę. Mount Herculaneum, najwyższa z nich, miała trzydzieści dwa kilometry wysokości, jej płaski szczyt wznosił się wysoko ponad troposferę Far Away. Na północy był Mount Zeus, który mierzył siedemnaście kilometrów, zaś na południe od Herculaneum stał Mount Titan osiągający wysokość dwudziestu trzech kilometrów. Był jedynym wulkanem z Triady, który nadal pozostawał aktywny.

Kapsuła Oscara wzniosła się po ostrym łuku nad podobnymi do morza terenami trawiastymi Równin Aldrina, a potem znowu zaczęła się obniżać. Pod nią roztaczał się wspaniały widok z rozległym stożkiem Herculaneum. Płaszczyznę jego wyżyny szczytowej zasłanej brudnym brązowym regolitem naruszały dwie bliźniacze kaldery. Wokół wyżyn goła skała opadała do pierścienia lodowców daleko poniżej. Niższe partie zboczy pokrywał sosnowy las i wreszcie łąki. Na szczęście dla Oscara Titan w dniu dzisiejszym był tylko na wpół aktywny. Oscar spoglądał niemal pionowo w dół w jego żarzący się czerwono krater i obserwował powolne falowanie rozchodzące się po ogromnym lawowym jeziorze. Piekło w dole wypluwało świecące białe głązy, które zakreślały leniwe łuki w próżni, tryskając pomarańczowymi iskrami. Niektóre z kamieni zostały wyrzucone dostatecznie silnie, by oddalić się od ścian krateru i rozpocząć swój długi upadek ku zapomnieniu.

Jak należało się spodziewać, wzrok Oscara przykuł długi kanion lejkowy między Zeusem i Titanem, który prowadził do podstawy Herculaneum. Kanion Stakeout, gdzie wiatry burzowe znad oceanu Hondu zmieniające się w niszczące podmuchy powietrza, które szaleni poszukiwacze podniet ze wczesnych dni Wspólnoty

wykorzystywali do lotów na hiperszybowcach. Podmuchiwał im żeglować na wietrze tak silnym, że wypychał ich poza atmosferę i nad Herculaneum. Oscar nigdy tego nie zrobił - gdyż rozbił swój hiperszybowiec o pojazd Anny, by dać Wilsonowi szansę osiągnięcia szczytu.

Choć przygotował się na pewien szok emocjonalny na widok miejsca swej śmierci, czuł tylko łagodną ciekawość. To musi znaczyć, że jestem idealnie przystosowany do tego nowego życia. Prawda?

Kiedy oglądał skalistą szczelinę w gruncie, jego egzowizja zdobyła dane meteorologiczne i plik informujący, że obecnie wiatry nie osiągają mocy sprzed tysiąca lat. Terraformowanie skutecznie uspokoiło atmosferę Far Away. Hiperszybowanie było już tylko legendą.

Kapsuła wylądowała przy wielkiej kopule położonej dokładnie na wschodniej krawędzi równiny Mount Herculaneum, skąd skały Fotela Afrodyty spadały ośmiokilometrowym pionowym urwiskiem. Pole hermetyzujące zamykało wejście do komory lądowiskowej kopuły - wielkiej metalowej jaskini z miejscem na dwadzieścia kapsuł pasażerskich. Wewnątrz spoczywały tylko dwie kapsuły; pięć zwykłych kapsuł parkowało obok.

Oscar przekroczył zasłony ciśnieniowe śluzy i wszedł na teren kopuły. Zapłacił 20 FA\$ za bilet wstępu z monety kredytowej, którą wręczyła mu Paula. Wewnątrz stały trzy niskie budowle wzniesione za Fotelem Afrodyty. Podszedł do pierwszej, którą sieć kopuły nazwała „Miejsce Zderzenia”. Właśnie wychodziła z niej grupa turystów i kierowała się do kawiarni, gwarząc z podnieceniem. Nikt go nie zauważył, co bardzo go rozbawiło. Jego twarz wcale się nie zmieniła.

Wewnątrz panował mrok, jedną ścianę otwarto na bok kopuły, nad skałami. Wąski, kręty pomost wisiał trzy metry nad gruntem. Pole ciśnieniowe poniżej utrzymywało próżnię nad rzeczywistym regolitem. Znajdował się tu także generator pola stabilizującego - działał, by przechowywać wrak hiperszybowca. Elegancki niegdyś kadłub wbił się w skałę, jego skrzydła z polioplastiku wygięły się i popękały. Oscar przypomniał sobie, jak

elegancko wyglądały te skrzydła, gdy były w pełni sprawne i westchnął.

Poszedł powoli kładką, aż znalazł się bezpośrednio nad antykiem. Serce mu zwolniło, kiedy wyobraził sobie przyjaciela przerażonego i oszalałego z niepokoju, gdy jego pojazd sunął po zakurzonej równinie, ślizgając się i skręcając, całkowicie poza kontrolą. Los całego gatunku zależał od tego, czy mu się uda, a w stronę szybowca pędziły skały. Oskar nachmurzył się, kiedy spojrzał w dół. Hiperszybowiec był odwrócony do góry nogami, co oznaczało, że w pewnej chwili wykonał potężny przewrót. Oscar omiótł wzrokiem grunt aż do krawędzi Fotela Afrodyty, gdzie siedział ktoś w starodawnym skafandrze próżniowym. Była to projekcja solido. Oskar zdał sobie z tego sprawę, kiedy doszedł do końca kładki. Wilson Kime z głową widoczną w niezupełnie autentycznym hełmie bankowym. Podarty skafander naprawiony jakimś rodzajem żywicy epoksydowej - krew człowieka ściekała na regolit. Wilson-solido patrzył na wschód, gdzie pokryte śniegiem szczyty znikwały w jaskrawej mgiełce zakrzywionego horyzontu. Dokładnie ten widok, który zobaczył prawdziwy Wilson - aby mu go zapewnić, zginęło tylu ludzi. Tych, o których historia wiedziała i jeszcze więcej nieznanych. Tysiąc dwieście lat temu ta wspaniała panorama dostarczyła informacji jak skierować gigantyczną burzę na statek Gwiazdokrażcy, zabić bestię i wyzwolić Wspólnotę. Dzisiaj, na tym samym miejscu Oskar mógł siedzieć w kawiarni Widok Zbawcy, tuż obok, i kupować pączki, które nazwano jego imieniem.

- Bez ciebie nie byłoby nas tutaj.

Oskar wzdrygnął się. Za nim na kładce stał mężczyzna w bardzo ciemnym togaturze.

Ale ze mnie tajny agent. Każdy może mnie podejść.

- Przepraszam? - powiedział Oskar.

Mężczyzna uśmiechnął się. Był bardzo przystojny - kwadratowa szczęka, broda z dołkiem, spłaszczony nos. Piwne oczy otoczone zmarszczkami. Kiedy otworzył w uśmiechu szerokie usta, błysnęły zaskakująco białe zęby.

- Niemal mnie zdmuchnął ten wybuch melancholijnego

rozczarowania, który wypuściłeś do gajaszery - oznajmił. - To zrozumiałe. - Wskazał gestem dłoni zaciemnioną izbę. - Ta karykatura to wszystko, co istnieje, by uczcić wagę osiągnięcia. Ale zapewniam cię, wiemy i doceniamy to, co uczyniłeś. Uczymy tego nasze dzieci.

- My?

Mężczyzna formalnie skłonił głowę.

- Rycerze Strażnicy. Witaj znowu na Far Away, Oscarze Monroe. Jak możemy ci pomóc?

Kiedy wracali do kapsuły Oscara, powiedział, że nazywa się Tomansio.

- Pełne nazwisko brzmi: Tomansio McFoster Steward. To mój ojciec dostarczył ci nasz kod osiemdziesiąt sześć lat temu.

- Ledwo go widziałem. Rząd ustawił ciasny kordonik wokół mego pokoju. Troszczyli się o moją prywatność. A jednak on tam po prostu wszedł.

- Myśleliśmy, że o nas zapomniałeś - powiedział Tomansio. - Albo jeszcze gorzej.

- Nie jestem tym, kim byłem - odparł Oscar. - Przynajmniej tak mi się wydawało.

- A jednak tu jesteś. To interesujący czas by przyjść i znowu nas szukać, kiedy zarówno Wielka Wspólnota jak i cała galaktyka oszalały. Nie są to dobre czasy, by oddawać się nostalgii.

- Nie. To nie ma nic wspólnego z nostalgią. Usadowili się w kapsule.

- Czy masz coś przeciwko, żebym kierował - spytał Tomansio. - Bez pomocy trudno by ci było dotrzeć do naszych ziem.

- Oczywiście - zgodził się Oscar.

Jego ciekawość wzrosła. Kiedy wyślizgnęli się z lądowiska kopuły zapytał:

- Gdzie są wasze ziemie.

- Tam, gdzie były zawsze. Z północnowschodniego rogu Dassault Mountains prosto do Oak Sea.

Kapsuła przyspieszyła, dążąc na północ, nad górami. Nabierała wysokości. Po raz pierwszy Oscar zobaczył Wysoką Pustynię, wokół której kuliły się opiekuńczo wysokie szczyty.

- I nie mógłbym was znaleźć? Sądzę, że ten szczyt to Mount St. Omer, prawda? „Marie Celeste” rozbiła się w pobliżu.

- Wiedzieć gdzie i dotrzeć, to dwie różne rzeczy.

- Nie wiedziałem, że wszyscy przeszliście na buddyzm i mówicie językiem ciasteczek szczęścia.

Tomansio przechylił głowę na bok z ptasią precyzją. Jego atrakcyjny uśmiech był wytworny.

- Ach, rozumiem. Nie mówię specjalnie zagadkami. Choć może zbyt dramatyzuję. Ale Oscarze, jesteś dla nas bardzo cenny i mam nadzieję, że zrobisz na mnie wrażenie.

Przez chwilę Oscar poczuł się, jakby przeżył każdy dzień z tych tysiąca stu lat. Musiał grzebać w historii, by mnie zrozumieć. Niezły gość. Zbyt długo żył pod kloszem ze swymi partnerami życiowymi. Nic dziwnego, że zawsze czuł jakby dom stworzył przytulną barierę między jego małą rodziną i światem zewnętrznym.

- Chronimy nasze ziemie T-sferą - wyjaśnił Tomansio.

- Naprawdę? Myślałem, że ma ją tylko Ziemia.

- Nie rozgłaszamy tego. Tak naprawdę to całkiem elegancka obrona na wielu poziomach, choć jej utrzymanie wymaga kolosalnej ilości energii. Jeśli idziesz, jedziesz albo lecisz w naszą stronę, to gdy zbliżysz się do granicy zostaniesz po prostu teleportowany na drugą stronę. Nie możesz zapukać w drzwi, przed którymi nie możesz stanąć. Musisz być zaproszony do środka.

- Super.

Kraina, ku której opadali zdawała się porośnięta szczególnie bujną roślinnością. Gęsta zieleń porozcinana meandrami rzek, lasy i łąki walczące o dominację nad dolinami i falującymi pagórkami. Hen na wschodzie majaczyło Oak Sea. Weszli znowu w atmosferę. Obłoki przemykały obok przezroczystego korpusu kapsuły, szybko gęstniejąc. A potem przedarli się i zobaczyli liście we wszystkich kolorach, rosnące na olbrzymich drzewach. Far Away zawsze sławiła swoją unikalną różnorodność genetyczną. Zaczynając od niemal sterylnego krajobrazu, zespoły terraformujące przywiozły ze sobą nasiona ze stu planet i

stworzyły idealny kontrastujący kwiatowy krajobraz.

- Oto jesteśmy - powiedział Tomansio, kiedy ich wysokość spadła poniżej pięciu kilometrów.

Widok na zewnątrz nagle się zmienił. Oscar podskoczył w fotelu. Unosili się obecnie sto metrów nad ziemią przy końcu długiej doliny.

Niebieskozielona trawa falowała w dole i podchodziła pod las, który porastał jej ściany. Wszędzie wokół stały domy, kamienne i drewniane, wtapiając się mile w środowisko, niczym jakaś średniowieczna wieś na Ziemi. Jeśli nie liczyć tego, że tu skala była znacznie większa.

- Mieszkasz tutaj? - zapytał Oscar.

- Tak.

- Zazdroścę ci.

- Pozory mogą mylić.

Kapsuła wylądowała przy jednym z kamiennych domów, długim budynku z poczerniałymi ze starości drewnianymi belkami wystającymi spod łupkowego dachu. Wzdłuż jednego z boków budowli biegł balkon. Wielkie, szeroko otwarte okna ukazywały fragmenty bardzo nowoczesnego wnętrza. Trawa podchodziła aż do ścian, wzmacniając wrażenie naturalnej harmonii.

Oscar wysiadł ze znużeniem. Gajaszfera rezonowała od ciepłej, subtelnej radości, owijając go dziecinnymi marzeniami dziecka w ramionach matki: wygoda i bezpieczeństwo bycia w domu.

To było powitanie emanujące z ludzi śpieszących przez teren, by go pozdrowić. Wyszli z pobliskich domów, albo po prostu teleportowali się tutaj, pojawiając się nagle i powiększając tłum. Potem ukazały się konie, cały szwadron kawalerii nadeżdżający przez pobliską grań, ubrany w jakieś ciemne mundury, mieli złote i szkarłatne proporce heraldyczne. Same konie podkuto w metalową siateczkę z obrąbkiem ze złotymi frędzlami ocierającymi się o koniuszki trawy. Oscar patrzył na gigantyczne, straszliwe bestie - z okutymi metalem rogami i ostrymi kłami, wzbudzające wspomnienia.

- Widziałem wcześniej jedno z nich - wykrzyknął podniecony. -

Kiedy jechaliśmy w kierunku gór. To lwie serce. Ktoś na nim siedział i nas prowadził.

- Tak - powiedział Tomansio. - Nadal ćwiczymy walkę na nich. Ale nigdy tak naprawdę nie poprowadziliśmy ich do bitwy od czasu Zemsty Planety. Teraz to tylko ceremonia, część zestawu naszych umiejętności. Jeźdźcy są tutaj, by uhonorować twoje przybycie. Tak jak orły królewskie. - Wskazał gestem w górę.

Oskar ledwie powstrzymał się od drgnięcia; chociaż zaparło mu dech. Stado gigantycznych ptaków wirowało mu nad głową. Przypominały pterozaurowie z ziemskiej epoki gadów, zostały stworzone przez barsoomian w ramach ich poszukiwań genetycznych. Każdy miał na sobie jeźdźca, ubranego w długie, zwiewne szaty, które trzepotały za nimi. Przelatując pomachali do nich, obracając się i skręcając z zadziwiającą precyzją. Oscar uśmiechnął się bezwstydnie na widok ich akrobatycznych wyczynów. Z pewnością ci jeźdźcy musieli być przypięci do ptaków. Tomansio dyskretnie chrząknął.

- Może powiesz kilka słów - szepnął mu do ucha.

Oskara tak zafascynowały orły królewskie, że nie zauważył jak wielu ludzi zgromadziło się przed nim. Spojrzał na nich, nieco zdenerwowany ich wyglądem. Wydawało się, jakby na jego powitanie wyszła jakaś drużyna sportowa. Wszyscy, bez wyjątku byli wysocy; mężczyźni przystojni, kobiety piękne; i wszyscy w doskonałej kondycji fizycznej. Nawet uśmiechające się, przejęte dzieci były okazami zdrowia. Oscar nie mógł się powstrzymać, by nie pomyśleć o szczególnej wizji przyszłości H.G. Wellsa opisaną w „Wehikule czasu”. Tutaj, w ich chronionym ogrodzie, podobnym do rajy, Rycerze Strażnicy byli niczym Eloje, ale umięśnieni i wyszkoleni. Niech Bóg ma w opiece Morłoków, którzy zawędrowaliby do tej doliny.

Oscar nabrał powietrza, naprawdę starając się nie myśleć o komunikatach dla mediów, które musiał wygłaszać, kiedy służył we flocie.

- Bardzo długo nie byłem na Far Away. Za długo, w gruncie rzeczy. Zrobiliście z niej podniecający świat, świat szanowany w całej Wspólnocie. Za to wam dziękuję, tak jak dziękuję za to

powitanie.

Aplauz był wystarczająco serdeczny. Oscar kiwał głową, uśmiechał się do poważnych twarzy. Odczuł ogromną ulgę, kiedy Tomansio wprowadził go do domu.

Pokój recepcyjny wyłożono czymś, co wyglądało jak prześwitująca biała materia, emitująca łagodne światło. W ścianach znajdowały się dziwne, głębokie fałdy, które sugerowały równoległe komory. To aspekty T-sfery, odgadł Oscar. Meble były dość solidne, tak jak mała kapliczka spoczywająca na szerokim, starodawnym drewnianym stole w odległym końcu pomieszczenia. Oscar zwolnił i zatrzymał się. Spoglądał na zasłonięty czarnym całunem portret holograficzny pod którym paliła się jedna świeczka. Wymuskana twarz Kotki prezentowała swój najlepszy zagadkowy uśmiech.

- Dla każdego Yin jest jakiś Yang - cicho i ponuro powiedział Oscar. Powinien był wiedzieć. Dolina naprawdę była zbyt idylliczna. Tomansio podszedł i stanął obok.

- Znałeś ją, prawda? Naprawdę z nią rozmawiałeś, kiedy podróżowałeś na Far Away?

- Spędziliśmy razem dzień na „Carbon Goose”, przelatując przez Półmetek. Nie powiedziałbym, że dobrze ją znałem.

- Jak zazdroszczę ci tego dnia. Czy cię przerażyła?

- Byłem nią znużony. Wszyscy byliśmy. Może wy też powinniście?

- Ja nie byłbym przerażony. Byłbym zaszczycony.

- Ona jest zła.

- Oczywiście, że tak. Ale jest też szlachetna. Wskazała nam drogę, dała Strażnikom Jaźni nowy cel. To właśnie ona doprowadziła do naszego związku z barsoomianami, po tym jak Gwiazdokrażca został zniszczony, gdy pomogłeś go zabić, a naszym przodkom nie pozostało nic. Początkowo Bradley Johansson stworzył nas na ruinach zniewolenia. Uformował z nas plemiona wojowników, byśmy stoczyli największą bitwę, jaką znała ludzkość. Bitwę o ocalenie naszego gatunku. A kiedy bitwa się skończyła, on nie żył, a my byliśmy zagubieni, skazani na wymarcie, jako kurcząca się grupa starych żołnierzy,

pozbawionych sprawy, za którą walczyli. Anachroniczna żenada, jako że Far Away została ucywilizowana przez Wspólnotę.

- Żołnierze zawsze w końcu muszą odwieść broń.

- Nie rozumiesz. Ona uratowała nasz etos. Pokazała nam, że siła to cnota, błogosławieństwo. To nasze ewolucyjne dziedzictwo i nie powinno być odrzucane w sposób, w jaki to robią liberałowie Wspólnoty, traktując nas, jak by to była jakaś nędzna część nas samych, której na zawsze trzeba się wyprzeć. Gdybyśmy nie byli silni, gdyby Bradley nie pozostał nieugięty, Wspólnota umarłaby tego samego dnia co ty, Oskarze. Gdyby Barsoomianie jasno nie obstawali przy swoim, dzisiejsi ludzie byłiby wyniszczonymi, krótko żyjącymi stworzeniami. - Uśmiechnął się do portretu. - Jeden z nas miał siłę, drugi cel. Ujrzała obu i połączyła ich w jedną śmiałą zasadę, dała nam wizję, której na zawsze możemy pozostać wierni. Nie ma nic wstydliwego w sile, Oskarze.

- Wiem - przyznał niechętnie Oscar. - Właśnie dlatego tu jestem.

- Miałem taką nadzieję. Powiedziałaś, że potrzebujesz pomocy.

- Owszem. - Przerwał. - A co, jeśli sprawa jest sprzeczna z waszą ideologią?

Tomansio zaśmiał się.

- Nie mamy żadnej, Oscarze. Na tym właśnie polega ruch Rycerzy Strażników Jesteśmy wyznawcami jednej wiary: siły. To właśnie chcemy przekazać ludzkości, kiedy będzie rosła i różnicowała się. To jest najbardziej podstawowa zasada ewolucji. Te części ludzkości, które ją przyjmą, przeżyją, to takie proste. Jesteśmy naturą tak dziką, jak tylko może być natura. Fakt, że postrzegają nas jedynie jako najemników, to nie nasz problem. Kiedy wynajmują nas do jakiegoś zadania, wykonujemy je gruntownie i starannie.

- Potrzebuję subtelności. Przynajmniej na początku.

- Możemy działać subtelnie, Oscarze. Tajne operacje są jedną z naszych specjalności. Przyswoiliśmy sobie wszystkie ludzkie poczynania, prócz jawnie nikczemnych lub głupich. Na przykład nie będziemy dla ciebie rabowali. Rycerze Strażnicy bardzo poważnie traktują swoją przysięgę honoru.

Oscar niemal zaczął pytać o Kotkę i jej działania. Uznał jednak,

że nie ma to sensu.

- Muszę kogoś znaleźć, a potem oferować mu ochronę.
- To brzmi bardzo godnie. Kto to jest?
- Drugi Śniący.

Po raz pierwszy od czasu ich spotkania, Oscar zobaczył jak Tomansio stracił swój dystans.

- Bez żartów. - Rycerz Strażnik zaczął się śmiać. - Tysiąc dwieście lat bez ciebie i teraz przynosisz nam to. Oscar, jesteś prawie wart tego oczekiwania. Sam Drugi Śniący! - nagle otrzeźwiał. - Nie zapytam, czemu. Ale dziękuję ci z głębi swego prostego serca, że do nas przyszedłeś.

- „Czemu” jest w gruncie rzeczy bardzo proste. Zbyt wielu ludzi pragnie wyrzucić na niego wpływ. Jeśli postanowi wyjść z cienia, powinien mieć swobodę wolnego wyboru.

- Udać się do Pustki, czy nie, spowodować być może koniec Galaktyki w dążeniu do wypełnienia losu naszej rasy albo nie. Graal do pilnowania, Oscarze. Co za wyzwanie.

- Przyjmuję, że to odpowiedź „tak”?
- Mój zespół będzie gotowy za niecałą godzinę.
- Czy będziesz nimi dowodził?
- A jak ci się wydaje?

- Byłam taka pewna! - wykrzyknęła Araminta. - Takie łagodne roztrzepane małe stworzenie. Robiła wszystko, co jej kazał i mam na myśli dosłownie wszystko.

- Pogódź się z tym, kochanie, w tamtym czasie nie byłeś we właściwym położeniu, by zostać idealnym obserwatorem - zauważyła figlarnie Cressida.

- Ale ona właśnie robiła to w taki sposób. Nie rozumiesz. Była gorliwa. Posłuszna. Tak jak pozostałe, jak sadzę. Cholera. Czy sądzisz, że mnie nabierał? Może jest profilowana i kazał jej zaprzeczać. - Araminta z trudem się uspokoiła. Alkohol był dobrym inhibitorem. Nachyliła butelkę nad kieliszkiem. Wino się skończyło. - Cholera!

Cressida skinęła na elegancko ubranego kelnera.

- Z drugiej strony, niezła oferta.

- Taa. Co jest z tymi mężczyznami? Dlaczego wszyscy to skończone palanty? Chcę powiedzieć, jaki rodzaj mentalności to robi? Tamte kobiety, to niewolnice.

- Wiem.

Kelner przyniósł następną butelkę i zerwał pieczęć.

- Dżentelmen przy tamtym stoliku spytał, czy może zapłacić za to wino.

Araminta i Cressida spojrzały w kierunku wielkiego okna od podłogi do sufitu, które dawało oszałamiający widok na świetliste żarzenie nocnego miasta. Bar znajdował się na trzydziestym drugim piętrze wieży Hotelu Salamartin i przyciągał mnóstwo turystów, którzy nie przejmowali się tutejszymi absurdalnymi cenami. Dzisiaj wszystkie pokoje w hotelu zajęli wyznawcy Żyjącego Snu, co spowodowało obleżenie holu przez protestujących. Araminta musiała przepychać się, przez gniewnie skandujący tłum, by prosić portiera, by ją wpuścił. Była przestraszona; na ulicach narastało silne zagrożenie przemocą. Oczywiście Cressida miała kod upoważniający do lądowania swoją kapsułą na menadżerskim lądowisku na dachu.

Mężczyzna uśmiechający się do nich od stolika przy oknie był ubrany w odzież z naturalnych materii. Ubranie w tym stylu nosiłby tylko rezydent Makkathranu.

- Nie - odpowiedziały chórem Araminta i Cressida.

Kelner uśmiechnął się ze zrozumieniem i zaczął nalewać. Araminta obserwowała ponuro napełniony kieliszek.

- Czy sądzisz, że powinnam pójść na policję?

- Nie - odpowiedziała z naciskiem Cressida. - Tą drogą nigdy nie idź. Na miłość Ozziego, on posadził cię obok premiera przy kolacji. Wiesz, jaki jest potężny. Ponadto żadne siły policyjne na planecie nie będą prowadziły śledztwa w jego sprawie, a gdyby to zrobiły, nigdy nie byłyby w stanie niczego dowieść. Te dziewczyny - jeśli masz słusność, a nie mówię, że nie - nigdy nie zostałyby odnalezione, nie mówiąc o tym, by je zbadano i zobaczono, czy nielegalnie przemeblowano im mózg. Zapomnij o

tym.

- A co z Rządem Wspólnoty? Czy nie mają wydziału zbrodni?

- Mają Dyрекcyję do Spraw Poważnych Przestępstw Międzysolarnych. Tak więc polecisz do ich lokalnego biura, które mieści się prawdopodobnie na Ellezelinie, wejdiesz tam i powiesz, że wydaje ci się, że niektóre z jego żon mogą być sprofilowane psychoneuralnie. Podejrzewasz to na podstawie ich zachowania, kiedy wszyscy uprawialiście razem seks. Orgia, w czasie której akurat w twoich klastrach wielokomórkowych działał program seksualno-narkotyczny.

- To nie był narkotyk - odpowiedziała automatycznie Araminta.

- Więc punkt na twoją korzyść. W takim razie to na pewno zadziała.

- W porządku! Co, jeśli im opowiem o jego planach handlowych? W jaki sposób zbudował zdolność produkcyjną Albany.

- Powiesz, komu?

Araminta wydeła wargi. Jak na przyjaciółkę, Cressida nie była bardzo pomocna.

- Nie jestem pewna, Stowarzyszeniu przemysłowemu Ellezelin, czy jak to się tam nazywa.

- Czy sądzisz, że o tym nie wiedzą? Albany to nie jest coś, co można ukryć. I co to dokładnie ma wspólnego z profilowaniem psychoneuralnym?

- Nie wiem.

- To brzmi dla mnie bardziej jak zemsta, niż jak sprawiedliwość.

- To gówniarz. Zasługuje na to.

- Czy był dobry w łóżku?

Araminta miała nadzieję, że się nie czerwieni, kiedy skoncentrowała się na dolewaniu wina.

- Był odpowiedni.

- Posłuchaj kochanie, obawiam się, że to jeden z tych nieprzyjemnych przypadków, kiedy po prostu musisz o nim zapomnieć i iść naprzód. Nauczyłaś się czegoś wartościowego: jaka musisz być bezlitosna, by sobie radzić w tym naszym starym smutnym wszechświecie.

- Araminta schowała twarz w dłoniach, jej włosy opadły wokół

kieliszka.

- Ozzie drogi, pojechałam i uprawiałam z nim seks! Jakie to upokarzające!

Żałowała, że nie może pozbyć się tego wspomnienia, a przynajmniej wspomnienia tego, jak bardzo ją to cieszyło. Tak naprawdę istniały różne dostępne w handlu programy i narkotyki pozwalające na przeprowadzenie czystych małych operacji na pamięci. Och, dziewczyno, przestań się tak nad sobą użalać.

- No, no - Cressida sięgnęła i poklepała dłoń Araminty. - Do tej chwili miał już kilka innych dziewczyn w swoim łóżku i nie będzie nawet pamiętał jak się nazywasz. To nigdy nie znaczyło dla niego tyle, ile dla ciebie.

- Czy mówisz mi to, by mnie podnieść na duchu?

- Na tym polegała jego umowa, prawda? Twój byłby drugi piątek w miesiącach, w których nazwie jest „R”?

- Taa, wiem. Do diabła, jestem dużą dziewczynką, wiedziałam, co robię.

- Z perspektywy czasu owszem, wszystko jest zawsze jasne.

Araminta uniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

- Dziękuję, że mnie nie osądzasz.

- Nadal jesteś w trakcie pracy. I myślę, że pod moim kierunkiem idzie ci coraz lepiej. To była znacznie mniejsza pomyłka niż Laril.

- Kiedy chcesz kogoś pocieszyć, naprawdę dajesz z siebie wszystko.

Cressida pchnęła kieliszek po stole i stuknęła nim kieliszek Araminty.

- Zaczynasz rozumieć życie. To dobrze. Więc cóż masz zamiar zrobić z panem Boveyem?

Araminta skrzywiła się.

- Tak naprawdę z oświadczynami pana Boveya.

- Co? Nie zrobił tego?!

- Zrobił. Weźmie ze mną ślub, gdy się zwielokrotnię.

- I ty myślisz, że to ja jestem bezczelna! Chwileczkę, czy cię o to poprosił, zanim odbyłaś małą wizytę u Likana?

- Hmm. Tak.

- Dzielna z ciebie dziewczyna. Więc o co chodziło w tej całej sprawie z Likanem?

- Testowałam opcję, kiedy zastanawiałam się, co robić.

- Aha..

- Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad zwielokrotnieniem? Likan powiedział, że jest to jedynie wybór stylu życia, a nie wybór biznesowy. Ja nie jestem tego taka pewna. Dziesięć par dodatkowych rąk byłoby bardzo użyteczne w mojej pracy.

- Nie zastanawiałam się nad tym. Nie, nigdy. To nadal jest tylko jeden umysł, prawnik nie potrzebuje więcej. Ale jeżeli mówisz poważnie o deweloperstwie, to widzę praktyczne korzyści.

- Choć to samoograniczające, prawda? To stwierdzenie, że zawsze będę kimś, kto wykonuje jakąś pracę fizyczną.

- Twoja duma wydaje się rzeczą bardzo płynną.

- Po prostu chciałam... - Nie wiedziała, jak skończyć to zdanie. - Nie wiem. Byłam po prostu wstrząśnięta tym, co wydarzyło się w weekend. I miałam też ten naprawdę straszny sen. Wielkie stworzenie przelatywało nad planetą, kiedy ktoś próbował mnie udusić. Ostatnio miałam kilka takich snów. Czy sądzisz, że to stres?

Cressida spojrzała na nią zaintrygowana.

- Kochanie, każdy miał ten sen. To był sen Drugiego Śniącego o Władcy Niebios nad Querencią. I to nie był ktoś, kto próbuje cię udusić, to był Ethan próbujący mówić bezpośrednio do Władcy Niebios. Powiadają, że nadal znajduje się w szpitalu, w śpiączce, a jego pachołki próbują naprawić mu wypalony mózg.

- Nie mogłam tego śnić.

- Dlaczego?

- Nie mam gajafejsów. Zawsze wydawały mi się głupiutkie, jakby słabsza wersja unisfery.

Cressida nagle stała się bardzo cicha; odepchnęła na bok kieliszek i ujęła dłoń Araminty.

- Mówisz poważnie?

- Poważnie, o czym?

- Czy twoja matka ci nie mówiła?

- Co mi mówiła? - Araminta była przestraszona. Chciała

następnego drinka, ale chwyt Cressidy był zaskakująco mocny.

- O naszej pra-praprababce.

- Co z nią?

- To była Mellanie Rescorai.

Po tym całym przygotowaniu Araminta czuła się bardzo rozczarowana. Oczekiwała przynajmniej jakiegoś dziedzica Dynastii - może z rodu królewskiego na starej Ziemi. Nie kogoś, o kim nigdy nie słyszała.

- Och. Kto to jest?

- Przyjaciółka silfenów. Została mianowana ich przyjaciółką. Czy wiesz, co to oznacza?

- Nie bardzo. - Wiedza Araminty o silfenach była nieco ogólnikowa. Dziwaczna rasa humanoidalna, którą wszyscy nazywali elfami. Śpiewali bełkotliwe pieśni i mieli dziwną wormholową sieć, rozciągającą się na pół galaktyki i pozwalającą im dosłownie na spacerowanie między światami. Zdolność, którą przygnębiająca liczba ludzi uważała za niewiarygodnie romantyczną. Ludzie ci próbowali w związku z tym podążać za nimi po ich krętych międzygwiazdnych ścieżkach. Niewielu powróciło ale ci, którzy to zrobili opowiadali fantastyczne historie o przygodach na nowych światach i egzotycznych stworzeniach, które tam znaleźli.

- Dobrze - powiedziała Cressida. - Historia jest następująca. Silfeni mianowali również Ozziego swoim przyjacielem. Dali mu magiczny wisior, który pozwolił mu rozumieć ich ścieżki i nawet połączyć się z ich wspólnym umysłem Ostrowem Matki.

- Ozzie? Masz na myśli naszego Ozziego. Ten, którego my...

- Tak. A Ozzie jak to Ozzie, włamał się do wisiora i zobaczył, jak działa magia. To nie była magia, lecz splatanie kwantowe. Tak więc ludzie zaczęli wytwarzać gajafejsy. Nasza gajasfera jest zasadniczo nędzną kopią wspólnego umysłu silfenów.

- Jasne. Ale, co to ma wspólnego z naszym przodkiem?

- Mellanie też była przyjacielem silfenów. Co, tak naprawdę jest czymś więcej, niż po prostu otrzymaniem wisiora. Ostrów Matki przyjmuje twój umysł i dzieli się z tobą swoją wiedzą. Wisior tylko inicjuje ten kontakt. Po pewnym czasie ta zdolność staje się

naturalna - cóż, w terminach względnych. I, jak każda magia, uważa się, że jest dziedziczna.

Cressida puściła dłonie Araminty i uśmiechnęła się łagodnie.

- Przed chwilą mówiłaś, że to nie magia.

- Oczywiście, że nie. Ale rozważ rzecz następującą. Mellanie i jej mąż Orion powrócili. Mieli małą dziewczynkę Sophie, kiedy spacerowali przez galaktykę. To jedna z bardzo niewielu osób urodzonych na ścieżkach i z pewnością pierwsze dziecko dwojga przyjaciół silfenów. Była dostrojona do Ostrowu Matki zaraz od początku i przekazała tę magię swoim dzieciom. Dzięki niej większość naszej rodziny czuje gajasferę, choć w naszym pokoleniu ta cecha jest teraz słabsza. Ale podczas dobrych nocy, czujesz czasami sam Ostrów Matki. Ja nawet wyprawiłam się jedną ze ścieżek silfenów, kiedy byłam młodsza; przebiega tuż za Colwyn City w Lesie Francola. Byłam trzynastolatką, pragnęłam przygody. To głupie, ale...

- Jest ścieżka silfenów na Viotii?

- Tak. Oni nie używają jej często. Nie cieszą ich planety, na których są cywilizacje, takie jak nasza.

- Dokąd ona prowadzi? - spytała bez tchu Araminta.

- One nie prowadzą do żadnego konkretnego miejsca, one łączą się i splatają. Czas również przebiega na nich inaczej. Dlatego ludzie, którzy nie są przyjaciółmi silfenów zawsze się na nich gubią. Miałam szczęście, zdołałam wrócić po paru dniach. Mama była na mnie wściekła.

- Tak więc... moje sny. One nie są naprawdę moje?

- Ten z Władcą Niebios tamtej nocy nie był, nie.

- Wydawał się taki prawdziwy.

- Nie bez kozery. - Spojrzała znacząco po barze zapchanym wyznawcami Żywego Snu. - Rozumiesz teraz, dlaczego są tacy oddani. Jeśli podsuwają ci taką pokusę za każdym razem, kiedy kładziesz się spać, któż chciałby się obudzić. Tym właśnie jest dla nich Pustka. Śnieniem ich snów, wiecznie.

Szósty sen Iniga

Niemal osiemdziesięciu konstabli - stażystów siedziało razem w sektorze krzesel na ultraczarnej podłodze Malfit Hall, a rozległy łukowy sufit nad nimi odgrywał obrazy strzępiastych obłoków płynących po pięknym złoto-różowym porannym niebie. Edeard siedział na krześle w drugim rzędzie. Odchylił głowę i ze zdumieniem obserwował gigantyczny sufit. Był pewien, że musi to być cud świata. Wszystkich jego kolegów z oddziału rozbawiła ta reakcja. Nie, żeby wcześniej odwiedzali Pałac Sadowy - był tu kiedyś tylko Dinlay, ale wszyscy przynajmniej wiedzieli o ruchomych obrazach. I nie pomyśleli o tym, by go ostrzec.

Edeard gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy na kopii nieba ukazał się Nikran. Czerwonobrązowa planeta, przedstawiona tutaj, była znacznie większa niż kiedykolwiek była na niebie Querencji. Widział drobne cechy terenu wyżłobione w wiecznych pustyniach tego świata. Z jakichś przyczyn zmuszało go to do myślenia o planecie jako o rzeczywistym miejscu niż jako o elemencie panoramy niebieskiej.

- Czy ktoś tam mieszka? - szepnął do Kanseen, która siedziała na sąsiednim krześle.

Spojrzała na niego nachmurzona, a potem spojrzała w górę na wizerunek Nikrana i zachichotała.

- O co chodzi? - syknął Macsen.

- Edeard chce wiedzieć, czy ktoś mieszka na Nikranie - oznajmiła poważnie Kanseen.

Cały oddział zachichotał; sąsiednie oddziały również. Edeard poczuł, jak twarz mu się rumieni.

- Czemu nie? - zaprotestował. - Statek Raha upadł na ten świat. Czemu inny statek nie miałby polecieć na Nikrana?

- Niewątpliwie - stwierdził Macsen. - Całkowicie uzasadnione pytanie. W gruncie rzeczy, tam w górze jest cały drugi Makkathran.

Edeard zignorował ich i po prostu z godnością patrzył przed siebie. Postanowił nigdy nie wspominać przyjaciółom o swych snach i o tym, co one mu pokazywały.

Segment konstabli na stażu wypełnił się i Edeard skupił się na obserwowanym widoku. Przed nimi znajdowały się wspaniałe kręcone schody, które zdominowały bok Hallu. Na ich szczycie pojawił się Owain, Burmistrz Makkathranu, a za nim Mistrzowie Gildii i Mistrzowie dzielnic, z których składała się Wysoka Rada. Wszyscy byli w pełnych ceremonialnych szatach. Kiedy schodzili gęsiego do Hallu, wyglądali niczym wspaniałe kolorowy płomień.

- Och, Pani - jęknął Dinlay.

Edeard wyczuł uczucie nudności emanujące z przyjaciela.

- To maksimum dziesięć sekund - powiedział Dinlayowi cichą, skierowaną dalmową. - Za chwilę wszystko minie, po prostu trzymaj się przez dziesięć sekund. Możesz to zrobić.

Dinlay kiwnął głową, choć wyglądał na całkowicie nieprzekonanego.

Edeard oparł się pokusie rozglądania się wokół, gdzie rodziny i przyjaciele konstabli-stażystów zgromadzili się, by zobaczyć, jak otrzymują swoje brązowe naramienniki. Być może to przesada, ale wydawało się, że połowę z nich stanowiła rodzina Dinlaya - wszyscy w mundurach.

- Myślę, że dzielnice zalewa w tej chwili fala przestępstw - powiedział cicho Maccsen, kiedy wcześniej zajmowali miejsca. - Nie został żaden konstabl, żeby pójść na patrol.

Owain dotarł do platformy, ustawionej u dołu schodów. Uśmiechnął się do pełnej uwagi publiczności.

- Udział w tej ceremonii jest dla mnie zawsze zaszczytem i przywilejem - oznajmił. - Na swym stanowisku słyszę, jak wielu ludzi uskarża się nie tylko na stan, w którym znajduje się nasze miasto, ale również na chaos panujący w krainach poza naszymi kryształowymi murami. Szkoda, że te osoby nie stoją tu teraz i nie widzą tylu młodych ludzi, którzy wstąpili tu, by służyć swemu miastu. Dodaje mi otuchy poczucie obowiązku, które okazujecie podejmując to zobowiązanie do służby współobywatelom.

Powodujecie, że z ufnością spoglądam w przyszłość.

Ach, to prawdziwy polityk, pomyślał uszczypliwie Edeard. Właśnie Burmistrz musiał dokładnie wiedzieć, ilu brakuje konstabli. Osiemdziesiątka, która się tu zebrała nie wystarczy. W kilku ostatnich miesiącach co najmniej tyle samo konstabli porzuciło pracę, aby zostać prywatnymi ochroniarzami, albo dostać lepiej płatne i bardziej szanowane zajęcie szeryfa w którymś z prowincjonalnych miast. Dlaczego nic z tym nie robi?

Burmistrz skończył inspirującą przemowę. Konstabile-stażyci wstali jak jeden, a potem pierwszy rząd podszedł gromadnie do platformy, gdzie Burmistrz ich pozdrowił. Główny Konstabl wyczytywał w Hallu imię stażysty, asystent wręczał burmistrzowi parę naramienników, a Burmistrz wręczał je stażycie ściskając mu dłoń i się uśmiechając.

Rząd Edearda wystąpił naprzód. Edeard myślał wcześniej, że będzie to co najmniej nudne, głupie i że będzie to dokuczliwość, bez której mógłby się obejść. Zwłaszcza, że jedyna osoba wśród publiczności, która będzie mu klaskać to Salrana, którą na ten dzień zwolniono z obowiązków. Ale był tutaj, a teraz, kiedy podchodził do Burmistrza miasta, rzeczywiście czuł, że to nadzwyczajne wydarzenie. Z tyłu publiczność promieniała dumą. Wierzyła w konstabli. Z przodu, Wysoka Rada swą postawą wyrażała aprobatę. Żaden z radnych nie musiał tu być, ta ceremonia corocznie powtarzała się trzy razy. Byli i będą na kilkudziesięciu podobnych ceremoniach. Gdyby chcieli zrezygnować z przybycia, mogliby to zrobić. Ale nie, ceremonia była dla nich wystarczająco ważna, by za każdym razem się na niej pojawiać.

I oto on sam, występuje, by publicznie złożyć zobowiązanie obywatelom Makkathranu, że zrobi, co będzie mógł, by ich chronić i umacniać rządy prawa. Właśnie dlatego Rah i ci, którzy nadeszli po nim, stworzyli tę ceremonię i inne podobne ceremonie, by uznać i uhonorować zobowiązanie, które konstabile składają swemu miastu i gotowość do poświęcenia temu miastu życia. Nie była to strata czasu, ani nie było to głupie, to było okazanie szacunku.

Edeard stał przed Burmistrzem, który uprzejmie się uśmiechnął i uściśnął mu dłoń, kiedy Główny Konstabl wyczytał jego nazwisko.

- Dziękuję, panu - powiedział Edeard. Poczuł suchość w gardle. - Nie zawiodę pana. - Ashwell nigdy się tutaj nie wydarzy.

Jeśli Burmistrz się zdziwił, nie okazał tego. Edeard zauważył Finitana, stojącego na wspaniałych schodach. Mistrz Gildii Jajoformerów wyglądał imponująco w swej złoto-fioletowej szacie, z wymyślnymi szkarłatnymi symbolami wyhaftowanymi na froncie. Jej kaptur o srebrnym końcu ułożono nad lewym ramieniem. Zauważył spojrzenie Edearda i mrugnął.

- Dobra robota, chłopcze - szepnęła dalmową.

Edeard zszedł z platformy. Prawie się roześmiał - brzmiało to tak, jakby publiczność cieszyła się, że usunął się z drogi. Rzeczywiście, to spora rodzina Dinlaya głośno klaskała, kiedy jej członek otrzymywał naramienniki. Dinlayowi udało się nie potknąć, nie zwymiotować, ani nie zasłabł ze strachu. Poszedł za Edeardem do swojego krzesła, z promienną twarzą, szeroko uśmiechając się do krewnych.

Potem nastąpiło formalne przyjęcie, na którym Burmistrz i członkowie Wysokiej Rady przemieszali się z nowymi konstablami i ich rodzinami, a gemałpy krążyły po Malfit Hallu z tacami pełnymi drinków. Przyjęcie miało trwać godzinę. Edeard mógł zmienić swój stosunek do samej ceremonii promocji, ale planował opuszczenie przyjęcia, zanim upłynie dziesięć minut.

- Nie, nie zrobisz tego - zarządziła Salrana. - Tylko popatrz, kto tu jest.

Edeard, nachmurzony, przyglądał się rozmawiającym ludziom; wielkie rodziny w wytwornych strojach, olśniewający członkowie Wysokiej Rady.

- Kto taki?

Rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

- Na przykład Pytia. I mnie zauważyła. Poczułam jej dałwzrok podczas ceremonii.

Edeard rozejrzał się ponownie.

- Rzeczywiście, jesteś tutaj jedyną nowicjuską.

Prawdopodobnie myśli, że wymigałaś się od swoich zajęć, by pociągnąć darmowej wody.

Salrana wyprostowała się. Przesunęło to materię jej białoniebieskiej szaty w sposób, którego Edeard nie mógł nie zauważyć. Jeśli nadal będzie tak robił i dalej myślał o tym, jak ona rośnie, pewnego dnia Pani piorunem zakończy jego egzystencję.

- Edeardzie, czasami potrafisz być rozczarowująco dziecinny. Jesteśmy teraz oboje obywatelami Makkathranu; dzisiaj zwłaszcza ty. Spróbuj zachować się we właściwy sposób.

Edeardowi opadła szczęka.

- Teraz pójdziemy podziękować Wielkiemu Mistrzowi Finitanowi, że cię poparł, co jest właściwą formą wdzięczności, którą czujesz. I zobaczymy, czy możemy zostać przedstawieni również innym osobom z Wysokiej Rady. Jeśli masz zostać Głównym Konstablami, musisz zacząć przykładać wagi do politycznej dynamiki miasta.

- Eh. tak - przyznał Edeard. - Główny Konstabl?

- To jest twoja droga do Wysokiej Rady, kiedy już wybrałeś konstabli, a nie Gildię.

- Jestem promowany od ośmiu minut.

- Wahający się przegrywają. Księga Pani, rozdział piąty.

Wargi mu zadręgały.

- Wiedziałem to.

- Wiedziałeś, teraz? - Salrana uniosła brew. - Może będę musiała cię później przetestować.

- Miałem dosyć egzaminów w ciągu ostatnich kilku tygodni, dziękuję.

- Biedny Edeard. Chodź. - Pociągnęła go za rękę, znowu jak dziewczynka.

Wielki mistrz Finitan rozmawiał z parą kolegów z Wysokiej Rady, kiedy Edeard i Salrana zbliżyli się do niego. Uśmiechnął się i odwrócił w ich stronę.

- Gratulacje, mój chłopcze. Dzisiaj jest twój dzień dumy.

- Tak, proszę pana. Jeszcze raz dziękuję za poparcie.

- Cóż, zdaje się, że dzięki temu Główny Konstabl został moim dłużnikiem. Uzyskałeś trzecią lokatę w swoim roczniku. To

zadziwiający wynik jak na kogoś, kto nie zna naszego miasta.

- Dziękuję, proszę pana.

- Pozwól mi przedstawić Mistrza Graleya z Gildii Geografii i mistrza Imiliana z Gildii Aptekarzy. To jest Konstabl Edeard z prowincji Rulan, przyjaciel mojego starego Mistrza.

- Mistrzowie. - Edeard skłonił się formalnie.

Potem zobaczył jak Salrana chwyta za spódnicę i wdzięcznie trzyma materię z jednego boku, kiedy wykonuje szczególny mały ukłon, który wymagał jednoczesnego ugięcia kolan i trzymania wyprostowanych pleców.

- I Nowicjuszkę Salranę - powiedział gładko mistrz Finitan. - Również z Rulan.

- To przyjemność - powiedział Imlan.

Edeardowi nie podobał się sposób, w jaki oczy mistrza zatrzymały się na Salranie.

- Jesteś daleko od domu, Nowicjuszko - powiedział Mistrz.

- Nie, proszę pana - odpowiedziała grzecznie. - Teraz moim domem jest Makkathran.

- Dobrze powiedziane, Nowicjuszko - pochwalił Finitan. - Szkoda, że nie wszyscy nasi obywatele zachwycają się naszym miastem tak jak ty.

- Hej, Finitanie - zbeształ go Graley. - To nie jest właściwy dzień.

- Proszę o wybaczenie. - Finitan pochylił głowę ku młodemu. - Czy już zetknąłeś się z naszym elementem przestępczym?

- Z kilkoma, tak, proszę pana.

- On jest bardzo skromny, proszę pana - powiedziała Salrana. - Poprowadził swój oddział za kilkoma złodziejami na rynku w Silvarum. Odzyskał również ukradzione rzeczy.

Edeard poruszył się niezręcznie pod uważnym wzrokiem wszystkich trzech Mistrzów.

- A ci szubrawcy trują się teraz w kopalni Trampello płacąc za swe zbrodnie? - spytał Imilan.

- Nie, proszę pana - przyznał Edeard. - Uciekli. Tamtym razem. Nie zrobią tego ponownie.

- Wyobrażam sobie, że nie zrobią - powiedział Finitan, z nutą rozbawienia. - Chodź, Edeardzie, niech cię przedstawię

Burmistrzowi. Najwyższy czas, żeby znowu zobaczył honorowego człowieka.

- Proszę pana?

- Stary dowcip. Często spieramy się w Radzie. - Dał im znak, by za nim poszli. - Oczywiście nie o rzeczy ważne dla życia prawdziwych ludzi.

Burmistrz Makkathranu rozmawiał z Pytią tuż obok małej platformy, gdzie wręczał naramienniki. Jeśli przedstawianie nowemu konstablowi nudziło go lub irytowało, nie pokazał tego po sobie. Edeard nigdy nie spotkał się z umysłem zakrytym tak doskonale. Nie, żeby się tym przejmował. Urzekła go Pytia. Oczekiwał jakiejś staruszki, pełnej babcinego ciepła. Zamiast tego zakłopotano go, gdy się przekonał, że Pytia nadal zachowała piękno kobiety, która połowę swego stulecia miała jeszcze przed sobą. Piękno, które złoto obrębiona biała szata, jeszcze podkreślała. Szata miała zdejmowany kaptur. Pytia naciągnęła go, okrywając swą twarz niewielkim cieniem.

Salrana znowu wykonała swój dziwny ukłon przed Pytią.

- Niech Pani cię błogosławi, moje dziecko - powiedziała Pytia. Mówiła jak osoba znudzona, jak typowa Makkathrańska arystokratka, kiedy miała mieć do czynienia z kimś, kogo uważała za gorszego od siebie. Edeard nie spodziewał się po Pytii czegoś podobnego. Potem Pytia przerzuciła swą uwagę na niego. Zaskakująco bladoniebieskie oczy spoglądały otoczone przez masę gęstych brązowych włosów, poprzeplatanych złotymi i srebrnymi listkami. Oczy zmrużyły się w ocenie, którą Edeard uznał za łamiącą serce. Czuł się, jakby ją rozczarował, co było rzeczą straszną. A potem Pytia uśmiechnęła się, przeganiając jego niepokoje.

- Ależ jesteś naprawdę interesujący, Konstablu - powiedziała.

- Moja Pani - wyjąkał. W jakiś sposób czuł dalwzrok Pytii na sobie, jakby kobieta przekopywała się przez jego umysł. W tym kontakcie było coś kłopotząco intymnego. A ona była bardzo piękna. I oddalona jedynie o metr. Jej półuśmiech otwarty i zapraszający.

Salrana jęknęła.

- Nie jestem tak wysoko postawiona - powiedziała lekko Pytia. - Jest tylko jedna prawdziwa Pani. Zwykła forma zwracania się do mnie to „Droga Matko”.

- Proszę o wybaczenie, Droga Matko.

- Nie przejmuj się tym. Przebyłeś długą drogę, by się tu dostać i nadal masz długą drogę do przebycia.

- Mam do przebycia?

Ale Pytia już odwróciła twarz do Finitana.

- Jakiego fascynującego młodego przyjaciela pan ma, Wielki Mistrzu.

- Cieszę się, że pani tak uważa, Pytio.

- Tak młody, a jednak taki silny.

Sposób, w jaki to powiedziała, wywołał na plecach Edearda dreszcz zbrodniczej rozkoszy. Nie śmiał patrzeć w jej kierunku; zamiast tego utkwiał wzrok w nachmurzonym Burmistrzu.

- Czy przepowiadasz wielkie rzeczy? - spytał jowialnie Finitan.

Pytia odwróciła się i patrzyła prosto na Edearda, działanie, którego nie mógł zignorować, nie w takiej grupie jak ta, nie, jeśli nie chciał być niegrzeczny. Próbował odpowiedzieć podobnym spojrzeniem, ale przekonał się, że to nadzwyczaj trudne.

- Twój potencjał jest bardzo duży - oznajmiła. W jej głosie niemal pobrzmiwała nuta droczenia się. - Czy postępujesz zgodnie z naukami Pani, konstablu Edeardzie?

- Staram się jak mogę, Droga Matko.

- Jestem przekonana, że tak robisz. Niech Ona pobłogosławi twoje nowe obowiązki.

Edeard prawie jej nie słyszał. Jego wzrok przyciągnął ruch za plecami Finitana. Z przerażeniem obserwował, jak kieruje się w ich stronę Pani Florell, cała w czarnych szyfonach i szerokich woalkach zwisających z wysokiego kapelusza. Musieli poczuć jego ponury nastrój. Finitan, Burmistrz i Pytia, odwrócili się jak jedna osoba, by pozdrowić zbliżającą się *grande dame*.

- Ciocia! - wykrzyknął uszczęśliwiony Burmistrz. - Jak miło z twojej strony, że przysłałaś.

- To ten. - Obwieściła pani Florell swym skrzypiącym głosem. - Młody chuligan, który niemal przewrócił mnie na ziemię.

- Ależ ciociu.

- Zabierz mu naramienniki - warknęła władczo. - On się nie nadaje, by służyć temu miastu. Były czasy, kiedy jako konstabli mieliśmy mężczyzn o dobrym charakterze, synów szlachty.

Burmistrz rzucił Edeardowi na wpeł przepaszające spojrzenie.

- Ściągałem kilku złodziei proszę pana. Pani Florell wyszła z budynku. Pobiegiem wokół.

- Ha! Raczej próbował przeze mnie przebiec.

- Posłuchaj, ciociu. Chłopak najwyraźniej wykonywał swoją pracę, świadomy facet, taki jak on, to ktoś, kogo potrzebujemy. Przypuśćmy, że złodzieje zabraliby twoją torebkę, czy nie chciałabyś, aby ich ścigał?

- Nikt by nie ukradł mojej torebki - burknęła.

- Przykro mi, że przysporzyłem komuś cierpień - powiedział Edeard z desperacją. Ta straszna starucha po prostu nie chciała słuchać.

Burmistrz obszedł ich wokół, by stanąć między panią Florell i Edeardem. Pstryknął palcami sygnalizując „odejdźcie”. Edeard wykonał rodzaj półukłonu i szybko się wycofał w towarzystwie Salrany i Finitana.

- Ciociu, wiesz jak ci szkodzi zajmowanie się takimi drobiazgami. Posłuchaj, niektóre ze wzmocnionych win z majątku Mindala są naprawdę świetne, musisz spróbować... - W głosie Burmistrza brzmiała nuta znużonej desperacji.

- Finitan uśmiechnął się szeroko, kiedy pospiesznie się oddalili.

- Dziękuję Edeardzie: zwykle te przyjęcia są całkiem nużące.

- Eee... tak, proszę pana.

- Och, posłuchaj, to dzień twojej promocji. Nie pozwól, by ci go zepsuła ta zwariowana stara nietoperzyca. Jest ambarasująco dobrze ustosunkowana. Ty też byłbyś taki, jeślibyś tak długo czepiał się życia. Nie zdziwiłoby mnie gdyby jednak piła krew dziewczic. Proszę wybaczyć, Nowicjuszek.

- Słyszałam o pani Florell, proszę pana - powiedziała Salrana.

- Wszyscy w mieście słyszeli - powiedział Finitan. - Dlatego ona sądzi, że jest taka ważna, a nie po prostu stara i nieprzyjemna. - Położył dłoń na ramieniu Edearda. - I mówię to jako jej pra-pra-

siostrzeniec. Na szczęście z bardzo bocznej gałęzi.

- Dziękuję panu - odrzekł Edeard.

- A teraz idźcie i bawcie się dobrze. I Edeardzie, kiedy nadejdzie czas, by starać się o promocję na stopień oficerski, przyjdź się ze mną zobaczyć. Będę szczęśliwy mogąc podpisać list popierający.

- Proszę pana? - zapytał Edeard z niedowierzaniem.

- Słyszałeś. A teraz idźcie sobie, obydwójcie. Tam na zewnątrz jest nieznośne, złe miasto. Bawcie się dobrze!

Edeard nie dał sobie tego powtarzać. Razem z Salraną poszli ku łukowatemu wyjściu z Hallu, które prowadziło do przedpokoi.

- Hej, Edeardzie - zawołał Macsen, spiesząc, by ich dogonić. - Gdzie wychodzicie?

- Po prostu na zewnątrz. - Nie chciał nawet spojrzeć przez ramię, bo bał się, że pani Florell będzie patrzyła w jego kierunku.

Macsen dogonił ich i zatrzymał się.

- Matka i Dybal biorą mnie do restauracji Rakas, by uczcić promocję. Zaproszenie dotyczy również moich kumpli z oddziału. - Macsen przerwał i uśmiechnął się do Salrany. - Nowicjuszko, nie miałem pojęcia, że Edeard ma takie miłe towarzystwo. - Spojrzał na Edearda wyczekująco, jak zawsze z miną pokrzywdzonego.

- To jest nowicjuszka Salrana, z mojej rodzinnej wsi - powiedział chmurnie Edeard.

- To jedna ze wsi, którą koniecznie muszę odwiedzić. - Macsen uklonił się nisko.

- A czemuż to, konstablu? - spytała.

- By zobaczyć, czy wszystkie dziewczęta są równie piękne jak ty.

Roześmiała się. Edeard jęknął patrząc na Macsena gniewnie i ostrzegawczo.

- Zaproszenie do Rakas oczywiście obejmuje również przyjaciół moich kumpli z oddziału, nowicjuszko.

- Przyjaciele przyjmują zaproszenie z podziękowaniem - powiedziała skromnie. - Ale tylko wtedy, gdy przestaniesz nazywać mnie „nowicjuszka”.

- Z radością, Salrano. I będę również cię błagał, byś nam opowiedziała o wcześniejszym życiu Edearda. Wygląda na to, że

ma przed nami sekrety. Przed tymi, którzy powierzają mu całe swoje życie.

- To szokujące - zgodziła się. - Spełnię tę prośbę, jeśli zostanie poprawnie wyrażona.

- Salrano! - zawołał zgorzony Edeard.

- Wspaniale - powiedział Macsen. - Zorganizuję drugą gondolę dla naszej grupy. Posłuchaj, Edeardzie, gdzie jest Kanseen?

Edeard spojrział gniewnie na swego tak zwanego przyjaciela.

- Edeardzie? - Salrana przynagliła go szturchnięciem w żebra.

- Tam - powiedział Edeard.

Nie musiał się koncentrować. Dzięki dalwzrokowi był automatycznie świadomy wszystkich kolegów z oddziału - Chae zawsze naciskał na wyrobienie tej cechy. Wskazał miejsce, gdzie Kanseen rozmawiała z kobietą w zaawansowanej ciąży i mężczyzną w eleganckim mundurze z herbem Gildii Cieśli Okrętowych.

- Jej siostra przyszła na ceremonię. Odrabiają zaległości w kontaktach.

- Nie ma więc ani śladu jej matki. Biedactwo - powiedział ze smutkiem Macsen. - Ach, dobrze, pójdę i ją poproszę.

- Przyszła cała rodzina Boyda - powiedział Edeard.

- A pod ciężarem krewnych Dinlaya poszlibyśmy na dno - zakończył Macsen. - Więc została nasza ścisła grupa. Do zobaczenia na przystani Kanału Zewnętrznego Kręgu za dziesięć minut.

- Po co to powiedziałaś? - spytał Edeard, kiedy Macsen poszedł do Kanseen.

Salrana przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego bardzo wyniośle.

- To był uczciwy, przyjacielski gest. Dlaczego miałabym go nie przyjąć?

- Flirtował z tobą.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Czyż nie mówił prawdy?

- Jesteś nowicjuską!

- Nie jesteśmy zawodowymi dziewicami, Edeardzie. Chyba

pamiętam, jak się całowaliśmy. I co więcej, czyż nie dyskutowaliśmy na temat mojego wieku i czasu kiedy będziesz gotów mnie zaciągnąć do łóżka?

Policzki Edearda stały się jasnoczerwone. Dalwzrokiem starał się wyczuć iskierki zainteresowania u stojących najbliżej - albo potrafili się dobrze ukryć, albo nie usłyszeli. Jedno było pewne, ona nie ustąpi. Nigdy nie ustępowała. Jeśli by się upierał, mówiłaby tylko głośniej.

- Nie chciałbym przypominać sobie tego dnia zbyt dokładnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jednak, jeśli cię obraziłem, proszę o wybaczenie. Nadal myślę o tobie jako o mojej podopiecznej, zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszliśmy. Dlatego właśnie zbyt mocno zareagowałem w przypadku Macsena. Naprawdę Salrano, on miał więcej dziewcząt, niż ja skarpetek.

Uśmiechnęła się wybacząco.

- Widziałam twoją garderobę. Masz tylko dwie pary skarpetek.

- Mam więcej!

- I są dziurawe. Więc martw się po prostu o siebie Edeardzie i na tym się skup. Znam i rozumiem doskonale Macsena i chłopców do niego podobnych. Właśnie dlatego jest on całkowicie nieszkodliwy.

- Jest całkowicie czarujący.

- To nie zbrodnia, wiesz. Może, gdyby przekazały ci nieco swego czaru, mógłbyś pochwalić się większymi podbojami.

- Czar, hę? - Zgiął ramię i wyciągnął je w jej stronę. - Czy mogę eskortować cię na przystań, nowicjuszko Salrano?

- Czemu nie, dziękuję, konstablu Edeardzie. Rzeczywiście możesz. - Przełożyła mu rękę przez ramię i pozwoliła, by wyprowadził ją z Hallu.

Restauracja Rakas znajdowała się w dzielnicy Abad. Oznaczało to przejazdkę po Wielkim Kanale Głównym. Edeard pierwszy raz znalazł się w jednej z owych eleganckich czarnych łodzi. Zwykle nie miał pieniędzy, by nimi pływać. Najwyraźniej dla

Dybala nie stanowiły one problemu.

Wędrowni muzyk wyglądał i zachowywał się dokładnie według oczekiwań Edearda: niesforne czarne włosy sięgające połowy pleców, ledwo posplatane z czerwonymi skórzanymi rzemykami, co nadawało im szczególnie sznurowaty wygląd; długa twarz z ogorzałymi zmarszczkami i zapadłymi policzkami nad wąską szczęką, ale ze złotobrązowymi oczyma, które zawsze zdawały się widzieć zabawną stronę życia, kiedy zerkwały nad wąskimi okularami o niebieskich soczewkach; cała mentalna aura - przyjemna, podobna raczej do aury beztroskiego nastolatka, niż mężczyzny dobrze po setce. Już sama wymiana uścisków rąk i powitanie z nim wystarczyły, by przegnać ponury nastrój, w który Edeard wpadł po spotkaniu z panią Florell. Kiedy ich grupka zebrała się na przystani, Dybal sprawił, że wszyscy poczuli się pożądanymi gośćmi, choć nigdy wcześniej nie widział ich na oczy. Instynktownie wyczuł właściwą nutę zachowania w stosunku do każdego z nich.

- Więc chodźcie - powiedział głośno, kiedy już wszyscy się zgromadzili i powiódł ich w dół po schodach.

Miał obszerne ubranie, choć on sam był niezwykle szczupły jak na swój wiek. Edeard wyobraził sobie, że musi być ono tak duże, by zawrzeć całą jego żywiołowość - muzyk bez wysiłku sprawiał wrażenie większego niż był w rzeczywistości. Ostry głos, zamasytyste gesty, obramowana futrem aksamitna marynarka, wzorzysta koszula i skórzane spodnie, w kolorach Gildii Muzykantów - bardzo prawdopodobne, że stanowiły rozmyślną kpinę z tej Gildii. Edearda nieco rozczarował fakt, że muzyk nie miał przy sobie gitary - pragnął usłyszeć pieśni buntu, które podsycaly nastroje makkathrańskiej młodzieży.

Dybal wszedł do pierwszej gondoli razem z Macsen i Bijulee, matką Macsena. Edeard widział, jak rozmawia z gondolierem, trzymając rękę mężczyzny w obydwu dłoniach, mocno ją ściska. Obydwaj mężczyźni zaśmiali się, tym rodzajem śmiechu, który zazwyczaj wywołują nieprzyzwoite dowcipy. Dybal usiadł przy Bijulee, a nadal uśmiechnięty gondolier odbił od przystani.

- To jest matka Macsena? - spytała Kanseen, kiedy usadowili się

na środku swojej gondoli.

- Taa... - potaknął Edeard. I pomyśleć, że przed kilkoma minutami uważał, że to Pytia jest atrakcyjną starszą kobietą. - Macsen przedstawił mnie jej, na chwilę przed twoim przyjściem. Co znacznie wpłynęło na poprawę jego nastroju.

- Niemożliwe - oznajmiła Kanseen, kiedy ich gondola wypłynęła na Wielki Kanał Główny. - To by znaczyło, że urodziła go, kiedy miała ile... dziesięć lat? Wygląda na moją rówieśnicę, na miłość Pani.

Edeard z uśmiechem odchylił się na ławce. Był tak zadowolony, że prawie objął ramieniem siedzącą przy nim Salranę.

- Czy słyszysz tu ton zazdrości, Konstablu?

- Słyszysz tu ton niedowierzania - odpowiedziała cicho Kanseen.

- Może to jego siostra, a ja nie dosłyszałem.

- W jaki sposób jej skóra pozostała tak świeża. To musi być jakaś maść, dostępna tylko bogaczom.

- Może importuje ją prosto z Nikranu.

- Kanseen skrzywiła się.

- Wy dwoje - zaśmiała się Salrana. - Przypominacie stare małżeństwo.

Edeard i Kanseen starannie uniknęli spojrzenia na siebie. Gondola dotarła już do Stawu Birmingham, wielkiego węzła wodnego na końcu Wielkiego Kanału Głównego. Z miejsca Edearda cały wodny krąg zdawał się wypełniony gondolami, unikającymi zderzeń, i wpływającymi w rozmaite kanały dochodzące do węzła. Inne wypływały z tych kanałów i włączały się do ruchu. Starał się jak mógł, by nie drżeć ze strachu. Żaden z gondolierów nie zwalniał, wydawało się, że instynktownie wiedzą, którędy płynąć. Łodzie mijały ich tak blisko, że mogłyby je dotknąć, gdyby starczyło mu odwagi, by wyciągnąć dłoń. A potem dopłynęli do początku Wielkiego Kanału Głównego i ich gondolier zaczął mocniej pracować wiosłem.

Pierwszą rzeczą, na którą spojrzął Edeard była przystań po prawej stronie, z której wcześniej uciekli im złodzieje. Przyłapał Kanseen, że też tam spogląda. Nieznacznie wzruszyła ramionami.

A potem całkiem o tym zapomniał i cieszył się widokiem. Na eleganckim krańcu miasta, wzdłuż dzielnic Silvarum, Haxpen i Padua, nad kanałem stało kilka najwspanialszych budynków w Makkathranie: pałace wysokie na dziesięć kondygnacji, z ogromnymi oknami, z fasadami ozdobionymi wirami kolorów tworzącymi dziwaczne wzory. Wieżyczki, belwedery i iglice tworzyły zębatą linię na tle nieba. Georły, większe niż kiedykolwiek wyrzeźbił Edeard, krążyły leniwie wokół pinakli, pilnując wejść do każdej ze wspaniałych siedzib rodowych. Kanseen wskazała kilka z nich: pałac, który był domem rodziny Burmistrza, ziggurat gdzie podobno mieszkali Rah i Pani - obecnie był to dom rodziny Culverit, która utrzymywała, że są ich bezpośrednimi potomkami. Przy pewnej zabarwionej na czerwono fasadzie poinformowała szeptem, że dawniej mieszkała tam ojciec Macsena. Kiedy Edeard zerknął na gondole płynące przed nimi, zarówno Macsen jak i Bijulee patrzyli w przeciwnym kierunku.

Wszystkie dostojne budynki miały niskie przejścia łukowe na poziomie wody, prowadzące do labiryntu piwnic pod nimi. Przejść strzegły żelazne wrota, utrzymywane przez rodziny w doskonałym stanie. Ściany pałacu Purdard stały pod kątem, praktycznie przewieszzone nad wodą. Edeard spojrział w górę i zobaczył oszklony krużganek, długi na całą górną kondygnację. Stało tam kilku młodych ludzi, obserwujących gondole.

- To bajecznie bogata rodzina kupiecka - wyjaśniła Kanseen. - Posiadają flotę trzydziestu statków.

Minęli Wysoki Staw, który łączył się z kanałami Lotnym i Rynkowym. Przy wylotach obu kanałów znajdowały się mosty. Pierwszy z nich był wytworzony przez miasto, prosty biały łuk, cieśle dorobili mu szerokie poręcze. Znany był ze swego szczytu - dziesięciometrowego pasma kryształu, przez który przechodnie podziwiali wodę i gondole płynące trzydzieści metrów niżej. Nie wszyscy mogli przejść przez most, niektórzy nie mogli znieść tego widoku. Gildia Lekarzy twierdziła, że na każdym dwudziestu ludzi przypada jedna taka osoba. Pod wpływem nacisków Chae'go, Edeard i jego oddział przechodzili przez ten

most kilka razy podczas patroli. Edeard musiał się bardzo mobilizować, by przejść tych kilka niewidzialnych metrów. Zawroty głowy, choć nieprzyjemne, nie były na tyle silne, by go zatrzymać. Wszyscy w oddziale przechodzili przez most niechętnie - najmniej wrażliwy, ku zaskoczeniu wszystkich, okazał się Dinlay. Most po drugiej stronie Wysokiego Stawu skonstruowano z żelaza i drewna. Masywny skrzypiący grat w porównaniu ze swoim kuzynem, ale jednak był na nim znacznie większy ruch. Za Stawem, nad Kanałem Głównym, wieże Eyrie dźgały czyste lazurowe niebo, jakby gotowe przebić każdego przelatującego Władcę Niebios. Wspaniałe, podobne do klifu czoło dzielnicy Fiacre roilo się od pnączy, długie sznury kwiatów wynurzały się ze szmaragdowych i rdzawych liści. Tylko okna pozostały wolne od listowia, tworząc głęboko osadzone czarne dziury w puszystym, żywym dywanie.

Gondole dobiły do przystani tuż za Leśnym Stawem i wszyscy wysiedli. Dybal zapłacił gondolierom i wszyscy ruszyli do okrągłej wieży, w której na trzecim piętrze znajdowała się restauracja Rakas. Hansalt, właściciel i główny kucharz zarezerwował dla Dybala stół obok długiego okna wychodzącego na jeden z kolorowych placów dzielnicy.

- To dla nas obiecujący dzień - ogłosił Dybal, kiedy kelnerka przyniosła tacę z chłodzonym winem. - Po pierwsze, zdrowie twojego oddziału Macsen. Obyś uwolnił miasto od przestępstw.

Wypili za to. Edeard podejrzliwie spojrzął na kieliszek, nigdy wcześniej nie widział wina z bąbelkami, ale kiedy spróbował, smak był zaskakująco lekki i owocowy. Raczej mu się podobał.

- Po drugie - powiedział Dybal - za Edearda, że został wyznaczony dowódcą oddziału.

Edeard zaczerwienił się.

- Mowa! - zażądał Macsen.

- Nie ma mowy! - warknął Edeard.

Zaśmiali się i wypili za to.

- Po trzecie - jego głos złagodniał i spojrzął w dół na Bijulee - z dumą ogłaszam, że moja ukochana zgodziła się mnie poślubić.

Aplauz, który się podniósł zmusił innych klientów, by na nich

spojrzeli. Wszyscy zobaczyli, że to Dybal i uśmiechnęli się porozumiewawczo.

Macsen ścisnął swą matkę. Edeard i Salrana byli zdumieni, stuknęli się jednak szklankami i wypili jeszcze trochę bąbelkującego wina. Przyniesiono kolejne schłodzone butle i zostały szybko rozlane.

Później Edeard zawsze wspominał ten posiłek, jako pierwszą chwilę, od czasów Ashwell, kiedy poczuł się naprawdę szczęśliwy. Jedzenie nie przypominało niczego, co jadł wcześniej. Przyniesli je na wielkich białych talerzach ułożonych z takim artyzmem, że niemal nie chciał go jeść, ale kiedy je spałaszował, kombinacja smaków okazała się cudowna. A Dybal słuchał plotek o miejskiej elicie, były po prostu skandaliczne. Wszystko zaczęło się z powodu Salrany, która odpowiedziała na pytanie Macsena, ciekawego co nowicjuszek robią przez cały dzień.

- Nie chcę uchybić Pani - powiedział. - Ale z pewnością musi to być nudne, po prostu czytać Jej pisma i śpiewać w Jej kościele?

- Hej - sprzeciwił się Dybal. - Mniej kpin ze śpiewania, jeśliś łaskaw.

- Wyznaczono mnie do Domu Millical - wyjaśniła Salrana. - Kocham opiekować się dziećmi. Są takie słodkie.

- Co to jest Dom Millical? - spytał Edeard. - Szkoła?

- Nie wiesz? - zapytała Bilulee. Nie była pewna, czy Edeard przypadkiem nie żartuje.

- Mówiłem ci mamo - wtrącił Macsen. - On jest naprawdę ze wsi na krańcach dziczy.

- Millical to sierociniec - powiedziała poważnie Salrana. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego jakąś matka miałaby porzucać swoje dziecko, zwłaszcza takie cudowne, jakie mamy w żłobku. Ale to robią. Więc Pani się nimi opiekuje. To fantastyczne miejsce, Edeardzie, dzieciom niczego nie brakuje. Makkathran naprawdę dba o dzieci.

Dybal zakasnął w szczególny sposób.

- Tak naprawdę, to raczej wyjątkowy sierociniec.

- Co masz na myśli? - spytała Salrana.

- Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć?

Salrana pokręciła nóżką kieliszka do wina i spokojnie spojrzała na Dybala.

- Przecież bierzemy wszystkich.

- Tak. Tak przypuszczam. Ale jesteście w dzielnicy Lilylight. Zwróć uwagę, kim są wasi sąsiedzi. Widzisz, Edeardzie, Dom Millical, to miejsce, dokąd nasze szlachetne rodziny dostarczają te małe niechciane zażenowania, które się zdarzają, kiedy młodszy synowie wychodzą bawić się z dziewczętami z niższych klas w podejrzanych teatrach rozrywkowych, które uświetniają nasze piękne miasto.

- Takich, w których grasz? - spytała łagodnie Bijulee.

- Tak, kochanie, właśnie takich. - Zerknął na trójkę konstabli. - Byliście już w jakimś?

- Jeszcze nie - powiedziała Kanseen.

Macsen milczał.

- To tylko kwestia czasu. W każdym razie Millican jest tak dobrze zaopatrzony w fundusze, bo zgodnie z tradycją, rodziny przekazują anonimowe datki za każdym razem, kiedy dziecko zostaje pozostawione na schodku dobroczynnym domu, by nowicjuszki je zabrały.

- Pieniądze na dzieci są rozdzielane równo dla wszystkich sierocińców Pani - powiedziała Salrana.

- Jestem pewien, że wiele datków dociera do innych sierocińców. I Pani wykonuje nieocenioną pracę dbając o tych nieszczęśliwców, wiem o tym. Ale, jeśli kiedykolwiek popracujesz w innych sierocińcach, zauważysz różnicę.

- A skąd to wiesz? - droczyła się Bijulee.

Dybal odwrócił się w jej stronę ze smutnym uśmiechem.

- Ponieważ dorastałem w takim sierocińcu.

- Naprawdę? - spytał Macsen.

- Tak jest. Dlatego jestem pod takim wrażeniem widząc waszą czwórkę. Przyszliście znikąd, zwłaszcza Edeard i Salrana, i wszyscy sami wykuwacie sobie życie. Podziwiam to. Naprawdę. Nie jesteście od nikogo zależni, nie mówiąc już o żadnej dekadencej rodzinie. Wiecie, że jestem pierwszy do narzekania na miejską hierarchię, na sposób, w jaki demokracja została

zawłaszczona przez bogaczy, ale jest kilka instytucji, które nadal są coś warte. Ludzie potrzebują konstabli dla bezpieczeństwa ulic i kanałów, i potrzebują Pani, by dawała nadzieję. - Myślałem, że to właśnie przynosi twoja muzyka - powiedziała Salrana z zawadiackim błyskiem w oku.

- To zależy od klasy, do której należysz. Jeśli jesteś bogaczem, jestem dla ciebie rozkosznie niegodziwym buntownikiem, ostrym, ociekającym sarkazmem i ironią. Muszą mi płacić za występy, które z zadowoleniem im dają. Ale dla reszty miasta, dla ludzi, którzy harują przez całe życie, by związać koniec z końcem, jestem ogniskiem, które skupia ich urazy i artykułuje ich uczucia. Dla nich śpiewam za darmo. Nie chcę ich kasy, chcę, by wydawali ją na siebie, tak, by nie musieli oddawać swoich dzieci.

- Tak więc rywalizujesz z Panią? - powiedziała Salrana.

- Oferuję łagodną alternatywę, to wszystko. Mam nadzieję, że miłą.

- Muszę spróbować dostać się na któryś z twoich występów.

- Będę szczęśliwy, mogąc cię tam eskortować.

- Trzymam cię za słowo - odparła, zanim Edeard mógł interweniować. Nie powiedział nic, nie tam i nie wtedy. Nie chciał zepsuć posiłku.

- Czy znasz całą Wielką Radę - spytał Edeard Dybala.

- O tak, oni myślą, że spotykając się ze mną, zyskują na wiarogodności. To, co rzeczywiście robią, zapraszając mnie do swoich domów, to dostarczają bogatego materiału do moich tekstów o ironii i hipokryzji. Czemu o to pytasz, Edeardzie? Czy chcesz wiedzieć o ich kochankach? O ich dziwnym wspólnym zainteresowaniu opodatkowaniem produkcji bawełny w prowincji Fondral? O skandalu z funduszami dla milicji? O pieniądzach marnowanych na działania oficjalne? O zarazie korupcji, która dotyczyka personelu Pałacu Sadowego, który powinien być bezstronny? O tym, jak nasz drogi Burmistrz Owain już kupuje głosy na następne wybory, jedyny okres, kiedy potrzebuje publicznego poparcia?

- Tak naprawdę to nie. Byłem ciekaw pani Florell.

- Edeard ją spotkał - powiedział Macsen z chichotem.

- Wszyscy ją spotkaliśmy, kiedy byliśmy na służbie - odparł Edeard.

- Uderzyła go parasolką - dodała lakonicznie Kanseen.

Dybal i Bijulee zaśmiali się.

- Stara czarownica chciała sprawić, by Edearda wyrzucili z konstabli - powiedziała zaczerwieniona Salrana. - Na dzisiejszej ceremonii kazała Burmistrzowi zabrać z powrotem jego naramienniki.

- Jakie dla niej typowe - skomentował Dybal. - Nie martw się, Edeardzie. Ona nie ma prawdziwej władzy, już nie. Jest figurantem szlacheckich rodzin, to wszystko. Oni lubią robić wrażenie, że jest ukochaną babką całego miasta. Oczywiście, to zupełnie pierdoły. Kiedyś była z niej mała spiskująca suka. Teraz jest już dla nas wszystkich historią. Ale przed pięćdziesiątką miała trzech mężów, wszyscy byli pierwszymi synami Mistrzów Dzielnicy, co jest rzeczą prawie niesłychaną, nawet obecnie. Każdemu z nich dała dwóch synów; niektórzy uważają że jest w tym jakaś magiczna sztuczka. I dziwnym zbiegiem okoliczności cała trójka młodszych dzieci poślubiła córki szlacheckich rodzin, którym nie udało się urodzić męskich potomków. Mając tego rodzaju władzę w Wysokiej Radzie, przez dziesięciolecia kontrolowała głosowania. Przez nasz ostatni tak zwany Złoty Wiek, w którym milicja się wzmocniła kosztem innych rządowych organów. Widzisz, ona wierzy, że istnieje rzeczywista różnica fizyczna między szlachtą i tymi, którzy są pozbawieni ich nieprzyzwoitego bogactwa. Innymi słowy, jej potomkowie urodzili się po to, by rządzić i podporządkować sobie niecywilizowane masy, takie jak ty czy ja. Nie trzeba dodawać, że jest przekonana, że nie powinniśmy mieć nic do gadania w rządzeniu miastem. Takie rzeczy najlepiej pozostawić tym, których przeznaczenie pobłogosławiło szlachecką krewią.

- Nic dziwnego, że się jej nie spodobałeś Edeardzie. Nawet nie urodziłeś się w mieście. Prawdopodobnie wyczuła w tobie wieś.

- Nie wszyscy w Wysokiej Radzie wierzą w takie rzeczy, prawda? - spytał Edeard, myśląc o Finitanie. Powiedział, że jest jej siostrzeńcem.

- Miejmy nadzieję, że nie. Nadal kręci się tu kilku przyzwoitych szlachciców. I oczywiście fotele Mistrzów Dzielnic w Wysokiej Radzie są kontrolowane przez Mistrzów Gildii. A Niższa Rada nadal jest wybierana bezpośrednio, choć w kilku dzielnicach nikt o tym nie wie. To wywołuje mnóstwo rzeczywistych debat w Wielkiej Radzie. Rah wiedział, co robi, kiedy zmajstrował naszą konstytucję.

- A twoje piosenki nadal są popularne.

- Są. Niezadowolenie z rządzących jest zawsze atrakcyjne. To obsesja, którą ludzie przywieźli ze sobą na statkach, które wylądowały na Querencii. Dla całego naszego gatunku jest to tak naturalne, jak oddychanie. A starzy ludzie, tacy jak ja, którzy snują wspomnienia na temat tego, że sprawy zawsze przedstawiały się lepiej w utraconej młodości, jeszcze wzmacniają tę cechę.

- Chcesz powiedzieć, że podburzasz motłoch - powiedziała czule Bijulee, głaszcząc dłonią jego postrzępione warkoczki.

- I jestem z tego dumny - Dybal wzniosł swój kielich. - Abyśmy uczynili życie naszych panów pasmem niedoli. Wszyscy wypili ten toast.

- Tak więc jaka jest historia twoja i Salrany? - zapytała Kanseen.

Był późny wieczór. Uroczysty obiad trwał całe popołudnie. Edeard nie chciał, by się skończył. Był całkowicie odprężony, dzięki winu z bąbelkami, miłemu towarzystwu przyjaciół, doskonałemu jedzeniu i przyjemnej, inteligentnej rozmowie. Nie, dzisiaj był dzień, który, gdyby Pani była łaskawa, powinien trwać i trwać.

Ale wszystko co dobre ma swój koniec. Skończyli ostatnią butelkę wina, zjedli ostatni kawałek sera i pożegnali się ze sobą. Dybal skrzywił się teatralnie, kiedy przynieśli rachunek. Na zewnątrz zaszło słońce, pozostawiając po sobie ulice skąpane w pomarańczowym blasku miasta, a nad głową niewyraźną mgiełkę mgławic. Edeard powiedział, że odprowadzi Salranę do Domu Millical w dzielnicy Lily. Ponieważ dom znajdował się

dokładnie między Abadem i Jeavons, Kanseen zaproponowała, że pójdzie z nimi.

Sierociniec był miłym miejscem, leżącym niedaleko Kanału Victorii, miał własny ogród i dziedziniec do zabaw. Salrana cmoknęła Edearda w policzek i poleciała jak strzała przez imponującą bramę, która wypełniała łuk wejściowy.

Edeard i Kanseen poszli dalej. Przez most na Kanale Zbędnym przeszli do dzielnicy Drupe, w której pałace dorównywały tym najokazalszym nad Wielkim Głównym Kanałem. Na wąskich uliczkach i szerokich placach dzielnicy panował spokój. Przed żelaznymi bramami pałaców stali imponujący ochroniarze. Edeard starał się nie gapić, gdy mijali czujne postacie w ciemnych mundurach. Był pewien, że bycie konstabłem jest lepsze niż taka monotonna służba po nocach. Ta dezaprobata musiała przedostać się przez jego osłony.

- Ja będę zajmowała się czymś innym - powiedziała cicho Kanseen. Odgłosy ich stóp rozbrzmiewały w wąskiej uliczce, na tyle wysokiej, że z całego nieba widać było tylko cienką fioletową nić wijącego się ogona Buluku. - Żaden z nich nie jest eks-konstabłem. To robotnicy z majątków i chłopcy z farm, którzy przybyli do miasta w poszukiwaniu lepszego życia. Wytrwają tylko parę lat i powrócą do domów. Albo przeniosą się do Sampalok.

- Więc to mógłbym być ja - powiedział Edeard.

- Jakoś w to wątpię.

Przeszli przez trzeci most nad Kanałem Marmurowym, z powrotem do znajomego terenu w Jeavons. Pod nimi cicho ślizgały się gondole, z małymi latarniami na przodzie. Pasażerowie tulili się pod plandekami, ciesząc się z romantycznej przejażdżki. Obecnie Edeard rozpoznawał już wiatr od morza, wilgoć, którą ze sobą niósł. Nad głową mknęły obłoki, które zaczynały przesłaniać mgławice. Dziś wieczór będzie padać. W ciągu najbliższej godziny, zdecydował, powąchawszy powietrze.

Kamienica konstabli znajdowała się dwie ulice od posterunku Jeavons. Z zewnątrz był to duży i brzydki budynek, ale otaczał owalny podwórzec, nad którym mieściły się cztery poziomy

pomostów. Na środku podwórca znajdował się basen z ciepłą wodą, wystarczająco duży, by w nim pływać. Budynek zawierał dwupoziomowe apartamenty zarezerwowane dla konstabli. Ci z rodzinami zajmowali jeden koniec budynku, kawalerowie drugi. Nie był to jednak podział stały. Edeard z resztą oddziału wprowadził się tu parę dni temu. Każdego ranka budziły go krzyki dzieci pod drzwiami, kiedy pędziły po pomoście, bawiąc się w jakąś podniecającą pogoń.

Teraz dzieci od dawna spały. Razem z Kanseen weszli po niewygodnych, okrągłych schodach na trzeci poziom, gdzie oboje mieli swoje apartamenty.

- Nie ma nic szczególnego do opowiadania - oznajmił. - Wiesz, że Salrana i ja przyjechaliśmy tutaj razem. Jestem kimś w rodzaju jej starszego brata.

- Ona cię kocha.

- Co takiego?

- Obserwowałam ją tego popołudnia. To widoczne dla każdego z choćby połową mózgu. Nawet Macsen to zrozumiał. Czy nie zauważyłeś, że zanim podano dania rybne przestał z nią flirtować? Nie było sensu. Ona jest zainteresowana tylko tobą.

- Jest wystarczająco bystra, by zdać sobie sprawę, jaki Macsen jest płytki. To wszystko. Jeśli dziewczyny w pierwszych pięciu minutach nie padają mu do stóp, rusza dalej. Wiesz, jaki on jest.

- Nigdy bym nie pomyślała, że będziesz dla wygody zaprzeczał faktom.

- Nie zaprzeczam faktom. Zadałaś mi pytanie, to na nie odpowiedziałem.

Zatrzymali się u szczytu schodów i wyrzeli na rozległy podwórzec. Brzeg basenu był cienką intensywną linią bladego oranżu. Sprawiał, że woda wyglądała zapraszająco. Edeard wiedział, że mnóstwo konstabli brało nocną kąpiel. Uznał jednak, niechętnie, że ma zbyt ciężki żołądek Od popołudniowego obżarstwa.

- Tak naprawdę mi nie odpowiedziałeś - powiedziała Kanseen. - Przyznałeś tylko, że ją znasz, co nie rzuca żadnego światła na wasz związek.

- Jak Panią kocham, naprawdę wchłonęłaś wszystkie wykłady Mistrza Sorarina, co?

- Dostałam prawie takie same oceny jak ty, owszem. Tak więc podczas tej długiej podróży przez góry i bagna pełne potworów, czy z nią spałeś?

- Nie!

- Czemu nie? Jest bardzo ładna. I szczupła. Widziałam, na czym zatrzymujesz wzrok, kiedy jesteśmy na patrolu.

- Po pierwsze jest o wiele za młoda. I pięknieje. Doktorzy w Makkathranie mają lepsze maści niż mieliśmy w karawanie.

- Edeardzie! - Kancel wydała cichy śmiech, wyrażający szok. - Myślę, że to najpaskudniejsza rzecz, jaką słyszałam, byś mówił o kimkolwiek, nie wspominając już o swojej siostrzyczce.

- Pani, jesteś okrutna. Nie odpowiadam na pytanie tak, jak oczekujesz i mówisz, że zaprzeczam faktom. Potem uczciwie ci odpowiadam i piętnujesz mnie jako paskudę.

Uśmiechnęła się, skruszona.

- Przepraszam. Ale rozumiesz, dlaczego.

- Nie bardzo.

Edeard patrzył na jej profil w miedzianym połysku rzucanym przez powierzchnię stawu. W takim oświetleniu wyglądała niemal arystokratycznie, z mocnym podbródkiem i małym nosem, ze skórą zabarwioną ciemno i nęcąco. Obróciła się i spojrzała na niego, przechylając nieco głowę na bok w ten pytający sposób, który tak mu się podobał.

Pochylił się i pocałował ją. Przytuliła się do niego, dłonie przesunęła po jego plecach. Tym razem rozluźnił swój mentalny dozór i pokazał jej, jak bardzo cieszy się z jej dotyku, bliskości... Po dłuższym czasie przerwali pocałunek. Potarła go nosem po policzku i pozwoliła mu poczuć, jak wiele to dla niej znaczy.

- Chodź ze mną do łóżka - powiedział cicho.

Jego język wystrześlił i polizał jej płatek ucha. Zadrzała od tego dotyku. Gorące linie przyjemności zamigotały w jej umyśle. Był rozkosznie świadom jej piersi przyciśniętych do jego torsu i mocniej ją uściskał. To będzie lepsze niż kiedykolwiek.

- Nie - powiedziała. Położyła mu dłonie na ramionach,

rozsuwając je, by skończyć uścisk. - Przykro mi, Edeardzie. Czuję do ciebie dużo, naprawdę, wiesz o tym. Na tym właśnie polega kłopot.

- Co masz na myśli?

- Mogłoby się udać, z tobą i ze mną. Naprawdę myślę, że mogłoby. Kochankowie, potem małżeństwo, dzieci. Wszystko. Nie boję się tego. Chodzi o wybrany czas. Jest niewłaściwy.

- Czas?

- Nie sądzę, żebyś był już gotów na długotrwały związek. A mnie z pewnością niepotrzebne jest następne szaleństwo z kimś, na kim mi zależy.

- To nie musiałyby być szaleństwo. Jestem gotów ustatkować się z kimś tak dla mnie ważnym, jak ty.

- O, Pani, jesteś taki słodki - westchnęła. - Nie, Edeardzie. Nie mogę rywalizować z wyidealizowaną Salraną. Jesteś jej bliższy niż zdajesz sobie sprawę, albo chcesz przyznać. Jak mogłoby być inaczej, po wszystkim, co przeszliście. Nie jestem zazdrosna, cóż, niezupełnie. Ale ona zawsze będzie stała między nami, dopóki nie uporządkujesz swoich uczuć.

- Jest po prostu dzieckiem z tej samej wsi, to wszystko.

- Otwórz przede mną swe uczucia, pokaż mi swój obnażony umysł i powiedz, że nie chcesz jej zaciągnąć do łóżka, że nie chcesz jej poczuć przytulonej do siebie.

- Ja... Nie, to głupie. Oskarżasz mnie o... Nie wiem... o posiadanie marzeń. Ten świat jest pełen okazji. Niektóre łapiemy, obok innych przechodzimy. To nie ja boję się tego, co mogłoby być. Spójrz na swoje uczucia.

Stali teraz osobno, rozmawiali nie podniesionymi, lecz mocnymi głosami.

- Znam własne uczucia - oznajmiła. - I chciałbym, żeby twoje były takie jak moje. To znaczy mogę zaczekać. Jesteś wart czekania, Edeardzie, bez względu na to, jak długo to potrwa. Tak wiele dla mnie znaczy.

- Cóż, to musi być najbardziej zwariowany sposób okazywania tego. W ogóle - powiedział, starając się, by w jego głosie nie brzmiała uraza. Jego umysł wzmocnił się i nie wypuszczał

żadnych uczuć, co było trudne przy zamęcie, który wywołała.

- Powiedz jej - powiedziała po prostu Kanseen. Sięgnęła, by pogładzić go po policzku, ale się cofnęła. - Bądź wierny sobie. Takim cię pragnę.

- Dobranoc - powiedział sztywno.

Kanseen skinęła głową i odwróciła się. Edeard był pewien, że zobaczył na jej policzku łzę. Oparł się pokusie sprawdzenia tego dalwzrokiem. Zamiast tego wrócił do swego apartamentu i rzucił się na swoje zbyt wysokie łóżko. W jego umyśle walczyły gniew i frustracja. Wyobraził sobie Kanseen walczącą z Salraną, obraz, który wkrótce nabrał życia poza jego kontrolą. Walnął pięścią w poduszkę. Przewrócił się na drugi bok. Wysłał swój dalwzrok, by wirował przez miasto i obserwował rozległą grupę umysłów Walczących ze swoimi własnymi demonami. Nie chciał cierpieć samotnie.

Zasnął po bardzo długim czasie.

- Według pogłoski, Pytia wykorzystuje swoją zdolność do maskowania, by zmieniać rysy. Mimo wszystko ma ponad sto pięćdziesiąt lat. Mogłaby rywalizować z panią Floreil w konkursie na wysuszone stare wiedźmy. W jej wyglądzie kryje się jakaś diabelska sztuczka. - Boyd bardzo podkreślił ostatnie zdanie, znacząco pochylając głowę.

- Możecie robić takie rzeczy? - spytał zaskoczony Edeard.

- Nie wiem. - Boyd ściszył głos. - Powiadają, że Wielcy Mistrzowie potrafią całkowicie ukryć się przed wzrokiem innych. Sam tego nigdy nie widziałem.

Edeard ledwo się powstrzymał przed wskazaniem niewielkiej wady logicznej tego wyznania.

- Jasne.

Byli na patrolu w Jeavons, szli wzdłuż Kanału Braterstwa, który ograniczał dzielnicę od południa. Za wodą leżało Tycho, ściśle mówiąc nie była to dzielnica, lecz szeroki pas łąki między kanałem a kryształowymi murami. Na trawie przysiadły drewniane stajnie milicji, jedyne zabudowania, które pozwalano

stawiać na wspólnej ziemi. Widział stajennych jadących kłusem na koniach i gekoniach po piaszczystych torach - poranne ćwiczenie, które oni i ich poprzednicy odbywali od stuleci. Przy kilku koniach biegły gewilki.

To był szósty patrol od czasu ich promocji. Sześć dni w których on i Kanseen niemal nie rozmawiali. Byli w stosunku do siebie idealnie uprzejmi, ale to wszystko. Nie chciał tego, chciałby, by powrócili do stanu sprzed tego spaapanego wieczoru. W jaki sposób mogli powrócić do tamtego wygodnego związku, było absolutną tajemnicą. Z pewnością nie miał zamiaru konsultować tego tematu z innymi. Miał wrażenie, że już się domyślili, że coś się wydarzyło. O ile ich znał, po królewsku zaniechali spekulacji na ten temat.

Z jakichś przyczyn powstrzymał się także od mówienia o tym Salranie. Niechętnie przyznał, że w pewnym niewielkim stopniu Kanseen może mieć rację. Naprawdę będzie musiał stawić czoła problemowi „przyjaciele stają się kochankami”, który buzował między nim a Salraną. To nie było w porządku w stosunku do niej. Wyrastała na piękną dziewczynę, znacznie bardziej pełną życia niż wszystkie miejskie dziewczyny, które spotkał. Musiał tylko pozbyć się swej opiekuńczości. To głupia opiekuńczość. Salrana jest dostatecznie dorosła, by o siebie zadbać i dokonywać wyborów. Nikt nie wyznaczył go na opiekuna - on sam wybrał tę rolę. Coś, co zrobił z poczucia obowiązku i z przyjaźni. Zachowywanie się inaczej, zwłaszcza obecnie, można by uznać za nieuczciwe wykorzystanie swej pozycji.

Czasami musisz zrobić coś złego, by uczynić rzecz właściwą.

I fizycznie wiedział, że razem byłoby im fantastycznie. To ciało, a jeśli chodzi o te nogi... W sumie zbyt wiele czasu ostatnio spędził myśląc o tym, jak jej nogi go oplotą, długie, wysportowane mięśnie, poruszające się nieustannie. Zakończyłoby się tym, że obydwójce krzyczeliby z przyjemności. Przez pierwszy rok nawet nie wychodzilibyśmy z łóżka.

A po tym, po namiętności, nadal by się cieszyli swoim towarzystwem. Salrana była jedyną osobą, z którą mógł naprawdę rozmawiać. Rozumieli się wzajemnie. Dwoje wiejskich

dzieci przeciw miastu. Przyszły Burmistrz. Przyszła Pytia.

Uśmiechnął się ciepło.

- ...oczywiście, mógłbym równie dobrze mówić do siebie - stwierdził zirytowany Macsen.

- Przepraszam, o co chodzi? - spytał Edeard, wygaszając uśmiech.

Macsen spojrział na Kanseen, stojącą przy Dinlayu. Para obserwowała gondolę pełną skrzynek, wołała coś do gondoliera.

- Chłopcze, ona naprawdę cię skatowała, prawda?

- Kto? Och, nie. Wszystko w porządku. Kanseen i ja czujemy się świetnie.

- Wkurzyłoby mnie, gdybyś czuł się nieświetnie.

- Naprawdę. Czuję się doskonale. Czego chciałeś?

- Sklepikarze na ulicy Boltan ciągle mówią, że spacerują tam obcy i sprawdzają budynki silnym dalwzrokiem. Oczywiście to gangsterzy na wyprawie zwiadowczej. Tak więc jeśli zjawimy się tam w mundurach, wystraszymy ich i oni po prostu powrócą za tydzień, czy miesiąc, kiedy pójdziemy sobie gdzie indziej. Ale gdybyśmy się tam powłóczyli w zwykłych ubraniach, nie będą wiedzieli, że tam jesteśmy i złapiemy ich na gorącym uczynku.

- No, nie wiem. Wiesz, jaki jest stosunek Ronarka do noszenia munduru na służbie.

Kiedy zaczęli trzeci patrol, kapitan pojawił się nagle i przeprowadził pospieszną inspekcję. Edeard został prawie zdegradowany za „haniebny brak standardów”. Od tego czasu pilnował, by jego koledzy z oddziału przed opuszczeniem posterunku byli ubrani jak należy.

- Właśnie - zauważył Macsen. - Jeśli jesteś konstabłem z Jeavons, musisz być w mundurze, wszyscy to wiedzą. Więc nie będą oczekiwali nas bez mundurów.

- Hm, może. Pozwól mi najpierw pomówić z Chae, zobaczymy, co powie.

- Powie „nie” - stwierdził Boyd. - Znacie procedurę. Jeśli podejrzewany jest zamiar przestępstwa, wówczas wykorzystujesz georła do obserwacji terenu, a oddział czeka poza zasięgiem dalwzroku.

- Nie wiemy, jak długo będziemy musieli czekać - zauważył Macsen. - I Edeard ma tylko jednego georła.

- Możesz wyrzeźbić więcej, prawda? - spytał Boyd. - Powiedziałeś nam że byłeś uczniem Jajoformerem.

- Nie może rzeźbić bez licencji Gildii, nie w Makkathranie - odparł Macsen. - To prawo. W końcu musielibyśmy go arestować. Wiecie, jak pieczołowicie gildie strzegą swego monopolu. W każdym razie, to ma się zdarzyć niedługo. Nie mamy czasu na wyrzeźbienie georłów. Dlatego musimy patrolować w przebraniu.

- Zwykłe ubrania nie są przebraniem - zaprotestował Boyd.

- To nie ma znaczenia, jakie nosimy ubrania, tak długo, jak nie jesteśmy w mundurze - powiedział Macsen, zirytowany. - Ubierz się jak chcesz. Może w sukienkę: z pewnością zachowujesz się jak stara baba.

- Świetny pomysł, bystrodupku. Jeśli gang jest taki sprytny, jak mówisz, i tak będą znali twarze nas wszystkich.

- Wystarczy - przerwał Edeard, unosząc dłonie w górę. - Porozmawiam z Chae, gdy tylko wrócimy. Do tej pory, będę trzymał swego georła blisko ulicy Boltan. W środku patrolu nie mogę zrobić nic więcej, więc proszę, na razie dajcie temu spokój.

- To tylko sugestia - burknął Macsen i odszedł.

- Umyślnie go drażnisz? - spytał Macsen Boyda.

Tyczkowaty chłopak uśmiechnął się przebiegle.

- Nie muszę na to odpowiadać. Nie zeznaję pod przysięgą.

Edeard roześmiał się. Boyd sprzed sześciu miesięcy nigdy nie ośmieliłby się na złośliwość w stosunku do kogokolwiek, nie mówiąc już o przyjaciołach.

Oddział ruszył znowu brzegiem kanału, kierując się za jego łagodną krzywizną na północ. Edeard planował marsz drogą nad brzegiem, aż do połączenia z Kanałem Zewnętrznego Kręgu, a potem powrót do Jeavons.

Posłał swego georła niskim lotem nad dachami i wieżami dzielnicy, prowadząc go do ulicy Boltan. Poranek był szary i wilgotny. Ostatnie nocne deszczowe chmury przesuwają się powoli na zachód, ale nadal zasłaniały niebo. Każda

powierzchnia była śliska od deszczu. Jednak niezłomni obywatele Makkathranu jak zwykle masowo wylegli z domów, tłocząc się na ulicach i w wąskich przejściach.

Georzeł Edearda mknął nad nimi cicho, ignorowany przez większość. A potem zauważył ruch, który nie mieścił się w normie. Ktoś w połowie ulicy Sonral, ubrany w kurtkę z kapturem odwrócił się od orła i poprawił kaptur, naciągając go całkowicie na głowę.

To mogło nic nie znaczyć, georzeł znajdował się nadal pięćdziesiąt metrów dalej. I było mokro i chłodno. W takich okolicznościach naciągnięcie kaptura było czynnością w pełni usprawiedliwioną. Tego ranka na tej samej zygzakowatej ulicy wiele osób nosiło kapelusze. I nie tylko ten mężczyzna nosił kurtkę z kapturem.

Ale coś tu nie gra, wiem o tym.

- Poczekajcie - polecił oddziałowi.

Omiótł ulicę dalwzrokiem szukając tej jedynej podejrzanej postaci. Umysł mężczyzny był zasłonięty, choć sączył się z niego odcień niepewności. Znowu, było to zupełnie normalne, mógł się martwić o cokolwiek, od przykrej kłótni z żoną, aż po długi.

Edeard zauważył obrany przez mężczyznę kierunek i nakazał georłowi lot po długiej krzywej. Usadził go na okapie trójkondygnacyjnego budynku na końcu ulicy Sonral, poza zasięgiem wzroku śledzonego obiektu. Edeard czekał i zorientował się, że mężczyzna w bluzie z kapturem nie jest sam - szedł z dwoma innymi. Potem georzeł zobaczył go na ulicy, kiedy mężczyzna wyłonił się zza jednego z łagodnych zakrętów. Tym razem jego kaptur ześlizgnął się nieco do tyłu.

- Och tak, Pani, dzięki - powiedział Edeard.

- Co się dzieje? - spytał Dinlay.

- Wrócił - warknął Edeard. - Złodziej z rynku w Silvarum, ten, który trzymał pudło.

- Gdzie! - zażądała informacji Kanseen.

- Ulica Sonral.

Oddział okazał irytację.

- Nie możemy sięgnąć tak daleko dalwzrokiem - poskarżył się

Boyd.

- Dobrze, macie tutaj. - Edeard przesłał im obraz widziany przez georła.

- Jesteś pewien? - spytał Macsen.

- Ma rację - powiedziała Kanseen. - To ten sukinsyn. Właśnie dotarłam do niego dalwzrokiem.

- Ma ze sobą dwóch innych - poinformował ich Edeard. - I georzeł go denerwuje, więc nie przyszli tu robić nic legalnego. Rozdzielmy się i otoczmy ich. Cały czas niech oddziela was od nich ulica. Będę ich śledził dalwzrokiem. Nie chcę ryzykować, by znowu zobaczyli georła, to by ich odstraszyło.

Uśmiechnęli się do siebie, podenerwowani i podnieceni.

- Idź! - krzyknął Macsen.

Po pięciu minutach joggingu Edeard żałował, że tak mało przykładał się do utrzymywania kondycji. Tak jak wcześniej, obywatele Makkathranu niechętnie ustępowali komuś, kto się spieszy, a już najmniej chętnie czerwonicemu, spoconemu, dyszącemu młodemu konstablowi. Omijał, popychał i przeciskał się po ulicach i przejściach, ignorując biadolenia i patrząc gniewnie na każdego, kto się skarżył. Ciepły i ciężki materiał munduru, który ograniczał ruchy, jeszcze pogarszał sprawę. W końcu zajął pozycję na zachód od złodziejskiej trójki. Dalwzrok pokazał mu jego kolegów z oddziału, zajmujących pozycje dookoła.

- Mam ich. - Kiedy zwolnił do marszu, dotarła do niego dalmowa Dinlaya.

- Ja też - zameldował Boyd.

- Jak ci się wydaje, co przyszli ukraść? - zapytał Macsen.

- Coś małego, by łatwo to było nieść i cennego, by warto było ryzykować.

- Następna osoba uważała na naszych wykładach. Ale niestety, to obejmuje około dziewięćdziesięciu procent sklepów w okolicy.

- Może to być też coś w magazynach - zasugerował Boyd.

- Lub w jakimś domu - dodała Kanseen.

- Po prostu na nich uważajmy - polecił Edeard. - Kiedy wejdą do jakiegoś budynku, otoczmy ich. Pamiętajcie, by poczekać aż

popęlnią przestępstwo, zanim ich zatrzymamy.

- Hej, nigdy bym o tym nie pomyślał - powiedział Macsen.

Edeard pozwolił, by jego dalwzrok omiótł budynki wokół trójki, i spróbował zgadnąć, co też ich mogło interesować. Beznadziejne zadanie.

Podejrzani skręcili z ulicy Sonral w przejście tak wąskie, że ledwie mieściła się w nim jedna osoba. Edeard zawahał się, kierowali się ku jego ulicy, ale to była ślepa uliczka, zablokowana ścianą domu wysoką na przeszło pięć metrów. Jego dalwzrok sondował okolicę i odsłonił serię podziemnych składów pod jednym ze sklepów jubilerskich na ulicy Sonral. Prowadziło do nich przejście zamknięte od uliczki grubymi metalowymi drzwiami.

- Przynajmniej mają stałe zainteresowania - zauważył. - Na górze jest sklep jubilera.

- Na górze czego? - spytał Boyd.

- Od uliczki odchodzi rodzaj przejścia - wyjaśniła mu Kanseen. - Prowadzi ono gdzieś w dół. Edeardzie, czy naprawdę możesz wyczuć, co tam jest?

- Trochę - przyznał niechętnie. - Po prostu jakaś otwarta izba. Tak mi się wydaje.

Przez chwilę chciał, by wszyscy mieli tę jego zdolność - znacznie ułatwiłoby to życie.

- Więc co teraz? - spytał Macsen. - Nie możemy się na nich rzucić, nie w tej uliczce.

- Poczekajcie przy końcu - poradził Dinlay. - Będzie im trudno uciec. Dalwzrok Edearda ukazywał całą sieć wzajemnie połączonych przejść i pomieszczeń przebiegających pod rzędem sklepów. Wszystkie przejścia miały drzwi z zamkami, ale kiedy już złodzieje znajdą się w środku, istniała szansa, że umkną oddziałowi tym małym podziemnym labiryntem.

- Niech reszta z was pójdzie na ulicę Sonral. - Polecił. - Ja obejdę tyły i zobaczę, czy nie ma tam innej drogi na dół.

- Idziesz sam? - spytała Kanseen. - Edeardzie, jest ich trzech i wiemy, że mają noże.

- Po prostu mam zamiar się upewnić, że nie mają innej drogi

ucieczki, to wszystko. Szybko, ruszajcie się.

Miał niewyraźną świadomość kolegów z oddziału, spieszących ku wylotowi uliczki na szeroką ulicę. Jeden ze złodziei nachylił się przy drzwiczkach, robiąc coś pierwszemu z pięciu zamków. Z tego, co wyczuwał w tych zamkach, Edeard wiedział, że nie będą próbowali ich po prostu otwierać. Mocno się skoncentrował, przepychając dalwzrok przez tkankę miasta, by zmapować zakopany labirynt pomieszczeń i przejść. Nie licząc wejścia przez które włamywała się trójka, były tam jeszcze trzy Wyjścia.

Poniżej tego poziomu Edeard wyczuł sieć szczelin, splatających razem konstrukcję miasta. Niektóre skręcały w górę, obok magazynów, rozgałęziając się na mniejsze szczeliny, oplatające ściany budynków nad nimi. Cofnął się wzdłuż szczelin i znalazł zawiłą trasę wiodącą do ulicy, na której stał. Sięgnął trzecią ręką i badał materię ścian z tyłu zwężającej się alkowy między dwoma sklepami. Nic, ściana była solidna jak granit.

- Proszę - wyszeptał dalmową do umysłu śpiącego miasta - Wpuść mnie.

Coś niedotykalnego poruszyło się pod nim. Z dachu powyżej zerwało się stado ruumew.

- Tutaj. - Umysłem pchnął tył alkowy.

Coś odpowiedziało pchnięciem. Kolorowe kształty wzniosły się w jego myślach, wirując znacznie szybciej od ptaków nad głową. W stanie oszołomienia pomyślał, że przypominają one liczby i symbole matematyczne, ale o wiele większe i bardziej złożone niż wszystko, czego kiedykolwiek uczył się na arytmetyce. Za pomocą tych symboli z pewnością można by wyjaśnić świat. Tańczyły jak chochliki, ustawiały się w nowym porządku, a potem oddalały się, wirując.

Edeard wciągnął powietrze, starając się ustać na drżących nogach. Serce waliło mu znacznie mocniej niż wcześniej podczas biegu przez ulice. Czuł, jak struktura ściany zmienia się. Kiedy patrzył przed siebie, wyglądała dokładnie tak jak przedtem, ciemnofioletowa powierzchnia z szarymi plamkami, ciągnąca się na samą górę, gdzie pokrzywione dachy przecinały się trzy kondygnacje powyżej. Ale kiedy dotknął jej trzecią ręką, ściana

ustąpiła. Wokół niego, na ulicy spacerowali ludzie. Edeard poczekał, kiedy będzie względnie pusto i wstąpił do małej alkowy. Nikt go teraz nie widział. Dotknął ściany z tyłu i wsunął w nią dłoń. Skóra wokół palców zamrowiła, jakby zanurzał ją w drobnym piasku. Wszedł w ścianę. Było to uczucie, które jego mózg zinterpretował jako przepływające przez ciało fale suchej wody. Potem znalazł się w środku. Otworzył oczy - wokół panowała zupełna ciemność. Omiótł otoczenie dalwzrokiem i stwierdził, że jest zawieszony w pionowej rurze. Mimo że nic nie widział, instynktownie spojrzął w dół. Dalwzrok potwierdził, że stoi na niczym.

- Och, Pani.

Zaczął się obniżać. Jakby bardzo potężna trzecia dłoń łagodnie opuszczała go na dno szczeliny, która pod budynkami odchodziła poziomo. A jednak był przekonany, że nie jest to uchwyt telekinetyczny. Nie wyczuwał nic takiego - manipulowała nim jakaś inna siła. To dziwne, w żołądku miał poczucie, jakby spadał gdzieś bezwładnie, mimo że poruszała się dość wolno.

Stopy dotknęły powierzchni gruntu. Wtedy siła, która go wcześniej uchwyciła, wycofała się, pozwalając by opadł do przykłąku. Kiedy dotknął ściany szczeliny, poczuł, że pokrywa ją śliska warstewka wody. Strumyk sączył się po palcach jego butów - słyszał jego ciche gulgotanie.

- To ściek - powiedział głośno, zdumiony, że może istnieć coś równie fantastycznego służącego tak przyziemnemu celowi.

Mimo że dalwzrok dawał idealnie czysty obraz poklepał w koło dłońmi. Szczelina ścieku była dla niego nieco za niska, by mógł iść wyprostowany. Ściany boczne były oddalone od siebie o jakieś półtora metra. Nabrał powietrza i dość nieszczęśliwy z powodu niepokojącej go klaustrofobii, schylony ruszył naprzód.

Złodzieje sforsowali zamknięte drzwi na górnym końcu przejścia. Imponujący wynik jak na tak krótki czas. Dwóch z nich schodziło krętymi schodami do drzwi zamykających dolny koniec przejścia, a trzeci trzymał straż na zewnątrz. Edeard przyśpieszył kroku pokonując kilka rozwidleń ściekowej szczeliny. Obserwował, jak złodzieje manipulują przy drugich

drzwiach i przez nie przechodzą. Potem znalazł się dokładnie pod składem, który łupili. Układ pomieszczenia był wyraźny, drewniane stojaki umieszczono równolegle do siebie. Małe pudełka leżały w stosach na półkach. Wielkie żelazne pudło ze skomplikowanym mechanizmem zamykającym stało w rogu. Złodzieje je ignorowali.

Edeard spojrział w górę, a jego dalwzrok przenikał substancję miasta nad nim - solidną masę podobnego do skały materiału, grubą na niemal pięć metrów. Skoncentrował się. Zamknął oczy - to głupie, ale cóż... I przyłożył swój umysł.

Znowu równania pojawiły się znikąd i śmiało tańczyły wokół jego myśli. Zaczął się wznosić, prześlizgiwać przez kiedyś solidną substancję jak kawałek korka wyskakujący na powierzchnię morza. Jeszcze raz jego żołądek był przekonany, że Edeard spada - przekonany do tego stopnia, że wywołało to silne nudności. Prawie dotarł do podłogi, kiedy zdał sobie sprawę, że złodzieje poczują go w chwili, gdy wyskoczy na powierzchnię. Szybko naciągnął na siebie ukrycie. Potem wynurzył się w składzie. Wszędzie wokół lśniło słabe niebieskie światło. Podłoga pod butami stwardniała.

- Co to było? - spytał głośno.

Edeard stał za stojakiem z tyłu składu, skryty przed bezpośrednim wzrokiem. Wstrzymał oddech.

- Nic. Przestań, kurwa, panikować. Tu jest tylko dwoje drzwi, a drugie są zamknięte na klucz. Teraz pomóż mi znaleźć to gównno, po które przyszliśmy, zanim ktoś nas wyczuje.

Edeard powoli obszedł koniec stojaka. Widział obu złodziei, idących wzdłuż stojaka, zdejmujących pudełka z półki i otwierających je jakimś rodzajem narzędzia. Szybkie spojrzenie do środka i odrzucenie pudełka. Wydawało się, że większość z nich zawiera buteleczki. Kilkadziesiąt dzwoniło tocząc się po podłodze.

- Mamy - ogłosił ten w kurtce z kapturem. Właśnie włamał się do pudełka pełnego drobnych paczuszek. Jedną otworzył i odsłonił zwój metalowej nici. Edeard nie rozpoznawał tego w słabym pomarańczowym oświetleniu składu, ale mogło to być

złoto.

- Sprawdź pozostałe - powiedział drugi.

Ten w kurtce z kapturem zaczął napychać paczuszkami wewnętrzne kieszenie.

Edeard porzucił swe maskowanie.

- Co do kurwy... - Obaj złodzieje obrócili się gwałtownie i stanęli przodem do niego.

- Witam ponownie - powiedział Edeard. - Pamiętacie mnie?

- Edeard! - Przestraszony głos Kanseen wypełnił mu w czaszkę.

- Słodka Pani, gdzie się podziewałeś? Już szaleliśmy. Jak się tam dostałeś?

- Pamiętam cię. Gówienko z rynku. - Złodziej w kurtce z kapturem splunął. - Kurewsko wiedziałem, że ten georzeł czegoś szuka. - Sięgnął do kurtki i wyciągnął długi nóż. Jednocześnie jego trzecia ręka próbowała wepchnąć się w pierś Edearda i ścisnąć mu serce.

Edeard zaśmiał się odpierając atak. Potem wysunął własną trzecią dłoń i zmiażdżył nóż trzymany przez złodzieja. Metal zafalował, a potem zniekształcił się w wąski, wygięty kolec. Edeard zagiął koniec w kształt litery „U”.

- Jesteście aresztowani za kradzież i próbę ataku na konstabla.

- Kurwa! - wrzasnął jeden i uciekł do drzwi.

- Jeden wychodzi - zawiadomił dalmową Edeard swoich kolegów.

- Co z tobą? Wszystko dobrze? - spytał Dinlay.

- Lepiej być nie może.

Nie odrywał wzroku od złodzieja w kapturze. Mężczyzna poniósł do góry zniszczony nóż i uśmiechnął się z podziwem.

- Ostry facet, he. Czy jesteś również bystry? Jest tu dosyć cennego metalu, by wszystkich uszczęśliwić.

- Chcesz dodać do zarzutów próbę przekupstwa?

- Idiota. - Złodziej odwrócił się od Edearda i nonszalancko poszedł do drzwi prowadzących do przejścia.

- Natychmiast stań - rozkazał Edeard.

Trzecia ręka mężczyzny podniosła jedną z buteleczek w powietrze z tyłu za nim. Edeard nachmurzył się niepewnie.

Druga butelka wzniosła się i przyśpieszyła, by uderzyć w pierwszą. Szkło rozprysło się.

Wytrysnęła kula ognia, oślepiająco biała w mrocznym składzie. Edeard instynktownie okręcił się i umocnił tarczę. Rozpłaszczyły się na niej płonące kulki.

- Edeard! - zawołał oddział jednym głosem.

- Wszystko w porządku.

Wściekle mrugał, próbując się pozbyć długich, fioletowych ognistych plam. Kwaśny zapach tężał, ale jego dalwzrok wykazywał tylko kilka płomyczków na stojaku najbliższym do kuli ognia. Pacnął je trzecią dłonią, gasząc płomień, zanim spowodowały jakieś prawdziwe zagrożenie. Potem zauważył czarne dziurki w pudełkach rozproszonych na podłodze, jakby płomień przeżarły się przez nie bardzo szybko. Nierówne brzegi nadal się tliły. Kiedy spojrzał bliżej, zobaczył że pudełka pokrywa jakiś rodzaj smoły, która ścieka bąblami. Pokręcił głową zdumiony.

- Mamy ich - ogłosił zwycięsko Macseen. - Pani, ten ostatni to arogancki sukinsyn. Edeardzie, jesteś pewien, że nic ci nie jest?

- Taa, czuję się świetnie.

Ruszył ze składu. Jakiś głęboki instynkt kazał mu starannie omijać łąty gorącej cieczy połyskującej na podłodze. Cienkie smużki pary odkładały się warstwami blisko sufitu, wytwarzając smród, od którego łzawiły oczy. Kiedy mijał masywne metalowe drzwi, nastąpił na kilka paczuszek z metalową nicią. Złodziej wyrzucił je. Edeard podniósł jedną z nich, nachmurzony.

Czemu on to zrobił? Zdziwiony pośpieszył w górę przejściem i wyszedł w uliczkę, gdzie czekał jego oddział z poskromionymi więźniami. Teraz miał czas pomyśleć o tym, co zrobił, co jego oddział osiągnął i jego euforia wzrastała z mocą wschodzącego słońca.

Sąd zebrano w Domu Parlamentu Makkathranu, który dominował w dzielnicy Majate. Technicznie biorąc był to jeden budynek, ale jego części składowe zlały się w wioskę złożoną z

ogromnych sal, pokojów zebrań, audytoriów i gabinetów z krużgankami zamiast ulic. Dokładnie w środku znajdowała się wymyślna Izba Demokracji, gdzie zbierała się Wielka Rada, by dyskutować o strategii i prawach. Izbę owijały ochronnie rzędy gabinetów Gildii Urzędników, którzy czuwali nad wdrażaniem zarządzeń miejskich i zbierali podatki. Całe skrzydło zawierało porządnie urządzone gabinety dla wszystkich przedstawicieli dzielnic, gdzie mogli ich odwiedzać wyborcy ze skargami na każdą rzekomą lub rzeczywistą niesprawiedliwość. Gdzieś wewnątrz (według pogłoski - w podziemiach) znajdowały się Skarbce, zawierające góry złota i srebra. Tam też bito monety. Naczelný Konstabl również urzędował w jednej z pięciu stożkowatych wież, razem ze swoim skromnym personelem. Przez wieki wieża najbardziej wysunięta na zewnątrz, najbliższa bramom miasta, mieściła koszary milicji. Jednak milicjanci opuścili ją już dawno temu - żołnierze na służbie przenieśli się do kilku koszar w obrębie miasta, a ich Generał i starsi oficerowie zajęli rezydencje w Pałacu Sadowym, tuż obok. Opróżnione koszary zostały chętnie przejęte przez stale rozrastającą się Gildię Prawników.

Choć cały kompleks był demokratycznie otwarty dla wszystkich, przeciętny obywatel Makkathranu był najbardziej zaznajomiony ze wzajemnie połączonymi kopułami nad Kanałem Wewnętrzny Kręgu. Mieściły się w nich Sądy Sprawiedliwości jak również główne cele dla osób zatrzymanych przez konstabli. Edearda i resztę oddziału oprowadził po nich Mistrz Solarin, który wyjaśnił historię każdego korytarza w niezmiernej i nudnej rozciągłości. Część ich szkolenia polegała na uczestniczeniu w procesach i na słuchaniu słownych potyczek prawników. Edeard z przyjemnością oczekiwał tej części, ale we wszystkich procesach, które oglądali, prawnicy ograniczali się do prostego przepytывania osób na stanowisku dla świadków. Kiedyś jednak wybuchła niejasna kłótnia na temat interpretacji precedensu, zaistniałemu czterysta lat temu, by rozstrzygnąć dysputę między dwoma sprzedawcami ryb a ich dostawcą, kto ma pierwszeństwo do połowu oparte na długości kontraktu. Edeard ledwo rozumiał

słowa, których używali, nie mówiąc już o zastosowanej logice. Jedyne proces kryminalny, jaki widzieli, był wtedy, gdy konstable zaaresztowali mnóstwo synów mniejszej rodziny podczas sprzeczki w teatrze pewnego późnego wieczora. Młodzi ludzie byli zażenowani, ani razu nie zakwestionowali raportu starszego sierżanta oddziału, przyznali się do winy we wszystkich zarzutach i zapłacili grzywnę, bez żadnych oporów.

Edeard zaczynał pojmować, jak bezużyteczne były te przygotowania i doświadczenia.

Dwaj sędziowie ze średniego sądu i jeden sędzia z rady Burmistrza zostali wyznaczeni do rozpatrywania sprawy trójki złodziei aresztowanych przez oddział Edearda. Sędziowie siedzieli razem za drewnianym podwyższeniem, biegnącym wzdłuż tylnej ściany owalnego pokoju sądu, ubrani w powłóczyście szkarłatno-czarne szaty, z obszytymi futrem kapturami przewieszonymi przez prawe ramię. Członek Rady Burmistrza miał na sobie dodatkowo złoty łańcuch, oznaczający wysoki status.

Po ich lewej stali złodzieje, ustawieni na miejscu dla oskarżonych, pilnowani przez dwóch sądowych konstabli w galowych mundurach. Złodzieje wreszcie podali swoje nazwiska. Przywódca w kapturze nazywał się Arminel. Najwyżej czterdziestoletni, z bladą wymizerowaną twarzą i o gęstych piaskowych włosach, które utrzymywał długie, by przykrywały duże uszy. Wyglądało, że w ogóle się nie przejmował. Jeżeli już coś malowało się na jego twarzy, to nuda. Jego współnikami byli Omasis i Harri. Harri był jeszcze nastolatkiem, stał na straży w uliczce. Oskarżono go jedynie o współudział w kradzieży. Arminel i Omasis zostali oskarżeni o kradzież i o kwalifikowane wtargnięcie. Na Arminelu ciążyło dodatkowe oskarżenie napaści na konstabla. Właściciel sklepu jubilerskiego szybko zidentyfikował zawartość dwóch butelek, które Arminel rozbił o siebie jako wysoce lotną opartą na spirytusie ciecz czyszcząca i kwas. Edeard zadrżał na myśl, co mogłoby się stać, gdyby nie miał dostatecznie silnej tarczy, by ochronić się przed ognistą kulą. Chciał, by Arminela oskarżono o atak na Kavine na rynku w

Silverum, ale Mistrz Vosbol, prawnik, którego kapitan Ronark zaangażował do wniesienia oskarżenia, powiedział nie. Było to zbyt dawno temu, by świadków uznano za wiarygodnych.

- Ale ja go natychmiast rozpoznałem - krzyknął Edeard.

- Zobaczylesz kogoś, kto zachowuje się podejrzanie - powiedział Mistrz Vosbol. - Wydawało ci się, że był to uczestnik poprzedniego przestępstwa.

- Kavine go rozpozna.

- Kavine został dźgnięty, dość paskudnie. Obrońca będzie utrzymywał, że to odbiera mu wiarygodność. Po prostu trzymajmy się tych oskarżeń, dobrze?

Edeard westchnął i pokręcił głową. To naprawdę powinno posłużyć jako ostrzeżenie co do metodyki stosowanej w sprawach sądowych w Makkathranie. Zamiast tego pierwsze podejrzenie, że sprawa nie jest tak wodoszczelna, jak sobie wyobrażali pojawiło się, kiedy wszyscy obrońcy zaczęli wnioskować, by uznać podejrzanych za niewinnych.

- Nie mówią tego poważnie - syknął Edeard, kiedy Mistrz Cherix, obrońca, stanął przed sędziami i złożył wniosek.

Oddział siedział pod tylną ścianą, wszyscy w mundurach galowych czekali, aż zostaną wezwani przez oskarżenie. Po jednej ich stronie siedział kapitan Ronark, po drugiej - sierżant Chae.

Niemal wszystkie miejsca na widowni były puste. Edeard nie wiedział czy powinien być z tego zadowolony, czy nie. Chciałby, żeby obywatele miasta wiedzieli, że jego oddział pomógł doprowadzić małą cześć ich kłopotów przed oblicze sprawiedliwości. Chciał im pokazać, że prawo ich nie opuściło.

Mistrz Cherix usłyszał tę uwagę, uniósł ze zdziwieniem brew i odwrócił się, by spojrzeć na oddział. Mistrz Vosbol rzucił im wściekle spojrzenie.

- Bądźcie cicho - rozkazał dalmową.

- To było - wyjaśnił Mistrz Cherix - okropne nieporozumienie. Moi klienci, to uczciwi obywatele, załatwiali własne sprawy, kiedy zauważyli wybuch w uliczce. Wybuch otworzył małe drzwiczki, a oni, pełni troski o ludzkie życie weszli do składu

pełnego dymu i płomieni - bardzo ryzykując - żeby sprawdzić, czy wewnątrz nie ma rannych. W tej właśnie chwili natknęli się na nich konstable i odnieśli całkowicie mylne wrażenie.

Jeden po drugim oskarżeni stawali na miejscu dla świadków i przysięgali, że działali bezinteresownie. Kiedy tak robili, ich nieosłonięte umysły promieniowały szczerością z odrobiną urażonej niewinności, że ich dobry uczynek zinterpretowano aż tak fałszywie. Mistrz Cherix kręcił głową ze współczuciem, zboląły, że konstable działali równie niewłaściwie.

- To znak czasu - oświadczył sędziom. - Ci konstable to młodzi ludzie, pełni dobrych chęci, w pośpiechu szkoleni przez władze miasta, które desperacko chcą obsadzić jak najwięcej etatów i zrealizować swe polityczne cele. Muszą dokonywać aresztowań, by się wyróżnić w oczach swego słynącego z surowości kapitana posterunku. W takich okolicznościach jest całkiem zrozumiałe, dlaczego zdecydowali się zinterpretować wydarzenia, tak jak to zrobili.

Edeard napotkał wzrok Arminela. Próbował mnie zabić, a jego prawnik utrzymuje, że to wszystko było nieporozumieniem? Że to my się myliliśmy. Było to tak szokujące, że niemal się roześmiał. Wtedy twarz Arminela drgnęła, tylko przez chwilę. Ta protekcyjnalna drwina wypaliła się w pamięci Edearda. Wiedział już, że to nie koniec. Do końca było jeszcze daleko.

Po dwóch godzinach słuchania obrońców, Edearda zawołano w końcu na miejsce dla świadków. Najwyższy czas, zaraz zdołam to wyprostować.

- Konstablu Edeard. - Cheri uśmiechnął się ciepło. Zupełnie nie przypominał Mistrza Solarina. Był młodym człowiekiem, który ubierał się jak syn z rodziny kupieckiej. - Nie jest pan z miasta, prawda?

- Co to ma do rzeczy?

Mistrz Cherix przybrał zboląta minę i zwrócił się do sędziów.

- Moi panowie?

- Odpowiedz bezpośrednio na pytanie - polecił doradca Burmistrza.

- Tak, proszę pana. - Edeard poczerwieniał. - Nie. Urodziłem się

w prowincji Rulan.

- I jesteś tutaj ile czasu? Pół roku?

- Nieco więcej niż pół roku, owszem.

- Więc prawdziwe będzie stwierdzenie, że nie znasz całkowicie miasta.

- Jakoś znajduję drogę.

- Miałem na myśli raczej sposób, w jaki zachowują się nasi obywatele. Więc może byś mi opowiedział, co się wydarzyło?

Edeard rozpoczął swoje przeciwiczone wyjaśnienia. Mówił o tym, jak Arminel unikał georła. O oddziale, który ich śledził na ulicy Sonral. Jak ustawili się w formacji otaczającej i obserwowali dalwzrokiem. Jak wyczuł Arminela wyłamującego zamek.

- W tym momencie ich otoczyliśmy, a ja zobaczyłem oskarżonego, jak kradnie złoty drut ze składu.

- Ciekawi mnie ten szczegół - powiedział Mistrz Cherix. - Kazałeś swemu oddziałowi czekać na ulicy Sonral przy wejściu do uliczki. Zszedłeś do składu. Ale zdawało mi się, że powiedziałeś, że Harriego pozostawiono „na warcie” w uliczce. Jak go wyminąłeś?

- Miałem szczęście, znalazłem drugie wejście przez sklep, który sąsiedował z jubilerem.

Mistrz Cherix kiwnął głową z podziwem. - Więc nie można tego nazwać bezpiecznym składem? Jeśli mogłeś tam po prostu wejść.

- To było trudne - przyznał Edeard, modląc się do Pani, by wybaczyła mu grzech. Ale to nie było kłamstwo, po prostu niewielka modyfikacja jego prawdziwej trasy do składu. - Ledwo zdążyłem dostać się tam na czas.

- Na czas czego?

- By zobaczyć, jak Arminel kradnie złoty drut. Robił to, zanim rzucił na mnie płonący kwas.

- Rzeczywiście. Chciałbym, by wyjaśnił pan inny szczegół, konstablu. Kiedy wyszedłeś po tym rzekomym zdarzeniu, by dołączyć do swego oddziału, czy Arminel miał przy sobie ten przypuszczalny „złoty drut”.

- Cóż, nie, wyrzucił go, kiedy go zatrzymałem.

- Rozumiem. I twoi koledzy mogą to potwierdzić, prawda?

- Wiedzą... tak.

- Tak, co? Konstablu.

- Złapaliśmy ich jak to robili. Widziałem go!

- Zgodnie z twoim zeznaniem, w czasie rzekomej kradzieży byłeś głęboko pod ziemią w źle oświetlonym składzie. Który z twoich kolegów może widzieć dalwzrokiem przez piętnaście metrów solidnej materii miasta?

- Kanseen. Wiedziała, że tam jestem.

- Dziękuję, konstablu. Obrona chciałaby wezwać konstabla Kanseen.

Kanseen, idąc na miejsce dla świadków minęła Edearda. Obydwoje starannie utrzymywali nic niewyrażające miny, ale widział, jaka jest zmartwiona. Kiedy usiadł obok Dinlaya pozostali uśmiechnęli się ze współczuciem.

- Dobra robota - szepnął Chae.

Edeard nie był przekonany.

- Masz dalwzrok niemal tak dobry jak dowódca oddziału? - zapytał Mistrz Cherbc.

- W testach wypadliśmy niemal jednakowo.

- Tak więc z twojej pozycji na ulicy Sonral mogłaś wyczuć, co działo się w składzie?

- Tak.

Edeard skrzywił się, taki miała niepewny głos.

- Ile było tam złotego drutu? - Ja... eee... nie jestem pewna.

- Uncja? Tona?

- Kilka pudełek.

- Konstablu Kanseen - Mistrz Cherix uśmiechnął się ujmująco. - Czy to był domysł?

- To zbyt mało złota, by można było to określić przez sporadyczne omiecenie dalwzrokiem.

- Porzucę ten temat na chwilę. Konstabl Edeard utrzymuje, że wyczułaś go tam.

- Wyczułam - odpowiedziała pewnie. - Poczułam go, jak pojawił się z tyłu. Niepokoił się, że straciliśmy jego ślad.

- Poczuaś jego umysł. Istnieje wielka różnica między promiennym źródłem myśli, a bezwładnym materiałem, prawda?

- Tak, oczywiście.

Mistrz Cherix poklepał marynarkę, którą nosił pod czarną szatą.

- W jednej kieszeni mam kawałek złotego drutu, w drugiej identyczny kawałek stalowego drutu. Który jest który, konstablu.

Edeard skoncentrował swój dalwzrok na prawniku. Rzeczywiście, w kieszeniach miał jakiś rodzaj gęstych linii materii, ale nie było sposobu, by powiedzieć, jaka jest natura każdej z nich.

Kanseen patrzyła prosto przed siebie.

- Nie wiem.

- Nie wiesz. A jednak dzieli nas tylko półtora metra czystego powietrza. Więc możesz naprawdę stwierdzić z całą pewnością, że mój klient brał złoty drut, kiedy znajdował się za piętnastoma metrami solidnej materii?

- Nie.

- Dziękuję, konstablu, nie mam więcej pytań.

Doszło do sprzeczki między dwoma prawnikami. Edeard zgrzytał zębami, kiedy przedstawiono to, jako dylemat czy uwierzyć jemu czy Arminelowi.

- Podejrzane działanie - Mistrz Vosbol wyliczał na palcach. - Dostanie się do magazynu za dwójgiem zamkniętych drzwi. Przyłapanie podczas kradzieży złotego drutu przez konstabla o nieposzlakowanym charakterze. Moi panowie, dowody są przytłaczające. Weszli do magazynu z wyraźną intencją popełnienia kradzieży. Kradzieży, która została mężnie udaremnioma przez tych doskonałych konstabli, którzy narazili się na wielkie niebezpieczeństwo osobiste.

- Mamy tu jedynie poszlaki - oznajmił Mistrz Cherix. - Fakty zniekształcone przez oskarżenie, by poprzeć wymyślony ciąg zdarzeń. Chłopak ze wsi sam w podziemnym miejskim magazynie pełnym dymu i płomieni. Zdezorientowany dziwnym otoczeniem i niestety niewiarygodny; jego twierdzenia niepoparte przez jego własnych kolegów i przyjaciół z oddziału. Moi klienci nie zaprzeczają, że byli w magazynie z powodu pożaru, tak zareagowałby każdy odpowiedzialny obywatel. Oskarżenie nie pokazało żadnego dowodu, że kiedykolwiek

dotknęli złotego drutu. Chciałbym zwrócić uwagę waszych miłości na precedens Makkathran przeciw Leaney, dowody oparte na pogłoskach są nie do przyjęcia.

- Sprzeciw - warknął Mistrz Vosbol. - To jest świadectwo urzędnika miejskiego, nie pogłoska.

- Niepoparte niczym świadectwo - odparł Mistrz Cherix. - Trzeba je traktować tak samo, jak relację moich klientów.

Sędziowie naradzali się przez osiem minut.

- Dowody są niewystarczające - ogłosił Radca Burmistrza. - Sprawa oddalona. - Postukał młotkiem w stół.

Edeard schował twarz w dłoniach. Zupełnie nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

- Pani, nie - wydyszał.

Obrońcy triumfowali, radośnie klepiąc się po plecach. Edeard czuł obrzydzenie, widząc jak Mistrzowie Vosbol i Cherbc ściskają sobie dłonie.

- To się zdarza - powiedział poważnie kapitan Ronark. - Zrobiliście wspaniałą robotę, nikt nie zrobiłby tego lepiej. Jestem z was dumny. Ale tak to się obecnie odbywa w Makkathranie.

- Dziękujemy, proszę pana - powiedzieli ponuro Dinlay i Macsen.

Ronark chciał ich pocieszyć i zastanawiał się, czy powinien mówić coś więcej.

- To będzie dla was z korzyścią - powiedział. - Wyobrażam sobie, co o tym myślicie w tej chwili, ale następnym razem będziecie wiedzieli, co robić, jak dodatkowo starać się przy zbieraniu dowodów i przygwoździmy małego sukinsyna właściwie i na dobre.

Skinął głową Chae i poszedł porozmawiać z Mistrzem Vosbolem.

- Stawiam wam wszystkim drinka - powiedział Chae. - Wiem, jak to boli, wierzcie. Widziałem, jak te przemądrzałe prawnicze dupki wydobywają męty oskarżone o gorsze rzeczy niż to.

- Podwójne i nielegalnie mocne - powiedział Macsen.

Inni zgodnie kiwnęli głowami. Spojrzeli na Edearda.

- Jasne - powiedział.

Arminel zasalutował mu, przykładając dwa palce do czoła. Uśmiechał się triumfująco.

Edeard miał ochotę przejść przez salę sądową i wpakować pięść w twarz mężczyzny. Zamiast tego mrugnął w odpowiedzi.

- Jeszcze się zobaczymy - szepnął.

Unisfera nigdy nie była systemem jednorodnym, ani zaprojektowanym według jakichś logicznych zasad. Stanowiło to pewną ironię, jeśli rozważyć w pełni cyfrowe medium, z którym miała do czynienia. Wyrastała i rozwijała się ona natomiast skokowo, aby zaspokoić handlowe i cywilne wymagania nałożone na nią przez rozrastającą się międzygwiazdną cywilizację. Z definicji unisfera nie była niczym więcej niż protokołami połączeń między wszystkimi planetarnymi cybersferami, a one były niewiarygodnie różnorodne. Niemal wszystkie techniki sprzętowe, które stworzyła rasa ludzka nadal działały na światach Wielkiej Wspólnoty, od staromodnych makromatryc z programami LI, przez półorganiczne sześciany, klocki z drutu kwantowego, inteligentne sieci neuronowe, kryształy fotoniczne, aż do ZAN, która mówiąc ściśle była po prostu jeszcze jednym węzłem komunikacyjnym. Połączenia międzygwiazdne również się różniły. Centralne Światy Wspólnoty nadal wykorzystywały swoje oryginalne wormhole zerośrednicowe, podczas gdy Światy Zewnętrzne używały kombinacji wormholi i modulacji hiperprzestrzennej. Kanały transwymiarowe stawały się coraz bardziej powszechne zwłaszcza w ostatnim pokoleniu Światów Zewnętrznych. Statki również mogły się komunikować, pod warunkiem, że znajdowały się w zasięgu sieci kosmicznej obserwacji jakiegoś układu gwiazdowego. Ogromna luka między technikami i pojemnościami w obrębie unisfery oznaczała, że oprogramowanie zarządzające rozrosło się przez wieki, by dostosować się do każdego nowego zastosowania i modyfikacji. Przy praktycznie rzecz biorąc nieograniczonej pamięci, aktualizacje, adaptory, retrokryptory i interpretery nawarstwiły się w każdym węźle niczym warstwy cebuli. Były zdolne do komunikowania się z dowolnym innym kawałkiem sprzętu, który dołączono do sieci pod koniec

dwudziestego pierwszego wieku i później; ale ponieważ każde połączenie wymagało skomplikowanego oprogramowania, proporcjonalnie wzrastał problem bezpieczeństwa. Wyspecjalizowanemu programiście stosunkowo łatwo było po cichu ukryć programy przekierowujące i echoklonujące wśród gromadzonych przez wieki modyfikacji i łat programowych. Wszyscy obchodzili ten problem stosując własne szyfrowanie danych. Jednak, aby odcyfrować wiadomość, odbiorca musiał posiadać właściwy klucz. Superbezpiecznych kluczy nigdy nie przesyłano przez unisferę, wymieniano je fizycznie, co było powszechnie stosowaną metodą przy transakcjach finansowych. Mniej bezpieczna metoda polegała na tym, że u-adiunkt użytkownika przekazywał klucz jedną drogą, a potem samą wiadomość inną. Przy fenomenalnej liczbie możliwych (wybieranych losowo) dróg dostępnych w unisferze, większość ludzi (którzy kiedyś się nad tym zastanawiali) uważało ten sposób za wystarczające zabezpieczenie. Mimo wszystko monitorowanie każdej drogi do konkretnego adresu - najpierw dla klucza, potem dla wiadomości, wymagałoby kolosalnego nakładu środków obliczeniowych.

Oczywiście, takie założenia robiono we wczesnych wiekach, zanim powstała ZAN. Dla każdego osobnika załadowanego do ZAN dostęp do takich zasobów był codziennością. Frakcja Awangardów rutynowo skanowała wszystkie wiadomości do ZAN:Władz, by sprawdzić, czy któreś z jej własnych działań zostało zauważone i czy o nim zameldowano.

Program monitorujący Frakcji zauważył, że z jakiegoś statku do sieci obserwacji kosmosu planety Wohlen przesyłany jest fragment klucza. Ponieważ klucz przeznaczony był dla wydziału bezpieczeństwa ZAN:Władz, włączył się sygnał alarmowy. W ciągu następnych dwóch i trzech dziesiątych sekundy z siedmiu różnych planet przybyło pozostałe siedem fragmentów klucza. Monitor zanotował, że ktoś próbuje nawiązać bardzo bezpieczne połączenie. Nic nadzwyczajnego, mimo wszystko adresatem był wydział bezpieczeństwa. Jednakże wszystkie osiem planet znajdowało się w promieniu dwudziestu pięciu lat świetlnych od

tajnej sekcji wytwórczej Frakcji Awangardów. To podniosło rangę alarmu na stopień pierwszy.

Trzy sekundy później wyniesiona umysłowość Ilanthe odbierała bezpieczne połączenie, przekazywane przez dziewiątą planetę, Łoźnice, siedemnaście lat świetlnych od stacji.

- Tak Troblumie? - spytały ZAN:Władze.

- Chcę się z kimś zobaczyć. Kimś szczególnym.

- Będziemy uszczęśliwione ułatwiając spełnienie każdej prośby związanej z bezpieczeństwem Wspólnoty. Czy możesz być bardziej konkretny?

- Pracuję dla Frakcji Awangardów. Zmieńcie to na „pracowałem”. Mam informację, bardzo ważną informację dotyczącą ich działalności.

- Będziemy szczęśliwe mogąc otrzymać twoje dane.

- Nie. Nie ufam wam. Już nie. Część was jest zła. Nie wiem, jak daleko rozszerzyło się zakażenie.

- Możemy cię zapewnić, że ZAN:Władze zachowują swoją integralność, zarówno jeśli chodzi o istotę struktury, jak i o moralność.

- Jakbyście mogli powiedzieć coś innego. Nie mam nawet pewności, czy mówię do ZAN:Władz.

- Sceptycyzm jest zdrowy, pod warunkiem, że nie wznosi się do poziomu paranoi. Tak więc, przy założeniu, że nam nie ufasz, co możemy dla ciebie zrobić?

- Mam prawo do paranoi, po tym, co widziałem.

- Co takiego widziałeś?

- Nie tobie. Powiem to Pauli Myo. Jest jedyną osobą, która pozostała z tych, którym ufam. Przekierujcie tę rozmowę do niej.

- Zapytamy, czy pragnie cię wysłuchać.

Piętnaście sekund później, na linię weszła Paula Myo.

- Czego chcesz? - spytała.

- Jest coś, co musisz wiedzieć. Coś, co zrozumiesz.

- Więc mi to powiedz.

- Muszę mieć pewność, że to ty. Gdzie jesteś?

- W kosmosie.

- Czy możesz się dostać na Sholapur?

- Dlaczego miałabym tego chcieć?

- Powiem ci wszystko, co wiem o ich planach połączenia się, o całym sprzęcie, który zbudowali, o wszystkich zamieszanych w to ludziach. Musisz tego posłuchać, pozostałaś jedyną osobą, która sobie z tym poradzi.

- Z czym?

- Przybądź na Sholapur.

- Bardzo dobrze. Będę tam za pięć dni.

- Nie maskuj statku. Skontaktuję się z tobą.

Połączenie przerwano.

ZAN i jej możliwości przekraczały o rząd wielkości możliwości samej unisfery. Jednak wewnątrz samej ZAN istniały szczeble hierarchii, które również pod tymi względami różniły się o rzędy wielkości. Wysokie dyskretne poziomy możliwości, ukradkowo ustalone przez kilku ludzi, którzy założyli ZAN. Możliwości, które wykorzystać mogli tylko oni. Nie mogli skorumpować ZAN:Władz, ani wykorzystać okrętów floty do swoich własnych celów. Interwencja w takiej skali byłaby łatwo wykrywalna.

Ale istniały tylne drzwi do kilku sekcji komunikacyjnych ZAN, co pozwalało im obserwować obserwatorów bez wysiłku, którzy musieli włożyć Awangardzi, by uzyskać tę samą informację. I, jako pierwsi, obserwowali Awangardów i inne Frakcje, jak rozsiewają swoje monitory w węzłach unisfery, jak rosną ich kampanie i zasięg. Wiedzieli, które wiadomości przejęli Awangardzi.

- Ilanthe dostanie świra z powodu tej zdrady - powiedział Gore.

- Przynajmniej wiemy, że Troblum nadal żyje - odparł Nelson. - Taa, przez najbliższe pięć sekund.

- Co najmniej do chwili, kiedy dostanie się na Sholapur. I wystrzegaj się niedoceniań Pauli.

- Doceniam ją. Jeśli ktokolwiek może go zabrać w jednym kawałku, to właśnie ona.

- Więc moglibyśmy po prostu siedzieć na tyłkach i odprężyć się, jeśli Paula przywiezie informację, co knują Awangardowie. Sprzęt, powiada Troblum. To musi być napęd nadświatny dla całej planety.

- Być może - zgodził się Gore. - Ale on to zaproponował jako łapówkę, by zapewnić, że Paula wysłucha czegoś jeszcze, o czymś wielkim i dostatecznie przerażającym, by naprawdę go zaniepokoić. I cóż to, do cholery może być?

Marius pędził korytarzem. Takich rzeczy wszechświat nie ogląda zbyt często. Dzięki polowym funkcjom Elewata, wzmacniającym mu ciało, miał fenomenalną szybkość. Drzwi z plastmetalumu musiały otwierać się bardzo szybko - inaczej zniszczyłyby je zupełnie. Jego ciemny togatur łopotął za nim, przynajmniej raz rujnując niesamowity efekt ślizgu, który Marius zawsze odgrywał. A akurat w tej chwili nie dbał o pozory. Był naprawdę wściekły.

Krótką rozmowa z Ilanthe była bardzo niepokojąca. Nigdy wcześniej jej nie zawiódł. Implikacje były straszliwe, jak zdołała mu wyjaśnić w zadziwiająco niewielu słowach. Chciałby tylko, żeby Troblum miał czas cierpieć za swoją zbrodnię.

Przemknął przez połączenie trzech korytarzy, co doprowadziło go do sekcji 7-B-5. Jakaś idiotka technik szła środkiem korytarza, wracając do swojej kwatery po długiej zmianie. Marius szarżował obok niej, zahaczając o jej ramię, które natychmiast się złamało. Siła uderzenia obróciła ją i walnęła o ścianę. Wrzasnęła i osunęła się na podłogę.

Drzwi do apartamentu Trobluma znajdowały się dokładnie na wprost, dwie minuty temu zamknięte własnym certyfikatem Mariusa - certyfikatem dziewiątego stopnia. Chciał uniemożliwić gówniarzowi wyjście. Wewnętrzne sensory apartamentu pokazały jak Troblum siedzi przy stole i odrażająco mlaska spożywając późno wieczorną „przekąskę”.

Marius zaczął zwalniać, a jego u-adiunkt otworzył drzwi. Rozszerzyły się, kiedy do nich doszedł. Marius wpłynął do środka. Troblum uniósł głowę, z rogu ust posypały się okruchy bułki hamburgera. Mimo wypchanych policzków, jego twarz przybrała wyraz zaskoczono przestraszenia.

Impuls dystorsyjny walnął w niego, wytwarzając w powietrzu

apartamentu bładozieloną widmową poświatę fosforescencji. Marius natychmiast strzelił w nią pistoletem żelowym. Za parę sekund Marius zniszczył komórkę pamięci, co pozostawił Trobluma tylko z jego zapasem bezpieczeństwa tam, na Arevalo.

Troblum, zamiast zmienić się w zapadającą kulę krwi, po prostu pękł z trzaskiem, jak bańka mydlana. Ze ściany za stołem, gdzie uderzył żelowy strzał, wytrysnął strumyczek metalowego kurzu. Marius zamarł zaszokowany, jego polowe funkcje skanowania omiotły otoczenie. To nie był Troblum. W pokoju nie znajdował się żaden materiał biologiczny. Marius znalazł wzrokiem moduł elektroniczny na fotelu, stopiony wiązką dystorsyjną.

Projektor solido.

Marius patrzył na niego w absolutnym bezruchu.

- Co się stało? - zapytała Neskie, kiedy weszła do apartamentu. Wygięła długą szyję, by móc zajrzeć, co się dzieje za Mariusem.

- Zdaje się, że Troblum niezupełnie jest tłustym głupcem, za jakiego go uważałem.

- Znajdziemy go. To nie potrwa długo. Ta stacja nie jest znowu taka duża.

Marius obrócił się wokół, szerokie źrenice jego zielonych oczu zwężyły się do małych, groźnych szczelin.

- Gdzie jest statek? - zapytał.

- W śluzie - odpowiedziała spokojnie. - Nikt tam nie wejdzie, ani stamtąd nie wyjdzie bez mojego upoważnienia.

- Lepiej, żeby tam był - warknął Marius.

- Każdy centymetr tej stacji nadzoruje taki czy inny czujnik. Znajdziemy go.

U-adiunkt Mariusa rozkazał smartkorowi pokazanie śluzy. „Mellanie Redemption” leżała biernie w centrum wielkiego białego pomieszczenia. Wizualnie tam była, radar śluzy pokazywał odbicie od kadłuba. Program sterowania pewnością wykazywał, że moc podtrzymująca nadal jest pobierana przez kable, włączone do podstawy statku. Marius wywołał smartkor statku. Żadnej odpowiedzi.

Marius i Neskie spojrzeli po sobie.

- Cholera!

Cztery minuty później weszli do śluzy. Marius patrzył gniewnie na długi, stożkowy statek z głupimi, krzywymi płetwami ogonowymi. Omiótł go polowym skanerem. To była iluzja wytworzona przez mały moduł w podłodze śluzy. Walnął impulsem dystorsyjnym w rzutnik solido. Obraz statku zadrżał i skurczył się do pięknej, nagiej młodej dziewczyny. Włosy blond zwisały jej do połowy pleców.

- Och, Howardzie! - jęknęła zmysłowo, przebiegając dłońmi w górę po ciele. - Zrób to znowu.

Marius wydał niezborny okrzyk i znowu strzelił w projektor. Rzutnik rozleciał się na dymiące fragmenty i dziewczyna zniknęła.

- Jak, na Ozziego, to zrobił? - W głosie Neskii brzmiała nuta podziwu. - Musiał również przelecieć tuż obok krążowników obronnych. Nawet go nie zauważyli.

Mariusowi potrzebna była chwila, by się opanować.

- Troblum pomagał w projektowaniu i budowie krążowników obronnych. Albo wtedy przeniknął do ich smartkorów, albo zna metodę obejścia ich systemów czujnikowych.

- Skorumpował również smartkor stacji. Ona nigdy nie powinna wypuścić „Mellanie Redemption”.

- Rzeczywiście - powiedział Marius. - Znajdź te modyfikacje i je usuń. Operacja nie może być narażona na dalsze zagrożenia.

- To nie ja zagroziłam tej stacji - powiedziała równie lodowato. - Ty go tu sprowadziłeś.

- Miałś dwadzieścia lat na odkrycie pluskiew, które tu umieścił. To, że zawiodłaś, jest niewybaczalne.

- Nie próbuj obarczać mnie winą. To ty spaskudziłeś sprawę. I bardzo dokładnie wyjaśnię to Ilanthe.

Marius obrócił się na pięcie i poszedł w stronę wejścia do śluzy. Jego czarny togatur dostosował się, owijając go i jeszcze raz okrywając wąskim białym migotaniem jego stopy. Marius ślizgał się z węzowym wdziękiem po korytarzu prowadzącym do śluzy zawierającej jego własny statek.

Jego u-adiunkt otworzył bezpieczny kanał komunikacyjny do statku Kotki.

- To takie miłe być znowu popularną - zauważyła.
- Mamy problem. Chciałbym, byś znalazła Trobluma. Wyeliminuj to gówna z tego wszechświata. W gruncie rzeczy, chcę, by został wymazany z całej historii.
- To brzmi jak sprawa osobista, drogi Mariusie. Zawsze zła rzecz. Zakłóca twój osąd.
- Kieruje się do Sholapuru. Za pięć dni spotka się tam z reprezentantem ZAN i wyjaśni, co robimy. Jego statek jest wyposażony w jakiś rodzaj zaawansowanego systemu maskującego, o którym nic nie wiedzieliśmy.
- Wyślizgnął się wam, he?
- Jestem przekonany, że będziesz bardziej kompetentna przy naprawianiu naszej pomyłki.
- A co chcecie, żebym zrobiła z Aaronem? Nadal przebywa na powierzchni planety.
- Czy są jakieś oznaki Iniga?
- Kochanie, czujniki ledwo mogą odróżnić kontynenty. Nie mam pojęcia, co tam jest na dole.
- Zrób, jak uważasz za stosowne.
- Myślałam, że to sprawa krytyczna dla waszych planów.
- Jeśli Troblum wyda nas ZAN, nie będzie żadnych planów, prawdopodobnie nie będzie już Frakcji Awangardów.
- Silny zawsze przeżywa. To ewolucja.
- Paula Myo jest reprezentantem ZAN, wysłanym, by zabrać Trobluma.
- Och, Mariusie, jesteś dla mnie zbyt łaskaw. Naprawdę.

To powinno być kuszące. Sam w małym statku z trzema mężczyznami w zadziwiająco dobrej kondycji, którzy prawdopodobnie byliby zaszczyceni idąc z nim do łóżka. Oscar uradował się, kiedy Tomansio przedstawił mu swój zespół. Liatris McPeieri był jego porucznikiem. Znacznie spokojniejszy niż Tomansio, z szerokimi ustami, które potrafiły błysnąć szelmowskim atrakcyjnym uśmiechem. Według słów Tomansia, będzie się zajmował technicznymi aspektami misji, łącznie z

bronią. Patrząc na stos wielkich skrzyń na regrawowych saniach, które szły za Liatrisem, Oscar przeżył pierwszy moment zwątpienia. Nie chciał odwoływać się do przemocy. Był jednak realistą i wiedział, że nie on będzie o tym decydował. Cheriton McOnna został wzięty do pomocy z powodu swego doświadczenia z gajasferą. Tomansio utrzymywał, że zna na wylot wszystkie możliwe operacje gniazd konfluencyjnych. Oscara zaskoczyły nieco charakterystyki fizyczne Cheritona, były one niemal elewatywne. Cheriton zmienił uszy, by stały się prostymi kraterami, nos miał szeroki i płaski, a oczy były iskrzącymi się fioletowymi kulami, niczym wielofasetkowe soczewki owadów. Na tysej głowie miał dwie niskie fałdy, sięgające od brwi przez czaszkę do karku, gdzie się łączyły.

- Modyfikacja multiwielokomórkowa - wyjaśnił. - I cholerne mnóstwo specjalizowanych gajafejsów.

Aby to udowodnić, wysnuł wizję jakiegoś koncertu. Na chwilę Oscar został przeniesiony do naturalnego amfiteatru zagubionego w morzu ludzi pod wspianiałym, rozgwieżdżonym niebem. Na dalekiej scenie występował samotny pianista, jego smętna melodia zmusiła Oscara, by pochylił głowę, poddając się nastrojowi.

- O, rany! - Oscar mrugnął, cofając się o pół kroku, kiedy wizja znikła. Niemal zaczynał śpiewać, pieśń była w jakiś sposób znajoma - tylko niezupełnie się zgadzała.

- Skomponowałem ją na twoją cześć - powiedział Cheriton. - Pamiętam jak mówiłeś Wilsonowi Kyme, że lubisz stare filmy.

Teraz Oscar sobie przypomniał.

- Owszem. To „Gdzieś za Tęczą”, tak? - starannie zmniejszył poziom odbioru swoich gajafejsów.

Cheriton stworzył bardzo mocną emisję. Zmusiło to Oscara do zastanawiania, czy rzeczywiście można wykorzystać gajasferę w celach szkodliwych.

- Tak.

Ostatnią członkinią zespołu była Beckia McKratz, która przez gajasferę jasno dała do zrozumienia, że chce pójść z nim do łóżka. Jeśli chodzi o piękność dorównywała Anji, ale nie miała tych

wszystkich neurotycznych zahamowań. Oscar nie był zainteresowany. Nie był zainteresowany nawet pierwszego ranka, kiedy wyszedł ze swojej malutkiej kabiny sypialnej i znalazł całą ich czwórkę w głównym holu, rozebranych do pasa i wykonujących jakieś wyczerpujące ćwiczenie nitng. Poruszali się w idealnej synchronizacji, podnosząc ręce i nogi, by wystawały w dziwnych kierunkach, zginali kończyny. Oczy zamknięte, oddech głęboki. Z emanacji gajASFery można było wywnioskować, że ich mózgi hibernują.

Obcy przeteleportowani do ludzkich ciał i starannie badający, co mogą zrobić.

Wszystko to bardzo się różniło od porannej rutyny Oscara, który normalnie wypijał mnóstwo kawy i włączał dostęp do najbardziej tandetnych plotek, jakie można znaleźć w unisferze. I był jeszcze problem braku atrakcyjności. Chyba całe to poświęcenie dla doskonałości i siły nie pozostawiało im wiele czasu by naprawdę być ludźmi. To bardzo odpychało.

Tak więc podszedł chyłkiem wokół krawędzi salonu do jednostki kulinarnej, złapał wielki kubek kawy i talerz rogalików z masłem, po czym usiadł spokojnie w rogu i żując obserwował ten dziwny balet w zwolnionym tempie.

Przyjęli pozycję odpoczynku, wzięli ostatni oddech, po czym otwarli oczy i się uśmiechnęli.

- Dzień dobry, Oscarze - powiedział Tomansio.

Oscar przełknął trochę więcej kawy. Poranna rutyna wymagała również, by nie rozmawiać przed trzecim kubkiem. Jednostka kulinarna nagle zaczęła się krzątać, wyrzucając talerze z wielkimi porcjami bekonu na jajkach i grzanki.

- Coś nie pasuje? - spytał Liatris.

Oscar zdał sobie sprawę, że gapi się, jak mężczyzna je.

- Przepraszam, założyłem, że jesteście wegetarianami. Wszyscy wymienili rozbawione spojrzenia.

- Czemu?

- Kiedy lecieliśmy na „Carbon Goose” przez Półmetek, pamiętam jak Kotka zrobiła wielką awanturę o pokładowe jedzenie. Odmówiła jedzenia czegokolwiek, co wyprodukowano

lub przetwarzano na planetach Wielkiej Piętnastki.

Rozbawienie jego towarzyszy wyparowało. Oskarowi wydało się, że został przekształcony w jakiegoś guru, nasiąkniętego mądrością.

- Więc rozmawiałeś z nią? - spytała Beckia.

- Niewiele. Wydawało się, że ją nudzimy. I w dalszym ciągu nie wiem, dlaczego czcicie ją tak, jak czcicie.

- Patrzymy na nią realnie - oznajmił Cheriton. - Ale ona dokonała tak wiele.

- Zabiła wielu ludzi.

- Tak jak ty, Oscarze - zbeształ go Tomansio.

- Nie umyślnie. Nie dla zabawy.

- Cała wojna Gwiazdokrażcy wydarzyła się, ponieważ ludzkość była słaba. Nasza siła została odessana przez stulecia liberalizmu. To się skończyło. Światy Zewnętrzne mają dosyć wiary w siebie, by walczyć przeciwko Światom Centralnym. To dzięki kierowaniu się przykładem Far Away. A Rycerze Strażnicy są siłą polityczną stojącą za Far Away. Politycy już nie ignorują siły. Jest czczona na setkach światów w miriadach form.

To właśnie jest cały kłopot z historią, pomyślał Oscar. Kiedy odstęp czasowy robi się dostatecznie długi, na każde wydarzenie można spojrzeć przychylnie. Prawdziwa groza z czasem blednie i zastępuje ją ignorancja.

- Żyłem w tamtych czasach. Wspólnota była wystarczająco silna, by wygrać. Bez siły, którą wtedy pokazaliśmy, nie żylibyście teraz i nie moglibyście się skarżyć na nas i debatować, co by było, gdyby.

- Nie chcemy cię obrażać, Oscarze.

Oskar dopił resztkę swego kubka i kazał jednostce kulinarnej wyprodukować następną.

- Tak więc wrażliwość nie jest słabością? Liatrix zaśmiał się.

- Nie. Szacunek i uprzejmość to oznaki cywilizacji. Tak jak osobista niezależność i łagodność. Siła występuje w wielu przebraniach. Łącznie z poświęceniem życia, by dać rasie ludzkiej szansę przeżycia. Jeśli Rycerze Strażnicy czegoś żałują, to tego, że twoje imię nie jest równie słynne i czczone jak imię

innych z twojej epoki.

- Jasna cholera - powiedział cicho Oscar i zabrał swoją kawę. Wiedział, że ma zaczerwienioną twarz. Moja epoka! - Dobrze - powiedział opadając na fotel, który salon wysunął dla niego. - Widzę, że będziemy się świetnie bawić dyskutując na temat historii i polityki przez resztę misji. W przerwach możemy się zająć naszym celem. Mój plan jest całkiem prosty i chciałbym, abyście zgłosili swoje propozycje, kiedy będziemy go uładzać w coś wykonalnego. Wy tutaj jesteście ekspertami w tej dziedzinie i od tej „epoki”. Więc oto schemat: kilka Frakcji ZAN ma wielką ochotę znaleźć tego biednego Drugiego Śniącego, nie wspominając już o Żywym Śnie, który ma dla niego bardzo konkretny program. Te siły wspólnie dysponują olbrzymimi zasobami, którym nie zdołamy dorównać, więc mój plan polega na tym, by po cichu do nich dołączyć i pozwolić, by wykonali ciężką pracę. Musimy się zacząć, by go porwać od razu, gdy go zlokalizują.

- To mi się podoba - powiedział Tomansio. - Im prościej, tym lepiej.

- Co pozostawia nam do opracowania zaledwie szczegóły - oznajmił Oscar. - Chyba wszyscy myślą, że Drugi Śniący jest na Viotii. Będziemy tam za siedem godzin.

- Imponujący czas przelotu - powiedział sucho Cheriton. - Nigdy wcześniej nie leciałem statkiem z ultranapędem.

Oscar zignorował drwinę. Tomansio nigdy nie pytał, kto zatrudnia Oscara, ale statek był ogromną wskazówką.

- Tomansio, jak się weźmiemy za infiltrację tamtejszej operacji Żywego Snu?

- Bezpośrednia wstawka. Znakujemy pliki osobowe ich smartkoru i wyznaczymy Cheritona do operacji wyszukiwawczych. On spokojnie może uchodzić za Mistrza Snu, prawda?

- Bez problemu - powiedział Cheriton. Westchnął. - Więc muszę zmienić profil. - Przebiegł dłonią po jednej ze swych krawędzi na czaszce.

- Sprawię, że będziesz wyglądał prawie jak człowiek -

zapewniła go Beckia.

Cheriton przesłał jej całusa.

- Żywy sen zmienia gniazda konfluencji w całej Ogólnej Wspólnocie, by odkryć miejsce jego pobytu. Musi ich to kosztować fortunę, co pokazuje, jacy są zdesperowani. To niezbyt dokładna metoda, ale kiedy ją zawężą do pojedynczego gniazda, będą przynajmniej znali dzielnicę.

- Jak im to pomoże? - spytała Beckie. Gajaserfa jednego gniazda może pokrywać duży teren. Jeśli jest w wielomilionowym mieście.

- Na ich miejscu otoczyłbym teren specjalizowanymi gniazdami i Mistrzami Snu i spróbowałbym namierzyć jego pochodzenie.

- Tak więc możemy się znaleźć na tym samym terenie, co oni - powiedział Oscar. - Wobec tego wszystko sprowadza się do szybkości działania.

- Frakcje będą prowadziły podobne operacje - powiedział Tomansio. - Będziemy mieć do czynienia nie tylko z Żywym Snem, ale także z ich agentami.

Oscar zrozumiał, z jakim entuzjazmem podchodzą Rycerze Strażnicy do tej perspektywy.

- Agenci Frakcji zostaną wzbogaceni bronią bioniczną, prawda?

- Mam taką nadzieję - odparł Tomansio.

- Poradzicie z tym sobie? - spytał Oscar nerwowo.

- Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

To była łagodna dolina porośnięta długą ciemną trawą, która poruszała się w gigantycznych falach w rytm porywów wiatru znad gór. W płytkim obniżeniu terenu stał dom - miłe stare miejsce o ścianach z kruszącego się kamienia wydobytego na pobliskich pagórkach. Przewieszony słomiany dach nadawał domowi rozkoszną jedność z otaczającą przyrodą. Technika we wnętrzu absolutnie kłóciła się z wyglądem zewnętrznym, replikatory zaspokajały każde materialne życzenie. Szczeliny T-sferowe dostarczały jego rodzinie interesującej struktury we

wnętrzu domu i dowolnej dodatkowej przestrzeni mieszkalnej.

Stał naprzeciwko domu, trzymając przed sobą pionowo bambusowy kij. Na obnażonym torsie czuł powietrze; nogi miał odziane w proste bawełniane spodnie dirukku. Wyłączył bioniczne funkcje polowe, dostroił swoje postrzeganie jedynie do wzroku, dźwięku i dotyku. Czuł swoje otoczenie. Kobra w gnieździe: podstawa tożsamości. Potem szybki skręt, przyjęcie postawy skaczącego geparda. Oddech. Przeciwnik poruszający się z tyłu. Opuść bambus i zamachnij się, tygrysi pazur. Wyskok z obrotu, zwinięty smok. Jedno ramię wygięte w spartańską tarczę. Wyrzut w przód, uderzający anioł. Rzuć kij i wyciągnij oba sztylety z pochew. Zegnij kolana w postawie obudzonego feniksa.

Wibracja w powietrzu. Ciężkie stopy miażdżące delikatne łodygi trawy. Podniósł głowę i zobaczył rząd czarnych postaci w zbrojach, maszerujących w jego stronę. Z otworów w ich hełmach kłębiły się długie płomienie, kiedy ryczeli okrzyk bojowy. Jego oddech przyśpieszył. Zaciśnął dłonie na sztyletach. Zapach palonego mięsa przetoczył się po trawie. Aaron zakrzuszył się okropnym smrodem. Gwałtownie kaszłąc usiadł na kanapie w kabinie pełzacza.

- Cholera - zacharczał, a potem znowu kaszlnął, walcząc o oddech. Zgiął się w pół. Egzowizyjne displeje medyczne pokazały mu jak jego bionika przejmując kontrolę nad płucami i drogami oddechowymi, przejmując walczące funkcje anatomiczne ciała. Odetchnął i potrząsnął głową, kiedy sztuczne organelle go stabilizowały.

Corrie-Lyn patrzyła na niego ze swojej kanapy po drugiej stronie kabiny. Podciągnęła kolana pod brodę, ramiona owinęła kocem. Z jakichś przyczyn budziła w nim poczucie winy.

- O co chodzi? - warknął. Był w złym humorze wywołanym brakiem kofeiny.

- Nie wiem - powiedziała. - Myślę, że ci wojownicy to metafora pułapki. Ale przyszli do twojego domu. Nie mogłeś uciec od tego czym jesteś, od tego, kim się stałeś.

- Och, daj spokój - warknął i spróbował zdjąć stopy z kanapy. Wokół nóg owinął się koc. Ściągnął go gniewnym szarpnięciem.

Corrie-Lyn zareagowała zranionym grymasem.

- Mogą również reprezentować paranoję - powiedziała z szorstką godnością.

- Odpieprz się. - Polecił jednostce kulinarnej by zaparzyła nieco herbaty ziołowej. By oczyścić duszę. - Posłuchaj - powiedział z westchnieniem. - Ktoś poważnie spierdolił mi mózg. Będę miał skłonność do koszmarów. Zostaw to, dobrze?

- Czy to cię nie trapi?

- Jestem, czym jestem. I lubię to.

- Ale przecież nie wiesz, kim jesteś.

- Powiedziałem: zostaw to.

Usadowił się w jednym z przednich foteli i wyjrzał przez grube wąskie okno.

Pelzacz gruntowy parł naprzód, jakby płynęli po falach oceanu. Na zewnątrz pogoda nie zmieniła się w ciągu całej podróży - rzadka mżawka cząsteczek lodu napędzanych huraganem. Wysoko nad głowami ciemne podbrzusze pokrywy chmur kotłowało się nieustannie, migając rozświetlającymi całe niebo błyskawicami. Jechali przez ponury teren, gdzie strumienie powodziowe wyrzeźbiły głębokie, strome rynny. Szerokie promienie reflektorów prześlizgiwały się przez wydmy brudnego śniegu, migrujące nad wieczną zmarzliną. Od czasu do czasu powierzchnia twardej jak stal gleby wydymała się jakimiś ruinami czy pniakami. Nic innego nie zakłócało monotonii.

Corrie-Lyn bez słowa wstała z kanapy i poszła do małego przedziału łazienkowego w tyle podłużnej kabiny. Zdołała trzasnąć jej zniszczonymi, aluminiowymi drzwiami.

Aaron potarł twarz niezadowolony z tego, jak poradził sobie z sytuacją. Coś w jego snach niszczyło jego opanowanie. Nie cierpiał myśleć, że Corrie-Lyn ma rację, że jego podświadomość jakoś zachomikowała kilka cennych prawdziwych wspomnień. Osobowość, którą miał teraz była prostolinijna, niezaśmiecona zewnętrznymi przywiązaniami czy sentymentami. Nie chciał gubić tych cech, nigdy.

Jako przeprosiny zaczął wpuszczać cały ładunek instrukcji do jednostki kulinarnej. Po trzydziestu minutach, kiedy Corrie-Lyn

się wynurzyła, na stoliku czekało na nią śniadanie. Wydęła wargi z dezaprobatą.

- Sieć pełzacza wnioskuje, że za około dziewięćdziesiąt minut dotrzemy do obozu - powiedział. - Pomyślałem, że może chciałabyś się wzmocnić?

Corrie-Lyn milczała przez chwilę, potem kiwnęła głową, przyjmując propozycję zawarcia pokoju i usiadła przy stole.

- Czy ktoś się z nami kontaktował?

- Z obozu? Nie.

Zeszłego wieczora rozmawiali z kimś o nazwisku Ericilla i powiadomili ją o swoim przewidywanym czasie przybycia. Wydawała się zainteresowana, choć ubawił ją pomysł, że któryś z jej kolegów jest porzuconym kochankiem. „Jeśli znałabyś moich towarzyszy z zespołu, wiedziałabyś, że tracisz czas. Zupełnie nie są romantyczni”.

- Nadal jesteśmy podłączeni do sieci boji - powiedział Aaron popijając herbatę. - Dotychczas nikt się nie przyznaje.

- Co robimy, jeśli go tam nie ma?

Aaron stłumił impuls by znowu zmierzyć ją od stóp do głów. Kiedy wyszła z łazienki przebrała się w parę czarnych spodni i jasnoniebieski sweter z wycięciem w serek. Włosy miała umyte i sprężyste. Na twarzy nie miała łusek kosmetycznych, ale jej cera była promienna. Najwidoczniej przygotowała się na szansę, by rozpalić nieco ze starej namiętności, jeśli okaże się, że on tutaj jest. Od opuszczenia Kajaani trzymała swe gajafejsy dość ciasno, ale okazyjne chwile zapomnienia pozwoliły Aaronowi wyczuwać mnóstwo niecierpliwości w jej umyśle.

- Nie jestem pewien - przyznał. - Czas nie gra na naszą korzyść.

- A jeżeli tam jest? Co jeśli nie zechce zostać zawleczony z powrotem do Ellezelin?

Tylko przez chwilę coś poruszyło się w umyśle Aarona. Pewność. Wiedział, co zdarzy się potem. Była tam cała wiedza. Czekala na niego. Gotowa na właściwą chwilę.

- Po prostu powiem mu to, co muszę. Później, decyzja będzie należała do niego.

Corrie-Lyn popatrzyła na niego z łagodnym powątpiewaniem i

wgryzła się w pierwszą kanapkę z bekonem.

Aaron uznał, że obóz to było raczej zbyt pochlebne określenie na miejsce, gdzie usadowił się zespół pracujący w prowincji Olhava. Na zawietrznej jakichś postrzępionych pagórków stała para pełzaczy. Z ich tylnej części wysunięto szalasy z plastmetal, by zespoły miały większe pomieszczenia. Ale to wszystko.

Aaron zaparkował kilka metrów dalej i oboje naciągnęli pękate skafandry powierzchniowe. Aaron zaraz po uszczelnieniu bańki hełmu wszedł do malutkiej śluzy i czekał, aż odsuną się drzwi wewnętrzne. Natychmiast uderzył go wiatr. Fragmenty lodu wirowały wokół niego. Zszedł ostrożnie rampą, mocno trzymając się poręczy. Wiatr uderzał falami, ale ustał wyprostowany. Skafander miał wbudowane systemy wzmacniające, na wypadek prawdziwego ataku burzy. Głównie miały chronić przed promieniowaniem.

Chociaż nie wymagało to zbyt wiele wysiłku fizycznego, żałował, że nie podjechał swoim pełzaczem bliżej do pełzaczy zespołu. Przejście małego odcinka i wgramolenie się do śluzy dekontaminacyjnej z boku jednego z szalásów zajęło mu przeszło trzy minuty. Corrie-Lyn burczała i klęła cały czas, kiedy szła za nim.

Ericilla czekała na nich w pokoju wielkości szafy, przeznaczonym na skafandry. Niska kobieta z loczkami kasztanowatych włosów w siwe plamki. Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie, a kiedy Corrie-Lyn wywinęła się ze skafandra, oblizwała wargi z wesołością.

- Żaden mężczyzna nie jest tego wart - oznajmiła.

- On jest - zapewniła ją Corrie-Lyn.

Aaron już rozciągnął swe funkcje skanowania polowego i wysondował cały obóz. Odkrył cztery osoby, z Ericillą włącznie. Żadna z nich nie była Elewatem.

Ericilla zaprosiła ich gestem.

- Chodźcie spotkać chłopaków.

Vilitar i Cytus czekali na nich. Stali w środku zagraconego

szafasu jak dwuosobowa armia na paradzie w obozie jenieckim. Nerina, żona Vilitara obrzuciła Corrie-Lyn znużonym spojrzeniem.

- Och, cholera - powiedziała z przygnębieniem Corrie-Lyn.

Nerina szturchnęła Vilitara w pierś.

- Cóż, to cię zdejmuję z haczyka.

Obaj obecni mężczyźni odprężyli się, uśmiechając z zażenowaniem. Aaron poczuł, jak napięcie ulatuje. Nagle wszyscy się uśmiechali i cieszyli się, że ich widzą.

- Myślałem, że w waszym zespole była piątka - zauważył Aaron.

- Earl jest na dole, przy wykopalisku - wyjaśniła Ericilla. - Boty czujnikowe odebrały zesłej nocy obiecujący sygnał. Powiedział, że to ważniejsze niż, cóż... - Sposób, w jaki zakończyła to zdanie poinformował ich, że zgadza się z Earlem.

- Chciałabym go zobaczyć, proszę - powiedziała Corrie-Lyn.

- Czemu nie? - zgodziła się Ericilla. - Przebyliście tak daleką drogę.

Wymagało to następnej podróży na zewnątrz. Wejście do wykopaliska znajdowało się po drugiej stronie szafasów. Był to prosty metalowy sześcian, mieszczący mały generator napędzany syntezą wodoru i kilka baterii energetycznych. Nachylone pole siłowe zabezpieczało wykopalisko przed jadowitymi żywiołami Hanko. Była tam śluza dekontaminacyjna, trzymająca na zewnątrz radioaktywne powietrze, więc sprzęt zespołu mógł działać unikając zakażenia i zniszczenia. Wielkie jednostki filtrujące wypełniały resztę sześcianu wejściowego utrzymując atmosferę w czystości. Temperatura wewnątrz nadal była wystarczająco niska, by wieczna zmarzlina nie odmarzała. Aaron i Corrie-Lyn nie zdjęli hełmów.

Roboty wykopaliskowe przebiły przejście schodzące w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni, i wyrąbały prymitywne stopnie w skalistym gruncie. Wzdłuż dachu przeciągnięto grube niebieskie węże powietrzne. Grupowały się one wokół okrągłej półmetrowej rury wyciągowej, która brzęczała, kiedy przenosiła ziarna zamrożonego błota na wysypisko, pół kilometra stąd. Paski fotopolimeru zwisające z lin rzucały lekko zielonkawę

światło. Aaron stąpał ostrożnie, schodząc w dół. Solidny grunt wokół blokował jakieś szczegółowe skanowania polowe.

Dół prymitywnych schodów musiał znajdować się z siedem metrów pod poziomem gruntu. Ericilla wyjaśniała, że wkopali się w dno jeziora, które wypełniło się osadami w czasie monsunów po ataku. Na otaczającym terenie znajdowało się kilku ludzi, którzy nigdy nie dotarli do Anagaski.

Przejście otwierało się na komnatę o szerokości dziesięciu metrów i wysoką na trzy, podpartą polami siłowymi. Porzucone półmetrowe boty leżały wyciągnięte na podłodze, wśród węzowych splotów kabli zasilających. Parę rzutników holograficznych wypełniało pomieszczenie wszechobecnym blaskiem monochromatycznego światła. W osadach za polem siwowym połyskiwały kryształy lodu.

W oddalonym boku pomieszczenia ział otwór. Skanowanie polowe Aarona pokazało mu następną jaskinię wypełnioną mnóstwem aktywności elektronicznej. Ktoś tam był. Ktoś, kto osłaniał swoje ciało przed skanowaniem.

- Wielki Ozzie - wydyszał Aaron.

Corrie-Lyn obdarzyła go zaciekawionym spojrzeniem i pomaszerowała do drugiej komory. Była większa od pierwszej, jedną trzecią powierzchni jej ścian pokrywały boty wykopaliskowe. Wyglądały jak masa gigantycznych czerwi powoli wkręcających się w zmrożony osad. Wielka koronka małych rurek wychodzących z ich ogonów prowadziła do początku rury wyciągowej. Srebrne dyski czujników unosiły się w powietrzu, kiwały się, by pobierać odczyty. Obrysowana świętą cybernetycznej aktywności przebywała tu samotna postać w ciemnozielonym skafandrze. Corrie-Lyn postąpiła naprzód kilka niepewnych kroków.

Mężczyzna obrócił się i zdjął bankowy hełm. Jego twarz miała raczej latynoski odcień, niż północnoeuropejską bladość Iniga; był raczej szatynem niż rudym. Ale jeśli tego nie liczyć, rysy nie zmieniły się wiele. Aaron pomyślał, że to przebranie jest szczególnie podłe, tak jakby po prostu zastosował makijaż i złą perukę.

- Inigo - szepnęła Corrie-Lyn.

- Ze wszystkich projektów Odzyskania na wszystkich martwych planetach galaktyki, musiałaś przyjść akurat do mojego.

Corrie-Lyn osunęła się na kolana, łkając bezradnie.

- Hej, dziewczyno - powiedział Inigo ze współczuciem. Ukląkł przy niej i odpiął zewnętrzne zapięcia w jej hełmie.

- Gdzie byłeś, sukinsynu! - wrzasnęła. Jej pięść biła go w tors. - Czemu mnie zostawiłeś? Czemu zostawiłeś nas?

Wytarł łzy z jej policzków, a potem pochylił się i ją pocałował. Corrie-Lyn niemal się przed tym broniła. Nagle objęła go ramionami i całowała go jak szalona. Materia ich skafandrów wydawała skrzypiące dźwięki, kiedy ocierali się o siebie.

Aaron odczekał dyplomatyczną minutę, a potem odpiął własny hełm. Powietrze było gryząco zimne i unosił się w nim dziwny zapach zgniłej mięty. Każdemu oddechowi towarzyszyły szare wstęgi pary.

- Trudno pana znaleźć.

Inigo i Corrie-Lyn oddzielili się od siebie.

- Nie słuchaj go - powiedziała natarczywie Corrie-Lyn. - Bez względu na to, co zechce, odmawiaj. To szaleniec. Zabił setki ludzi, by cię znaleźć.

- Lekka przesada - powiedział Aaron. - Z pewnością nie więcej niż dwudziestu.

Szarostalowe oczy Iniga zwężyły się.

- Mogę wyczuć, czym jesteś. Kogo reprezentujesz?

- Ach. - Aaron uśmiechnął się niewyraźnie. Nie jestem pewien. Ale zaraz się tego dowiemy. Czuł jak wiedza znowu porusza się w jego umyśle. Zaraz będzie wiedział, co teraz robić.

- Nie powrócę - powiedział po prostu Inigo.

- Co się stało? - pytała błagalnie Corrie-Lyn.

U-adiunkt Aarona zameldował o wezwaniu od dyrektora Ansana Purillara. Zostało przekazane przez setki pustynnych kilometrów z Kajaani przez małe, mocne boje. Dotarło do obozu, skąd wreszcie przesączyło się w dół na wykopalisko przez pojedyncze włókno światłowodu.

- Tak, dyrektorze? - powiedział Aaron.

Inigo i Corrie-Lyn wymienili zaintrygowane spojrzenia, a potem popatrzyli na Aarona.

- Czy lecieli za panem jacyś koledzy? - spytał Ansan Purillar.

- Nie.

- Bo przez atmosferę nad nami przechodzi jakiś statek i nie odpowiada na żadne nasze sygnały.

Aaron poczuł, jak krew krzepnie mu w żyłach. Jego programy bojowe włączyły się i instynktownie okrył się najsilniejszym polem siłowym, jakie tylko zdołała wytworzyć jego biononika.

- Wyoście się stamtąd.

- Co?

- Wyoście się z bazy. Wszyscy na zewnątrz. Natychmiast!

- Sądzę, że lepiej, by pan wyjaśnił, co się dzieje.

- Cholera! - Jego u-adiunkt wykorzystał wątle łącze do bazy, by zbudować mały kanał do smartkoru „Cwanego Lawiranta”. - Powiedz im! - wrzasnął na Corrie-Lyn.

Wzdrygnęła się.

- Dyrektorze, proszę, niech pan wyjdzie. Nie byliśmy wobec pana uczciwi. - Zwróciła się do Iniga. - Proszę! - zasyczała.

Westchnął z niechęcią.

- Ansan, mówi Earl. Weź tyłu ile możesz na statek. Wszyscy pozostali będą musieli wykorzystać pełzaczce.

- Ale...

Smartkor „Sprytnego Kombinatora” skanował niebo nad Kajaani. Ochronne pole siłowe nad bazą znacznie mu w tym przeszkadzało. Ale pokazał Aaronowi niewielką masę na wysokości trzydziestu kilometrów, utrzymującą pozycję nad grubą pokrywą zewnętrznych chmur.

- Przyleć i zabierz nas - powiedział Aaron do smartkora. - Szybko. Jego egzowizja pokazała mu statek włączający silniki. Systemom lotu potrzebna była sekunda by się włączyć. Jego pole siłowe stwardniało. Niesłychanie potężny laser promieni gamma, bezpośrednio nad statkiem uderzył w pole ochronne bazy. Fioletowa korona zapłonęła wokół punktu przebicia, a promień wgrzył się w budynek generatorów.

Całkowita awaria pola siłowego stanowiła sytuację, którą

przewidziano w projekcie bazy. Wtórne pola siłowe zatrzasnęły się nad domkami i kompleksami naukowymi, niemal na czas, by ochronić je przed pierwszym straszliwym wzrostem ciśnienia. Kryształ lodu walnął w ściany, wierciły dziury w murawie. Ludzie na zewnątrz wrzeszczeli i rzucali się na ziemię, kiedy runęło na nich uderzenie. Po kilku sekundach ponownie schwyte powietrze uspokoiło się. Kiedy podnieśli wzrok zobaczyli park odarty z trawy i krzaków przez zwycięski wiatr. Ich statek został przecięty na pół przez uderzenie laserem gamma, jego nierówne części leżały poskręcane na lądowisku, smagane zimnym wichrem.

W chwili, gdy znikło pole siłowe, „Sprytny Kombinator” podniósł się w wir przewalającej się przez bazę radioaktywnej destrukcji. Czujniki pokazały punkcik oślepiającego białego światła, wypalający drogę w dół, przyspieszający pięćdziesiąt g. Smartkor statku wypalił do tej broni laserami neutronowymi i kwantowymi impulsami zniekształcającymi. Bezskutecznie. Smartkor rozpoczął zmianę kursu. Nie zdążył. Świetlny punkt uderzył „Sprytnego Kombinatora” w śródookręcie, niepowstrzymany polami ochronnymi. Ogromne siły rozerwały konstrukcję statku, zniszczyły jego integralność. Nawet dźwigary wzmocnione polami wiążącymi zostały wyrwane z szeregu. Zwykłe komponenty zostały zgruchotane nie do poznania. Cały kadłub odkształcił się i implodował do jednej trzeciej wielkości początkowej. Potem m-rząpię Hawkinga przebiło się przez drugą stronę statku i pomknęło dalej, w grunt. Jego intensywne, skrzące się światło zniknęło. Teren zakołysał się, jakby w Kajaani uderzyło potężne trzęsienie ziemi, niszczące pozostałe budynki i struktury. Wszystkie wtórne pola siłowe zdechły, pozostawiając walące się domki i kompleksy naukowe wystawione na szkodliwą atmosferę planety.

Wrak „Sprytnego Kombinatora” wypadł z huraganu i walnął w ruiny bazy.

Aaron stracił kontakt ze statkiem, kiedy m-rząpię Hawkinga przebiło kadłub, a wszystkie mikroobwody i jednostki pamięci zostały fizycznie zniekształcone i porozbijane.

Parę czujników Kajaani złapało ostatnie chwile gwiazdy, która wytrysnęła z kotłującego się, obnażonego nieba. Miała tak wielką szybkość, że ludzkie oczy dostrzegły ją jako pojedynczą świetlną linię, jak idealnie prostą błyskawicę. Monitory promieniowania zanotowały krótki pik, wychodzący poza skalę.

- Co się tam, do diabła, właśnie stało? - zapytała Corrie-Lyn.

Aaron był zbyt otępiąły, by odpowiedzieć natychmiast. Jego uadiunkt potwierdził, że linia boji kończy się teraz dwa kilometry od granicy bazy.

- Wystrzelili w bazę - powiedział spokojnie Inigo. - Pani, oni byli kompletnie nieuzbrojeni. - Spojrzał wściekle na Aarona. - Czy była to jedna z Frakcji?

- Niewykluczone. To nawet mógł być Kleryk Konserwator, zabezpieczający swój etat.

- W głębiach Hononiusa jest miejsce zarezerwowane na twój rodzaj. Mam nadzieję, że szybko tam dotrzesz.

- Gdzie? - zapytał Aaron.

Inigo i Corrie-Lyn wydali jednakowe parsknięcie odrazy.

- Lepiej wróćmy do szałasu - powiedział Inigo. - Spodziewam się, że będą chcieli dostać się do Kajaani natychmiast. Jesteśmy jednym z najbliższych obozów.

Kiedy przeszli przez zatłoczony pokój skafandrów, Ericilla wskazała oskarżająco palcem na Aarona.

- To byłeś ty - wrzasnęła z wściekłością. - To ty jesteś odpowiedzialny. Ty kazałeś im się zmywać. Wiedziałeś, kto to jest. Ty ich tutaj przyprowadziłeś.

- Nie przyprowadziłem ich tutaj. Ci ludzie w końcu i tak by nas dogonili. Miejsce wypadło nieszczęśliwie.

- Nie - pieprzenie - szczęśliwie? - Vilitar splunął. - Tam było prawie dwustu ludzi. Nie wiemy ilu z nich jeszcze żyje, ale nawet jeśli niektórzy z nich przeżyli atak, umierają od promieniowania. Moi przyjaciele. Pozabijani.

- Zostaną ożywieni - powiedział beznamiętnie Aaron.

- Ty sukinsynu. - Cytus postąpił naprzód z podniesionymi

pięściami.

- Dosyć - powiedział Inigo. - To nie pomoże.

Cytus zatrzymał się na chwilę, a potem odwrócił z twarzą wykrzywioną odrazą i gniewem.

- Wiedziałeś o tym Earl - powiedział. - Ty też ostrzegłeś Asana. Co tu, do diabła się dzieje? Czy znasz tych ludzi?

- To właśnie mnie szukają. Nie wiedziałem o ataku.

Reszta zespołu patrzyła po sobie w niemym osłupieniu.

- Jedziemy do Kajaani - powiedziała Ericilla. - Możemy pomóc w odzyskaniu ciał, zanim wiatr zdmuchnie je zbyt daleko.

- Za ile czasu wasza organizacja wyśle następny statek? - spytał Aaron.

- Jakby cię to obchodziło!

- Za ile czasu? Proszę.

- Za zbyt wiele czasu - powiedziała Nerina. - Hanko nie jest częścią unisfery. Nie możemy po prostu zawołać o pomoc. Naszym jedynym kontaktem ze Wspólnotą było połączenie hiperprzestrzenne statku z naszą kwaterą główną na Anagasce. Bez niego jesteśmy kompletnie odcięci. Anagaska założy, że wystąpiła jakaś awaria sprzętu; potem, jeśli nie naprawimy jej przez tydzień, prawdopodobnie zaczną badać przyczyny. Jeśli dobrze pamiętam, i tak zgodnie z planem lotów za dwa tygodnie ma przylecieć statek. Prawdopodobnie zaczekają do tamtego czasu. Kwestie budżetowe - warknęła z pogardą.

- Do tamtego czasu choroba popromienna zabije wszystkich wystawionych na działanie atmosfery - dodał Vilitar. - Nie mamy wystarczającego sprzętu medycznego, by pomóc im wszystkim. Gratulacje. - Patrzył wyzywająco na Aarona.

- Musimy ruszać - powiedziała Ericilla. - Systemy medyczne w pełzaczach mogą pomóc kilkorgu z nich. - Przepchnęła się obok Aarona, nie patrząc na niego.

Cytus, idąc do pomieszczenia skafandrów, zdołał pchnąć łokieć Aarona.

- Jedziesz z nami, Earl? - spytała Nerina.

- Taa.

- Już zrobiłeś dosyć - powiedział Vilitar. - Kimkolwiek, kurwa,

jesteś. Myślałem... - Warknął coś niezrozumiale i pospieszył do pokoju skafandrów.

- Pojedziemy z wami - powiedziała Corrie-Lyn. - Możemy pomóc.

- Azjatycki lodowiec znajduje się o pół dnia drogi stąd - odparła Nerina. - Jego odległy koniec to urwisko wysokie na półtora kilometra. Może byście nam pomogli, zjeżdżając z niego. - Poszła do pokoju skafandrów i zamknęła drzwi.

- „I zostały tylko trzy” - powiedział Aaron.

- Lepiej się ruszajmy - rzekł Inigo. Spojrzał Aaronowi w twarz. - Wiesz, że prawdopodobnie zamkną projekt Odzyskiwania z tego powodu.

- Czy sądzisz, że sąsiednia galaktyka rozpocznie projekt Odzyskiwania dla wszystkich gatunków eksterminowanych przez fazę pożerania Pustki?

Przez chwilę Aaron myślał, że Inigo naprawdę zaktywuje swą bionikę do trybu agresji.

- Nic nie wiesz - szepnął zagubiony mesjasz.

- Ale mam pewną nadzieję.

- Jaką.

- Że masz gdzieś zachomikowany statek. Najlepiej, by to było niedaleko.

- Nie mam.

- Naprawdę? Uważam że to bardzo dziwne. Zadałeś sobie mnóstwo trudu, żeby się zgubić. A jednak nie masz drogi ucieczki, jeśli nawinie się ktoś, kto cię ujawni.

- Oczywiście, że nie, bo nie czekałbym na was.

- Nie czekałbyś tutaj, jeśli to byłbym tylko ja - powiedział Aaron. Wskazał gestem na Corrie-Lyn. - Ale ona? To co innego. Siedemdziesiąt lat to długi okres samotności. Ona pozostała tak długo zakochana. A ty?

Corrie-Lyn przysunęła się blisko do Inigo.

- A ty? - zapytała cichym głosem.

Żałosny uśmiech przemknął mu przez wargi.

- Cieszę się, że to ty. Czy to wystarczy?

- Taa. - Położyła mu głowę na ramieniu.

- Nie ma statku - powiedział Inigo do Aarona. - I jedyny sposób, w jaki gdzieś z tobą pójdę, to w torbie, w postaci małych kawałków węgla.

- To szkoda, ponieważ wiem, jaką broń zastosowano, by zlikwidować mój statek i bazę.

- Czy to ma mi zaimponować? Spodziewam się, że wiesz mnóstwo rzeczy na temat broni i przemocy. Tacy jak ty zawsze to wiedzą.

- To było m-rzapie Hawkinga - wyjaśnił Aaron. - Wiesz, co to jest? Nie? To broń nowa i bardzo niebezpieczna. Nawet ZAN w pobliżu tej broni robi się nerwowa. Zasadniczo jest to bardzo mała czarna dziura, ale uruchomiona z powiększonym horyzontem zdarzeń, by ułatwić wchłanianie. Startuje jako mały rdzeń z neutronium, rozmiarów mniej więcej jądra atomowego.

Corrie-Lyn usłyszała nacisk na słowach.

- Startuje?

- Tak. Jego pole grawitacyjne jest wystarczająco silne, by wciągnąć wszystkie atomy, z którymi wejdzie w kontakt. Potem one również zostają skompresowane do neutronium i włączone do rdzenia. Z każdym atomem rdzeń staje się nieco większy. Nie o wiele, trzeba to przyznać, przynajmniej na początku. Ale im większą ma powierzchnię, tym więcej materii może wchłonać. I kiedy m-rzapie przedarło się przez „Sprytnego Kombinatora”, uderzyło w planetę. W tej chwili właśnie zapada się w płaszcz Hanko, zjadając wszystkie atomy, jakie napotka. Zatrzyma się w środku planety. Potem będzie tam po prostu tkwiło i rosło.

- Jak duży się zrobi? - zapytała z niepokojem.

Aaron rzucił spojrzeń Inigowi.

- Czarne dziury nie mają teoretycznej granicy rozmiarów. Kiedyś sądziłismy, że Pustka jest czarną dziurą.

- Ale... Hanko?

- Pożarcie całej masy świata zdatnego dla ludzi zajmie mu około dwóch tygodni. Ale my zginiemy znacznie wcześniej. Hanko rozkruszy się, kiedy będzie zjadana od wewnątrz. Kontynenty zapadną się za dwa lub trzy dni. Tak więc, pytam ponownie, z ogromnym ładunkiem emocjonalnym, czy masz gdzieś w pobliżu

schowany statek?

Araminta pocałowała jego trójkę, kiedy siedzieli przy stole w altance z kwitnącego yisanthala w jego ogrodzie.

- Brakowało mi tego - powiedziała do Azjaty o surowej urodzie.

Pan Bovey uśmiechnął się unisono. Wzniósł swoje kieliszki.

- Na zdrowie!

- Na zdrowie! - Popiła białego wina.

- Tak więc? - spytał ten, z którym jadła ich pierwszą kolację.

Araminta przygotowała się duchowo.

- Jeśli twoja oferta jest nadal aktualna, chciałabym ją przyjąć.

Prócz harmideru, który uczynili trzej pod altaną, usłyszała owacje nadchodzące z wielkiego domu.

- Niektórych starców bardzo uszczęśliwisz.

- Nas młodziaków także.

Araminta zaśmiała się.

- I absolutnie nie wiem, jak mam się tym zająć. Pierwsze trzy mieszkania będą gotowe za tydzień. Przyjęłam zaliczkę na czwarte.

- Gratulacje.

- Ale dopóki nie skończę i lokatorzy się nie wprowadzą, nie zobaczę zysków. Potrzebuję pieniędzy, by kupić ciała.

- Nie są tak drogie, jak myślisz. Przyjaciel, jedna z nas prowadzi klinikę przeznaczoną specjalnie do tego celu. Zawsze daje zniżkę pierwszemu rozwojowcowi.

- W porządku.

Wypiła kolejnego drinka, by uspokoić drżenie. To było doniosłe, jakby zaakceptowała jednocześnie dwie propozycje małżeńskie. Młody typ celtycki, ścisnął jej rękę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, pełen sympatii.

- Chyba tak. - Wiedziała, że uśmiecha się jak idiotka. Ale czuję, że to właściwe.

Dwóch następnych Boveyów wyszło pospiesznie z domu. Jeden z nich, na oko siedemnastolatek, klęknął przy niej na kolano. Szczupły, atletycznie zbudowany, miał dziką czuprynę blond.

Wręczył jej pudełeczko, które otworzyło się, ukazując starodawny pierścionek zaręczynowy z diamentem.

- Kupiłem go na wszelki wypadek - wyjaśnił.

Araminta włożyła go na palec i otarła łzy.

- Och, chodź tutaj - wykrzyknął młodzian.

Jego ramiona objęły ją, mocno ściskając. Śmiała się przez łzy.

- Nie widziałam cię wcześniej.

- Jestem dla siebie poganiaczem niewolników. Położyła mu dłonie na policzkach i dogłębnie pocałowała.

- Chciałabym, żebyś był jednym z nich dzisiejszego wieczora.

- Moja znaczna przyjemność.

- Chyba mówiłeś, że nadal muszę poznać kilkoro z ciebie.

- Och, możesz mi zaufać, do wesela będziesz znała wszystkich mnie.

- A ja nie mam nic przeciwko i nie będę się uskarżać na inne kobiety, dopóki nie będę miała wystarczająco ciąż, by sobie poradzić. Po prostu... nie chcę ich spotykać.

- Spróbuję to trzymać z daleka od ciebie, obiecuję.

- Dzięki - szepnęła z wdzięcznością.

- Powiedz, o jaki typ ciąż się postarasz?

- Oj, nie myślałam o tym - przyznała. - Co lubisz?

- Musi być wysoką blondynką o typie amazonki. To zawsze jest popularne.

- Och i również bardzo czarna. Włączmy wszystkie stare cechy etniczne. Ja to zrobiłem - niemal.

- I jedna z ciebie musi mieć ogromne piersi.

- Więcej niż jedna.

Klapnęła go, udając zaszokowane przerażenie.

- Jesteście okropni. Nie zrobię niczego podobnego.

- W łóżku tak nie mówisz.

Araminta zaśmiała się. Naprawdę jej tego brakowało. Podjęłam właściwą decyzję.

Araminta leżała na wielkim łóżku, słuchając jak śpią trzej Boveyowie. Dwaj na łóżku obok niej, a jeden na kanapie,

zawinięty w kołdrę. Wszyscy oddychali cicho, niezupełnie synchronicznie. Dziś odmówiła wszystkich aerozoli, chciała wypróbować program Likana, upewnić się, że działa z innymi ludźmi, że Likan nie załadował na nim ukrytej daty ważności.

Działał.

I to jak.

Pan Bovey był zaskoczony, a potem bardzo wdzięczny, za to, że jej ciało reaguje aż tak energiczniej. Tak jak podejrzewała noc w łóżku z nim była znacznie lepsza niż ta z Likanem i haremem. Zawsze przyjemnie uzyskać potwierdzenie.

Teraz nie mogła spać. Nie, żeby nie była zmęczona, uśmiechnęła się do siebie, ale nie mogła przestać myśleć o zaręczynach i przyswojeniu sobie wielokrotnego stylu życia. To był taki wstrząs. Wszystko się miało zmienić. W tak wielkim stopniu, że bała się więcej niż trochę. Jej umysł kłębił się ciągle wokół tych samych pytań. Nie była zdolna na nie odpowiedzieć, ponieważ tak naprawdę nie wiedziała nic o byciu wielociałowikiem. Jedynym sposobem, by coś się o tym dowiedzieć, było zostanie wielociałowikiem.

Obróciła głowę, by popatrzeć na młodego rudego Boveya, który umościł się wygodnie obok niej. On by jej pomógł podczas okresu przejściowego, wiedziała o tym. Pan Bovey ją kochał. To wystarczyło, by przeprowadzić ją przez najbliższe kilka miesięcy. Nie wyznaczili terminu. Powiedział, że chciałby, by przynajmniej dwie z niej zarejestrowały małżeństwo z nim. Co było dość fair. Ona naprawdę potrzebowała wykończyć te mieszkania. Dzień dzisiejszy sprawił, że stało się to jeszcze pilniejsze.

Araminta usadowiła się na miękkich materacach i zamknęła oczy. Wykorzystała program do uspokojenia wirujących myśli, opróżnienia umysłu. Jej ciało zaczęło się uspokajać, kiedy znalazła i zwolniła jego naturalne rytmy, zmniejszyła ich częstotliwość. Pustka, która otworzyła się w środku, zamiast snu, uświadomiła jej obrazy czające się tuż pod świadomymi myślami. Nie tylko jeden, ale cała paleta o rozmaitych smakach i wywołująca różne uczucia. Kręcąc się wychodziły z nieskończonej odległości, łączność, którą jak właśnie to

zrozumiała, nawiązywała sama. Instynktownie wiedziała jak skupić się na tym obrazie, którego chciała. Niektóre z nich, były snami pana Boveya, znała go już dość, by odróżnić jego umysłowy zapach. Westchnęła czule, kiedy doświadczała jego obecności; część jego umysłu była taka nerwowa - biedny człowiek. Czuła także jego szczęście - jej twarz pojawiała się często w jego myślach. Jedno z połączeń było kompletnie obce, jednak przyjemnie ciepłe, w taki sposób jaki pojawia się między rodzicem a dzieckiem. Wygięła wargi w uśmiechu. Silfeński Ostrów Matki. Tak więc Cressida mówiła prawdę. W takim razie ten strasznie zajęty chór wielokolorowych cieni musi być gajaszferą.

Araminta przyswoiła sobie spokojne najbardziej wątlą łączność ze wszystkich. I znalazła się w kosmosie, płynęła daleko od wszystkich gwiazd.

Mgławice Pustki błyszcząły za nią, bujne i wspaniałe, a ona wznosiła się ku mrokowi rejonów zewnętrznych.

- Cześć - powiedziała.

A Władca Niebios odpowiedział.

Justine oczekiwała, że kiedy wreszcie jej statek „Silverbird” będzie się zbliżał do Stacji Centurion, odczuje wielkie radosne podniecenie. Pięćset samotnych godzin w małej kabinie, bez połączenia z unisferą, niespodziewanie bardzo ją wyczerpało. Intelktualnie wiedziała, że to nonsens, kaprys jej prymitywnej biochemii ciała i słabości neurologicznej. Ale przemęczenie nadal pozostawało realne.

I oto tu była, na miejscu swego przeznaczenia i nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o identycznej, nudnej podróży powrotnej. Muszę być szalona, że to robię.

„Silverbird” wylądował na polu lawowym, które pełniło funkcję kosmoportu dla ludzkiej sekcji Stacji Centurion. Stało tam pięć innych statków, każdy z nich większy od jej pojazdu. Smartkor zameldował o kilku dyskretnych czujnikach sondujących statek. Najbezcenniejsza była wysoka wieża ethoksów -

wykorzystywała agresywne detektory sygnatury kwantowej. Bardziej subtelne skanowanie przyszło z posępnych kopuł forleene. Był nawet jeden szybki pik z urządzeń obserwatorium w sekcji ludzkiej. Uśmiechnęła się, a jej cienki skafander docisnął się do jej ciała, usuwając kieszenie powietrza i tworząc zewnętrzną skórę ochronną. Zapięła hełm.

Do głównej śluzy trzeba było przejść niewielki dystans przez piaszczystą lawę. Justine potrzebowała tego spaceru, gdyż dawał jej poczucie przestrzeni i normalności. Nie mogła uwierzyć, że widok planetarnego horyzontu, nawet równie ponurego jak ten, aż tak pokrzepi ją na duchu. Zatrzymała się i spojrzała w górę - gniewne burze jonowe nadawały niebu fluorescencyjną poświatę na lata świetlne we wszystkich kierunkach. Błada kpina z mgławic wewnątrz Pustki.

Dyrektor Lehr Trachtenberg czekał na nią w holu recepcyjnym za śluzą. Mężczyzna ogromnych rozmiarów, który przypominał jej Ramona, jednego z jej dawnych mężów. Kiedy tak przed nim stała, ściskając mu dłoń na powitanie i odchylając głowę do tyłu, po prostu, by zobaczyć jego twarz, myślała kolejny raz jak nieistotne jest jej fizyczne ciało. Oczywiście, to skojarzenie z Ramonem przerzuciło jej myśli z powrotem na możliwość seksu.

- To duży zaszczyt - mówił Lech Trachtenberg. - ZAN nigdy wcześniej nie przysyłała tu przedstawiciela.

- Przy okolicznościach politycznych tam, we Wspólnocie, uznano za stosowne zbadać bezpośrednio dane z Pustki.

Dyrektor wolno oblizał wargi.

- Odległość nie ma znaczenia dla danych, Justine. Wysyłamy cały zestaw naszych znalezisk bezpośrednio do wydziału badawczego floty i do raieli.

- Tym niemniej chciałabym mieć możliwość przejrzenia waszej działalności.

- Nie mam zamiaru niczego odmawiać. Zwłaszcza po podróży, którą odbyłaś. Według mojej wiedzy nikt samotnie nie podróżował tak długo. Jak zniosłaś izolację?

Podejrzewała, że on podejrzewa, że „Silverbird” ma ultranapęd, ale zdecydowała prześlizgnąć się nad rzeczywistym czasem

podróży.

- Z trudnością i mnóstwem dramatów sensorycznych. - Wyobrażam sobie. - Wskazał gestem pięciosiedzeniowy pojazd, czekający na końcu holu recepcyjnego. - Wyzaczyłem ci apartament w kompleksie kwater Meksyk.

- Dziękuję.

- Wydaję również przyjęcie powitalne na twoją cześć za trzy godziny. Wszyscy bardzo pragną cię spotkać.

- Spodziewałam się tego - powiedziała. - Doskonale, przyjdę. Po tej podróży przyda mi się trochę towarzystwa.

Razem wsiedli do małego pojazdu, który natychmiast śmignął do tunelu transportowego.

- Powiniennem cię ostrzec, że prawie jedna trzecia naszego personelu obserwacyjnego to wyznawcy Żywego Snu - oznajmił dyrektor.

- Przejrzałam akta personelu, zanim przyjechałam.

- Więc wiesz o tym.

- Czy to problem?

- Miejmy nadzieję, że nie. Ale, jak mówiłaś, sytuacja w tej chwili jest płynna.

- Nie martw się. Umiem zachowywać się dyplomatycznie, gdy muszę.

Jej apartamenty mogły się równać standardem z najlepszymi znanymi jej luksusowymi hotelami. Brakowało tylko ludzkiej obsługi, ale liczba nowoczesnych botów z nadmiarem rekompensowała ten brak. Flota najwyraźniej nie szczędziła wysiłków, by uczynić stację miejscem jak najbardziej przytulnym dla naukowców. Główny pokój miał nawet długie okno wychodzące na obce sekcje stacji. Justine patrzyła na nie przez chwilę, a potem na jej życzenie szkło stało się nieprzezroczyste. Jej u-adiunkt umościł się w sieci pomieszczenia.

- Żadnych wizyt ani wezwań - poleciła.

Usadowiła się na łóżku i otworzyła umysł na lokalną gajasferę. Przyciemniony pokój wypełnił się widmami, kolory pobłyskiwały wśród głębszych cieni. Głosy szeptały. Słyszać było śmiech. Poczła pociąg do różnych stanów emocjonalnych, które

obietowały, że zanurzą ją w swe kuszące, smętne odczucia.

Oparła się pokusie i skupiła uwagę na jądrze fantazji, na samym gnieździe konfluencyjnym - quasi-biologicznym module neuralnym, który jednocześnie magazynował i emitował każdą myśl wpuszczoną w swoje pole. Miał wspomnienia jak ludzki mózg, ale jego pojemność była o wiele, wiele większa. Justine uformowała własne obrazy i przesłała je do gniazda. Odpowiedziało skojarzeniami. Oczywiście, zawierało ono wszystkie sny Iniga - Żywy Sen tego dopilnował. Zignorowała barwny spektakl życia Stąpającego po Wodzie. Odsunęła te obrazy i nastroiła się na inne wspomnienia z życia wewnątrz Pustki. Gniazdo było pełne zagadek, umysłowej poetyki pozostawionej przez obserwatorów, zdezorietowanych widokiem okropnego mrocznego serca galaktyki. Zawierało wypracowania o tym, jakie życie mógłby pędzić ktoś na tyle szczęśliwy, by dostać się do wnętrza: spełnienie życzeń, rzeczy całkiem odmienne od tego co na zewnątrz. Pacierze-obietnice, które wyznawcy Żywego Snu składali co wieczór swemu mistycznemu celowi. Wszystko to było w gnieździe. Ale nic więcej. Żadnych innych zerknięć na inne życie przeżywane na Querencji. Żadnych wielkich, łagodnych myśli pochodzących od Władcy Niebios.

Kopuła ogrodowa pośrodku sekcji ludzkiej chlubiła się ponad dwustupięćdziesięcioletnimi drzewami. Dęby o grubych pniach wysuwały pokrzywione konary, które funkcjonowały jako bujne baldachimy nad stołami, przy których zebrał się personel stacji. W górze, na rustykalnej platformie nadrzewnego domku entuzjastyczna amatorska orkiestra grała pieśni z różnych epok - muzykanci cofali się z repertuarem nawet o kilkaset lat i z entuzjazmem oczekiwali na zamówienia. Wewnątrz panował zmierzch, pozwalający ostremu fioletowemu światłu gwiazd ze Ściany na zdominowanie nieba nad głową.

Justine podziwiała szeroką łatę rażących w oczy błysków z rodzajem nieufności, którą rezerwowała dla niebezpiecznych zwierząt. Jej przybycie do kopuły ogrodowej wywołało sporą falę zainteresowania. Podobała jej się myśl, że przynajmniej

częściowo zawdzięczała to zainteresowanie wybranej przez siebie czarnej sukience koktajlowej. Chyba wyglądało na to, że sukienka odniosła wymagany skutek na dyrektorze Trachtenbergu, który stał się całkiem zalotny, kiedy krzątał się w okolicy, i proponował jej rozmaite drinki i wybrane zakąski.

Wszystkie osoby, którym była przedstawiana, chciały wiedzieć, jakie są dokładnie przyczyny obecnego zainteresowania ZAN. Powtórzyła kilkanaście razy oficjalną wersję, że po prostu przyjechała, by ustalić bieżący status obserwacji.

- Bez zmian - skarżył się Graffal Ehasz, szef wydziału obserwacji. - Obecnie niczego się nie dowiadujemy prócz wzorców burz w Zatoce po drugiej stronie Ściany. Nic nam to nie mówi o naturze bestii. Powinniśmy wysłać sondy do wnętrza.

- Myślałam, że nic nie może przeniknąć przez barierę - odparła.

- Dlatego właśnie potrzebujemy szczegółowych badań. Nie można ich wykonać zdalnymi sondami z odległości pięćdziesięciu lat świetlnych.

- Raielowie nie lubią, kiedy jesteśmy bliżej - zauważył Trachtenberg.

- Kiedy wrócisz do domu, może zapytasz ZAN, dlaczego potrzebujemy ich zezwolenia na byle pierdnięcia - zaproponował Ehasz. - To kurewsko obraźliwe.

- Będę o tym pamiętała - oświadczyła Justine. Przyjęcie trwało dopiero dwadzieścia minut; a zastanawiała się ile aerozoli zdążył już wchłonąć Ehasz.

Dyrektor ujął jej ramię i grzecznie odciągnął od uczonego.

- Przepraszam za to - powiedział. - Nie ma tu mnóstwa okazji, by się wywnętrzyć. Pilnuję twardo rozkładów zajęć. To droga instalacja i fenomenalnie ważna. Musimy wyciągać z niej jak najwięcej informacji.

- Rozumiem.

- To trzecia tura Ehasza na stacji. Często jest sfrustrowany brakiem postępów. Widziałem wcześniej takie objawy. Najpierw wszystkich nas ogarnia uczucie zachwyty nad tym miejscem. Potem, kiedy to uczucie blednie, zaczynasz zdawać sobie sprawę na ile bierne są te obserwacje.

- Ile razy tu byłeś?

Uśmiechnął się szeroko.

- To moja siódma tura. Ale z drugiej strony jestem znacznie starszy i mądrzejszy od Ehasza.

- Tak więc chciałbyś dołączyć do Pielgrzymki?

- Trzysta lat bezpośredniej obserwacji pokazało nam, że wszyscy, którzy dotykają bariery giną. W gruncie rzeczy giną zanim osiągną barierę. Po prostu nie rozumiem, jak mogą mieć nadzieję, że dostaną się do środka.

- Ktoś to zrobił, kiedyś.

- Taa, i to jest naprawdę irytujące.

- Więc co... - Justine przerwała, kiedy grunt zakołysał się, niemal zbijając ją z nóg.

Napięła się, opadła do przysiadu, jak niemal wszyscy pozostali. Jej własne pole siłowe włączyło się. Lokalna sieć wywrzaskiwała wszelkie rodzaje alarmów. Ogromne konary dębów groźnie zaskrzypiały. Ich liście poruszyły się, jakby od porywu wiatru.

- Jascholera - krzyknął Trachtenberg.

U-adiunkt Justine nawiązał połączenie ze smartkorem „Silverbirda”.

- Bądź gotowy - poleciła Justine statkowi. - Śledź moje położenie.

Kiedy zeskanowała otoczenie, kopuła nadal pozostawała nienaruszona. Potem spojrzała na horyzont, który wyglądał na idealnie poziomy. Oczekiwała co najmniej wielkich szczelin w równinie lawowej. Grunt znowu się zakołysał. Nic się nie poruszyło!

- Co się dzieje? - zapytała. - Czy to rodzaj trzęsienia? Ale ta planeta była martwą łupiną, całkiem nieaktywną pod każdym względem.

- Nie jestem pewien. - Dyrektor uciszył ją zirytowanym machnięciem ręki.

Orkiestra schodziła z nadrzewnego domku tak szybko, jak mogła, zeskakując ostatni metr z drewnianych schodków. Porzucili swe instrumenty. Kiedy grunt znowu się poruszył, Justine patrzyła na drinka w swej dłoni. Wino zachlupotało z

jednej strony kieliszka na drugą, mimo że trzymała go zupełnie nieruchomo.

- Ozzie wielki - wykrzyknął Trachtenberg. - To grawitacja.

- Co takiego?

- Fale grawitacyjne. Cholernie kolosalne.

Podbiegł do nich Ehasz, kołysząc się mocno, kiedy grunt wydawał się znowu przechylać.

- Czy masz dostęp do czujników dalekiego zasięgu? - krzyknął do Trachtenberga.

- Co złapały?

- Ruch na granicy! Przesuwają się przez nie fale odkształceń, długie na lata świetlne. I to cholerstwo rośnie. Czujniki w Zatoce naprawdę widzą, jak się porusza. Ekspansja jest nadświatlna. To Ozziekurewska faza pożerania.

Grunt mocno się zakołysał. Woda płynąca w strumykach zachlupotała, wyrzucając małe pióropusze drobnych kropel.

Przez chwilę Justine rzeczywiście poczuła, jak jej ciężar maleje. Potem ciężar wrócił i równe stosy naczyń i szklanek na stołach runęły na trawę. Justine kuśtykając odeszła spod dębu, kiedy ten zaczął nieprzyjemnie trzeszczeć. Włączały się awaryjne pola siłowe, wzmacniające kopułę. Wokół krawędzi kopuły drzwi do bunkrów bezpieczeństwa otwarły się z drzeniem.

- Chcę, żeby wszyscy przeszli do pierwszej fazy ewakuacji - ogłosił Trachtenberg. - Personel floty jest proszony o zameldowanie się bezpośrednio na swoich statkach. Zespół obserwacyjny, proszę o szczegółowy obraz, co tam się dzieje. Prawdopodobnie nie mamy wiele czasu, więc musimy zrobić tyle, ile możemy zanim zostaniemy stąd wypchnięci.

Drgnął, kiedy następna fala grawitacyjna przeszła przez stację. Tym razem siła skierowana w górę była tak silna, że Justine czuła, jakby miała się unieść w powietrze.

- Czy tociążenie nadchodzi z Pustki? - spytała. Perspektywa przerażała, byli oddaleni od niej o setki lat świetlnych.

- Nie - krzyknął Ehasz. - To coś lokalnego. - Spojrzał w górę i przyglądał się żarzącemu się niebu nad kopułą. - Tam!

Justine obserwowała dwa lazurowe księżyce przechodzące

przez połyskującą plamę gwiazd Ściany. Znajdowały się one na bardzo dziwnych orbitach. I bardzo szybko - naprawdę przyspieszały.

- O, Boże - westchnęła.

Raielowskie maszyny DF wielkości planet leciały zająć nową pozycję.

- Raielowie przygotowują się do ostatniej walki - powiedział tępo Ehasz. - Jeśli przegrają, ten potwór skonsumuje całą galaktykę.

To nie może się dziać, myślała Justine. Żywy Sen nawet jeszcze nie rozpoczął swej Pielgrzymki.

- Nie możecie! - krzyknęła w górę na starodawnego, niewidzialnego wroga, a ludzkie hormony i uczucia przejęły całkowitą kontrolę nad jej ciałem i umysłem. - To nie fair. To nie fair!

Zaledwie pięć godzin po tym jak nowy sen wpłynął w gajasferę, przeszło pięćdziesiąt tysięcy wiernych już zgromadziło się w Żółtym Parku, szukając przewodnictwa Kleryka Konserwatora. Wyrażali swoje życzenie przez gajafejsy. Jednoczesne pragnienie pięćdziesięciu tysięcy ludzi, było zdumiewającą siłą. Ethan aż nadto dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Radca Phelim podtrzymywał go podczas długiego, bolesnego spaceru z biur burmistrza, gdzie lekarze założyli stanowisko intensywnej terapii. Kulejąc szedł przez Lilią Hall, gdzie sufit ukazywał napływ gęstych cumulusów, ułożonych w koński ogon i odziany w połyskujące włókna błyskawic. Mimo że odciął się od gajasfery, siła łaknienia tłumów przesączała się do jego posiniaczonego umysłu.

Phelim nadal go podtrzymywał przy przechodzeniu przez mniejszy Toral Hall. Jego północny sufit pokazywał mgławicę Ku z jej mrugającymi złotymi iskierkami wewnątrz grubych sfalowanych nefrytowych i szafirowych nimbów.

- Powinieneś wezwać ich do swego łóża - powiedział Phelim.

- Nie - warknął Ethan. Przy tej okazji nie wykaże słabości, nie

może jej wykazać.

Przeszli przez rzeźbione drzwi do izby Rady Wyższej w Pałacu Sadowym. Jego sklepiony krzyżowo sufit podierały szerokie wachlarzowate słupy. W szczycie centralnego segmentu dominowała rozmazana gwiazda o barwie miedzi. Świeciła jasno, światło z połyskiwaniem wychodziło z jej powoli obracającego się dysku akrecyjnego. Komety - ogniste kule wielkości księżyca - okręzały zewnętrzne pasmo dysku na orbitach o wysokiej inklinacji. Astronomowie-zapaleńcy z Makkathranu nigdy nie wyśledzili w Pustce tej konfiguracji.

Rada Kleryków czekała na niego w swych szkarłatno-czarnych szatach, stojąc w milczeniu przy długim stole, przecinającym środek pomieszczenia. Phelim pozostawał przy boku Ethana do chwili, kiedy doszli do podium, a potem Ethan nalegał, że do swego ozdobionego złotymi wzorami tronu dojdzie sam. Opuścił się z grymasem na twarzy na cienkie poduszki. Ból głowy, kiedy siadał, niemal zmuszał go do krzyku. Wracał do siebie przez chwile, drząc na całym ciele. Od chwili, kiedy odzyskał przytomność, wszystkie nagłe ruchy były dla niego torturą.

Radcowie siedzieli, próbując odwracać oczy od przypominających wątrobę, na wpół organicznych bąbli przymocowanych do jego czaszki, tylko częściowo ukrytych pod obszernym kapturem białej szaty.

- Dziękuję, że przyszliście - powiedział do nich Ethan.

- Z ulgą widzimy, że pan wyzdrowiał, Kleryku Konserwatorze - powiedział formalnie Rincenso.

Nawet bez gajafery Ethan znał pogardę innych Radców do jego popiecznika. Sam ją odczuwał.

- Jeszcze nie w pełni wyzdrowiałem - powiedział i poklepał jeden z połyskujących bąbli. - Ale moja struktura neutronalna powinna być w pełni odtworzona w ciągu tygodnia. Do tej pory, wspomagacze wystarczą.

- Jak mogła się wydarzyć podobna rzecz? - spytał radca DeLouis. - Gajafejsy przez stulecia były zupełnie bezpieczne.

- To nie były gajafejsy - powiedział Phelim. - Mistrzowie Snu, którzy ustawili przechwycenie, uważają, że panika Drugiego

Śniącego wywołała skurcz neuralny w mózgu Kleryka Konserwatora. Byli oni dostrojeni w stopniu rzadko osiąganym, chyba, że przez jakieś małżeństwo dzielące się swymi najbardziej intymnymi snami. Podobne okoliczności ponownie nie zaistnieją.

- Gajasfera i unisfera huczą od pogłosek, że Drugi Śniący jest prawdziwym telepatą, że potrafi zabijać jedną myślą.

- Bzdury - powiedział Phelim. Swą szkieletową twarz zwrócił do DeLouisa. Przez chwilę w jego umyśle widać było przebłycki groźnego gniewu.

DeLouis nie mógł patrzeć mu w oczy.

- W każdym razie to nieistotne - powiedział Ethan. - Mistrzowie Snu zapewniają mnie, że mogą wykluczyć taką reakcję, teraz, kiedy już rozumieją jej naturę. Wszystkie przyszłe kontakty z Drugim Śniącym będą przeprowadzane z - uśmiechnął się ponuro - „wyłącznikiem bezpieczeństwa”, jak to nazwali.

- Ma pan zamiar rozmawiać z nim ponownie? - spytał radca Falven.

- Mam wrażenie, że sytuacja tego wymaga - odparł Ethan. - Wy tak nie uważacie?

- No tak, ale...

- Odebrałem ostatni sen razem z wami wszystkimi. Był silny, przynajmniej tak czysty, jak sny samego Śpiącego Inigo. Jednak zasadniczą zmianą w tym śnie była rozmowa, którą odbył Drugi Śniący z Władcą Niebios.

Ta wymiana zdań zszokowała Ethana bardziej niż wyrazistość nowego snu.

- Przybyłem, by cię znaleźć - odpowiedział Władca Niebios na pozdrowienia Drugiego Śniącego.

- Jesteśmy daleko poza krawędzią wszechświata.

- Jednak czułem twą tęsknotę. Pragniesz się z nami połączyć?

- Nie, ale inni owszem, pragną tego.

- Wszyscy są zaproszeni.

- Nie możemy dostać się do środka. To bardzo niebezpieczne.

- *Mogę cię pozdrowić. Mogę cię poprowadzić. To mój sen.*

- Nie.

I tą ostateczną odpowiedzią sen się skończył. Zanim zupełnie

zanikł w umyśle Władcy Niebios wystąpiła niewyraźna oznaka zdenerwowania. Najwidoczniej nie spodziewał się odrzucenia.

I nie jest w takiej reakcji osamotniony.

- Władca Niebios uważa, że może nas poprowadzić do Querencji - oznajmił Ethan. - To ostatnie świadectwo, na które czekaliśmy i o które się modliliśmy. Nasza Pielgrzymka zostanie pobłogosławiona powodzeniem.

- Ale nie bez Drugiego Śniącego - powiedział radca Topsyne. - Proszę mi wybaczyć, Konserwatorze, ale on nie chce poprowadzić nas w Pustkę. Bez niego nie ma Pielgrzymki.

- Jest w rozterce - odparł Ethan. - Aż do teraz w ogóle nie wiedział, że jest Drugim Śniącym. Odkrycie, że jest się nadzieją miliardów nie jest łatwą sprawą. W końcu sam Inigo uznał, że to ciężar nie do zniesienia. Tak więc możemy przebaczyć Drugiemu Śniącemu jego słabość i ofiarować mu wsparcie oraz przewodnictwo.

- Teraz już może sobie zdawać sprawę, kim jest - powiedział Radca Topsyne. - Ale my nie wiemy nawet, gdzie jest.

- Tak naprawdę, to wiemy - ogłosił Phelim. - W Colwyn City na Viotii.

- Wspaniała wiadomość - powiedział Ethan na sposób drapieżnika. Patrzył z rozbawieniem, jak protest w umyśle Topsyne wysycha. - Powinniśmy go powitać i podziękować Viotii za przyniesiony nam podarunek. - Skierował wzrok na Rincenso.

- Chciałbym zaproponować wprowadzenie Viotii do Strefy Wolnego Handlu - powiedział Rincenso. - Promowanie jej do statusu planety centralnej.

- Popieram - oznajmił Falven.

Reszta Rady Kleryków zareagowała zdumieniem.

- Nie można tego zrobić - powiedział Topsyne. - Będą się opierać, Senat Wspólnoty postanowi nas cenzurować. Stracimy wszelkie korzyści dyplomatyczne, jakie posiadamy. - Powiódł wzrokiem wokół stołu, szukając poparcia.

- To nie jest tylko nasza ambicja - oznajmił Phelim. Wskazał na pusty koniec stołu, naprzeciwko podium Ethana. Jego u-adiunkt nawiązał ultrabezpieczną łączność i portal rzucił wizerunek

Likana stojącego tuż za stołem.

Likan ukłonił się uprzejmie.

- Konserwatorze, jestem zaszczycony.

- Dziękuję panu - powiedział Ethan. - Rozumiem, że działa pan jako nieoficjalny wysłannik swojego rządu.

- Tak, proszę pana. Właśnie skończyłem rozmowę z premier. Jest jej życzeniem, by zaakceptować szczerą ofertę Ellezelinu, by wznieść nas do statusu centralnego świata w Strefie Wolnego Handlu.

- To wspaniała wiadomość. Poinformuję gabinet Ellezelinu o waszej decyzji.

- Akceptacja łączy się ze zrozumieniem, że częścią ugody jest system zero taryfowy - powiedział Likan.

- Oczywiście. Wolny handel rozpocznie się natychmiast, kiedy Drugi Śniący dołączy do nas tutaj, w Makkathranie 2.

- Zrozumiałem. Premier dołączy do traktatu swój certyfikat urzędu, natychmiast, gdy traktat zostanie wysłany.

- Wydaje mi się - powiedział Etan, gdy wszyscy zamilkli zaskoczeni - że właśnie mieliśmy głosować. Kto jest za? - Patrzył na uniesione dłonie. Uchwałę przyjęto jednogłośnie. W takich chwilach Ethan prawie żałował, że nie ma w radzie Corrie-Lyn. Ona nigdy nie pozwoliłaby, by sprawę załatwiono w taki sposób.

- Dziękuję. Wasze poparcie dla mojej polityki uczy mnie pokory. Nie ma innych spraw do załatwienia.

Phelim pozostał w fotelu, gdy wszyscy inni wychodzili. Plamy światła rzucane przez bezustannie krążące nad głową komety przesuwają się po jego pozbawionej wyrazu twarzy.

- To było łatwe - zauważył Ethan.

- Nie wiedzą, co robić - odparł Phelim. - Są tacy sami jak zgromadzenie wiernych na zewnątrz: zdumieni i zranieni, że Drugi Śniący odrzucił Władcę Niebios. Potrzebują silnego, pozytywnego przywództwa. Ty im to zapewniasz. Ty znasz rozwiązanie. Oczywiście, że zwrócą się do ciebie.

- Kiedy możemy otworzyć wormhol?

- Każę, żeby twoje biuro rządowe natychmiast przesłało traktat do premiera Viotii. Jeśli Likan nas nie zawiedzie, traktat od razu

wróci. Wormhol można otworzyć w ciągu dwóch godzin. Przygotowaliśmy listę miejsc, w których może się wyłonić.

- Mam nadzieję, że Colwyn City to jedno z tych miejsc.
- Tak. Ma kompleks doków, który pięknie nam posłuży.
- A nasze siły policyjne?

- Czterdzieści tysięcy przygotowane do natychmiastowego wyruszenia razem z transportem i sprzętem do tłumienia rozruchów. Możemy ich przepchnąć w ciągu sześciu godzin od otwarcia wormholu. Następne ćwierć miliona podąży za nimi w ciągu następnych czterech dni.

- Wspaniale.

- Miałem nadzieję, że to zaaprobujesz. - Phelim zawahał się. - Nigdy nie planowaliśmy, że Drugi Śniący stanie się świadomy swej zdolności w taki właśnie sposób. Ustawienie Mistrzów Snu na właściwych pozycjach w Colwyn zabierze nam dzień.

- Ale zdołasz zamknąć wcześniej ruch kapsuł i statków?

- Tak. To nasz najwyższy priorytet. Chcemy go zamknąć w granicach miasta. - Phelim, co niezwykle u niego, znowu się zawahał. - Aby dało się go zlokalizować, musi znowu śnić. Po dzisiejszym dniu, może tego nie robić.

Ethan zamknął oczy i zapadł się w sobie, osłabiony wysiłkiem.

- Będzie śnił. Jeszcze nie wie, co zrobił.

- Co masz na myśli?

- Godzinę temu odebrałem wezwanie od dyrektora Trachtenberga ze Stacji Centurion. Uznał to za dostatecznie ważne, by odkryć swoją przynależność do nas i wykorzystał stacje przesyłowe floty. Tuż po tym, kiedy Drugi Śniący zakończył swój kontakt z Władcą Niebios, Pustka weszła w fazę pożerania. To nie jest zbieg okoliczności. Wydaje się, że Władca Niebios nie traktuje lekko swego odrzucenia. Nasz samotniczy przyjaciel będzie go musiał ułagodzić, albo wszyscy skończymy pożarci przez strefę graniczną. To naprawdę spory bodziec.

Siódmy sen Iniga

Edeard obudził się z łagodnym kacem. Znowu. Ostatni wieczór był trzecim z rzędu, który spędzał poza domem z Macsenem i Boydem.

Usiadł na łóżku i nakazał zapalenie światła. Wysoki zakrzywiony sufit zaczął dyskretnie świecić kremową poświatą. Jeden z jego trzech geszympanów pośpieszył ze szklanką wody i pudełeczkiem proszku otrzymanego od ucznia doktora Marusy. Edeard umieścił kuleczkę proszku na języku, popił wodą i połknął. Myślami wrócił do tamtego ranka przed laty w Wikham, gdzie Fahin zmieszał swoją obrzydliwą miksturę i otrzymał lekarstwo na kaca. Nadal była ona najskuteczniejszym z lekarstw, które próbował. Edeard był pewien, że kuleczki niewiele różniły się od placebo i stanowiły dla ucznia małe regularne źródło dochodu. Szybko dopił wodę. Fahin zawsze powiadał, że woda pomaga w szybszym wypłukiwaniu toksyn.

Do okrągłego basenu kąpielowego w łazience apartamentu prowadził obecnie ciąg schodków, tak że Edeard mógł zejść do wody. Zanurzył się po szyję, sadowiąc na półeczce do siedzenia i westchnął z wdzięcznością. Geszympan wlał do basenu mydło w płynie, które wytwarzało mnóstwo baniek. Znowu zamknął oczy, czekając, aż kac odpłynie. Temperatura wody była idealna, dokładnie odpowiadała ciepłocie ciała. Dostrojenie tej temperatury zajęło tygodnie - woda do kąpieli w Makkathranie zwykle była nieco za chłodna dla ludzi. Przemodelował także dziurę w podłodze, która służyła za toaletę. Teraz wszechobecne drewniane pudło wykorzystywane przez wszystkie gospodarstwa na Makkathranie znikło, zastąpione przez prosty, wydrążony postument, który pomieszczenie wyhodowało dla Edearda. Było na nim znacznie łatwiej siadać.

Inne niewielkie modyfikacje zamieniły apartament w całkiem przytulny dom. Standardowe zbyt wysokie sześcienne łóżko było

obecnie o wiele niższe, jej gąbczasta górna powierzchnia miększa i bardziej gościnna. Nisze miały półki. Pewna głęboka nisza w obszarze kuchennym była obecnie stale chłodna, co pozwalało przez całe dni zachowywać świeżość jedzenia, tak jak robiono to w większych pałacach w mieście.

To była największa zaleta mieszkania w kamienicy konstablów, a nie w dormitorium na posterunku. Edeard mógł znowu wybierać to, co jadł. Połowę pierwszej miesięcznej pensji wydał na nowy żelazny piecyk do gotowania. Sam go zainstalował, wykorzystując dziurę, jaką poprzedni lokator wyciął w ścianie na przewód kominowy. Piecyk zajmował najważniejszą pozycję w kuchni razem z rosnącą kolekcją rondli. W kuchni znajdowała się nawet mała misa, którą można było wykorzystać do zmywania, zamiast wrzucać wszystko do basenu kąpielowego, jak to robiła większość. Polubił tę innowację na tyle, że rozważał wyrzeźbienie drugiej w łazience, tylko na twarz i ręce. Chociaż oznaczałoby to powiadomienie wszystkich, że ma on zdolność przemodelowywania miejskiej materii i rzeźbienia jej równie łatwo, jak kiedyś rzeźbił jaja genistarów.

Powiadomienie wszystkich, którzy odwiedzają apartament.

Wobec tego nikogo.

Ostatniego wieczoru Macsen zabrał ze sobą dziewczynę z teatru. Jedną z tancerek! I ładniejszą od każdej dziewczyny z wielkich rodzin. Miała niewiarygodnie silne i giętkie ciało. Edeard wiedział o tym, z powodu wydekoltowanego ubrania, jakie nosiła na scenie podczas tańca. Zgrzytał zębami i próbował pokonać zazdrość. Ostatniego wieczora on i Boyd znów doznali niepowodzenia. Choć ogólnie biorąc, wieczór był miły. Edeardowi teatry podobały się znacznie bardziej niż pijatyki w tawernach. Na scenie często występowało kilku muzyków. Zawsze uczniowie Gildii. Młodzi i pełni pasji. Samo słuchanie niektórych piosenek, tak pełnych pogardy dla władz miasta powodowało, że czuł się nikczemnie nielojalny w stosunku do Wielkiej Rady. Ale znał słowa wielu z tych popularnych utworów, bo kilka z nich skomponował Dybal. W teatrach było głośno - niektóre mieściły się po prostu w podziemnych pomieszczeniach

magazynowych. Kiedy po raz pierwszy usłyszał grę na bębnach zaskoczyło go to, wydało mu się, że muzycy w jakiś sposób oswoili grzmoty.

Macsen obiecywał, że pewnego dnia pójdą zobaczyć, jak gra Dybal. Edeard miał nadzieję, że nastąpi to wkrótce.

Bańki zniknęły z basenu, kiedy woda zaczęła ściekać przez wąskie szczeliny wokół dna. Edeard jęknął i wyszedł z kąpieli. Geszympons przygotował dla niego szatę. Wciągał ją, idąc do strefy kuchennej, gdzie usiadł przy stoliku. Stolik stał przy oknie w kształcie kwiatu pięciornika, przez które Edeard mógł spoglądać nad dachami w kierunku centrum miasta.

Geszympons postawił na stole szklanę z sokiem mangowo-jabłkowym, a także miskę z mieszanymi płatkami owsianymi, orzechami i suszonymi owocami. Sok był przyjemnie chłodny: szympansy wiedziały, że należy postawić go w zimnym zakątku na godzinę przed podaniem. Edeard wlał mleko (również chłodne) do miski i zaczął jeść, wyglądając na miasto budzące się do życia razem ze wschodzącym słońcem.

Byłoby to rzeczywiście miłe życie, gdyby tylko przestał rozmyślać o całym bezprawiu nawiedzającym ulice i kanały, panującym dokoła. W ciągu ostatnich kilku tygodni oddział w końcu zdołał uzyskać w sądach kilka wyroków skazujących. Ale nic ważnego: kilku złodziei sklepowych, młodszych nastolatków, bandyta, który większość czasu był pijany; raz Gildia Urzędników wysłała ich, by aresztowali właściciela domu, oszukującego na podatkach. Aresztowania nie wywarły żadnego wpływu na gangi, które były główną przyczyną problemów Makkathranu.

- Jesteś gotów? - zapytała dalmową Kanseen, kiedy Edeard zapinał mundur.

Wciągnął buty. Nowe, kosztowały trzydniowe zarobki - ale były tego warte.

- Już idę.

Czekała na chodniku na zewnątrz z przewieszonym przez ramię sztormiakiem.

- Będzie dziś padało - oznajmiła.

Zerknął na szerokie, czyste niebo.

- Jeśli tak mówisz.

Uśmiechnęła się szeroko i ruszyli w dół po niewygodnych schodach. Każdego ranka miał pokusę, by wyrzeźbić je w coś mniej niebezpiecznego - i przypisać cud Pani.

- To będzie twoja pierwsza zima w mieście, prawda? - zapytała.

- Tak.

Edeard niezupełnie wyobrażał sobie Makkathran zimny i skutny lodem - długie lato okazało się wspaniale gorące. Stał się dobrym graczem w piłkę nożną (tak uważał), a jego drużyna skończyła jako trzecia w małej parkowej lidze Jeavons. Większość tawern miało siedzenia i krzesła na zewnątrz, gdzie spędził wiele przyjemnych wieczorów. Było nawet kilka dni, kiedy znowu zaczął szkicować, choć nikomu nie pokazywał wyników swej pracy. Zaoszczędził trochę pieniędzy i w końcu zafundował sobie i Salranie wycieczkę gondolą wokół miasta.

- Będzie zabawa - powiedziała Kanseen. - Jest mnóstwo przyjęć noworocznych. Potem Burmistrz wydaje za darmo na obiad ogromną pieczeń wołową w Złotym Parku, choć wszyscy są zwykle tak skacowani, że się na nią spóźniają. A parki i place wyglądają tak czysto i świeżo, kiedy przykrywa je śnieg.

- Brzmi nieźle.

- Będziesz potrzebował grubego płaszcza. I kapelusza.

- Za naszą pensję?

- Znam pewne sklepy, gdzie sprzedają dobry towar za rozsądną cenę.

- Dzięki.

- I nie zapomnij o wczesnej dostawie węgla dla swojego pieca. Budynki w zimie nie są dostatecznie ciepłe i ceny skaczą pod niebo po pierwszym śniegu. Pani przeklnie tych kupców. To kryminał, jakie ceny uchodzą im na sucho.

- Tego ranka jesteś szczęśliwa.

- Moja siostra ma w tę sobotę ceremonię nadawania imienia jej chłopcu. Poprosiła mnie, żebym była nominatką Pani.

- Miłe. Jakie da mu imię?

- Dium, po trzecim Burmistrzu.

- Ach, jasne.

- A ty nie masz zielonego pojęcia, kto to był, prawda?

Uśmiechnął się szeroko.

- Żadnego!

Zaśmiała się.

Takie obecnie panowały między nimi relacje. Najlepsi przyjaciele. Jeśli tamten wieczór po promocji pozostawił jakieś zażenowanie w ich stosunkach dawno się to skończyło. Z czego był jakby zadowolony, Nie chciał, by w swoim towarzystwie czuli się niezręcznie, ale z drugiej strony nie mógł zapomnieć o pocałunku ani o tym, co czuli obydwójce. Nigdy nie zdobył się na odwagę, by przypominać, co obydwójce wtedy mówili. Ona także nie.

Co sprawiało, że bił się z myślami, gdy tylko przypominał sobie o Salranie, która zawsze była taka słoneczna i ogólnie śliczna. Było teraz niewiarygodnie trudno ignorować, jaka stała się kobieca. I podejrzewał, że ona o tym wie. Ostatnio jej przekomarzanie się nabrało ostrości.

Reszta oddziału czekała w głównym holu posterunku konstabli w Jeavons. Siedzieli wokół stołu i kończyli śniadanie. W odróżnieniu od Edearda, niewielu z nich gotowało dla siebie. Macsen włożył okulary z bardzo ciemnymi szklami, podobne do okularów Dybala. Kanseen spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem.

- Co, chłopcy, znowu wyszliście wieczorem do teatru?

Macsen chrząknął i skrzywił się nad filiżanką mocnej czarnej kawy.

Edeard rozpaczliwie chciał go zapytać, jaka była tancerka, Nanitte. To musiała być fantastyczna noc, jeśli po niej czuł się taki rozbity Ale mimo że byli przyjaciółmi, Kanseen wykazywała mało tolerancji dla rozmów typu „między nami chłopcami”.

- Są dla ciebie wieści - syknął Boyd, spoglądając po pozostałych stołach w holu, czy nikt nie zwraca na nich uwagi.

- Mów dalej - powiedział Edeard wysuwając krzesło. W zachowaniu Boyda było coś niemal komicznego.

- Znowu jest wywierana presja na mojego brata, Isoixa. Przyszli do sklepu wczoraj wieczorem i powiedzieli, że potrzebują dwudziestu funtów, by „ugasić pożar”. Przychodzą dziś rano, by odebrać pieniądze.

Edeardowi nie podobało się to. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Boyd trzykrotnie zawiadamiał ich o gangsterach prześladowających jego brata w rodzinnej piekarni. Nigdy nie było konkretnych gróźb, tylko ostrzeżenia, by postępował tak jak wszyscy. Zmiękczej go. Cóż, teraz wysunęli żądanie.

- To bardzo głupio z ich strony - powiedział powoli.

- Co masz na myśli? - spytał Dinlay.

- Muszą wiedzieć, że brat Isoixa jest konstabłem. Czemu mieliby ryzykować? W Jeavons są setki sklepów bez takich związków.

- Są gangsterami - powiedział Dinlay. - Chciwymi i głupimi. Tym razem zbyt chciwymi i zbyt głupimi.

- Ci, którzy się pokażą, nie będą ważni. - stwierdziła Kanseen. - Oprychy, których przyjęli na szeregowych członków, to wszystko.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy mu pomagać? - spytał zapalczywie Boyd.

- Nie - zaprzeczył Edeard. - Oczywiście, że nie. Będziemy tam, by ich aresztować, wiecie o tym. Kanseen mówi tylko, że to jedno aresztowanie nie rozwiąże problemu.

Macsen zaczęł palec o okulary, ściągnął je na nos i spojrzał nad ich wierzchem.

- Musimy gdzieś zacząć - zaskrzeczał.

- Twoje słowa brzmią tak, jakbyśmy to właśnie my mieli przetrącić gangom kark - powiedziała Kanseen.

- Ktoś to musi zrobić. I jakoś nie widzę, by robili to Burmistrz lub Główny Konstabl.

- Och, przestań.

Wzruszył ramionami i popchnął okulary z powrotem do góry. Wszyscy spojrzeli na Edearda.

- Chodźmy - powiedział. - I włóżcie wszyscy kamizelki z drojedwabiu. Nie chcę tłumaczyć się z ofiar w ludziach kapitanowi Ronarkowi.

Rodzinna piekarnia Boyda znajdowała się na północnym krańcu ulicy Macoun, niedaleko Kanału Zewnętrzznego Kręgu. Wąska i kręta ulica z barokowymi budynkami po obu stronach utrudniała bezpośrednią obserwację. Na poziomie gruntu, ostre zakręty ograniczały dalwzrok oddziału. Sama piekarnia, trzykondygnacyjna, miała centralną kwadratową wieżę i mansardowy dach o łagodnych krawędziach. Wysokie mansardowe okna w kształcie półksiężyca wystawały nad balkonem na środkowej kondygnacji. Pod nim, łagodne schody prowadziły do szerokiego łuku wejściowego pomiędzy krzywiznami dwóch wykuszy z oknami. Oba okna wypełniały stojaki pełne bochnów i ciast. Brzydkie metalowe kominy z opalanych węglem pieców wznosiły się z otworów wyciętych w okapach wieży i wydmuchiwaly cienki dym w wilgotne powietrze.

Edeard starannie ustawił swój oddział. Gang będzie potrzebował szybkiej drogi ucieczki, więc Macsen i Dinlay znajdowali się w sklepie między piekarnią a kanałem. Kanseen zamykała drugi koniec ulicy Macoun, przechadzając się między straganami w małej arkadzie, jej płaszcz zakrywał mundur; sam Edeard usadowił się w salonie na pierwszym piętrze domu po drugiej stronie. Pokój należał do rodziny, która prowadziła na parterze sklep z odzieżą i blisko przyjaźniła się z Isoixem. Sam Boyd wrócił na dzień do domu i pomagał w piekarni, ubrany w biały fartuch i zieloną czapkę. Edeard nie miał pewności, czy wykorzystać georta. W końcu zdecydował się, że usadzi go na piekarnianej wieży w taki sposób, że ptak będzie prawie niewidoczny z poziomu gruntu. Wystraszył ruumewy, ale nikt więcej tego nie zauważył.

- Przynajmniej nie będziemy musieli eskortować ich daleko do Sądów niesprawiedliwości - zauważył Macsen, kiedy rozpoczęli czuwanie. Edeard rzeczywiście widział przez okno balkonowe w swym pokoju jedną ze stożkowych wież Domu Parlamentu.

Czekali dwie godziny. Podnieśli alarm pięć razy, by za każdym

razem przekonać się, że się pomylili.

- Tak wielu obywateli wydaje się podejrzanych - zadeklarowała Kanseen, po tym jak para młodzieńców przebiegła ulicą, a ich trzecie ręce schwytały pomarańcze z wystawy sklepu warzywnego. - I również tak się zachowuje.

- Wszyscy zachowujemy się dzisiaj paranoicznie - odparł Macsen dalmową. - Widzimy w każdym złoczyńcę.

- Czy to tytuł piosenki? - zapytał Dinlay.

Edeard uśmiechnął się na to przekomarzanie. Bycie dowódcą oddziału miało wiele dobrych stron. Siedział w wygodnym fotelu i pił herbatę, którą wciąż donosiła mu żona właściciela sklepu. Za każdym razem przynosiła również talerz niezłych biszkoptów. Jego dobry humor znikł, kiedy młodzi chuligani skręcili za róg i zniknęli z pola widzenia. W umyśle pojawiło się złe przeczucie, dostatecznie silne, by zamrowiła mu skóra. Znał je z doświadczenia.

- O, cholera - jęknął.

- Edeardzie? - zaniepokoiła się Kanseen.

- To już się dzieje.

- Co takiego? - spytał Macsen.

- Są tutaj. Zaraz się zacznie.

- Gdzie są? - spytał Boyt. - Którzy to?

- Nie wiem - odparł Edeard. - Posłuchajcie, po prostu mi uwierzcie, proszę, zachowajcie ostrożność. Wiem, że musimy ją zachować.

Czuł niepewność w ich umysłach, nie byli przyzwyczajeni, że mówił coś takiego. Ciężko było podnieść się na nogi, ciało źle reagowało. Kiedy przycisnął się do okna balkonowego, przekonał się, że trudno mu się skoncentrować na ulicy w dole.

- Chyba ich widzę - powiedział Boyd.

Dwaj młodzi mężczyźni wchodzili po schodach do sklepu, trzeci stał na zewnątrz. Przez oczy Boyda Edeard i reszta oddziału widziała, jak butnie wkraczają do wnętrza. Isoix wyprostował się za ladą. - Mówiłem wam wcześniej - powiedział. - Nie mam takich pieniędzy.

- Owszem, masz - powiedział pierwszy mężczyzna. Jego wzrok

ciągle strzelał nerwowo na Boyda, który stał przy drugim końcu lady.

Coś tu nie gra, Edeard wiedział to. Dlaczego gangster miałby się niepokoić pomocnikiem sklepowym?

- Boyd, on wie, kim jesteś - wysłał Edeard najbardziej bezpośrednią dalmową, na jaką mógł się zdobyć, modląc się, by gangsterzy nie wyodrębnili jej z ogólnego tła telepatycznej paplaniny Makkathranu.

- Hę? - warknął Boyd.

Gangster znowu spojrzał na niego, a potem odwrócił się do Isoixa.

- Daj mi dwadzieścia funtów, albo spalimy to miejsce - powiedział głośno.

- Nie - powiedział Edeard. Zjeżyły mu się włosy na karku. - Nie, nie, nie.

Coś tu nie gra!

- Hej ty - powiedział Boyd. Odchylił swój fartuch na bok i odkrył plakietkę konstabla przypiętą do marynarki. Dwaj gangsterzy odwrócili się w jego stronę.

- Jestem konstabłem miejskim i aresztuję was za groźby z zamiarem wymuszenia.

- Jak się wam to podoba, sukinsyny? - krzyknął triumfująco Isoix.

- Wszyscy, otoczyć ich - rozkazał Edeard. Przepchnął się przez wąskie drzwi na balkon. Gangster na ulicy spojrzał w górę. I uśmiechnął się.

- O, cholera - warknął Edeard.

- To on - ogłosił gangster potężną dalmową. I zaczął uciekać. Wewnątrz piekarni, pierwszy gangster wyciągnął niewielki nóż. Rzucił nim w Boyda, który odchylił się w tył. Jego trzecia ręka ledwo zdążyła odepchnąć ostrze na bok. Isoix chwycił znacznie większy nóż i rzucił nim w gangsterów, kiedy uciekali wyjściem. Nóż wpadł na ulicę o mało nie raniąc kobiety, która właśnie przechodziła obok piekarni. Kobieta wrzasnęła.

Edeard przeskoczył przez barierkę balkonu i spadł na ulicę. Wylądował podle i potoczył się, kiedy puściła mu kostka. Uderzył

ramieniem w jeden ze schodków prowadzących do drzwi sklepu z ubraniami. Zawył od jaskrawego impulsu bólu, z oczu wypłynęły mu łzy.

Dalwzrokiem uchwycił Boyda, przeskakującego przez ladę w piekarni. Kanseen biegła sprintem po ulicy Macoun, jej porzucony płaszcz walał się przy straganach. Macsen i Dinlay wychodzili ze swego sklepu, pewni siebie i pełni zapału. Ich tarcze połączyły się, kiedy stali pośrodku ulicy, zagrządzając drogę. Cała trójka gangsterów biegła w ich kierunku.

- Przepuście ich - rozkazał Edeard.

- Na twarzy Macsena odbiło się zdumienie, graniczące z wściekłością.

- Co takiego?

Edeard stanął na nogi i zaczął biec kłusem po ulicy.

- Dajcie im spokój.

- Chyba żartujesz.

Trzej gangsterzy znajdowali się zaledwie dwadzieścia metrów od Macsena i Dinlaya.

- To pułapka. Oni wiedzieli, że tu jesteśmy.

- Bzdura - stwierdził Dinlay. - Mogę ich całkowicie przeskanować, mają ze sobą tylko dwa niewielkie noże. To wszystko.

- Będzie ich więcej, gdzieś na nas czekają. Proszę, przepuście ich. Będę ich śledził georłem.

Macsen zawahał się i zszedł na bok.

- Nie - syknął wściekle Dinlay. Otworzył szeroko ramiona, kiedy gangsterzy szarżowali w jego kierunku.

- Dinlay, przestań - wrzasnął Edeard. Teraz biegł, nie zważając na ból w kostce. Kanseen nie była daleko za nim, szarżowała jak koń wojenny, zgrzytała zębami w determinacji. Boyd nadbiegł ześlizgując się po stopniach piekarni i ruszył za nimi.

- Stop - ogłosił Dinlay donośnie, wyciągając dłoń, jakby sam gest miał zmusić całe miasto do zatrzymania się. - Jesteście aresztowani.

- O, gówno - warknął Macsen pod nosem i instynktownie zaczął się przesuwać z powrotem ku Dinlayowi.

Stali już razem kiedy trzech gangsterzy wbiegli na nich. Pięści machały, nogi kopały. Trzecie ręce drapały i pchały. Macsen przewrócił się z rozciągniętym na sobie gangsterem, trzasnął głową w chodnik. Dinlaya odepchnięto ku ścianie sklepu kapelusznika. Bił rękami, chcąc złapać równowagę. Potem gangster leżący na Macsenie wstał na nogi i uciekł ze swymi towarzyszami. Dinlay puścił się za nimi w pogoń.

- Wracaj! - krzyknął Edeard we frustracji. Dotarł do Macsena, który stawał na nogi, z dłonią zaciśniętą na potylicy. Z palców spływał mu strumyk krwi.

- Co robimy? - spytał Macsen, krzywiąc się od bólu.

Edeard dość łatwo śledził Dinlaya dalwzrokiem, kiedy ten biegł w kierunku północnego krańca ulicy Macoun. Trzech gangsterzy wyprzedzali go o dziesięć metrów.

- Ratujemy go - warknął, wściekły na Dinlaya. Wysłał pojedynczą jasną myśl swemu georłowi, który natychmiast zerwał się do lotu.

Kanseen zwalniała, kiedy zbliżała się do Edearda i Macsena. Miała zaczerwienioną twarz.

- Chodź - powiedział Edeard i ruszył znowu.

Kanseen spojrzała z irytacją i pośpieszyła za nim.

- Wszystko w porządku? - krzyknął Boyd, przebiegając obok Macsena.

- Taa... - Macsen nabrał oddechu i ruszył biegiem.

Georzeł pomknął nad ulicą Macoun, szybko wyprzedzając Edearda i Kanseen. Wystrzelił wprzód, wzniósł się wysoko ponad dachami, spojrzał w dół i zobaczył pędzącego Dinlaya w przekrzywionych okularach. Trzech gangsterzy niemal dotarli do końca ulicy. Wychodziła tuż poniżej Stawu Birmingham, gdzie srebrno-niebieski most łączył Jeavons z niższym punktem Żółtego Parku. Jak zwykle Staw Birmingham roił się od gondoli. Georzeł dał nura ku przystani, a Edeard próbował domyślić się, która z lśniących czarnych łodzi należy do gangu. Jeśli to pułapka, to ich ucieczka na pewno okaże się dobrze zaplanowana.

Na chwilę przed przybyciem gangsterów nad kanał georzeł uświadomił sobie obecność w pobliżu dwóch innych ptaków.

Nadlatywały. Wykonał obrót na skrzydle, i spojrział w górę akurat na czas, żeby zobaczyć, jak spada na niego napastnik - drugi georzeł, większy, ze szponami odzianymi w żelazne kolce. Oba ptaki zderzyły się brutalnie. Pióra - złote i szmaragdowe - wytrysnęły z punktu kolizji. Kolce zanurzyły się w ramię przedniego skrzydła orła Edearda, tnąc przez skórę i mięśnie, rozcinając żyły. Potem większy georzeł skręcił się i usiłował przegryźć kość centralnego skrzydła. Georzeł Edearda bronił się, wił w koło, by zacisnąć szczękę na tylnym skrzydle napastnika. Oba zakłębiły się, szybko opadając. Wtedy uderzył drugi napastnik, szpony z żelaznymi ostrzami wdarły się w ciało. Edeard i jego georzeł wrzasnęli jednocześnie, gdy skrzydło się złamało. Edeard zobaczył szpony sięgające ku jego twarzy i uchylił się. Umysł jego georła gwałtownie zniknął z percepcji, została jedynie spadająca masa. Pozostałe georły pognały precz nad stawem Birmingham. Edeard był pewien, że usłyszał plusk, kiedy ciało jego ptaka uderzyło o wodę.

- Co się stało? - krzyknęła Kanseen.

- Słodka Pani, oni na nas rzeczywiście czekają. - Edeard ściągnął swą percepcję w dół i zobaczył, jak Dinlay wynurza się z końca ulicy Macoun. - Stop! Dinlay, na miłość Pani, błagam cię.

Pchnął silniej swoje nogi, pędząc sprintem do końca ulicy. Trzydzieści metrów.

- Widzę ich - odparł ze złośliwą radością Dinlay.

Przesłał obraz oddziałowi, który zobaczył trzech gangsterów zgrupowanych nad jedną z przystani. Uśmiechali się po barbarzyńsku. Pierwszy raz w umyśle Dinlaya pojawiła się nuta niepewności. Zwolnił i zatrzymał się, dziesięć metrów od nich, na brzegu stawu. A jednak gangsterzy nie ruszyli się. Czekali tylko.

- Zostańcie tam - kazał im Dinlay, nabierając powietrza wielkimi łykami po pościgu. Machał na nich palcem jak starodawny nauczyciel poskramiający niegrzeczną klasę. Śmieli się z niego.

Edeard wypadł z ulicy Macoun. Dokładnie po lewej miał kanał Zewnętrzny kręgu, z przerzuconym srebrno-niebieskim mostem, wyginającym się łukiem nad brzegiem stawu prosto ku Złotemu Parkowi. Po prawej budynki kończyły się i ustępowały

zadrzewionej promenadzie wzdłuż brzegu Stawu Birmingham. Na rozmaitych przystaniach ustawiono porządnie sterty skrzynek, a geszympany i sklepikarze odbierali towary od gondolierów. Wysokie, płaczące drzewa hasfol tworzyły długą linię między promenadą a stawem. Ich tygrysowato pasiaste niebiesko-żółte liście zaczęły się kruszyć, na znak końca lata. Wokół spacerowało mnóstwo pieszych.

- Dinlay - krzyknął Edeard, biegnąc z całych sił ku odizolowanemu koledze z oddziału.

Dinlay rozejrzał się wokół, poprawiając okulary.

Arminel wyszedł zza jednego z drzew hasfol, piętnaście metrów od Dinlaya. W prawej dłoni dzierżył rewolwer. Edeard patrzył bezradnie, jak Dinlay, wreszcie zdawszy sobie sprawę z niebezpieczeństwa zaczął się odwracać. Arminel uniósł pistolet.

- Nie - ryknął Edeard na swego przeciwnika. - To mnie chcecie do rwać.

Dinlay otworzył usta i krzyknął z przerażeniem. Arminel wypalił. Naciskając na spust uśmiechał się. Siła tarczy Dinlaya nie wystarczyła, by ochronić go przez strzałem. Arminel doskonale wycelował. Kula uderzyła Dinlaya w biodro, tuż poniżej kamizelki z drojedwabiu. Połowa przechodniów wokół Stawu Birmingham zaskowyczała od wybuchu bólu, którym Dinlay promieniował. Potem ohydne gorąco wywołane uderzeniem kuli raptownie znikło. Dinlay spojrzał z niedowierzaniem na krew tryskającą z rany. Upadł.

Edeard dotarł do niego po paru sekundach. Z biegu opadł na kolana przy swym bezwładnym przyjacielu. Dinlay miał szeroko otwarte oczy, oddychał krótkimi haustami, dłoń zacisnął na otworze od kuli, skórę pokryła krew.

- Przepraszam - zaskowyczał.

Z promenady rozległy się wrzaski. Ludzie pędzili, by się skryć przed kulami. Skulone rodziny tuliły się do siebie, uciekając od strzelca.

Dokładnie w centrum całego zamętu Edeard usłyszał szcęk mechanizmu pistoletu. Rozszerzył swą tarczę, by obejmowała Dinlaya. Kula uderzyła go w bok, przesuwając ich po nierównym

gruncie. Ale jego tarcza trzymała. Obrócił szarpnięciem głowę i warknął na zbitego z tropu Arminela:

- Nie tak kurewsko łatwo, co? - wrzasnął wyzywająco.

Arminel wypalił powtórnie. Edeard jęknął z wysiłku, kiedy kula uderzyła go w szyję. Tarcza trzymała. Ledwo. Wtedy wystrzelił ktoś jeszcze.

Sukunsyny. Wiedziałem, że to zasadzka.

Zadziwiająco - tarcza ochroniła go. Jeśli już, to teraz było ją łatwiej utrzymywać. Serce waliło mu mocno. Gniew zmył wszystkie inne uczucia, sprawiając, że skupienie na tarczy, ocena siły swego umysłu, prawidłowe ukierunkowanie tej siły - wszystko to stało się proste.

Kiedy tak leżał, ściskając ochronnie Dinlaya, w jego tarczę walnęły kolejne dwie rewolwerowe. Przesunęły ich kilka centymetrów po ziemi, ale to wszystko.

Edeard poczuł, jak trzecia ręka mężczyzny go popycha. Arminelowi wiele brakowało, do przedostania się przez osłonę Edearda. Edeard zaśmiał się. Potem pchała go następna trzecia ręka i jeszcze następna. Trzej ścigani gangsterzy dołączyli się do zmagania. Edeard westchnął kiedy razem z Dinlayem zaczęli przesuwac się po ziemi.

- Edeardzie! - krzyknęła Kanseen.

- Nie podchodź - rozkazał.

Gangsterzy pchnęli po raz ostatni. Edeard i Dinlay zostali wyrzuceni ponad staw i wpadli do wody, trzy metry od brzegu. Uderzenie rozerwało chwyt Edearda na Dinlayu. Rzucił się tuż pod powierzchnią wody, próbując znowu złapać przyjaciela. Woda zaciemniała dalwzrok, utrudniając postrzeganie. Ledwo wyróżniał niewyraźne myśli Dinlaya dryfujące tuż pod nim, bliskie zaniku. Jego własne ubranie nasiąkło wodą, ściągając go w dół. Płynięcie w dół, tuż za Dinlayem opadającym wolno na dno basenu było względnie łatwe.

- Edeard - myśli Dinlaya słabły.

Panował mrok. Zimno. Edeard widział cienistą masę, lub być może dostrzegał ją dalwzrokiem. Popłynął w dół, kopiąc ciężącymi jak ołów butami. Płuca mu płonęły, każdy ruch

sprawiał ból. Mógł zawezwać miasto na pomoc, ale wiedział, że ono nie może nic zrobić. Woda wpychała mu się do nozdrzy, co go trwożyło.

Dłonią zawadził o coś. Przez mrok widział słabe kropki światła. Wypolerowane guziki bluzy Dinlaya! Gorączkowo macał palcami i uchwycił trochę materiału.

A teraz muszę tylko wydostać się na powierzchnię.

Kiedy przechylał głowę w górę widział lustrzaną srebrną płaszczyznę. Wydawała się bardzo odległa. A płuca już nie bolały tak mocno. Pole widzenia otaczały mu czerwone cętki, pulsujące synchronicznie z biciem serca. Kiedy kopnął nogami, ledwie się poruszyły. Buty ściągały go w dół.

- O, Pani, pomóż.

Coś stuknęło go w ramię. Dalwzrok ukazywał to jako wąską, czarną linię.

- Edeardzie - krzyknęła do niego połączona dalmowa Kanseen, Macsena i Boyda. - Edeardzie, złap tyczkę.

Przyjaciele byli daleko.

Koniec wiosła znowu uderzył go w ramię. Edeard schwycił go. Nagle poruszał się w górę. Trzymanie Dinlaya wymagało ogromnego wysiłku. A potem woda pojaśniała.

Wychynął na powierzchnię i potężnie nabrał powietrza. Ktoś wskoczył do wody tuż obok niego i złapał Dinlaya. Zaraz znaleźli się przy przystani. Dłonie schwyciły go za mundur i wyciągnięto go na przystań, kaszłającego i plującego wodą.

Niewiarygodnie zaniepokojona, ogromna twarz Kanseen pojawiła się nad nim.

- Och, Pani, Edeardzie, nic ci nie jest?

Skinął głową, co wywołało następny atak kaszlu. Macsen i para gondolierów wyciągali Dinlaya na przystań. Z jego rany nadal tryskała krew. Boyd był w wodzie, miał bladą twarz.

- Dinlay - zawołał słabo Edeard.

- Zawołaliśmy dalkrzykiem doktora - zapewniła go Kanseen. - Po prostu nie ruszaj się.

Edeard nie posłuchał. Patrzył jak Macsen aplikuje Dinlayowi sztuczne oddychanie. Po raz trzeci w jego życie uderzyły siły

anarchii i zniszczenia. Pierwszy raz, w czasie zasadzki w lesie przy powrocie z Witham. Potem podczas zagłady Ashwell. Teraz to. Tego już za wiele.

- Nie. - Splunął. Nigdy więcej. Nie pozwolę, żeby to się zdarzało. Ludzie nie mogą tak żyć.

- Edeard, siadaj - rozkazała surowo Kanseen.

- Gdzie on jest? Gdzie jest Arminel?

- Przestań.

Wstał niepewnie na nogi. Rozglądając się, chwiał się lekko. Odetchnął głęboko kilka razy. Na brzegu stawu tłoczyli się ludzie, wszyscy spoglądali na przystań. Odwrócił się ku samemu stawowi Birmingham. Większość gondoli zatrzymała się na widok rozgrywającego się dramatu.

Jedna gondola płynęła. Szybko.

Edeard mruganiem wyrzucił słonawą wodę z oczu, i wystrzelił swym dalwzrokiem.

Arminel stał na środkowej ławce gondoli. Obdarzył Edearda smętnym wzruszeniem ramion, myśli mu płonęły radosnym żalem. Tak jakby przegrał mecz piłki nożnej. Nic więcej. Z pewnością nic ważnego. Zagrają pewnego dnia następny mecz i wtedy wynik może być inny.

Wściekłość opuściła Edearda, spłynęła z niego niczym woda z jego przemoczonego ubrania. Czuł się niesamowicie spokojny.

Jeden z gondolierów patrzący nad ramieniem Macsena cofnął się ze strachem o krok.

- Edeard? - zapytała Kanseen stłumionym głosem.

Nie wiedział, że taka rzecz jest możliwa, po prostu ją zrobił. Nie miał wyboru. Tak jak wcześniej, gondola Arminela płynęła zbyt szybko. Nigdy go nie złapią, nigdy nie postawią przed obliczem sprawiedliwości. Trzecia ręka Edearda sięgnęła do wody przed przystanią i ustabilizowała ją.

- Kończę to - oznajmił z mocą. - Tak czy inaczej.

Edeard wstał na wodną płamę, którą kontrolował. Widzowie na brzegu Stawu Birmingham wciągnęli ze zdumieniem powietrze. Edeard uśmiechnął się złośliwie i postąpił następny krok. I następny. Przesuwał gładko chwyt swej trzeciej ręki,

zawsze trzymając przednią krawędź ustabilizowanej wody tuż przed sobą.

Humor Arminela diabli wzięli. W tyle gondoli obaj gondolierzy przestali manewrować wiosłami i patrzyli z trwogą jak Edeard idzie w ich stronę po stawie. Kroczył zdecydowanie ku łodzi, a wokół panowała całkowita cisza. Wszystkie gondole na Stawie Birmingham były teraz nieruchome. Gondolierzy i pasażerowie patrzyli z nabożnym lękiem na mijającego ich Edearda.

- Ruszajcie się! - Arminel wrzasnął na gondolierów. - Zabierzcie nas stąd.

Nie zareagowali. Dwaj gangsterzy siedzący na ławce z Arminelem, powoli unieśli ręce w górę. Odsunęli się od Arminela.

Edeard był o dziesięć metrów od gondoli, kiedy Arminel opuścił dłoń do pasa, za którym trzymał wetknięty rewolwer. Edeard czuł jego niepewność i przestрах. Zwierzę wycofało się do rogu. Nikt już w tej chwili nie miał wyboru.

Po przebyciu ostatnich kilku metrów do gondoli, Edeard otworzył umysł i z całej mocy przemówił dalmową.

- TAK BY WSZYSCY WIEDZIELI. TAK, BY ŻADEN SĘDZIA ANI PRAWNIK NIE MIELI WĄTPLIWOŚCI, CO STAŁO SIĘ TEGO DNIA. - I przesłał im to, co widzi.

Cały Makkathran, od Burmistrza w jego Pałacu Sadowym, aż po marynarzy w dzielnicy portowej zobaczyli gondolę z czterema skulonymi ludźmi, z dłońmi zatykającymi uszy. Piąty mężczyzna stał wyprostowany z nienawiścią na twarzy, a jego dłoń trzymała pistolet wystający zza pasa. Poczuli, jak poruszają się usta Edearda.

- W porządku, gangsterze, twój czas w tym mieście się skończył. Jeśli uważasz, że jest inaczej, spróbuj tego dowieść.

Arminel podniósł rewolwer. Cały Makkathran drgnął, kiedy lufa znalazła się pół metra przed oczyma Edearda.

- Pieprz się - warknął Arminel. Pociągnął za spust.

O jednym wspólnym okrzyku, który wydarł się miastu, mówiono później, że był słyszalny na połowie równiny Iguru. Kiedy wszyscy zaczerpnęli powietrza i uświadomili sobie, że nadal żyją, ujrzeli kulę. Unosiła się w bezruchu kilkanaście

centymetrów przed twarzą Edearda.

Usta Edearda znowu się poruszyły. Tym razem ułożyły się w wąski uśmiech. Twarz Arminela zamarła w szoku.

Ostatnim przekazem, który Edeard pozwolił doświadczyć obywatelom Makkathranu było ukształtowanie trzeciej dłoni w pięść. Walnął nią w przód, w twarz Arminela.

Kość trzasnęła, kiedy łamał się nos mężczyzny. Trysnęła krew. Stopy opuściły ławkę, gdy bandyta został rzucony do tyłu. Wylądował z ogromnym pluskiem w wodzie, która się nad nim zamknęła.

- Jesteście wszyscy aresztowani - oznajmił Edeard.

Kiedy gondola spokojnie płynęła do przystani, gdzie czekali Kanseen, Boyd i Macsen, na brzegu Stawu Birmingham zaczęło się pandemonium. Od strony Jeavons tłum był głęboki na piętnaście osób. Rozszalałe dzieci przebiegały przez niebieskosrebrny most ze Złotego Parku, przewieszały się przez poręcz, wiwatowały i machały. Przeszło stu konstabli stało za przystanią i czekało. Połowa z nich należała do rodziny Dinlaya. Ludzie nadal wylewali się z otaczających dystryktów na promenadę, żeby obserwować historię *in statu nascendi*. Śmielsi chłopcy wspinali się na szczyty drzew hasfol, by mieć lepszy widok.

Edeard szedł powoli za gondolą, modląc się do Pani, żeby teraz nie spartolił sprawy, żeby jego telekinetyczna siła wytrzymała i żeby znów nie wpadł żałośnie do wody. Dalej, w tłumie okrążającym staw, zobaczył Setersisa i Kavine'a stojących na czele wielkiego kontyngentu straganiarzy z rynku Silvarum, wznoszących aplauz. Ogromna gromada zadbanych dziewcząt z wielkich rodzin pozdrawiała go ostrym zalotnym śmiechem a także migąła swymi halkami i reformami. Był tam też Isoix z rodziną. Evala, Nicolar i wszystkie dziewczęta od modystki; gorączkowo machały i wrzeszczały, by przyciągnąć jego uwagę. Wydało mu się nawet, że zobaczył Dybala i Bijulee, śmiejących się z podnieceniem wśród tłumu, ale wtedy stanowczo czuł się już zmęczony.

Dziób gondoli dotknął platformy przystani. Konstable przymocowali łódź. Kapitan Ronark szybko objął dowództwo. Chae i kilku największych konstabli ze stacji Jeavons zakuło w kajdanki Arminela i jego wspólników. Oczyszczono drogę przez promenadę i poprowadzono więźniów na posterunek.

Edeard wreszcie wstąpił na platformę. Niemal zawiodły go nogi. Drżał z wyczerpania. Kapitan Ronark stanął na baczność i mu zasalutował. Kanseen, ku radości tłumu mocno go ucałowała.

- Ty przeklęty idioto - szepnęła mu do ucha. - Jestem z ciebie taka dumna.

Macsen walnął go w plecy. Boyd uściskał go ognicie.

- Dinlay? - zapytał Edeard.

- Mają go doktorzy - krzyknął Macsen ponad ogłuszającym dźwiękiem tłumu. - Wyzdrowieje. Kula nie trafiła w nic istotnego. Nie, żeby miał coś istotnego w tamtej okolicy.

- Przez ciebie niemal zesraliśmy się ze strachu - oznajmił Boyd, wycierając łzy z oczu. - Co za numer, wariacie.

- Spójrzysz wokół, Edeardzie - powiedziała Kanseen. - Dopilnuj tego, żeby wszystko zobaczyć. To jest dzień, o którym będziesz opowiadał swoim praprawnukom.

- Pomachaj im w odpowiedzi, kutasie - rozkazał Macsen. Złapał dłoń Edearda i trzymał ją w górze, machając i krzycząc bez słów.

Potęga aplauzu, który wybuchł, kiedy Edeard uśmiechnął się z zażenowaniem do hordy czcicieli, była przerażająca. Siła mentalna tak wielu ludzi, zjednoczonych w swej czci, dominowała, stała na granicy siły fizycznej. Jego uśmiech rozszerzył się, kiedy Macsen obrócił go, tak, że mogła go widzieć druga strona promenady.

- Gdyby dzisiaj był dzień wyborów, zostałbyś Burmistrzem - powiedział Boyd.

- Posłuchaj ich tylko - powiedział Macsen. - Kochają cię. Chcą cię. Ciebie! - Zaśmiał się na całe gardło.

Edeard gapił się na srebrno-niebieski most, przekonany, że dzieci przewieszane przez barierkę zaraz spadną - tak daleko się przechylały. Coś skandowały. Za każdym zawołaniem pięści waliły jednocześnie w powietrze.

- Co to takiego? - spytał Edeard. - Co oni mówią?
 - Ty. - Kanseen odpowiedziała mu krzyżąc. - Wołają ciebie.
- Wtedy Edeard usłyszał cały okrzyk i zaśmiał się.
- Stąpający po Wodzie! - skandował z uwielbieniem tłum. - Stąpający po Wodzie! Stąpający po Wodzie! Stąpający po Wodzie!